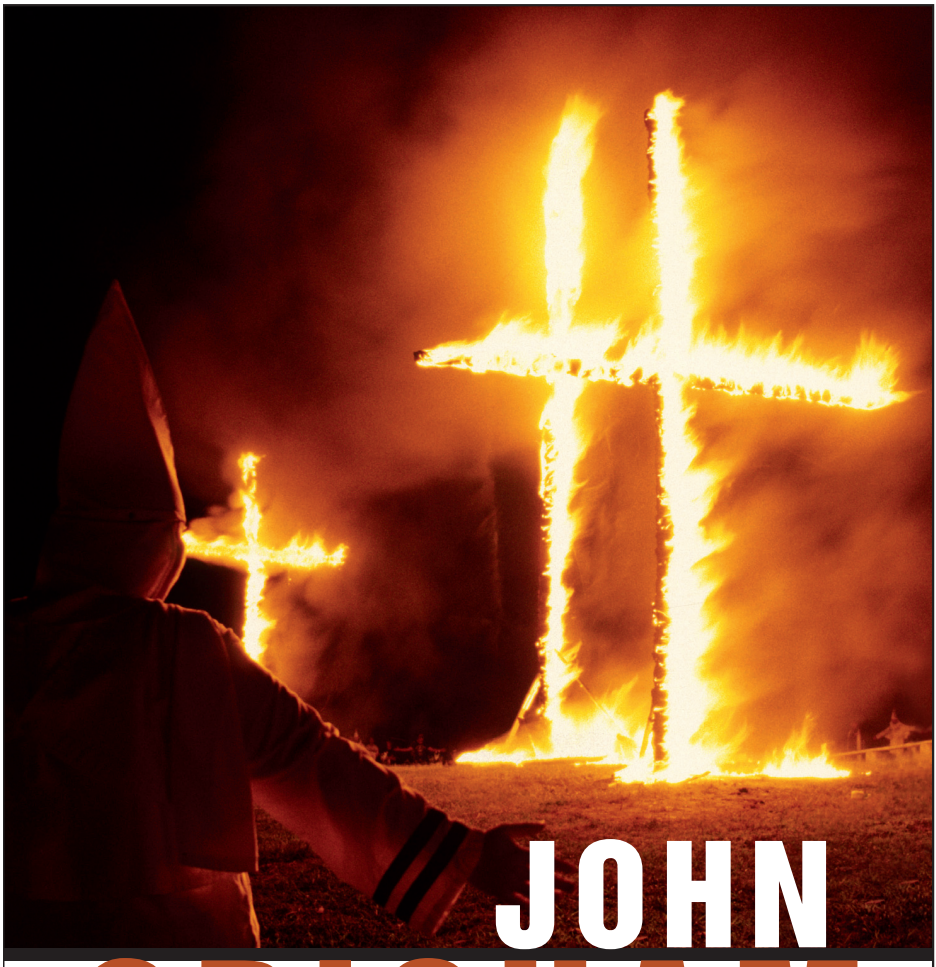

JOHN

GRISHAM

Czas zabijania

O książce

Clanton, małym miastem w stanie Missisipi, wstrząsa wiadomość o wielokrotnym zgwałceniu i brutalnym pobiciu dziesięcioletniej Tonyi Hailey. Kilka dni później w gmachu sądu rozlegają się strzały – to ojciec dziewczynki postanawia sam wymierzyć sprawiedliwość i zabija prowadzonych na salę sądową sprawców, raniąc przy tym funkcjonariusza z biura szeryfa.

Jake Brigance – młody adwokat borykający się z problemami małomiasteczkowego prawnika – do którego Carl Lee Hailey zwraca się z prośbą o obronę , wie, że będzie miał trudny orzech do zgryzienia. Jego klient jest bowiem czarnoskóry, a zabici mężczyźni byli biali, i chociaż czasy niewolnictwa są już zamierzchłą przeszłością, to na amerykańskim Południu jego echo wciąż nie ucichło. Jake wie również, że nie może liczyć na wysokie honorarium. Mimo to podejmuje się obrony zdesperowanego ojca. Bo sam ma córkę.

Nie wie tylko, że reprezentując Carla Lee przed sądem, może narazić na niebezpieczeństwo swoją rodzinę, ponieważ Ku-Klux-Klan, zawiadomiony przez krewnych zabitych mężczyzn, dostrzega w toczącym się w Clanton procesie szansę na ponowne zaistnienie.

JOHN GRISHAM

Czas zabijania

Z angielskiego przełożył
ZBIGNIEW KOŚCIUK

ALBATROS
Wydawnictwo A. Kuryłowicz

Wydanie elektroniczne

JOHN GRISHAM

Współczesny pisarz amerykański, autor 30 powieści, w tym czterech dla młodzieży, fabularyzowanego reportażu oraz zbioru opowiadań. Jego książki ukazują się w 40 językach, a ich łączny nakład osiągnął 275 milionów egzemplarzy. Dziewięć z nich zostało zekranizowanych. W 2011 pisarz otrzymał prestiżową nagrodę literacką Harper Lee.

www.jgrisham.com

Tego autora w Wydawnictwie Albatros

FIRMA
KANCELARIA
ZAKLINACZ DESZCZU
KRÓL ODSZKODOWAŃ
WIĘZIENNY PRAWNIK
OSTATNI SPRAWIEDLIWY
CALICO JOE
KOMORA
DARUJMY SOBIE TE ŚWIĘTA
UŁASKAWIENIE
RAPORT PELIKANA
NIEWINNY CZŁOWIEK
TRENER
APELACJA
BRACTWO
TESTAMENT

Jake Brigance

CZAS ZABIJANIA
CZAS ZAPŁATY

Theodore Boone

OSKARŻONY
AKTYWISTA

Tytuł oryginału:
A TIME TO KILL

Copyright © John Grisham 1989
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2014

Polish translation copyright © Zbigniew Kościuk 2014

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Konsultacja prawnicza: prof. Tadeusz Tomaszewski

Zdjęcie na okładce: Alamy/BE&W

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7985-044-0

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego.
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę,
która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje,
że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom
lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie,
kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych
lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu ...
...
...

Renée,

Pięknej kobiecie,
wiernej przyjaciółce,
wyrozumiałemu krytykowi,
kochającej matce

i idealnej żonie

Od autora

Mam skłonność do rozpoczynania wielu spraw i niedoprowadzania ich do końca, więc kiedy zacząłem pisać tę książkę, moim celem było jedynie jej ukończenie. Wyobrażałem sobie, jak pewnego dnia wskazuję schludną stertę zapisanych kartek w rogu mojego biura i z dumą wyjaśniam klientom oraz przyjaciołom, że to powieść, którą napisałem. Oczywiście w głębi serca marzyłem, że zostanie wydana, ale mówiąc szczerze, nie przypominam sobie takich myśli, przynajmniej wtedy, gdy zaczynałem pisanie. Sądziłem, że będzie to moja pierwsza długa próba w dziedzinie powieści.

Zacząłem na jesieni 1984 roku, trzy lata po ukończeniu wydziału prawa, kiedy byłem jeszcze żółtodziobem. We wczesnych latach mojej prawniczej kariery spędzałem wiele godzin na sali sądowej, obserwując dobrych prawników. Sala rozpraw zawsze mnie fascynowała... i fascynuje do dziś. Podczas rozpraw ludzie dyskutują o sprawach, o których nie ośmieliliby się bąknąć za progiem własnego domu. Największe dramaty rozgrywają się nie na ekranie lub scenie teatralnej, lecz w niezliczonych salach sądowych tego kraju.

Pewnego dnia byłem świadkiem drastycznego procesu. Młoda

dziewczyna zeznawała przeciwko mężczyźnie, który brutalnie ją zgwałcił. Bardzo boleśnie to przeżyłem, a przecież byłem jedynie obserwatorem. W jednej chwili dziewczyna wydawała się bardzo odważna, w drugiej żałośnie krucha. Byłem głęboko poruszony. Nie potrafiłem wyobrazić sobie koszmaru, przez który przeszła ona i jej rodzina. Zastanawiałem się, co bym zrobił, gdyby była moją córką. Widząc, jak cierpi, zeznając przed ławą przysięgłych, chciałem własnoręcznie zastrzelić gwałciciela. Przez krótką, a jednocześnie niekończącą się chwilę chciałem być jej ojcem. Pragnąłem sprawiedliwości. I dostrzegłem interesującą historię.

Dostałem obsesji na punkcie ojcowskiej zemsty. Jak takiego ojca potraktowałaby ława przysięgłych złożona z przeciętnych, zwykłych ludzi? Naturalnie odczuwaliby pewną dozę współczucia, ale czy wystarczyłoby jej na uniewinnienie? Pomysł tej powieści narodził się w ciągu trzech miesięcy, kiedy ta myśl pochłaniała mnie prawie bez reszty.

Pierwszy rozdział napisałem odręcznie w notatniku i poprosiłem Renée, moją żonę, aby go przeczytała. Była pod wrażeniem i powiedziała, że chciałaby przeczytać rozdział drugi. Miesiąc później dałem jej drugi i trzeci. Powiedziała, że ją wciągnęło. Dodam, że Renée czyta pięć lub sześć powieści tygodniowo — kryminalnych, thrillerów, szpiegowskich, wszelkiego rodzaju — i nie ma cierpliwości do nudnych historii.

Pisanie tej książki potraktowałem jako okazję do rozwijania własnego hobby — poświęcałem jej godzinę tu, godzinę tam, z postanowieniem, aby pisać przynajmniej stronę dziennie. Nigdy nie porzuciłem tego zamiaru, choć pamiętam okres czterech tygodni, kiedy nie napisałem ani słowa. Czasami zdarzyło mi się zmarnować dzień, ale konsekwentnie, ze ślepą cierpliwością podążałem naprzód. Chociaż historia wydawała się wspaniała, nie byłem pewien swojego warsztatu. Renée podobało się to, co napisałem, więc kontynuowałem to zajęcie.

Po roku ze zdumieniem stwierdziłem, jak szybko zapisuję kolejne kartki, i zdałem sobie sprawę, że książka jest w połowie gotowa.

Zapomniałem o swoim pierwotnym celu i zacząłem rozmyślać o umowach wydawniczych, tantiemach oraz urojonych lunchach z agentami i wydawcami — jednym słowem przeżywać dramaty każdego pisarza, który jeszcze nic nie wydał.

Po trzech latach od rozpoczęcia pracy dałem Renée ostatni rozdział i przesłaliśmy tekst do Nowego Jorku. Tytuł roboczy brzmiał *Podzwonne*, co było kiepskim pomysłem, więc został zmieniony, gdy tylko rękopis wylądował na biurku mojego nowego agenta, Jaya Garona. Jay przeczytał trzy rozdziały i natychmiast przesłał mi umowę pełnomocnictwa. Dodam, że powieść odrzuciło szesnastu innych agentów i kilkunastu wydawców. Jay odebrał rękopis i powiedział, żebym zaczął pisać kolejną książkę. Posłuchałem jego rady.

Minął rok i nic się nie stało. W kwietniu 1988 roku, kiedy byłem pochłonięty pisaniem *Firmy*, Jay zadzwonił ze wspaniałą wiadomością: moja książka ukaże się drukiem. Bill Thompson z Wynwood Press przeczytał rękopis i natychmiast kupił prawa do książki. Pod jego kierunkiem dokonałem nielicznych zmian i wymyśliłem nowy tytuł: *Czas zabijania*. Myślę, że był do szósty lub siódmy tytuł, na który się zdecydowałem. Przyznaję — nie jestem najlepszy w wymyślaniu tytułów.

W czerwcu 1989 roku Wynwood wydrukował pięć tysięcy egzemplarzy. Powieść sprzedała się w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od domu, ale została przeoczona przez resztę świata. Nie mieliśmy umowy na wydanie broszurowe, nie było też klauzuli o prawach zagranicznych. Z drugiej strony była to moja pierwsza powieść, a większość debiutanckich powieści przechodzi bez echa. Na szczęście za rogiem czekały lepsze rzeczy.

W roku 1989 ukończyłem *Firmę* i przesłałem ją Jayowi. Powieść kupił Doubleday/Dell, a kiedy w marcu 1991 roku została wydana w twardej oprawie, w mojej pisarskiej karierze nastąpił dramatyczny zwrot. Sukces *Firmy* wzbudził nowe zainteresowanie *Czasem zabijania*.

W tej książce umieściłem dużo elementów autobiograficznych.

Chociaż już nie praktykuję prawa, przez dziesięć lat czyniłem to w bardzo podobny sposób jak Jake Brigance. Zawsze reprezentowałem ludzi, nigdy banki, firmy ubezpieczeniowe lub wielkie korporacje. Byłem prawnikiem ulicy. Jake i ja byliśmy w tym samym wieku. W liceum grałem na pozycji rozgrywającego, choć nie szło mi najlepiej. Większość tego, co mówi lub robi, sam powiedziałbym lub zrobił w podobnych okolicznościach. Obaj jeździmy saabem. Obaj odczuwamy nieznośne napięcie, uczestnicząc w procesie, w którym oskarżonemu grozi kara śmierci, co próbowałem oddać w mojej powieści. Obaj nie spaliśmy z powodu strachu o klienta i wymiotowaliśmy w sądowych łazienkach.

Książka, którą trzymacie w rękach, jest bliska mojemu sercu. To moja pierwsza powieść i choć czasami wątki się plączą, nie zmieniłbym w niej ani słowa. Nawet gdybym miał okazję.

Oxford, Missisipi
30 stycznia 1992

Rozdział 1

Billy Ray Cobb był młodszym i mniejszym z dwójki wsioków. W wieku dwudziestu trzech lat miał już na koncie trzyletnią odsiadkę w więzieniu stanowym w Parchman za posiadanie kradzionych towarów z zamiarem sprzedaży. Był szczupłym twardzielem, drobnym oprychem, któremu udało się przeżyć więzienie i jakimś cudem utrzymać siatkę dealerską narkotyków, które opylał, a czasami dawał w prezencie czarnym i strażnikom, żeby zapewnili mu ochronę. Po wyjściu na wolność nadal prosperował, a jego drobny narkotykowy interes sprawił, że awansował do grona najbardziej wpływowych wsioków okręgu Ford. Był przedsiębiorcą pełną gębą, z pracownikami, zobowiązaniami, umowami i wszystkim innym oprócz podatków. W Clanton, w okręgu Ford, był ostatnim gościem w najnowszych dziejach, który zapłacił gotówką za nowego pick-upa. Odlotowe chromowane felgi i opony wyścigowe do jazdy po błocie dostał w zamian za przysługę. W tylnym oknie wisiała flaga konfederatów, którą Cobb ukradł pijanemu gościowi z bractwa studenckiego podczas meczu futbolowego na Ole Miss, czyli Uniwersytecie Missisipi. Pick-up był najcenniejszą rzeczą, jaką

Billy Ray posiadał. Siedział teraz na tylnej klapie, żłopiąc piwo, popalając jointa i patrząc, jak jego kumpel, Willard, zabawia się z czarną dziewczynką.

Willard był cztery lata starszy, ale zachowywał się, jakby różnica wynosiła kilkanaście lat. Można powiedzieć, że ogólnie był nieszkodliwy. Nigdy nie znajdował się w poważnych tarapatach, nie miał też poważnej roboty. Czasem zdarzyła mu się bójka, za którą przesiedział nockę w areszcie, ale nie miał na koncie niczego wyjątkowego. Mówił, że jest drwalem, ale ból pleców powodował, iż trzymał się z dala od lasu. Uszkodził sobie kręgosłup, pracując na platformie wiertniczej gdzieś w Zatoce Perskiej, a koncern naftowy wypłacił mu przyzwoite odszkodowanie, które Willard stracił, kiedy jego była ogoliła go do czysta. Głównym jego zajęciem była dorywcza robota u Billy'ego Raya Cobba, który wprawdzie niewiele mu płacił, ale za to nie skąpił towaru. Pierwszy raz od lat Willard zawsze mógł mieć towar, którego stale potrzebował od czasu wypadku z kręgosłupem.

Dziewczynka miała dziesięć lat i była mała jak na swój wiek. Leżała, opierając się na łokciach, które umieścili pod tułowiem i związali żółtą nylonową linką. Nogi spoczywały w groteskowym rozkroku, bo prawa stopa była mocno przywiązana do młodego dębu, a lewa do zbutwiałego, pochylonego słupka starego ogrodzenia. Narciarska linka wrzynała się w jej nadgarstki, a po nogach spływała krew. Miała zakrwawioną i opuchniętą twarz. Jedno oko było nabrzmiałe i zamknięte, drugie na wpół otwarte, więc mogła widzieć drugiego białasa siedzącego na skrzyni. Nie patrzyła na faceta, który na niej leżał. Tego, który ciężko dyszał, pocił się i przeklinał. I robił jej krzywdę.

Kiedy skończył, uderzył ją w twarz i zarechotał. Drugi odpowiedział śmiechem, a później zanieśli się jeszcze głośniej i zaczęli turlać po trawie obok wozu, jak dwaj wariaci, pokrzykując i rechocząc. Odwróciła głowę i cicho zapłakała,

tak żeby jej nie usłyszeli. Wcześniej pobili ją za to, że płakała i krzyczała. Zagrozili, że zabiją, jeśli się nie zamknie.

Po chwili zmęczyli się rechotem i wyciągnęli na skrzyni. Willard wytarł się koszulą małej czarnulki, nasączoną krwią i potem. Cobb podał mu zimne piwo z chłodziarki i bąknął coś o wilgotnym powietrzu. Później patrzyli, jak mała szlocha, wydając dziwne, ciche dźwięki, aby w końcu zamilknąć. Puszka Cobba była w połowie pusta, a napój przestał być chłodny. Cisnął nią w dziewczynkę. Puszka uderzyła ją w brzuch, tryskając białą pianą, a później potoczyła się na ziemię obok innych, pochodzących z tej samej chłodziarki. Wyciągali kolejne z dwóch sześciopaków, wypijali do połowy, a później rzucali nimi w nią i rechotali. Willard miał problem z trafieniem w cel, za to Cobbowi całkiem nieźle szło. Nie należeli do tych, co to marnują piwo, ale cięższe puszki lepiej leżały w dłoni, a poza tym miło było patrzeć, jak piana się rozpryskuje.

Ciepłe piwo mieszało się z ciemną krwią i spływało po twarzy i szyi dziewczynki, tworząc kałużę za głową. Przestała się poruszać.

Willard spytał Cobba, czy jego zdaniem mała nie żyje. Cobb otworzył kolejne piwo i wyjaśnił, że nie jest martwa, bo czarnego nie da się zabić kopaniem, biciem i gwałceniem. Żeby załatwić czarnucha, trzeba użyć znacznie bardziej radykalnych środków, na przykład noża, spluwy lub sznura. Chociaż nigdy nie zabił Murzyna, poznał w pudle paru czarnych i wiedział o nich wszystko. Zwykle zabijali jedni drugich, używając jakiegoś rodzaju broni. Ci, których jedynie pobito i zgwałcono, nigdy nie umierali. Niektórzy biali, których pobito i zgwałcono, odwinęli kitę, ale nie czarni. Ich głowy były znacznie twardsze. Willard sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego odpowiedzią.

Później Willard spytał, co Cobb ma zamiar zrobić z dziewczynką, skoro już z nią skończyli. Cobb pociągnął jointa, popił piwem i odparł, że on jeszcze nie skończył. Zakołysał się

na skrzyni i powlókł w kierunku małej polany, gdzie ją przywiązali. Zaklął i krzyknął na nią, żeby się obudziła, a później chlusnął jej zimnym piwem w twarz, śmiejąc się jak oszalały.

Patrzyła na niego, gdy obchodził drzewo, żeby znaleźć się z prawej strony, a później utkwiła w nim wzrok, gdy zaczął się gapić między jej nogi. Kiedy spuścił portki, odwróciła się w lewo i zamknęła oczy. Chciał jej ponownie zrobić krzywdę.

Spojrzała między drzewa i dostrzegła jakiś ruch — mężczyznę, który biegł jak oszalały przez krzaki i zarośla. Swojego tatę. Krzyczał i dawał jej znaki, i pędził co sił na ratunek. Krzyknęła w jego stronę, a wtedy zniknął w zaroślach. A ona straciła przytomność.

⅄ ⅄ ⅄

Kiedy się obudziła, jeden leżał pod pick-upem, a drugi obok drzewa. Spali. Jej ręce i nogi były odrętwiałe. Krew, piwo i mocz zmieszały się z ziemią pod tułowiem, tworząc kleistą maź, która przytwierdzała jej drobne ciało do ziemi i trzeszczała, kiedy dziewczynka się poruszyła. Pomyślała o ucieczce, ale mimo największych wysiłków zdołała się przesunąć zaledwie kilka centymetrów w prawo. Przywiązali jej stopy tak wysoko, że pośladki ledwie dotykały ziemi. Nogi i ręce były tak zdrętwiałe, że nie chciały jej słuchać.

Spojrzała w kierunku drzew w poszukiwaniu taty i cicho go zawołała. Odczekała chwilę, a później znów zapadła w sen.

Kiedy ponownie się obudziła, tamci już wstali i krążyli wokół. Wysoki podszedł do niej na chwiejnych nogach z małym nożem. Chwycił jej prawą kostkę i zaczął z furią piłować linkę, aż puściła. Gdy uwolnił jej prawą nogę, skuliła się w pozycji płodu, odwracając plecami.

Cobb zarzucił kawał linki na konar, a później zrobił pętlę i zawiązał węzeł. Następnie chwycił dziewczynkę i założył jej pętlę na szyję. Kiedy skończył, ruszył na drugi koniec polany

i usiadł na pace pick-upa, gdzie Willard popalał kolejnego jointa i uśmiechał się na myśl o tym, co Cobb ma zamiar zrobić. Ten złowrogo szarpnął linę, unosząc drobne nagie ciało nad ziemię na tyle, by głowa znalazła się tuż pod konarem. Dziewczynka krztusiła się i kaszlała, więc miłosiernie poluzował linę, aby dać jej kilka minut wytchnienia. Później przywiązał linę do zderzaka i otworzył kolejne piwo.

Siedzieli z Willardem na pace, pijąc, paląc i gapiąc się na małą. Spędzili nad jeziorem większą część dnia, bo Cobb miał tam przyjaciela, a przyjaciel łódkę i kilka zaprzyjaźnionych dziewczyn, które miały być łatwe, ale okazały się niedotykalskie. Chociaż Cobb nie żałował prochów i piwa, wredne laski nie chciały się odwdzięczyć. Sfrustrowani, odjechali znad jeziora. Sunęli przed siebie, gdy szczęśliwym trafem napatoczyła się ta mała. Szła żwirową drogą z torbą zakupów, kiedy Willard trafił ją w tył głowy puszką piwa.

— Naprawdę chcesz to zrobić? — spytał Willard, spoglądając na niego szklistymi, nabiegłymi krwią oczami.

Cobb się zawahał.

— Nie. Pozwolę, żebyś sam to zrobił. To był twój pomysł.

Willard pociągnął jointa, splunął i powiedział:

— To nie był mój pomysł. To ty jesteś specem od zabijania czarnuchów. Sam to zrób.

Cobb odwiązał linkę od zderzaka i pociągnął. Lina oderwała korę od gałęzi, rozrzucając drobne kawałki wiązu wokół dziewczynki, która obserwowała ich bacznym wzrokiem. Zakaszlała.

Nagle usłyszała coś, co przypominało warkot samochodu z zepsutym tłumikiem. Tamci odwrócili się niespokojnie, spoglądając na żwirową drogę odchodzącą od pobliskiej autostrady. Zaczęli przeklinać i gorączkowo biegać w kółko. Jeden z nich podniósł klapę, a drugi ruszył w stronę dziewczynki. Potknął się i wylądował nieopodal. Przeklinali jeden drugiego, zdejmując jej pętlę z szyi, wlokąc do pick-upa i rzucając na

pakę. Cobb zdzielił ją w twarz i zagroził, że zabije, jeśli nie będzie cicho. Powiedział, że odwiezie ją do domu, jeśli nie będzie się ruszała i zrobi, co jej każe. W przeciwnym razie ją załatwią. Później zatrzasnęli drzwi i ruszyli szybko żwirową drogą. Pomyślała, że jedzie do domu, i zemdlała.

Cobb i Willard pomachali w kierunku firebirda z zepsutym tłumikiem, mijając go na wąskiej bitej drodze. Willard obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy czarnulka leży nieruchomo. Cobb skręcił na szosę i przyspieszył.

— Co teraz? — spytał nerwowo Willard.

— Nie wiem — odrzekł niespokojnie Cobb. — Musimy się pospieszyć, bo mi zakrwawi cały samochód. Popatrz, wszystko upaćkała.

Willard pomyślał chwilę, dopijając puszkę.

— Zrzućmy ją z mostu — zaproponował z dumą.

— Dobry pomysł. Cholernie dobry. — Cobb raptownie zahamował. — Daj mi piwo — polecił Willardowi, który wywlókł się z kabiny i poszedł na tył po dwie puszki.

— Nawet chłodziarkę zakrwawiła — oznajmił, kiedy ruszyli z piskiem opon.

Gwen Hailey czuła, że stało się coś złego. Posłałaby po zakupy jednego z trzech chłopców, ale dostali szlaban od ojca. Za karę musieli wyrywać chwasty w ogrodzie. Tonya już wcześniej chodziła do sklepu, który znajdował się zaledwie półtora kilometra od domu, i udowodniła, że można na niej polegać. Po dwóch godzinach Gwen posłała synów, żeby poszukali młodszej siostry. Pomyśleli, że pewnie poszła do domu Poundersów, żeby się pobawić z ich dzieciakami, lub zapuściła się jeszcze dalej, by odwiedzić swoją najlepszą przyjaciółkę, Bessie Pierson.

Sklepikarz pan Bates powiedział, że była u niego, ale wyszła przed godziną. Jarvis, średni brat, znalazł przy drodze torbę z

zakupami.

Gwen zadzwoniła do męża do papierni, a później zapakowała Carla Lee juniora do samochodu i zaczęła krążyć szutrowymi drogami wokół sklepu. Dotarli do osady starych drewnianych bud na plantacji Grahama, żeby sprawdzić, czy małej nie ma u ciotki. Później zatrzymali się w sklepie Broadway, półtora kilometra od spożywczego Grahama, ale grupka czarnych powiedziała, że nie widzieli jej w pobliżu. Sprawdzili żwirowe i bite drogi w promieniu pięciu kilometrów od domu.

Cobb nie mógł znaleźć mostu, na którym nie siedzieliby czarni z wędkami. Do każdego, do którego się zbliżyli, przyklejonych było czterech lub pięciu czarnych w szerokich słomkowych kapeluszach, z dużymi trzcinowymi wędziskami w rękach. Pod każdym siedziała na wiadrach grupka innych w identycznych słomkowych kapeluszach i z trzcinowymi wędkami. Tkwili tak nieruchomo, od czasu do czasu zaciągając przynętę lub rozgniatając komara na karku.

Zaczęło go ogarniać przerażenie. Naćpany Willard całkowicie odpłynął i nie było z niego najmniejszego pożytku. Cobb został sam i musiał się pozbyć dziewczyny w taki sposób, żeby nie mogła powiedzieć nikomu, co się stało. Willard pochrapywał, a Cobb gnał jak oszalały żwirowymi wiejskimi drogami w poszukiwaniu mostu lub urwiska nad rzeką, gdzie mógłby przystanąć i zrzucić ciało tak, żeby nie zobaczyło go pół tuzina czarnych w słomkowych kapeluszach. Spojrzał w lusterko i zauważył, że dziewczynka próbuje się podnieść. Zahamował mocno, więc upadła na pakę obok tylnego okna. Willard odbił się rykoszetem od deski rozdzielczej i osunął na podłogę, nie przestając chrapać. Cobb rzucił przekleństwo pod adresem obojga.

Błotniste jezioro Chatulla było dużym, płytkim sztucznym zbiornikiem. Tamę ciągnącą się na długości półtora kilometra porastała trawa. Akwen znajdował się na południowo-zachodnim

krańcu okręgu Ford, kilkoma hektarami wkraczając na teren okręgu Van Buren. Na wiosnę Chatulla było największym zbiornikiem wodnym w Missisipi, ale późnym latem, gdy deszcz przestawał padać, a słońce zaczynało podgrzewać, woda gwałtownie parowała. Mocny niegdyś brzeg obniżał się i cofał, zbliżając do przeciwległych krańców i tworząc płytki zbiornik z czerwonobrązową wodą. Z różnych stron zasilały go niezliczone strumienie, zatoki i mokradła. Kilka dopływów było wystarczająco dużych, aby zasłużyć na miano rzeki. Istnienie wspomnianych dopływów powodowało, że w rejonie jeziora znajdowało się duża liczba mostów.

Żółty pick-up mknął tymi mostami w poszukiwaniu miejsca nadającego się do zrzucenia ładunku, jakim była niechciana pasażerka. Cobb był zrozpaczony. Wiedział o jeszcze jednym moście, wąskiej drewnianej konstrukcji rozpiętej ponad strumieniem Foggy. Kiedy podjechał bliżej i ujrzał czarnuchów z trzcinowymi wędkami, zjechał na pobocze i zatrzymał wóz. Opuścił pokrywę, wyciągnął dziewczynkę i wrzucił ją do małego wąwozu porośniętego kudzu.

Carl Lee Hailey nie spieszył się do domu. Gwen denerwowała się z byle powodu. Kilka razy dzwoniła do papierni, bo obawiała się, że jedno z dzieci zostało porwane. Odbił kartę i jak zwykle dotarł do domu w ciągu trzydziestu minut. Zaniepokoił się dopiero na widok radiowozu zaparkowanego obok werandy. Inne samochody należące do członków rodziny Gwen stały chaotycznie wzdłuż długiego podjazdu i na podwórku. Wśród nich był jeden wóz, którego nie rozpoznał.

Gdzie jest Tonya i chłopcy?

Kiedy otworzył drzwi, usłyszał, że Gwen płacze. W małym salonie z prawej strony spostrzegł tłumek pochylony nad kruchą postacią leżącą na kanapie. Dziecko było przykryte mokrymi ręcznikami, otoczone przez szlochających krewnych. Kiedy

ruszył w kierunku kanapy, płacz ustał. Tłum się rozstąpił. Obok dziewczynki została tylko Gwen. Delikatnie gładziła ją po głowie. Uklęknął obok kanapy i dotknął ramienia dziecka. Przemówił do swojej córeczki, a ona próbowała się uśmiechnąć. Jej twarz przypominała krwawą miazgę, pokryta siniakami i ranami. Oczy były spuchnięte i zakrwawione. Poczuł łzy w oczach, kiedy spojrzał na jej drobne ciało owinięte ręcznikami i krwawiące z łokci oraz czoła.

Carl Lee spytał Gwen, co się stało. Zaczęła dygotać i jęczeć, więc brat musiał odprowadzić ją do kuchni. Carl Lee wstał, odwrócił się do zebranych i poprosił, żeby ktoś mu powiedział.

Cisza.

Zapytał trzeci raz. Funkcjonariusz z biura szeryfa, Willie Hastings, jeden z kuzynów Gwen, podszedł do niego i powiedział, że ludzie łowiący ryby nad strumieniem Foggy znaleźli Tonyę na środku drogi. Powiedziała, jak się nazywa jej ojciec, więc zanieśli ją do domu.

Hastings zamilkł i wbił wzrok w podłogę.

— Co się stało, Willie?! — krzyknął Carl Lee, spoglądając na niego gniewnym wzrokiem.

Hastings mówił powoli, odwracając wzrok w kierunku okna. Powtórzył to, co Tonya powiedziała matce o białych mężczyznach i pick-upie. O sznurze i drzewach, i o tym, jak ją skrzywdzili. Przerwał, słysząc sygnał karetki.

Ludzie cicho wyszli na zewnątrz i stanęli na werandzie, patrząc, jak ratownicy wyjmują nosze i idą w stronę domu.

Stanęli na podwórku, kiedy otworzyły się drzwi i Carl Lee wyszedł z córką na rękach. Szeptał do niej cicho, a ogromne łzy kapały mu z brody. Ruszył na tył karetki i wsiadł do środka. Ratownicy zamknęli drzwi i ostrożnie wyjęli dziecko z jego rąk.

Rozdział 2

Ozzie Walls był jedynym czarnoskórym szeryfem w stanie Missisipi. W najnowszej historii znalazłoby się paru innych, ale obecnie Walls nie miał konkurencji. Był bardzo dumny z tego faktu, bo biali stanowili siedemdziesiąt cztery procent mieszkańców okręgu Ford, a inni czarnoskórzy szeryfowie pochodzili z okręgów, w których mieszkało znacznie więcej czarnych. Przed okresem rekonstrukcji nie wybrano żadnego czarnoskórego szeryfa w białym okręgu Missisipi.

Walls wychował się w okręgu Ford i był spokrewniony z większością czarnych oraz paroma białymi. Po desegregacji, która miała miejsce pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku, należał do pierwszego mieszanego rocznika absolwentów Clanton High School. Chciał grać w futbol na pobliskim uniwersytecie Ole Miss, ale mieli już dwóch czarnych. Zamiast tego wstąpił do drużyny uniwersytetu Alcorn State i grał w Rams na pozycji obrońcy, dopóki kontuzja kolana nie sprawiła, że wrócił do Clanton. Brakowało mu futbolu, ale cieszył się, że wybrali go na stanowisko szeryfa, bo dostał więcej głosów białych niż jego

biali rywale. Białe dzieciaki go uwielbiały, bo był bohaterem, gwiazdą futbolu, która występowała w telewizji, a jego fotografie zamieszczano w gazetach. Ich rodzice szanowali Ozziego i głosowali na niego, bo był twardym gliną, który tak samo traktował czarnych i białych chuliganów. Biali funkcjonariusze popierali go, bo od kiedy został szeryfem, Departament Sprawiedliwości nie wtykał nosa w sprawy okręgu Ford. Czarni wielbili go, bo był ich Ozziem, ich człowiekiem.

Odpuścił sobie kolację i czekał w biurze obok aresztu na powrót Hastingsa, żeby wysłuchać raportu o sytuacji w domu Haileya. Miał już podejrzanego. Billy Ray Cobb był stałym bywalcem w biurze szeryfa. Ozzie wiedział, że gość handluje narkotykami, ale nie potrafił go przyłapać. Wiedział również, że facet to kawał drania.

Dyspozytor wezwał ludzi z biura szeryfa. Kiedy się zameldowali, Ozzie kazał im ustalić miejsce pobytu Billy'ego Raya Cobba, ale go nie zatrzymywać. Było ich w sumie dwunastu — dziewięciu białych i trzech czarnych. Rozjechali się po okręgu w poszukiwaniu odpicowanego żółtego pick-upa marki Ford z flagą konfederacji w tylnym oknie.

Kiedy zjawił się Hastings, szeryf zabrał go ze sobą do okręgowego szpitala. Hastings jak zwykle prowadził, a Ozzie wydawał polecenia przez radio. W poczekalni na drugim piętrze znaleźli cały klan Haileyów. Ciotki, wujowie, dziadkowie, przyjaciele i nieznajomi zebrali się w małej salce. Niektórzy czekali w wąskim korytarzu. Słychać było szepty i ciche popłakiwanie. Tonya była operowana.

Carl Lee siedział na taniej plastikowej kozetce w ciemnym rogu. Obok przycupnęła Gwen i chłopcy. Mężczyzna gapił się w podłogę i zachowywał tak, jakby nie dostrzegał tłumu. Gwen oparła głowę na jego ramieniu i cicho chlipała. Chłopcy siedzieli sztywno z rękami złożonymi na kolanach, co jakiś czas popatrując na ojca, jakby czekali na słowo otuchy.

Ozzie przedarł się przez ciżbę, w milczeniu wymieniając uściski dłoni, poklepując ludzi po plecach i szepcząc, że dopadnie sprawców. Uklęknął przed Carlem Lee i Gwen.

— Jak ona się czuje? — zapytał.

Carl Lee nie zauważył jego obecności. Gwen głośniej zaszlochała, a chłopcy pociągnęli nosem i otarli łzy. Poklepał Gwen po kolanie i wstał. Jeden z jej braci wyprowadził jego i Hastingsa na korytarz, z dala od rodziny. Podał Ozziemu rękę i podziękował za przyjście.

— Jak ona się czuje? — powtórzył Ozzie.

— Kiepsko. Operują ją. Pewnie trochę to potrwa. Ma połamane kości i poważne wstrząśnienie mózgu. Mocno ją poturbowali. Na szyi ma ślady oparzeń od sznura, jakby próbowali ją powiesić.

— Została zgwałcona? — spytał, choć znał odpowiedź.

— Taak. Powiedziała mamie, że gwałcili ją na zmianę. Bardzo ją skrzywdzili, Ozzie. Lekarze to potwierdzili.

— Jak się czują Carl Lee i Gwen?

— Fatalnie. Są zdruzgotani. Myślę, że przeżyli szok. Carl Lee nie odezwał się ani słowem od czasu, kiedy przyjechał do szpitala.

Ozzie zapewnił go, że znajdą sprawców. Że nie zajmie to dużo czasu, a kiedy już ich dopadną, zamkną w jakimś bezpiecznym miejscu. Brat zasugerował, że powinien umieścić drani w innym więzieniu dla ich własnego bezpieczeństwa.

⅄ ⅄ ⅄

Pięć kilometrów za Clanton Ozzie wskazał żwirową drogę.

— Skręć tutaj — powiedział Hastingsowi, który zjechał z autostrady i stanął na podwórku przed sfatygowanym domem na kółkach. Zapadał zmrok.

Ozzie sięgnął po policyjną pałkę i głośno zapukał do drzwi.

— Otwieraj, Bumpous!

Dom zadygotał, kiedy Bumpous ruszył do ubikacji, żeby spuścić w muszli nowego jointa.

— Bumpous, otwieraj! — Ozzie ponownie załomotał. — Wiem, że tam jesteś! Otwieraj, bo wyważę drzwi!

Bumpous otworzył i Ozzie wszedł do środka.

— Słuchaj Bumpous, zawsze, gdy cię odwiedzam, śmierdzi tu jakoś dziwnie, a z kibla dolatuje hałas spuszczanej wody. Załóż coś na plecy. Mam dla ciebie robotę.

— Co?!

— Wyjaśnię ci na zewnątrz, gdy będę mógł swobodnie oddychać. Pospiesz się, włóż coś na siebie.

— A jeśli odmówię?

— Jak chcesz. Jutro umówię cię z twoim kuratorem sądowym.

— Będę za minutkę.

Ozzie uśmiechnął się i ruszył do radiowozu. Bobby Bumpous był jednym z jego ulubieńców. Od czasu gdy dwa lata temu wyszedł warunkowo z pudła, prowadził względnie uczciwe życie, od czasu do czasu ulegając pokusie łatwego zarobku na sprzedaży narkotyków. Ozzie obserwował Bobby'ego niczym jastrząb i wiedział o jego transakcjach, a Bumpous wiedział, że Ozzie wie. Właśnie dlatego był taki skory, żeby pomóc swojemu przyjacielowi, szeryfowi Wallsowi. Plan, żeby wykorzystać Bumpousa do przyskrzynienia Billy'ego Raya Cobba za handel narkotykami, musiał chwilkę poczekać.

Po kilku minutach Bumpous posłusznie wydreptał z domu, wtykając koszulę do spodni i zapinając rozporek.

— Kogo szukasz tym razem? — zapytał.

— Billy'ego Raya Cobba.

— Nie ma sprawy. Przecież mógłbyś go znaleźć beze mnie.

— Zamknij się i posłuchaj! Sądzimy, że Cobb jest zamieszany w gwałt, do którego doszło dziś po południu. Czarna dziewczynka została zgwałcona przez dwóch białych. Myślę, że Cobb tam był.

— Cobb nie robi w tej branży, szeryfie. Handluje narkotykami,

zapomniałeś?

— Stul pysk i słuchaj. Znajdziesz Cobba i spędzisz z nim trochę czasu. Pięć minut temu widziano jego wóz obok knajpy Hueya. Postaw mu piwo. Zagrajcie w bilard albo kości, wszystko jedno. Dowiedz się, co dzisiaj robił. Z kim był? Dokąd pojechał? Wiesz, jaki facet jest rozmowny, prawda?

— Ano prawda.

— Zadzwoń do dyspozytora, kiedy go znajdziesz. Powiadomią mnie. Będę w pobliżu. Zrozumiałeś?

— Tak, szeryfie. Nie ma sprawy.

— Jakieś pytania?

— Taak. Jestem spłukany. Kto za to zapłaci?

Ozzie wręczył mu dwudziestkę i odszedł. Odjechał z Hastingsem w kierunku knajpy Hueya nad jeziorem.

— Jesteś pewny, że można mu zaufać? — spytał Hastings.

— Komu?

— Temu gnojkowi, Bumpousowi.

— Pewnie, że mu ufam. Jest bardzo wiarygodny od czasu, gdy wyszedł warunkowo z pudła. To dobry dzieciak i w zasadzie stara się podążać prostą drogą. Pomaga swojemu szeryfowi i zrobi wszystko, o co go poproszę.

— Dlaczego?

— Bo rok temu złapałem go z trzystoma gramami marychy. Był wtedy od roku na wolności, a ja dorwałem jego brata z trzydziestoma gramami trawy. Powiedziałem mu, że szkoda życia, a nie wygląda nawet na trzydzieści lat. Zaczął płakać. Płakał i mazał się w celi całą noc. Nad ranem skruszał i był gotowy do rozmowy. Wygadał, że towar dostał od swojego brata, Bobby'ego. Puściłem go i poszedłem pogadać z Bobbym. Zapukałem do drzwi i usłyszałem, jak spuszcza wodę w toalecie. Nie raczył podejść do drzwi, więc wyważyłem je kopnięciem. Znalazłem gościa w kiblu, próbującego spuścić towar w muszli. Wszędzie była marycha. Nie wiem, ile udało mu się spłukać,

ale większość wypłynęła, bo kibel się zatkał. Tak go wystraszyłem, że posikał się w portki.

— Żartujesz?

— Skądże. Dzieciak cały się obszczał. Stał w mokrych gaciach, z przepychaczem w jednej i towarem w drugiej ręce. A kibel był pełen towaru wyrzuconego przez wodę.

— Co zrobiłeś?

— Zagroziłem, że go zabiję.

— Jak zareagował?

— Zaczął płakać. Beczał jak dziecko. Chlipał coś o mamie i powrocie do pudła. O tym i o tamtym. Obiecał, że więcej tego nie zrobi.

— Aresztowałeś go?

— Nie. Nie byłem w stanie. Zbeształem go porządnie i jeszcze raz zagroziłem. Zrobiłem mu nadzór kuratorski na miejscu, w jego ubikacji. Od tej pory aż miło z nim pracować.

Przejechali obok knajpy Hueya i zobaczyli pick-upa Cobba stojącego na żwirowym podjeździe obok kilkunastu innych pick-upów i wozów z napędem na cztery koła. Zaparkowali radiowóz kawałek dalej, za murzyńskim kościołem na wzgórzu, skąd był dobry widok na knajpę, którą stali bywalcy czule nazywali „lokalem". Inny radiowóz ukrył się za drzewami z drugiej strony autostrady. Chwilę później na podjazd zajechał Bumpous. Zahamował gwałtownie, wzbijając tuman kurzu i grad kamieni, a następnie wycofał i zaparkował obok wozu Cobba. Rozejrzał się wokół i swobodnym krokiem wszedł do knajpy Hueya. Pół godziny później dyżurny powiadomił Ozziego, że informator odnalazł poszukiwanego białego mężczyznę w knajpie Hueya przy autostradzie 305 niedaleko jeziora. Po kilku minutach w pobliżu ukryły się dwa inne radiowozy. Czekali.

— Czemu jesteś taki pewny, że to Cobb? — spytał Hastings.

— Nie jestem. Mam przeczucie. Ta mała powiedziała, że pick-up miał błyszczące koła i wielkie opony.

— To zawęża grupę podejrzanych do jakichś dwóch tysięcy.

— Powiedziała też, że był żółty, wyglądał jak nowy i miał wielką flagę w tylnym oknie.

— No to mamy dwustu kandydatów.

— Może mniej. Ilu właścicieli to takie wredne typy, jak Billy Ray Cobb?

— A jeśli to nie on?

— On.

— A jeśli nie?

— Niebawem się przekonamy. Facet ma długi język, szczególnie gdy jest pijany.

Czekali dwie godziny, obserwując przyjeżdżające i odjeżdżające samochody. Kierowcy ciężarówek, drwale i robotnicy z fabryki oraz robotnicy rolni parkowali swoje pick-upy i jeepy na żwirze, a następnie szli do środka na drinka lub partyjkę bilardu, żeby posłuchać muzyki lub znaleźć jakąś chętną laskę. Niektórzy po chwili wychodzili i szli parę kroków dalej do Ann's Lounge, gdzie zabawiali jakiś czas, by po kilku minutach wrócić do Hueya. W barze Ann było nieco ciemniej, brakowało też kolorowych reklam piwa oraz muzyki na żywo, która powodowała, że lokal Hueya cieszył się u miejscowych takim wzięciem. W Ann's Lounge można było kupić narkotyki, ale w knajpie Hueya było wszystko — muzyka, kobiety, happy hours, automaty do pokera, kości, tańce i całe mnóstwo bójek. Jeden z konfliktów przeniósł się właśnie na parking. Kilku wściekłych wieśniaków kopało się i okładało pięściami na oślep, aż zeszła im para i wrócili do stolika z kośćmi.

— Mam nadzieję, że wśród nich nie było Bumpousa. — Szeryf westchnął.

Ubikacje w lokalu były ciasne i odrażające, dlatego większość klientów wolała sobie ulżyć między pojazdami na parkingu. Było tak szczególnie w poniedziałek, kiedy oferta piwa za dziesięć centów ściągała wsioków z czterech sąsiednich okręgów.

W poniedziałki każdy z samochodów stojących na parkingu zostawał przynajmniej trzykrotnie obsikany. Raz na tydzień jakiś Bogu ducha winny kierowca widział tam coś szokującego i Ozzie był zmuszony dokonać aresztowania. W przeciwnym razie się nie wtrącał.

W obu lokalach dochodziło do licznych naruszeń prawa. Uprawiano tam hazard, handlowano narkotykami, sprzedawano nielegalną whiskey, serwowano alkohol nieletnim i nie zamykano o czasie. Kiedy pierwszy raz wybrano go na szeryfa, popełnił błąd, częściowo z powodu lekkomyślnych obietnic wyborczych, że zamknie wszystkie speluny w okręgu. Skutek był taki, że liczba przestępstw wzrosła. Areszt pękał w szwach, a liczba spraw na wokandzie uległa zwielokrotnieniu. Okoliczne oprychy połączyły siły i pojechały wozami kempingowymi do Clanton, parkując na placu wokół gmachu sądu. Były ich setki. Co noc zaludniali plac, pijąc, urządzając bójki, słuchając głośnej muzyki oraz wykrzykując wyzwiska pod adresem przerażonych mieszkańców. Co rano plac przypominał składowisko odpadów, pełen był pustych puszek i butelek. Ozzie zamknął też knajpy, w których bywali czarni, a wtedy w ciągu jednego miesiąca liczba włamań, kradzieży z włamaniem i napadów z użyciem niebezpiecznego narzędzia uległa potrojeniu. Do tego dochodziły jeszcze dwa zabójstwa tygodniowo.

W końcu, gdy miasto znalazło się w istnym stanie oblężenia, grupa miejscowych duchownych spotkała się potajemnie z Ozziem, prosząc, żeby odpuścił knajpom. Grzecznie im przypomniał, że podczas wyborów nalegali, aby je zamknąć. Przyznali się do błędu i poprosili o złagodzenie zakazów. I obiecali, że udzielą mu wsparcia w kolejnych wyborach. Ozzie ustąpił, a życie w okręgu Ford powróciło do normy.

Nie był rad, że takie speluny spokojnie działają na jego podwórku, ale nie miał wątpliwości, że dzięki temu praworządni wyborcy są znacznie bezpieczniejsi.

O dziesiątej trzydzieści dyspozytor oznajmił przez radio, że informator jest na linii i chce się widzieć z szeryfem. Ozzie podał swoje położenie, a minutę później Bumpous wyszedł z lokalu i dowlókł się do swojego samochodu. Wóz skręcił koła, wyrzucił w górę żwir i ruszył w kierunku kościoła.

— Gość jest pijany — powiedział Hastings.

Bumpous objechał kościelny parking i stanął z piskiem opon, kilkanaście centymetrów od radiowozu.

— Siemanko, szeryfie! — wrzasnął.

Ozzie podszedł do jego pick-upa.

— Czemu tak długo?

— Powiedziałeś, że mam całą noc.

— Znalazłeś go dwie godziny temu.

— To prawda, szeryfie, ale czy próbowałeś kiedyś wydać dwadzieścia dolców na piwo, kiedy puszkę można kupić za pięćdziesiąt centów?

— Jesteś pijany?

— Skądże, po prostu dobrze się bawię. Mogę dostać kolejną dwudziestkę?

— Czego się dowiedziałeś?

— O czym?

— O Cobbie!

— Facet jest w środku, jak powiedziałeś.

— Wiem, że tam jest! Coś jeszcze?!

Bumpous przestał się uśmiechać i spojrzał na majaczącą w oddali knajpę.

— Kpił sobie, szeryfie, z tego. Miał niezły ubaw. Powiedział, że w końcu znalazł czarną, która jest dziewicą. Ktoś zapytał, ile miała lat, a Cobb na to, że osiem albo dziewięć. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Hastings zamknął oczy i zwiesił głowę. Ozzie zgrzytnął zębami i spojrzał w drugą stronę.

— Powiedział coś jeszcze?

— Jest porządnie wstawiony. Rano nie będzie niczego pamiętał. Powiedział, że była uroczą małą czarnulką.

— Kto z nim był?

— Pete Willard.

— Jest tam?

— Tak, obaj śmieją się z tego, co zaszło.

— Gdzie siedzą?

— Z lewej strony sali, obok automatów do flippera.

Ozzie się uśmiechnął.

— W porządku, Bumpous. Dobrze się spisałeś, a teraz spadaj.

Hastings zadzwonił do dyspozytora. Podał dwa nazwiska, a dyspozytor przekazał je Looneyowi, który czekał w radiowozie zaparkowanym przed domem Percy'ego Bullarda, sędziego okręgu. Looney zadzwonił do drzwi i wręczył sędziemu dwa oświadczenia złożone pod przysięgą i dwa nakazy aresztowania. Bullard podpisał nakazy i zwrócił je Looneyowi, który podziękował Wysokiemu Sądowi i grzecznie się oddalił. Dwadzieścia minut później oddał nakazy Ozziemu na tyłach kościoła.

Punktualnie o jedenastej kapela zamilkła w połowie piosenki, kości zniknęły ze stołów, tańczący zamarli, a bile przestały się toczyć po stołach. Ktoś włączył światło. Goście powiedli wzrokiem za potężnie zbudowanym szeryfem, który w towarzystwie swoich ludzi kroczył dumnie przez parkiet w stronę stolika obok automatów do flippera. Cobb, Willard i dwóch innych siedzieli w boksie wokół blatu pełnego pustych puszek po piwie. Ozzie podszedł do stolika i uśmiechnął się do Cobba.

— Pan wybaczy, ale nie wpuszczamy tu czarnych — wybełkotał Cobb, a czterej pozostali wybuchnęli śmiechem. Ozzie nie przestawał się uśmiechać.

Kiedy rechot ustał, Ozzie powiedział:

— Dobrze się bawisz, Billy Rayu?

— Ano tak.

— Na to mi wygląda. Nie lubię psuć ludziom zabawy, ale ty i Willard musicie ze mną pójść.

— Dokąd? — zaciekawił się Willard.

— Na przejażdżkę.

— Nie zamierzam się stąd ruszyć — uroczyście oświadczył Cobb. W tym momencie dwaj obcy, którzy z nimi siedzieli, czmychnęli, przyłączając się do tłumu gapiów.

— Aresztuję was obu — oznajmił Ozzie.

— Masz nakaz? — spytał Cobb.

Hastings wyciągnął dwa nakazy, a Ozzie rzucił je między puszki z piwem.

— Taak, mam nakaz na każdego z was. Wstawaj.

Willard spojrzał rozpaczliwie na Cobba, który wziął do ust łyk piwa i oświadczył:

— Nie pojadę do aresztu.

Na te słowa Looney podał Ozziemu najdłuższą i najczarniejszą pałkę, jakiej używali w okręgu Ford. Willard skamieniał ze strachu. Ozzie skinął pałką, uderzając w środek stolika i rozrzucając piwo, puszki oraz pianę na wszystkie strony. Willard skoczył na równe nogi i wyciągnął ręce w stronę Looneya, który już czekał z kajdankami. Wyciągnęli go na zewnątrz i wepchnęli do czekającego radiowozu.

Ozzie klepnął się pałką w lewą dłoń i uśmiechnął do Cobba.

— Masz prawo zachować milczenie. Wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie. Masz prawo do adwokata. Jeśli nie możesz sobie na niego pozwolić, zapewni go stan. Jakieś pytania?

— Taak. Która godzina?

— Pora jechać do pudła, koleś.

— Idź do diabła, czarnuchu!

Ozzie chwycił Cobba za włosy i wyciągnął z boksu, a następnie przycisnął mu twarz do podłogi. Docisnął plecy kolanem i wsunął pałkę pod gardło, ciągnąc w górę, a

jednocześnie mocniej wbijając kolano w grzbiet. Cobb zakwiczał, kiedy pałka zaczęła miażdżyć mu krtań.

Ozzie zapiął kajdanki i powlókł Cobba za włosy przez parkiet. Wyszli na zewnątrz, przeszli żwirowym parkingiem i Ozzie wepchnął Cobba na tylne siedzenie radiowozu obok Willarda.

Wiadomość o gwałcie rozeszła się lotem błyskawicy. Kolejni krewni i przyjaciele gromadzili się w szpitalu w poczekalni i sąsiednich korytarzach. Tonya wyjechała z sali operacyjnej. Jej stan określono jako krytyczny. Ozzie zamienił słówko z bratem Gwen, informując go o zatrzymaniu. Tak, to oni. Jest tego pewny.

Rozdział 3

Jake Brigance obrócił się na bok obok żony i powlókł do małej łazienki oddalonej kilka metrów od łóżka, macając w ciemności w poszukiwaniu dzwoniącego budzika. Odnalazł go tam, gdzie cholerstwo wczoraj zostawił, i uciszył szybkim, gwałtownym pacnięciem. Była piąta trzydzieści rano, środa, piętnasty maja.

Stał chwilę w ciemności, przerażony i bez tchu, z sercem bijącym jak oszalałe, gapiąc się na fosforyzujące cyfry lśniące na tarczy zegara, którego szczerze nienawidził. Jego przenikliwy alarm można było usłyszeć nawet na ulicy. Co rano balansował na krawędzi zawału, gdy ustrojstwo eksplodowało przeraźliwym dźwiękiem. Czasem, ze dwa razy w roku, udało mu się zepchnąć Carlę na podłogę, a wtedy ona wyłączała paskudztwo i wracała do łóżka, jednak zazwyczaj nie była tak wyrozumiała. Uważała, że mu odbiło, bo wstaje o tak wczesnej porze.

Budzik stał na parapecie, więc Jake musiał zrobić kilka kroków, zanim go wyłączył. Kiedy już wstał, nie pozwalał sobie na powrót do łóżka. Była to jedna z jego żelaznych zasad. Kiedyś budzik stał na nocnym stoliku, ale wtedy jego skuteczność

była obniżona. Carla wyciągała rękę i wyłączała dzwoniące draństwo, zanim Jake cokolwiek usłyszał. W rezultacie spał do siódmej lub ósmej, co rujnowało mu cały dzień. Teraz budzik czaił się w łazience i spełniał swoją funkcję.

Jake pochylił się nad umywalką, ochlapując twarz i włosy zimną wodą. Włączył światło i spojrzał z przerażeniem na obraz w lustrze. Jego proste brązowe włosy sterczały na wszystkie strony. Albo powiększyło mu się czoło, albo linia włosów cofnęła się przynajmniej o pięć centymetrów w ciągu nocy. Oczy miał matowe i opuchnięte, z białą wydzieliną w kącikach. Szew prześcieradła pozostawił jasnoczerwoną krechę z lewej strony twarzy. Dotknął jej i rozmasował, zastanawiając się, czy zniknie. Prawą ręką odgarnął czuprynę do tyłu i zbadał linię włosów. W wieku trzydziestu dwóch lat nie miał ani jednego siwego włosa. Jednak siwe włosy nie były problemem. Problemem było łysienie androgenowe, które Jake odziedziczył zarówno po rodzinie ojca, jak i matki. Marzył o zdrowych, gęstych włosach zaczynających się cztery centymetry nad brwiami. Carla powiedziała, że nadal ma dużo włosów, ale nie starczą mu na długo, jeśli będą wypadały w takim tempie. Zapewniła go także, że jest przystojny jak kiedyś. Oczywiście jej uwierzył. Wyjaśniła, że cofnięta linia włosów dodaje jego wyglądowi powagi, tak niezbędnej u młodego prawnika. Temu też dał wiarę.

Czy to samo można było powiedzieć o starych łysych prawnikach albo łysych kolegach w średnim wieku? Czemu włosy nie mogłyby odrosnąć, kiedy dorobi się zmarszczek i siwych baków, i będzie wyglądał bardzo poważnie?

Jake dumał o tym, stojąc pod prysznicem. Zwykle mył się szybko, golił i błyskawicznie ubierał. Musiał być w kawiarni Coffee Shop o szóstej rano — kolejna żelazna zasada. Zapalił światło i zaczął hałasować szufladami komody i drzwiami szafy, żeby obudzić Carlę. Latem, kiedy nie uczyła w szkole, był to ich poranny rytuał. Tłumaczył jej wiele razy, że ma cały dzień,

aby odespać, i że powinni spędzać razem poranne minuty. Carla jęknęła i zagrzebała się pod kołdrą. Zawsze kiedy już się ubrał, wchodził do łóżka na czworakach i całował ją w ucho, a później w szyję i twarz. W końcu odwracała się w jego stronę. Wreszcie ściągał z niej kołdrę i chichotał, gdy kuliła się z zimna, dygocząc i błagając o przykrycie. Trzymał kołdrę, podziwiając ciemne, opalone, zgrabne, niemal idealne nogi żony. Obszerna nocna koszula odsłaniała wszystko poniżej pasa, wielokrotnie budząc w jego głowie lubieżne myśli.

Raz w miesiącu jednak rytuał wymykał się spod kontroli. Carla nie protestowała i wspólnie ścielili łóżko. W takie poranki Jake rozbierał się jeszcze szybciej i łamał przynajmniej trzy kolejne zasady. W ten sposób poczęli Hannę.

Ale to nie był jeden z tych poranków. Przykrył żonę, czule ją pocałował i zgasił światło. Odetchnęła głębiej i zasnęła.

W korytarzu cicho otworzył drzwi do pokoju Hanny i uklęknął obok jej łóżeczka. Dziewczynka miała cztery lata. Była ich jedynym dzieckiem i tak miało pozostać. Spała słodko, otoczona lalkami i wypchanymi zwierzakami. Delikatnie pocałował ją w policzek. Hanna była piękna jak jej matka. Zachowywały się podobnie i miały podobne maniery. Miały duże niebieskie oczy, które w razie konieczności natychmiast wilgotniały od łez. Podobnie czesały czarne włosy, które strzygła ta sama osoba w tym samym czasie. Nawet ubierały się tak samo.

Uwielbiał swoje kobiety. Ucałował małą na pożegnanie i poszedł do kuchni, żeby zaparzyć kawę dla Carli. Po drodze wypuścił na podwórko kundelkę Max, która natychmiast sobie ulżyła i warknęła na kota sąsiadki, pani Pickle.

Niewielu ludzi rozpoczynało dzień tak energicznie jak Jake Brigance. Przeszedł sprężystym krokiem na koniec podjazdu i przyniósł Carli poranne gazety. Było jeszcze ciemno. Zapowiadał się pogodny, chłodny poranek wieszczący szybkie nadejście lata.

Spojrzał na pogrążoną w ciemności Adams Street, a następnie odwrócił się i z podziwem zlustrował budynek. Tylko dwie

nieruchomości w okręgu Ford figurowały w Krajowym Rejestrze Zabytków. Ich dom był jedną z nich. Mimo że miał obciążoną hipotekę, Jake był z niego dumny. Dziewiętnastowieczny, w stylu wiktoriańskim, został wzniesiony przez emerytowanego budowniczego linii kolejowych, który zmarł w pierwszą Wigilię spędzaną w nowym miejscu. Fasada była ogromna, miała szeroki frontowy ganek osłonięty czterospadowym dachem. Pod nim znajdował się mały portyk i przedsionek z wiatrownicą. Jego konstrukcja wspierała się na pięciu okrągłych kolumnach pomalowanych białą i szaroniebieską farbą. Każda z nich była ozdobiona innymi motywami kwiatowymi ręcznej roboty — żonkilami, irysami i słonecznikami. Poręcze łączące kolumny pokrywały bogate koronkowe zdobienia. Na piętrze znajdowały się trzy wykuszowe okna wychodzące na mały balkon, po jego lewej stronie wznosiła się ośmioboczna wieżyczka z witrażowymi oknami umieszczonymi nad dwuspadowym dachem i żelaznym kwiatonem. Pod wieżyczką, na lewo od przedsionka, rozciągała się szeroka elegancka weranda z ozdobnym zadaszeniem dla samochodów. Frontowe panele przypominały kolaż złożony z ozdobników, cedrowych gontów oraz miniaturowych wałeczków.

Carla skontaktowała się z konserwatorem w Nowym Orleanie i wybrała sześć oryginalnych kolorów — odcieni błękitu, zielononiebieskiego, brzoskwiniowego i białego. Malowanie zajęło dwa miesiące i kosztowało Jake'a pięć tysięcy dolarów, nie licząc godzin, które on i Carla spędzili, wisząc na drabinie i czyszcząc gzymsy. Chociaż niektóre kolory nie wzbudzały jego entuzjazmu, nigdy nie ośmielił się zaproponować, aby pomalować dom inaczej.

Dom był cudownie wyjątkowy, jak każdy budynek w stylu wiktoriańskim. Miał w sobie coś pikantnego, prowokacyjnego i uroczego, wypływającego z pomysłowego, radosnego, niemal dziecięcego podejścia do życia. Carla pragnęła go, jeszcze zanim się pobrali, a kiedy właścicielka zmarła w Memphis i rezydencja została zamknięta, kupili ją za bezcen, bo nikt inny nie chciał

jej wziąć. Domostwo stało puste przez dwadzieścia lat. Zapożyczyli się poważnie w dwóch z trzech banków w Clanton i spędzili trzy kolejne lata, pocąc się i hołubiąc swój zabytkowy obiekt. Dzisiaj ludzie specjalnie przejeżdżali obok i robili mu zdjęcia.

Trzeci z miejscowych banków kredytował samochód Jake'a, jedynego saaba w okręgu Ford. Na dodatek czerwonego. Jake otarł rosę z przedniej szyby i otworzył drzwi. Ujadanie Max spłoszyło całe stado modrosójek, które gnieździły się na klonie pani Pickle. Zaśpiewały dla niego i krzyknęły na pożegnanie, a on uśmiechnął się i zagwizdał w odpowiedzi. Wyjechał na Adams Street. Dwie przecznice dalej skręcił na południe w Jefferson, która dwie przecznice dalej przechodziła w Washington Street. Często zadawał sobie pytanie, czemu każde małe miasteczko Południa miało ulicę Adamsa, Jeffersona i Washingtona, ale ani jedno nie mogło się poszczycić ulicą Lincolna i Granta. Washington Street biegła ze wschodu na zachód, wzdłuż północnego boku głównego placu Clanton.

Ponieważ miasteczko było stolicą okręgu, musiało mieć plac, a na środku placu, rzecz oczywista, musiał się znajdować gmach sądu. Generał Clanton zaprojektował miasto po starannym namyśle, więc plac był długi i szeroki, a na trawniku przed sądem w równych odstępach rosły starannie wypielęgnowane potężne dęby. Sąd okręgu Ford liczył dobre sto kilkadziesiąt lat, bo zbudowano go, kiedy Jankesi spalili poprzedni. Budynek zwracał się dumnie na południe, jakby chciał powiedzieć tym z północy, że mogą go pocałować w dupę. Gmach sądu był stary i dostojny, z białymi kolumnami od frontu i czarnymi okiennicami okalającymi kilkanaście okien. Oryginalne czerwone cegły dawno temu pomalowano białą farbą, a co cztery lata członkowie męskiej drużyny skautów dodawali kolejną grubą warstwę lśniącej farby podczas tradycyjnej akcji letniej. Wyemitowanie na przestrzeni lat kilku serii obligacji pozwoliło na rozbudowanie i remont budynku. Trawnik wokół sądu był

czysty i starannie przystrzyżony. Ekipa z więzienia pielęgnowała go dwa razy w tygodniu.

W Clanton były trzy kawiarnie — dwie przeznaczone dla białych i jedna dla czarnych — które znajdowały się przy placu. Oczywiście nie było rzeczą nielegalną ani niesłychaną, żeby biali jedli u Claude'a, w kawiarni dla czarnych, w zachodniej części placu. Czarni mogli bezpieczne zjeść w Tea Shoppe, na południowym skraju, lub w Coffee Shop przy Washington Street. Nie robili tego, bo mówiono im, że przeniosą się w ten sposób do lat siedemdziesiątych. Co piątek Jake wpadał do Claude'a na potrawę z grilla, jak większość białych liberałów z Clanton, ale w pozostałe poranki regularnie jadał w Coffee Shop.

Zaparkował saaba przed swoim biurem przy Washington Street i przeszedł trzy numery dalej do Coffee Shop. Lokal, który otwierano godzinę wcześniej, huczał od gorącej krzątaniny. Kelnerki biegały po sali, roznosząc kawę i śniadanie, bez przerwy trajkocząc z farmerami, mechanikami i funkcjonariuszami z biura szeryfa, którzy byli stałymi klientami lokalu. Nie była to kawiarnia dla białych urzędników, którzy spotykali się nieco później, po drugiej stronie placu, w Tea Shoppe, dyskutując o krajowej polityce, tenisie, golfie i rynku papierów wartościowych. W Coffee Shop rozmawiano o lokalnej polityce, futbolu i łowieniu okoni. Jake był jednym z niewielu białych urzędników, którym pozwalano na częste tu bywanie. Był lubiany i akceptowany przez robotników, którzy wcześniej czy później trafiali do jego biura, żeby sporządzić testament, akt własności, przygotować pozew rozwodowy, prosić o obronę lub pomoc w rozwiązaniu jednego z tysiąca innych problemów. Wskazywali go palcami i opowiadali dowcipy o drańskich prawnikach, ale Jake nie zwracał na to uwagi. Prosili go, żeby wyjaśnił im przy śniadaniu orzeczenia Sądu Najwyższego lub inne prawne dziwolągi, a on udzielał w Coffee Shop darmowych porad prawnych. Umiał się przedrzeć przez szczegóły i dotrzeć do sedna każdej sprawy. Cenili go za to. Nie zawsze się z nim

zgadzali, ale zawsze dostawali uczciwą odpowiedź. Czasem Jake i jego klienci się kłócili, ale nigdy nie żywili do siebie urazy.

Jake wszedł do kawiarni o szóstej pięć, witając się ze wszystkimi, wymieniając uściski dłoni, poklepując po plecach i zabawiając obsługę. Kiedy usiadł przy swoim stoliku, jego ulubiona kelnerka, Dell, podała mu kawę i tradycyjne śniadanie złożone z grzanki, dżemu i kaszy kukurydzianej. Poklepała go po ręce, nazwała słodziutkim i kochasiem. Zawsze robiła wokół niego zamieszanie. Na innych biadoliła i prychała, ale Jake'a traktowała inaczej.

Zjadł śniadanie z Timem Nunleyem, mechanikiem z salonu Chevroleta, oraz dwoma braćmi, Billem i Bertem Westami, którzy pracowali w fabryce butów w północnej części miasta. Dodał trzy krople sosu tabasco do kukurydzy i zręcznie wymieszał z odrobiną masła, a następnie posmarował grzankę grubą na centymetr warstwą domowego dżemu z truskawek. Kiedy jedzenie zostało odpowiednio przygotowane, wypił łyk kawy i zabrał się do roboty. Jedli w ciszy, gadając o tym, jak biorą okonie.

W boksie przy oknie, kilka metrów dalej, siedziało trzech funkcjonariuszy z biura szeryfa, rozmawiając między sobą. Największy z nich, Prather, odwrócił się do Jake'a i głośno zapytał:

— Jake, czy kilka lat temu nie broniłeś Billy'ego Raya Cobba?

W kawiarni zapadła cisza. Wszyscy spojrzeli na prawnika. Zdumiony nie tyle pytaniem, co reakcją, którą wywołało, Jake przełknął kukurydzę i zaczął szukać w pamięci nazwiska.

— Billy Ray Cobb — powtórzył głośno. — A o co chodziło?

— O narkotyki — odrzekł Prather. — Cztery lata temu przyłapali gościa, jak je sprzedawał. Odsiedział kilka lat w Parchman i wyszedł na wolność rok temu.

Wtedy sobie przypomniał.

— Nie, nie reprezentowałem Cobba. Myślę, że miał prawnika z Memphis.

Zaspokoiwszy ciekawość, Prather wrócił do swoich naleśników. Jake czekał.

W końcu zapytał.

— Dlaczego spytałeś? Co zrobił tym razem?

— Wczorajszej nocy zgarnęli go za gwałt.

— Gwałt?!

— Taak, jego i Pete'a Willarda.

— Kogo zgwałcili?

— Pamiętasz tego czarnego Haileya, którego wybroniłeś w procesie o zabójstwo kilka lat temu?

— Lestera Haileya? Jasne, że pamiętam.

— Znasz jego brata, Carla Lee?

— Oczywiście. Znam wszystkich Haileyów. Reprezentuję większość z nich.

— Zgwałcili jego małą.

— Żartujesz?

— Nie.

— Ile ona ma lat?

— Dziesięć.

Jake stracił apetyt, choć atmosfera w kawiarni powróciła do normy. Patrzył na kawę i słuchał rozmowy, która przeskakiwała od łowienia ryb do japońskich samochodów, by ponowie wrócić do wędkarstwa. Kiedy bracia West wyszli, wślizgnął się do boksu i przysiadł do funkcjonariuszy z biura szeryfa.

— Jak się czuje? — spytał.

— Kto?

— Dziewczynka Haileyów.

— Kiepsko — odparł Prather. — Jest w szpitalu.

— Co się stało?

— Nie wiemy wszystkiego. Nie mogła mówić. Mama wysłała ją do sklepu. Mieszkają przy Craft Road, za sklepem spożywczym Batesa.

— Wiem.

— Jakimś sposobem wciągnęli ją do pick-upa Cobba i

zawieźli do lasu, a później zgwałcili.

— Obaj?

— Taak, po kilka razy. Później ją skopali i poturbowali. Była tak pobita, że niektórzy krewni jej nie rozpoznali.

Jake pokręcił głową.

— To chore.

— Pewnie. Najgorszy przypadek, jaki znamy. Próbowali ją zabić. A potem zostawili w lesie, żeby umarła.

— Kto ją znalazł?

— Kilku czarnych łowiących w strumieniu Foggy. Zauważyli ją na środku drogi. Miała ręce związane na plecach. Była przytomna. Powiedziała, kto jest jej tatą, więc zabrali ją do domu.

— Skąd wiesz, że to Billy Ray Cobb?

— Powiedziała mamie, że wciągnęli ją do żółtego pick-upa z flagą konfederatów w tylnym oknie. Ozzie nie potrzebował niczego więcej. Wykombinował to, kiedy mała trafiła do szpitala.

Prather pilnował się, żeby nie powiedzieć za dużo. Lubił Jake'a, ale facet był prawnikiem i prowadził wiele spraw karnych.

— Co za jeden, ten Pete Willard?

— Kumpel Cobba.

— Gdzie ich zgarnęli?

— W knajpie Hueya.

— Wszystko pasuje. — Jake wypił łyk kawy i pomyślał o Hannie.

— To chore, chore, chore... — mamrotał do siebie Looney.

— Jak się czuje Carl Lee?

Prather otarł syrop z wąsów.

— Nie znam faceta, ale nigdy nie słyszałem o nim złego słowa. Nadal są w szpitalu. Myślę, że Ozzie spędził z nimi noc. Dobrze ich zna. On zna wszystkich. Hastings jest spokrewniony z tą dziewczynką.

— Kiedy będzie przesłuchanie wstępne?

— Bullard wyznaczył je na dziś, na trzynastą. Mam rację, Looney?

Looney skinął głową.

— Wyznaczono kaucję?

— Jeszcze nie. Bullard zaczeka z tym do przesłuchania wstępnego. Jeśli mała umrze, zostaną oskarżeni o zabójstwo. Grozi za to kara śmierci, prawda?

Jake przytaknął.

— Nie można wyznaczyć kaucji w sprawie o zabójstwo zagrożone karą śmierci, prawda Jake? — spytał Looney.

— Można, ale nigdy o czymś takim nie słyszałem. Wiem, że Bullard się nie zgodzi, a nawet gdyby to zrobił, Cobba i Willarda nie byłoby stać na zapłacenie.

— Ile mogą dostać, jeśli dziewczynka nie umrze? — spytał Nesbit, trzeci funkcjonariusz z biura szeryfa.

Inni słuchali wyjaśnień Jake'a.

— Za gwałt dają dożywocie. Pewnie zostaną oskarżeni także o porwanie i czynną napaść.

— Już to zrobiono.

— W takim razie mogą dostać dwadzieścia lat za porwanie i dwadzieścia za czynną napaść.

— Taak, a ile z tego odsiedzą? — zapytał Looney.

Jake pomyślał chwilę.

— Po trzynastu latach mogą zostać zwolnieni warunkowo. Po siedmiu za gwałt, trzech za porwanie i trzech za czynną napaść. Zakładając, że zostaną skazani za wszystkie zarzucane czyny i otrzymają maksymalny wymiar kary.

— Co z Cobbem? Facet już siedział.

— Taak, ale nie jest recydywistą, jeśli nie został wcześniej dwukrotnie skazany.

— Trzynaście lat — powtórzył Looney, kiwając głową.

Jake wyjrzał przez okno. Plac budził się do życia. Pick-upy z owocami i warzywami parkowały wzdłuż chodnika, wokół trawnika przed sądem. Starzy farmerzy w wypłowiałych kombinezonach starannie rozkładali małe kosze z pomidorami, ogórkami i kabaczkami na tylnych klapach i maskach pick-upów.

Kiedy arbuzy z Florydy położono obok zakurzonych, zdartych opon, farmerzy udali się na poranne spotkanie pod pomnikiem bohaterów wojny w Wietnamie. Przysiadali na gałęziach, żując tabakę Red Man i strugając patyki, a jednocześnie plotkując o ostatnich wydarzeniach. Jake pomyślał, że pewnie gadają o gwałcie. Zrobiło się jasno, pora była iść do biura. Ludzie szeryfa skończyli śniadanie i Jake się pożegnał. Przytulił Dell, zapłacił rachunek i przez chwilę myślał o tym, żeby pojechać do domu i sprawdzić, jak się miewa Hanna.

Trzy minuty przed siódmą otworzył swoje biuro i włączył światło.

⅄ ⅄ ⅄

Carl Lee nie mógł zasnąć na kanapie w poczekalni. Tonya była w poważnym, ale stabilnym stanie. Zobaczyli ją o północy, lekarz ostrzegł ich, że dziecko kiepsko wygląda. Miał rację. Gwen pocałowała małą zabandażowaną twarzyczkę, a Carl Lee stał w nogach łóżka, pokorny, nieruchomy, niezdolny zrobić nic więcej, jak tylko patrzeć oczyma bez wyrazu na kruchą postać otoczoną przyrządami medycznymi, rurkami i gromadą pielęgniarek. Później Gwen dostała środek uspokajający i została odwieziona do domu swojej matki w Clanton, chłopcy zaś poszli do brata Gwen.

Około pierwszej ludzie się rozeszli, zostawiając Carla Lee na kanapie. O drugiej Ozzie przyniósł kawę i pączki i opowiedział Haileyowi wszystko, co wiedział o Cobbie i Willardzie.

⅄ ⅄ ⅄

Jake miał kancelarię po północnej stronie placu w rzędzie dwupiętrowych domów z oknami wychodzącymi na gmach sądu. Budynek został wzniesiony przez rodzinę Wilbanksów w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku, kiedy byli oni właścicielami niemal wszystkiego w okręgu Ford. Wilbanksowie prowadzili praktykę prawną od dnia, gdy sąd został wybudowany,

do 1979 roku, kiedy Luciena Wilbanksa pozbawiono uprawnień adwokackich. W domu obok pracował agent ubezpieczeniowy, którego Jake pozwał za naruszenie praw Tima Nunleya, mechanika z salonu Chevroleta. Po stronie zachodniej znajdował się bank, w którym miał kredyt na saaba. Oprócz banków wszystkie budynki stojące przy placu miały dwa piętra. Dom obok także zbudowali Wilbanksowie. Jak pozostałe miał dwa piętra. Tylko ten w południowo-wschodnim narożniku wznosił się na wysokość trzech pięter, najnowszy zaś, w południowo-zachodnim rogu, miał cztery.

Jake praktykował sam od 1979 roku, kiedy Wilbanks stracił uprawnienia adwokackie. Lubił ten styl pracy, a prócz tego w Clanton nie było innego prawnika, który byłby na tyle kompetentny, żeby praktykować razem z nim. W mieście mieszkało kilku dobrych prawników, ale większość pracowała dla firmy Sullivan, mieszczącej się w czteropiętrowym budynku należącym do banku. Jake nie cierpiał kancelarii Sullivana. Wszyscy prawnicy jej nie znosili, oprócz tych, którzy znaleźli w niej zatrudnienie. W sumie było ich ośmiu — w tym dwóch po Harvardzie. Ośmiu najbardziej nadętych i aroganckich cymbałów, jakich Jake spotkał w życiu. Reprezentowali zamożnych farmerów, banki, firmy ubezpieczeniowe, spółki kolejowe, wszystkich, którzy mieli forsę. Czternastu pozostałych prawników w okręgu zbierało okruchy i reprezentowało ludzi — żywe, oddychające ludzkie istoty, z których większość nie śmierdziała groszem. Byli „prawnikami ulicy” — żołnierzami w okopach pomagającymi rodakom, którzy znaleźli się w opałach. Jake czuł się dumny z tego, że jest „prawnikiem ulicy”.

Jego biuro było ogromne. Wykorzystywał jedynie pięć z dziesięciu pomieszczeń w budynku. Na dole mieściła się recepcja, duża sala konferencyjna, kuchnia, mniejszy składzik i rupieciarnia. Na górze Jake miał swój przestronny gabinet i mniejsze pomieszczenie biurowe, które nazywał pokojem wojennym. Nie było w nim okien, telefonów ani żadnych rzeczy

rozpraszających uwagę. Trzy pomieszczenia na górze i dwa na dole stały puste. Kiedyś zajmowała je prestiżowa firma Wilbanksów, na długo zanim stracili uprawnienia. Ogromny gabinet Jake'a miał dziewięć na dziewięć metrów, trzy metry wysokości i sufit wyłożony twardym drewnem. Do tego drewniana podłoga, ogromny kominek i trzy biurka — jego własne, małe biurko konferencyjne stało w jednym rogu, a sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem w drugim, pod portretem Williama Faulknera. Stare dębowe meble stały tam niemal od stu lat, podobnie jak książki i półki zajmujące jedną ścianę. Widok na plac i gmach sądu był doprawdy imponujący, a można go było dodatkowo poprawić, otwierając drzwi i wychodząc na mały balkon nad chodnikiem biegnącym wzdłuż Washington Street. Nie było wątpliwości, że Jake miał najokazalszą kancelarię w całym Clanton. Nawet jego zażarci wrogowie z firmy Sullivana gotowi byliby to przyznać.

Mimo całej okazałości i zajmowanej powierzchni Jake płacił zaledwie czterysta dolarów miesięcznie właścicielowi i poprzedniemu szefowi, Lucienowi Wilbanksowi, który stracił uprawnienia adwokackie w 1979 roku.

Przez całe dekady rodzina Wilbanksów rządziła okręgiem Ford. Byli dumni i zamożni, odgrywali czołową rolę w wielu dziedzinach, na przykład rolnictwie, bankowości, polityce, a szczególnie w prawie. Wszyscy mężczyźni z rodziny byli prawnikami wykształconymi na uczelniach Ivy League. Zakładali banki, kościoły, szkoły, a kilku sprawowało nawet urzędy publiczne. Przez wiele lat kancelaria Wilbanks & Wilbanks była najpotężniejszą i najbardziej prestiżową na północ od rzeki Missisipi.

Aż pojawił się Lucien. Był jedynym męskim potomkiem w ostatnim pokoleniu Wilbanksów. Miał siostrę i kilka siostrzenic, ale od nich oczekiwano jedynie tego, aby dobrze wyszły za mąż. Znacznie większe nadzieje wiązano z Lucienem, jednak już gdy był w trzeciej klasie, stało się jasne, że ostatni z

Wilbanksów jest inny. Odziedziczył kancelarię prawną w 1965 roku, kiedy jego ojciec i wuj zginęli w katastrofie lotniczej. Chociaż miał już wówczas czterdzieści lat, dopiero niedawno, kilka miesięcy przed ich śmiercią, ukończył korespondencyjne studia prawnicze. Jakimś cudem udało mu się zdać egzamin adwokacki. Kiedy przejął kontrolę nad firmą, klienci zaczęli odchodzić. Duzi klienci — firmy ubezpieczeniowe, banki i bogaci farmerzy — przeszli do nowo powstałej kancelarii Sullivana. Sullivan był młodszym wspólnikiem w firmie Wilbanksów, ale Lucien go wylał i wyeksmitował. Facet odszedł, zabierając ze sobą młodszych wspólników i większość klientów. Wtedy Lucien zwolnił pozostałych — współpracowników, sekretarki i aplikantów — wszystkich oprócz Ethel Twitty, ulubionej sekretarki swojego zmarłego ojca.

Ethel Twitty i John Wilbanks pozostawali wiele lat w bardzo zażyłych stosunkach. Ethel miała także syna, który bardzo przypominał Luciena. Biedak spędził większość życia w zakładach psychiatrycznych, a Lucien określał go żartobliwie mianem swojego opóźnionego w rozwoju brata. Po katastrofie samolotu opóźniony w rozwoju brat zjawił się w Clanton i zaczął rozgłaszać wszem wobec, że jest nieślubnym synem Johna Wilbanksa. Ethel czuła się upokorzona, ale nie miała na niego żadnego wpływu. W Clanton kipiało od skandalu. Kancelaria Sullivana wystąpiła w roli przedstawiciela opóźnionego w rozwoju brata, domagając się części rodzinnego majątku. Lucien wpadł w furię. Doszło do procesu, podczas którego Lucien energicznie bronił swojej czci oraz dumy i dobrego imienia rodziny. Równie energicznie występował w obronie ojcowskiego majątku, który odziedziczył razem z siostrą. Podczas rozprawy sąd zwrócił uwagę na zdumiewające podobieństwo Luciena i syna Ethel, który był od niego kilka lat młodszy. „Opóźnionego brata” strategicznie usadzono tak blisko Luciena, jak to było możliwe. Prawnicy Sullivana kazali mu chodzić, mówić, siedzieć i robić wszystko tak, jak Lucien.

Nawet ubrali go jak Luciena. Ethel i jej mąż zaprzeczyli, aby chłopak był spokrewniony z Wilbanksami, jednak sąd był innego zdania. Uznano go za dziedzica Johna Wilbanksa i nagrodzono jedną trzecią jego majątku. Lucien rzucił przekleństwo pod adresem sądu i zdzielił biednego chłopaka. Kiedy zaczął krzyczeć, wywleczono go z sali rozpraw i zabrano do więzienia. Decyzja sądu została cofnięta i oddalona po wniesieniu apelacji, ale Lucien zaczął się obawiać, że Ethel może zmienić swoją opowieść. Dlatego Ethel Twitty pozostała w kancelarii Wilbanksów.

Lucien był rad, kiedy firma została rozwiązana. Nie miał zamiaru praktykować prawa, jak jego przodkowie. Chciał być prawnikiem występującym w sprawach karnych, a klientela starej firmy była wyłącznie korporacyjna. Marzył o tym, żeby zajmować się gwałtami, morderstwami i przypadkami molestowania dzieci — odrażającymi sprawami, których nie chciał wziąć nikt inny. Chciał być prawnikiem specjalizującym się w prawach obywatelskich i cywilnych prawach procesowych. Jednak przede wszystkim pragnął być radykalnym, płomiennie radykalnym prawnikiem od niepopularnych spraw i precedensów, i zwracać na siebie dużo uwagi.

Zapuścił brodę, rozwiódł się z żoną, odszedł z Kościoła i sprzedał swoje udziały w ekskluzywnym ośrodku rekreacyjno-sportowym za miastem. Wstąpił do NAACP* i ACLU**, odszedł z rady nadzorczej banku i stał się istną plagą Clanton. Pozywał szkoły z powodu segregacji rasowej; gubernatora z powodu więzienia; miasto, bo nie chciało wybrukować ulic w dzielnicach zamieszkanych przez czarnych; bank, bo nie było w nim czarnoskórych kasjerów, oraz państwo za stosowanie kary śmierci. Pisał też pozwy przeciwko fabrykom, które nie uznawały organizacji związkowych. Występował i

---

* Krajowe Stowarzyszenie Postępu Ludzi Kolorowych.
** Amerykańska Unia na rzecz Praw Obywatelskich.

wygrał wiele spraw karnych, i to nie tylko w okręgu Ford. Stał się sławny i zyskał wielu zwolenników wśród czarnych, białej biedoty i członków kilku związków zawodowych w północnej części stanu Missisipi. Zajmował się też kilkoma lukratywnymi przypadkami naruszenia dóbr osobistych i niesłusznie wydanymi wyrokami śmierci. Kilka razy udało mu się uzyskać przyzwoite odszkodowanie. Firma, on i Ethel prosperowali lepiej niż kiedykolwiek. Lucien nie potrzebował pieniędzy. Urodził się jako człowiek bogaty i nigdy nie myślał o forsie. To Ethel zajmowała się księgowością.

Prawo było jego życiem. Nie mając rodziny, stał się pracoholikiem. Pracował po piętnaście godzin dziennie, siedem dni w tygodniu. Prowadził praktykę z ogromną pasją. Nie miał innych zainteresowań z wyjątkiem alkoholu. Pod koniec lat sześćdziesiątych zapałał wielką sympatią do jacka danielsa. Na początku lat siedemdziesiątych był już pijakiem, a kiedy zatrudnił Jake'a w 1978 — całkowicie uzależnionym alkoholikiem. Mimo to nigdy nie pozwolił, żeby gorzała przeszkadzała mu w pracy. Nauczył się jednocześnie pić i pracować. Lucien był zawsze wstawiony, a w tym stanie stawał się niebezpiecznym prawnikiem. Odważny i szorstki z natury, kiedy się upił, był naprawdę przerażający. Podczas procesu onieśmielał przeciwników, znieważał sędziego, znęcał się nad świadkami, a później przepraszał ławę przysięgłych. Nie miał szacunku dla nikogo i nie dawał się zastraszyć. Ludzie się go bali, bo mógł powiedzieć i zrobić dosłownie wszystko. Wszyscy chodzili wokół niego na paluszkach. Wiedział o tym i to uwielbiał. Stawał się coraz bardziej ekscentryczny. Im więcej pił i wariował, tym więcej ludzie o nim gadali, dlatego pił jeszcze bardziej.

W okresie od 1966 do 1978 roku Lucien zatrudnił i zwolnił jedenastu współpracowników. Brał do firmy czarnych, Żydów, Latynosów i kobiety, ale nikt nie wytrzymywał tempa, które narzucał. W biurze był tyranem, stale przeklinającym i poniżającym młodych prawników. Niektórzy odeszli po miesiącu.

Jeden wytrwał dwa lata. Najtrudniej było zaakceptować jego wariackie zachowanie. Facet miał pieniądze i było go stać na ekscentryczność, a wspólnicy ich nie posiadali.

Jake przyszedł do niego zaraz po studiach, w roku 1978. Pochodził z Karaway, małego miasteczka oddalonego ponad czterysta kilometrów od Clanton. Miał schludny wygląd i konserwatywne poglądy, był religijnym prezbiterianinem z ładną żoną, która chciała mieć dzieci. Lucien zatrudnił go, żeby sprawdzić, czy zdoła go skorumpować. Jake przyjął robotę z dużym wahaniem, bo nie miał innych propozycji bliżej domu.

Rok później Lucien został wykluczony z palestry. Dla nielicznych, którzy go lubili, było to prawdziwą tragedią. Mały związek zawodowy z fabryki butów w północnej części miasta ogłosił strajk. Ten sam, który został założony przez Luciena i był przez niego reprezentowany. Kiedy firma zaczęła zatrudniać nowych robotników, żeby zastąpić strajkujących, doszło do rękoczynów. Lucien pojawił się w kordonie związkowców pikietujących fabrykę, aby zmobilizować ludzi. Był bardziej pijany niż zwykle. Kiedy grupka łamistrajków próbowała przekroczyć linię pikietujących, doszło do bijatyki. Lucien poprowadził atak, po którym został zatrzymany i trafił do aresztu. Sąd w Clanton skazał go za napaść, naruszenie nietykalności osobistej i zakłócanie porządku publicznego. Lucien dwukrotnie zgłosił apelację i przegrał.

Po latach Okręgowa Rada Adwokacka miała dość jego wybryków. Na żadnego adwokata w stanie nie było tyle skarg, co na Luciena Wilbanksa. Otrzymał prywatną i publiczną naganę, był zawieszony w prawach, ale wszystko na próżno. Sąd koleżeński i komitet dyscyplinarny podjęły energiczne działania. Lucien został zawieszony w prawach wykonywania zawodu i wykluczony z palestry za skandaliczne zachowanie. Tu także dwukrotnie zgłosił apelację i przegrał.

Był zdruzgotany. Kiedy z Jackson nadeszła wiadomość, że Sąd Najwyższy podtrzymał decyzję Rady, Jake znajdował się

z Lucienem w wielkim gabinecie na górze. Lucien odłożył słuchawkę i podszedł do drzwi balkonowych, z których rozciągał się widok na plac. Jake uważnie go obserwował, czekając na kąśliwą tyradę, ale Wilbanks nie powiedział ani słowa. Zszedł wolno po schodach, zatrzymał się na dole, spojrzał na płaczącą Ethel, a następnie podniósł wzrok na Jake'a.

— Zatroszcz się o to miejsce. Zobaczymy się później.

Podbiegli do okna i patrzyli, jak odjeżdża swoim sfatygowanym starym porsche. Przez kilka miesięcy nie dał znaku życia. Jake zajmował się pilnie sprawami Luciena, a Ethel pilnowała, żeby kancelaria nie pogrążyła się w chaosie. Kilka spraw udało się załatwić polubownie, kilka powędrowało do innych prawników, a niektóre trafiły na wokandę.

Kiedy pół roku później Jake wrócił do biura po długim dniu w sądzie, zastał Luciena śpiącego na perskim dywanie w swoim dużym gabinecie.

— Lucien! Dobrze się czujesz? — zapytał.

Lucien zerwał się z podłogi i usiadł w wielkim skórzanym fotelu za biurkiem.

— Witaj, Jake! Jak się miewasz, chłopcze? — spytał serdecznie.

— W porządku, zwyczajnie w porządku. Gdzie byłeś?

— Na Kajmanach.

— Co robiłeś?

— Piłem rum, wylegiwałem się na plaży i uganiałem za miejscowymi dziewczynami.

— Brzmi całkiem nieźle. Czemu wróciłeś?

— Zaczęło mnie to wszystko nudzić.

Jake usiadł na biurku.

— Cieszę się, że cię widzę, Lucienie.

— Ja też jestem rad, Jake. Co słychać w firmie?

— Mamy urwanie głowy, ale jest w porządku, jak sądzę.

— Doprowadziłeś do ugody z Medleyem?

— Taak. Zapłacili osiemdziesiąt tysięcy.

— Doskonale. Był zadowolony?

— Tak, odniosłem takie wrażenie.

— A Cruger? Poszedł do sądu?

Jake spojrzał w podłogę.

— Nie, zatrudnił Fredrixa. Myślę, że w przyszłym miesiącu sprawa trafi na wokandę.

— Powinienem był z nim pogadać przed wyjazdem.

— Jest winny, prawda?

— Jak cholera. Nie ma znaczenia, kto go reprezentuje. Większość oskarżonych jest winna. Zapamiętaj to sobie. — Lucien podszedł do balkonowych drzwi i spojrzał na budynek sądu. — Jakie masz plany, Jake?

— Chciałbym tu zostać. A ty, co planujesz?

— Porządny z ciebie facet, Jake. Chcę, żebyś został. Jeśli o mnie chodzi, nie mam pojęcia. Myślałem o tym, żeby się przeprowadzić na Karaiby, jednak tego nie zrobię. Miło wpaść tam na chwilę, ale to miejsce się zestarzało. Szczerze mówiąc, nie mam żadnych planów. Może będę podróżował po świecie. Wydam trochę forsy. Mam kupę szmalu, wiesz?

Jake przytaknął. Lucien odwrócił się i wskazał ręką gabinet.

— Chcę, żebyś miał to wszystko, Jake. Chcę, abyś został i stwarzał pozory, że firma nadal funkcjonuje. Przenieś się do tego gabinetu. Używaj biurka, które mój dziadek przywiózł z Wirginii po wojnie secesyjnej. Zatrzymaj dokumenty, sprawy, klientów, książki. Wszystko.

— Jesteś bardzo szczodry, Lucienie.

— Większość klientów odejdzie. To nie twoja wina... pewnego dnia będziesz świetnym prawnikiem, ale większość moich klientów jest ze mną od lat...

Jake nie chciał większości jego klienteli.

— A czynsz?

— Płać mi tyle, ile będziesz mógł. Początkowo będziesz miał mało forsy, ale dasz sobie radę. W przeciwieństwie do ciebie nie potrzebuję pieniędzy.

— To bardzo uprzejmie z twojej strony.

— A widzisz? Jestem naprawdę miłym facetem.

Obaj roześmiali się niezręcznie. Jake zamilkł pierwszy.

— Co z Ethel?

— Sam zdecyduj. Ethel to dobra sekretarka. Zapomniała więcej przepisów, niż ty kiedykolwiek się nauczysz. Wiem, że jej nie lubisz, ale trudno będzie ją zastąpić. Jeśli chcesz, możesz ją zwolnić. Wszystko mi jedno.

Po tych słowach Lucien ruszył do drzwi.

— Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebował. Będę w pobliżu. Chcę, żebyś się wprowadził do gabinetu. Należał do mojego ojca i dziadka. Zapakuj moje graty do paru pudeł. Później po nie przyjadę.

⅄ ⅄ ⅄

Cobb i Willard obudzili się z bolącymi łbami i spuchniętymi oczyma. Ozzie darł się na nich. Byli sami w małej celi. Przez kraty po prawej widać było celę, w której trzymano więźniów stanowych czekających na podróż do Parchman. Kilkunastu czarnych trzymało za kraty i gapiło gniewnie na dwóch białasów, którzy przecierali oczy. Z lewej była mniejsza cela, także pełna czarnuchów. „Obudźcie się — zawołał Ozzie — i zamknijcie gęby, bo przeniosę was do celi dla Murzynów!”.

⅄ ⅄ ⅄

Jake miał spokój od siódmej do ósmej trzydzieści, kiedy przyjeżdżała Ethel. Zazdrośnie strzegł swojego czasu. Zamykał frontowe drzwi, nie odbierał telefonów i nie przyjmował wizyt. Skrupulatnie planował dzień. O ósmej trzydzieści miał już tyle notatek do podyktowania, żeby Ethel była zajęta i siedziała cicho do południa. O dziewiątej był w sądzie lub spotykał się z klientami. Nie przyjmował wizyt przed jedenastą, metodycznie odpowiadając na poranne wiadomości. Co do jednej. Nigdy nie odkładał rozmowy telefonicznej. Była to kolejna z jego zasad.

Jake pracował systematycznie i skutecznie, starając się nie marnować czasu. Trzeba dodać, że nie nauczył się tego od Luciena.

O ósmej Ethel zaczęła hałasować na dole. Zaparzyła kawę i otworzyła listy, jak zwykle od czterdziestu jeden lat. Sama miała sześćdziesiąt cztery lata, ale wyglądała na pięćdziesiąt. Była pulchna, ale nie otyła. Zadbana, ale nie atrakcyjna. Jadła przyniesioną z domu bułkę z tłustą kiełbasą i czytała pocztę Jake'a.

Usłyszał jakieś głosy. Ethel rozmawiała z inną kobietą. Zajrzał do notesu z umówionymi spotkaniami. Nie miał w terminarzu niczego przed dziesiątą.

— Dzień dobry, panie Brigance — zgłosiła się przez interkom Ethel.

— Witaj, Ethel.

Sekretarka wolała, żeby zwracał się do niej „pani Twitty". Lucien i inni tak ją nazywali, ale Jake mówił do niej „Ethel" od czasu, kiedy zwolnił ją na krótko po wykluczeniu Luciena z palestry.

— Jakaś pani chciałaby się z panem widzieć.

— Nie była umówiona.

— Wiem, proszę pana.

— Umów ją na jutro, po dziesiątej trzydzieści. Jestem zajęty.

— Wiem, proszę pana, ale ona mówi, że to pilna sprawa.

— Któż to taki?! — prychnął.

Ci, którzy nie byli umówieni, zawsze twierdzili, że mają pilną sprawę, jakby wpadli do domu pogrzebowego lub samoobsługowej pralni. Pewnie miała jakieś pilne pytanie dotyczące testamentu wuja Luke'a lub sprawy, która miała trafić na wokandę za trzy miesiące.

— Pani Willard — odrzekła Ethel.

— Jak ma na imię?

— Earnestine. Earnestine Willard. Wiem, że pan jej nie zna. Syn pani Willard został aresztowany.

Jake nigdy się nie spóźnił na umówione spotkanie, ale z niezapowiedzianymi wizytami była inna sprawa. Ethel spławiała natrętów lub umawiała spotkanie na następny dzień. Pan Brigance jest bardzo zajęty, tłumaczyła, ale może się z panem spotkać pojutrze. Ludzie byli pod wrażeniem.

— Powiedz jej, że nie jestem zainteresowany.

— Mówi, że musi znaleźć prawnika. Jej syn ma stanąć przed sądem dziś o trzynastej.

— Niech idzie do Drew Jacka Tyndale'a. To obrońca z urzędu. Jest dobry i nic nie kosztuje.

Ethel przekazała jego odpowiedź.

— Panie Brigance, ona chce wynająć pana. Ktoś jej powiedział, że jest pan najlepszym adwokatem od spraw karnych w okręgu. — W głosie Ethel dało się słyszeć wyraźną nutkę rozbawienia.

— Powiedz jej, że to prawda, ale mimo to nie jestem zainteresowany.

Ozzie skuł Willarda i zaprowadził korytarzem do swojego biura w przedniej części aresztu. Kiedy dotarli na miejsce, zdjął mu kajdanki i posadził na drewnianym krześle pośrodku ciasnego pokoju. Sam usiadł w wielkim fotelu za biurkiem i spojrzał na zatrzymanego.

— Panie Willard, to jest porucznik Griffin z policji drogowej Missisipi, a to śledczy Rady z mojego biura oraz funkcjonariusze Looney i Prather, których miał pan przyjemność poznać wczorajszej nocy, choć nie sądzę, żeby ich pan zapamiętał. Ja jestem szeryf Walls.

Willard nerwowo szarpnął głową, z lękiem spoglądając na każdego z obecnych. Był osaczony. Zamknięto drzwi. Na skraju biurka szeryfa stały dwa telefony.

— Chcielibyśmy zdać panu kilka pytań, dobrze?

— Sam nie wiem.

— Zanim zaczniemy, chcę, żeby zrozumiał pan swoje prawa. Po pierwsze, ma pan prawo zachować milczenie. Czy to jasne?

— No.

— Jeśli nie wyrazi pan zgody, nie będę z panem rozmawiał. Wszystko, co pan powie, może zostać wykorzystane w sądzie przeciwko panu. Jasne?

— Taak.

— Potrafi pan czytać i pisać?

— No.

— To dobrze. Niech pan przeczyta i podpisze w tym miejscu. Napisano tu, że powiadomiliśmy pana o jego prawach.

Willard złożył podpis. Ozzie wcisnął czerwony przycisk jednego z magnetofonów.

— Rozumie pan, że magnetofon został włączony, prawda?

— Aha.

— Jest środa, piętnasty maja, ósma czterdzieści trzy rano.

— Skoro pan tak mówi.

— Proszę podać pełne imię i nazwisko.

— James Louis Willard.

— A jak na pana mówią?

— Pete. Pete Willard.

— Adres?

— Lake Village, przy Szóstce. Skrzynka pocztowa czternaście, stan Missisipi.

— Nazwa ulicy?

— Bethel, Bethel Road.

— Z kim pan mieszka?

— Z matką. Earnestine Willard. Jestem rozwiedziony.

— Zna pan Billy'ego Raya Cobba?

Willard zawahał się i spojrzał na swoje stopy. Buty zostały w celi. Jego białe skarpety były brudne, a przez dziury sterczały dwa paluchy. Bezpieczne pytanie, pomyślał.

— Taak, znam gościa.

— Był pan z nim wczoraj?

— Aha.
— Gdzie?
— Nad jeziorem.
— O której godzinie pan wyjechał?
— Około trzeciej.
— Jaki samochód pan prowadził?
— Nie prowadziłem.
— Jakim samochodem pan jechał?
Chwila wahania. Willard przyjrzał się uważnie swoim paluchom.
— Nie mam ochoty więcej gadać.
Ozzie nacisnął przycisk i szpule magnetofonu przestały wirować. Westchnął ciężko i spojrzał na Willarda.
— Siedziałeś w Parchman?
Willard pokręcił głową.
— Wiesz, ilu czarnych siedzi w Parchman?
Willard ponownie pokręcił głową.
— Będzie z pięć tysięcy. A wiesz, ilu mają tam białych?
— Nie.
— Jakiś tysiąc.
Willard zwiesił brodę na pierś. Ozzie dał mu chwilę na zastanowienie, a później mrugnął w kierunku sierżanta Griffina.
— Masz pojęcie, co ci czarni robią z białasem, który zgwałcił małą czarną dziewczynkę?
Bez odpowiedzi.
— Poruczniku Griffin, proszę powiedzieć panu Willardowi, jak w Parchman traktują białasów.
Griffin podszedł do biurka Ozziego i przysiadł na krawędzi. Spojrzał na Willarda.
— Pięć lat temu młody biały mężczyzna z okręgu Helena, w rejonie Delty, zgwałcił czarną dziewczynkę. Miała dwanaście lat. Kiedy dotarł do Parchman, już na niego czekali. Wiedzieli, że do nich jedzie. Pierwszej nocy trzydziestu czarnych przywiązało go do dwustupięćdziesięciolitrowej beczki i biło

po kolei. Strażnicy patrzyli i się śmiali. W Parchman nie ma litości dla gwałcicieli. Katowali go noc w noc, przez trzy miesiące, a później zabili. Znaleziono go wykastrowanego, wepchniętego do beczki.

Willard skrzywił się boleśnie, odrzucił głowę i ciężko westchnął do sufitu.

— Posłuchaj, Pete — podjął Ozzie. — Nie chodzi nam o ciebie. Chcemy Cobba. Próbujemy go dorwać od czasu, gdy wyszedł z Parchman. Bardzo nam na nim zależy. Jeśli nam pomożesz, odwdzięczę się tak, jak zdołam. Nie mogę ci niczego obiecać, ale ja i prokurator okręgowy współpracujemy ze sobą. Opowiedz nam, co zaszło.

— Chcę prawnika — powiedział Willard.

Ozzie spuścił głowę i jęknął.

— Na co ci prawnik, Pete? Czy prawnik obroni cię przed czarnymi? Próbuję ci pomóc, a ty rżniesz cwaniaka.

— Powinieneś posłuchać szeryfa, chłopcze. Szeryf Walls próbuje ocalić ci życie — podpowiedział uczynnie Griffin.

— Może uda ci się wykręcić kilkoma latami odsiadki w naszym więzieniu — dodał Rady.

— Tu jest znacznie bezpieczniej niż w Parchman — przytaknął Prather.

— Musisz zdecydować, Pete — ciągnął Ozzie. — Możesz umrzeć w Parchman albo zostać tutaj. Jeśli będziesz się starał, może nawet zrobię cię uprzywilejowanym więźniem.

Willard zwiesił głowę i potarł skronie.

— Dobrze, dobrze.

Ozzie wcisnął czerwony przycisk.

— Gdzie znaleźliście dziewczynkę?

— Na szutrowej drodze.

— Jakiej drodze?

— Skąd mam wiedzieć? Byłem pijany.

— Dokąd ją zabraliście?

— Nie mam pojęcia.

— Byłeś tylko ty i Cobb?
— Taak.
— Kto ją zgwałcił?
— Obaj. Billy Ray zrobił to pierwszy.
— Ile razy?
— Nie pamiętam. Paliłem trawkę i piłem.
— Obaj ją zgwałciliście?
— Taak.
— Gdzie ją zostawiliście?
— Nie pamiętam. Przysięgam, że nic nie pamiętam.
Ozzie wcisnął kolejny przycisk.
— Przepiszemy zeznanie i podpiszesz.
Willard pokręcił głową.
— Tylko nie mówcie Billy'emu.
— Nie powiemy — obiecał szeryf.

Rozdział 4

Percy Bullard wiercił się nerwowo w skórzanym fotelu stojącym za ogromnym sfatygowanym dębowym biurkiem w gabinecie sędziowskim za salą rozpraw, w której zebrał się tłum, aby poznać szczegóły gwałtu. W małym pokoiku obok prawnicy zgromadzili się wokół automatu do kawy, plotkując o tym, co zaszło.

Mała czarna toga Bullarda wisiała w rogu obok okna, które wychodziło na północ, na Washington Street. Na nogach miał ciągle buty do joggingu. Był niskim nerwowym człowieczkiem, który martwił się zarówno każdym przesłuchaniem wstępnym, jak i samym procesem. Chociaż od trzynastu lat pracował jako sędzia, nadal nie potrafił się zrelaksować. Na szczęście nie musiał rozpatrywać poważniejszych spraw, bo te trafiały do sądu obwodowego. Bullard był sędzią okręgowym, który osiągnął szczyt swoich możliwości.

Pan Pate, wiekowy urzędnik sądowy, zapukał do drzwi.

— Wejść! — burknął Bullard.

— Dzień dobry, panie sędzio.

— Ilu czarnych przyszło? — spytał opryskliwie Bullard.

— Będzie połowa sali.

— Sto osób?! Czemu podobnego zainteresowania nie wzbudza porządny proces o zabójstwo? Czego chcą?

Pan Pate pokręcił głową.

— Pewnie myślą, że będziemy rozpatrywali sprawę tych dwóch!

— Może są po prostu zatroskani — odrzekł łagodnie pan Pate.

— Zatroskani? Czym? Nie wypuszczę ich na wolność. To przesłuchanie wstępne. — Zamilkł i spojrzał w okno. — Są członkowie rodziny?

— Tak sądzę. Rozpoznałem kilku z nich, ale nie znam rodziców dziewczynki.

— Jak tam z ochroną?

— Szeryf ściągnął wszystkich funkcjonariuszy i rezerwy w pobliże sali rozpraw. Obszukaliśmy wszystkich przed wejściem.

— Znaleźliście coś?

— Nie, proszę pana.

— Gdzie są ci chłopcy?

— Pod opieką szeryfa. Będą tu lada chwila.

Sędzia wydawał się usatysfakcjonowany. Pan Pate położył na biurku skreśloną odręcznie notatkę.

— Co to takiego?

Pan Pate westchnął głęboko.

— Ekipa telewizyjna z Memphis prosi o pozwolenie na filmowanie przesłuchania.

— Co?! — Twarz Bullarda poczerwieniała. Zakołysał się gwałtownie w obrotowym fotelu. — Kamery?! — ryknął. — W moim sądzie?! — Podarł kartkę i cisnął skrawki papieru w kierunku śmietniczki. — Gdzie oni są?

— W rotundzie.

— Każ ich wyprowadzić z sądu!

Pan Pate szybko wyszedł z pokoju.

Carl Lee Hailey siedział w przedostatnim rzędzie. Otaczała go cała gromada krewnych i przyjaciół, którzy obsiedli wyściełane

ławki po prawej stronie sali rozpraw. Ławki z lewej były puste. Wokół kręcili się ludzie z biura szeryfa, uzbrojeni i pełni obaw, nerwowo obserwując grupkę czarnych, a szczególne Carla Lee, który siedział pochylony, z łokciami na kolanach, wpatrując się tępym wzrokiem w podłogę.

Jake wyglądał przez swoje okno w kierunku placu, na tył gmachu sądu, który był zwrócony na południe. Dochodziła trzynasta. Jak zwykle darował sobie lunch i nie miał niczego do załatwienia na mieście, ale chciał się przewietrzyć. Cały dzień nie wychodził na dwór i choć nie miał ochoty wysłuchiwać szczegółów gwałtu, był zły, że ominie go przesłuchanie wstępne. Na sali sądowej musiało być tłoczno, bo wokół placu nie było ani jednego wolnego miejsca do parkowania. Garstka dziennikarzy i reporterów czekała niespokojnie z tyłu budynku, obok drewnianych drzwi, którymi mieli wejść Cobb i Willard.

Areszt był oddalony dwie przecznice od placu i znajdował się przy autostradzie. Ozzie prowadził radiowóz, a Cobb i Willard siedzieli na tylnej kanapie. Kolumna składająca się z jego samochodu i dwóch radiowozów obstawy, jednego z przodu i drugiego z tyłu, skręciła z Washington Street w krótki podjazd prowadzący pod werandę sądu. Sześciu funkcjonariuszy przeprowadziło oskarżonych przez szpaler reporterów do wejścia, a następnie powiodło schodami do małego pokoju przylegającego do sali rozpraw.

Jake chwycił płaszcz, zignorował Ethel i pognał przez ulicę. Wbiegł tylnymi schodami, przeszedł krótkim korytarzem obok pokoju przysięgłych i wpadł do sali rozpraw w chwili, gdy pan Pate odprowadzał Bullarda do ławy sędziowskiej.

— Wstać! Sąd idzie! — zakrzyknął pan Pate. Wszyscy powstali. Bullard podszedł do swojego fotela i usiadł.

— Proszę usiąść! — krzyknął. — Gdzie są oskarżeni? No gdzie? Wprowadzić na salę!

Cobba i Willarda wprowadzono z małego pokoju dla zatrzymanych. Byli skuci kajdankami, nieogoleni, wymięci,

brudni i zagubieni. Willard rzucił okiem na dużą grupę czarnych, a Cobb odwrócił się do nich plecami. Looney zdjął im kajdanki i posadził obok Drew Jacka Tyndale'a, obrońcy z urzędu, za długim stołem. Obok stał długi stół prokuratora okręgu, Rocky'ego Childersa, który robił notatki i udawał ważnego.

Willard ponownie spojrzał przez ramię na czarnych. W pierwszym rzędzie tuż za nim siedziały jego matka i matka Cobba w towarzystwie ludzi z biura szeryfa, którzy mieli zapewnić im ochronę. Cobb nie zechciał się odwrócić.

Siedzący w przedostatnim rzędzie, trzydzieści metrów dalej Carl Lee podniósł głowę i spojrzał na plecy mężczyzn, którzy zgwałcili jego córkę. Niechlujni, brudni i brodaci obcy. Zasłonił twarz dłonią i się pochylił. Ludzie szeryfa stojący za Haileyem obserwowali każdy jego ruch.

— Posłuchajcie! — huknął Bullard. — To przesłuchanie wstępne, a nie rozprawa. Jego celem jest ustalenie, czy istnieją wystarczające dowody popełnienia przestępstwa, aby postawić tych oskarżonych przed Wielką Ławą Przysięgłych. Oskarżeni mogą zrezygnować ze wstępnego przesłuchania, jeśli tego chcą.

Tyndale wstał.

— Nie, Wysoki Sądzie. Chcemy, żeby przesłuchanie wstępne się odbyło.

— Dobrze. Mam tu kopię oświadczeń złożonych pod przysięgą, w obecności szeryfa Wallsa, że obaj oskarżeni zgwałcili nieletnią, dopuścili się porwania i czynnej napaści. Panie Childers, może pan wezwać pierwszego świadka.

— Wysoki Sądzie, oskarżenie powołuje na świadka szeryfa Ozziego Wallsa.

Jake usiadł w ławie przysięgłych obok innych adwokatów, którzy udawali, że są zajęci czytaniem ważnych materiałów. Ozzie został zaprzysiężony i spoczął w miejscu dla świadków na lewo od Bullarda, kilkadziesiąt centymetrów od ławy przysięgłych.

— Może pan powiedzieć, jak się pan nazywa?

— Ozzie Walls.
— Czy jest pan szeryfem okręgu Ford?
— Tak.
— Wiem, kim jest — mruknął Bullard, przeglądając akta.
— Czy wczoraj wieczorem do waszego biura dotarło zawiadomienie o zaginięciu dziecka?
— Tak, około szesnastej trzydzieści.
— Co zrobiliście?
— Wysłałem funkcjonariusza Williego Hastingsa do domu Gwen i Carla Lee Haileyów, rodziców dziewczynki.
— Gdzie to jest?
— Przy Craft Road, za sklepem spożywczym Batesa.
— Co ustalił Hastings?
— Odnalazł matkę dziewczynki, która zadzwoniła na posterunek. Później objechał okolicę, próbując znaleźć zaginioną.
— I znalazł?
— Nie. Kiedy wrócił, dziewczynka już była z matką. Znaleźli ją wędkarze łowiący nad strumieniem i zabrali do domu.
— W jakim była stanie?
— Została zgwałcona i pobita.
— Była przytomna?
— Taak. Mogła mówić... trochę mamrotała.
— Co powiedziała?
Tyndale zerwał się z krzesła.
— Wysoki Sądzie, wiem, że podczas przesłuchania wstępnego dopuszcza się pogłoski, ale ta pochodzi z trzeciej ręki.
— Sprzeciw oddalony. Zamknij się i siadaj. Proszę kontynuować, panie Childers.
— Co powiedziała?
— Powiedziała mamie, że zrobili to dwaj biali poruszający się żółtym pick-upem, z flagą konfederacji w oknie.
— Co się później stało?
— Willie Hastings wezwał karetkę i zabrano ją do szpitala.
— Jak się czuła?

— Powiedzieli, że jest w krytycznym stanie.

— Co wydarzyło się później?

— Na podstawie posiadanej wiedzy wytypowałem podejrzanych.

— I co pan zrobił?

— Dotarłem do informatora, wiarygodnego informatora, i wysłałem go do piwiarni nad jeziorem.

Childers nie chciał się wdawać w szczegóły, zwłaszcza w obecności Bullarda. Jake wiedział o tym równie dobrze jak Tyndale. Bullard odsyłał każdą sprawę do Wielkiej Ławy Przysięgłych*, więc przesłuchanie wstępne było czystą formalnością. Niezależnie od oskarżeń, faktów i dowodów, niezależnie od wszystkiego, Bullard odsyłał oskarżonych przed Wielką Ławę. Jeśli dowody nie były wystarczające, to oni wypuszczali podsądnego, a nie Bullard. Bo Bullard podlegał ponownemu wyborowi, a Wielka Ława Przysięgłych nie. Wyborcy byli rozdrażnieni, kiedy sąd wypuszczał na wolność przestępców. Większość prawników obrony rezygnowała z przesłuchania wstępnego przed Bullardem. Większość, ale nie Jake, który uważał ją za najlepszy i najszybszy sposób zapoznania się z argumentami oskarżyciela. Tyndale też rzadko rezygnował.

— Do jakiej knajpy?

— Do Hueya.

— Czego się dowiedział?

— Powiedział, że słyszał, jak Cobb i Willard, dwaj oskarżeni, przechwalają się tym, że zgwałcili małą czarną dziewczynkę.

Cobb i Willard spojrzeli na siebie. Kto był informatorem? Niewiele pamiętali z tego, co zaszło w knajpie Hueya.

— Co pan zastał w lokalu?

---

* Wielka Ława Przysięgłych to gremium w sądownictwie niektórych stanów USA, które podejmuje decyzję, czy przedstawione przez oskarżyciela dowody umożliwiają rozpoczęcie procesu. Jej członkowie, w liczbie od 16 do 23, są — tak jak w przypadku sędziów przysięgłych — wybierani spośród osób posiadających obywatelstwo USA.

— Aresztowałem Cobba i Willarda, a później sprawdziliśmy pick-upa zarejestrowanego na Billy'ego Raya Cobba.

— Co ustaliliście?

— Odholowaliśmy wóz i dziś rano dokonaliśmy oględzin. Znaleźliśmy bardzo dużo śladów krwi.

— Coś jeszcze?

— Znaleźliśmy również mały zakrwawiony T-shirt.

— Czyj?

— Należał do Tonyi Hailey, małej dziewczynki, którą zgwałcono. Jej ojciec, Carl Lee Hailey, potwierdził to dziś rano.

Carl Lee podniósł głowę, słysząc swoje nazwisko. Ozzie spojrzał na niego. Jake odwrócił się i dopiero wtedy ujrzał Carla Lee.

— Proszę opisać samochód.

— Nowy żółty wóz marki Ford. Półtonowy pick-up. Duże opony do jazdy po błocie i chromowane felgi. W tylnym oknie flaga konfederatów.

— Kto jest jego właścicielem?

Ozzie wskazał oskarżonych.

— Billy Ray Cobb.

— Czy pasuje do opisu podanego przez dziewczynkę?

— Tak.

Childers przerwał i zajrzał do notatek.

— Szeryfie, jakie inne dowody ma pan przeciwko oskarżonym?

— Rozmawialiśmy z Pete'em Willardem dziś rano. W areszcie. Podpisał zeznanie.

— Coś ty zrobił?! — jęknął Cobb. Willard stchórzył i odwrócił wzrok w poszukiwaniu pomocy.

— Cisza! Cisza! — wrzasnął Bullard, waląc sędziowskim młotkiem. Tyndale rozdzielił swoich klientów.

— Czy powiadomił pan pana Willarda o jego prawach?

— Tak.

— Czy je zrozumiał?

— Tak.

— Czy podpisał stosowne oświadczenie?

— Tak.

— Kto był obecny podczas przesłuchania, kiedy pan Willard złożył wspomniane zeznanie?

— Ja, dwóch funkcjonariuszy z biura szeryfa, śledczy Rady i porucznik Griffin z drogówki.

— Ma pan przyznanie się do winy?

— Tak.

— Proszę je przeczytać.

Na sali rozpraw zapadła cisza. Kiedy Ozzie zaczął odczytywać krótkie oświadczenie, Carl Lee spoglądał pustym wzrokiem na dwóch oskarżonych. Cobb gapił się wściekle na Willarda, który otrząsał brud z butów.

— Dziękuję, szeryfie — powiedział Childers, kiedy Ozzie skończył. — Czy pan Willard podpisał zeznanie?

— Tak, w obecności trzech świadków.

— Oskarżenie nie ma więcej pytań do świadka, Wysoki Sądzie.

— Panie Tyndale, może pan przepytać świadka oskarżenia.

— Nie mam żadnych pytań, Wysoki Sądzie.

Dobre posunięcie, pomyślał Jake. Z punktu widzenia obrony podczas wstępnego przesłuchania najlepiej było zachować milczenie. Ogranicz się do słuchania i robienia notatek, pozwól protokolantowi sądowemu spisać zeznania i siedź cicho. Sprawa i tak zostanie rozpatrzona przez Wielką Ławę Przysięgłych, więc czemu zawracać sobie głowę? Tylko za żadne skarby nie pozwól, aby oskarżeni składali zeznania. Ich zeznania do niczego się nie przydadzą, a mogą ich tylko obciążyć podczas procesu. Jake wiedział, że Cobb i Willard nie będą zeznawać, bo znał Tyndale'a.

— Proszę wezwać następnego świadka — polecił sędzia.

— Nie mamy więcej świadków, Wysoki Sądzie.

— Rozumiem. Siadaj. Panie Tyndale, czy obrona ma jakichś

świadków?

— Nie, Wysoki Sądzie.

— Dobrze. Sąd stwierdza, że istnieją wystarczające dowody popełnienia licznych przestępstw przez oskarżonych, i nakazuje, aby panowie Cobb i Willard zostali zatrzymani w areszcie do czasu posiedzenia przed Wielką Ławą Przysięgłych, którą wyznaczam na poniedziałek, dwudziestego siódmego maja. Jakieś pytania?

Tyndale podniósł się wolno z krzesła.

— Tak, Wysoki Sądzie. Prosimy, żeby Wysoki Sąd wyznaczył rozsądną kaucję...

— Nie ma mowy! — warknął Bullard. — Odmawiam zwolnienia oskarżonych za kaucją. Według mojej wiedzy dziewczynka znajduje się w stanie krytycznym. Oczywiście, jeśli umrze, pojawią się nowe zarzuty.

— Wysoki Sądzie, w takim razie wnoszę, żeby za kilka dni odbyło się posiedzenie w sprawie wyznaczenia kaucji. Mamy nadzieję, że stan dziewczynki ulegnie poprawie.

Bullard przyjrzał się uważnie Tyndale'owi. Dobry pomysł, mruknął do siebie.

— Zgoda. Wyznaczam posiedzenie w sprawie kaucji na następny poniedziałek, dwudziestego maja. Na tej sali. Do tego czasu oskarżeni pozostaną w areszcie szeryfa okręgu Ford. Odraczam rozprawę.

Bullard stuknął sędziowskim młotkiem i wyszedł z sali. Ludzie szeryfa otoczyli oskarżonych, skuli ich kajdankami i zaprowadzili do pokoju dla oskarżonych. Później sprowadzili ich tylnymi schodami na dół, minęli reporterów i wepchnęli do radiowozu.

Przebieg przesłuchania był typowy dla Bullarda — wszystko trwało niecałe dwadzieścia minut. Podczas jego rozpraw szybko wymierzano sprawiedliwość.

Jake rozmawiał z kolegami i obserwował ludzi wychodzących w milczeniu dużymi drewnianymi drzwiami na końcu sali

rozpraw. Carl Lee nie spieszył się z odejściem. Skinął Jake'owi, żeby poszedł za nim. Spotkali się w rotundzie. Carl Lee chciał pogadać. Przeprosił zebranych i obiecał, że spotka się z nimi w szpitalu. Razem z Jakiem weszli krętymi schodami na pierwsze piętro.

— Bardzo mi przykro — powiedział Jake.

— Taak, mnie również.

— Jak ona się czuje?

— Wyjdzie z tego.

— A Gwen?

— W porządku, jak sądzę.

— A ty?

Szli wolno korytarzem w kierunku tylnej części sądu.

— Jeszcze nie doszedłem do siebie. Dwadzieścia cztery godziny temu wszystko było w porządku, a teraz tylko na nas popatrz. Moja mała dziewczynka leży w szpitalu, z jej ciała sterczą rurki. Żona oszalała z bólu, chłopcy są wystraszeni na śmierć, a ja myślę tylko o tym, żeby dopaść tych drani.

— Chciałbym coś dla was zrobić, Carl.

— Możesz się tylko za nią modlić. Módl się za nas.

— Wiem, jakie to bolesne.

— Masz małą córeczkę, prawda, Jake?

— Tak.

Carl Lee nie odpowiedział. Szli w milczeniu. Jake zmienił temat.

— Gdzie jest Lester?

— W Chicago.

— Co robi?

— Pracuje w stalowni. Ma dobrą robotę. Ożenił się.

— Żartujesz?! Lester się ożenił?!

— Taak, poślubił białą dziewczynę.

— Białą dziewczynę?! Czemu zadał się z białą?

— Ach! Znasz Lestera. Ten czarnuch zawsze zadzierał nosa. Jedzie do domu. Będzie dziś późnym wieczorem.

— Po co?

Zatrzymali się przy tylnych drzwiach.

— Po co przyjeżdża Lester? — powtórzył pytanie Jake.

— Sprawy rodzinne.

— Coś planujecie?

— Nie. Po prostu chce zobaczyć bratanicę.

— Tylko trzymajcie emocje na wodzy.

— Łatwo ci mówić, Jake.

— Wiem.

— Co ty byś planował na naszym miejscu, Jake?

— Nie rozumiem.

— Masz małą dziewczynkę. Wyobraź sobie, że leży w szpitalu, pobita i zgwałcona. Co byś zrobił?

Jake wyjrzał przez okno w drzwiach, nie potrafiąc udzielić odpowiedzi. Carl Lee czekał.

— Nie zrób jakiegoś głupstwa, Carl.

— Odpowiedz na moje pytanie. Co byś zrobił?

— Nie wiem. Nie mam pojęcia, co bym zrobił.

— Pozwól, że cię o coś spytam. Co byś zrobił, gdyby chodziło o twoją małą córkę, a tych dwóch było czarnymi?

— Zabiłbym drani.

Carl Lee uśmiechnął się, a później roześmiał.

— Wiem, Jake. Jasne. A później zatrudniłbyś jakiegoś znakomitego prawnika, który powiedziałby, że ci odbiło. Zrobiłeś tak na procesie Lestera.

— Nie powiedzieliśmy, że Lesterowi odbiło. Stwierdziliśmy jedynie, że Bowie zasłużył na śmierć.

— Ale doprowadziłeś do uwolnienia Lestera, prawda?

— Tak.

Carl Lee podszedł do schodów i spojrzał w górę.

— Tą drogą weszli na salę rozpraw? — zapytał, nie patrząc na Jake'a.

— Kto?

— Oni.

— Taak. Zwykle prowadzą ich tylnymi schodami. Tak jest szybciej i bezpieczniej. Można zaparkować wóz przy drzwiach i wprowadzić ich schodami na górę.

Carl Lee podszedł do tylnych drzwi i wyjrzał przez okno na werandę.

— Ile spraw o morderstwo prowadziłeś w swojej karierze, Jake?

— Trzy. Lestera i dwie inne.

— Ilu z oskarżonych było czarnymi?

— Trzech.

— Ile razy wygrałeś?

— Trzy.

— Jesteś niezły w sprawach czarnych, co?

— Chyba tak.

— Jesteś gotowy na kolejną sprawę?

— Nie rób tego, proszę cię. Nie warto. A jeśli dostaniesz komorę gazową? Co się stanie z dziećmi? Kto je wychowa? Ci dranie nie są tego warci.

— Przed chwilą powiedziałeś, co byś zrobił.

Jake podszedł do drzwi i stanął obok Carla Lee.

— Ze mną jest inaczej. Pewnie zdołałbym z tego wyjść.

— Jak to?

— Jestem biały, a biali mają większość w tym okręgu. Przy odrobinie szczęścia wszyscy przysięgli byliby białymi, a to oznacza, że byliby przychylnie nastawieni. Nie jesteśmy w Nowym Jorku ani w Kalifornii. Mężczyzna ma obowiązek bronić swojej rodziny. Sąd by to kupił.

— A ja?

— Powiedziałem, że nie jesteśmy w Nowym Jorku ani Kalifornii. Niektórzy biali by cię podziwiali, ale większość chciałaby cię ujrzeć na stryczku. Uzyskanie uniewinnienia byłoby znacznie trudniejsze.

— Ale tobie by się to udało, prawda Jake?

— Nie rób tego, Carl.

— Nie mam wyboru, Jake. Nie zasnę, dopóki ci dranie nie będą martwi. Przysiągłem to mojej małej dziewczynce. Przysiągłem sobie i swoim. Zrobię to.

Otworzyli drzwi. Wyszli na werandę i podjazd od strony Washington Street, przy której znajdowało się biuro Jake'a. Uścisnęli sobie dłonie. Jake obiecał, że jutro wpadnie do szpitala, żeby zobaczyć się z Gwen i rodziną.

— Jeszcze jedno, Jake. Przyjdziesz do więzienia, kiedy mnie aresztują?

Jake odruchowo skinął głową. Carl Lee się uśmiechnął i odszedł w kierunku swojego pick-upa.

Rozdział 5

Lester Hailey poślubił Szwedkę z Wisconsin. I mimo że nadal twierdziła, że go kocha, Lester podejrzewał, iż nowość, jaką był dla niej kolor jego skóry, zaczęła powoli blednąć. Żona obawiała się Missisipi i stanowczo odmówiła pojechania tam razem z nim, choć zapewnił ją, że będzie bezpieczna. Nigdy nie poznała jego rodziny. Nie żeby jego bliscy do tego się palili, bo wcale tak nie było. Czarni z Południa przeprowadzali się na Północ i brali sobie białe żony, ale Haileyowie nigdy nie żyli w mieszanych związkach. Wielu z nich mieszkało w Chicago. Większość była ze sobą spokrewniona i wszyscy mieli czarnych partnerów. Jasnowłosa żona Lestera nie zrobiła wrażenia na jego rodzinie. Przyjechał do Clanton sam swoim nowym cadillakiem.

Zajechał do szpitala w środę późnym wieczorem i zastał kilku kuzynów czytających czasopisma w poczekalni na drugim piętrze. Objął Carla Lee. Nie widzieli się od ostatnich świąt Bożego Narodzenia, kiedy połowa czarnych z Chicago jechała do domu w Missisipi i Alabamie.

Wyszli na korytarz z dala od krewnych.

— Jak ona się czuje? — spytał Lester.

— Lepiej. Znacznie lepiej. Może w weekend wyjdzie do domu.

Lester odetchnął z ulgą. Kiedy jedenaście godzin wcześniej wyjeżdżał z Chicago, kuzyn, który zadzwonił i wypłoszył go z łóżka, twierdził, że mała jest bliska śmierci. Lester zapalił papierosa marki Kool pod tabliczką „Zakaz palenia" i spojrzał na starszego brata.

— A ty?

Carl Lee skinął głową i spojrzał w kierunku korytarza.

— A Gwen?

— Bardziej roztrzęsiona niż zwykle. Jest u swojej matki. Przyjechałeś sam?

— Taak — odparł wymijająco Lester.

— To dobrze.

— Tylko się nie wymądrzaj. Nie jechałem cały dzień, żeby wysłuchiwać bredni o mojej żonie.

— Dobrze, dobrze. Nadal masz gazy?

Lester uśmiechnął się i zachichotał. Cierpiał na dolegliwości żołądkowe i miał wzdęcia od czasu, gdy poślubił Szwedkę. Przygotowywała potrawy, których nazwy nie potrafił wymówić i po których jego żołądek gwałtownie protestował. Tęsknił za kapustą, zielonym groszkiem, okrą, pieczonym kurczakiem, wieprzowiną z grilla i słoniną.

Znaleźli małą poczekalnię na trzecim piętrze, ze składanymi krzesłami i karcianym stołem. Lester przyniósł dwa kubki zwietrzałej, gęstej kawy z automatu i wymieszał palcem mleko w proszku. Słuchał z uwagą, gdy Carl Lee szczegółowo opisywał gwałt, aresztowanie i przebieg wstępnego przesłuchania. Lester znalazł parę chusteczek i naszkicował plan sądu i więzienia szeryfa. Od czasu sprawy o morderstwo minęły cztery lata i miał problem z odtworzeniem szczegółów. Spędził w więzieniu tylko tydzień, przed wyznaczeniem kaucji, i nie był w sądzie

od czasu uniewinnienia. Wyjechał do Chicago wkrótce po zakończeniu procesu. Ofiara miała rodzinę.

Robili plany i je porzucali, knując aż do północy.

W czwartek po południu Tonyę przeniesiono z oddziału intensywnej opieki medycznej do pojedynczego pokoju. Jej stan określano jako stabilny. Lekarze odetchnęli z ulgą, a rodzina małej przynosiła cukierki, zabawki i kwiaty. Ponieważ Cobb i Willard złamali jej dolną i górną szczękę, w ustach miała pełno drutów i mogła się jedynie gapić na słodycze. Większość słodkości pożarli jej bracia. Uczepili się łóżka i trzymali ją za rękę, jakby chcieli ją obronić i dodać otuchy. Pokój był cały czas pełen przyjaciół i obcych ludzi. Wszyscy czule ją poklepywali i mówili, że jest urocza. Traktowali ją, jakby była kimś wyjątkowym, kimś, kto doświadczył strasznych rzeczy. Ludzie wchodzili na zmianę z korytarza do pokoju, aby ponownie wyjść na zewnątrz, gdzie byli bacznie obserwowani przez pielęgniarki.

Rany bolały i Tonya czasami płakała. Co godzinę pielęgniarki przedzierały się przez tłum, żeby podać pacjentce środek przeciwbólowy.

Tej nocy w jej pokoju zapadła cisza, kiedy telewizja w Memphis nadawała program o gwałcie. Pokazano zdjęcia dwóch białych, ale dziewczynka niewyraźnie widziała.

Gmach sądu okręgu Ford otwierano o ósmej rano i zamykano o siedemnastej. Było tak codziennie z wyjątkiem piątku, kiedy zamykano o szesnastej trzydzieści. W piątek o szesnastej trzydzieści Carl Lee ukrył się w toalecie na pierwszym piętrze, kiedy ryglowali drzwi. Usiadł na sedesie i przez godzinę cicho nasłuchiwał. Żadnych woźnych. Nikogo. Cisza. Przeszedł szerokim, pogrążonym w półmroku korytarzem do tylnych drzwi

i wyjrzał na dwór. Nie zauważył nikogo. Przez chwilę nasłuchiwał. W sądzie nie było żywego ducha. Odwrócił się i spojrzał na długi korytarz i rotundę oraz frontowe drzwi znajdujące się w odległości sześćdziesięciu metrów.

Analizował plan budynku. Podwójne tylne drzwi otwierały się na duży prostokątny hol. Z prawej i lewej strony były schody. Carl Lee udał, że prowadzą go na rozprawę. Złożył ręce na plecach i dotknął barkami tylnych drzwi. Ruszył w prawo, w kierunku oddalonych o dziesięć metrów schodów. Podszedł do stopni, pokonał dziesięć i dotarł do podestu, a później wykonał zwrot w lewo o dziewięćdziesiąt stopni, tak jak powiedział Lester. Następnie wszedł kolejnych dziesięć stopni i znalazł się w pokoju dla oskarżonych. Było to małe pomieszczenie o wymiarach pięć na pięć metrów, w którym nie było niczego oprócz okna i dwojga drzwi. Otworzył jedne z nich i wszedł do dużej sali sądowej z rzędami wyściełanych ławek. Ruszył między nimi i usiadł w pierwszym rzędzie. Przyjrzał się uważnie pomieszczeniu i spostrzegł przed sobą poręcz lub barierkę, jak ją określił Lester, oddzielającą publiczność od miejsca, gdzie zasiadali i pracowali sędzia, przysięgli, świadkowie, prawnicy, oskarżeni i urzędnicy sądowi.

Później ruszył przejściem w kierunku tylnych drzwi, szczegółowo badając salę rozpraw. Wyglądała zupełnie inaczej niż w środę. Kiedy dotarł na koniec, wrócił do pokoju dla zatrzymanych i otworzył drugie drzwi, które prowadziły do części pomieszczenia za balustradą, gdzie odbywał się proces. Przycupnął za długim stołem, przy którym na rozprawie siedzieli Lester, Cobb i Willard. Z prawej stał inny długi stół dla przedstawicieli oskarżenia. Za stołami znajdował się rząd drewnianych krzeseł, a następnie balustrada z wahadłowymi drzwiczkami na obu końcach. Sędzia zasiadał dostojnie na wysokiej ławie, zwrócony plecami do ściany, pod wyblakłym portretem Jeffersona Davisa, który zachmurzonym wzrokiem śledził wszystkich obecnych na sali. Ława sędziów przysięgłych

znajdowała się przy ścianie, po prawej stronie Carla Lee, na lewo od miejsca sędziego, pod pożółkłymi portretami innych zapomnianych bohaterów konfederatów. Miejsce dla świadków było obok ławy przysięgłych, nieco niżej. Na lewo od Carla Lee, naprzeciw ławy przysięgłych, znajdował się długi odgrodzony stół, na którym wyłożono duże rejestry sądowe w czerwonej oprawie. Urzędnicy sądowi i prawnicy zwykle kręcili się tam podczas procesu. Za stołem, po drugiej stronie ściany, był pokój dla oskarżonych.

Carl Lee stał nieruchomo, jakby był skuty kajdankami. Później ruszył wolnym krokiem przez małe wahadłowe drzwiczki w balustradzie i wszedł pierwszymi drzwiami do pokoju oskarżonych. Z podestu w połowie schodów widać było tylne drzwi prowadzące do gmachu sądu i większą część holu. U dołu schodów, po prawej stronie, znajdowały się drzwi. Otworzył je i ujrzał ciasną, zagraconą klitkę dozorcy. Zamknął drzwi i zbadał małe pomieszczenie. Było ciemne, zakurzone i zastawione szczotkami oraz wiadrami. Zagracone i rzadko używane. Lekko uchylił drzwi i wyjrzał na schody.

Wałęsał się po sądzie jeszcze godzinę. Drugie z tylnych schodów wiodły do innego pokoju dla zatrzymanych, za ławą dla przysięgłych. Schody sięgały trzeciego piętra, gdzie Carl Lee znalazł bibliotekę prawniczą i dwa pokoje dla świadków, dokładnie tak jak powiedział Lester.

Wielokrotnie przemierzał budynek w górę i w dół, odtwarzając drogę mężczyzn, którzy zgwałcili jego córkę.

Usiadł na miejscu sędziego i spojrzał na jego królestwo. Później przeszedł do rzędu krzeseł dla przysięgłych, usiadł na jednym z nich i pobujał się w przód i w tył. Spróbował też krzesła dla świadków i dmuchnął w mikrofon. O dziewiętnastej, kiedy Carl Lee uniósł okno w ubikacji obok klitki dozorcy i cicho przemknął się przez zarośla, było już ciemno.

⅄ ⅄ ⅄

— Komu miałbyś o tym powiedzieć? — spytała Carla, zamykając trzydziestopięciocentymetrowe pudełko po pizzy i dolewając sobie lemoniady.

Jake zakołysał się na wiklinowej bujanej ławce na werandzie, patrząc, jak Hanna przed domem skacze na skakance.

— Jesteś tam? — zapytała.

— Nie.

— Komu byś o tym powiedział?

— Nie zamierzam nikomu mówić.

— Myślę, że powinieneś to zrobić.

— Jestem odmiennego zdania.

— Dlaczego?

Kołysanie fotela uległo przyspieszeniu. Jake pociągnął łyk lemoniady i wolno wycedził:

— Po pierwsze, nie mam pewności, że Carl Lee planuje popełnienie zabójstwa. Na jego miejscu każdy ojciec by to powiedział. Uważam, że Carl Lee myśli jak każdy ojciec. Nie sądzę jednak, aby faktycznie planował popełnienie zabójstwa. Po drugie, powiedział mi to w zaufaniu, jakby był moim klientem. Pewnie faktycznie uważa mnie za swojego prawnika.

— Przecież nawet gdybyś był jego prawnikiem i wiedział, że Carl Lee zamierza popełnić przestępstwo, musiałbyś o tym donieść, prawda?

— Tak, gdybym miał pewność co do jego planów. A ja tej pewności nie mam.

Carla nie była usatysfakcjonowana.

— Myślę, że powinieneś zawiadomić kogo trzeba.

Jake nie odpowiedział. W sumie było to bez znaczenia. Zjadł z talerza resztki okruszków, próbując ją ignorować.

— Chcesz, żeby Carl Lee to zrobił, prawda?

— Co zrobił?

— Żeby zabił tych facetów.

— Nie, nie chcę. — Jake nie był o tym do końca przekonany. — Gdyby jednak to zrobił, nie obwiniałbym go, bo na jego

miejscu postąpiłbym podobnie.

— Nie zaczynaj wszystkiego od nowa.

— Mówię poważnie, przecież wiesz. Zrobiłbym to.

— Jake, przecież nie mógłbyś zabić człowieka.

— W porządku. Wszystko jedno. Nie zamierzam się kłócić. Już to przerabialiśmy.

Carla krzyknęła na Hannę, żeby oddaliła się od jezdni. Usiadła obok niego na bujanej ławce i zagrzechotała kostkami lodu w szklance.

— Broniłbyś go?

— Mam nadzieję.

— Czy ława przysięgłych by go skazała?

— A ty?

— Nie wiem.

— Cóż, pomyśl o Hannie. Spójrz na to urocze małe niewinne dziecko skaczące na skakance. Jesteś matką. A teraz pomyśl o małej Haileya, jak tam leży, jak krwawi i woła mamę i tatę...

— Zamknij się, Jake!

Uśmiechnął się.

— Odpowiedz na pytanie. Jesteś członkiem ławy przysięgłych. Czy głosowałabyś za skazaniem jej ojca?

Carla postawiła szklankę na parapecie i nagle zainteresowała się swoimi palcami. Jake poczuł zwycięstwo.

— Śmiało, zasiadasz w ławie przysięgłych. Winny czy nie?

— Stale muszę zasiadać w jakiejś ławie. Albo jestem ławniczką, albo mnie przesłuchujesz!?

— Skazać czy uniewinnić?

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Trudno byłoby go skazać.

Uśmiechnął się, nie mając nic do dodania.

— Nie wyobrażam sobie, jak mógłby ich zabić, skoro przebywają w więzieniu.

— Bez trudu. Nie siedzą w celi cały czas. Jeżdżą do sądu. Przewożą ich tam i z powrotem. Pamiętasz Oswalda i Jacka

Ruby'ego? Do tego będą mogli wyjść na wolność, jeśli zapłacą kaucję.

— Kiedy mogą ich wypuścić?

— Kaucja zostanie wyznaczona w poniedziałek. Jeśli zapłacą, będą mogli wyjść.

— A jeśli nie?

— Pozostaną w więzieniu do rozpoczęcia procesu.

— Kiedy się zacznie?

— Pewnie późnym latem.

— Myślę, że powinieneś o tym kogoś zawiadomić.

Jake podniósł się z ławki i poszedł bawić z Hanną.

Rozdział 6

K.T. Bruster albo Cat Bruster, jak go powszechnie nazywano, był zgodnie ze swoją wiedzą jedynym jednookim czarnoskórym milionerem w Memphis. Miał w mieście sieć lokali z tancerkami toples, wszystko legalne interesy. Oprócz tego był właścicielem domów z mieszkaniami pod wynajem, też całkiem legalnych, i dwóch legalnych kościołów w południowej części miasta. Cat wspierał wiele spraw czarnych, był przyjacielem polityków i bohaterem w oczach swoich pobratymców.

Przywiązywał wagę do popularności u lokalnych mieszkańców, bo gdyby został ponownie postawiony w stan oskarżenia i stanął przed sądem, według wszelkiego prawdopodobieństwa zostałby ponownie uniewinniony przez swoich, z których połowa była czarna. Władze nie mogły skazać Cata za mordowanie ludzi i handlowanie takim towarem, jak kobiety, kokaina, trefne fanty, karty kredytowe, bony żywnościowe, alkohol bez akcyzy, broń i lekka artyleria.

Miał tylko jedno oko, bo drugie zostało gdzieś na poletku ryżowym w Wietnamie. Stracił je w 1971, tego samego dnia,

kiedy jego kumpel, Carl Lee Hailey, został trafiony w nogę. Carl Lee taszczył go dwie godziny, zanim znaleźli pomoc. Po wojnie Cat Bruster wrócił do Memphis z dwoma funtami haszyszu. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży poszły na zakup małego baru przy South Main. Niemal padł z głodu, zanim wygrał dziwkę, grając w pokera z alfonsem. Obiecał jej, że nie będzie musiała się puszczać, jeśli zdejmie ciuchy i zacznie tańczyć na jego stołach. W ciągu jednej nocy zdobył więcej klientów, niż mógł usadzić, więc kupił kolejny bar i sprowadził więcej tancerek. Znalazł swoją niszę rynkową i w ciągu dwóch lat stał się bardzo zamożnym człowiekiem.

Jego biuro znajdowało się nad jednym z klubów przy South Main, między ulicami Vance i Beale, w najniebezpieczniejszej dzielnicy Memphis. Znak nad chodnikiem reklamował i piwo, i tancerki toples, ale za czarnymi oknami można było kupić dużo więcej.

Carl Lee i Lester znaleźli knajpę Brown Sugar w sobotę koło południa. Usiedli przy barze, zamówili piwo i gapili się na nagie tancerki.

— Cat jest u siebie? — spytał barmana Carl Lee, kiedy ten przechodził za ich plecami. Facet mruknął coś pod nosem i wrócił do zlewu, żeby skończyć mycie kufli po piwie. Carl Lee spoglądał na niego między kolejnymi łykami i tanecznymi numerami.

— Daj jeszcze jedno! — powiedział głośno Lester, nie odwracając wzroku od tancerek.

— Czy Cat Bruster jest u siebie?! — zapytał stanowczym głosem Carl Lee, kiedy barman przyniósł piwo.

— Kto pyta?

— Ja.

— Jaki ja?

— Ja i Cat jesteśmy dobrymi kumplami. Walczyliśmy razem w Wietnamie.

— Nazwisko?

— Hailey. Carl Lee Hailey. Z Missisipi.

Barman zniknął, by minutę później wyłonić się spomiędzy luster za półkami z gorzałą. Skinął Haileyom, którzy przeszli za nim małymi drzwiami, obok łazienek, a później zniknęli za zamkniętymi drzwiami na górze. Gabinet był mroczny i jarmarcznie urządzony. Na podłodze leżała złota wykładzina, ściany były wytapetowane na czerwono, sufit natomiast wyłożony zielonym włochatym dywanem. W zamalowanych czarną farbą oknach widniały cienkie stalowe kraty i, na wszelki wypadek, zestaw ciężkich zakurzonych bordowych kotar, aby zatrzymać i stłumić najsłabszy promyk słońca, który zdołałby przeniknąć przez zamalowane szyby. Mały i niespełniający swej funkcji chromowany żyrandol z lustrzanymi panelami wirował leniwie pośrodku pokoju, tuż nad ich głowami.

Dwóch rosłych gorylów w trzyczęściowych czarnych garniturach odprawiło barmana, usadziło Lestera i Carla Lee, a następnie stanęło za ich plecami.

Bracia zaczęli podziwiać wystrój wnętrza.

— Ładnie tu, co? — zapytał Lester. Z ukrytego stereo cicho zawodził B.B. King.

Nagle do pokoju wszedł Cat, wyłaniając się z ukrytych drzwi za biurkiem z marmuru i szkła. Natychmiast ruszył ku Carlowi Lee.

— Mój człowiek! Mój człowiek! Carl Lee Hailey! — wykrzyknął, obejmując Haileya. — Cieszę się, że cię widzę, Carlu Lee! Nie wiesz nawet, jak bardzo!

Carl Lee wstał. Objęli się niedźwiedzim uściskiem.

— Jak się masz, bracie? — zapytał Cat.

— W porządku, Cat. W porządku, a ty?

— Świetnie! Świetnie! Co za jeden? — Cat odwrócił się w stronę Lestera, uderzając go lekko w klatkę piersiową. Lester gwałtownie strząsnął rękę.

— To mój brat, Lester — wyjaśnił Carl Lee. — Z Chicago.

— Miło cię poznać, Lester. Ja i ten olbrzym jesteśmy ze

sobą mocno związani. Łączy nas silna więź.

— Opowiadał mi o tobie — odrzekł Lester.

— Mój Carl Lee. Ach, bracie. Świetnie wyglądasz. — Cat westchnął, przyglądając się z podziwem Carlowi Lee. — Jak tam noga?

— W porządku, Cat. Czasami daje o sobie znać, kiedy pada, ale nie narzekam.

— Łączy nas mocna więź, nie?

Carl Lee skinął głową i uśmiechnął się.

Cat wypuścił go z uścisku.

— Napijecie się drinka, chłopaki?

— Nie, dzięki — odpowiedział Carl Lee.

— A ja chętnie wypiję piwko — odparł Lester.

Cat pstryknął palcami i jeden z ochroniarzy zniknął. Carl Lee opadł na krzesło, a Cat przysiadł na skraju biurka, kołysząc nogami i huśtając się jak dziecko na pomoście. Uśmiechnął się do Carla Lee, który rozejrzał się wokół z podziwem.

— Czemu nie przeprowadzisz się do Memphis i nie zaczniesz dla mnie pracować? — zapytał Cat.

Carl Lee spodziewał się tego pytania. Cat od dziesięciu lat proponował mu robotę.

— Dzięki, Cat. Jestem szczęśliwy.

— Cieszę się razem z tobą. O co chodzi?

Carl Lee otworzył usta, zawahał się, skrzyżował nogi i zmarszczył brwi. Później skinął głową i powiedział:

— Potrzebuję przysługi, Cat. Drobnej przysługi.

Cat rozłożył ramiona.

— Wszystko, co zechcesz, wielkoludzie.

— Pamiętasz karabin M szesnaście, którego używaliśmy w Wietnamie? Potrzebuję jednej sztuki. Tak szybko, jak to możliwe.

Cat cofnął ramiona i złożył je na piersi. Przyjrzał się badawczo przyjacielowi.

— To paskudna broń. Jakie wiewiórki chcesz ustrzelić?

— Nie zamierzam polować na wiewiórki.

Cat przyjrzał się uważnie obu Haileyom. Wiedział, że nie powinien pytać o powód. Sprawa była poważna, w przeciwnym razie Carl Lee by nie przyjechał.

— Półautomatyczny?

— Nie. Prawdziwy.

— To będzie kosztować.

— Ile?

— Posiadanie takiej broni jest nielegalne. Nielegalne jak cholera. Wiesz?

— Gdybym mógł ją kupić u Scarsa, nie zawracałbym ci głowy.

Cat uśmiechnął się słodko.

— Na kiedy?

— Na dziś.

W międzyczasie przyniesiono piwo i obsłużono Lestera. Cat wrócił za biurko i opadł na swój pomarańczowy winylowy fotel kapitański.

— Tysiąc dolców.

— Mam tyle.

Cat był lekko zaskoczony, ale się nie zdradził. Skąd ten prosty czarnuch z małego miasteczka w Missisipi wytrzasnął tysiąc dolców? Musiał pożyczyć od brata.

— Tysiąc dolców to cena dla innych, ale nie dla ciebie, wielkoludzie.

— Ile?

— Nic. Zawdzięczam ci coś, co ma większą wartość od pieniędzy.

— Chętnie zapłacę.

— Nie. Nie chcę o tym słyszeć. Karabin jest twój.

— To szczodry dar, Cat.

— Mogę ci dać pięćdziesiąt takich.

— Potrzebuję tylko jednego. Kiedy mogę go dostać?

— Niech sprawdzę. — Cat wykręcił jakiś numer i wymamrotał kilka słów do mikrofonu. Wydawszy polecenie, odłożył słuchawkę i wyjaśnił, że sprawa zajmie około godziny.

— Możemy zaczekać — powiedział Carl Lee.

Cat zdjął opaskę z lewego oka i otarł chusteczką pusty oczodół.

— Mam lepszy pomysł. — Pstryknął na swoich goryli. — Przyprowadźcie wóz. Pojedziemy po niego.

Wyszli za Catem ukrytymi drzwiami i ruszyli korytarzem.

— Mieszkam tutaj. — Wskazał palcem. — Za tymi drzwiami jest moja chata. Zwykle mam w pobliżu parę gołych babek.

— Chętnie zobaczę — zaciekawił się Lester.

— W porządku.

Cat pokazał im masywne stalowe drzwi, czarne i lśniące, na końcu krótkiego korytarza.

— Tam trzymam gotówkę — powiedział, zatrzymując się, jakby podziwiał te drzwi. — Strażnik pilnuje ich na okrągło.

— Ile? — spytał Lester, pociągając łyk piwa.

Cat rzucił mu gniewne spojrzenie i ruszył przez hol. Carl Lee zmarszczył brwi, spojrzał na brata i pokręcił głową. Dotarłszy do końca holu, wspięli się wąskimi schodami na czwarte piętro. Było tu ciemniej, ale Cat wymacał włącznik. Czekali kilka sekund w milczeniu, aż otworzyła się ściana, odsłaniając jasno oświetloną windę z czerwonym dywanem i napisem PALENIE WZBRONIONE. Cat wcisnął guzik.

— Trzeba wejść na górę, żeby wsiąść do windy, która jedzie w dół — oznajmił z rozbawieniem. — Względy bezpieczeństwa. — Bracia Haileyowie skinęli głową z aprobatą i podziwem.

Drzwi kabiny otworzyły się w piwnicy. Jeden z goryli czekał na zewnątrz obok czystej białej, długiej limuzyny. Otworzył drzwi, a Cat zaprosił gości do środka. Przejechali powoli obok rzędu cadillaców fleetwoodów, kilku limuzyn, rollsa i paru luksusowych europejskich wozów.

— Wszystkie są moje — oznajmił z dumą Cat.

Kiedy szofer zatrąbił, podniosły się ciężkie drzwi wychodzące na jednokierunkową boczną uliczkę.

— Jedź powoli! — wrzasnął do szofera Cat. — Chcę im pokazać okolicę.

Carl Lee był na takiej wycieczce parę lat temu, podczas ostatniej wizyty złożonej Catowi. Ich oczom ukazał się rząd sfatygowanych, wyblakłych bud, które wielki człowiek nazwał swoimi domami pod wynajem. Minęli stary magazyn z czerwonej cegły z oknami zamalowanymi na czarno lub zabitymi deskami, które w żaden sposób nie zdradzały, co kryją w środku. Później pokazał im kościół, przynoszącą niezłe zyski świątynię. Kilka przecznic dalej minęli kolejny. Cat oświadczył, że jest właścicielem kilku kaznodziejów. Przejechali obok paru tawern i grupek czarnej młodzieży siedzących na zewnątrz i popijających piwo marki Stag z litrowych butelek. Cat z dumą wskazał spalony budynek w pobliżu Beale Street i z przejęciem opowiedział o konkurencie, który próbował działać w branży barów z tancerkami toples. Cat nie lubił konkurencji. Później były kolejne kluby oraz speluny o nazwie Aniołki, Koci Dom i Raj Czarnych, gdzie człowiek mógł się porządnie napić, zjeść, posłuchać dobrej muzyki, popatrzeć na gołe babki i coś jeszcze, powiedział Cat. Te kluby uczyniły go bardzo zamożnym człowiekiem. Osiem klubów.

Pokazał im wszystkie. Oprócz tego zaprezentował nieruchomości, które wydawały się zajmować większą część południowego Memphis. Na końcu bezimiennej ślepej uliczki blisko rzeki kierowca wykonał ostry skręt między dwoma magazynami z czerwonej cegły i wjechał w wąską alejkę do bramy, która otworzyła się z prawej strony. Minęli rampy i limuzyna zniknęła we wnętrzu budynku. Po chwili wóz zatrzymał się i kierowca wysiadł.

— Zostańcie w środku — powiedział Cat.

Otworzyli i zamknęli bagażnik. Niecałą minutę później limuzyna jechała już ponownie ulicami Memphis.

— Zjemy lunch? — spytał Cat. Zanim zdążyli odpowiedzieć, wrzasnął do szofera: — Jedź do Raju Czarnych. Zadzwoń i powiedz, że wpadnę do nich na lunch. — W jednym z moich klubów mają najlepsze żeberka w Memphis. Oczywiście, nie

przeczytacie o tym w niedzielnej prasie. Krytycy go omijają, wyobrażacie sobie?

— To brzmi jak dyskryminacja — powiedział Lester.

— Taak, dyskryminują mnie, ale nie używam tego argumentu, dopóki nie zostanę o coś oskarżony.

— Ostatnio jakoś o tobie cicho, Cat — zauważył Carl Lee.

— Od mojego ostatniego procesu upłynęły trzy lata. Unikanie płacenia podatków. Federalni trzy tygodnie przedstawiali dowody. Członkowie ławy przysięgłych wrócili po dwudziestu siedmiu minutach z najcenniejszym słowem w języku Afroamerykanów: Niewinny.

— Też je słyszałem — odrzekł Lester.

Portier już czekał pod markizą przed wejściem do klubu, a paru nowych goryli odprowadziło wielkiego człowieka i jego gości do prywatnego boksu z dala od parkietu. Drinki i żarcie podawał cały oddział kelnerów. Lester przerzucił się na szkocką i był już wstawiony, gdy pojawiły się żeberka. Carl Lee pił mrożoną herbatę i wymieniał się wojennymi opowieściami z Catem.

Kiedy jedzenie zniknęło ze stołów, jeden z ochroniarzy podszedł i szepnął coś Catowi do ucha. Ten się uśmiechnął i spojrzał na Carla Lee.

— Przyjechaliście czerwonym eldorado na tablicach Illinois?

— Taak, ale zostawiliśmy wóz w innym miejscu.

— Stoi na zewnątrz... towar jest w bagażniku.

— Co? — zdziwił się Lester. — Jak...

Cat ryknął śmiechem i klepnął go po plecach.

— Nie pytaj, bracie. Nie pytaj. Zajęliśmy się wszystkim, brachu. Cat może wszystko.

Jake pracował jak zwykle w sobotni ranek, po śniadaniu zjedzonym w Coffee Shop. Rozkoszował się ciszą, która w soboty zwykle panowała w kancelarii — żadnych telefonów,

żadnej Ethel. Zamknął się w biurze, nie odbierał telefonów i unikał klientów. Robił porządek w aktach, zapoznawał się z najnowszymi postanowieniami Sądu Najwyższego i planował strategię obrony, jeśli czekał go proces. Najlepsze pomysły i kruczki przychodziły mu do głowy w spokojne sobotnie poranki.

O jedenastej zadzwonił do aresztu.

— Szeryf jest w robocie? — spytał.

— Sprawdzę — odrzekł dyspozytor.

Chwilę później miał Ozziego na linii.

— Szeryf Walls, słucham?

— Cześć, Ozzie, tu Jake Brigance. Jak leci?

— W porządku, Jake. A u ciebie?

— Znakomicie. Będziesz w biurze?

— Zabawię kilka godzin. Masz coś ważnego?

— Nie szczególnego, ale chciałbym chwilkę pogadać. Przyjadę za pół godziny.

— Będę czekał.

Jake i szeryf lubili się i szanowali. Jake kilka razy dał mu wycisk na sali sądowej, ale Ozzie uznał to za biznes, czyli nic osobistego. Jake prowadził kampanię Ozziego, a Lucien ją finansował, więc Ozzie nie miał nic przeciwko paru sarkastycznym, uszczypliwym pytaniom na sali sądowej. Lubił obserwować Jake'a podczas rozprawy i żartować o meczu. W 1969 roku, kiedy w drugiej klasie liceum Jake był rozgrywającym Karaway, Ozzie był w ostatniej klasie i grał w ataku w Clanton, we Wszechamerykańskiej Konferencji Futbolowej. Ich drużyny rywalizowały ze sobą. Obie nie straciły żadnego meczu i spotkały się w finale w Clanton, walcząc o mistrzostwo. Przez cztery długie kwadranse Ozzie terroryzował obronę Karaway, która była znacznie słabsza, prowadzona przez walecznego, acz poturbowanego rozgrywającego z drugiej klasy. Pod koniec czwartego kwadransa, przy stanie czterdzieści cztery do zera, Ozzie złamał Jake'owi nogę podczas ataku.

Przez lata groził, że złamie mu drugą. Zawsze mówił, że Jake

utyka, i pytał o nogę.

— Co cię gnębi, stary? — spytał Ozzie, kiedy usiedli wygodnie w jego małym gabinecie.

— Carl Lee. Martwię się o niego.

— O co chodzi?

— Posłuchaj, Ozzie, niech to, co powiem, pozostanie między nami. Nie chcę, żeby ktokolwiek usłyszał o tej rozmowie.

— Wygląda na to, że masz coś poważnego, Jake.

— Faktycznie. Rozmawiałem z Carlem Lee w środę po rozprawie. Był w szoku. Rozumiem to. Na jego miejscu zachowywałbym się podobnie. Mówił poważnie o zabiciu tych facetów. Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć.

— Oni są bezpieczni, Jake. Nie mógłby się do nich dostać, nawet gdyby chciał. Odebraliśmy kilka telefonów z groźbami. Czarni są wściekli, ale tym gościom nic nie grozi. Siedzą w pojedynczych celach. Jesteśmy naprawdę bardzo ostrożni.

— To dobrze. Nie zostałem zatrudniony przez Carla Lee, ale reprezentowałem wszystkich Haileyów raz lub dwa razy. Jestem pewny, że uważa mnie za swojego prawnika. Czułem się w obowiązku powiadomić cię o tym.

— Nie jestem zmartwiony, Jake.

— To dobrze. Pozwól, że cię o coś spytam. Też masz córkę, prawda?

— Dwie.

— Co może chodzić po głowie Carlowi Lee? Wiesz, jako czarnoskóremu ojcu?

— To samo, co tobie.

— Czyli co?

Ozzie odchylił się do tyłu i skrzyżował ręce na piersi. Zamyślił się chwilę.

— Po pierwsze, zastanawia się, czy mała dobrze się czuje... wiesz, fizycznie. Czy przeżyje, a jeśli przeżyje, jakie będą tego konsekwencje. Czy kiedykolwiek będzie mogła mieć dzieci? Po drugie, czy jest zdrowa psychicznie i emocjonalnie. Jaki wypływ

to wydarzenie wywrze na jej dalsze życie. Po trzecie, chce zabić drani.

— Na jego miejscu też byś chciał?

— Łatwo to powiedzieć, ale człowiek nie wie, jak by się zachował. Myślę, że w domu jestem bardziej potrzebny niż w Parchman. O czym ty byś myślał na jego miejscu, Jake?

— Pewnie o tym samym. Nie wiem, jak bym postąpił. Chybabym oszalał. — Przerwał i wbił wzrok w biurko. — Mógłbym zacząć poważnie myśleć o zabiciu człowieka, który to zrobił. Trudno byłoby mi zasnąć, gdybym wiedział, że sukinsyn żyje.

— Jaki werdykt wydałaby ława przysięgłych?

— To zależy od składu. Gdybyś dostał odpowiednią ławę przysięgłych, wyszedłbyś wolny, ale gdyby prokurator okręgowy wybrał złą, mógłbyś trafić do gazu. Wszystko zależy od przysięgłych. W tym okręgu można wybrać właściwych. Ludzie mają dość gwałtów, rabunków i morderstw. Wiem, że biali mają tego po dziurki w nosie.

— Jak wszyscy.

— Chciałem tylko powiedzieć, że ojciec, który wziął sprawy we własne ręce, spotkałby się z dużym zrozumieniem. Ludzie nie mają zaufania do sądów. Myślę, że zdołałbym zasiać wątpliwości w przysięgłych, a później przekonałbym jednego lub dwóch, że drań zasłużył na śmierć.

— Jak Monroe Bowie.

— Właśnie, jak Monroe Bowie. Facet był żałosnym czarnuchem, który zasłużył na śmierć, więc Lester się wywinął. Nawiasem mówiąc, czemu Lester przyjechał z Chicago? Jak sądzisz?

— Jest w bliskiej komitywie z bratem. Jego też mamy na oku.

Rozmowa zeszła na inne tematy. W końcu Ozzie spytał o nogę. Podali sobie ręce i Jake wyszedł. Pojechał prosto do domu, gdzie Carla czekała na niego z listą sprawunków. Nie miała nic przeciwko pracy w sobotę, pod warunkiem że przed południem

wracał do domu i od tej pory posłusznie wykonywał jej polecenia.

W niedzielę po południu przed szpitalem zebrał się tłum i ruszył w ślad za małą dziewczynką Haileyów, którą ojciec pchał korytarzem na wózku. Minęli drzwi i wjechali na parking, gdzie delikatnie ją podniósł i posadził na przednim fotelu samochodu. Siedziała między rodzicami, a jej trzej bracia przycupnęli na tylnej kanapie. Odjeżdżali sprzed budynku, ciągnąc za sobą korowód aut przyjaciół, krewnych i nieznajomych. Kolumna sunęła wolno ulicami, celowo omijając miasto i kierując się na wieś.

Tonya siedziała na przednim siedzeniu, jak duża dziewczynka. Jej ojciec milczał, matka płakała, a bracia byli sztywni i milczący.

Kolejny tłum czekał przed domem. Ludzie pospieszyli na werandę, kiedy samochody skręcały na podjazd i parkowały na dużym porośniętym trawą podwórku. Tłum zamilkł, kiedy ojciec wnosił małą po stopniach, przenosił przez próg i kładł na kanapie. Cieszyła się, że wróciła do domu, ale była zmęczona obecnością gapiów. Matka trzymała ją za stopy, gdy kuzyni, wujowie, ciotki i sąsiedzi podchodzili, żeby jej dotknąć i się uśmiechnąć, niektórzy przez łzy. Nikt nic nie mówił. Tatuś wyszedł na dwór, żeby porozmawiać z wujkiem Lesterem i jakimiś mężczyznami. Bracia pobiegli do kuchni, by pożerać wraz z gośćmi fury jedzenia.

Rozdział 7

Rocky Childers pracował jako oskarżyciel okręgu Ford, odkąd pamiętał. Dostawał za tę robotę piętnaście tysięcy dolarów rocznie i poświęcał na nią prawie cały swój czas. Zajęcie prokuratora skutecznie uniemożliwiło wszelką praktykę, o której mógł sobie tylko pomarzyć. W wieku czterdziestu dwóch lat był skończony jako prawnik. Utkwił na wieki w ślepej uliczce pracy w niepełnym wymiarze, która przerodziła się w pełnoetatową robotę. Wybierano go do niej niezmiennie co cztery lata. Na szczęście jego żona miała dobrą pracę, więc oboje mogli jeździć nowymi buickami, opłacać składki w country clubie i ogólnie zadzierać nosa przed wykształconymi białasami z okręgu Ford. Kiedy Childers był młodszy, miał ambicje polityczne, ale wyborcy wybili mu to skutecznie z głowy, więc zamienił się w malkontenta, który marnotrawił swoją karierę zawodową na oskarżaniu pijaczków, sklepowych złodziei i nieletnich przestępców. Do tego musiał znosić impertynencje sędziego Bullarda, którym szczerze pogardzał. Czasami pojawiła się odrobina emocji, gdy ludzie pokroju Cobba i Willarda coś zmajstrowali, a Rocky, mocą swoich

ustawowych uprawnień, prowadził przesłuchania wstępne i inne, zanim sprawa została przesłana do Wielkiej Ławy Przysięgłych, a później do sądu obwodowego, by w końcu trafić do prawdziwego prokuratora, tego ważniaka Rufusa Buckleya z okręgu Polk. To Buckley pokrzyżował polityczną karierę Rocky'ego.

Zwykle rozprawa w sprawie wyznaczenia kaucji nie wzbudzała u Childersa większych emocji, ale tym razem było inaczej. Od środy odebrał dziesiątki telefonów od czarnych zarejestrowanych wyborców lub ludzi, którzy się za takich podawali. Wyrażali głębokie zaniepokojenie tym, że Cobb i Willard zostaną wypuszczeni z aresztu. Chcieli, żeby faceci siedzieli pod kluczem, jak czarni, którzy znaleźli się w tarapatach i nie stać ich na zapłacenie kaucji przed procesem. Childers obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, ale kaucję wyznacza sędzia okręgowy, Percy Bullard, którego numer można znaleźć w książce telefonicznej. Tak, mieszka na Benington Street. Dzwoniący zapowiedzieli, że w poniedziałek zjawią się w sądzie, żeby obserwować jego i Bullarda.

W poniedziałek o dwunastej trzydzieści sędzia wezwał do siebie Childersa. W gabinecie oprócz sędziego był już szeryf Walls. Sędzia był tak zdenerwowany, że nie mógł usiedzieć.

— Jakiej kaucji zażądasz? — prychnął na widok Childersa.

— Nie wiem, Wysoki Sądzie. Nie myślałem o tym.

— Nie sądzisz, że czas najwyższy to zrobić?! — Bullard przechadzał się nerwowo za biurkiem, a później podszedł do okna, aby ponownie wrócić do biurka. Ozzie milczał, wyraźnie rozbawiony.

— Nie — odrzekł cicho Childers. — To twoja decyzja. Ty jesteś sędzią!

— Dzięki! Piękne dzięki! Dziękuję! Ile zażądasz?

— Zawsze żądam więcej, niż się ode mnie oczekuje — odparł chłodno Childers, z głęboką przyjemnością obserwując zdenerwowanie sędziego.

— To znaczy ile?

— Nie wiem. Mówiłem, że się nad tym nie zastanawiałem.

Kark Bullarda poczerwieniał. Sędzia spojrzał gniewnie na szeryfa.

— Co sądzisz, Ozzie?

— No cóż — odrzekł niespiesznie Ozzie, przeciągając spółgłoski. — Zasugerowałbym wysoką kaucję. Ci faceci powinni pozostać w areszcie dla własnego bezpieczeństwa. Czarni są wściekli. Cobba i Willarda może spotkać coś złego, jeśli wyjdą za kaucją. Lepiej zażądać wysokiej sumy.

— Ile pieniędzy mogą mieć?

— Willard jest spłukany. Sytuacji Cobba nie znam. Mógłby wyskrobać ze dwadzieścia, trzydzieści tysięcy. Słyszałem, że zatrudnił jakiegoś znanego prawnika z Memphis. Miał przyjechać na rozprawę. Gość musi mieć forsę.

— Do diabła, czemu dopiero teraz się o tym dowiaduję?! Kogo wynajął?

— Bernarda. Petera K. Bernarda — odpowiedział Childers. — Facet zadzwonił do mnie dziś rano.

— Nigdy o nim nie słyszałem — żachnął się Bullard, robiąc wyniosłą minę, jakby wykuł się na pamięć listy wszystkich prawników.

Szeryf i prokurator mrugnęli porozumiewawczo, kiedy Bullard lustrował drzewa za oknem. Kaucja będzie niebotyczna, jak zwykle. Poręczyciele uwielbiali Bullarda za skandaliczne kaucje. Patrzyli z rozkoszą, jak zrozpaczone rodziny wyciągają ostatni grosz i zastawiają hipotekę, żeby oni mogli potem zgarnąć dziesięć procent prowizji, którą pobierali za sporządzenie dokumentu poręczenia. Ale Bullard się nie przejmował i wyznaczał wysokie kaucje. Mądrze i politycznie, bo zawsze lepiej trzymać przestępców w więzieniu. Czarni to docenią. Nie mógł o nich zapominać, chociaż w okręgu Ford siedemdziesiąt pięć procent stanowili biali. Był winien czarnym jedną lub dwie przysługi.

— Proponuję sto tysięcy dla Willarda i dwieście dla Cobba. To powinno ich zadowolić.

— Kogo? — spytał Ozzie.

— No, ludzi. Tych tam. Uważacie, że tak będzie w porządku?

— Dla mnie tak — odparł Childers. — A co z rozprawą? — zapytał z uśmiechem.

— Zafundujemy im rozprawę, sprawiedliwą rozprawę, a później wyznaczę kaucje w wysokości stu i dwustu tysięcy dolarów.

— Domyślam się, że chcesz, abym poprosił o trzysta tysięcy dla każdego, żebyś wyglądał na sprawiedliwego? — zapytał Childers.

— Mam gdzieś, ile zażądasz! — wrzasnął sędzia.

— Ja nie mam zastrzeżeń — bąknął Ozzie, ruszając w stronę drzwi. — Wezwiesz mnie na świadka? — zapytał na odchodnym Childersa.

— Nie, nie jesteś nam potrzebny. Nie sądzę, aby oskarżenie kogokolwiek powołało, skoro będziemy mieli taką sprawiedliwą rozprawę.

Wyszli z pokoju, a Bullard dalej się martwił. Zamknął za nimi drzwi, pociągnął łyk wódki z półlitrowej butelki ukrytej w teczce i z furią przełknął alkohol. Pan Pate czekał za drzwiami. Pięć minut później Bullard przepchnął się przez tłum i wkroczył na salę sądową.

— Wszyscy wstać! Sąd idzie! — krzyknął pan Pate.

— Siadać! — wrzasnął sędzia, zanim ktokolwiek zdążył się podnieść. — Gdzie są oskarżeni?! No gdzie?!

Cobb i Willard zostali wprowadzeni pod eskortą z pokoju dla zatrzymanych i usadzeni za stołem obrony. Nowy adwokat Cobba uśmiechnął się do swojego klienta, kiedy zdjęli mu kajdanki. Prawnik Willarda, Tyndale, obrońca z urzędu, zupełnie go zignorował.

Zjawił się ten sam tłum czarnych co w środę, przyprowadzając ze sobą paru przyjaciół. Bacznie śledzili ruchy dwóch białasów.

Lester ujrzał ich pierwszy raz. Carla Lee nie było na sali.

Bullard policzył ludzi z biura szeryfa. Musiał paść rekord. Później przeliczył czarnych — setki czarnych zbitych w ciasną gromadę, obserwujących dwóch gwałcicieli, którzy siedzieli przy tym samym stole między swoimi prawnikami. Wódka miała doskonały smak. Pociągnął łyk ze styropianowego kubka, w którym wyglądała jak woda z lodem, i zdołał się lekko uśmiechnąć. Alkohol spływał powoli, piekąc krtań, a policzki płonęły rumieńcem. Powinien wyprosić ludzi z biura szeryfa z sali, a później oddać Cobba i Willarda w ręce czarnuchów. Byłby niezły ubaw, a na dodatek sprawiedliwości stałoby się zadość. Wyobraził sobie, jak jedna z otyłych czarnych kobiet tratuje łajdaków, a jej pobratymcy tną białasów sprężynowymi nożami i maczetami. Później, kiedy byłoby już po wszystkim, zebraliby się i potulnie wymaszerowali z sali rozpraw. Uśmiechnął się do siebie.

Skinął panu Pate, który podszedł do jego stołu.

— Mam w szufladzie biurka półlitrową butelkę z wodą — szepnął. — Nalejcie mi kapkę do styropianowego kubka.

Pan Pate skinął głową i odszedł.

— Rozpoczynam rozprawę w sprawie wyznaczenia kaucji! — oznajmił. — Nie chcę, żeby przeciągała się zbyt długo. Czy oskarżeni są gotowi?

— Tak, proszę pana — odpowiedział Tyndale.

— Tak, Wysoki Sądzie — odparł pan Bernard.

— A oskarżenie? Też jest gotowe?

— Tak, proszę pana — odpowiedział Childers bez wstawania.

— Dobrze. Proszę powołać pierwszego świadka.

Childers odwrócił się do sędziego.

— Wysoki Sądzie, oskarżenie rezygnuje z powołania świadków. Wysoki Sąd zna oskarżenia postawione dwóm podsądnym, bo prowadził przesłuchanie wstępne w minioną środę. Według mojej wiedzy ofiara wróciła do domu, więc nie wnosimy innych oskarżeń. Wielka Ława Przysięgłych zostanie

zwołana w następny poniedziałek, żeby oskarżyć tych ludzi o gwałt, porwanie i czynną napaść. Z powodu przemocy cechującej wspomniane czyny i wieku ofiary oraz tego, że pan Cobb był już wcześniej karany, stan Missisipi wnosi o wyznaczenie maksymalnej kaucji i ani centa mniej.

Bullard niemal się zakrztusił swoją wodą z lodem. Jaką maksymalną kaucję?! Do licha, przecież nie istnieje coś takiego, jak maksymalna kaucja!

— Jaką kwotę pan sugeruje, panie Childers?

— Pół miliona za każdego! — oświadczył dumnie Childers i raczył spocząć.

Pół miliona?! To nie wchodzi w grę, pomyślał Bullard. Z furią przełknął łyczek i rzucił gniewne spojrzenie prokuratorowi. Pół miliona! Wystawił go do wiatru na rozprawie! Nie pozostało nic innego, jak posłać pana Pate'a po więcej wody z lodem.

— Oddaję głos obronie.

Nowy prawnik Cobba wstał energicznie. Odchrząknął i zdjął pieprzone okulary do czytania w rogowej oprawie.

— Wysoki Sądzie, nazywam się Peter K. Bernard. Jestem z Memphis. Pan Cobb wynajął mnie, abym reprezentował go...

— Czy ma pan licencję na praktykowanie w Missisipi? — przerwał mu Bullard.

Bernard spojrzał na niego zaskoczony.

— No cóż, niezupełnie, Wysoki Sądzie.

— Rozumiem. Czy mówiąc „niezupełnie" miał pan na myśli „nie"?

Kilku prawników siedzących w ławach dla przysięgłych zarżało. Bullard był znany z takich zagrywek. Nienawidził prawników z Memphis i wymagał, aby zatrudnili miejscowego asystenta, zanim staną przed jego sądem. Wiele lat temu, kiedy jeszcze praktykował, sędzia z Memphis wykopał go z sali, bo nie miał pozwolenia na praktykowanie w Tennessee. Od czasu wyboru na sędziego okręgowego zawsze korzystał z okazji do zemsty.

— Wysoki Sądzie, nie mam licencji w Missisipi, ale mam w Tennessee.

— Mam nadzieję — usłyszał replikę z sędziowskiej ławy. Kolejne chichoty z ław przysięgłych. — Czy zna pan zasady obowiązujące w okręgu Ford? — zapytał Wysoki Sąd.

— Hm, tak Wysoki Sądzie.

— Posiada pan kopię tych przepisów?

— Tak, proszę pana.

— I przeczytał je pan uważnie, zanim wszedł do mojego sądu?

— Hm, tak, proszę pana. Większość z nich.

— Czy zrozumiał pan regułę numer czternaście?

Cobb spojrzał podejrzliwie na swojego prawnika.

— Obawiam się, że go nie pamiętam — wyznał Bernard.

— Wie pan, że odniosłem podobne wrażenie? Reguła czternasty powiada, że na mojej sali rozpraw adwokaci z licencją innego stanu muszą korzystać z pomocy miejscowego prawnika.

— Tak, proszę pana.

Z wyglądu i stylu bycia Bernard wydawał się wytrawnym prawnikiem, a przynajmniej uchodził za takiego w Memphis. Teraz jednak został poddany całkowitej degradacji i poniżeniu przez wyszczekanego prowincjonalnego sędziego.

— Tak, proszę pana?! Czyli co? — prychnął Bullard.

— Tak, proszę pana, słyszałem o tym przepisie.

— Gdzie jest pański pomocnik?

— Nie mam go, ale planowałem...

— Przyjechał pan z Memphis, uważnie przeczytał moje zasady i rozmyślnie je zignorował. Tak?

Bernard zwiesił głowę i spojrzał na pusty żółty notatnik leżący na stole.

Tyndale wolno podniósł się z miejsca.

— Wysoki Sądzie, proszę odnotować, że wystąpię w roli pomocnika pana Bernarda dla celów tej i tylko tej rozprawy.

Bullard się uśmiechnął. Zręczna zagrywka, Tyndale. Zręczna zagrywka. Woda z lodem go ogrzała, więc ciut się rozluźnił.

— Bardzo dobrze. Proszę wezwać pierwszego świadka.

Bernard ponownie wstał. Przechylił głowę.

— Wysoki Sądzie, w imieniu pana Cobba chciałbym wezwać na świadka jego brata, pana Freda Cobba.

— Tylko żeby mi było krótko! — warknął Bullard.

Brat Cobba został zaprzysiężony i posadzony w ławie dla świadków. Bernard wszedł na podwyższenie i rozpoczął długie, szczegółowe przesłuchanie. Był dobrze przygotowany. Dowiódł, że Billy Ray Cobb pracuje zarobkowo, posiada nieruchomość w okręgu Ford, tu się wychował i tutaj mieszka większość jego rodziny oraz przyjaciół, dlatego nie ma powodu, by wyjechać. Jest praworządnym obywatelem o głębokich korzeniach, które by utracił, gdyby uciekł. Można mu zaufać, że stawi się na wezwanie sądu, więc zasługuje na niską kaucję.

Bullard pociągnął łyczek wody z lodem, stuknął piórem w notes i spojrzał na czarne twarze na widowni.

Childers nie miał więcej pytań, więc Bernard wezwał matkę Cobba, Corę, która powtórzyła to, co jej syn, Fred, powiedział o jej synu Billym Rayu. Zdołała nawet uronić łezkę w trudnej chwili, a Bullard pokręcił głową.

Po Childersie przyszła kolej na Tyndale'a, który powtórzył to samo z rodziną Willarda.

Pół miliona dolarów kaucji! Mniejsza kwota oznaczałaby zbyt mało, a to nie spodobałoby się czarnym. Sędzia Bullard miał kolejny powód, żeby znienawidzić Childersa, ale lubił czarnych, bo zawdzięczał im zwycięstwo w ostatnich wyborach. Dostał pięćdziesiąt jeden procent głosów w całym okręgu, ale wszystkie głosy czarnych.

— Coś jeszcze? — zapytał, kiedy Tyndale skończył.

Trzej prawnicy spojrzeli na siebie wzrokiem bez wyrazu. Bernard podniósł się z miejsca.

— Wysoki Sądzie, chciałbym jeszcze raz podsumować sytuację mojego klienta i poprosić o wyznaczenie rozsądnej kaucji...

— Zapomnij o tym, kolego. Już dość się nasłuchałem o tobie i twoim kliencie. Siadać!

Bullard zawahał się, a później szybko ogłosił:

— Wyznaczam sto tysięcy dolarów kaucji za Pete'a Willarda i dwieście tysięcy za Billy'ego Raya Cobba. Oskarżeni pozostaną w areszcie szeryfa, dopóki nie wpłacą kaucji. Sąd zamyka posiedzenie. — Walnął młotkiem i zniknął w swoich komnatach, gdzie dopił jedną półlitrówkę i otworzył drugą.

Lester był zadowolony z wysokości kaucji. Sam dostał pięćdziesiąt tysięcy, kiedy oskarżono go o zamordowanie Monroego Bowiego. Oczywiście, Bowie był czarny, a w takich przypadkach zwykle wyznaczano niższą kaucję.

Tłum ruszył w kierunku drzwi, ale Lester ani drgnął. Uważnie obserwował, jak skuwają dwóch białasów i prowadzą ich do pokoju dla oskarżonych. Kiedy zniknęli z pola widzenia, ukrył głowę w dłoniach i zmówił krótką modlitwę. Później nasłuchiwał.

⅄ ⅄ ⅄

Przynajmniej dziesięć razy dziennie Jake otwierał drzwi i wychodził na balkon, żeby rzucić okiem na Clanton. Czasami palił tanie cygaro, wydmuchując kłęby dymu na Washington Street. Nawet latem zostawiał uchylone okna w wielkim gabinecie. Dźwięki krzątaniny małego miasteczka były dobrym towarzyszem, gdy pracował w ciszy. Czasami był zdumiony hałasem, jaki wytwarzały ulice wokół gmachu sądu, a kiedy indziej wychodził na balkon, żeby sprawdzić, dlaczego jest tak cicho.

W poniedziałek dwudziestego maja wyszedł na balkon przed czternastą i zapalił cygaro. Centrum Clanton w Missisipi było pogrążone w wielkiej, ciężkiej ciszy.

⅄ ⅄ ⅄

Cobb pierwszy ruszył schodami, ostrożnie, z rękami skutymi na plecach, a za nim Willard i funkcjonariusz z biura szeryfa,

Looney. Dziesięć stopni w dół, później podest, zwrot w prawo i kolejnych dziesięć stopni na pierwsze piętro. Trzej ludzie szeryfa czekali na dworze obok radiowozów, obserwując reporterów.

Kiedy Cobb dotarł do drugiego stopnia od podestu, a Willard był trzy stopnie za nim, Looney zaś na najniższym stopniu, otworzyły się małe, brudne, zaniedbane i niepozorne drzwi klitki dozorcy i z ciemności wyskoczył Carl Lee Hailey z karabinem M16 w dłoni. Otworzył ogień z małej odległości. Głośna, szybka seria wstrząsnęła gmachem sądu, przerywając ciszę w ciszy. Gwałciciele zamarli, a później krzyknęli, gdy dosięgły ich kule. Cobb dostał pierwszy w brzuch i klatkę piersiową. Później oberwał Willard, w twarz, kark i szyję. Odwrócili się na schodach, próbując uciec w górę, skuci kajdankami i bezbronni. Potykali się o siebie, a w powietrzu fruwała skóra i krew.

Looney dostał w nogę, ale zdołał się wczołgać do pokoju dla zatrzymanych, skąd słuchał, jak Cobb i Willard wrzeszczą i jęczą, a ten obłąkany Hailey się śmieje. Kule odbijały się rykoszetem od ścian wąskiej klatki schodowej. Spoglądając w kierunku podestu, Looney widział, jak krew opryskuje ściany i spływa w dół.

Siedem lub osiem nieoczekiwanych serii i potężny huk wystrzałów M16 bez końca odbijały się echem w korytarzach sądu. Ponad kanonadą i grzechotem kul o ściany klatki schodowej słychać było wysoki, przenikliwy i rozbawiony głos Carla Lee.

Kiedy przestał strzelać, cisnął karabin na ciała i wybiegł. Dotarłszy do łazienki, zablokował drzwi krzesłem i wyczołgał się przez okno i pod osłoną zarośli przedostał się na chodnik. Później jakby nigdy nic podszedł do swojego pick-upa i ruszył do domu.

Lester zamarł, kiedy rozległy się strzały. Odgłos kanonady był wyraźnie słyszalny w całym gmachu. Matka Willarda krzyknęła, a zaraz po niej matka Cobba. Ludzie szeryfa popędzili do pokoju dla zatrzymanych, ale żaden nie pobiegł w dół. Lester

z zapartym tchem nasłuchiwał odgłosu strzałów, a gdy nie usłyszał żadnego, wyszedł z sali.

Po pierwszym strzale sędzia Bullard chwycił butelkę i wczołgał się pod biurko, a pan Pate zaryglował drzwi.

Cobb, a raczej to, co z niego zostało, spoczęło na Willardzie. Ich krew zmieszała się ze sobą, tworząc strużki spływające stopniami w dół. Niebawem na parterze zebrała się spora kałuża.

Jake przebiegł ulicę, zmierzając w stronę tylnej części sądu. Prather z biura szeryfa przykucnął obok frontowych drzwi z wyciągniętym pistoletem i klął na reporterów, którzy pchali się naprzód. Inni ludzie szeryfa przyklęknęli bojaźliwie na stopniach prowadzących do drzwi, obok radiowozów. Jake ruszył w kierunku frontowego wejścia, gdzie kolejni funkcjonariusze pilnowali porządku i ewakuowali pracowników sądu oraz publiczność przybyłą na rozprawę. Wielka ludzka masa wyległa na stopnie przed gmachem. Jake przepychał się przez spanikowany tłum. Kiedy wbiegł do rotundy, ujrzał Ozziego kierującego swoimi ludźmi i krzyczącego na wszystkie strony. Skinął na Jake'a. Ruszyli holem do tylnych drzwi, gdzie czekało już kilku funkcjonariuszy z dobytą bronią, spoglądając w milczeniu w stronę schodów. Jake'owi zrobiło się słabo. Willard prawie dopadł podestu. Przednia część głowy została oderwana, a mózg wypływał na zewnątrz jak galareta, pokrywając twarz. Cobb zdołał się odwrócić i oberwał w plecy. Jego twarz była ukryta w brzuchu Willarda, a stopy dotykały czwartego stopnia od podłogi. Szkarłatna kałuża szybko przemieszczała się w kierunku ludzi z biura szeryfa, którzy wolno się cofali. Broń leżała między nogami Cobba na piątym stopniu. Ona też była pokryta krwią.

Cała grupa stała w milczeniu, zahipnotyzowana widokiem ciał, które, choć martwe, nadal krwawiły. Gęsta woń prochu unosiła się na klatce schodowej, płynąc w kierunku holu i

rotundy, gdzie funkcjonariusze w dalszym ciągu kierowali ludzi przez frontowe drzwi.

— Lepiej już idź, Jake — powiedział Ozzie, nie odwracając oczu od ciał.

— Dlaczego?

— Po prostu idź.

— Dlaczego?

— Musimy zrobić zdjęcia i zebrać dowody. Nie powinno cię tu być.

— W porządku, ale nie przesłuchuj go beze mnie. Zrozumiałeś?

Ozzie skinął głową.

⅄ ⅄ ⅄

Dwie godziny później, kiedy już zrobiono zdjęcia, posprzątano bałagan i zebrano dowody oraz przewieziono ciała do kostnicy, Ozzie wyjechał z miasta w kolumnie pięciu radiowozów. Hastings jechał na czele kawalkady, kierując się na wieś, nad jezioro, obok sklepu spożywczego Batesa, by w końcu skręcić w Craft Road. Na podjeździe Haileyów stały jedynie wóz Gwen, pick-up Carla Lee i czerwony cadillac z numerami Illinois.

Ozzie nie oczekiwał żadnych kłopotów. Radiowozy zaparkowały w rzędzie na podwórku, a ludzie szeryfa przykucnęli za otwartymi drzwiami, obserwując, jak szef idzie samotnie w stronę domu. Nagle się zatrzymał. Ktoś powoli otworzył drzwi i na ganku stanęła rodzina Haileyów. Carl Lee wysunął się naprzód z Tonyą na rękach. Spojrzał w dół na swojego przyjaciela, szeryfa, jego ludzi i rząd radiowozów. Z prawej strony Carla Lee stanęła Gwen, a po lewej ich trzej synowie. Najmłodszy cicho pochlipywał, ale starsi dzielnie się trzymali, dumnie wypinając pierś. Za nimi stał Lester.

Obie grupy patrzyły na siebie w milczeniu, czekając, aby druga strona coś powiedziała lub zrobiła, pragnąc uniknąć tego, co miało nastąpić. Jedynym dźwiękiem było ciche pociąganie

nosem małej dziewczynki, jej matki i najmłodszego chłopaka.

Dzieci starały się zrozumieć. Tatuś powiedział im, co zrobił, i wyjaśnił, dlaczego zdecydował się na taki krok. Rozumieli go, ale teraz nie mogli pojąć, dlaczego musi zostać aresztowany i zawieziony do więzienia.

Ozzie kopał grudki ziemi, spoglądając to na rodzinę Haileyów, to na swoich.

W końcu powiedział:

— Lepiej chodź ze mną.

Carl Lee nieznacznie skinął głową, ale się nie poruszył. Gwen i najmłodszy chłopak zaczęli głośniej płakać, kiedy Lester odebrał dziewczynkę z rąk taty. Później Carl Lee uklęknął przed chłopcami i jeszcze raz wyszeptał, że musi odejść, ale niebawem wróci. Przytulił ich, a oni zanieśli się płaczem i go objęli. Później odwrócił się i pocałował żonę, a następnie zszedł po stopniach do szeryfa.

— Chcesz mnie skuć, Ozzie?

— Nie, Carl. Po prostu wsiądź do radiowozu.

Rozdział 8

Funkcjonariusz z biura szeryfa, Moss Junior Tatum, i Jake szeptali w gabinecie Ozziego, a pozostali pracownicy biura, członkowie rezerwy, uprzywilejowani aresztanci i inni stali bywalcy okręgowego aresztu zebrali się w zagraconym pomieszczeniu obok gabinetu, z niepokojem oczekując przybycia nowego więźnia. Dwaj funkcjonariusze spoglądali przez żaluzje na reporterów i kamerzystów czekających na parkingu między aresztem i autostradą. Telewizyjne wozy transmisyjne z rejestracjami Memphis, Jackson i Tupelo stały bezładnie rozproszone na zatłoczonym placu. Moss nie był z tego rad, więc ruszył wolno chodnikiem i nakazał przedstawicielom mediów, aby się przegrupowali i przestawili wozy w jedno miejsce.

— Wygłosi pan oświadczenie?! — krzyknął jakiś reporter.

— Taak. Przestawcie wozy transmisyjne.

— Może pan coś powiedzieć o morderstwach?

— Taak, zabito dwóch ludzi.

— Jakieś szczegóły?

— Nie znam. Nie było mnie tam.

— Macie podejrzanego?
— Tak.
— Kto to jest?
— Powiem, kiedy przestawicie samochody.

Natychmiast przestawili wozy, a następnie zgromadzili kamery i mikrofony nieopodal chodnika. Moss wskazał miejsce, w którym mają je ustawić, a kiedy to zrobili, ruszył w kierunku tłumu. Spokojnie żuł wykałaczkę, wetknąwszy kciuki za pas spodni, znad którego sterczał wydatny brzuch.

— Kto to zrobił?!
— Czy został aresztowany?!
— Czy rodzina dziewczynki jest zamieszana w zabójstwa?!
— Czy obaj postrzeleni nie żyją?

Moss uśmiechnął się do dziennikarzy i pokręcił głową.

— Po kolei. Tak, mamy podejrzanego. Został aresztowany i będzie tu lada chwila. Nie tarasujcie drogi swoimi wozami. To wszystko, co mam do powiedzenia. — Odwrócił się i ruszył w kierunku aresztu, chociaż nie przestawali za nim wołać. Zignorował pytania i wszedł do zatłoczonego pomieszczenia.

— Jak tam Looney? — spytał.

— Prather jest z nim w szpitalu. Nic mu nie będzie... lekka rana nogi.

— Jasne, rana postrzałowa nogi i lekki zawał — skwitował z uśmiechem Moss. Inni się roześmiali.

— Już są! — krzyknął któryś z zaufanych aresztantów.

Podeszli do okien, kiedy korowód radiowozów wolno zajechał na parking, błyskając niebieskimi kogutami. Ozzie jechał w pierwszym samochodzie, a obok niego siedział Carl Lee z wolnymi rękami. Hastings odchylił się do tyłu i pomachał w kierunku kamer, kiedy ich mijali, przedzierając się przez tłum, obok wozów transmisyjnych, w stronę tylnego wejścia do aresztu. Ozzie zaparkował radiowóz i cała trójka weszła swobodnie do środka. Carl Lee został przekazany strażnikowi więzienia, a Ozzie ruszył korytarzem do swojego gabinetu, gdzie

czekał na niego Jake.

— Za minutkę będziesz mógł z nim pogadać, Jake — rzucił.

— Dzięki. Jesteś pewny, że to on?

— Taak. Jestem pewny.

— Nie przyznał się, prawda?

— Nie, niewiele mówił. Myślę, że Lester go poinstruował.

Moss wszedł do środka.

— Ozzie, reporterzy chcą z tobą gadać. Powiedziałem, że wyjdziesz za minutkę.

— Dzięki, Moss. — Ozzie ciężko westchnął.

— Ktoś to widział? — zapytał Jake.

Szeryf Walls otarł czoło czerwoną chusteczką.

— Taak, Looney może go zidentyfikować. Znasz Murphy'ego? Tego małego kalekę, który sprząta podłogi w sądzie?

— Jasne. Facet strasznie się jąka.

— Wszystko widział. Siedział na wschodnich schodach, dokładnie naprzeciw miejsca zdarzenia. Jadł lunch. Tak się przestraszył, że przez godzinę nie potrafił wydusić z siebie słowa. — Ozzie przerwał i spojrzał na Jake'a. — Czemu ci to wszystko mówię?

— A co za różnica? Wcześniej czy później i tak bym się dowiedział. Gdzie mój klient?

— Kawałek dalej, w celi. Musimy zrobić mu zdjęcia i tak dalej. Przyjdź za pół godziny.

Ozzie wyszedł, a Jake sięgnął po komórkę i zadzwonił do Carli. Przypomniał jej, żeby obejrzała wiadomości i je nagrała.

Na dworze Ozzie zwrócił się w stronę mikrofonów i kamer.

— Nie będę odpowiadał na żadne pytania. Podejrzany jest w areszcie. To Carl Lee Hailey z okręgu Ford. Aresztowany pod zarzutem podwójnego zabójstwa.

— Czy Hailey to ojciec zgwałconej dziewczynki?

— Skąd wiecie, że to on?

— Jesteśmy bardzo inteligentni.

— Są jacyś świadkowie?
— Nie wiemy o żadnych.
— Przyznał się?
— Nie.
— Gdzie go znaleźliście?
— W jego domu.
— Czy funkcjonariusz z biura szeryfa został postrzelony?
— Tak.
— Jaki jest jego stan?
— Dobry. Przebywa pod fachową opieką w szpitalu. Nic mu nie będzie.
— Jak się nazywa?
— Looney. DeWayne Looney.
— Kiedy przesłuchanie wstępne?
— Nie jestem sędzią.
— Ma pan jakieś domysły?
— Może jutro, a może w środę. Proszę nie zadawać więcej pytań. Nie mam innych informacji, które mógłbym państwu przekazać.

Strażnik w areszcie zabrał Carlowi Lee portfel, pieniądze, zegarek, klucze, obrączkę i kieszonkowy scyzoryk, a następnie wpisał to do formularza. Carl Lee złożył podpis i dopisał datę. W małym pomieszczeniu obok klitki strażnika zrobiono mu zdjęcia i pobrano odciski palców, tak jak powiedział Lester. Ozzie czekał za drzwiami, aby zaprowadzić go do niewielkiego pokoju wychodzącego na korytarz, gdzie badano nietrzeźwych alkomatem. Jake siedział przy małym stoliku obok automatu do kawy. Ozzie posadził więźnia i wyszedł.

Prawnik i jego klient siedzieli po dwóch stronach stołu, lustrując się wzajemnie badawczym wzrokiem. Uśmiechali się do siebie z podziwem, ale żaden nie odezwał się ani słowem. Rozmawiali pięć dni temu, w środę, po przesłuchaniu wstępnym. Dzień po gwałcie.

Tym razem Carl Lee nie wyglądał na tak zdruzgotanego.

Jego twarz była spokojna, spojrzenie jasne.

— Nie sądziłeś, że to zrobię, prawda Jake? — spytał w końcu.

— Nie. Naprawdę to ty?

— Przecież wiesz.

Jake się uśmiechnął, skinął głową i skrzyżował ręce na piersi.

— Jak się czujesz?

Carl Lee rozluźnił się i odchylił do tyłu na rozkładanym krześle.

— Znacznie lepiej. Nie jestem zadowolony z tego, co się stało. Wolałbym, żeby do tego nie doszło. Chciałbym, żeby mojej dziewczynki to nie spotkało. Sam wiesz. Nie miałem nic do tych gości, dopóki jej nie skrzywdzili. Zebrali to, co zasiali. Żal mi ich matek i ojców, jeśli ich mają, w co wątpię.

— Boisz się?

— Czego?

— Komory gazowej?

— Nie, Jake. Dlatego poprosiłem cię o pomoc. Nie planuję żadnej komory gazowej. Widziałem, jak wybroniłeś Lestera. Teraz wybronisz mnie. Dasz sobie radę, Jake.

— To nie takie łatwe, Carl.

— Co?

— Nie można z zimną krwią zabić człowieka... dwóch ludzi, oświadczyć ławie przysięgłych, że na to zasłużyli, i jakby nigdy nic wyjść z sali rozpraw.

— Wybroniłeś Lestera.

— Każda sprawa jest inna. Największa różnica polega na tym, że zabiłeś dwóch białych, a Lester zabił czarnego. To wielka różnica.

— Boisz się, Jake?

— Dlaczego miałbym się bać? To nie mnie grozi komora gazowa.

— Nie sprawiasz wrażenia zbyt pewnego siebie.

Ty idioto, pomyślał Jake. Jak mógł być taki pewny siebie w chwili, gdy ciała były jeszcze ciepłe! Jasne, że był pewny siebie przed morderstwem, ale teraz to inna sprawa. Jego klientowi

groziła komora gazowa za przestępstwo, do którego popełnienia się przyznał.

— Skąd miałeś broń?

— Od kumpla z Memphis.

— Rozumiem. Czy Lester ci pomagał?

— Nie. Wiedział, co zamierzam, i chciał pomóc, ale mu nie pozwoliłem.

— Jak się czuje Gwen?

— Jest zrozpaczona. Lester próbuje ją pocieszyć. Nie chciała o tym nic wiedzieć.

— A dzieciaki?

— Wiesz, jakie są dzieci. Nie chcą, żeby ich tatuś siedział w pudle. Są zdenerwowane, ale dadzą sobie radę. Lester się nimi zaopiekuje.

— Wróci do Chicago?

— Nie. Zostanie tu jakiś czas. Kiedy staniemy przed sądem, Jake?

— Przesłuchanie wstępne powinno się odbyć jutro lub w środę. To zależy od Bullarda.

— On będzie sędzią?

— Podczas tego przesłuchania, ale nie będzie rozstrzygał podczas właściwego procesu w sądzie obwodowym.

— Kto tam jest sędzią?

— Omar Noose z okręgu Van Buren. To ten sam, który sądził Lestera.

— Dobrze. Facet jest w porządku, prawda?

— Taak, to dobry sędzia.

— Kiedy odbędzie się proces?

— Pod koniec lata lub na początku jesieni. Buckley będzie naciskał na szybki proces.

— Co to za jeden?

— Rufus Buckley, prokurator okręgowy. Ten sam, który oskarżał Lestera. Na pewno go pamiętasz. Rosły, hałaśliwy facet...

— Taak, taak, jasne, że pamiętam. Wielki i zły Rufus

Buckley. Zapomniałem o nim. Gość jest nieprzyjemny, prawda?

— Jest dobry, bardzo dobry. Skorumpowany i ambitny. Weźmie tę sprawę dla rozgłosu.

— Pokonałeś go, prawda?

— Taak, a on pokonał mnie.

Jake otworzył aktówkę i wyjął teczkę. W środku była umowa na świadczenie usług prawnych, którą przestudiował, ale nie nauczył się na pamięć. Jego stawka zależała od finansowych możliwości klienta, więc czarni zwykle płacili mniej, chyba że mieli bliskich i szczodrych krewnych w Chicago, a ci dobrze płatną robotę. To ostatnie rzadko się zdarzało. W przypadku procesu Lestera był to mieszkający w Kalifornii brat, który pracował na poczcie, ale nie chciał lub nie mógł mu pomóc. Były też rozproszone po całym kraju siostry, ale te miały własne problemy i mogły udzielić Lesterowi jedynie moralnego wsparcia. Gwen miała dużą rodzinę, której członkowie trzymali się z dala od kłopotów, ale nie należeli do majętnych. Carl Lee był właścicielem kilku hektarów ziemi i hipoteki, którą założył, aby wcześniej spłacić Jake'a.

Za obronę w procesie o morderstwo Jake wystawił Lesterowi rachunek opiewający na pięć tysięcy dolarów. Połowę zapłacono przed procesem, a resztę w ratach rozłożonych na trzy lata.

Jake nie lubił rozmawiać o swoim wynagrodzeniu. Była to najtrudniejsza część praktykowania prawa. Klienci chcieli znać je z góry, wiedzieć, ile będą kosztowały jego usługi. Każdy reagował inaczej. Jedni byli zaszokowani, drudzy ciężko wzdychali, a nieliczni wpadali w furię i wybiegali z kancelarii, trzaskając drzwiami. Zdarzali się i tacy, którzy chcieli negocjować, ale większość płaciła lub obiecywała, że zapłaci.

Spojrzał na teczkę i tekst umowy, gorączkowo myśląc o sprawiedliwej cenie. Inni prawnicy wzięliby taką sprawę za darmo. Dla samego rozgłosu. Pomyślał o ziemi Carla Lee, jego robocie w papierni i rodzinie, i w końcu oznajmił:

— Podejmę się obrony za dziesięć tysięcy.

Carl Lee się nie poruszył.

— Od Lestera wziąłeś pięć.

Jake przewidział ten argument.

— Masz trzy zarzuty, a Lester miał jeden.

— Ile razy mogę pójść do komory gazowej?

— Racja. Ile możesz zapłacić?

— Teraz tysiąc — oznajmił z dumą. — Wezmę pożyczkę pod zastaw ziemi i przekażę ci wszystko, co dostanę.

Jake pomyślał minutkę.

— Mam lepszy sposób. Uzgodnijmy moje honorarium. Zapłacisz tysiąc teraz i wystawisz weksel na resztę. Później weźmiesz pożyczkę pod zastaw ziemi i spłacisz weksel.

— Ile chcesz? — spytał Carl Lee.

— Dziesięć tysięcy.

— Zapłacę pięć.

— Stać cię na więcej.

— A ty możesz to zrobić za mniej niż dziesięć.

— W porządku, co powiesz na dziewięć?

— Mogę dać sześć.

— Osiem?

— Siedem.

— Może być siedem i pół tysiąca?

— Taak, myślę, że zdołam tyle uzbierać. Zależy, ile mi zapłacą pod zastaw ziemi. Chcesz, żebym teraz zapłacił tysiąc i wystawił weksel na sześć tysięcy pięćset?

— Tak.

— W porządku. Umowa stoi.

Jake wypełnił puste miejsca i weksel, a Carl Lee podpisał oba dokumenty.

— Ile zażądałbyś od człowieka, który ma kupę forsy, Jake?

— Pięćdziesięciu tysięcy.

— Pięćdziesięciu tysięcy?! Poważnie?!

— Tak.

— To dużo pieniędzy, człowieku. Zdarzyło ci się tyle dostać?

— Nie, ale niewielu ludzi oskarżonych o morderstwo ma tyle forsy.

Carl Lee zapytał o kaucję, Wielką Ławę, świadków, wybór przysięgłych, kiedy będzie mógł wyjść z więzienia, czy Jake może przyspieszyć proces, kiedy będzie mógł przedstawić swoją wersję i tysiąc innych rzeczy. Jake odpowiedział, że będą mieli mnóstwo czasu na rozmowy. Obiecał, że zadzwoni do Gwen i jego szefa w papierni.

Kiedy wyszedł, Carla Lee zaprowadzono do celi obok tej, w której przebywali więźniowie stanowi.

Saaba zablokował wóz transmisyjny. Jake zaczął szukać ludzi, do których należy. Większość reporterów już odjechała, ale kilku nadal spacerowało w pobliżu, jakby na coś czekali. Było już prawie ciemno.

— Pan jest z biura szeryfa? — spytał reporter.

— Nie, jestem prawnikiem — odrzekł nonszalancko Jake, udając obojętność.

— Jest pan adwokatem pana Haileya?

Jake odwrócił się i spojrzał na reportera. Inni nastawili uszu.

— Tak.

— Odpowie pan na kilka pytań?

— Może pan je zadać, ale nie obiecuję żadnych odpowiedzi.

— Zechce pan tu stanąć?

Jake podszedł do kamer i mikrofonów, udając, że jest rozdrażniony natarczywością dziennikarzy. Ozzie i jego ludzie obserwowali scenę ze środka aresztu.

— Jake uwielbia kamery — zauważył szeryf.

— Jak wszyscy prawnicy — skwitował Moss.

— Jak się pan nazywa?

— Jake Brigance.

— Czy jest pan adwokatem pana Haileya?

— Tak — odrzekł chłodno Jake.

— Czy pan Hailey jest ojcem małej dziewczynki zgwałconej przez dwóch mężczyzn, których dziś zastrzelono?

— Tak.

— Kto ich zamordował?

— Nie wiem.

— Czy zrobił to pan Hailey?

— Powiedziałem, że nie wiem.

— Pod jakim zarzutem aresztowano pańskiego klienta?

— Został zatrzymany pod zarzutem zamordowania Billy'ego Raya Cobba i Pete'a Willarda. Formalnie nie został jeszcze o nic oskarżony.

— Czy spodziewa się pan, że panu Haileyowi zostanie postawiony zarzut podwójnego zabójstwa?

— Bez komentarza.

— Dlaczego?

— Czy rozmawiał pan z panem Haileyem? — zapytał inny z dziennikarzy.

— Tak, przed chwilą.

— Jak się czuje?

— Co pan ma na myśli?

— No, jak się czuje?

— Chodzi panu o to, czy podoba mu się w pudle? — spytał z lekkim uśmieszkiem Jake.

— No, taak.

— Bez komentarza.

— Kiedy stanie przed sądem?

— Pewnie jutro lub w środę.

— Czy zostanie uznany za winnego?

Jake uśmiechnął się i odpowiedział:

— Jasne, że nie.

Zjedli zimną kolację i usiedli na huśtawce na frontowej werandzie. Obserwowali zraszacz do trawy i rozmawiali o

sprawie. Morderstwa odbiły się głośnym echem w całym kraju, a Carla nagrała tyle telewizyjnych sprawozdań, ile się dało. Dwie ze stacji telewizyjnych relacjonowały sprawę na żywo ze swoich oddziałów w Memphis, a kanały z Memphis, Jackson i Tupelo bez przerwy powtarzały nagranie z Cobbem i Willardem wchodzącymi do sądu w otoczeniu funkcjonariuszy z biura szeryfa, a chwilę później wynoszonymi z sądu na noszach przykrytych białymi prześcieradłami. Jedna ze stacji nadała zapis dźwiękowy strzelaniny w tle filmu przedstawiającego ludzi szeryfa kulących się w poszukiwaniu osłony.

Wywiad Jake'a został nagrany zbyt późno, by nadano go w wieczornych wiadomościach, więc musieli zaczekać na serwis o dwudziestej drugiej. W końcu Jake ukazał się na ekranie z aktówką w dłoni, schludnie ostrzyżony, wysportowany, przystojny i arogancki. Arogancki i głęboko zdegustowany reporterami, którzy uprzykrzają mu życie. Jake uważał, że świetnie się prezentuje w telewizji, i był podekscytowany, że dostał taką okazję. Wcześniej tylko przelotnie zagościł na ekranie, po uniewinnieniu Lestera, co kosztowało go wiele miesięcy drwin stałych bywalców Coffee Shopu.

Był zadowolony. Upajał się rozgłosem, oczekując jeszcze większego. Nie potrafił sobie wyobrazić innej sprawy, innych faktów, innych okoliczności, które mogłyby wywołać taki rozgłos, jak proces Carla Lee Haileya. I uniewinnienie Carla Lee Haileya oskarżonego o zamordowanie dwóch białych, którzy zgwałcili jego córkę, przez ławę przysięgłych złożoną z białych, w wiejskiej części Missisipi...

— Dlaczego się uśmiechasz? — przerwała mu rozmyślania Carla.

— Ot, tak.

— Akurat! Myślałeś o procesie i kamerach. O dziennikarzach, uniewinnieniu i o tym, jak wychodzisz z sądu, z ręką na ramieniu Carla Lee. Jak reporterzy biegną za tobą z włączonymi kamerami, a ludzie poklepują cię po plecach. Jak odbierasz od wszystkich

gratulacje. Dobrze wiem, o czym myślisz.

— Skoro wiesz, dlaczego pytasz?

— Byłam ciekawa, czy się przyznasz.

— W porządku. Przyznaję, myślałem o tym. Ta sprawa uczyni mnie sławnym. Dzięki niej na dłuższą metę zarobimy z milion dolców.

— Jeśli wygrasz.

— Tak, jeśli wygram.

— A jeśli przegrasz?

— Wygram.

— A jeśli nie?

— Carla, myśl pozytywnie.

Zadzwonił telefon i Jake przegadał dziesięć minut z redaktorem naczelnym, właścicielem i jedynym reporterem „Clanton Chronicle". Kolejny dzwonek. Tym razem Jake odbył rozmowę z reporterem porannej gazety wychodzącej w Memphis. Odłożył słuchawkę, a następnie zadzwonił do Lestera i Gwen, a później do brygadzisty w papierni.

O dwudziestej trzeciej piętnaście telefon zadzwonił ponownie. Jake otrzymał pierwszy telefon z pogróżkami. Ma się rozumieć, anonimowy. Nieznany rozmówca nazwał go sukinsynem miłującym czarnuchów, niezasługującym na to, aby żyć, jeśli czarnuch wyjdzie na wolność.

Rozdział 9

We wtorek rano, następnego dnia po podwójnym zabójstwie, Dell Perkins zaserwowała więcej kawy i kaszy kukurydzianej niż zwykle. Stali bywalcy i paru innych gości zjawiło się o wczesnej porze, żeby przejrzeć gazety i pogadać o tym, co się stało niecałe sto metrów od drzwi Coffee Shopu. Podobny tłok panował u Claude'a i w Tea Shoppe. Na pierwszej szpalcie gazety z Tupelo widniało zdjęcie Jake'a, a dzienniki z Memphis i Jackson umieściły na czołówce fotografie Cobba i Willarda, przed i po strzelaninie, kiedy zwłoki wkładano do karetki. Nie było żadnych zdjęć Carla Lee. Wszystkie trzy gazety zamieściły szczegółową relację z ostatnich sześciu dni w Clanton.

W mieście panowało powszechne przekonanie, że zabójstwa dopuścił się Carl Lee, ale pojawiły się pogłoski o drugim strzelającym. Skończyło się na tym, że przy jednym stoliku w Tea Shoppe siedziała cała banda zdziczałych czarnuchów tylko czekających na okazję do ataku. Z kolei ludzie szeryfa w Coffee Shopie, choć niezbyt rozmowni, tłumili wszelkie plotki w zarodku i utrzymywali sytuację pod kontrolą. Funkcjonariusz

Looney był stałym bywalcem lokalu, więc ludzie niepokoili się jego ranami, które okazały się bardziej poważne, niż początkowo sądzono. To on zidentyfikował strzelającego jako brata Lestera Haileya.

Jake zjawił się o szóstej i usiadł niedaleko drzwi z jakimiś farmerami. Skinął głową Pratherowi i innym pracownikom biura szeryfa, ale ci udali, że go nie widzą. Pomyślał, że im przejdzie, kiedy Looney zostanie wypisany ze szpitala. Padło kilka uwag na temat zdjęcia na pierwszej stronie gazety, ale nikt nie pytał Jake'a o jego nowego klienta i zabójstwa. Mimo to wyczuł pewien chłód ze strony niektórych stałych bywalców. Zjadł szybko i wyszedł.

O dziewiątej zadzwoniła Ethel. Sędzia Bullard czekał na linii.

— Dzień dobry, panie sędzio. Jak się pan miewa?

— Paskudnie. Reprezentujesz Carla Lee Haileya?

— Tak, proszę pana.

— Na kiedy chcesz przesłuchanie wstępne?

— Dlaczego mnie pan pyta, panie sędzio?

— Słusznie. Posłuchaj, pogrzeby odbędą się jutro rano. Myślę, że dobrze byłoby poczekać, aż zakopią tych drani, nie sądzisz?

— Taak, panie sędzio. To dobry pomysł.

— Co pan powie na jutrzejsze popołudnie? O czternastej?

— Zgoda.

Bullard się zawahał.

— Słuchaj, Jake. Nie miałbyś nic przeciwko zrezygnowaniu z przesłuchania wstępnego i przesłaniu sprawy od razu do Wielkiej Ławy Przysięgłych?

— Panie sędzio, przecież pan wie, że nigdy nie rezygnuję z przesłuchania wstępnego.

— Taak, wiem. Pomyślałem sobie, że poproszę cię o przysługę. Nie chcę rozpatrywać tej sprawy. Wolałbym trzymać się od niej z daleka. Do zobaczenia jutro.

⅄ ⅄ ⅄

Godzinę później w interkomie ponownie zaskrzeczał głos Ethel:

— Panie Brigance, jacyś reporterzy chcieliby się z panem widzieć.

Jake był zachwycony.

— Skąd są?

— Z Memphis i Jackson, jak sądzę.

— Zaprowadź ich do sali konferencyjnej. Zejdę za minutę.

Poprawił krawat, przyczesał włosy i rzucił okiem na ulicę, szukając telewizyjnego wozu transmisyjnego. Postanowił, że każe im chwilę poczekać i po paru bezsensownych telefonach zszedł na dół. Zignorował Ethel i wparadował do sali konferencyjnej. Poprosili go, żeby usiadł na końcu długiego stołu, bo tam było lepsze światło. Zgodził się, mówiąc sobie, że kontroluje sytuację. Zajął miejsce z boku, odwrócony plecami do rzędu opasłych i drogich ksiąg prawniczych.

Postawili przed nim mikrofony i wyregulowali oświetlenie dla kamer. W końcu efektowna damulka z Memphis, z pasemkami jasnopomarańczowych kosmyków na czole, odchrząknęła, by podkreślić swój autorytet.

— Panie Brigance, czy reprezentuje pan Carla Lee Haileya?

— Tak, reprezentuję pana Haileya.

— Czy oskarżono go o zabójstwo Billy'ego Raya Cobba i Pete'a Willarda?

— Tak, to prawda.

— A panowie Cobb i Willard zostali oskarżeni o zgwałcenie córki pana Haileya?

— Tak, to prawda.

— Czy pan Hailey zaprzecza, że zabił Cobba i Willarda?

— Będzie prosił sąd o uniewinnienie.

— Czy postawią mu zarzut postrzelenia funkcjonariusza z biura szeryfa, pana Looneya?

— Tak. Spodziewamy się trzeciego oskarżenia o czynną napaść.

— Czy będzie pan bronił klienta, powołując się na jego niepoczytalność?

— Nie chcę w tej chwili omawiać linii obrony, ponieważ mój klient nie został jeszcze postawiony w stan oskarżenia.

— Sugeruje pan, że oskarżenie może nie zostać wysunięte?

Dobra piłka. W głębi ducha na nią liczył. Wielka Ława Przysięgłych postawi go w stan oskarżenia albo nie, a ta nie zostanie wybrana, dopóki sąd okręgowy nie zbierze się w poniedziałek dwudziestego siódmego maja. Przyszli sędziowie przysięgli będą chodzili ulicami Clanton, pracowali w fabryce, sprzątali domy, czytali gazety, oglądali telewizję i dyskutowali o tym, czy Hailey powinien usłyszeć zarzuty.

— Tak, istnieje szansa, że nie zostanie oskarżony. Wszystko w rękach Wielkiej Ławy Przysięgłych. Sytuacja może się też rozstrzygnąć podczas przesłuchania wstępnego.

— Kiedy się ono odbędzie?

— Jutro o czternastej.

— Sądzi pan, że sędzia Bullard przekaże sprawę Wielkiej Ławie Przysięgłych?

— To całkiem możliwe — odpowiedział Jake, wiedząc, że Bullard będzie uradowany taką odpowiedzią.

— Kiedy zbierze się Wielka Ława Przysięgłych?

— Nowa Wielka Ława Przysięgłych zostanie zaprzysiężona w poniedziałek rano, więc będzie mogła rozpatrzyć sprawę w poniedziałek po południu.

— Kiedy spodziewa się pan procesu?

— Zakładając, że mój klient zostanie postawiony w stan oskarżenia, jego sprawa powinna trafić na wokandę pod koniec lata lub na początku jesieni.

— W którym sądzie?

— W sądzie okręgu Ford.

— Kto byłby sędzią?

— Sędzia Omar Noose.

— Skąd pochodzi pan Noose?

— Z Chester w stanie Missisipi. Z okręgu Van Buren.

— Sugeruje pan, że proces odbędzie się tu, w Clanton?

— Tak, chyba że zostanie zmienione miejsce procesu.

— Czy obrona wystąpi z takim wnioskiem?

— To bardzo dobre pytanie. Obecnie nie jestem w stanie udzielić na nie odpowiedzi. Jest trochę za wcześnie na omawianie strategii obrony.

— Czemu obrona miałaby o to wnosić?

Żeby znaleźć okręg, w którym mieszka więcej czarnych, pomyślał Jake.

— Z typowych powodów. Szum przed procesem i tak dalej — odpowiedział w zamyśleniu.

— Kto może zdecydować o zmianie miejsca procesu?

— Sędzia Noose. Ta decyzja należy wyłącznie do niego.

— Czy wyznaczono kaucję?

— Nie. Przypuszczalnie nie zostanie wyznaczona do czasu wniesienia formalnego oskarżenia. Mój klient ma prawo do rozsądnej kaucji, ale zgodnie ze zwyczajem panującym w tym okręgu nie wyznacza się kaucji w sprawach o zabójstwo przed postawieniem w stan oskarżenia przez sąd obwodowy. Kaucja zostanie wyznaczona przez sędziego Noose'a.

— Co może nam pan powiedzieć o panu Haileyu?

Jake się odprężył i zadumał minutkę, nie zwracając uwagi na pracujące kamery. Kolejna dobra piłka, idealna szansa zasiania paru ziarenek.

— Pan Hailey ma trzydzieści siedem lat. Od dwudziestu lat jest mężem tej samej żony. Ma czwórkę dzieci: trzech chłopców i dziewczynkę. Porządny gość o czystej kartotece. Nigdy wcześniej nie miał kłopotów z prawem. Odznaczony za udział w wojnie w Wietnamie. Pracuje pięćdziesiąt godzin tygodniowo w papierni w Coleman. Płaci swoje rachunki i jest właścicielem skrawka ziemi. Co niedziela chodzi z rodziną do kościoła.

Pilnuje swojego nosa i nie chce, żeby się wtrącano do jego życia.

— Pozwoli nam pan z nim pomówić?

— Oczywiście, że nie.

— Czy kilka lat temu jego brat był sądzony w sprawie o morderstwo?

— Tak, został uniewinniony.

— Był pan jego obrońcą?

— Tak, byłem.

— Bronił pan w kilku sprawach o zabójstwo w okręgu Ford, prawda?

— W trzech.

— Ile pan wygrał?

— Trzy — odrzekł wolno.

— W Missisipi przysięgli mają do wyboru kilka możliwości, prawda? — zapytała damulka z Memphis.

— Tak. W przypadku oskarżenia o zabójstwo zagrożone karą śmierci ława przysięgłych może uznać oskarżonego winnym zabójstwa bez premedytacji i skazać go na dwadzieścia lat lub za winnego popełnienia zabójstwa z premedytacją, co pociąga za sobą karę dożywocia lub karę śmierci, w zależności od decyzji przysięgłych. Ława przysięgłych może też uznać oskarżonego za niewinnego. — Jake uśmiechnął się do kamer. — Powtórzę raz jeszcze, wierzę, że mój klient nie zostanie oskarżony.

— Jak się czuje dziewczynka Haileyów?

— Jest w domu. W niedzielę wypisali ją ze szpitala. Lekarze sądzą, że wyzdrowieje.

Reporterzy spojrzeli na siebie, szukając innych pytań. Jake wiedział, że to najgroźniejsza chwila, bo gdy kończyła się lista, zaczynali zadawać idiotyczne pytania.

Wstał i zapiął marynarkę.

— Dziękuję, że wpadliście. Zwykle jestem dostępny, ale uprzedźcie mnie nieco wcześniej, a chętnie udzielę wam wywiadu o każdej porze.

Podziękowali i wyszli.

W środę o dziesiątej rano, po skromnym podwójnym nabożeństwie w domu pogrzebowym, wsioki pochowały swoich zmarłych. Duchowny, świeżo ordynowany pastor Kościoła zielonoświątkowego, rozpaczliwie poszukiwał słów pocieszenia i otuchy, które mógłby przekazać małej gromadce zebranej nad dwiema zamkniętymi trumnami. Posługa była krótka, a wylane łzy nieliczne.

Pick-upy i brudne chevrolety ruszyły wolno za jednym karawanem. Kondukt wyjechał z miasta i ruszył na wieś. Zaparkowali za małym kościołem z czerwonej cegły. Zmarłych pochowano jednego po drugim na przeciwległych krańcach małego, zarośniętego zielskiem cmentarza. Po kilku dodatkowych słowach otuchy ludzie rozeszli się do domów.

Rodzice Cobba rozwiedli się, gdy był mały. Jego stary przyjechał na pogrzeb z Birmingham. Po pogrzebie zniknął. Pani Cobb mieszkała w małym schludnym białym domku w pobliżu osady Lake Village, piętnaście kilometrów na południe od Clanton. Jej dwaj synowie i ich kuzyni oraz przyjaciele zebrali się pod dębem na tylnym podwórku, podczas gdy kobiety robiły zamieszanie wokół pani Cobb. Mężczyźni rozmawiali o czarnych, żuli tabakę Red Man i sączyli whiskey, wspominając stare dobre czasy, kiedy czarnuchy znały swoje miejsce. Teraz byli hołubieni, ochraniani przez władzę i sądy. Biali nie mogli nic zrobić. Jeden z kuzynów miał przyjaciela lub znajomego, który działał kiedyś w Ku-Klux-Klanie. Powiedział, że może do niego zadzwonić. Dziadek Cobba należał do organizacji długo przed śmiercią, wyjaśnił kuzyn, a kiedy on i Billy Ray byli dziećmi, staruszek opowiadał im, jak wieszano czarnych w okręgach Ford i Tyler. Powinni zrobić to samo z czarnuchem, który zabił Cobba i Willarda. Nikt się nie zgłosił na ochotnika. Może Ku-Klux-Klan byłby zainteresowany. Kawałek na południe,

w pobliżu Jackson, istniał oddział Klanu, więc panowie upoważnili kuzyna, żeby się z nimi skontaktował.

Kobiety przygotowały lunch. Mężczyźni zjedli posiłek w milczeniu i powrócili pod drzewo, żeby w cieniu popijać whiskey. Ktoś bąknął, że przesłuchanie czarnucha odbędzie się o czternastej, więc zapakowali się do samochodów i wyruszyli do Clanton.

Clanton przed zabójstwami różniło się od Clanton po zabójstwach i miało tak pozostać jeszcze przez wiele miesięcy. Jedno tragiczne krwawe wydarzenie trwające niecałe piętnaście sekund zmieniło ciche liczące osiem tysięcy dusz miasteczko Południa w mekkę dziennikarzy, reporterów, ekip telewizyjnych i fotoreporterów. Jedni przyjechali z okolicznych miast, innych przysłały stacje ogólnokrajowe. Kamerzyści i telewizyjni reporterzy wpadali na siebie na chodnikach wokół centralnego placu, po raz setny wypytując przechodniów, co myślą o zabójstwach dokonanych przez Haileya i jaki wydaliby werdykt, gdyby zasiadali w ławie przysięgłych. Zwykli ludzie na ulicy nie mieli wyrobionego zdania. Telewizyjne wozy transmisyjne jeździły za małymi oznakowanymi importowanymi samochodami sieci telewizyjnych w poszukiwaniu tropów, opowieści i wywiadów. Początkowo ich ulubieńcem był Ozzie. W dzień po zabójstwach szeryf udzielił kilku wywiadów, a później znalazł sobie inne zajęcie, przekazując kontakty z mediami Mossowi Juniorowi, który lubił droczyć się z prasą. Facet potrafił udzielić dwudziestu odpowiedzi, nie ujawniając ani jednego szczegółu. Do tego dużo łgał, a zadufani przyjezdni nie potrafili odróżnić kłamstwa od prawdy.

— Proszę pana, czy są dowody wskazujące, że strzelał ktoś jeszcze?

— Taak.

— Naprawdę?! Kto?!

— Mamy dowody, że zabójstwo zostało dokonane za zgodą Czarnych Panter — odrzekł Moss Junior z kamienną twarzą pokerzysty.

Połowa reporterów zamilkła ze zdumienia lub wytrzeszczyła oczy, a druga powtarzała słowa funkcjonariusza z biura szeryfa i gorączkowo je notowała.

Bullard nie wychodził ze swojego gabinetu i nie odbierał telefonów. Ponownie zadzwonił do Jake'a, błagając, żeby zrezygnował z przesłuchania wstępnego. Jake odmówił. Reporterzy czekali w korytarzu przed gabinetem sędziego na pierwszym piętrze gmachu sądu, ale ten siedział spokojnie ze swoją wódką, bezpieczny za zaryglowanymi drzwiami.

Poprosili o zgodę na sfilmowanie pogrzebu. Rodzina Cobba się zgodziła, pod warunkiem zapłacenia stosownej kwoty, ale pani Willard zgłosiła stanowcze weto. Reporterzy czekali na zewnątrz domu pogrzebowego i filmowali wszystko, co się dało. Później podążyli śladem konduktu na cmentarz i nagrali pogrzeb. Pojechali nawet za żałobnikami do domu pani Cobb, gdzie Freddie, jej najstarszy syn, zrugał ich i kazał spadać.

W środę w Coffee Shopie panowała cisza. Stali bywalcy, w tym Jake, obserwowali obcych, którzy wtargnęli do ich świątyni. Większość miała brody, paplała z dziwnym akcentem i nie zamawiała kaszy kukurydzianej.

— Pan jest obrońcą pana Haileya?! — krzyknął jeden z nich przez całą salę.

Jake przełknął kawałek grzanki i nic nie odpowiedział.

— To pan, prawda?! Proszę pana?!

— A jeśli nawet, to co? — odpalił Jake.

— Czy Hailey przyzna się do winy?

— Nie widzi pan, że jem śniadanie?

— Tak czy nie?

— Bez komentarza.

— Dlaczego?

— Bez komentarza.

— Ale dlaczego?

— Nie komentuję spraw przy śniadaniu. Bez komentarza.

— Czy będę mógł porozmawiać z panem później?

— Taak, proszę się umówić. Biorę sześćdziesiąt dolców za godzinę.

Stali bywalcy zabuczeli, ale obcy nie dali się zniechęcić.

W środę Jake wyraził zgodę na darmowy wywiad dla gazety z Memphis, a później zabarykadował się w swoim wojennym pokoju, przygotowując do przesłuchania wstępnego. W południe odwiedził w więzieniu swojego słynnego klienta. Carl Lee był wypoczęty i zrelaksowany. Z celi mógł obserwować reporterów krążących po parkingu.

— Jak ci się mieszka w więzieniu? — zapytał Jake.

— Całkiem nieźle. Żarcie jest dobre. Jadam z Ozziem w jego biurze.

— Co?!

— A jakże! I gramy w karty.

— Żarty sobie robisz?

— Nie. Oglądam telewizję. Wczoraj wieczorem widziałem cię w telewizji. Dobrze ci poszło. Zrobię cię sławnym, co, Jake? Prawda?

Jake nie odpowiedział.

— Kiedy przyjdzie do mnie telewizja? Przecież to ja ich zabiłem, a tymczasem ty i Ozzie staliście się sławni. — Carl Lee spojrzał na Jake'a rozpromieniony, ale ten się nie uśmiechał.

— Dzisiaj, za godzinę.

— Taak. Słyszałem, że pojedziemy do sądu. Po co?

— Na przesłuchanie wstępne. To nic wielkiego, a przynajmniej nic wielkiego nie powinno się zdarzyć. Jednak tym razem przesłuchanie będzie inne z powodu kamer.

— Co mam im powiedzieć?

— Nic! Nie mów nikomu ani słowa. Sędziemu, oskarżycielowi, reporterom. Nikomu! Ograniczymy się do słuchania. Wysłuchamy prokuratora, zobaczymy, o co cię

oskarży. Przyprowadzą świadka, który może zeznawać. Ozzie złoży zeznanie i powie sędziemu o karabinie, odciskach palców i Looneyu...

— Jak się czuje Looney?

— Nie mam pojęcia. Gorzej, niż myśleli.

— Czuję się winny, że postrzeliłem Looneya. W ogóle go nie widziałem.

— Za postrzelenie Looneya oskarżą cię o czynną napaść. Tak czy owak, przesłuchanie wstępne to jedynie formalność. Jego celem jest umożliwienie sędziemu ustalenia, czy istnieją wystarczające dowody, aby postawić cię przed Wielką Ławą Przysięgłych. Bullard zawsze to robi, więc przesłuchanie jest jedynie formalnością.

— W takim razie po co ją ogłaszać?

— Mogliśmy zrezygnować — odparł Jake, myśląc o kamerach, które by go wówczas ominęły. — Ale ja nie lubię tego robić. To dobra okazja, żeby się dowiedzieć, jaką sprawę zamierza wnieść stan, czyli oskarżenie.

— Powiedziałbym, że dostali bardzo dobrą sprawę, nie sądzisz, Jake?

— Tak, ale ogranicz się do słuchania. To nasza strategia na teraz. Zgoda?

— Jak dla mnie brzmi nieźle. Rozmawiałeś dziś z Gwen lub Lesterem?

— Nie, dzwoniłem do nich w poniedziałek wieczorem.

— Wczoraj byli w biurze Ozziego. Powiedzieli, że przyjdą do sądu.

— Myślę, że dzisiaj wszyscy się tam pojawią.

Jake wyszedł. Na parkingu otarł się o kilku reporterów, którzy czekali na wyjazd Carla Lee z więzienia. Nie udzielił żadnego wywiadu i nie skomentował sytuacji reporterom czekającym przed jego kancelarią. Był zbyt zajęty, żeby odpowiadać na pytania, ale doskonale zdawał sobie sprawę z obecności kamer. O trzynastej trzydzieści udał się do gmachu sądu i ukrył w

bibliotece prawniczej na trzecim piętrze.

Ozzie, Moss Junior i inni ludzie szeryfa obserwowali parking, po cichu przeklinając tłum reporterów i kamerzystów. Była trzynasta czterdzieści pięć — czas najwyższy, aby przewieźć więźnia do gmachu sądu.

— Przypominają stado sępów wypatrujących zdechłego psa przy autostradzie — zauważył Moss Junior, wyglądając przez żaluzje.

— Większych chamów w życiu nie widziałem — dodał Prather. — Nie przyjmują odmowy. Chcą, żeby ich obsługiwało całe miasto.

— A to tylko połowa... reszta czeka przed sądem.

Ozzie miał niewiele do powiedzenia. Jedna z gazet obwiniła go o strzelaninę, sugerując, że środki bezpieczeństwa w sądzie celowo złagodzono. Miał po dziurki w nosie prasy. W środę musiał dwukrotnie wyprosić reporterów z aresztu.

— Mam pomysł — stwierdził.

— Co? — spytał Moss Junior.

— Czy Curtis Todd nadal siedzi w więzieniu?

— Tak. Wychodzi w przyszłym tygodniu.

— Jest podobny do Carla Lee, nie?

— O co ci chodzi?

— Jest niemal tak czarny jak Carl Lee, podobnego wzrostu i budowy ciała, prawda?

— Taak. I co z tego? — zapytał Prather.

Moss Junior się uśmiechnął i spojrzał na Ozziego, który ani na chwilę nie odwrócił wzroku od okna.

— Ozzie, nie chcesz chyba...

— Co?! — spytał niecierpliwie Prather.

— Chodźmy. Weźcie Carla Lee i Curtisa Todda — polecił szeryf. — Zaparkujcie mój radiowóz z tyłu i przyprowadźcie Todda, żebym go pouczył.

Dziesięć minut później otwarły się frontowe drzwi więzienia i grupa funkcjonariuszy powiodła więźnia chodnikiem. Dwaj szli z przodu, dwaj z tyłu, a dwaj inni z lewej i prawej strony. Więzień był w okularach przeciwsłonecznych i niezapiętych kajdankach. Kiedy zbliżyli się do reporterów, kamery kliknęły i zaczęły wirować. Posypały się pytania.

— Proszę pana, czy przyzna się pan do winy?

— Czy oświadczy pan, że jest niewinny?

— Panie Hailey, jakie oświadczenie pan złoży?

— Czy powoła się pan na niepoczytalność?

Więzień uśmiechnął się do kamer, idąc wolnym krokiem w kierunku czekających radiowozów. Ludzie szeryfa uśmiechali się ponuro, ignorując tłum. Fotoreporterzy się przepychali, próbując wykonać idealne zdjęcie najsłynniejszego członka obrony obywatelskiej w kraju.

Nagle, na oczach całego narodu, otoczony gromadą funkcjonariuszy z biura szeryfa i kilkunastu reporterów rejestrujących każdy jego ruch, więzień wyrwał się eskortującym i zaczął uciekać. Szarpnął się, podskoczył, wykręcił i rzucił na oślep przez parking, rów i autostradę, by zniknąć z pola widzenia za drzewami. Reporterzy krzyknęli z wrażenia i rozluźnili szereg. Kilku nawet przez chwilę goniło zbiega. Co intrygujące, ludzie szeryfa wbiegli do aresztu i zatrzasnęli drzwi, zostawiając sępy chaotycznie krążące wokół placu. W lesie więzień zdjął kajdanki i poszedł do domu. W ten sposób Curtis Todd wyszedł na zwolnienie warunkowe tydzień wcześniej.

Tymczasem Ozzie, Moss Junior i Carl Lee szybko wyszli tylnymi drzwiami aresztu i bocznymi uliczkami pojechali do sądu, gdzie czekali kolejni funkcjonariusze, żeby wprowadzić go do gmachu sądu.

— Ilu czarnych jest na sali?! — wrzasnął Bullard do pana Pate'a.

— Cała masa.

— Wspaniale! Setki czarnuchów! Domyślam się, że przyszły

także setki białych?

— Faktycznie, paru jest na sali.

— Czy sala rozpraw jest pełna?

— Pęka w szwach.

— Dobry Boże... przecież to tylko przesłuchanie wstępne! — krzyknął Bullard. Dopił półlitrową flaszkę wódki, kiedy pan Pate podawał mu kolejną.

— Niech się pan uspokoi, panie sędzio.

— To Brigance! To jego wina! Przecież mógł zrezygnować z przesłuchania wstępnego. Prosiłem po dobroci. Dwa razy. Przecież wie, że odeślę sprawę do Wielkiej Ławy Przysięgłych. Wszyscy nasi prawnicy to wiedzą. Czarni się wściekną, jeśli nie puszczę go wolno, a biali oszaleją, bo nie kazałem wykonać egzekucji jeszcze dziś, na sali sądowej. Już ja dam temu Brigance'owi! Zapłaci mi za te wszystkie kamery! Ja muszę zostać ponownie wybrany, a on nie. Prawda?

— Tak, panie sędzio.

— Ilu policjantów jest na sali?

— Sporo. Szeryf sprowadził rezerwy. Jest pan bezpieczny.

— A co z mediami?

— Ustawili się w kolejce przy frontowych drzwiach.

— Nie chcę żadnych kamer!

— Żadnych kamer.

— Hailey już jest?

— Tak, proszę pana. Siedzi na sali z Brigance'em. Wszyscy są gotowi. Czekają na pana.

Sędzia napełnił styropianowy kubek czystą wódką.

— W porządku. Chodźmy.

Na sali panował porządek jak w latach pięćdziesiątych, za starych dobrych czasów — czarni siedzieli z jednej, a biali z drugiej strony, oddzieleni od siebie przejściem między ławkami. Pewne zaniepokojenie mogła wywołać grupka nieco wstawionych białych siedzących w dwóch rzędach z przodu. Wśród nich rozpoznano braci i kuzynów zmarłego Billy'ego Raya Cobba.

Byli pod czujną obserwacją. Dwa pierwsze rzędy, z prawej przed czarnymi i z lewej przed białą publicznością, zajęło ponad dwudziestu dziennikarzy najróżniejszego sortu. Jedni coś notowali, a inni rysowali oskarżonego, jego prawnika i wreszcie sędziego.

— Zrobią tego czarnucha bohaterem — wymamrotał jeden z miejscowych prostaków tak głośno, żeby usłyszeli reporterzy.

Kiedy Bullard zajął miejsce, ludzie szeryfa zaryglowali tylne drzwi.

— Proszę powołać pierwszego świadka — rzucił w kierunku Rocky'ego Childersa.

— Oskarżenie wzywa na świadka szeryfa Ozziego Wallsa.

Szeryf został zaprzysiężony i zajął miejsce w ławie dla świadków. Rozluźnił się i zaczął długą narrację, opisując miejsce strzelaniny, ciała, rany, broń, odciski palców na karabinie i odciski oskarżonego. Childers dołączył oświadczenie Looneya, złożone pod przysięgą w obecności szeryfa i Mossa Juniora. Looney jako strzelającego wskazał Carla Lee. Ozzie potwierdził podpis Looneya i odczytał oświadczenie do wiadomości sądu.

— Szeryfie, czy wie pan o innych naocznych świadkach? — spytał bez entuzjazmu Childers.

— Tak, zajście widział dozorca Murphy.

— Rozumiem. Rozmawiał pan z nim?

— Nie, ale jeden z moich śledczych to zrobił.

— Który?

— Śledczy Rady.

Rady został zaprzysiężony i usiadł na krześle dla świadków. Pan Pate przyniósł sędziemu kolejny kubek wody z lodem z gabinetu. Jake zapisywał całe strony notatek. Nie zamierzał powoływać żadnych świadków ani przepytywać szeryfa. Zdarzało się czasem, że świadek oskarżenia plątał się w zeznaniach i kłamał, a wówczas Jake zadawał mu kilka pytań, żeby go zdemaskować i wskazać rozbieżności. Podczas późniejszego procesu, kiedy kłamstwo pojawiało się ponownie, Jake wyciągał

stenogram wstępnego przesłuchania, aby jeszcze bardziej pomieszać szyki łgarzom. Dziś nie zamierzał tego robić.

— Panie Rady, czy miał pan okazję rozmawiać z Murphym? — zapytał Childers.

— Jakim Murphym?

— Nie wiem, zwyczajnie z Murphym. Dozorcą.

— Ah, z nim. Tak, proszę pana.

— Dobrze. I co powiedział?

— O czym?

Childers zwiesił głowę. Rady był nowy i rzadko zeznawał w sądzie. Ozzie pomyślał, że będzie to dla niego dobra lekcja.

— O strzelaninie! Proszę nam powtórzyć, co powiedział o strzelaninie.

Jake podniósł się z miejsca.

— Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw. Wiem, że podczas przesłuchania wstępnego dopuszcza się informacje z drugiej ręki, ale Murphy jest dostępny. Pracuje w sądzie. Czemu nie pozwolić mu zeznawać?

— Bo się jąka — odpalił Bullard.

— Co?!

— Murphy się jąka. Nie chcę słuchać, jak duka przez kolejne pół godziny. Sprzeciw oddalony. Panie Childers, proszę kontynuować.

Jake usiadł, nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Bullard spojrzał ukradkiem na pana Pate'a, który poszedł do gabinetu sędziego po kolejny kubek orzeźwiającej wody z lodem.

— Panie Rady, co Murphy powiedział o strzelaninie?

— Był tak zdenerwowany, że trudno było zrozumieć. Przestraszony jeszcze bardziej się jąka, ale...

— Proszę nam po prostu powtórzyć jego słowa! — krzyknął Bullard.

— Dobrze, Wysoki Sądzie. Powiedział, że widział, jak czarny mężczyzna postrzelił dwóch białych facetów i funkcjonariusza z biura szeryfa.

— Dziękuję — odrzekł Childers. — Gdzie się wówczas znajdował?

— Kto?

— Murphy!

— Siedział na schodach, naprzeciwko schodów, gdzie doszło do strzelaniny.

— Wszystko widział?

— Tak powiedział.

— Czy zidentyfikował strzelającego?

— Tak. Pokazaliśmy mu zdjęcia dziesięciu czarnych i zidentyfikował podsądnego, który tam siedzi.

— Dobrze. Dziękuję. Wysoki Sądzie, oskarżenie nie ma więcej świadków.

— Czy obrona ma pytania do świadka, panie Brigance? — zapytał sędzia.

— Nie, proszę pana.

— Jakieś prośby, wnioski, cokolwiek?

— Nie, Wysoki Sądzie.

Jake wiedział, że nie należy wnosić o kaucję. Po pierwsze, nic by to nie dało. Bullard nie wyznaczyłby kaucji w sprawie o zabójstwo zagrożone karą śmierci. Po drugie, postawiłoby to sędziego w złym świetle.

— Dziękuję, panie Brigance. Sąd uznał, że istnieją wystarczające dowody, aby zatrzymać podsądnego do czasu, gdy zbierze się Wielka Ława Przysięgłych okręgu Ford. Pan Hailey pozostanie w areszcie szeryfa. Bez kaucji. Sąd zamyka posiedzenie.

Carl Lee został błyskawicznie skuty i wyprowadzony pod eskortą. Obszar wokół tylnych drzwi był odgrodzony i znajdował się pod strażą. Stojące na dworze kamery mogły uchwycić oskarżonego między drzwiami i oczekującym na niego radiowozem. Wrócił do celi, zanim widzowie opuścili salę rozpraw.

Ludzie szeryfa skierowali białych w jedną stronę, aby wyszli

z sądu pierwsi, a po nich salę rozpraw opuścili czarni.

Reporterzy poprosili Jake'a o oświadczenie dla mediów, a on powiedział, żeby za kilka minut przyszli do rotundy. Kazał im na siebie czekać. Najpierw udał się do gabinetu sędziego, żeby pozdrowić Bullarda. Później poszedł na trzecie piętro, aby sprawdzić coś w jakiejś prawniczej księdze. Kiedy gmach sądu był już pusty, a reporterzy czekali na niego wystarczająco długo, wszedł tylnymi drzwiami do rotundy i stanął naprzeciw kamer.

Ktoś podetknął mu pod nos mikrofon z czerwonymi literami.

— Czemu nie poprosił pan o wyznaczenie kaucji? — spytał jeden z reporterów.

— Przyjdzie na to czas później.

— Czy pan Hailey będzie się bronił, wskazując na swoją niepoczytalność?

— Jak powiedziałem, jest zbyt wcześnie, żeby odpowiedzieć na to pytanie. Musimy zaczekać na Wielką Ławę Przysięgłych. Może w ogóle nie zostanie oskarżony. Jeśli go oskarżą, wówczas zaczniemy planować linię obrony.

— Prokurator okręgowy, pan Buckley, powiedział, że bez trudu uzyska wyrok skazujący.

— Obawiam się, że pan Buckley zbyt często mówi to, czego nie powinien. Postępuje nierozważnie, komentując sprawę, zanim zostanie rozpatrzona przez Wielką Ławę Przysięgłych.

— Powiedział również, że będzie się stanowczo sprzeciwiał zmianie miejsca procesu.

— Obrona nie złożyła jeszcze takiego wniosku. Pana Buckleya nie obchodzi, gdzie odbędzie się proces. Zgodziłby się procesować na pustyni, gdyby przyjechała prasa.

— Czy to znaczy, że panowie się nie lubią?

— Możecie myśleć, co chcecie. Buckley to dobry oskarżyciel i godny przeciwnik, ale często odzywa się, kiedy nie powinien.

Jake odpowiedział jeszcze na kilka pytań i podziękował za rozmowę.

⅄ ⅄ ⅄

W środę wieczorem lekarze wykonali cięcie poniżej kolana i usunęli jedną trzecią nogi Looneya. Później zadzwonili do aresztu Ozziego, a ten przekazał wiadomość Carlowi Lee.

Rozdział 10

Rufus Buckley przejrzał czwartkowe poranne gazety i z wielkim zainteresowaniem przeczytał relację z przesłuchania wstępnego w okręgu Ford. Z przyjemnością odnotował, że reporterzy i Brigance o nim wspomnieli. Lekceważące uwagi z nawiązką skompensował fakt, że wydrukowano jego nazwisko. Nie lubił Brigance'a, ale był rad, że Jake mówił o nim przed kamerami i reporterami. Przez dwa dni światła reflektorów były zwrócone na Brigance'a i oskarżonego. Czas najwyższy, aby przesunęły się na prokuratora okręgowego. Oczywiście Brigance nie powinien był krytykować go za to, że szuka rozgłosu. Lucien Wilbanks napisał książkę o tym, jak manipulować przedstawicielami mediów przed i w trakcie procesu, więc powinien był nauczyć tego Jake'a. Jednak Buckley nie chował urazy. Był zadowolony. Rozkoszował się myślą o długim, paskudnym procesie stwarzającym okazją do rzeczowego, mocnego wystąpienia. Niecierpliwie wypatrywał poniedziałku, pierwszego dnia obrad sądu obwodowego w okręgu Ford.

Miał czterdzieści jeden lat, a gdy dziewięć lat temu wybrano go na prokuratora okręgowego, był najmłodszym oskarżycielem

w stanie Missisipi. Minął pierwszy rok jego trzeciej kadencji, więc rozsadzała go ambicja. Czas najwyższy, aby zaczął się ubiegać o inny urząd publiczny, powiedzmy prokuratora generalnego, a nawet gubernatora. Później pójdzie do Kongresu. Choć miał już to wszystko zaplanowane, wciąż nie był znany poza granicami Dwudziestego Drugiego Obwodu Sądowego obejmującego okręgi Ford, Tyler, Polk, Van Buren i Milburn. Powinien już być rozpoznawalny. Łaknął rozgłosu. Tym, czego Rufus potrzebował najbardziej, był paskudny, kontrowersyjny i głośny na cały kraj proces o zabójstwo zakończony wyrokiem skazującym.

Okręg Ford leżał na północ od Smithfield, stolicy okręgu Polk, w którym mieszkał Rufus. Wychował się natomiast w okręgu Tyler, niedaleko linii Tennessee, na północ od okręgu Ford. Z politycznego punktu widzenia miał dobrą bazę, był też dobrym prokuratorem. Podczas wyborów przechwalał się, że dziewięćdziesiąt procent jego spraw zakończyło się wyrokiem skazującym. Chlubił się tym, że posłał do celi śmierci więcej ludzi niż jakikolwiek inny oskarżyciel w stanie. Był hałaśliwy, zgryźliwy i pruderyjny. Jego klientelą byli mieszkańcy stanu Missisipi i, na miły Bóg, poważnie traktował swój obowiązek. Ludzie nie znosili przestępczości, więc on również jej nienawidził, przekonany, że wspólnymi siłami zdołają wykorzenić zło.

Rufus potrafił przemówić do przysięgłych. I to jak! Umiał się modlić, prawić kazania, wywierać nacisk, prosić i błagać. Potrafił ich tak rozpalić, że nie mogli się doczekać powrotu do pokoju dla przysięgłych, zmówienia wspólnej modlitwy, a później odbycia głosowania i powrotu na salę rozpraw z postronkiem do powieszenia oskarżonego. Umiał przemawiać do czarnych i białych prostaczków, a to wystarczyło, żeby zadowolić większość przysięgłych Dwudziestego Drugiego Obwodu. Trzeba dodać, że przysięgli okręgu Ford byli dobrzy dla Buckleya, a on sam szczerze lubił Clanton.

Kiedy zjawił się w swoim biurze w gmachu sądu okręgu Polk, z zadowoleniem spostrzegł ekipę telewizyjną przyczajoną w poczekalni.

— Jestem bardzo zajęty — wyjaśnił, spoglądając na zegarek — ale znajdę minutkę, by odpowiedzieć na kilka pytań.

Zaprosił ich do swojego gabinetu i rozsiadł się niczym król w obrotowym skórzanym fotelu za biurkiem. Reporter był z Jackson.

— Panie Buckley, czy rozumie pan motywy pana Haileya?

Rufus uśmiechnął się z powagą, udając głębokie zamyślenie.

— Jasne, że rozumiem. Rozumiem każdego rodzica, któremu zgwałcono dziecko. Całkowicie. Nie akceptuję jednak takiego systemu obywatelskiej sprawiedliwości, a nasz system prawny go nie toleruje.

— Jest pan rodzicem?

— Tak. Mam małego synka i dwie córki. Jedna jest w wieku dziewczynki Haileya. Byłbym wściekły, gdyby została zgwałcona, ale na jego miejscu zaufałbym, że nasz system prawny należycie potraktuje gwałcicieli. Panowie, wierzę naszym sądom.

— Spodziewa się pan wyroku skazującego?

— Oczywiście. Zwykle uzyskuję wyrok skazujący, gdy biorę sprawę. W tym przypadku mam zamiar o niego wystąpić.

— Czy zażąda pan kary śmierci?

— Tak, wszystko wskazuje, że doszło do zabójstwa z premedytacją. Myślę, że komora gazowa będzie adekwatną karą.

— Przewiduje pan, że sąd wymierzy Haileyowi karę śmierci?

— Oczywiście. Przysięgli okręgu Ford zawsze wymierzali karę śmierci, kiedy ich o to prosiłem i kiedy to było właściwe. Mam tam bardzo dobrych przysięgłych.

— Pan Brigance, obrońca Haileya, powiedział, że Wielka Ława Przysięgłych może w ogóle nie postawić jego klienta w stan oskarżenia.

Buckley zarechotał.

— Pan Brigance nie powinien udawać głupca. Sprawa zostanie przedstawiona Wielkiej Ławie Przysięgłych w poniedziałek. Hailey zostanie oskarżony w poniedziałek po południu. Obiecuję. Zapewniam was, że obrońca też o tym wie.

— Sądzi pan, że proces odbędzie się w okręgu Ford?

— Nie obchodzi mnie, gdzie się odbędzie. I tak uzyskam wyrok skazujący.

— Czy spodziewa się pan, że obrona będzie się powoływać na niepoczytalność pana Haileya?

— Spodziewam się wszystkiego. Pan Brigance to bardzo dobry obrońca od spraw karnych. Nie wiem, jaką linię obrony wybierze, ale stan Missisipi będzie na nią przygotowany.

— Pójdzie pan na ugodę z obroną?

— Osobiście nie wierzę w takie rozwiązania. Pan Brigance również. Nie oczekiwałbym tego.

— Pan Brigance powiedział, że nigdy nie przegrał z panem sprawy o zabójstwo.

Rufus przestał się uśmiechać. Pochylił się do przodu i spojrzał ostro na reportera.

— To prawda, ale założę się, że nie wspomniał, ile spraw o napad z bronią w ręku i kradzież mienia dużej wartości prowadził. Wygrałem wiele spraw. Ściśle mówiąc, dziewięćdziesiąt procent.

Chwilę później wyłączono kamerę i reporter podziękował Rufusowi za jego czas.

— Nie ma sprawy — odparł Buckley. — Możecie przyjść o każdej porze.

Ethel wdrapała się po schodach i stanęła przed wielkim biurkiem.

— Panie Brigance, wczoraj wieczorem mąż i ja otrzymaliśmy nieprzyzwoity telefon. Przed chwilą odebrałam drugi w kancelarii. Nie podoba mi się to.

Wskazał jej krzesło.

— Usiądź, Ethel. Co powiedzieli?

— W gruncie rzeczy nie wyrażali się nieprzyzwoicie. Grozili. Grozili mi dlatego, że u pana pracuję. Powiedzieli, że pożałuję tego, iż pracuję dla miłośnika czarnuchów. Jeden z nich zagroził, że zrobi krzywdę panu i pana rodzinie. Jestem przerażona.

Jake też był zatroskany, ale ukrył emocje ze względu na Ethel. Zadzwonił do Ozziego wczoraj wieczorem i powiadomił o telefonach z pogróżkami.

— Zmień numer telefonu, Ethel. Pokryję koszty.

— Nie chcę zmieniać numeru. Mam go od siedemnastu lat.

— Jak chcesz. Ja zmieniłem swój. To nic trudnego.

— Nie zrobię tego.

— Rozumiem. Coś jeszcze?

— Uważam, że nie powinien pan brać tej sprawy...

— Nie obchodzi mnie, co myślisz! Nie płacę ci za to, żebyś myślała o moich sprawach. Jeśli będę chciał opinii, poproszę. Dopóki tego nie zrobię, nie wtrącaj się.

Naburmuszyła się i wyszła. Jake ponownie zadzwonił do Ozziego.

Godzinę później Ethel poinformowała go przez interkom:

— Lucien dzwonił dziś rano. Poprosił mnie o skopiowanie akt ostatnich spraw. Chce, żeby mu je dostarczyć. Powiedział, że od czasu pańskiej ostatniej wizyty minęło pięć tygodni.

— Cztery. Skopiuj akta. Zawiozę je dziś wieczorem.

Lucien raz w miesiącu wpadał do kancelarii lub dzwonił. Zapoznawał się ze sprawami i informował o najnowszych zmianach w prawie. Miał niewiele do roboty oprócz picia jacka danielsa i grania na giełdzie, a trzeba dodać, że jedno i drugie robił lekkomyślnie. Był pijakiem i spędzał większość czasu na frontowej werandzie swojego wielkiego białego domu na wzgórzu oddalonym osiem przecznic od głównego placu. Spoglądał na Clanton, sączył whiskey i zapoznawał się ze sprawami.

Po wykluczeniu z palestry jeszcze bardziej się zapuścił.

Zatrudniona na cały etat służąca pełniła także funkcję pielęgniarki i serwowała drinki na werandzie od południa do północy. Lucien rzadko jadł i niewiele sypiał, wolał całymi godzinami kołysać się na werandzie.

Jake odwiedzał go przynajmniej raz w miesiącu. Wizyty te wypływały z pewnego poczucia obowiązku. Lucien był rozgoryczonym, starym człowiekiem przeklinającym prawników, sędziów, a szczególnie stanową radę adwokacką. Jake był jego jedynym przyjacielem, jedyną publicznością potrafiącą wysiedzieć do końca jego długich kazań. Oprócz wygłaszania kazań udzielał niechcianych darmowych porad w sprawach prowadzonych przez Jake'a, co ten uznawał za bardzo irytujący nawyk. Znał jego sprawy, choć Jake nie miał pojęcia, skąd Lucien tyle wie. Rzadko widywano go w centrum, a w Clanton odwiedzał jedynie sklep monopolowy w dzielnicy zamieszkanej przez czarnych.

Zaparkował saaba za brudnym wgniecionym porsche. Chwilę później podał teczki Lucienowi. Żaden nie powiedział cześć ani nie pozdrowił drugiego. Brigance ograniczył się do przekazania kopii spraw Wilbanksowi, który nie rzekł ani słowa. Siedzieli na wiklinowych bujanych fotelach na długiej werandzie, z której rozciągał się widok na Clanton. Górne piętro gmachu sądu wznosiło się ponad budynkami i drzewami rosnącymi wokół placu.

W końcu Lucien zaproponował gościowi whiskey, a później wino i piwo. Jake trzykrotnie odmówił. Carla nie tolerowała picia, a Lucien o tym wiedział.

— Moje gratulacje.

— Z jakiego powodu? — zdziwił się Jake.

— Sprawy Haileya.

— Czemu mi gratulujesz?

— Nigdy nie prowadziłem tak wielkiej sprawy, choć kilka podobnych by się znalazło.

— Wielkiej? W jakim sensie?

— Rozgłosu, nagłośnienia w mediach. Przecież właśnie o to chodzi w grze dla prawników, Jake. Jeśli jesteś nieznany, przymierasz głodem. Kiedy ludzie mają kłopoty, dzwonią do prawnika, o którym słyszeli. Jeśli jesteś prawnikiem ulicy, musisz się sprzedawać opinii publicznej. Oczywiście, inna sprawa, jeśli jesteś prawnikiem wielkiej korporacji lub firmy ubezpieczeniowej. Wówczas możesz siedzieć na tyłku i brać sto dolców za godzinę, pracując dziesięć godzin dziennie, doić prostaczków i...

— Słuchaj, Lucien — przerwał mu cicho Jake. — Gadaliśmy o tym wiele razy. Porozmawiajmy o sprawie Haileya.

— Dobrze, dobrze. Założę się, że Noose nie wyrazi zgody na zmianę miejsca procesu.

— Kto powiedział, że złożę taki wniosek?

— Byłbyś głupcem, gdybyś tego nie zrobił.

— Dlaczego?

— To czysta statystyka! W naszym okręgu mieszka dwadzieścia sześć procent czarnych. W każdym z pozostałych okręgów sądowej Dwudziestki Dwójki jest ich przynajmniej trzydzieści procent. W okręgu Van Buren liczba czarnych sięga czterdziestu procent. To oznacza więcej czarnoskórych, potencjalnych przysięgłych. Gdyby udało się przenieść proces do innego okręgu, zwiększyłbyś szanse na czarnych w ławie przysięgłych. Możesz mi wierzyć lub nie, ale naoglądałem się w Clanton dość ław przysięgłych złożonych z samych białych. Dodam, że wystarczy jeden czarny, żeby ława przysięgłych była niezdolna do podjęcia decyzji, a proces został unieważniony.

— W takim przypadku zostałby powtórzony.

— I ponownie unieważniony. A po trzech takich procesach nie można już wnieść sprawy. Ława przysięgłych niezdolna do podjęcia decyzji to tyle samo, co przegrana na koncie Buckleya.

— Powiem Noose'owi prosto z mostu, że chcę, aby przenieść proces do czarniejszego okręgu, żeby mieć czarniejszą ławę przysięgłych.

— Jak chcesz, ale na twoim miejscu bym tego nie robił. Sięgnąłbym po typowe pierdoły o rozgłosie przed rozpoczęciem procesu, o uprzedzeniach wśród mieszkańców i tak dalej.

— Chyba nie sądzisz, że Noose to kupi.

— Nie. Sprawa jest za duża, a stanie się jeszcze większa. Prasa włączyła się do gry; oni już rozpoczęli proces. I to nie tylko w okręgu Ford. Założę się, że w całym stanie nie znajdziesz osoby, która nie ma wyrobionego zdania o winie lub niewinności Haileya. Czemu miałbyś wnosić o przeniesienie procesu do innego okręgu?

— W takim razie po co to robić?

— Bo kiedy skażą tego nieszczęśnika, będziesz mógł złożyć apelację. Będziesz mógł powiedzieć, że nie miał sprawiedliwego procesu, ponieważ nie zmieniono miejsca procesu.

— Dzięki za zachętę. Jakie jest prawdopodobieństwo, że przeniosą proces do innego okręgu, powiedzmy któregoś w rejonie Delty?

— Zapomnij o tym. Możesz prosić o zmianę miejsca procesu, ale nie możesz wskazać konkretnego miejsca.

Jake o tym nie wiedział. Wizyty u Luciena były bardzo pouczające. Skinął głową z ufnością i przyjrzał się starszemu mężczyźnie o długiej, brudnej, siwej brodzie. Jeszcze mu się nie zdarzyło zabić Lucienowi klina w dziedzinie prawa karnego.

— Sallie! — krzyknął Lucien, wyrzucając kostki lodu w krzaki.

— Kim jest Sallie?

— To moja służąca — wyjaśnił Lucien, kiedy wysoka atrakcyjna kobieta otworzyła drzwi z moskitierą i uśmiechnęła się do Jake'a.

— Słucham, Lucienie? — zapytała.

— Moja szklanka jest pusta.

Przeszła dostojnie przez werandę i odebrała jego szklankę. Nie miała trzydziestki, była zgrabna, piękna i bardzo czarna. Jake zamówił mrożoną herbatę.

— Skąd ją wytrzasnąłeś?! — zapytał.

Lucien spojrzał na gmach sądu.

— Skąd ją wytrzasnąłeś? — zapytał ponownie.

— Nie mam pojęcia.

— Ile ma lat?

Lucien nie odpowiedział.

— Mieszka tutaj?

Brak odpowiedzi.

— Ile jej płacisz?

— Dlaczego pytasz? To nie twój interes. Więcej niż ty Ethel.

Jasne, pomyślał Jake, uśmiechając się pod nosem.

— Założę się, że wiele potrafi.

— Niech cię o to głowa nie boli.

— Widzę, że nie jesteś podekscytowany moją szansą na uzyskanie uniewinnienia.

Lucien zamyślił się chwilę. Jego służąca i pielęgniarka wróciła z whiskey oraz herbatą.

— Faktycznie nie jestem. Czeka cię trudne zadanie.

— Dlaczego?

— Wygląda na to, że popełniono zabójstwo z premedytacją. Z tego, co wiem, Hailey dobrze wszystko zaplanował. Czy tak?

— Tak.

— Jestem pewien, że powołasz się na niepoczytalność klienta.

— Nie wiem.

— Musisz. — Lucien rozpoczął wykład poważnym tonem. — Nie ma innej linii obrony. Nie możesz twierdzić, że to był wypadek. Nie możesz powiedzieć, że facet w samoobronie zastrzelił z automatu dwóch bezbronnych gości skutych kajdankami. Prawda?

— Ano prawda.

— Nie wymyślisz alibi i nie powiesz przysięgłym, że Hailey był wtedy w domu z rodziną, nie?

— Jasne, że nie.

— Jaka inna linia obrony ci pozostaje? Musisz wykazać, że

twój klient oszalał!

— Sęk w tym, że facet nie oszalał, Lucien. Nie ma sposobu, żebym znalazł lipnego psychiatrę, który powie, że Haileyowi odbiło. Wszystko starannie zaplanował. W najdrobniejszych szczegółach.

Lucien uśmiechnął się i pociągnął drinka.

— Dlatego masz kłopot, mój chłopcze.

Jake postawił filiżankę na stole i lekko się zakołysał, Lucien zaś rozkoszował się chwilą.

— A co z ławą przysięgłych? Przecież będą do niego przychylnie nastawieni.

— Właśnie dlatego trzeba się powołać na niepoczytalność Haileya. Skoro będą przychylnie nastawieni, musisz im podsunąć argumenty przemawiające za jego niewinnością. Jeśli darzą Haileya sympatią i chcą go uniewinnić, musisz im dostarczyć pretekstu, który na to pozwoli. Nie ma znaczenia, czy uwierzą w brednie o niepoczytalności. To bez znaczenia w pokoju przysięgłych. Ważne jest jedynie to, aby ławnicy mieli podstawę prawną do uniewinnienia, zakładając, że będą chcieli to zrobić.

— Myślisz, że będą chcieli go uniewinnić?

— Niektórzy z pewnością, ale Buckley przedstawi mocne argumenty przemawiające za tym, że popełniono zabójstwo z premedytacją. Facet jest dobry. Sprawi, że przysięgli stracą sympatię do Haileya. Kiedy Buckley z nim skończy, Carl Lee stanie się kolejnym czarnym, który jest sądzony pod zarzutem zabójstwa białego.

Lucien brzęknął kostkami lodu i spojrzał na brązowy płyn.

— Jak się czuje Looney? Za napaść na funkcjonariusza z biura szeryfa z zamiarem pozbawienia go życia grozi kara śmierci, bez możliwości ułaskawienia. Jak chcesz się z tym uporać?

— Nie było zamiaru.

— Świetnie. Twój argument zabrzmi naprawdę przekonująco, kiedy biedak pokuśtyka na ławę dla świadków i pokaże

przysięgłym kikut.

— Kikut?

— Tak. Kikut. Wczoraj w nocy amputowali mu stopę.

— Looneyowi?!

— Taak. Temu samemu, którego postrzelił pan Hailey.

— Sądziłem, że jego stan się poprawił.

— Tak, ale stracił stopę.

— Jak się dowiedziałeś?

— Mam swoje źródła.

Jake podszedł do krawędzi werandy i oparł się o kolumnę. Poczuł mdłości. Lucien ograbił go ponownie z pewności siebie. Facet był specjalistą od wynajdywania dziur w każdej sprawie, którą Jake prowadził. Traktował to jak zabawę i zwykle miał rację.

— Posłuchaj, Jake, nie chciałem przedstawić sytuacji w tak beznadziejnym świetle. Tę sprawę można wygrać. Przedsięwzięcie jest ryzykowne, ale można zwyciężyć. Możesz wyprowadzić go z sądu, ale musisz w to uwierzyć. Tylko nie bądź zbyt pewny siebie. Powiedziałeś już dość prasie. Teraz się wycofaj, zabierz się do roboty.

Lucien podszedł do balustrady i splunął w krzaki.

— Zawsze pamiętaj, że Hailey jest winny. Winny jak cholera. Większość oskarżonych jest winna, a szczególnie ten. Facet wziął prawo we własne ręce, zamordował dwóch ludzi. Wszystko zaplanował i starannie przemyślał. Nasz system prawny nie dopuszcza obywatelskiego samosądu. Masz szansę, a jeśli ci się uda, sprawiedliwość zatriumfuje. Jednak jeśli poniesiesz porażkę, też stanie się jej zadość. To dziwna sytuacja, jak sądzę. Żałuję, że nie miałem takiej sprawy.

— Mówisz poważnie?

— Tak, absolutnie. Taka sprawa to marzenie każdego prawnika procesowego. Jeśli wygrasz, staniesz się sławny. To najcięższe działo w naszym fachu. Sprawa Haileya może uczynić cię bogatym.

— Będę potrzebował twojej pomocy.

— Otrzymasz ją. Przepraszam, muszę cię na chwilę opuścić.

Kiedy po kolacji Hanna zasnęła, Jake powiedział Carli o telefonach z pogróżkami do biura. Dostawali dziwne telefony przed inną sprawą o zabójstwo, którą prowadził, ale nigdy nie było gróźb, pomruków i sapania. Ostatnie telefony były zdecydowanie inne. Dzwoniący wyraźnie wymieniali nazwisko Jake'a i jego rodziny, obiecując zemstę, jeśli Carl Lee zostanie uniewinniony.

— Martwisz się? — spytała.

— Nie. To pewnie jakieś dzieciaki lub przyjaciele Cobba. A ciebie przestraszyły?

— Wolałabym nie otrzymywać takich telefonów.

— Wszyscy je dostają. Ozzie liczy je na setki. Tak samo Bullard i Childers. Każdy. Nie przejmuję się nimi.

— A jeśli sytuacja stanie się poważna?

— Carlo, nigdy nie naraziłbym rodziny. To nie jest tego warte. Jeśli groźby się nasilą, zrezygnuję z prowadzenia sprawy. Przyrzekam.

Nie była pod szczególnym wrażeniem tej obietnicy.

Lester odliczył dziewięć studolarówek i położył je majestatycznie na biurku Jake'a.

— To dziewięćset — zauważył Jake. — Umówiliśmy się na tysiąc.

— Gwen musi mieć na zakupy.

— Jesteś pewien, że to nie Lester potrzebował kasy na whiskey?

— Daj spokój, Jake, przecież wiesz, że nie okradłbym własnego brata.

— Dobrze, dobrze. Kiedy Gwen pójdzie do banku, żeby

pożyczyć resztę?

— Mam dziś spotkanie z bankierem. Znasz Atcavage'a?

— Taak. Stan Atcavage pracuje w banku hipotecznym tuż obok. Jest moim dobrym przyjacielem. To on załatwił pożyczkę przed twoim procesem. Wziąłeś akt własności?

— Mam w kieszeni. Jak myślisz, ile nam pożyczy?

— Nie wiem. Idź i go zapytaj.

Lester wyszedł, a dziesięć minut później Atcavage zadzwonił do Jake'a.

— Słuchaj, Jake, nie mogę pożyczyć forsy tym ludziom. Przecież Hailey może zostać skazany. Nie gniewaj się, wiem, że jesteś dobrym prawnikiem. Pamiętam mój rozwód, ale jak facet mi odda, siedząc w celi śmierci?

— Dzięki. Posłuchaj, Stan, przecież daje jako zabezpieczenie pięć hektarów ziemi.

— Tak, razem z budą, w której mieszka. Pięć hektarów drzew i zielska plus stary dom. Dokładnie to, czego pragnie moja nowa żona. Daj spokój, Jake.

— To ładny dom. Spłacili go niemal w całości.

— Raczej prosta chałupa. Wiem, że jest czysta, ale nie przedstawia żadnej wartości, Jake.

— Musi być coś warta.

— Nie chcę jej, Jake. Bank jej nie chce.

— Kiedyś pożyczyłeś pieniądze pod jej zastaw.

— Bo Hailey nie siedział w więzieniu. W pudle gnił jego brat, pamiętasz? Hailey pracował w papierni. Miał dobrą robotę, a teraz zmierza do Parchman.

— Dzięki, Stan. Dzięki za zaufanie.

— Daj spokój, Jake. Wierzę ci, ale nie mogę pożyczyć pieniędzy na tej podstawie. Tylko ty możesz go wybronić. Mam nadzieję, że tego dokonasz, ale nie mogę udzielić tej pożyczki. Audytorzy podnieśliby straszny krzyk.

Lester spróbował jeszcze w Peoples Bank i Ford National. Z podobnym rezultatem. Mieli nadzieję, że jego brat zostanie

uniewinniony, ale nie byli tego pewni.

Wspaniale, pomyślał Jake. Dziewięćset dolarów za obronę w sprawie o podwójne zabójstwo.

Rozdział 11

Claude nie widział potrzeby wydrukowania menu swojej kawiarni. Wiele lat temu, kiedy rozpoczynał działalność, nie było go na to stać, poza tym większość gości wiedziała, co się tu serwuje. Na śniadanie podawał wszystko z wyjątkiem ryżu i grzanek, a ceny były zróżnicowane. Wszyscy wiedzieli, że w piątek w porze lunchu była łopatka wieprzowa i żeberka z grilla. W ciągu tygodnia miał tylko paru białych klientów, ale w każde piątkowe południe w jego lokalu była połowa białych. Od jakiegoś czasu Claude wiedział, że biali lubią dania z grilla tak samo jak czarni. Jedyna różnica polegała na tym, że nie mieli pojęcia, jak je przyrządzić.

Jake i Atcavage znaleźli mały stolik w pobliżu kuchni. Claude osobiście przyniósł dwa talerze żeberek i surówki z białej kapusty. Pochylił się nad Jakiem i szepnął:

— Powodzenia. Mam nadzieję, że doprowadzisz do jego uniewinnienia.

— Dzięki, Claude. Mam nadzieję, że zasiądziesz w ławie przysięgłych.

Claude wybuchnął śmiechem i powiedział nieco głośniej:

— Mogę się zgłosić na ochotnika?

Jake zaatakował żeberka i zaczął dokuczać Atcavage'owi, bo drań nie chciał udzielić pożyczki jego klientowi. Bankier był jednak uparty. W końcu zaproponował, że pożyczy Haileyowi pięć tysięcy, jeśli Jake podżyruje. To byłoby nieetyczne, wyjaśnił Jake.

Na chodniku utworzyła się kolejka. Ludzie mrużyli oczy, zaglądając do środka przez okna z wymalowanymi literami. Claude dwoił się i troił — odbierał zamówienia, wydawał polecenia, gotował, liczył pieniądze, krzyczał, przeklinał, witał nowych gości i błagał tych, którzy zjedli, aby wyszli. W piątek klienci mieli dwadzieścia minut od momentu dostarczenia posiłku. Później Claude prosił, a czasem żądał, żeby zapłacili i sobie poszli. W ten sposób mógł sprzedać więcej dań z grilla.

— Przestańcie gadać i zabierzcie się do jedzenia! — wołał.

— Mamy jeszcze dziesięć minut, Claude.

— Siedem.

W środy serwował smażonego suma i dawał pół godziny na konsumpcję. Z powodu ości. Biali nie zaglądali tego dnia. Claude dobrze wiedział dlaczego. Chodziło o tłuszcz, sekretną receptę na przyrządzanie sosu, którą, jak twierdził, przekazała mu babka. Ciężki i kleisty sos siał spustoszenie w kiszkach białasów, ale nie odstraszał czarnych, którzy tłoczyli się u niego w każdą środę.

Dwaj obcy siedzieli blisko kasy i ze strachem obserwowali Claude'a dyrygującego podawaniem lunchu. Jake pomyślał, że to reporterzy. Za każdym razem, gdy Claude podnosił głos i rzucał gniewne spojrzenie, pochylali się na talerzami i posłusznie obgryzali żeberka. Nigdy wcześniej nie jedli czegoś takiego, więc wszyscy wiedzieli, że przyjechali z północy. Chcieli surówkę szefa kuchni, ale Claude ich sklął, mówiąc, że mogą dostać danie z grilla albo sobie pójść. Później oznajmił wszem wobec, że ci durnie chcieli surówkę szefa kuchni.

— To wasze żarcie. Pospieszcie się! Zjedzcie raz-dwa! —

powiedział, stawiając talerze na stole.

— Macie noże do steku? — spytał rzeczowo jeden z obcych.

Claude przewrócił oczami i odszedł, mrucząc coś pod nosem.

Jeden z mężczyzn spostrzegł Jake'a. Po upływie kilku minut podszedł i uklęknął przy stoliku.

— Czy pan jest Jake Brigance? Obrońca pana Haileya?

— Tak. Z kim mam przyjemność?

— Jestem Roger McKittrick z „New York Timesa".

— Miło pana poznać — odpowiedział z uśmiechem Jake, zmieniwszy postawę wobec nieznajomego.

— Relacjonuję sprawę Haileya. Chciałbym z panem pogadać. Tak szybko, jak to możliwe.

— Rozumiem. Dziś po południu jestem wolny. Mamy piątek.

— Mogę się spotkać po południu.

— Co pan powie na szesnastą?

— Świetnie — odparł McKittrick, zauważywszy Claude'a wychodzącego z kuchni. — W takim razie do zobaczenia.

— Hej, kolego! — krzyknął na McKittricka Claude. — Wasz czas minął! Płacić i zmiatać!

Jake i Atcavage uwinęli się w piętnaście minut, a później czekali na słowny atak Claude'a. Oblizywali palce, ocierali twarze i rozpływali się w zachwytach nad delikatnością żeberek.

— Sprawa Haileya uczyni cię sławnym, co? — spytał Atcavage.

— Mam nadzieję, bo pewnie nic na niej nie zarobię.

— Mówiłem poważnie, Jake. Czy ta sprawa nie pomoże ci w praktyce?

— Jeśli wygram, będę miał więcej klientów, niż zdołam obsłużyć. Jasne, że pomoże. Będę mógł przebierać w klientach i sprawach jak w ulęgałkach.

— Miałem na myśli sytuację finansową.

— Nie mam zielonego pojęcia. Trudno powiedzieć, kogo przyciągnie ta sprawa. Oczywiście pojawi się więcej propozycji, w których będę mógł wybierać, a to oznacza więcej pieniędzy.

Nie będę musiał się martwić o ogólne koszty działalności.

— Z pewnością.

— Prawnicy nie są nieprzyzwoicie bogaci, Stan. Dyplom prawa nie jest dziś wart tyle co kiedyś. Jest nas po prostu zbyt wielu. Czternastu prawników w małym miasteczku. Konkurencja jest duża, nawet w Clanton. Za mało dobrych spraw, za dużo prawników. Jeszcze gorzej jest w wielkich miastach. Wydziały prawa wypuszczają coraz więcej absolwentów, wielu z nich nie może znaleźć pracy. Co roku do moich drzwi puka dziesięcioro dzieciaków szukających roboty. Duża kancelaria w Memphis kilka miesięcy temu zwolniła paru prawników. Wyobrażasz sobie? Zwolnili ich, jakby pracowali w fabryce. Pewnie poszli do biura zatrudnienia i stanęli w kolejce razem z operatorami spycharek. Dziś przyszła pora na prawników! Nie na sekretarki i kierowców ciężarówek, ale na prawników!

— Przepraszam, że spytałem.

— To zrozumiałe, że martwię się kosztami. Mam cztery tysiące miesięcznie kosztów, a prowadzę praktykę sam. To pięćdziesiąt tysięcy rocznie, zanim zdołam cokolwiek zarobić. Niektóre miesiące są dobre, inne złe. Sytuacja jest nieprzewidywalna. Nie odważyłbym się powiedzieć, czy w przyszłym miesiącu wyjdę na swoje. Dlatego ta sprawa jest taka ważna. Nigdy nie będę miał podobnej. Jest największa z tych, które prowadziłem. Mogę praktykować do końca życia i nigdy nie zostać zagadnięty w kawiarni przez reportera „New York Timesa” proszącego o udzielenie wywiadu. Jeśli wygram, stanę się numerem jeden w tej części stanu. Wtedy będę mógł zapomnieć o kosztach ogólnych.

— A jeśli przegrasz?

Jake rozejrzał się wokół w poszukiwaniu Claude’a.

— Rozgłos będzie wielki, niezależnie od wyniku. Wygram czy przegram, ta sprawa pomoże mi w karierze prawniczej. Z drugiej strony przegrana naprawdę zaboli. Każdy prawnik w naszym okręgu po cichu liczy, że spieprzę sprawę. Chcą, żeby

Hailey został skazany. Są zazdrośni, obawiają się, że stanę się zbyt sławny i odbiorę im klientów. Prawnicy są bardzo zazdrośni.

— Ty też?

— Oczywiście. Weźmy firmę Sullivana. Gardzę każdym prawnikiem pracującym w tej kancelarii, ale im zazdroszczę. Żałuję, że nie mam ich klientów, zaliczek i poczucia bezpieczeństwa. Co miesiąc otrzymują suty czek, to niemal gwarantowane, a przed świętami inkasują pokaźną premię. To tacy prawnicy symbolizują dawne pieniądze, stałe zyski. Sam chętnie spróbowałbym czegoś takiego dla odmiany. A ja? Reprezentuję pijaczków, oprychów, mężów maltretujących żony i poszkodowanych ludzi, z których większość ma niewielkie pieniądze albo nie posiada ich wcale. Nigdy nie wiem, ilu przyjdzie do mnie za miesiąc...

— Posłuchaj, Jake — przerwał mu Atcavage. — Chciałbym dokończyć naszą rozmowę, ale Claude gapi się na zegarek i zerka na nas. Obawiam się, że nasze dwadzieścia minut dobiegło końca.

Rachunek Jake'a był o siedemdziesiąt jeden centów wyższy od rachunku Atcavage'a, a ponieważ zamówili to samo, poprosili Claude'a o wyjaśnienie. Nie ma problemu, powiedział Claude. Jake dostał jedno żeberko więcej.

McKittrick był przystojny i precyzyjny, choć nachalny. Przyjechał do Clanton w środę, żeby wybadać sytuację i napisać o tym, co okrzyknięto najgłośniejszym procesem o zabójstwo w kraju. Odbył rozmowę z Ozziem i Mossem Juniorem, którzy zasugerowali, aby pogadał z Jakiem. Przeprowadził wywiad z Gwen i Lesterem, ale nie pozwolono mu porozmawiać z dziewczynką. Odwiedził stałych bywalców Coffee Shopu i Tea Shoppe oraz klientelę knajpy Hueya i Ann's Lounge. Pogadał z byłą żoną Willarda i jego matką, ale pani Cobb miała dość reporterów. Jeden z braci Cobba zaproponował, że porozmawia

z nim, jeśli zapłaci. McKittrick zrezygnował. Pojechał do papierni i pogadał z kolegami Haileya. Później wybrał się do Smithfield, żeby zamienić słówko z prokuratorem okręgowym. Miał spędzić w mieście jeszcze kilka dni, a później wrócić na rozprawę.

Pochodził z Teksasu i kiedy było mu to na rękę, lekko przeciągał samogłoski, co robiło wrażenie na miejscowych i sprawiało, że się przed nim otwierali. Czasami mówił nawet w sposób, który odróżniał go od większości reporterów, dbających o wyraźną, precyzyjną i nowoczesną amerykańską wymowę.

— Co to jest? — McKittrick wskazał przedmiot stojący na środku biurka Jake'a.

— Magnetofon — wyjaśnił grzecznie Jake.

McKittrick ustawił na stole własny i spojrzał na Jake'a.

— Mogę spytać dlaczego?

— Oczywiście. To moja kancelaria i mój wywiad, więc jeśli zechcę, będę go nagrywał.

— Spodziewa się pan kłopotów?

— Staram się im zapobiec. Nie lubię być błędnie cytowany.

— To nie w moim stylu.

— Świetnie. W takim razie nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli obaj wszystko nagramy.

— Pan mi nie ufa, prawda, panie Brigance?

— Nie ufam, do licha. Nawiasem mówiąc, proszę mówić mi Jake.

— Dlaczego mi nie ufasz?

— Bo jesteś reporterem i pracujesz dla nowojorskiej gazety. Bo szukasz sensacyjnego materiału. Bo jeśli jesteś taki jak twoi koledzy, napiszesz wskazujący na szeroką wiedzę, moralistyczny gniot przedstawiający nas jako rasistów i wsioków.

— Jesteś w błędzie. Zacznijmy od tego, że pochodzę z Teksasu.

— Ale pracujesz dla gazety z Nowego Jorku.

— Mimo to uważam się za mieszkańca Południa.

— Dawno wyjechałeś?

— Dwadzieścia lat temu.

Jake uśmiechnął się i pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że to za długo.

— I nie pracuję dla gazety goniącej za sensacjami.

— Zobaczymy. Do procesu zostało kilka miesięcy. Będziemy mieli czas, żeby przeczytać twoje artykuły.

— Wystarczająco dużo czasu.

Jake wcisnął przycisk nagrywania na swoim urządzeniu, a McKittrick na swoim.

— Czy Carl Lee Hailey może zostać sprawiedliwie osądzony w okręgu Ford?

— A czemu nie? — spytał Jake.

— Bo jest czarny. Zabił dwóch białych i będzie sądzony przez białą ławę przysięgłych.

— Masz na myśli grupę białych rasistów?

— Nie. Nie powiedziałem ani nie zasugerowałem tego. Czemu automatycznie zakładasz, że uważam was za bandę rasistów?

— Bo tak o nas myślicie. Przypisano nam stereotyp, dobrze o tym wiesz.

McKittrick wzruszył ramionami i zapisał coś w notatniku.

— Możesz odpowiedzieć na pytanie?

— Tak. Carl Lee Hailey może zostać sprawiedliwie osądzony w okręgu Ford, jeśli właśnie tu odbędzie się proces.

— Chcesz, żeby tak było?

— Na pewno podejmiemy próbę zmiany miejsca procesu.

— Na jakie?

— Nie będziemy sugerować miejsca. Decyzja należy do sędziego.

— Skąd twój klient wytrzasnął karabin M szesnaście?

Jake zachichotał i spojrzał na magnetofon.

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Czy zostałby postawiony w stan oskarżenia, gdyby był

biały?

— Jest czarny i jeszcze nie został oskarżony.

— Czy gdyby był biały, usłyszałby oskarżenie?

— Moim zdaniem, tak.

— Czy zostałby skazany?

— Zapalisz cygaro? — Jake otworzył szufladę biurka i wymacał roi-tana. Rozpakował cygaro, a następnie przypalił gazową zapalniczką.

— Nie, dziękuję.

— Nie. Gdyby był biały, nie zostałby skazany. Według mnie nie zostałby skazany w Missisipi, Teksasie ani Wyoming. Nie jestem pewien, jaki byłby werdykt w Nowym Jorku.

— Dlaczego?

— Masz córkę?

— Nie.

— To nie zrozumiesz.

— Postaram się. Czy pan Hailey zostanie skazany?

— Pewnie tak.

— Czy nasz system nie jest równie sprawiedliwy dla czarnych?

— Rozmawiałeś z Raymondem Hughesem?

— Nie. Kto to taki?

— Ubiegał się o urząd szeryfa w ostatnich wyborach, ale miał pecha, bo jego rywalem był Ozzie Walls. Hughes jest biały. Oczywiście nie można tego powiedzieć o Ozziem. Jeśli się nie mylę, Hughes dostał trzydzieści jeden procent głosów. W okręgu, który liczy siedemdziesiąt cztery procent białych. Czemu nie zapytasz pana Hughesa, czy system nie traktuje czarnych sprawiedliwie?

— Miałem na myśli system sądowniczy.

— To ten sam system. Kto według ciebie zasiada w ławie przysięgłych? Ci sami zarejestrowani wyborcy, którzy głosowali na Ozziego Wallsa.

— Czy system tak samo traktuje białych i czarnych, skoro

biały nie zostałby skazany, a pan Hailey pewnie usłyszy wyrok skazujący? Możesz to wyjaśnić?

— Nie traktuje ich tak samo.

— Nie rozumiem.

— Nasz system stanowi odzwierciedlenie społeczeństwa. Nie zawsze jest sprawiedliwy, ale jest równie sprawiedliwy jak w Nowym Jorku, Massachusetts lub Kalifornii. Jest w takim stopniu pełen uprzedzeń, w jakim mogą go nim uczynić reagujący emocjonalnie ludzie.

— Myślisz, że pan Hailey zostałby osądzony tak samo sprawiedliwie tutaj jak w Nowym Jorku?

— Powiedziałem jedynie, że w Nowym Jorku jest tyle samo rasizmu co w Missisipi. Spójrz na nasze szkoły publiczne: czarne i białe dzieci uczą się razem, jak wszędzie indziej.

— Wykonują nakaz sądowy.

— To prawda, a co z sądami w Nowym Jorku? Przez całe lata wy, świętoszkowaci dranie, wytykaliście nas palcami i zadzieraliście nosa, żądając, abyśmy wprowadzili zasadę desegregacji. Zdarzały się przypadki jej naruszenia, ale nie był to koniec świata. Z drugiej strony wygodnie pomijaliście własne szkoły i okolicę, naruszenie przepisów wyborczych, ławy przysięgłych i rady miejskie złożone wyłącznie z białych. Pomyliliśmy się i ponieśliśmy surową karę. Jednak wyciągnęliśmy wnioski. Chociaż zmiany były powolne i bolesne, przynajmniej próbowaliśmy coś zrobić. A wy nic, tylko wytykacie nas palcami!

— Nie zamierzałem doprowadzić do nowej bitwy pod Gettysburgiem.

— Przepraszam. Jaką linię obierzemy? Nie wiem. Szczerze mówiąc, za wcześnie jest o tym mówić. Mój klient nie został jeszcze postawiony w stan oskarżenia.

— To oczywiste, że zostanie oskarżony.

— Oczywiste jest jedynie to, że jeszcze tego nie wiemy. Pewnie stanie się, jak powiedziałeś. Kiedy wyjdzie ten artykuł?

— Może w niedzielę.

— To bez różnicy. Nikt tu nie czyta waszej gazety. Tak, usłyszy oskarżenie.

— Posłuchaj, nie jestem złym facetem — powiedział McKittrick. — Chodźmy gdzieś na piwo i dokończmy rozmowę.

— Mówiąc między nami, nie piję alkoholu, ale przyjmuję zaproszenie.

Pierwszy Kościół Prezbiteriański w Clanton znajdował się naprzeciw Pierwszego Zjednoczonego Kościoła Metodystycznego w Clanton, a oba były widoczne ze znacznie większego Pierwszego Kościoła Baptystów. Baptyści mieli więcej członków i więcej pieniędzy, ale w niedzielę prezbiterianie wcześniej rozpoczynali nabożeństwo i wyprzedzali baptystów w wyścigu do restauracji na świąteczny obiad. Baptyści zjawiali się o dwunastej trzydzieści i czekali w kolejce, podczas gdy prezbiterianie i metodyści wolno przeżuwali obiad i machali im przyjaźnie.

Jake był rad, że nie jest baptystą, bo baptyści byli ciut ograniczeni i przesadnie surowi, a na dodatek bez przerwy prawili kazania o wieczornych niedzielnych nabożeństwach, a Jake zawsze miał problem z tym rytuałem. Carla pochodziła z rodziny baptystów, a Jake był metodystą. We wczesnym okresie narzeczeństwa wynegocjowali kompromis i oboje zostali prezbiterianami. Byli zadowoleni ze swojego Kościoła i jego działalności, i rzadko opuszczali wspólne spotkania.

W niedzielę siedzieli w swojej ławce z Hanną drzemiącą pomiędzy nimi, nie zwracając uwagi na kazanie. Jake ignorował je, obserwując kaznodzieję i wyobrażając sobie sądową konfrontację z Buckleyem przed obliczem dwunastu prawych i sprawiedliwych obywateli, na oczach obserwującego i czekającego w napięciu narodu. Carla ignorowała je, obserwując duchownego i w myślach zmieniając wystrój pokoju stołowego.

Jake zauważył kilka badawczych spojrzeń podczas nabożeństwa i pomyślał, że jego współbracia odczuwali dumę z tego, że mieli w swoim gronie taką sławę. Wśród obecnych spostrzegł kilka nieznajomych twarzy. Mogli należeć do dawnych zbłąkanych, którzy rozpoczęli pokutę, lub reporterów. Jake nie był pewny, dopóki jeden z nich nie zaczął się na niego uporczywie gapić. Wtedy już wiedział — wszyscy byli reporterami.

— Dobre kazanie, wielebny — skłamał, podając rękę duchownemu na stopniach przed kaplicą.

— Miło cię wiedzieć, Jake — odpowiedział pastor. — Cały tydzień oglądaliśmy cię w telewizji. Moje dzieci były podekscytowane za każdym razem, gdy pojawiałeś się na ekranie.

— Dziękuję. Módlcie się za nas.

Niedzielny lunch zjedli w Karaway z rodzicami Jake'a. Gene i Eva Brigance mieszkali w starym domu, rozległej wiejskiej rezydencji położonej na dwóch hektarach porośniętej drzewami ziemi w centrum Karaway, trzy przecznice od Main Street i dwie od szkoły, w której Jake i jego siostra spędzili po dwanaście lat. Oboje byli na emeryturze, ale wystarczająco młodzi, żeby każdego lata podróżować po kraju wozem kempingowym. W poniedziałek mieli wyjechać do Kanady i wrócić na początku września. Jake był ich jedynym synem. Jego starsza siostra mieszkała w Nowym Orleanie.

W porze niedzielnego lunchu na stole Evy pojawiała się typowa uczta południowców złożona ze smażonego mięsa, świeżych warzyw z ogródka — gotowanych, smażonych w cieście i surowych — oraz domowych bułek i babeczek, dwóch sosów pieczeniowych, arbuza, melona, placka brzoskwiniowego, ciasta cytrynowego i kruchego ciasta z truskawkami. Zjadali niewielką część tego, co przygotowano, a po posiłku Eva i Carla starannie pakowały resztki, które później młodzi Brigance'owie zabierali do Clanton i żywili się nimi cały tydzień.

— Jak się mają twoi rodzice, Carlo? — spytał pan Brigance,

podając bułeczki.

— W porządku. Wczoraj rozmawiałam z mamą.

— Są w Knoxville?

— Nie, proszę pana. Wyjechali do Wilmington na lato.

— Pojedziecie ich odwiedzić? — spytała Eva, nalewając herbatę z czterolitrowego porcelanowego dzbanka.

Carla spojrzała na Jake'a, który nakładał Hannie fasolkę z masłem. Jake nie chciał rozmawiać o sprawie Haileya. Od poniedziałku koncentrowały się na niej wszystkie rozmowy przy posiłkach, a on nie był w nastroju, żeby odpowiadać na pewne pytania.

— Tak. Taki mamy plan. Wszystko zależy od pracy Jake'a. Czeka go pracowite lato.

— Słyszeliśmy — skwitowała beznamiętnie Eva. Wycedziła słowa powoli, jakby chciała przypomnieć synowi, że nie zadzwonił do nich od czasu podwójnego zabójstwa.

— Telefon wam się popsuł czy co, synku? — zapytał pan Brigance.

— Zmieniliśmy numer.

Czterej dorośli jedli powoli i ostrożnie, a Hanna popatrywała na kruche ciasto z truskawkami.

— Wiem. Operator powiedział, że numer został zastrzeżony.

— Przepraszam. Byłem bardzo zajęty. Mam istne urwanie głowy.

— Tak czytaliśmy — odrzekł ojciec.

Eva przestała jeść i odchrząknęła.

— Jake, naprawdę myślisz, że zdołasz wywalczyć uniewinnienie?

— Martwię się o twoją rodzinę. — Ojciec westchnął. — To może być bardzo niebezpieczna sprawa.

— Ten Hailey zastrzelił ich z zimną krwią — dodała Eva.

— Ci ludzie zgwałcili jego córkę, mamo. Co byś zrobiła, gdyby ktoś zgwałcił Hannę?

— Co to znaczy zgwałcić? — spytała mała.

— Nieważne, kochanie — odpowiedziała Carla. — Moglibyście zmienić temat. — Spojrzała stanowczym wzrokiem na trzech przedstawicieli rodziny Brigance'ów, a ci ponownie zabrali się do jedzenia. Synowa przemówiła, jak zwykle pełna mądrości.

Jake uśmiechnął się do matki, nie patrząc na ojca.

— Nie chcę mówić o tej sprawie, mamo. Mam jej po dziurki w nosie.

— Pewnie będziemy musieli o niej przeczytać — skwitował pan Brigance.

Zaczęli więc rozmawiać o Kanadzie.

Kiedy Brigance'owie kończyli lunch, kaplica Góry Syjon Chrześcijańskiego Metodystycznego Kościoła Episkopalnego zaczęła się kołysać i podskakiwać. Najczcigodniejszy wielebny Ollie Agee wprawił wiernych w chwalebny szał. Diakoni tańczyli. Starsi śpiewali. Kobiety mdlały. Dorośli mężczyźni krzyczeli i wznosili ręce ku niebu, a małe dzieci z przerażeniem patrzyły w górę. Członkowie chóru falowali, wykonując gwałtowne ruchy i podrygując. Po chwili przerwali wspólny śpiew i zaczęli nucić różne zwrotki tej samej pieśni. Organista grał jeden hymn, pianista drugi, a chór śpiewał, co mu przyszło do głowy. Wielebny podskakiwał za pulpitem, w długiej todze z fioletowym wykończeniem, krzycząc, zanosząc modły, wołając do Boga i pocąc się obficie.

Harmider nasilał się i słabł, wzmagał z każdym nowym przypadkiem utraty przytomności, aby po chwili opaść z wyczerpania. Po latach doświadczenia Agee wiedział, kiedy uniesienie osiągnie szczyt, ekstaza ustąpi miejsca wyczerpaniu, a jego trzódka będzie potrzebowała chwili wytchnienia. W dokładnie określonym momencie przyskakiwał do pulpitu i walił w niego z mocą samego Boga wszechmogącego. Muzyka natychmiast cichła, a konwulsyjne drgania ustawały. Ci, którzy

zemdleli, odzyskiwali przytomność, dzieci przestawały płakać, a rzesza wiernych przysiadała ulegle w ławkach. Przyszła pora na kazanie.

Wielebny już miał otworzyć usta i zacząć głosić, gdy otworzyły się tylne drzwi i do kaplicy weszli Haileyowie. Mała Tonya szła sama, lekko utykając, trzymając mamę za rękę. Za nią maszerowali bracia, a na końcu wujek Lester. Ruszyli wolnym krokiem między ławkami, aby znaleźć wolne miejsca z przodu. Wielebny skinął głową organiście, który zaczął cicho grać. Po chwili chór się zakołysał i zaczął nucić. Diakoni powstali i zaczęli falować wespół z chórem. Starsi nie pozwolili się prześcignąć, wstali i podjęli śpiew. Później, nie wiedzieć czemu, siostra Crystal zemdlała. Jej omdlenie okazało się zaraźliwe i inne siostry zaczęły się osuwać na podłogę. Starsi śpiewali głośniej od chóru, co zachęciło chór do większych starań. Nie można było usłyszeć organisty, więc ten zaczął głośniej grać. Po chwili przyłączył się pianista, głośno wygrywając hymn nieco inny od granego przez organistę. Organista odpowiedział gromkim akordem. Wielebny Agee zeskoczył z podium i tanecznym krokiem ruszył w stronę Haileyów. Wszyscy podążyli w ślad za nim — członkowie chóru, diakoni, starsi, niewiasty i płacząca dziatwa. Wszyscy ruszyli za wielebnym, aby powitać małą dziewczynkę Haileyów.

⅄ ⅄ ⅄

Pobyt w więzieniu nie przeszkadzał Carlowi Lee. Jasne, że w domu byłoby przyjemniej, ale w obecnych okolicznościach uznał więzienne życie za całkiem znośne. Więzienie było nowe, zbudowane za federalne pieniądze pod nadzorem organizacji obrony praw osadzonych. Żarcie przygotowywały dwie korpulentne czarne niewiasty, które wiedziały, jak gotować i podrabiać czeki. Kwalifikowały się do przedterminowego zwolnienia, ale Ozzie nie zadał sobie trudu, aby je o tym zawiadomić. Jedzenie przygotowane dla około czterdziestu

więźniów rozdzielali uprzywilejowani skazańcy. Trzynastu osadzonych powinno przebywać w Parchman, ale tamtejsze więzienie pękało w szwach. Czekali, nie wiedząc, czy następnego dnia nie wyruszą w przerażającą podróż do rozległej, odgrodzonej od świata farmy w Delcie, gdzie żarcie nie było tak dobre, a łóżka tak wygodne. W tamtejszym zakładzie nie było klimatyzacji, za to mnóstwo ogromnych, zajadłych komarów. Jakby tego było mało, w nielicznych ubikacjach panował tłok.

Klitka Carla Lee znajdowała się obok dwójki — celi, w której czekali więźniowie stanowi. Z wyjątkiem dwóch wszyscy byli czarni. Czarni i agresywni. Mimo to wszyscy bali się Carla Lee dzielącego jedynkę z dwoma złodziejami sklepowymi, którzy byli nie tyle zestrachani, ile wręcz przerażeni słynnym towarzyszem celi. Co wieczór Carla Lee prowadzono do biura szeryfa, gdzie jadł kolację i oglądał wiadomości razem z Ozziem Wallsem. Był sławną postacią i lubił to niemal tak bardzo, jak jego prawnik i prokurator okręgowy. Chciał wyjaśnić sytuację reporterom. Opowiedzieć im o córce i wytłumaczyć, dlaczego nie powinien siedzieć w więzieniu. Chciał, ale prawnik mu zabronił.

Kiedy Gwen i Lester wyszli późnym niedzielnym popołudniem, Ozzie, Moss Junior i Carl Lee wyślizgnęli się tylnymi drzwiami z więzienia i pojechali do szpitala. Pomysł wyszedł od Carla Lee, a Ozzie nie dostrzegł w nim niczego złego. Looney leżał sam w pojedynczym pokoju, kiedy wspomniana trójka weszła do środka. Carl Lee rzucił okiem na nogę, a później spojrzał na Looneya. Podali sobie ręce. Później Carl Lee ze łzami w oczach powiedział, że bardzo żałuje. Łamiącym się głosem oświadczył, że nie miał zamiaru wyrządzić krzywdy nikomu oprócz tamtych dwóch. Żałuje, że tak się stało. Wie, że nie zdoła tego cofnąć. Looney bez chwili namysłu przyjął przeprosiny.

Jake czekał w biurze Ozziego, kiedy wślizgnęli się ukradkiem do więzienia. Ozzie i Moss Junior wyszli, mówiąc, że mają coś

do zrobienia, pozostawiając aresztanta z jego prawnikiem.

— Gdzie byliście? — spytał podejrzliwie Jake.

— Pojechaliśmy do szpitala, żeby odwiedzić Looneya.

— Co?!

— Przecież to nic złego, prawda?

— Uprzedź mnie przed kolejnymi wizytami.

— Cóż złego w tym, że odwiedziłem Looneya?

— Looney będzie głównym świadkiem oskarżenia. Będą chcieli skazać cię na komorę gazową. To wszystko. Looney nie jest po naszej stronie, Carl. Powinieneś rozmawiać z Looneyem wyłącznie w obecności swojego prawnika. Zrozumiałeś?

— Nie do końca.

— Nie mogę uwierzyć, że Ozzie się na to zgodził — mruknął Jake.

— To był mój pomysł — przyznał potulnie Carl Lee.

— Jeśli przyjdą ci do głowy inne pomysły, daj mi łaskawie znać. Dobrze?

— Dobrze.

— Rozmawiałeś z Lesterem?

— Taak, odwiedził mnie dzisiaj z Gwen. Przyniósł smakołyki. Powiedział o bankach.

Jake miał zamiar twardo walczyć o swoje honorarium. Nie ma mowy, żeby reprezentował Carla Lee za dziewięćset dolarów. Jego sprawa zajmie mu co najmniej trzy miesiące, zatem dziewięćset dolców oznaczałoby mniej niż minimalna płaca. To niesprawiedliwe, żeby on lub jego rodzina pracowali darmo. Carl Lee musiał zwyczajnie znaleźć pieniądze. Miał wielu krewnych. Gwen miała liczną rodzinę. Musieliby ponieść pewną ofiarę, być może sprzedać kilka samochodów, kawałek ziemi, ale Jake otrzymałby zapłatę. Jeśli nie, Carl Lee będzie musiał poszukać innego prawnika.

— Dam ci tytuł własności do mojej ziemi — zaoferował Carl Lee.

Jake zmiękł.

— Nie chcę twojego domu. Chcę gotówki. Sześć tysięcy pięćset dolarów.

— Powiedz mi jak, a to załatwię. Jesteś prawnikiem, znajdź sposób. Jestem po twojej stronie.

Jake był pokonany i o tym wiedział.

— Nie mogę cię bronić za dziewięćset dolarów, Carl. Nie mogę pozwolić, żeby ta sprawa doprowadziła do bankructwa moją firmę. Człowieku, jestem prawnikiem. Powinienem zarabiać pieniądze.

— Zapłacę ci, Jake. Obiecuję. Może to trochę potrwać, ale zapłacę. Zaufaj mi.

Nie zapłacisz, jeśli trafisz do celi śmierci, pomyślał Jake. Zmienił temat.

— Czy wiesz, że jutro zbierze się Wielka Ława Przysięgłych? Będą rozpatrywać twoją sprawę.

— Pojadę do sądu?

— Nie, jutro zostaniesz postawiony w stan oskarżenia. Sąd będzie pełen ludzi i reporterów. Zjawi się sędzia Noose, żeby otworzyć majową sesję sądu. Buckley będzie krążył w kółko, uganiając się za kamerami i głośno przechwalając. To będzie wielki dzień. Po południu Noose rozpocznie proces w sprawie napadu z bronią w ręku. Jeśli jutro zostaniesz oskarżony, w środę lub czwartek pojedziesz do sądu, aby wysłuchać treści oskarżenia.

— Co?

— Musisz wysłuchać oskarżenia. W sprawie o zabójstwo zagrożone karą śmierci prawo nakazuje odczytanie podejrzanemu aktu oskarżenia podczas otwartego posiedzenia, w obecności Boga i świadków. Złożymy wniosek o uniewinnienie, a Noose ustali datę procesu. Poprosimy o wyznaczenie rozsądnej kaucji, a on odmówi. Kiedy wspomnę o kaucji, Buckley podniesie rwetes i zrobi wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę. Im dłużej o nim myślę, tym bardziej faceta nie cierpię. Buckley da się nam poważnie we znaki.

— Czemu nie będę mógł wyjść za kaucją?

— W przypadku procesu o morderstwo sędzia nie musi wyznaczać kaucji. Może, jeśli zechce, ale w większości przypadków tego nie robi. Nawet jeśli Noose wyznaczy kaucję, nie będziesz mógł jej zapłacić, więc nie zajmuj się tym. Pozostaniesz w więzieniu do czasu rozprawy.

— Straciłem robotę, wiesz?

— Kiedy?

— Gwen pojechała tam w piątek i odebrała czek z wypłatą. Wtedy jej powiedzieli. Prawda, że ładnie? Pracowałem tam jedenaście lat. Opuściłem piętnaście dni, a teraz mnie wywalili. Chyba pomyśleli, że już nie wrócę.

— Przykro mi to słyszeć. Naprawdę przykro.

Rozdział 12

Czcigodny Omar Noose nie zawsze był tak czcigodny. Zanim został sędzią Dwudziestego Drugiego Obwodu Sądowego, był miernym prawnikiem niewielu klientów, ale jego umiejętności polityczne były zaiste olśniewające. Pięć kolejnych kadencji w Zgromadzeniu Ustawodawczym stanu Missisipi skorumpowało go do cna, nauczyło sztuki politycznego szwindlu oraz szlachetnej manipulacji. Senator Noose nieźle prosperował jako przewodniczący Senackiej Komisji Finansów. Paru ludzi z okręgu Van Buren zastanawiało się, jakim cudem on i jego rodzina mogą tak dostatnio żyć z ustawowego wynagrodzenia rzędu siedmiu tysięcy dolarów rocznie.

Jak większość członków Zgromadzenia Ustawodawczego Missisipi, ubiegał się o powtórny wybór jeden raz za dużo i latem 1971 został upokorzony przez nieznanego przeciwnika. Rok później, kiedy zmarł sędzia Loopus, jego poprzednik na sędziowskim stołku, Noose przekonał swoich przyjaciół ze Zgromadzenia, aby mianowali go zastępcą Loopusa do końca kadencji. W ten sposób były senator Noose stał się sędzią

Noose'em. Później wybrano go w 1975 roku i ponownie w latach 1979 i 1983.

Pełen skruchy, zreformowany i upokorzony szybkim upadkiem, sędzia Noose oddał się studiowaniu prawa i po niepewnym starcie dorósł do wyzwania. Dostawał sześćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, więc stać go było na uczciwość. Dziś, w wieku sześćdziesięciu trzech lat, był mądrym starym sędzią szanowanym przez większość prawników i stanowy Sąd Najwyższy, który rzadko uchylał jego postanowienia. Był cichy, ale czarujący, cierpliwy, ale surowy, na dodatek miał ogromny pomnik w postaci nosa, który był bardzo długi i bardzo spiczasty i pełnił funkcję tronu dla okularów do czytania w czarnej ośmiokątnej oprawie, które stale nosił, choć rzadko używał. Wspomniany nos i wysoka, niezgrabna figura, a do tego dzikie, nieujarzmione gęste siwe włosy oraz piszczący głos zyskały mu wśród prawników sekretny przydomek. Mówili na niego Ikabod*. Ikabod Noose. Czcigodny Ikabod Noose.

Ikabod Noose zajął miejsce, a zgromadzeni powstali z miejsc, gdy Ozzie zaczął nieskładnie mamrotać wymagany ustawowo paragraf, którym oficjalnie otwierano majową sesję posiedzeń sądu obwodowego w okręgu Ford. Miejscowy duchowny wzniósł długą kwiecistą modlitwę, a później zgromadzeni usiedli. Kandydaci na przysięgłych zajmowali jedną część sali sądowej. Przestępcy i strony procesu wraz z rodzinami i przyjaciółmi, prasą oraz gapiami okupowali drugą. Noose wymagał, aby każdy prawnik z okręgu uczestniczył w rozpoczęciu sesji. Członkowie palestry siedzieli w ławie przysięgłych, każdy w pełnym stroju i z ważną miną. Buckley i jego asystent, D.R. Musgrove, usadowili się za stołem oskarżenia, okazale reprezentując stan. Jake usiadł sam na drewnianym krześle przed barierką. Urzędnicy i protokolanci sądowi stali za stołem, na którym leżały duże oprawne w czerwoną skórę sądowe rejestry wyroków i spraw

---

* Ikabod (hebr.) — niesławny; imię biblijne.

w toku, razem z pozostałymi z zapartym tchem obserwując, jak Ikabod sadowi się w fotelu ponad ławą, wygładza togę, poprawia ohydne okulary do czytania i łypie sponad nich na obecnych.

— Dzień dobry — powitał zebranych donośnym piskliwym głosem. Przysunął sobie mikrofon i odchrząknął. — Zawsze się cieszę, gdy mogę gościć w okręgu Ford na majowej sesji sądu. Widzę, że jak zwykle większość członków palestry zjawiła się na pierwsze posiedzenie. Poproszę panią Clerk, by zanotowała nazwiska nieobecnych, żebym mógł się z nimi osobiście skontaktować. Widzę też wielu kandydatów na przysięgłych. Dziękuję każdemu z was za przybycie. Wiem, że nie mieliście wyboru, ale wasza obecność ma żywotne znaczenie dla naszego systemu sądowniczego. Szybko powołamy Wielką Ławę Przysięgłych, a następnie wybierzemy kilka ław przysięgłych, które będą pracować w tym i następnym tygodniu. Ufam, że każdy z członków palestry ma kopię spraw na wokandzie. Pewnie zauważyliście, że sporo się tego zebrało. W moim kalendarzu mam zaplanowane przynajmniej dwie rozprawy na każdy dzień obrad w tym i następnym tygodniu, ale jak rozumiem większość spraw karnych dotyczy wyznaczenia kaucji. Mimo to mamy dużo roboty, więc proszę palestrę o sumienną współpracę. Kiedy powołamy nową Wielką Ławę Przysięgłych i zabierzemy się do pracy, zaczną wpływać formalne oskarżenia, a wtedy zaplanuję ich odczytanie i pierwsze sesje. Omówmy zatem szybko sprawy na wokandzie. Najpierw sprawy karne, później cywilne. Podczas wyboru członków Wielkiej Ławy Przysięgłych pełnomocnicy stron będą proszeni o wyjście z sali.

— Stan przeciwko Warrenowi Moke'owi. Napad z bronią w ręku, rozprawa wyznaczona na dzień dzisiejszy.

Buckley podniósł się wolno i dostojnie.

— Stan Missisipi jest gotów, Wysoki Sądzie — oznajmił pompatycznie ku uciesze widzów.

— Obrona również — odrzekł Tyndale, obrońca wyznaczony przez sąd.

— Ile czasu zaplanował pan na proces? — zapytał sędzia.

— Półtora dnia — odpowiedział Buckley. Tyndale skinął głową na znak zgody.

— Dobrze. Dzisiaj rano wybierzemy ławę przysięgłych i o trzynastej rozpoczniemy posiedzenie. Stan przeciwko Williamowi Daalowi. Sześciokrotne fałszerstwo, rozprawa wyznaczona na jutro.

— Wysoki Sądzie — odpowiedział D.R. Musgrove. — W tej sprawie doszło do ugody między stronami.

— Rozumiem. Stan przeciwko Rogerowi Horntonowi, kradzież mienia dużej wartości, dwukrotna. Rozprawa wyznaczona na jutro.

Noose omawiał kolejne punkty wokandy. Każda sprawa budziła jakiś odzew. Buckley wstawał i oznajmiał, że stan jest gotów lub D.R. Musgrove cicho informował Wysoki Sąd o wynegocjowanej ugodzie. Obrońcy podnosili się i kiwali głowami. Jake nie miał żadnych spraw w sesji majowej, ale choć udawał znudzonego, był rad, że omawiają sprawy na wokandzie. W ten sposób mógł się dowiedzieć, jakie sprawy będą rozpatrywane i co robi konkurencja. Miał również okazję dobrze się zaprezentować przed paroma miejscowymi ważniakami. Oczywiście przyszli także wszyscy prawnicy z kancelarii Sullivana. Podobnie jak Jake starali się wyglądać na znudzonych, siedząc arogancko w pierwszym rzędzie ławy przysięgłych. Starsi wspólnicy firmy Sullivan nie ośmieliliby się nie pojawić na posiedzeniu dotyczącym wokandy, okłamując Noose'a, że mieli rozprawę w sądzie federalnym w Oxfordzie lub Sądzie Najwyższym w Jackson. Poczucie godności nie pozwalało im jednak przebywać w towarzystwie zwykłych członków palestry, więc wysłali młodszych asystentów, aby zadowolili Noose'a i zażądali, by sprawy cywilne ich kancelarii zostały wznowione, odroczone, opóźnione, zagrane na zwłokę lub rozegrane w taki sposób, aby firma mogła je ciągnąć w nieskończoność, otrzymując godziwą stawkę za godzinę. Ich

klientami były firmy ubezpieczeniowe, które zwykle wolą nie chodzić do sądu i są gotowe płacić godzinowe stawki za prawne manipulacje mające na celu utrzymanie ich jak najdalej od procesu. Oczywiście byłoby taniej i sprawiedliwiej zapłacić rozsądne odszkodowanie, unikając sądowych sporów i pasożytniczych kancelarii prawniczych, takich jak Sullivan & O'Hare, ale firmy ubezpieczeniowe i ich rzeczoznawcy byli zbyt głupi i pospolici, więc prawnicy ulicy pokroju Jake'a Brigance'a zarabiali na życie pozywaniem ich i zmuszaniem, aby zapłaciły więcej niż wówczas, gdyby od początku zachowywały się przyzwoicie. Jake nienawidził firm ubezpieczeniowych i prawników, którzy je reprezentowali, a szczególnie młodszych prawników z kancelarii Sullivana. Wszyscy wspomniani byli w jego wieku i wszystkim chętnie podciąłby gardło, wraz z gardłami ich wspólników i kandydatów na wspólników, którzy wyciągali dwieście tysięcy rocznie i nie stawiali się na posiedzeniach w sprawie wokandy.

Jake szczególnie nie znosił Lotterhouse'a, L. Winstona Lotterhouse'a, jak stało na papierze firmowym — małego kurdupla w okularach, z dyplomem Harvardu, wyniosłego zarozumialca przekonanego o własnej ważności, który niebawem miał zostać wspólnikiem. Chyba dlatego w ciągu ostatniego roku Jake miał wyjątkową ochotę poderżnąć mu gardło. Zadowolony z siebie Lotterhouse siedział między dwoma współpracownikami, trzymając w ręku siedem teczek, każda ze sprawą, za którą brał sto dolców za godzinę, nawet gdy szedł na posiedzenie w sprawie wokandy.

Noose zaczął od spraw cywilnych.

— Collins przeciwko firmie ubezpieczeniowej Royal Consolidated General Mutual Insurance Company.

Lotterhouse podniósł się z wolna. Sekundy oznaczały minuty, minuty godziny, a godziny honoraria, premie, bonusy i status wspólnika.

— Wysoki Sądzie, ta sprawa ma być rozpatrywana w środę.

Jako pierwsza.

— Wiem — odparł Noose.

— Wysoki Sądzie, będę musiał poprosić o odroczenie rozprawy. Mam konflikt w kalendarzu. W środę muszę się stawić na przesłuchaniu wstępnym w Sądzie Federalnym w Memphis. Sędzia nie wyraził zgody na jego odroczenie. Bardzo nad tym ubolewam. Dziś rano złożyłem wniosek o odroczenie.

Gardner, pełnomocnik powoda, wpadł w furię.

— Wysoki Sądzie, termin przesłuchania jest znany od dwóch miesięcy. Miało się odbyć w lutym, ale pan Lotterhouse musiał pojechać na pogrzeb kogoś z rodziny żony. Już wówczas przełożono je z listopada, kiedy zmarł jego wuj. Później przesunięto je na sierpień, ale zdarzył się kolejny pogrzeb w rodzinie. Chyba powinniśmy dziękować Bogu, że przynajmniej tym razem nikt nie umarł.

Na sali rozległy się stłumione chichoty. Lotterhouse zapłonął rumieńcem.

— Wystarczy tego, Wysoki Sądzie — ciągnął Gardner. — Pan Lotterhouse chciałby bez końca odwlekać rozprawę. Sprawa do niej dojrzała, mój klient ma do niej prawo. Kategorycznie sprzeciwiamy się wnioskowi o odroczenie.

Lotterhouse zdjął okulary i uśmiechnął się do sędziego.

— Wysoki Sądzie, jeśli mógłbym...

— Nie, nie mógłby pan, panie Lotterhouse — przerwał mu Noose. — Nie będzie kolejnego odroczenia. Sprawa trafi na wokandę w przyszłą środę. Bez dalszej zwłoki.

Alleluja, pomyślał Jake, bo sędzia Noose był zwykle łagodny wobec kancelarii Sullivana. Uśmiechnął się do Lotterhouse'a.

Dwie sprawy cywilne Jake'a zostały odroczone do sesji sierpniowej. Kiedy Noose zakończył omawianie spraw cywilnych znajdujących się na wokandzie, zwolnił prawników i skierował uwagę na potencjalnych przysięgłych. Wyjaśnił rolę Wielkiej Ławy Przysięgłych, jej znaczenie i sposób procedowania. Zaczął od zadania pytań, wielu pytań, w większości wymaganych przez

prawo, związanych z kwalifikacjami koniecznymi do piastowania urzędu przysięgłego, zarówno fizycznymi, jak i moralnymi, a także zwolnień oraz wieku. Kilka z nich było pozbawionych znaczenia, ale trzeba było je postawić z powodu jakiegoś starego przepisu.

— Czy są wśród was nałogowi hazardziści i pijacy?

Na sali rozległy się śmiechy, ale nikt się nie zgłosił. Kandydatów powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia automatycznie wykluczono. Noose przyznał typowe zwolnienia z powodu choroby, trudnej sytuacji rodzinnej i materialnej, ale zwolnił jedynie nielicznych, którzy wnosili o to z przyczyn ekonomicznych. Zabawnie było patrzeć, jak przysięgli wstają jeden po drugim i potulnie tłumaczą Wysokiemu Sądowi straty, jakie kilka dni pełnienia obowiązków wyrządzi w gospodarstwie, warsztacie blacharskim lub na poletku drwala. Noose zajął stanowcze stanowisko, a po najbardziej ułomnych wymówkach palnął kilka wykładów na temat obywatelskich obowiązków.

Z grupy około dziewięćdziesięciu kandydatów do Wielkiej Ławy Przysięgłych miało być wybranych osiemnastu. Reszta miała pozostać do dyspozycji Noose'a jako kandydaci na członków ław przysięgłych. Kiedy sędzia zakończył przepytywanie, urzędniczka sądowa wylosowała osiemnaście nazwisk z urny i położyła je na ławie przed czcigodnym sądem, który zaczął je odczytywać donośnym głosem. Kandydaci podnosili się kolejno i szli do przodu. Mijali barierkę i zajmowali miejsca na wymoszczonych obrotowych i pochyłych krzesłach w ławie dla przysięgłych. Wspomnianych krzeseł było czternaście, dwanaście dla przysięgłych i dwa dla rezerwowych. Kiedy ława była pełna, Noose wezwał czterech kolejnych, którzy dosiedli się do kolegów na drewnianych krzesłach ustawionych przed ławą przysięgłych.

— Proszę powstać do złożenia przysięgi — pouczył wybranych Noose, gdy urzędniczka sądowa stanęła przed nimi i odczytała tekst z małej czarnej książeczki, w której znajdowały

się słowa wszystkich tekstów ślubowania.

— Proszę podnieść prawą rękę — poleciła. — Czy uroczyście ślubujesz lub potwierdzasz, że będziesz sumiennie wykonywał obowiązki członka Wielkiej Ławy Przysięgłych? Że z bożą pomocą bezstronnie wysłuchasz i wydasz werdykt we wszystkich sprawach, które otrzymasz do rozpatrzenia?

— Tak — odrzekli chórem i usiedli. Z piątki czarnych dwie osoby były kobietami. Wśród trzynastu białych było pięć kobiet, w większości z obszarów wiejskich. Jake rozpoznał siedem z osiemnastu osób.

— Panie i panowie — zaczął Noose, wygłaszając swoją typową mowę. — Zostaliście wybrani i należycie zaprzysiężeni na członków Wielkiej Ławy Przysięgłych okręgu Ford. Będziecie pełnili tę funkcję do czasu wyboru następnej Wielkiej Ławy, co nastąpi w sierpniu. Pragnę podkreślić, że wasze obowiązki nie będą czasochłonne. W tym tygodniu będziecie się spotykali codziennie, a później na kilka godzin w miesiącu, aż do września. Będziecie musieli analizować sprawy karne, wysłuchiwać funkcjonariuszy organów ochrony porządku publicznego i ofiar oraz rozstrzygać, czy istnieją uzasadnione podstawy, że oskarżony popełnił zarzucany mu czyn. Jeśli tak, będziecie musieli postawić go formalnie w stan oskarżenia. Jest was osiemnastu. Gdy co najmniej dwunastu będzie przekonanych, że podejrzany powinien zostać postawiony w stan oskarżenia, tak się stanie. Akt oskarżenia zostanie zwrócony, jak mówimy. Zostaliście wyposażeni w dużą władzę. Zgodnie z prawem możecie przeprowadzić dochodzenie w sprawie każdego przestępstwa, przepytać każdego obywatela podejrzanego o wykroczenie, każdego urzędnika publicznego. Krótko mówiąc, zająć się wszystkim, co brzydko pachnie. Możecie się spotykać, kiedy zechcecie, ale zwykle będziecie się zbierali na wniosek prokuratora okręgowego, pana Buckleya. Możecie wezwać świadków do złożenia zeznań w waszej obecności, możecie również zażądać dostarczenia tekstu ich zeznań. Wasze narady

będą miały charakter poufny. Oprócz was będzie w nich uczestniczył wyłącznie prokurator okręgowy, jego zastępcy i świadkowie. Nie może przed wami zeznawać oskarżony. Nie wolno wam pod żadnym pozorem rozmawiać o tym, o czym debatowano za zamkniętymi drzwiami lub co wyszło na jaw w sali Wielkiej Ławy Przysięgłych.

Panie Buckley, byłby pan łaskaw wstać? Dziękuję. Oto Rufus Buckley, prokurator okręgowy. Pochodzi ze Smithfield w okręgu Polk. Podczas obrad pan Buckley będzie kimś w rodzaju waszego przewodnika. Panie Musgrove, zechce pan wstać? To pan D.R. Musgrove, asystent prokuratora okręgowego, także ze Smithfield. Będzie pomagał panu Buckleyowi w tej sesji obrad sądu. Dziękuję, panie Musgrove. Panowie Buckley i Musgrove reprezentują stan Missisipi i będą przedkładali sprawy członkom Wielkiej Ławy Przysięgłych.

Na koniec jeszcze jedno. Ostatnia Wielka Ława Przysięgłych okręgu Ford została wybrana w lutym. Jej przewodniczącym był biały mężczyzna, dlatego zgodnie z tradycją, a jednocześnie życzeniem Departamentu Sprawiedliwości, tym razem na przewodniczącego Wielkiej Ławy Przysięgłych wybiorę czarnoskórą kobietę. Zobaczmy, kogo tu mamy. Laverne Gossett. Gdzie pani jest, pani Gossett? O, tutaj. Świetnie. Jest pani nauczycielką, czy tak? Jestem pewny, że poradzi sobie pani z nowymi obowiązkami. A teraz czas, żebyście przystąpili do pracy. O ile wiem, czeka na was pięćdziesiąt spraw. Poproszę, żebyście poszli z panami Buckleyem i Musgrove'em do małej sali w gmachu sądu, w której będziecie obradować. Dziękuję i życzę powodzenia.

Buckley dumnie wymaszerował z sali ze swoją nową Wielką Ławą Przysięgłych i ruszył korytarzem. Odprawił reporterów, twierdząc, że nie ma nic do powiedzenia — przynajmniej na tę chwilę. W małym pokoju przysięgli usiedli przy dwóch długich rozkładanych stołach. Sekretarz sądowy wszedł za nimi z pudłami akt. Stary, na pół kaleki i na pół głuchy funkcjonariusz

z biura szeryfa w wypłowiałym mundurze zajął miejsce przy drzwiach. Sala była bezpieczna. Buckley pomyślał o czymś, przeprosił obecnych i wyszedł do reporterów czekających na korytarzu. Tak, powiedział, sprawa Haileya będzie rozpatrywana dziś po południu. Skoro o tym mowa, zwołuję konferencję prasową na szesnastą, na frontowych schodach gmachu sądu. W tym czasie Hailey powinien być już postawiony w stan oskarżenia.

⅄ ⅄ ⅄

Po lunchu komendant policji z Karaway usiadł na końcu długiego stołu, nerwowo przeglądając papiery. Unikał patrzenia na członków Wielkiej Ławy Przysięgłych, którzy z niecierpliwością czekali na pierwszą sprawę.

— Proszę podać nazwisko! — warknął prokurator okręgowy.

— Komendant Nolan Earnhart, policja w Karaway.

— Ile ma pan spraw, komendancie?

— Pięć z Karaway.

— Wysłuchajmy pierwszej.

— Dobrze. Niech poszukam. Już mam — komendant zaczął gmerać w aktach i po chwili wyciągnął dokumenty. — Pierwsza sprawa. Fedison Bulow, czarnoskóry mężczyzna w wieku dwudziestu pięciu lat, zatrzymany na gorącym uczynku na zapleczu sklepu Griffin's Feed o drugiej nad ranem, dwunastego kwietnia. Włączył się cichy alarm, przyłapaliśmy go w sklepie. Włamał się do sklepowej kasy. Zniknęło również trochę nawozu. Znaleźliśmy gotówkę i towar w samochodzie zarejestrowanym na jego nazwisko. Stał zaparkowany za sklepem. W więzieniu złożył trzystronicowe przyznanie się do winy. Mam tu kopię.

Buckley przeszedł swobodnie po pokoju, uśmiechając się do każdego.

— Chce pan, żeby Wielka Ława Przysięgłych oskarżyła Fedisona Bulowa pod zarzutem włamania i bezprawnego wtargnięcia do obiektu handlowego oraz pod zarzutem kradzieży

mienia znacznej wartości? — spytał z nadzieją Buckley.

— Tak, Wysoki Sądzie. Właśnie tak.

— Członkowie Wielkiej Ławy Przysięgłych mogą teraz zadawać pytania. To wasze przesłuchanie, proszę pytać.

— Czy Bulow był wcześniej notowany? — zapytał Mack Loyd Crowell, bezrobotny kierowca ciężarówki.

— Nie — odrzekł komendant. — To jego pierwsze przestępstwo.

— To dobre pytanie. Należy je zawsze zadawać, bo jeśli podejrzany już popełnił przestępstwo, może wystąpić konieczność postawienia go w stan oskarżenia jako notorycznego przestępcy — pouczył zebranych Buckley. — Nie ma więcej pytań? Żadnych? Znakomicie. Teraz jeden z zebranych musi złożyć wniosek, aby Wielka Ława zwróciła akt oskarżenia przeciwko Fedisonowi Bulowowi.

Na sali zapadła cisza. Osiemnastu przysięgłych gapiło się w stół, czekając, aby ktoś inny złożył wniosek. Buckley czekał razem z nimi. Masz babo placek, pomyślał. Pobłażliwa Wielka Ława. Gromadka potulnych duszyczek lękających się zabrać głos. Wyrozumiali i litościwi. Czemu choć raz nie dostanie Wielkiej Ławy Przysięgłych żądnej krwi, gotowej wnioskować o oskarżenie każdego o wszystko?

— Pani Gossett, czy chciałaby pani złożyć pierwszy wniosek jako przewodnicząca?

— Zgoda — odpowiedziała.

— Dziękuję. — Buckley skinął głową. — Teraz głosowanie. Ilu z obecnych głosuje za postawieniem w stan oskarżenia Fedisona Bulowa pod zarzutem włamania i wtargnięcia do obiektu handlowego oraz pod zarzutem kradzieży mienia znacznej wartości? Proszę podnieść rękę.

W górę powędrowało osiemnaście rąk. Buckleyowi ulżyło.

Komendant policji przedstawił pozostałe cztery sprawy z Karaway. W każdej podejrzani byli równie winni jak Bulow i w przypadku każdego jednogłośnie przegłosowano postawienie

w stan oskarżenia. Buckley powoli uczył członków Wielkiej Ławy Przysięgłych, jak samodzielnie pracować. Chciał, żeby poczuli się ważni, potężni, obarczeni ciężkim brzemieniem sprawiedliwości. Zaczęli być dociekliwi.

— Był notowany?

— Ile lat posiedzi?

— Kiedy wyjdzie?

— Ile zarzutów możemy mu postawić?

— Czy teraz wyjdzie z więzienia?

Gdy uzgodniono treść pięciu aktów oskarżenia i zwrócono pięć jednogłośnych wniosków, a członkowie Wielkiej Ławy Przysięgłych byli gotowi do zabrania się za dowolną następną sprawę, Buckley uznał, że nadeszła odpowiednia pora. Otworzył drzwi i skinął na Ozziego, który stał w korytarzu, szepcząc coś ze swoim podwładnym i popatrując w stronę dziennikarzy.

— Przedstaw najpierw sprawę Haileya — szepnął mu w drzwiach. — Panie i panowie, oto szeryf Walls. Jestem pewien, że większość z was go zna. Ma do przedstawienia kilka spraw. Która pierwsza, szeryfie?

Ozzie zaczął przeglądać papiery, nie mogąc znaleźć tego, czego szukał.

— Sprawa Carla Lee Haileya — wybełkotał w końcu.

Przysięgli ponownie zamilkli. Buckley uważnie obserwował przysięgłych, żeby wyczuć ich reakcje. Większość z nich ponownie wpatrywała się w stół. Nikt nie mówił, kiedy Ozzie przeglądał teczkę, a później przeprosił i wyszedł po inną. Nie planował, że sprawa Haileya zostanie wysłuchana jako pierwsza.

Buckley chlubił się tym, że potrafi czytać w umysłach przysięgłych, że po twarzach umie dokładnie rozpoznać ich myśli. Podczas rozprawy stale obserwował członków Wielkiej Ławy, odgadując, o czym myśli każdy z nich. Nawet gdy przepytywał świadków, nigdy nie odwracał wzroku od przysięgłych. Czasami, przesłuchując świadka, podnosił się z miejsca i stawał przed przysięgłymi, obserwując, jak reagują

na odpowiedzi. Po setkach rozpraw stał się całkiem dobry w odczytywaniu ich myśli, więc natychmiast wyczuł, że w przypadku sprawy Haileya będzie miał problem. Pięciu czarnych napięło się i przyjęło agresywną postawę, jakby czekali na nieunikniony konflikt. Przewodnicząca, pani Gossett, wyglądała na szczególnie świętoszkowatą, gdy Ozzie mamrotał do siebie i przeglądał papiery. O nastawieniu większości białych trudno było coś powiedzieć, ale Mack Loyd Crowell, twardy wieśniak w średnim wieku, wydawał się równie arogancki, jak czarni. Odsunął krzesło i podszedł do okna, które wychodziło na północną część dziedzińca sądu. Buckley nie potrafił odgadnąć, o czym myśli, ale wiedział, że będzie z nim kłopot.

— Ilu ma pan świadków w sprawie Haileya, szeryfie? — spytał nieco nerwowo Buckley.

Ozzie przestał gmerać w papierach i powiedział:

— Cóż, jestem tylko ja sam. Mogę sprowadzić innych, jeśli będzie trzeba.

— Dobrze, dobrze — odparł Buckley. — Proszę nam opowiedzieć o sprawie.

Ozzie odchylił się na krześle, skrzyżował nogi i powiedział:

— Daj spokój, Rufus. Wszyscy znają sprawę. Od tygodnia gadają o niej w telewizji.

— Podaj nam dowody.

— No tak, dowody. Dobrze. Tydzień temu Carl Lee Hailey, czarnoskóry mężczyzna w wieku trzydziestu siedmiu lat, postrzelił i zabił Billy'ego Raya Cobba i Pete'a Willarda. Postrzelił również funkcjonariusza DeWayne'a Looneya, który nadal przebywa w szpitalu. Amputowano mu nogę. Strzelano z karabinu M szesnaście. To nielegalna broń. Odzyskaliśmy ją i pobraliśmy odciski palców. Pasują do odcisków palców pana Haileya. Mam oświadczenie złożone przez pana Looneya, w którym stwierdza pod przysięgą, że strzelającym był Carl Lee Hailey. Jest też inny naoczny świadek, Murphy, drobny kaleka, który sprząta w sądzie i bardzo się jąka. Mogę go sprowadzić,

jeśli chcecie...

— Jakieś pytania? — przerwał mu Buckley.

Prokurator okręgowy spojrzał nerwowo na przysięgłych, którzy z niepokojem patrzyli na szeryfa. Crowell stał zwrócony plecami do innych, wyglądając przez okno.

— Jakieś pytania? — powtórzył Buckley.

— Taak — odrzekł Crowell, odwracając się i spoglądając wściekłym wzrokiem na prokuratora okręgowego oraz Ozziego. — Dwaj faceci, których zastrzelił, zgwałcili jego małą córeczkę, czy tak?

— Tak.

Crowell ruszył wolno śmiałym i buńczucznym krokiem. Stanął po drugiej stronie stołów i spojrzał na Ozziego.

— Ma pan dzieci, szeryfie?

— Tak.

— Ma pan małą córeczkę?

— Tak.

— Przypuśćmy, że zostałaby zgwałcona, a pan schwytał człowieka, który to zrobił. Jak by pan postąpił?

Ozzie się zawahał i spojrzał niespokojnie na Buckleya, któremu poczerwieniał kark.

— Nie umiem odpowiedzieć — odrzekł Ozzie.

— Czyżby? Został pan wezwany przed Wielką Ławę Przysięgłych, żeby zeznawać, tak? Jest pan świadkiem, tak? Proszę odpowiedzieć na pytanie.

— Nie wiem, co bym zrobił.

— Daj spokój, szeryfie. Proszę nam udzielić prostej odpowiedzi. Niech pan powie prawdę. Co by pan zrobił?

Ozzie czuł się zakłopotany, zagubiony i wściekły na nieznajomego. Chciałby powiedzieć prawdę, szczegółowo wyjaśnić, z jaką radością wykastrowałby drania, jak okaleczyłby i zabiłby każdego zboczeńca, który tknąłby jego dziecko. Chciałby, ale nie mógł tego zrobić. Wielka Ława Przysięgłych mogła dojść do porozumienia i oskarżyć Carla Lee. Ozzie tego

nie chciał, ale wiedział, że postawienie go w stan oskarżenia było konieczne. Spojrzał z zakłopotaniem na Buckleya, który usiadł i zaczął się obficie pocić.

Crowell skoncentrował na szeryfie całą gorliwość i zapał prawnika, który właśnie przyłapał świadka na jawnym kłamstwie.

— Śmiało, szeryfie — szydził. — Słuchamy. Powiedz nam prawdę. Co byś zrobił gwałcicielowi? No, powiedz nam. Czekamy.

Buckley był bliski popadnięcia w panikę. Za chwilę największa sprawa w jego wspaniałej karierze zostanie przegrana. I to nie podczas rozprawy, ale w pokoju Wielkiej Ławy Przysięgłych, za sprawą bezrobotnego kierowcy ciężarówki. Wstał, gorączkowo szukając właściwych słów.

— Świadek nie musi odpowiadać.

Crowell odwrócił się i krzyknął do Buckleya:

— Siadaj i się nie wtrącaj! Nie musimy wykonywać twoich rozkazów! Możemy postawić go w stan oskarżenia, jeśli zechcemy, prawda?

Buckley siedział, gapiąc się beznamiętnym wzrokiem na Ozziego. Crowell był oszustem. Facet był zbyt inteligentny, żeby zasiadać w Wielkiej Ławie Przysięgłych. Ktoś musiał mu zapłacić. Za dużo wiedział. Tak, Wielka Ława Przysięgłych mogła postawić w stan oskarżenia, kogo chciała.

Crowell wycofał się i wrócił do okna. Patrzyli na niego, dopóki nie uznali, że skończył.

— Masz całkowitą pewność, że on to zrobił, Ozzie? — spytał Lemoyne Frady, daleki kuzyn Gwen Hailey z nieprawego łoża.

— Tak, mam — odpowiedział wolno Ozzie, nie odwracając wzroku od Crowella.

— O co chcesz, żebyśmy go oskarżyli? — zapytał pan Frady, zwracając się z wyraźnym szacunkiem do szeryfa.

— O dwa zabójstwa zagrożone karą śmierci i czynną napaść na funkcjonariusza.

— Ile lat może dostać? — zapytał Barney Flaggs, inny

czarnoskóry przysięgły.

— Komorę gazową. W przypadku napaści na funkcjonariusza nie ma zastosowania prawo łaski.

— Naprawdę tego chcesz, Ozzie? — zapytał Flaggs.

— Taak, Barney. Wielka Ława Przysięgłych powinna postawić pana Haileya w stan oskarżenia. Tak uważam...

— Są inne pytania? — przerwał mu Buckley.

— Hola, nie tak szybko! — Crowell odwrócił się od okna. — Mam wrażenie, że chce nam pan wepchnąć tę sprawę do gardła, panie Buckley. Stanowczo się temu sprzeciwiam! Chcę, żebyśmy o niej jeszcze porozmawiali! Proszę siadać, poprosimy o pomoc, jeśli będziemy pana potrzebować.

Buckley rzucił mu wściekłe spojrzenie i wyciągnął palec.

— Nie muszę siadać! Ani milczeć! — krzyknął.

— Ależ tak. Musi pan — odrzekł chłodno Crowell, uśmiechając się zjadliwie. — W przeciwnym razie możemy pana wyprosić, prawda, panie Buckley? Możemy poprosić, aby wyszedł pan z pokoju, a jeśli pan odmówi, możemy wezwać sędziego. On pana przekona, prawda, panie Buckley?

Rufus zamarł bez ruchu skamieniały, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Żołądek podszedł mu do gardła, ale ani drgnął, choć jego kolana zrobiły się jak z gąbki.

— Jeśli chce pan wysłuchać reszty naszych rozważań, proszę usiąść i się nie odzywać.

Buckley spoczął obok woźnego sądowego, który w tej samej chwili się obudził.

— Dziękuję — powiedział Crowell. — Chciałbym zadać wam jedno pytanie. Ilu z was zrobiłoby lub chciałoby zrobić to, co zrobił pan Hailey, gdyby ktoś zgwałcił waszą córkę, żonę albo matkę? No, ilu? Podnieście rękę.

W górę powędrowało siedem albo osiem dłoni. Buckley zwiesił głowę. Crowell uśmiechnął się i ciągnął:

— Podziwiam go za to, co zrobił. Do czegoś takiego trzeba mieć jaja. Mam nadzieję, że znalazłbym w sobie odwagę i zrobił

to co on. Bóg wie, że bym tego chciał. Czasami człowiek robi to, co musi. Ten człowiek zasługuje na nagrodę, a nie na oskarżenie.

Crowell ruszył wolno wokół stołów, rozkoszując się uwagą kolegów.

— Zanim zdecydujecie, chcę, żebyście zrobili jedną rzecz. Chcę, żebyście pomyśleli o tej biednej małej dziewczynce. Myślę, że ma z dziesięć lat. Spróbujcie sobie wyobrazić, jak leży z rękami związanymi na plecach, jak płacze i woła tatusia. A teraz pomyślcie o tych dwóch zwyrodnialcach, pijanych, naćpanych łotrach, którzy na zmianę ją gwałcą, okładają pięściami i kopią. Do diabła, przecież oni chcieli ją zabić! Pomyślcie o swojej córce. Postawcie ją w miejscu małej dziewczynki Haileya.

Czy nie powiedzielibyście, że ci dranie dostali to, na co zasłużyli? Powinniśmy być wdzięczni, że nie żyją. Czuję się bezpieczniejszy, gdy wiem, że nie będą więcej gwałcić i zabijać innych dzieci. Pan Hailey wyświadczył nam wielką przysługę. Nie stawiajmy go w stan oskarżenia. Niech wróci do domu, do rodziny, gdzie jest jego miejsce. To dobry człowiek, który zrobił to, co należy.

Crowell skończył i wrócił do okna. Buckley obserwował go ze strachem, a kiedy upewnił się, że facet nie ma nic więcej do dodania, podniósł się z miejsca.

— Proszę pana, czy pan już skończył? — Nie usłyszał odpowiedzi. — Dobrze. Panie i panowie, członkowie Wielkiej Ławy Przysięgłych, chciałbym wyjaśnić kilka spraw. Wielka ława nie jest powołana do rozsądzania spraw. Od tego jest ława przysięgłych. Pan Hailey będzie miał sprawiedliwy proces przed dwunastoma sprawiedliwymi, bezstronnymi sędziami przysięgłymi. Jeśli jest niewinny, zostanie uniewinniony. Jednak kwestia jego winy lub niewinności nie powinna być rozstrzygana przez Wielką Ławę Przysięgłych. Macie jedynie zdecydować, po zapoznaniu się z dowodami przedstawionymi przez oskarżenie, czy zachodzi duże prawdopodobieństwo popełnienia

przestępstwa. Zwracam waszą uwagę, że Carl Lee Hailey dopuścił się przestępstwa. Właściwie trzech przestępstw. Zabił dwóch ludzi i ranił trzeciego. Są naoczni świadkowie.

Buckley krążył wokół stołów, coraz bardziej się rozgrzewając. Odzyskał pewność siebie.

— Obowiązkiem tej Wielkiej Ławy jest postawienie go w stan oskarżenia. Jeśli dysponuje ważnymi argumentami na swoją obronę, będzie miał szansę przedstawić je w sądzie. Skoro miał prawne powody, aby dopuścić się wymienionych czynów, niech tego dowiedzie na rozprawie. Po to jest proces sądowy. Oskarżenie zarzuca mu popełnienie przestępstwa i oskarżenie musi dowieść, że je popełnił. Jeśli ma on coś na swoją obronę, jeśli zdoła przekonać ławę przysięgłych, zostanie uniewinniony. Zapewniam was. Życzę mu tego. Ale obowiązkiem Wielkiej Ławy Przysięgłych nie jest zdecydowanie już dziś, że pan Hailey powinien wyjść na wolność. Przyjdzie na to pora innego dnia, prawda, szeryfie?

Ozzie skinął głową i powiedział:

— Prawda. Jeśli przedstawiono wystarczające dowody, Wielka Ława Przysięgłych powinna wnioskować o postawienie podejrzanego w stan oskarżenia. Podczas procesu nie zostanie skazany, jeśli oskarżenie nie dowiedzie swego lub jeśli on przedstawi dobrą obronę.

— Czy któryś z członków Wielkiej Ławy Przysięgłych chciałby coś dodać? — spytał z niepokojem Buckley. — W porządku, czy ktoś mógłby złożyć wniosek?

— Składam wniosek, żeby nie stawiać Haileya w stan oskarżenia pod żadnym zarzutem! — krzyknął Crowell.

— Składam taki sam wniosek — wymamrotał Barney Flaggs.

Kolana Buckleya zadrżały. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Ozzie stłumił radość.

— Mamy dwa wnioski — ogłosiła pani Gossett. — Proszę wszystkich, którzy są za o podniesienie ręki.

W górę powędrowało pięć czarnych rąk i ręka Crowella.

Wniosek upadł.

— Co teraz? — spytała pani Gossett.

— Ktoś musi złożyć wniosek o postawienie pana Haileya w stan oskarżenia pod dwoma zarzutami: podwójnego zabójstwa i czynnej napaści na policjanta.

— Głosujmy — zarządził jeden z białych.

— Popieram — odrzekł inny.

— Proszę wszystkich, którzy są za, o podniesienie ręki — powiedziała pani Gossett. — Widzę dwanaście rąk. Dwanaście do sześciu. Co to znaczy?

— To znaczy, że Hailey zostanie postawiony w stan oskarżenia — oznajmił dumnie Buckley. Ponownie oddychał normalnie, a jego twarz odzyskała dawny kolor. — Zróbmy dziesięciominutową przerwę. Mamy około czterdziestu spraw do rozpatrzenia, więc nie ociągajcie się zbyt długo. Chciałbym przypomnieć wam, co sędzia Noose powiedział dziś rano. Wasze obrady mają poufny charakter. Nie wolno wam rozmawiać o tym, co się działo w tym pokoju...

— Chcesz powiedzieć, że nie możemy powiedzieć nikomu, że zabrakło jednego głosu, aby Hailey nie został oskarżony — przerwał mu Crowell. — Prawda, Buckley?

Prokurator okręgowy wyszedł szybko z sali, trzaskając za sobą drzwiami.

Rufus Buckley stał na schodach przed gmachem sądu, otoczony kamerami i reporterami, wymachując kopiami wniosków o postawienie w stan oskarżenia. Prawił kazania, wykładał, moralizował, rozpływał się w pochwałach pod adresem Wielkiej Ławy Przysięgłych, grzmiał na przestępczość i złoczyńców i potępiał Carla Lee Haileya. Niechaj rozpocznie się proces. Niech przysięgli zasiądą w ławach, a on gwarantuje wyrok skazujący. Gwarantuje karę śmierci. Był nieprzyjemny, obraźliwy, arogancki, przekonany o swojej racji. Był sobą — starym

poczciwym Buckleyem. Kilku reporterów odeszło, ale on gadał dalej. Wychwalał siebie i swoje umiejętności procesowe. Dziewięćdziesiąt, przepraszam, dziewięćdziesiąt jeden procent uzyskanych wyroków skazujących. Kolejni reporterzy nie wytrzymali. Kolejne kamery przestały pracować. Chwalił sędziego Noose'a za rozwagę i sprawiedliwość. Wysławiał pod niebiosa inteligencję i sprawiedliwy osąd sędziów przysięgłych okręgu Ford.

Przetrzymał ich. W końcu mieli go dość i wszyscy sobie poszli.

Rozdział 13

Stump Sisson był Wielkim Magiem Ku-Klux-Klanu w stanie Missisipi. To on zwołał zebranie w małym domku w leśnej głuszy, w sosnowych lasach okręgu Nettles, niemal czterysta kilometrów na południe od okręgu Ford. Nie było szat, rytuałów ani mów. Mała grupa członków Klanu omawiała wydarzenia, które rozegrały się w okręgu Ford z Freddiem Cobbem, bratem świętej pamięci Billy'ego Raya Cobba. Freddie zadzwonił do kumpla, a ten zatelefonował do Stumpa, który zorganizował spotkanie.

Czy postawili czarnucha w stan oskarżenia? Cobb nie był pewny, ale słyszał, że proces zacznie się pod koniec lata lub wczesną jesienią. Najbardziej niepokoiły go plotki, że czarnuch powoła się na niepoczytalność i wyjdzie na wolność. To niesprawiedliwe. Czarnuch zabił z zimną krwią jego brata, wszystko sobie zaplanował. Ukrył się w klitce dozorcy i czekał na Billy'ego Raya. Zabił z zimną krwią, a teraz ludzie gadają, że wyjdzie. Czy Klan mógłby coś zrobić w tej sprawie? W dzisiejszych czasach czarnuchy mogą liczyć na pomoc wielu instytucji — NAACP, ACLU i tysiąca innych organizacji

stojących na straży praw obywateli, wspomaganych przez sądy i organy władzy. Do licha, biali nie mieli żadnych szans, jeśli nie zwrócili się o pomoc do Klanu. Kto inny zorganizowałby marsz, stanął w obronie białych obywateli? Wszystkie przepisy faworyzowały czarnuchów, a pobłażliwi, miłujący czarnych politycy uchwalali coraz to nowe prawa, dyskryminując białą ludność. Ktoś powinien się o nich upomnieć. Dlatego zadzwonił do Klanu.

Czy ten czarnuch przebywa w więzieniu? Tak, traktują go jak króla. Mają tam szeryfa czarnucha, Wallsa. Walls lubi tego smolucha. Dał mu specjalne przywileje i zapewnił dodatkową ochronę. Szeryf Walls to oddzielna historia. Ktoś powiedział, że w tym tygodniu Hailey może wyjść za kaucją. To tylko plotka. Mieli nadzieję, że wyjdzie.

Jak było z jego bratem? Faktycznie ją zgwałcił? Nie jesteśmy pewni, przypuszczalnie tego nie zrobił. Ten drugi, Willard, przyznał się do gwałtu, ale nie Billy Ray. Jego brat miał tyle kobiet, ile chciał. Czemu miałby zgwałcić małą murzyńską dziewczynkę? A nawet jeśli to zrobił, o co tyle krzyku?

Kto broni czarnucha? Brigance, miejscowy z Clanton. Młody, ale całkiem dobry prawnik. Zajmował się wieloma sprawami karnymi, ma dobrą opinię. Wygrał kilka procesów w sprawach o zabójstwa. Powiedział jakimś reporterom, że czarnuch złoży wniosek o uznanie za niepoczytalnego i wyjdzie na wolność.

A kto będzie sędzią? Jeszcze nie wiadomo. Sędzią okręgowym jest Bullard, ale ktoś gadał, że nie będzie rozpatrywał tej sprawy. Ludzie mówią, że sprawa zostanie przeniesiona do innego okręgu, więc nikt nie wie, kto będzie sądził.

Sisson i członkowie Klanu wysłuchali uważnie wystąpienia prostego wsioka. Spodobało im się to, co powiedział o NAACP, rządzie i politykach, ale przecież czytali gazety i oglądali telewizję. Wiedzieli, że jego brat dostał to, na co zasłużył. Tylko że sprawiedliwość została wymierzona przez czarnucha. Nie do pomyślenia!

Ta sprawa miała potencjał. Proces miał się odbyć za kilka miesięcy, więc było sporo czasu na zorganizowanie rebelii. W ciągu dnia mogliby demonstrować wokół sądu w białych szatach i spiczastych czapkach zasłaniających twarz. Mogliby wygłaszać przemówienia do przypadkowych słuchaczy i paradować przed kamerami. Prasa byłaby zachwycona. Reporterzy nienawidzili Klanu, ale uwielbiali awantury i zamęt. Nocą mogliby zastraszać mieszkańców paleniem krzyży i telefonami z pogróżkami. Cele były łatwe i niespodziewające się niczego. Musiałoby dojść do kilku aktów przemocy. Mieli duże doświadczenie w tym, jak je sprowokować. Doskonale wiedzieli, jak widok ludzi maszerujących w białych szatach wpłynie na tłumy rozwścieczonych czarnuchów.

Okręg Ford stałby się polem zabaw, miejscem gry w chowanego, szukania i niszczenia, atakowania i ucieczki. Mieli czas, żeby wszystko zorganizować, wezwać na pomoc braci z innych stanów. Czy jakiś członek Klanu przepuściłby taką złotą okazję? A nowi zwolennicy? Oczywiście, sprawa Haileya wznieci ogień rasizmu, wywabi wrogów czarnuchów z głębi lasu na ulice Clanton. Dziś liczba członków spadała. Hailey stanie się ich nowym bitewnym zawołaniem, punktem, wokół którego się zbiorą.

— Panie Cobb, czy może pan zdobyć nazwiska i adresy tego czarnucha, jego rodziny, prawnika, sędziego i członków ławy przysięgłych? — zapytał Sisson.

Cobb podjął się tego zadania.

— Będziecie mieli adresy wszystkich oprócz przysięgłych. Jeszcze ich nie wybrali.

— Kiedy je zdobędziesz?

— Nie wiem, cholera. Gdy rozpocznie się proces? Jaka jest wasza odpowiedź?

— Nie jesteśmy pewni, ale przypuszczalnie Klan w to wejdzie. Nie zawadzi trochę popracować mięśniami, zapowiada się dobra okazja.

— Mogę jakoś pomóc? — spytał Cobb.

— Jasne, ale musisz być członkiem.

— W okręgu Ford nie ma Klanu. Zwinął się dawno temu. Dziadek należał do organizacji.

— Chcesz powiedzieć, że dziadek ofiary należał do Klanu?

— Tak — odrzekł z dumą Cobb.

— Cóż, w takim razie musimy się włączyć.

Członkowie Klanu pokręcili głowami z niedowierzaniem i ślubowali zemstę. Później wyjaśnili Cobbowi, że jeśli znajdzie pięciu lub sześciu przyjaciół o podobnych poglądach, którzy zechcą się przyłączyć, urządzą im wielką tajną ceremonię w głębi lasów okręgu Ford, z wielkim płonącym krzyżem i innymi rytuałami. Zostaną przyjęci i staną się pełnoprawnymi członkami Ku-Klux-Klanu. A później wszyscy zrobią widowisko z procesu Carla Lee Haileya. Tego lata zgotują okręgowi Ford takie piekło, że żaden przysięgły przy zdrowych zmysłach nie odważy się zagłosować za uwolnieniem czarnucha. Jeśli Cobb zwerbuje jeszcze kilku, uczynią go przywódcą Klanu w okręgu Ford.

Cobb odparł, że ma dość kuzynów, aby założyć lokalny oddział organizacji. Wyszedł ze spotkania upojony tym, że został członkiem Klanu, jak jego dziadek.

Buckley nieco się spóźnił. Jego konferencja prasowa z godziny szesnastej została zignorowana w wieczornych wiadomościach. Jake skakał po kanałach małego czarno-białego telewizora w swojej kancelarii, a później śmiał się do rozpuku, kiedy okazało się, że duże sieci telewizyjne, a później stacje z Memphis, Jackson i Tupelo zakończyły wiadomości bez żadnej wzmianki o postawieniu jego klienta w stan oskarżenia. Wyobraził sobie rodzinę Buckleya tkwiącą przed telewizorem, manipulującą gałkami i pilotem, rozpaczliwie szukającą swojego bohatera, i Buckleya drącego się na nich, żeby byli cicho. Oczami wyobraźni ujrzał, jak odchodzą po prognozie pogody nadanej przez stację

z Tupelo, ostatniej tego dnia, zostawiając go samego w fotelu, mówiącego, że może wspomną o tym po dwudziestej drugiej.

O dwudziestej drugiej Jake i Carla leżeli w ciemności na kanapie. Spletli się nogami i czekali na wiadomości. Wreszcie ukazał się Buckley. Stał na frontowych schodach, machając jakimiś papierami i wykrzykując niczym uliczny kaznodzieja, a reporter stacji Channel 4 obecny na miejscu tłumaczył, że ten pan to Rufus Buckley, prokurator okręgowy, który będzie oskarżał Carla Lee Haileya. Tego samego, któremu dziś oficjalnie postawiono zarzuty. Po tragicznym wystąpieniu Buckleya kamera przesunęła się po placu, ukazując piękny widok centrum Clanton, i zatrzymała na reporterze, który wypowiedział dwa zdania na temat procesu rozpoczynającego się pod koniec lata.

— Ten Buckley jest po prostu odrażający — powiedziała Carla. — Czemu zwołał konferencję prasową, aby ogłosić postawienie Haileya w stan oskarżenia?

— Jest prokuratorem. My, obrońcy, nienawidzimy prasy.

— Zauważyłam. Mój album z wycinkami z prasy szybko się zapełnia.

— Nie zapomnij zrobić kopii dla mamy.

— Dasz jej autograf?

— Jeśli zapłaci. Tobie dam za darmo.

— Świetnie. Jeśli przegrasz, wyślę ci rachunek za wycinanie i wklejanie.

— Przypominam ci, kochanie, że nigdy nie przegrałem sprawy o zabójstwo.

Carla wcisnęła przycisk pilota i prezenter pogody pozostał na ekranie, choć jego głos zamilkł.

— Wiesz, czego najbardziej nie lubię w sprawach o zabójstwo? — spytała, zrzucając poduszki ze swoich szczupłych, opalonych, niemal idealnych nóg.

— Krwi? Jatki? Makabrycznych szczegółów?

— Nie. — Rozplotła sięgające ramion włosy, pozwalając, aby opadły na poręcz kanapy.

— Utraty życia, choćby nie wiem jak mało znaczącego?

— Nie. — Miała na sobie jego starą nakrochmaloną koszulę z kołnierzykiem przypinanym na guziki. Zaczęła się nimi bawić.

— Przerażającego widoku niewinnego człowieka oczekującego na komorę gazową?

— Nie. — Zaczęła rozpinać koszulę.

Sinoszary ekran migotał w ciemnym pokoju niczym stroboskopowe światła, podczas gdy prezenter prowadzący program uśmiechnął się i niemo życzył widzom dobrej nocy.

— Strachu młodej rodziny, gdy ojciec wchodzi na salę rozpraw i staje przed ławą przysięgłych?

— Nie. — Rozpięła koszulę. Pod spodem na smagłej skórze błysnął fluorescencyjny pasek jedwabnego biustonosza.

— Ukrytej niesprawiedliwości naszego systemu sądowniczego?

— Też nie. — Uniosła niemal doskonałą opaloną nogę i delikatnie położyła na oparciu.

— Nieetycznych bezwzględnych praktyk stosowanych przez gliniarzy i prokuratorów, pragnących przygwoździć niewinnych oskarżonych?

— Nie. — Rozpięła zamek jedwabnego stanika między dwiema niemal idealnymi piersiami.

— Ferworu, wściekłości, obłędu, niekontrolowanych emocji, wewnętrznych zmagań ludzkiej duszy, nieujarzmionych namiętności...

— Prawie zgadłeś — przerwała mu.

Podkoszulki i szorty odbiły się rykoszetem od lamp i stolików, gdy ciała splotły się ze sobą pod poduszkami. Stara kanapa, prezent od jej rodziców, zakołysała się i pisnęła na starej drewnianej podłodze. Była solidna, przyzwyczajona do kołysania i piszczenia. Max instynktownie pobiegła korytarzem, aby stanąć na warcie przy drzwiach sypialni Hanny.

Rozdział 14

Z prawnika Harry'ego Rexa Vonnera był kawał skurczybyka. Specjalizował się w paskudnych sprawach rozwodowych i stale miał w pudle jakiegoś cymbała za uchylanie się od płacenia alimentów. Był nikczemny i bezwzględny, ale na jego usługi istniał duży popyt wśród rozwodzących się mieszkańców okręgu Ford. Potrafił wywalczyć dzieci, dom, farmę, wideo i kuchenkę mikrofalową. Cokolwiek. Jeden z bogatych farmerów stale wypłacał mu zaliczki, aby obecna żona nie mogła wynająć gościa do przeprowadzenia rozwodu. Harry Rex odsyłał swoje sprawy karne Jake'owi, a Jake paskudne sprawy rozwodowe kierował do Harry'ego Rexa. Byli przyjaciółmi i nie lubili innych prawników, szczególnie tych z kancelarii Sullivana.

We wtorek rano Harry Rex wpadł do biura i ryknął do Ethel:

— Jake u siebie?!

Poczłapał w kierunku schodów, spoglądając na nią takim wzrokiem, że nie ośmieliła się odrzec ani słowa. Skinęła tylko głową, wiedząc, że nie powinna pytać, czy był umówiony. Sklął ją kiedyś za to. Zresztą sklął tu już wszystkich.

Schody zadygotały, kiedy ruszył na górę. Ciężko dysząc, wpadł do wielkiego gabinetu.

— Witaj, Harry. Co cię sprowadza?

— Czemu nie wziąłeś sobie pokoju na parterze? — zapytał między kolejnymi oddechami.

— Powinieneś ćwiczyć. Gdyby nie te schody, ważyłbyś ponad sto pięćdziesiąt kilogramów.

— Piękne dzięki. Słuchaj, właśnie wracam z sądu. Noose chce, żebyś zjawił się u niego o dziesiątej trzydzieści. Jeśli to możliwe, oczywiście. Chce pogadać o Haileyu z tobą i Buckleyem. Uzgodnić termin postawienia w stan oskarżenia i ustalić datę procesu. Takie tam pierdoły. Prosił, żebym ci powiedział.

— Dobrze. Przyjdę.

— Słyszałeś o Wielkiej Ławie Przysięgłych?

— Jasne. Mam tu kopię wniosku o postawienie w stan oskarżenia.

Harry Rex się uśmiechnął.

— Nie, nie to miałem na myśli. Chodzi o wynik głosowania.

Jake zamarł i spojrzał na niego z zaciekawieniem. Harry Rex poruszał się w milczących, mrocznych kręgach jak obłok nad polami. Był niewyczerpanym źródłem plotek i pogłosek i chlubił się, że rozpowszechnia prawdę i tylko prawdę. Oczywiście w większości przypadków. Rex pierwszy wiedział niemal o wszystkim. Legenda Harry'ego Rexa zaczęła się dwadzieścia lat temu podczas pierwszego spotkania z sądem przysięgłych. Spółka kolejowa, którą pozwał na grube miliony, nie chciała dać ani centa. Po trzech dniach procesu sędziowie przysięgli oddalili się na naradę. Prawnicy spółki zaczęli się niepokoić, kiedy sędziowie nie wracali z błyskawicznym werdyktem na ich korzyść. Zaproponowali Harry'emu Rexowi dwadzieścia tysięcy tytułem ugody, gdy narada przedłużyła się o kolejny dzień. Ale Rex miał nerwy ze stali, więc kazał im iść do diabła. Jego klient chciał forsy. Jemu też kazał spadać. Wiele godzin

później znużeni i wymęczeni sędziowie przysięgli wrócili z werdyktem na sto pięćdziesiąt tysięcy. Harry Rex pokazał środkowy palec prawnikom spółki, obraził swoich klientów i poszedł do baru w hotelu Best Western. Tam postawił wszystkim drinka i w ciągu długiego, jak można się domyślać, wieczoru opisał szczegółowo, jak to zainstalował podsłuch w pokoju sędziów i dokładnie wiedział, co zamierzają. Kiedy wieść się rozeszła, Murphy znalazł kilka kabli w przewodach wentylacyjnych i grzewczych prowadzących do pokoju sędziowskiego. Stanowa rada adwokacka zaczęła węszyć, ale niczego nie znaleziono. Od dwudziestu lat sędziowie nakazywali straży sądowej, aby starannie sprawdzała pokój, kiedy Harry Rex był w jakikolwiek sposób związany ze sprawą.

— Skąd znasz wynik głosowania? — zapytał Jake z podejrzliwością przenikającą każdą sylabę.

— Mam swoje źródła.

— W porządku, gadaj.

— Dwanaście do sześciu. Jeden głos mniej, i Hailey nie zostałby postawiony w stan oskarżenia.

— Dwanaście do sześciu — powtórzył z zapartym tchem Jake.

— Buckley mało nie skonał. Biały gość nazwiskiem Crowell przejął kontrolę i niemal ich przekonał, aby nie oskarżali twojego człowieka.

— Znasz tego Crowella?

— Prowadziłem jego sprawę rozwodową dwa lata temu. Mieszkał w Jackson, dopóki jego pierwsza żona nie została zgwałcona przez czarnego. Babce odbiło, więc się rozwiedli. Wzięła nóż do steków i pocięła sobie nadgarstki. Później facet przeniósł się do Clanton i poślubił jakąś wywłokę ze wsi. Byli ze sobą rok. Facet załatwił Buckleya. Kazał mu się zamknąć i siadać. Żałuję, że nie byłem tego świadkiem.

— Wygląda, że byłeś.

— Nie, ale mam dobrego informatora.

— Kogo?

— Daj spokój, Jake.

— Znowu założyłeś podsłuch?

— Skądże. Po prostu słucham. To dobry znak, nie?

— Co?

— Wynik głosowania bliski zwycięstwa. Sześciu z osiemnastu głosowało za tym, żeby Hailey wyszedł wolno. Pięciu czarnych i Crowell. To dobry znak. Wystarczy wprowadzić kilku czarnych do ławy przysięgłych, i sprawa załatwiona. Nie?

— To nie takie proste. Gdyby był sądzony w tym okręgu, miałby dużą szansę na ławę przysięgłych złożoną z samych białych. To powszechne zjawisko w tej części kraju. Wszystko zgodnie z konstytucją. Bóg jeden wie, skąd się wziął ten Crowell.

— Buckley też tak sobie pomyślał. Żałuj, że nie widziałeś dupka. Wczoraj wieczorem pokazywali w telewizji, jak się przechadza po sali rozpraw, jakby chciał rozdawać autografy. Nikt nie chce z nim gadać, więc wkręca się do każdej rozmowy. Zachowuje się jak dzieciak żebrzący o uwagę.

— Bądź dla niego miły. Facet może być twoim następnym gubernatorem.

— Nie, jeśli przegra sprawę Haileya. Bo on ją przegra, Jake. Wybierzemy dobrą ławę przysięgłych, dwunastu uczciwych, praworządnych obywateli, a później ich przekupimy.

— Tego ostatniego nie słyszałem.

— To zawsze działa.

Kilka minut po dziesiątej trzydzieści Jake wszedł do gabinetu sędziego za salą rozpraw i wymienił chłodny uścisk dłoni z Buckleyem, Musgrove'em i Ikabodem. Już na niego czekali. Noose wskazał mu krzesło i usiadł za biurkiem.

— Jake, ta sprawa zajmie nam kilka minut. — Spojrzał na niego znad okularów. — Chcę wyznaczyć sprawę Haileya na jutro na dziewiątą rano. Jakiś problem?

— Żadnego. Nie ma sprawy — odparł Jake.

— Jutro rano przedstawimy kilka innych aktów oskarżenia, a później, o dziesiątej, będzie sprawa o włamanie. Czy tak, Rufusie?

— Tak, proszę pana.

— W porządku. A teraz data procesu pana Haileya. Jak wiecie, następna sesja sądu w Clanton rozpocznie się pod koniec sierpnia, w trzeci poniedziałek. Jestem pewien, że na wokandzie będzie dużo spraw, jak obecnie. Z powodu natury tej sprawy i... powiem otwarcie... jej rozgłosu myślę, że powinniśmy wyznaczyć rozprawę tak szybko, jak to możliwe...

— Im prędzej, tym lepiej — przytaknął Buckley.

— Jake, ile czasu potrzebujesz na przygotowanie się do procesu?

— Sześćdziesiąt dni.

— Sześćdziesiąt dni?! — powtórzył z niewiarą Buckley. — Czemu tak długo?

Jake zignorował pytanie, obserwując, jak Ikabod poprawia okulary do czytania i studiuje kalendarz.

— Czy złożycie wniosek o zmianę miejsca procesu? — zapytał.

— Tak.

— Dla nas to bez znaczenia — powiedział Buckley. — Wszędzie uzyskamy wyrok skazujący.

— Zachowaj te uwagi dla kamer, Rufusie — odrzekł cicho Jake.

— Nie powinieneś mi tego wytykać — odparował Buckley. — Sprawiasz wrażenie zadowolonego z ich obecności.

— Panowie, proszę — przerwał im Noose. — Czy możemy się spodziewać innych wniosków przedprocesowych ze strony obrony?

Jake pomyślał chwilę.

— Tak.

— Mogę spytać jakich? — Noose był lekko poirytowany.

— Panie sędzio, nie jestem gotów, aby w tym momencie

omawiać linię obrony. Przed chwilą otrzymaliśmy akt oskarżenia. Jeszcze nie przedyskutowałem go z moim klientem. Musimy nad tym popracować.

— Ile czasu potrzebujesz?

— Sześćdziesiąt dni.

— Chyba żartujesz! — krzyknął Buckley. — To jakiś żart?! Oskarżenie jest gotowe choćby jutro, Wysoki Sądzie! Sześćdziesiąt dni to brzmi śmiesznie!

W Jake'u zakipiało, ale nie powiedział ani słowa. Buckley podszedł do okna, mamrocząc coś do siebie, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom.

Noose ponownie zajrzał do kalendarza.

— Dlaczego sześćdziesiąt dni?

— To skomplikowana sprawa.

Buckley zarechotał, nie przestając kręcić głową.

— Czy możemy się spodziewać wniosku o uznanie oskarżonego za niepoczytalnego?

— Tak, Wysoki Sądzie. Zbadanie pana Haileya przez psychiatrę będzie wymagało czasu. Później oskarżenie wystąpi z wnioskiem, aby został zbadany przez jego lekarzy.

— Rozumiem.

— Przed procesem mogą się też pojawić inne kwestie. To duża sprawa. Chcę mieć dość czasu, aby się do niej przygotować.

— Panie Buckley? — sędzia zwrócił się do Rufusa.

— Wszystko nam jedno. Dla oskarżenia to bez różnicy. Będziemy gotowi. Moglibyśmy rozpocząć proces choćby jutro.

Noose zapisał coś w kalendarzu i poprawił okulary do czytania, które zsunęły się na czubek nosa i trzymały jedynie dzięki małej brodawce. Z powodu wielkości nosa i osobliwego kształtu głowy Wysoki Sąd potrzebował specjalnych oprawek z długimi zausznikami, choć nie używał szkieł do czytania lub w jakimkolwiek innym celu, jak tylko w daremnym zamiarze odwrócenia uwagi od wielkości i kształtu swojego nosa. Jake zawsze to podejrzewał, ale nie miał śmiałości, by poinformować

Wysoki Sąd, że śmieszne ośmiokątne pomarańczowe oprawki odwracały uwagę od wszystkiego, kierując ją na wspomnianą część ciała.

— Ile czasu przewidujesz na proces, Jake? — zapytał sędzia Noose.

— Od trzech do czterech dni, ale sam wybór sędziów przysięgłych może potrwać trzy dni.

— Panie Buckley?

— To brzmi rozsądnie, ale nie wiem, czemu trzeba aż sześćdziesięciu dni, żeby przygotować się do rozprawy, która potrwa raptem trzy. Uważam, że sprawa Haileya powinna trafić wcześniej na wokandę.

— Uspokój się, Rufusie — odrzekł spokojnie Jake. — Pomyśl, że kamery będą tutaj cały czas. Sześćdziesiąt dni, może nawet dziewięćdziesiąt. Nie zapomną o tobie. Będziesz mógł udzielać wywiadów, zwoływać konferencje prasowe, wygłaszać kazania, co zechcesz. Masz bogaty wybór. Nie musisz się tak przejmować. Dostaniesz swoją szansę.

Buckley zmrużył oczy i poczerwieniał na twarzy. Zrobił trzy kroki w kierunku Jake'a.

— Jeśli się nie mylę, panie Brigance, w ostatnim tygodniu udzielił pan więcej wywiadów i występował przed większą liczbą kamer niż ja.

— Wiem. Zazdrościsz mi?

— Nie! Skądże! Nie obchodzą mnie kamery...

— Od kiedy?

— Panowie, panowie, proszę — przerwał im Noose. — Wasze reakcje zapowiadają długi i emocjonalny proces. Oczekuję, że prawnicy będą się zachowywać w profesjonalny sposób. Posłuchajcie, mój kalendarz jest pełen. Mam okienko tylko w tygodniu, w którym przypada dwudziesty drugi lipca. Czy panowie mają z tym jakiś problem?

— Damy radę — odrzekł Musgrove.

Jake uśmiechnął się do Buckleya i zajrzał do kieszonkowego

kalendarza.

— Wygląda na to, że ja również sobie poradzę.

— Świetnie. Wszystkie wnioski i kwestie przedprocesowe muszą wpłynąć do poniedziałku ósmego lipca. Odczytanie oskarżenia wyznaczam na jutro na dziewiątą rano. Jakieś pytania?

Jake wstał, podał rękę Noose'owi i Musgrove'owi i wyszedł.

Po lunchu odwiedził swojego słynnego klienta w biurze więzienia Ozziego. Kopię wniosku o postawienie w stan oskarżenia dostarczono Carlowi Lee do celi. Miał kilka pytań do swojego prawnika.

— Co to takiego zabójstwo z premedytacją?

— To najgorsze z wszystkich zabójstw.

— Ile jest rodzajów?

— Zasadniczo trzy. Pozbawienie życia, zabójstwo bez premedytacji i zabójstwo z premedytacją.

— Ile można dostać za pozbawienie życia?

— Dwadzieścia lat.

— A za zabójstwo bez premedytacji?

— Od dwudziestu do dożywocia.

— Za zabójstwo z premedytacją?

— Komorę gazową.

— A za czynną napaść na policjanta?

— Dożywocie, bez możliwości zwolnienia warunkowego.

Carl Lee uważnie przestudiował treść oskarżenia.

— To znaczy, że dostanę dwie komory gazowe i dożywocie.

— Jeszcze nie. Wcześniej masz prawo do procesu. Nawiasem mówiąc, wyznaczono już datę. Dwudziesty drugi lipca.

— To dopiero za dwa miesiące! Dlaczego tak długo?!

— Potrzebujemy czasu. Trzeba będzie znaleźć psychiatrę, który zezna, że byłeś obłąkany. Wtedy Buckley wyśle cię do Whitfield, żeby zbadali cię lekarze wskazani przez oskarżenie. Ci orzekną, że w tym czasie nie byłeś niepoczytalny. My zgłosimy wnioski, Buckley zgłosi swoje, do tego dojdzie parę przesłuchań. To wszystko wymaga czasu.

— Nie ma sposobu, żeby proces odbył się szybciej?

— Nie chcemy, aby tak się stało.

— Nawet jeśli ja tego zechcę? — prychnął Carl Lee.

Jake przyjrzał się mu uważnie.

— Co z tobą, olbrzymie?

— Muszę stąd wyjść! Jak najszybciej!

— Przecież powiedziałeś, że w więzieniu nie jest tak źle.

— Bo nie jest, ale muszę wrócić do domu. Gwen nie ma pieniędzy. Nie może znaleźć roboty. Lester ma kłopoty z żoną. Wydzwania do niego na okrągło, więc długo tu nie zabawi. Nie chcę prosić rodziny o pomoc.

— Przecież by ci pomogli, prawda?

— Niektórzy. Inni mają własne problemy. Musisz mnie stąd wyciągnąć, Jake.

— Posłuchaj uważnie. Jutro o dziewiątej rano odczytają ci akt oskarżenia. Rozprawę wyznaczono na dwudziestego drugiego lipca. Nie zmienimy daty, więc możesz zapomnieć o wcześniejszym wyjściu. Wyjaśniłem ci, na czym polega postawienie w stan oskarżenia?

Carl Lee pokręcił głową.

— Wszystko razem nie potrwa dłużej niż dwadzieścia minut. Staniemy przed sędzią Noose'em na wielkiej sali. Zada ci kilka pytań, a później zada kilka pytań mnie. Następnie odczyta treść oskarżenia na otwartym posiedzeniu i spyta, czy otrzymałeś kopię dokumentu. Później zapyta, czy przyznajesz się do winy. Jeśli zaprzeczysz, wyznaczy datę procesu. Usiądziesz, a wtedy ja i Buckley odbędziemy zaciekłą walkę o wyznaczenie kaucji. Noose odmówi, a ty zostaniesz odprowadzony do celi, gdzie pozostaniesz do pierwszej rozprawy.

— Co będzie po zakończeniu procesu?

Jake się uśmiechnął.

— Po procesie nie będziesz musiał wracać do celi.

— Obiecujesz?

— Nie. Nie mogę niczego obiecać. Masz jakieś pytania w

sprawie jutrzejszego dnia?

— Nie. Słuchaj, Jake... powiedz mi, ile forsy ci zapłaciłem?

Jake się zawahał, wietrząc kłopoty.

— Czemu pytasz?

— Zastanawiałem się...

— Dziewięćset dolców i weksel.

Gwen miała niecałe sto dolarów. Trzeba było zapłacić rachunki, a jedzenie się kończyło. Odwiedziła go w niedzielę i płakała godzinę. Strach był nieodłącznym elementem jej życia, natury i konstrukcji psychicznej. Carl Lee wiedział, że są spłukani, a ona przerażona. Nie mogła liczyć na pomoc swojej rodziny, może na trochę warzyw z domowego ogródka i parę dolców na mleko i jajka. W przypadku pogrzebu i pobytu w szpitalu można było na nich polegać. Byli hojni i darmo poświęcali swój czas, aby jęczeć, zawodzić i odstawiać przedstawienie. Jednak gdy były potrzebne prawdziwe pieniądze, pierzchali na wszystkie strony jak kurczęta. Miał niewielki pożytek z jej rodziny, a jego własna też była niewiele lepsza.

Chciał poprosić Jake'a o sto dolarów, ale postanowił zaczekać, aż Gwen kompletnie się załamie. Wtedy powinno być łatwiej.

Jake przewracał kartki notatnika, czekając, aż Carl Lee poprosi o pieniądze. Klienci, którzy mieli sprawy karne, szczególnie czarni, zawsze prosili o zwrot części honorarium, kiedy już je wnieśli. Wątpił, czy kiedykolwiek ujrzy więcej niż dziewięćset dolarów i nie miał zamiaru oddać ani centa. Oprócz tego czarni zawsze troszczyli się o swoich. Pojawiała się rodzina, angażowały kościoły. Wiedział, że żaden z Haileyów nie będzie głodował.

Włożył notatnik do teczki i czekał.

— Masze jakieś pytania?

— Taak. Czy jutro będę mógł coś powiedzieć?

— A co byś chciał?

— Chciałbym wyjaśnić sędziemu, dlaczego zastrzeliłem tych facetów. Oni zgwałcili moją córkę. Zasłużyli na to.

— I jutro chciałbyś wytłumaczyć to sędziemu?

— Taak.

— Myślisz, że puści cię wolno, kiedy mu to wyjaśnisz?

Carl Lee nie odpowiedział.

— Posłuchaj, wynająłeś mnie, żebym był twoim prawnikiem. Wynająłeś mnie, bo masz do mnie zaufanie, prawda? Jeżeli będę chciał, żebyś jutro coś powiedział, dam ci znać. Jeśli tego nie zrobię, nie otwieraj ust. Kiedy w lipcu rozpocznie się proces, będziesz miał okazję przedstawić swoje stanowisko. Do tego czasu to ja będę mówił.

— Dobrze to ująłeś.

Lester i Gwen wsadzili chłopców oraz Tonyę do czerwonego cadillaca i pojechali do domu lekarza obok szpitala. Od dnia gwałtu minęły dwa tygodnie. Tonya lekko utykała, ale chciała biegać i wchodzić po schodach razem z braćmi. Tylko że matka trzymała ją za rękę. Ból nóg i pośladków prawie minął, a tydzień temu lekarz zdjął bandaże z kostek i nadgarstków. Rany ładnie się goiły. Pozostała jedynie gaza i wata w rejonie krocza.

Rozebrała się w małym pokoiku i usiadła obok matki na wyściełanym stole. Matka przytuliła ją, ogrzewając własnym ciałem. Lekarz zajrzał jej do ust i rozmasował szczękę. Ujął ją za kostki i nadgarstki, badając blizny. Później położył Tonyę na stole i obejrzał krocze. Mała płakała i przytulała się do matki, która się nad nią pochyliła.

Znowu bolało.

Rozdział 15

W środę o piątej rano Jake pił kawę w swoim gabinecie i spoglądał przez balkonowe drzwi na ciemny plac. Tej nocy spał niespokojnie. Kilka godzin temu skapitulował i opuścił ciepłe pielesze w rozpaczliwym zamiarze odnalezienia bezimiennej sprawy ze stanu Georgia, którą kiedyś omawiali na wydziale prawa. Sędzia był zmuszony wypuścić oskarżonego za kaucją, mimo oskarżenia o zabójstwo z premedytacją, bo podejrzany nie był wcześniej karany, miał nieruchomość w okręgu, stałą pracę i wielu krewnych w okolicy. Do tej pory nie udało mu się jej odnaleźć. Znalazł za to sporą grupę niedawnych, dobrze uzasadnionych i niebudzących wątpliwości spraw z Missisipi, pozwalających sędziemu podjąć arbitralną decyzję w tej sprawie. Takie było prawo i Jake dobrze o tym wiedział, jednak potrzebował czegoś, aby przekonać Ikaboda. Bał się poprosić o wyznaczenie kaucji dla Carla Lee. Wiedział, że Buckley będzie wrzeszczał i prawił kazania, cytował różne głośne sprawy, a Noose będzie się uśmiechał i słuchał, później zaś nie wyrazi zgody na kaucję. Odmówi, a Jake będzie musiał podkulić ogon pod siebie już w pierwszym starciu.

— Wcześnie dzisiaj wstałeś, słodziutki — powiedziała swojemu ulubionemu klientowi Dell, nalewając kawę.

— Mimo to przyszedłem. — Opuścił kilka ranków od czasu amputowania stopy Looneyowi. Facet był lubiany, więc w Coffee Shopie i mieście powiało niechęcią do prawnika Haileya. Jake to rozumiał i próbował ignorować sytuację. — Masz minutkę? — spytał.

— Jasne — odrzekła Dell, rozglądając się po sali. O piątej piętnaście kawiarnia nie była jeszcze pełna. Dell usiadła naprzeciw Jake'a w małym boksie i nalała sobie kawy.

— O czym ludzie gadają? — zapytał.

— O tym co zwykle. O polityce, łowieniu ryb i gospodarstwie. Jak zawsze. Pracuję tu od dwudziestu jeden lat. Serwuję to samo żarcie tym samym ludziom, którzy rozmawiają ciągle o tym samym.

— Nic nowego?

— Tak, sprawa Haileya. Dużo o niej gadają, ale gdy na sali są obcy, wracają do starych tematów.

— Dlaczego?

— Bo gdyby zachowywali się tak, jakby coś wiedzieli, jakiś reporter wyszedłby za nimi z całą masą pytań.

— Kiepska sprawa, co?

— Skądże. Idzie nam znakomicie. Jeszcze nigdy interes nie kręcił się tak dobrze.

Jake uśmiechnął się i dodał masło do kaszy kukurydzianej, a później odrobinę tabasco.

— Co myślisz o Haileyu?

Dell podrapała się w nos długim, czerwonym sztucznym paznokciem i dmuchnęła na kawę. Była znana z otwartości, więc Jake liczył na szczerą odpowiedź.

— Facet jest winny. Zabił ich. To oczywiste. Ale miał najlepszy powód, jaki potrafię sobie wyobrazić. Ludzie darzą go sympatią.

— Powiedzmy, że jesteś jednym z sędziów przysięgłych.

Winny czy niewinny?

Rzuciła okiem w stronę drzwi i pomachała ręką stałemu klientowi.

— Cóż, instynkt nakazuje mi przebaczyć każdemu, kto zabije gwałciciela. Szczególnie ojcu. Z drugiej strony, nie możemy pozwolić, aby ludzie chwytali za karabin i sami wymierzali sprawiedliwość. Zdołasz udowodnić, że był niepoczytalny, kiedy to zrobił?

— Przypuśćmy, że tak.

— W takim razie głosowałabym za uniewinnieniem, chociaż osobiście nie sądzę, aby tak było.

Jake rozsmarował dżem truskawkowy na grzance i ze zrozumieniem skinął głową.

— A co z Looneyem? — spytała. — Jest moim przyjacielem.

— To był wypadek.

— Myślisz, że to wystarczy?

— Nie, nie wystarczy. Karabin nie wystrzelił przypadkowo. Looney został przypadkowo postrzelony, ale wątpię, aby była to skuteczna obrona. Skazałabyś Haileya za to, że go postrzelił?

— Może — wycedziła. — Looney stracił stopę.

Jak mógł być niepoczytalny, kiedy strzelał do Cobba i Willarda, a świadomy, gdy postrzelił Looneya, pomyślał Jake, ale nie zadał tego pytania na głos. Zmienił temat.

— A co o mnie gadają?

— To samo co zawsze. Ktoś zapytał, czy wczoraj byłeś, a później zauważył, że nie masz już dla nas czasu, od kiedy stałeś się sławny. Słyszałam też trochę narzekania na ciebie i czarnucha, ale nic wielkiego. Nie krytykują cię głośno. Nie pozwolę na to.

— Jesteś kochana.

— Jestem złośliwą suką, a ty dobrze o tym wiesz.

— Nie, tylko udajesz.

— Akurat. Tylko popatrz. — Wyskoczyła z boksu i zwymyślała farmerów, którzy domagali się dolewki kawy.

Jake skończył śniadanie sam, a później wrócił do biura.

Kiedy o ósmej trzydzieści zjawiła się Ethel, dwaj reporterzy wałęsali się przed zamkniętymi drzwiami. Weszli razem z nią i powiedzieli, że chcą się widzieć z panem Brigance'em. Odmówiła i kazała im wyjść. Wtedy oni również odmówili i powtórzyli swoje żądanie. Jake usłyszał zamieszanie na dole i zamknął drzwi. Niech Ethel sama się z nimi rozprawi.

Ze swojego gabinetu obserwował filmowców ustawiających sprzęt przed tylnymi drzwiami sądu. Uśmiechnął się i poczuł znajomy przypływ adrenaliny. Wyobraził sobie swoje zdjęcia w wieczornych wiadomościach: przechodzi energicznym krokiem przez ulicę, surowy i profesjonalny, otoczony żebrzącymi o wywiad dziennikarzami, którzy słyszą jedynie „bez komentarza". A przecież było to tylko posiedzenie, na którym odczytają akt oskarżenia. Pomyśleć, co się będzie działo, kiedy proces zacznie się na dobre! Wszędzie kamery i reporterzy wykrzykujący pytania, artykuły na pierwszych stronach gazet, może nawet na okładkach czasopism. Gazeta z Atlanty nazwała tę sprawę najbardziej sensacyjnym procesem o zabójstwo na Południu w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Mógłby podjąć się obrony za darmo. No, prawie za darmo.

Chwilę później z zadumy wyrwały go odgłosy kłótni na dole. Serdecznie przywitał reporterów, a Ethel zniknęła w sali konferencyjnej.

— Może pan odpowiedzieć na kilka pytań? — zapytał jeden z nich.

— Nie — odrzekł uprzejmie Jake. — Muszę się spotkać z sędzią Noose'em.

— Nawet na kilka?

— Nie, ale zapraszam państwa na konferencję prasową o piętnastej. — Jake otworzył drzwi, a reporterzy wyszli za nim na ulicę.

— Gdzie się odbędzie?

— W mojej kancelarii.

— W jakim celu?

— Omówienia sprawy.

Jake ruszył wolno ulicą w kierunku krótkiego podjazdu prowadzącego do gmachu sądu, po drodze odpowiadając na pytania.

— Czy w konferencji prasowej będzie uczestniczył pan Hailey?

— Tak, razem z rodziną.

— I tą dziewczynką?

— Tak.

— Czy pan Hailey będzie odpowiadał na pytania?

— Być może, jeszcze nie zdecydowałem.

Jake życzył im udanego dnia i zniknął w gmachu sądu. Reporterzy zostali na schodach, rozmawiając i plotkując o konferencji prasowej.

Buckley wszedł do sądu od frontu potężnymi drewnianymi drzwiami, bez żadnych fanfar. Liczył choć na jedną lub dwie kamery, ale z przykrością stwierdził, że wszystkie ustawiły się przed tylnymi drzwiami, aby sfilmować oskarżonego. Postanowił, że w przyszłości będzie korzystał z tylnych drzwi.

Sędzia Noose zaparkował samochód obok hydrantu przy poczcie i ruszył wschodnią stroną placu w kierunku sądu. On również nie zwrócił na siebie większej uwagi z wyjątkiem kilku ciekawych spojrzeń.

Ozzie wyjrzał przez frontowe okna więzienia i spostrzegł tłum czekający na Carla Lee na parkingu. Przez głowę przemknęła mu myśl o kolejnym podstępie, ale ją odpędził. Otrzymali parę telefonów grożących śmiercią Haileyowi. Ozzie potraktował kilka z nich poważnie. Rozmówcy byli bardzo konkretni, wymieniali daty i miejsca. Jednak większość stanowiły pospolite, ogólne pogróżki pozbawienia życia. Przecież było to tylko posiedzenie w celu odczytania aktu oskarżenia. Pomyślał o procesie i mruknął coś do Mossa Juniora. Otoczyli Carla Lee tajniakami i pomaszerowali chodnikiem, mijając przedstawicieli prasy i wsiadając do wynajętego furgonu dostawczego. Sześciu

funkcjonariuszy z biura szeryfa i szofer. Furgon ruszył w kierunku sądu, eskortowany przez trzy najnowsze radiowozy Ozziego.

Na dziewiątą rano Noose zaplanował odczytanie kilkunastu aktów oskarżenia, więc opadł na krzesło za sędziowską ławą i zaczął przeglądać teczki, aż znalazł dokumenty Haileya. Spojrzał na pierwszy rząd krzeseł i ujrzał ponurą gromadkę podejrzanych typków. Wszyscy niedawno usłyszeli treść oskarżenia. Na końcu pierwszego rzędu siedziało dwóch funkcjonariuszy z biura szeryfa obok skutego kajdankami podejrzanego, a Brigance szeptał mu coś do ucha. Facet musiał być Haileyem.

Wysoki Sąd podniósł czerwoną teczkę i poprawił na nosie okulary do czytania, aby nie przeszkadzały mu w lekturze.

— Stan przeciwko Carlowi Lee Haileyowi. Sprawa numer trzy tysiące osiemset osiemdziesiąt dziewięć. Panie Hailey, byłby pan łaskaw podejść?

Kiedy zdjęto mu kajdanki, Carl Lee ruszył za swoim obrońcą w kierunku miejsca dla świadków. Stanęli za nim, spoglądając na sędziego, który cicho i niespokojnie przeglądał teczkę z dokumentem wnioskującym postawienie podejrzanego w stan oskarżenia. Na sali zapadła cisza. Buckley wstał i ruszył wolno do przodu, stając w odległości kilkudziesięciu centymetrów za podejrzanym. Rysownicy za barierką gorączkowo szkicowali scenę.

Jake spojrzał gniewnie na Buckleya, który nie miał powodu tu stać podczas odczytywania aktu oskarżenia. Prokurator okręgowy miał na sobie najlepszy trzyczęściowy garnitur z poliestru. Każdy włos na jego potężnej głowie został pieczołowicie przyczesany i ułożony na swoim miejscu. Mówiąc krótko, Buckley wyglądał niczym telewizyjny kaznodzieja.

Jake podszedł do niego i szepnął:

— Cóż to za elegancki garnitur, Rufusie!

— Dzięki — odparł Buckley nieco zaskoczony.

— Czy świeci w ciemności? — spytał Jake, a później wrócił

na swoje miejsce u boku klienta.

— Pan jest Carl Lee Hailey? — spytał sędzia.

— Tak.

— Czy pana obrońcą jest pan Brigance?

— Tak.

— Mam tu tekst oskarżenia przeciwko panu zwrócony przez Wielką Ławę Przysięgłych. Czy otrzymał pan ten dokument?

— Tak.

— Czy zapoznał się pan z jego treścią?

— Tak.

— Czy omówił ją pan ze swoim obrońcą?

— Tak.

— Czy rozumie pan jego treść?

— Tak.

— Dobrze. Zgodnie z nakazem prawa odczytam go teraz na otwartym posiedzeniu. — Noose odchrząknął. — „Wielka Ława Przysięgłych stanu Missisipi złożona z zacnych, praworządnych obywateli okręgu Ford, prawidłowo wybranych, zaprzysiężonych i powołanych do zbadania sprawy w imieniu rzeczonego okręgu i stanu, występując w imieniu stanu Missisipi na mocy nadanej sobie władzy, po złożeniu przysięgi stwierdza, że Carl Lee Hailey, zamieszkały w rzeczonym okręgu i stanie, w jurysdykcji niniejszego sądu, bezprawnie, rozmyślnie i celowo, z uprzednim złym zamiarem zabił dwoje ludzi, Billy'ego Raya Cobba i Pete'a Willarda oraz postrzelił z zamiarem pozbawienia życia DeWayne'a Looneya, funkcjonariusza biura szeryfa, naruszając w ten sposób prawo Missisipi oraz mir i godność tego stanu. Zatwierdzony akt oskarżenia. Podpisano, Laverne Gossett, przewodnicząca Wielkiej Ławy Przysięgłych".

Noose przerwał, aby zaczerpnąć oddech.

— Czy rozumie pan zarzuty, które mu stawiają?

— Tak.

— Czy rozumie pan, że jeśli zostanie pan skazany, może zostać stracony w komorze gazowej, w więzieniu stanowym w

Parchman?

— Tak.

— Czy oskarżony przyznaje się do winy?

— Jestem niewinny.

Noose ponownie zajrzał do kalendarza, obserwowany przez zgromadzonych. Reporterzy notowali, a rysownicy skupili uwagę na głównych aktorach, w tym także na Buckleyu, który zdołał wejść na podwyższenie i stanąć z boku, pozwalając, by naszkicowano go z profilu. Pragnął coś powiedzieć. Krzywił się z pogardą, spoglądając na tył głowy Carla Lee, jakby nie mógł się doczekać, aby usmażyć łotra na stosie. Dumnym krokiem podszedł do stołu, przy którym siedział Musgrove, i obaj zaczęli szeptać o czymś ważnym. Później przemaszerował przez salę i wdał się w szeptaną rozmowę z jednym z urzędników sądowych. Na koniec wrócił do miejsca dla świadków, gdzie oskarżony stał bez ruchu obok swojego obrońcy. Jake był świadom przedstawienia Buckleya i rozpaczliwie próbował je zignorować.

— Panie Hailey — pisnął sędzia Noose. — Pana proces wyznaczono na poniedziałek dwudziestego drugiego lipca. Wszystkie wnioski przedprocesowe i inne pisma muszą zostać złożone do dwudziestego czwartego czerwca i rozpatrzone do ósmego lipca.

Carl Lee i Jake skinęli głowami.

— Coś jeszcze?

— Tak, Wysoki Sądzie! — ryknął Buckley tak donośnym głosem, żeby usłyszeli go reporterzy w rotundzie. — Oskarżenie sprzeciwia się wszelkim wnioskom o zwolnienie oskarżonego za kaucją!

Jake zacisnął pięści, mając ochotę krzyczeć.

— Wysoki Sądzie, obrona jeszcze nie zgłosiła takiego wniosku. Pan Buckley jak zwykle ma problem z procedurą. Nie może sprzeciwiać się wnioskowi, dopóki ten nie zostanie zgłoszony. Powinien był nauczyć się tego na wydziale prawa.

Słowa Jake'a ubodły Buckleya, ale ciągnął:

— Wysoki Sądzie, pan Brigance zawsze składa wniosek o wyznaczenie kaucji. Jestem pewny, że uczyni to także dzisiaj. Oskarżenie sprzeciwia się kategorycznie wszelkim takim prośbom.

— Czemu pan nie poczekał, aż obrona go złoży? — zapytał Noose z lekką irytacją w głosie.

— Przepraszam — mruknął Buckley. Twarz mu poczerwieniała i spojrzał gniewnie na Jake'a.

— Czy obrona planowała wystąpienie z prośbą o kaucję? — spytał sędzia.

— Zamierzałem to zrobić w odpowiednim czasie, ale pan Buckley uprzedził mnie tymi teatralnymi...

— Zapomnijmy o panu Buckleyu — przerwał mu Noose.

— Wiem, Wysoki Sądzie. Po prostu się pogubił.

— Będzie wniosek o kaucję, panie Brigance?

— Tak, planowałem go złożyć.

— Przeczuwałem to. Rozważyłem już, czy w tej sprawie należy pozwolić na kaucję. Jak pan wie, leży to wyłącznie w mojej gestii. Nigdy nie udzielam zgody na kaucję w sprawie o zabójstwo. Nie wydaje mi się, aby w tym przypadku należało zrobić wyjątek.

— Czy Wysoki Sąd chciał powiedzieć, że postanowił nie wyrazić zgody na kaucję?

— Tak.

Jake wzruszył ramionami i położył teczkę na stole.

— Rozumiem.

— Coś jeszcze? — zapytał Noose.

— Nie, Wysoki Sądzie — odparł Jake.

Buckley w milczeniu pokręcił głową.

— Dobrze. Panie Hailey, do czasu procesu pozostanie pan w areszcie szeryfa okręgu Ford. Może pan odejść.

Carl Lee wrócił do pierwszego rzędu, gdzie czekał funkcjonariusz z biura szeryfa z kajdankami. Jake otworzył

teczkę i zaczął przeglądać dokumenty, kiedy Buckley chwycił go za ramię.

— To był tani chwyt, Brigance — warknął przez zęby.

— Sam się prosiłeś — odburknął Jake. — Puszczaj mnie.

Buckley cofnął rękę.

— Nie podoba mi się to.

— Kiepska sprawa, ważniaku. Nie powinieneś tyle mówić. Możesz się sparzyć przez to gadulstwo.

Buckley, który był dziesięć centymetrów wyższy i dwadzieścia kilogramów cięższy od Jake'a, z każdą chwilą stawał się coraz bardziej poirytowany. Na szczęście między nimi stanął jeden z funkcjonariuszy z biura szeryfa. Jake mrugnął do Buckleya i wyszedł z sali.

O czternastej klan Haileyów pod wodzą wuja Lestera wszedł do kancelarii Jake'a tylnymi drzwiami. Jake spotkał się z nimi w małym gabinecie obok sali konferencyjnej na dole. Rozmawiali o konferencji prasowej. Dwadzieścia minut później tymi samymi drzwiami weszli nonszalancko Ozzie i Carl Lee. Jake zaprowadził ich do gabinetu, gdzie Carl Lee spędził jakiś czas z rodziną. Ozzie i Jake wyszli z pokoju.

Jake starannie zaaranżował konferencję prasową, zdumiony swoją umiejętnością manipulowania przedstawicielami prasy oraz gotowością reporterów, aby dawać się wodzić za nos. Zasiadł na końcu stołu z trzema chłopakami Haileyów stojącymi za plecami. Gwen usiadła z lewej, a miejsce z prawej zajął Carl Lee, trzymając na kolanach Tonyę.

Prawnicza etykieta zakazywała ujawniania tożsamości zgwałconego dziecka, ale w przypadku Tonyi sprawa była inna. Nazwisko, twarz i wiek dziewczynki były dobrze znane z powodu jej ojca. Została już ujawniona światu. Jake chciał, żeby ją ujrzano i sfotografowano w najlepszej białej niedzielnej sukience, siedzącą na kolanach tatusia. Wiedział, że sędziowie

przysięgli, niezależnie od tego, kim są i gdzie mieszkają, będą na to patrzeć.

Reporterzy stłoczyli się w pokoju, który pękał w szwach. W korytarzu i recepcji było tylu dziennikarzy, że Ethel obcesowo kazała im siadać i dać jej spokój. Jeden z ludzi szeryfa pilnował frontowych drzwi, a dwaj inni siedzieli na tylnych schodach. Szeryf Walls i Lester stali niezręcznie za Haileyami i ich prawnikiem. Na stole przed Jakiem ustawiono cały pęk mikrofonów. Kamery szumiały i migotały światełkami w ciepłym blasku telewizyjnych reflektorów.

— Mam kilka uwag tytułem wstępu — zaczął Jake. — Po pierwsze, będę osobiście odpowiadał na państwa pytania. Proszę nie kierować żadnych pytań do pana Haileya lub innych członków jego rodziny. Jeśli takie padnie, pouczę go, żeby nie udzielał na nie odpowiedzi. Po drugie, chciałbym przedstawić państwu członków rodziny mojego klienta. Na lewo ode mnie siedzi jego żona, Gwen Hailey. Za nami stoją jego synowie: Carl Lee Junior, Jarvis i Robert. Za chłopcami widzą państwo brata mojego klienta, pana Lestera Haileya.

Jake przerwał i uśmiechnął się do Tonyi.

— Na kolanach taty siedzi Tonya Hailey. Czekam na państwa pytania.

— Co się wydarzyło w sądzie dziś rano?

— Pan Hailey wysłuchał aktu oskarżenia i nie przyznał się do winy. Proces wyznaczono na dwudziestego drugiego lipca.

— Czy posprzeczał się pan z prokuratorem okręgowym?

— Tak, po odczytaniu aktu oskarżenia pan Buckley do mnie podszedł i chwycił za ramię. Wyglądało, jakby chciał mnie zaatakować, ale interweniował funkcjonariusz z biura szeryfa.

— Co wywołało sprzeczkę?

— Pan Buckley nie wytrzymał napięcia.

— Czy pan i pan Buckley jesteście zaprzyjaźnieni?

— Nie.

— Czy proces odbędzie się w Clanton?

— Obrona złoży wniosek o zmianę miejsca procesu. Zostanie ono wyznaczone przez sędziego Noose'a. Niczego nie przewiduję.

— Czy mógłby pan opisać, co spotkało rodzinę Haileyów?

Jake zamyślił się chwilę w cichym szumie pracujących kamer. Spojrzał na Carla Lee i Tonyę.

— Macie państwo przed sobą bardzo sympatyczną rodzinę. Jeszcze dwa tygodnie temu jej życie było proste i szczęśliwe. Ojciec pracował w papierni i miał odłożoną małą sumkę w banku. Mieli poczucie stabilności i bezpieczeństwa. Co niedziela chodzili do kościoła. Jednym słowem, szczęśliwa rodzina. Później, Bóg jeden wie dlaczego, dwóch pijanych, odurzonych narkotykami chuliganów dopuściło się odrażającego, brutalnego gwałtu na tej małej dziesięcioletniej dziewczynce. To, co zrobili, zaszokowało i przeraziło miejscową społeczność. Ci ludzie zniszczyli życie Tonyi, zniszczyli również życie jej rodziców i krewnych. Dla ojca było tego zbyt wiele. Nie wytrzymał. Pękł. Teraz siedzi w więzieniu, czekając na proces, zagrożony komorą gazową. Stracił pracę. Pieniądze się rozeszły. Utracił niewinność. Dzieciom grozi to, że będą dorastać bez ojca. Ich matka musi znaleźć pracę, aby utrzymać rodzinę. Będzie musiała prosić i pożyczać pieniądze od przyjaciół i krewnych, aby przeżyć. Mówiąc krótko, rodzina Haileyów została zdruzgotana i zniszczona.

Gwen zaczęła cicho pochlipywać, a Jake podał jej chusteczkę.

— Czy sugeruje pan, że obrona powoła się na niepoczytalność oskarżonego?

— Tak.

— Czy obrona faktycznie złoży taki wniosek?

— Tak.

— Czy może pan tego dowieść?

— Rozstrzygnięcie pozostawię członkom ławy przysięgłych. Przedstawimy opinie biegłych z dziedziny psychiatrii.

— Czy już pan z nimi rozmawiał?

— Tak — skłamał Jake.

— Może pan podać ich nazwiska?

— Nie, w tym momencie nie byłoby to właściwe.

— Słyszeliśmy pogłoski o groźbach śmierci pod adresem pana Haileya. Czy może pan to potwierdzić?

— Nadal pojawiają się groźby pod adresem pana Haileya i jego rodziny, a także mojej własnej, szeryfa, sędziego i prawie wszystkich zaangażowanych w tę sprawę. Nie wiem, jak są poważne.

Carl Lee poklepał Tonyę po nodze i spojrzał na stół wzrokiem bez wyrazu. Wyglądał na przerażonego, godnego politowania, potrzebującego współczucia. Chłopcy też sprawiali wrażenie przestraszonych, ale zgodnie z surowym poleceniem stali na baczność, bojąc się wykonać najdrobniejszy ruch. Najstarszy z nich, piętnastoletni Carl Lee Junior, stał za Jakiem. Trzynastoletni Jarvis, środkowy, zajął miejsce za tatą, a jedenastoletni Robert za plecami mamy. Wszyscy mieli na sobie identyczne granatowe marynarki, białe koszule i małe czerwone muchy. Garnitur Roberta należał kiedyś do Carla Lee Juniora, a później Jarvisa i wyglądał na nieco bardziej zużyty od dwóch pozostałych. Był jednak czysty, starannie odprasowany, z nieskazitelnymi mankietami. Chłopcy wyglądali elegancko. Czy jakiś przysięgły mógłby zagłosować za tym, żeby takie dzieci wychowywały się bez ojca?

Konferencja prasowa okazała się hitem. Fragmenty pokazywano bez przerwy w krajowych i lokalnych wiadomościach. W czwartek na pierwszych stronach gazet ukazały się zdjęcia rodziny Haileyów i ich prawnika.

Rozdział 16

Szwedka dzwoniła kilka razy, gdy jej mąż bawił w Missisipi. Nie wierzyła, że jest jej wierny. Przyznał się, że w Clanton mieszkają jego dawne dziewczyny. Gdy dzwoniła, Lestera zwykle nie było w domu, a Gwen kłamała, mówiąc, że poszedł na ryby lub wycina świerki. Gwen miała już tego dość, a Lesterowi przejadły się hulanki. Ponadto działali już sobie na nerwy. Kiedy telefon zadzwonił w piątek przed świtem, Lester odebrał. Po drugiej stronie była jego szwedzka żona.

Dwie godziny później czerwony cadillac zaparkował obok więzienia. Moss Junior zaprowadził Lestera do celi Carla Lee. Bracia zaczęli szeptać, aby nie obudzić innych więźniów.

— Muszę wracać do domu — wymamrotał nieśmiało Lester, jakby się wstydził.

— Dlaczego? — spytał Carl Lee, który najwyraźniej się tego spodziewał.

— Żona zadzwoniła dziś rano. Wyleją mnie, jeśli jutro nie pojawię się w robocie.

Carl Lee skinął głową ze zrozumieniem.

— Przykro mi, brachu. Czuję wyrzuty sumienia, ale nie mam wyboru.

— Rozumiem. Kiedy wrócisz?

— A kiedy chcesz?

— Gdy zacznie się proces. Gwen i dzieciakom będzie wtedy bardzo trudno. Przyjedziesz?

— Jasne, przecież wiesz. Wezmę urlop i tak dalej. Przyjadę.

Siedzieli na skraju pryczy Carla Lee i patrzyli na siebie w milczeniu. W celi było ciemno i cicho. Dwie prycze naprzeciwko były puste.

— Człowieku, już zapomniałem, jak tu źle — szepnął Lester.

— Mam nadzieję, że długo nie posiedzę.

Wstali i się uścisnęli, a później Lester zawołał Mossa Juniora, żeby otworzył celę.

— Jestem z ciebie dumny, braciszku — powiedział starszemu bratu, a później wyjechał do Chicago.

Drugim gościem tego ranka był obrońca Carla Lee. Spotkali się w gabinecie Ozziego. Jake miał zaczerwienione oczy i wydawał się poirytowany.

— Posłuchaj, Carl. Wczoraj rozmawiałem z dwoma psychiatrami z Memphis. Czy wiesz, ile żądają za przedstawienie ekspertyzy dla potrzeb procesu? Masz pojęcie?

— A powinienem? — spytał Carl Lee.

— Tysiąc dolarów! — wykrzyknął Jake. — Jeden tysiąc dolarów! Gdzie możesz znaleźć tysiąc dolarów?

— Oddałem ci całą forsę, jaką miałem. Zaproponowałem nawet...

— Nie chcę aktu własności twojej ziemi. A wiesz dlaczego? Bo nikt nie chce jej kupić. Jeśli nie możesz jej sprzedać, na nic ci się nie przyda. Musimy zdobyć gotówkę, Carl. Nie dla mnie, ale dla psychiatrów.

— Dlaczego?

— Dlaczego?! — powtórzył Jake, nie wierząc własnym uszom. — Dlaczego?! Bo chcę cię uchronić przed komorą

gazową, która czeka zaledwie sto pięćdziesiąt kilometrów stąd. To niedaleko. W tym celu muszę przekonać przysięgłych, że byłeś niepoczytalny, kiedy strzelałeś. Nie mogę im powiedzieć, że ci odbiło. Ty też nie możesz tego zrobić. Potrzebujemy psychiatry. Eksperta. Lekarza. Ci ludzie nie pracują za darmo. Rozumiesz?

Carl Lee pochylił się, opierając łokcie na kolanach i obserwując pająka sunącego po zakurzonym dywanie. Po dwunastu dniach w pudle i dwóch wizytach w sądzie miał dość systemu sądownictwa karnego. Cofnął się myślami do godzin i minut przed zabójstwem. Co właściwie siedziało mu w głowie? Jasne, że tamci musieli umrzeć. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Czemu nie pomyślał o więzieniu i biedzie, prawnikach i psychiatrach? Może i pomyślał, ale tylko przelotnie. Wspomniane niedogodności były jedynie produktem ubocznym, z którym musiał się pogodzić i wycierpieć, zanim zostanie wypuszczony na wolność. Po tym, co zrobił, system miał go osądzić, uniewinnić i odesłać do domu, do rodziny. Sprawa miała być łatwa i całkowicie bezbolesna, jak epizod Lestera.

Jednak tym razem system nie zadziałał. Sprzysiągł się przeciwko niemu, żeby zatrzymać go w więzieniu, żeby go złamać, żeby uczynić sierotami jego dzieci. Wydawało się, że chce go ukarać za czyn, który on uważał za konieczny. A teraz jego jedyny sprzymierzeniec stawiał żądania nie do spełnienia. Jego prawnik prosił o rzeczy niemożliwe. Jego przyjaciel Jake był wściekły i krzyczał.

— Zdobądź forsę! — wrzasnął Brigance, ruszając do drzwi. — Pożycz od swoich braci i sióstr, od przyjaciół, Kościoła! Tylko załatw pieniądze! I to tak szybko, jak to możliwe!

Jake trzasnął drzwiami i wymaszerował z więzienia.

Trzeci gość Carla Lee zjawił się przed południem w długiej czarnej limuzynie z szoferem i tablicami z Tennessee. Wóz

wjechał dostojnie na mały parking i stanął na trzech miejscach. Zza kierownicy podniósł się rosły czarnoskóry ochroniarz, aby otworzyć drzwi i wypuścić szefa. Ruszyli chodnikiem i weszli do więzienia.

Sekretarka przestała pisać na maszynie i uśmiechnęła się podejrzliwie.

— Dzień dobry — powiedziała.

— Dobry — odrzekł mniejszy z gości, ten z przepaską na oku. — Jestem Cat Bruster. Chciałbym pogadać z szeryfem Wellsem.

— Mogę spytać w jakiej sprawie?

— Tak, proszę pani. W sprawie pana Haileya, pensjonariusza waszego eleganckiego zakładu.

Szeryf usłyszał, że o nim mówią, i wyszedł z gabinetu, aby powitać swojego niesławnego gościa.

— Witam, panie Bruster, jestem Ozzie Walls. — Podali sobie ręce. Goryl stał nieruchomo.

— Cieszę się, że mogę pana poznać, szeryfie. Jestem Cat Bruster, z Memphis.

— Wiem, wiem, kim jesteś. Oglądałem cię w wiadomościach. Co cię sprowadza do okręgu Ford?

— Wygląda na to, że mój kumpel znalazł się w poważnych tarapatach. Chodzi o Carla Lee Haileya. Przyjechałem, żeby pomóc.

— Rozumiem, a ten co za jeden? — zapytał Ozzie, spoglądając na ochroniarza. Facet ważył co najmniej sto pięćdziesiąt kilogramów, skupionych głównie w rejonie barków i ramion.

— To Mały Tom — wyjaśnił uczynnie Cat. — Żeby było łatwiej, wołamy go Mały.

— Rozumiem.

— Jest kimś w rodzaju ochroniarza.

— Chyba nie ma broni?

— Nie, szeryfie. Nie potrzebuje broni.

— Rozumiem. Zapraszam pana i Małego do siebie.

Kiedy weszli do gabinetu szeryfa, Mały zamknął drzwi i stanął obok nich, a jego szef usiadł naprzeciwko szeryfa.

— Twój człowiek może usiąść, jeśli chce — wyjaśnił Catowi Ozzie.

— Nie, szeryfie. Mały zawsze stoi przy drzwiach. Tak został wyszkolony.

— Jak policyjny pies?

— Taak.

— W porządku. O czym chcesz pogadać?

Cat założył nogę na nogę i oparł na kolanie dłoń ozdobioną sygnetami z brylantami.

— No cóż, szeryfie. Znamy się z Carlem Lee szmat czasu. Walczyliśmy razem w Wietnamie. W siedemdziesiątym pierwszym dobrali się nam do skóry. Zostałem ranny w głowę, a dwie sekundy później on oberwał w nogę. Nasz oddział czmychnął, a żółtki waliły do nas jak do tarczy strzelniczej. Carl Lee dokuśtykał do mnie, wziął na barana i pobiegł w gradzie kul do rowu przy drodze. Później czołgał się pięć kilometrów, wlokąc mnie na plecach. Ocalił mi życie. Dali mu za to medal. Wiedziałeś o tym?

— Nie.

— To prawda. Dwa miesiące leżeliśmy obok siebie w szpitalu w Sajgonie, a później zabraliśmy swoje czarne dupska z Wietnamu. Nie planuję tam wracać.

Ozzie słuchał z uwagą.

— Teraz, gdy mój druh znalazł się w kłopocie, chciałbym pomóc.

— To ty załatwiłeś mu M szesnaście?

Mały mruknął coś pod nosem, a Cat się uśmiechnął.

— Skądże.

— Chciałbyś zobaczyć Carla Lee?

— Jasne. Nie będzie problemu?

— Jeśli zabierzesz Małego od drzwi, to go przyprowadzę.

Mały wyszedł na korytarz, a dwie minuty później Ozzie wrócił z więźniem. Cat krzyknął do niego, objął ramionami, a później obaj zaczęli się poklepywać, jak bokserzy. Carl Lee spojrzał znacząco na Ozziego, który zrozumiał sugestię i wyszedł. Mały ponownie zamknął drzwi i stanął na warcie. Carl Lee zestawił krzesła, żeby mogli usiąść obok siebie i pogadać.

Cat zaczął pierwszy.

— Jestem z ciebie dumny, olbrzymie. Jestem dumny z tego, co zrobiłeś. Czemu nie powiedziałeś, po co ci broń?

— Zwyczajnie nie powiedziałem, i już.

— Jak to było?

— Tak samo jak w Wietnamie, tylko że tamci nie odpowiedzieli ogniem.

— To nawet lepiej.

— Taak, też tak sądzę. Szkoda, że musiało się tak stać.

— Chyba nie żałujesz, co?

Carl Lee zakołysał się na krześle i spojrzał w sufit.

— Zrobiłbym to jeszcze raz, niczego nie żałuję. Żałuję tylko tego, co zrobili z moją małą córeczką. Chciałbym, żeby była taka jak kiedyś. Chciałbym, żeby nic takiego się nie stało.

— Jasne, jasne. Musi być ci ciężko.

— Nie martwię się o siebie, ale o rodzinę.

— Jasne, jasne. Jak się czuje twoja żona?

— W porządku. Da radę.

— Czytałem w gazecie, że proces będzie w lipcu. Ostatnio piszą o tobie w gazetach częściej niż o mnie.

— Wiem, Cat, ale ty zawsze się wykręcisz. Nie jestem taki pewny, że i mnie się to uda.

— Masz prawnika, nie?

— Taak. Jest dobry.

Cat wstał i zaczął krążyć po gabinecie, podziwiając trofea i dyplomy Ozziego.

— Właśnie dlatego do ciebie przyjechałem, bracie.

— Znaczy dlaczego? — spytał Carl Lee, nie mając pewności,

co przyjaciel miał na myśli, chociaż wiedział, że jego wizyta musiała mieć jakiś cel.

— Czy wiesz, ile razy stawałem przed sądem?

— Mam wrażenie, że robisz to cały czas.

— Pięć! Oskarżyli mnie pięć razy. Federalni. Chłopaki na garnuszku stanu. Narkotyki, hazard, łapownictwo, broń, wymuszanie okupu, dziwki. Za każdym razem, gdy zaciągnęli mnie do sądu, byłem winny jak cholera. Wiesz, ile razy mnie skazali?

— Nie.

— Ani razu! Ani razu mnie nie dostali. Pięć procesów i pięć wyroków uniewinniających.

Carl Lee uśmiechnął się z podziwem.

— Wiesz, dlaczego nie mogli mnie skazać?

Carl Lee nie miał zielonego pojęcia, ale i tak skinął głową.

— Bo widzisz, miałem najchytrzejszego, najbardziej wrednego i szemranego prawnika od spraw karnych w tej części kraju. Facet oszukiwał i faulował, gliniarze go nienawidzili. Zrobiłby wszystko, żeby wygrać sprawę.

— Co za jeden? — ożywił się Carl Lee.

— Musiałeś widzieć gościa w telewizji, jak wchodzi i wychodzi z sądu. Cały czas piszą o nim w gazetach. Za każdym razem, gdy jakiś większy oprych wpadnie w tarapaty, on przybywa z pomocą. Broni handlarzy narkotyków, polityków, mnie, wszystkich dużych oprychów.

— Jak się nazywa?

— Zajmuje się wyłącznie sprawami karnymi, głównie narkotyki, przekupstwa, wymuszenia, takie tam. Ale wiesz, jakie sprawy lubi najbardziej?

— Jakie?

— O zabójstwo. Po prostu je uwielbia. Nie przegrał ani jednej. Dostaje wszystkie głośne sprawy w Memphis. Pamiętasz, jak złapali dwóch czarnych, którzy zrzucili jednego frajera z mostu do Missisipi? Schwytali ich na gorącym uczynku. Jakieś

pięć lat temu?

— Taak, pamiętam.

— Był głośny proces i po dwóch tygodniach goście wyszli wolno. Ten prawnik ich wybronił. Wyprowadził z sądu. Zostali uniewinnieni.

— Chyba faktycznie widziałem go w telewizji.

— Oczywiście, to kawał skurczybyka, Carl. Mówię ci, ten gość nigdy nie przegrywa.

— Jak się nazywa?

Cat opadł na krzesło i spojrzał poważnie na Carla Lee.

— Bo Marsharfsky — oznajmił.

Carl Lee podniósł wzrok, jakby coś sobie przypomniał.

— I co?

Cat położył pięć palców z ośmioma karatami brylantów na kolanie Carla Lee.

— Facet chce ci pomóc, bracie.

— Mam już jednego prawnika, któremu nie jestem w stanie zapłacić. Jakim cudem będzie mnie stać na drugiego?

— Nie musisz płacić ani centa, Carlu Lee. Przyjechałem, żeby ci to powiedzieć. Cały czas płacę gościowi honorarium, żeby pozostawał do mojej dyspozycji. Facet jest mój. W poprzednim roku zapłaciłem mu jakieś sto tysięcy, aby trzymał mnie z daleka od kłopotów. Nie będziesz musiał zapłacić ani grosza.

Nagle Carl Lee zainteresował się Bo Marsharfskym.

— Jak się o mnie dowiedział?

— Facet czytuje gazety, ogląda telewizję. Wiesz, jacy są prawnicy. Wczoraj byłem w jego biurze. Czytał gazetę z twoim zdjęciem na pierwszej stronie. Powiedziałem mu o nas. Oszalał. Zawołał, że musi dostać twoją sprawę. Ja na to, że pomogę.

— Dlatego przyjechałeś?

— Właśnie. Marsharfsky powiedział, że zna odpowiednich gości, którzy cię z tego wyciągną.

— Kogo?

— Lekarzy, psychiatrów, facetów w tym rodzaju. Marsharfsky zna ich wszystkich.

— To kosztuje.

— Ja zapłacę, Carl! Posłuchaj! Zapłacę za wszystko. Będziesz miał najlepszego prawnika i lekarzy, jakich można kupić. Twój stary kumpel Cat zapłaci. Nie przejmuj się forsą.

— Już mam dobrego prawnika.

— Ile facet ma lat?

— Ze trzydzieści.

Cat przewrócił oczami ze zdumienia.

— To dzieciak, Carlu Lee. Jeszcze niedawno chodził do szkoły. Marsharfsky'emu stuknęła pięćdziesiątka. Prowadził więcej spraw o zabójstwo, niż ten koleś widział na oczy. To twoje życie, Carl. Nie powierzaj go byle nowicjuszowi.

Nagle Jake wydał się Carlowi Lee potwornie młody. Fakt, ale gdy bronił Lestera, był jeszcze młodszy.

— Posłuchaj mnie, Carlu. Widziałem wiele rozpraw. To cholerstwo jest paskudnie skomplikowane, pełne technicznych niuansów. Jedna pomyłka tego dzieciaka może zdecydować o życiu lub śmierci. Nie możesz sobie pozwolić na zatrudnienie młodziaka, mając nadzieję, że czegoś nie spieprzy. Wystarczy jeden błąd — Cat pstryknął palcami dla wzmocnienia efektu — i wylądujesz w komorze gazowej.

Carl Lee znalazł się w rozterce.

— Czy ten Marsharfsky zgodzi się współpracować z moim prawnikiem? — zapytał, szukając kompromisu.

— Nie, nie ma mowy. Nie zgodzi się pracować z byle kim. Poza tym nie będzie potrzebował pomocy. Twój chłopak będzie mu tylko zawadzał.

Carl Lee oparł łokcie na kolanach i utkwił wzrok w podłodze. Nie było mowy, żeby zdobył tysiąc dolarów na psychiatrę. Nie rozumiał, po co facet w ogóle jest mu potrzebny, bo kiedy strzelał, nie czuł się obłąkany, ale wyglądało, że będzie to konieczne. Wszyscy byli tego zdania. Tysiąc dolarów za taniego

lekarza. Cat proponował najlepszych, jakich można mieć za pieniądze.

— Wolałbym nie robić tego mojemu obrońcy — wymamrotał cicho.

— Nie bądź głupi, człowieku — żachnął się Cat. — Pomyśl o tym, co najlepsze dla ciebie, i daj sobie spokój z dzieciakiem. Przecież to prawnik, facet się wyliże.

— Tylko że już zapłaciłem...

— Ile? — przerwał mu Cat, pstrykając palcami na Małego.

— Dziewięćset dolców.

Mały wyciągnął gruby plik banknotów. Cat odliczył dziewięć studolarówek i wetknął je Carlowi Lee do kieszeni koszuli.

— Masz jeszcze tysiączka dla dzieciaków — powiedział, wyciągając banknot tysiącdolarowy i dodając do pozostałych.

Serce Carla Lee zabiło mocniej na myśl o gotówce. Poczuł, jak forsa przesuwa się w kieszeni, delikatnie muskając klatkę piersiową. Pragnął spojrzeć na banknot o dużym nominale i potrzymać go w dłoni. Pomyślał o jedzeniu, o jedzeniu dla swoich dzieci.

— To co, umowa stoi? — zapytał z uśmiechem Cat.

— Chcesz, żebym zwolnił mojego prawnika i zatrudnił twojego? — spytał ostrożnie Carl Lee.

— Właśnie, właśnie.

— I sam za wszystko zapłacisz?

— Właśnie, właśnie.

— A ta forsa??

— Jest twoja. Daj mi znać, jeśli będziesz potrzebował więcej.

— To bardzo miło z twojej strony, Cat.

— Bo miły ze mnie gość. Za jednym zamachem pomagam dwóm przyjaciołom. Jeden ocalił mi tyłek wiele lat temu, a drugi co dwa lata ratuje mnie przed pudłem.

— Czemu tak bardzo mu zależy na mojej sprawie?

— Z powodu rozgłosu. Wiesz, jacy są prawnicy. Pomyśl, jaką reklamę ten dzieciak sobie zrobił twoim kosztem. To

marzenie każdego prawnika. To jak, umowa stoi?

— Taak. Umowa stoi.

Cat czule klepnął go w ramię i podszedł do telefonu na biurku Ozziego. Wykręcił jakiś numer.

— Proszę mnie połączyć z dziewięćset jeden pięćset sześćdziesiąt sześć dziewięćdziesiąt osiem zero zero. Dzwoni Cat Bruster. Rozmowa na koszt odbiorcy. Do Bo Marsharfsky'ego.

⅄ ⅄ ⅄

Bo Marsharfsky odłożył słuchawkę w swoim biurze na dwudziestym piętrze w centrum miasta i zapytał sekretarkę, czy komunikat dla prasy jest gotowy. Podała mu tekst, a on przejrzał go uważnie.

— Wygląda w porządku — powiedział. — Natychmiast przekaż to obu gazetom. Powiedz, żeby użyli fotografii, którą mają w aktach. Tej nowej. Zadzwoń do Franka Fieldsa z „Post" i powiedz, że jutro rano chcę to mieć na pierwszej stronie. Wisi mi przysługę.

— Tak, proszę pana. A co ze stacjami telewizyjnymi? — zapytała.

— Przekaż im kopię. Nie mogę teraz gadać, ale w przyszłym tygodniu zorganizuję konferencję prasową w Clanton.

⅄ ⅄ ⅄

Lucien zadzwonił o szóstej trzydzieści, w sobotni ranek. Carla głęboko spała, zagrzebana pod prześcieradłami, i nie podniosła słuchawki. Jake przekręcił się do ściany i namacał lampę, aby w końcu znaleźć aparat.

— Słucham — wykrztusił słabym głosem.

— Co robisz? — zapytał Lucien.

— Spałem, dopóki nie zadzwonił telefon.

— Widziałeś gazetę?

— Która godzina?

— Przejrzyj gazetę i zadzwoń, kiedy to zrobisz.

Telefon zamilkł. Jake spojrzał na słuchawkę, a później położył ją na nocnym stoliku. Usiadł na skraju łóżka i przetarł oczy, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio Lucien zadzwonił do niego do domu. Sprawa musiała być poważna.

Zaparzył kawę, wypuścił psa i energicznym krokiem, ubrany jedynie w podkoszulek i spodenki gimnastyczne, ruszył w kierunku ulicy, gdzie w odległości dwudziestu centymetrów od siebie leżały trzy poranne gazety. Zdjął gumowe opaski, rzucił je na kuchenny stół i rozłożył gazety obok porannej kawy. W gazecie z Jackson nie było niczego ciekawego. Podobnie w gazecie z Tupelo. „Memphis Post" miała duży nagłówek o śmierci na Bliskim Wschodzie. Chwilę później to zobaczył. U dołu pierwszej strony ujrzał swoje zdjęcie opatrzone komentarzem „Jake Brigance wylany". Obok widniało zdjęcie Carla Lee i doskonała fotografia przedstawiająca twarz, którą widział już wcześniej. Twarz i słowa: „Bo Marsharfsky wkracza do gry". Nagłówek informował, że Bo Marsharfsky, znany obrońca występujący w sprawach karnych, został zatrudniony do obrony „zabójcy, który dopuścił się samosądu".

Zamurowało go. Poczuł się słaby i zdezorientowany. Z pewnością popełniono jakiś błąd. Przecież wczoraj rozmawiał z Carlem Lee. Wolno przeczytał artykuł. Było w nim niewiele szczegółów, głównie opis najsłynniejszych zwycięstw Marsharfsky'ego. Facet obiecywał zwołanie konferencji prasowej w Clanton. Powiedział, że sprawa stawia nowe wyzwania itd. Wyraził również zaufanie do członków ławy przysięgłych okręgu Ford.

Jake w milczeniu naciągnął wykrochmalone spodnie khaki i koszulę z przypinanymi rogami kołnierzyka. Carla nadal tkwiła głęboko zagrzebana w łóżku, pogrążona w kamiennym śnie. Pomyślał, że powie jej później. Wziął gazetę i pojechał do kancelarii. Wiedział, że w Coffee Shopie nie będzie bezpieczny. Ponownie przeczytał artykuł za biurkiem Ethel i spojrzał na

zdjęcie umieszczone na pierwszej stronie.

Lucien znalazł niewiele słów pociechy. Znał Marsharfsky'ego, Rekina, jak go nazywano. Facet był ciemnym typem, oszustem z polorem i finezją. Lucien go podziwiał.

Moss Junior wprowadził Carla Lee do biura Ozziego, gdzie czekał na niego Jake z gazetą w ręku, i szybko wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Carl Lee przysiadł na małej czarnej winylowej kanapie.

Jake cisnął w niego gazetą.

— Widziałeś to?! — zapytał.

Carl Lee rzucił mu gniewne spojrzenie, ignorując gazetę.

— Dlaczego to zrobiłeś, Carl?

— Nie muszę ci niczego wyjaśniać, Jake.

— Musisz. Powinieneś mieć odwagę i zadzwonić do mnie, jak mężczyzna. A ty pozwoliłeś, żebym dowiedział się wszystkiego z gazet. Żądam wyjaśnień.

— Chciałeś za dużo forsy, Jake. Stale się kłóciłeś o forsę. Siedzę w pudle, a ty się wkurwiasz o coś, na co nie mogę nic poradzić.

— Zatem chodzi o pieniądze. Nie mogłeś sobie pozwolić na to, żeby mi zapłacić. Jakim cudem będzie cię stać na Marsharfsky'ego?

— Nie będę musiał mu płacić.

— Co?!

— Słyszałeś. Nie zapłacę ani centa.

— Facet pracuje darmo?

— Nie, zapłaci ktoś inny.

— Kto?! — krzyknął Jake.

— Nie powiem. To nie twój interes, Jake.

— Zatrudniłeś najlepszego obrońcę od spraw karnych w Memphis i ktoś za to zapłaci?

— Taak.

Ani chybi NAACP, pomyślał Jake. Nie, oni nie wynajęliby Marsharfsky'ego. Mają własnych prawników. Oprócz tego byłby dla nich za drogi. Jeśli nie oni, to kto?

Carl Lee wziął gazetę i starannie ją złożył. Było mu wstyd i czuł się paskudnie, ale decyzja została podjęta. Poprosił Ozziego, żeby zadzwonił do Jake'a i przekazał mu wiadomość, ale szeryf nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Carl Lee powinien był sam zadzwonić, ale nie zamierzał przepraszać. Przyjrzał się swojemu zdjęciu na pierwszej szpalcie. Spodobało mu się to o „zabójcy, który dokonał samosądu".

— Nie powiesz mi, kto zapłaci? — spytał Jake nieco spokojniejszym głosem.

— Nie, Jake. Nie powiem.

— Omówiłeś to z Lesterem?

W oczach Carla Lee ponownie błysnął gniew.

— Nie. Lester nie będzie stawał przed sądem. To nie jego sprawa.

— Gdzie jest?

— W Chicago. Wczoraj wyjechał. Nie dzwoń do niego. Podjąłem decyzję, Jake.

Zobaczymy, pomyślał Jake. Lester wkrótce wszystkiego się dowie.

Jake otworzył drzwi.

— Zatem to koniec. Zostałem wylany. Ot, tak.

Carl Lee spojrzał na swoją fotografię i nie odrzekł ani słowa.

Carla jadła śniadanie i czekała. Zadzwonił jakiś reporter z Jackson, pytając o Jake'a. To on powiedział jej o Marsharfskym.

Nie zamienili ani słowa, ograniczając się do gestów. Jake nalał sobie kawy i wyszedł na tylną werandę. Pił napój z parującego kubka, gapiąc się na zaniedbany żywopłot rosnący wzdłuż granicy długiego i wąskiego podwórka. Mocne słońce przypiekło bujną zieloną trawę i wysuszyło poranną rosę,

wytwarzając lepką mgiełkę, która unosiła się i oblepiała mu koszulę. Żywopłot i trawnik czekały na cotygodniowe strzyżenie. Zdjął mokasyny, które założył na gołe stopy, i ruszył rozmiękłą darnią, aby przyjrzeć się pękniętemu poidełku dla ptaków w pobliżu mizernego mirtu — jedynego drzewa wartego uwagi na jego posesji.

Carla podążyła wilgotnymi śladami stóp i zatrzymała się za jego plecami. Ujął ją za rękę i się uśmiechnął.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

— Taak.

— Rozmawiałeś z nim?

— Tak.

— Co powiedział?

Jake pokręcił głową i nie odrzekł ani słowa.

— Przykro mi, Jake.

Skinął głową i popatrzył ponad poidełkiem dla ptaków.

— Będą inne sprawy — powiedziała bez większego przekonania.

— Wiem. — Pomyślał o Buckleyu i zdawało mu się, że słyszy jego rechot. Pomyślał o chłopakach z Coffee Shopu i przysiągł sobie, że więcej tam nie wróci. Pomyślał o kamerach i reporterach, czując tępy ból w rejonie żołądka. I o Lesterze, swojej jedynej nadziei na odzyskanie tej sprawy.

— Chcesz coś na śniadanie? — zapytała.

— Nie. Nie jestem głodny. Dziękuję.

— Spójrz na jasną stronę — powiedziała. — Będziemy mogli bez lęku odbierać telefony.

— Chyba przytnę trawnik — odrzekł.

Rozdział 17

Rada duchownych była grupą czarnych kaznodziejów powołaną w celu koordynowania działań politycznych podejmowanych przez murzyńskie społeczności z okręgu Ford. W latach pomiędzy wyborami rada spotykała się rzadko, ale w latach wyborczych posiedzenia zwoływano co tydzień. W niedzielne popołudnie przepytywali kandydatów i omawiali różne sprawy oraz, co ważniejsze, badali zalety każdego starającego się o urząd. Zawierali umowy, formułowali strategie, przekazywali z rąk do rąk pieniądze. Rada dowiodła, że od jej decyzji zależy, jak zagłosują czarni. W latach wyborczych datki i subwencje dla czarnych kościołów dramatycznie wzrastały.

Wielebny Ollie Agee zwołał specjalne spotkanie Rady w niedzielne popołudnie w sali swojego kościoła. Wcześnie skończył kazanie i o szesnastej, kiedy jego trzódka rozeszła się do domów, na parking zaczęły zajeżdżać cadillaki i lincolny. Spotkania Rady miały charakter tajny i mogli w niej uczestniczyć tylko zaproszeni duchowni. W okręgu Ford były dwadzieścia trzy czarne kościoły. Kiedy wielebny Ollie Agee zaczynał spotkanie, na sali było dwudziestu dwóch członków Rady.

Spotkanie miało być krótkie, ponieważ niektórzy z nich, szczególnie bracia z Kościoła Chrystusa, niebawem rozpoczynali wieczorne nabożeństwo.

Wyjaśnił, że celem spotkania jest zorganizowanie moralnego, politycznego i finansowego wsparcia dla Carla Lee Haileya, nieposzlakowanego członka jego kościoła. Powinni stworzyć fundusz prawny, aby zagwarantować mu najlepszą obronę. Inny fundusz miał zapewnić wsparcie jego rodzinie. On, wielebny Agee, będzie przewodniczył zbiórce, a każdy z duchownych, jak zwykle, będzie odpowiadał za swoją kongregację. Zorganizują specjalną zbiórkę podczas porannego i wieczornego nabożeństwa, poczynając od następnej niedzieli. Agee będzie przekazywał pieniądze rodzinie wedle swojego uznania. Połowa zebranych środków pójdzie na fundusz prawny. Czas odgrywa wielką rolę, bo rozprawa rozpocznie się za miesiąc. Pieniądze trzeba zebrać szybko, kiedy o sprawie jest głośno i ludzie są skłonni dawać.

Członkowie Rady udzielili jednomyślnego poparcia wielebnemu Agee, więc mówił dalej.

W sprawę Haileya musi się zaangażować NAACP. Carl Lee nie stanąłby przed sądem, gdyby był biały. Nie w okręgu Ford. Urządzą mu proces tylko dlatego, że jest czarny. NAACP musi zająć stanowisko w tej sprawie. Trzeba zadzwonić do dyrektora krajowego. Oddziały w Memphis i Jackson już obiecały pomoc. Zorganizują konferencje prasowe. Ważne będą również demonstracje i marsze protestacyjne. Być może bojkot firm, których właścicielami są biali, bo obecnie wspomniana taktyka była bardzo popularna i przynosiła zdumiewające rezultaty.

Trzeba to uczynić niezwłocznie, kiedy ludzie są otwarci i skłonni do ofiarowania pieniędzy. Duchowni poparli go jednogłośnie i wyszli na swoje wieczorne nabożeństwa.

Jake nie poszedł na nabożeństwo częściowo ze zmęczenia, częściowo z zakłopotania. Carla usmażyła naleśniki i zjedli na

werandzie rodzinne leniwe śniadanie z Hanną. Dał sobie spokój z niedzielnymi gazetami, kiedy na czołówce drugiej części „Memphis Post” znalazł obszerny artykuł na temat Marsharfsky’ego i jego słynnego nowego klienta. Tekst dopełniały zdjęcia i wypowiedzi wielkiego prawnika. Powiedział, że sprawa Haileya to największe wyzwanie w jego dotychczasowej karierze. Będzie wymagała podjęcia poważnych kwestii społecznych i prawnych. Przechwalał się, że od dwunastu lat nie przegrał procesu w sprawie o zabójstwo. Nie będzie łatwo, ale wierzy w mądrość i sprawiedliwość przysięgłych z Missisipi.

Jake przeczytał artykuł bez słowa komentarza, a później wyrzucił gazetę do kosza na śmieci.

Carla zaproponowała piknik. Jake powinien był popracować, ale wiedział, że lepiej nie wspominać o robocie. Załadowali jedzenie i zabawki do saaba i pojechali nad jezioro. Brązowa mętna woda jeziora Chatulla osiągnęła maksymalny poziom i w ciągu kilku dni miała zacząć opadać. Wysoka woda ściągnęła flotyllę motorówek do nart wodnych, katamaranów i pontonów oraz łodzi wędkarskich do łowienia okoni.

Carla rozłożyła dwa grube koce pod dębem rosnącym na zboczu wzgórza, a Jake wyładował prowiant i domek dla lalek. Hanna zaczęła rozstawiać na kocu swoją dużą rodzinę ze zwierzakami i samochodami, wydając polecenia i organizując życie domowe. Rodzice słuchali i uśmiechali się do siebie. Narodziny córki były potwornym doświadczeniem przyprawiającym o skurcz brzucha. Hanna urodziła się dwa i pół miesiąca za wcześnie, w atmosferze sprzecznych objawów i prognoz. Jake siedział jedenaście dni obok inkubatora na oddziale intensywnej opieki medycznej, obserwując drobniutkie purpurowe, chude i piękne półtorakilogramowe ciałko kurczowo trzymające się życia, podczas gdy cała armia lekarzy i pielęgniarek śledziła obraz na monitorach, poprawiając rurki i igły i kręcąc głowami. Kiedy był sam, dotykał inkubatora i

ocierał łzy cieknące po policzkach. Modlił się tak żarliwie jak nigdy wcześniej. Spał na bujanym fotelu obok córki i śnił o pięknej niebieskookiej ciemnowłosej małej dziewczynce bawiącej się lalkami i drzemiącej na jego ramieniu. Słyszał nawet jej głos.

Po miesiącu pielęgniarki zaczęły się uśmiechać, a lekarze odstąpili od inkubatora. Przez tydzień usuwano rurki, po jednej każdego dnia. Kiedy waga Hanny wzrosła do solidnych dwóch i pół kilograma, dumni rodzice zabrali ją do domu. Lekarze zasugerowali, aby nie mieli więcej dzieci, chyba że chcą jakieś adoptować.

Teraz mała cieszyła się doskonałym zdrowiem, ale dźwięk jej głosu nadal powodował, że Jake miał łzy w oczach. Zjedli posiłek i chichotali, kiedy Hanna prawiła lalkom kazania na temat zasad higieny.

— Rozluźniłeś się pierwszy raz od dwóch tygodni — zauważyła Carla, kiedy leżeli na kocu. W dole barwne katamarany przecinały toń jeziora, wlokąc się za setką ryczących motorówek ciągnących na pół pijanych narciarzy.

— Tydzień temu byliśmy w kościele — odpowiedział.

— Ale ty myślałeś wyłącznie o procesie.

— Nadal o nim myślę.

— Przecież sprawa jest zamknięta, prawda?

— Nie wiem.

— Myślisz, że Carl Lee zmieni zdanie?

— Może, jeśli Lester go przekona. Trudno powiedzieć. Czarni są nieprzewidywalni, szczególnie w opałach. Zaproponowano mu naprawdę dobre warunki. Ma najlepszego obrońcę od spraw karnych w Memphis. Do tego facet nie weźmie ani grosza.

— Kto zapłaci?

— Stary kumpel Carla Lee z Memphis, niejaki Cat Bruster.

— Co za jeden?

— Bardzo bogaty sutener, handlarz narkotyków, oprych i złodziej. Marsharfsky jest jego prawnikiem. Para oszustów.

— Carl Lee ci powiedział?

— Nie. Nie zrobiłby tego, więc spytałem Ozziego.

— Czy Lester wie?

— Jeszcze nie.

— Co to znaczy? Chyba nie chcesz do niego zadzwonić?

— Mam zamiar.

— Czy nie posuwasz się zbyt daleko?

— Nie sądzę. Lester ma prawo wiedzieć i...

— Skoro tak, to Carl Lee powinien mu powiedzieć.

— Powinien był, ale tego nie zrobił. Popełnił błąd, ale nie zdaje sobie z tego sprawy.

— Ale to jego problem, a nie twój. Przynajmniej już nie.

— Carl Lee jest zbyt zakłopotany, aby powiedzieć Lesterowi. Wie, że brat go zbeszta, powie, że popełnił kolejny błąd.

— Dlatego musisz się wtrącać w sprawy ich rodziny?!

— Nie, ale uważam, że Lester powinien wiedzieć.

— Jestem pewna, że dowie się wszystkiego z gazet.

— Niekoniecznie — odrzekł bez przekonania Jake. — Odnoszę wrażenie, że Hanna napiłaby się jeszcze soku pomarańczowego.

— A ja myślę, że chcesz zmienić temat.

— Temat rozmowy mi nie przeszkadza. Chcę tej sprawy i mam zamiar ją odzyskać. Lester jest jedyną osobą, która może mi w tym pomóc.

Zmrużyła oczy tak, że poczuł na sobie jej spojrzenie. Obserwował łódkę wędkarzy, która zaryła się w łasze piasku przy pobliskim brzegu.

— To nieetyczne, Jake. Dobrze o tym wiesz. — Jej głos był spokojny, a jednocześnie opanowany i stanowczy. Wypowiadała słowa powoli i z pogardą.

— Mylisz się, Carlo. Jestem bardzo etycznym adwokatem.

— Lubisz prawić kazania na temat etyki zawodu, ale w tej chwili knujesz intrygi, żeby odebrać sprawę koledze. To niewłaściwe, Jake.

— Zabiegać, a nie odebrać.

— Co za różnica?

— Odebranie sprawy innemu prawnikowi jest nieetyczne w przeciwieństwie do zabiegania o jej odzyskanie. Nie spotkałem się z żadnym przepisem, który by tego zakazywał.

— To niewłaściwe, Jake. Carl Lee zatrudnił innego prawnika, więc powinieneś zapomnieć o sprawie.

— Czy ty myślisz, że Marsharfsky przejmuje się jakimiś etycznymi zasadami? Jak, według ciebie, dostał tę sprawę? Został zatrudniony przez człowieka, który nigdy wcześniej o nim nie słyszał. Zabiegał o tę sprawę i ją dostał.

— Czy dlatego teraz ty będziesz o nią zabiegał?

— Czynił starania o odzyskanie, nie zabiegał.

Hanna poprosiła o ciasteczka, a Carla zaczęła ich szukać w piknikowym koszyku. Jake oparł się na łokciu, ignorując je obie. Pomyślał o Lucienie. Co zrobiłby Lucien, gdyby znalazł się w jego położeniu? Pewnie wynająłby samolot, poleciał do Chicago, odnalazł Lestera, wetknął mu trochę forsy, a następnie przywiózł do domu i przekonał, żeby zmusił Carla Lee do zmiany decyzji. Zapewniłby Lestera, że Marsharfsky nie może praktykować w Missisipi, a nawet gdyby mógł, wsioki z ławy przysięgłych mu nie uwierzą, bo jest obcy. Zadzwoniłby do Marsharfsky'ego, zbeształ go za odbieranie spraw kolegom i zagroził złożeniem skargi na nieetyczne postępowanie w chwili, gdy przekroczy granicę stanu. Skontaktowałby się z czarnymi kumplami Carla Lee i poprosił, aby zadzwonili do Gwen i Ozziego i przekonali ich, że jedynym prawnikiem, który ma szansę wygrać tę sprawę, jest on, Lucien Wilbanks. W końcu Carl Lee uległby pod naporem i wezwał go do siebie.

Tak, właśnie tak postąpiłby Lucien. Tyle gadania o etyce.

— Czemu się uśmiechasz? — przerwała mu Carla.

— Pomyślałem, jak przyjemnie być tutaj z tobą i Hanną. Za rzadko przyjeżdżamy nad jezioro.

— Przyznaj się, jesteś rozczarowany?

— To oczywiste. Nigdy nie dostanę takiej sprawy jak ta. Jeśli ją wygram, będę największym prawnikiem w tej części Stanów. Już nigdy nie będziemy musieli się martwić o pieniądze.

— A jeśli przegrasz?

— Zyskam mimo to, ale nie mogę przegrać sprawy, której nie mam.

— Czujesz się zagubiony?

— Trochę. Trudno mi się z tym pogodzić. Każdy prawnik w okręgu Ford będzie się ze mnie śmiał, może z wyjątkiem Harry'ego Rexa.

— Co mam zrobić z wycinkami gazet?

— Zachowaj je. Może pojawią się następne.

Krzyż był mały, wysokości trzech i szerokości półtora metra, wykonany w taki sposób, żeby można go było bez trudu ukryć na długiej pace pick-upa. Do obrzędów używano znacznie większego, ale mniejsze sprawdzały się lepiej podczas nocnych akcji w dzielnicach mieszkalnych. Zdaniem tych, którzy je robili, nie używano ich często lub dość często. Właściwie minęło wiele lat od czasu, gdy podobne płonęły w okręgu Ford. Ostatni postawiono na podwórku czarnucha oskarżonego o zgwałcenie białej kobiety.

W poniedziałek kilka godzin przed świtem krzyż zdjęto cichcem z pick-upa i pospiesznie osadzono w dole wykopanym niedawno przed frontowym dziedzińcem starego wiktoriańskiego domu przy Adams Street. Do podstawy przyłożono małą pochodnię i po chwili płomienie ogarnęły drzewce. Pick-up rozpłynął się w mroku i zatrzymał przy budce telefonicznej na rogatkach miasta. Zadzwonili do dyspozytora z biura szeryfa.

Chwilę później Prather z biura szeryfa skręcił w ulicę Adamsa i natychmiast ujrzał płonący krzyż przed frontem posesji Jake'a. Skręcił na podjazd i zaparkował za saabem. Nacisnął dzwonek i czekał na werandzie, obserwując tańczące płomienie.

Dochodziła trzecia trzydzieści rano. Zadzwonił ponownie. Prawie całą ulicę Adamsa spowijał mrok. Niewielki jej fragment oświetlał jaśniejący i trzeszczący krzyż, który płonął piętnaście metrów dalej. W końcu Jake stanął w drzwiach, potknął się o próg i skamieniał obok Prathera. Tkwili tak ramię w ramię na werandzie, zahipnotyzowani nie tylko widokiem palącego się drzewca, ale celem, który przyświecał temu widowisku.

— Dzień dobry, Jake — wybełkotał w końcu Prather, nie odwracając wzroku od ognia.

— Kto to zrobił? — wychrypiał przez suche gardło Jake.

— Nie mam pojęcia. Nie zostawili nazwisk. Tylko zatelefonowali i nam o tym powiedzieli.

— Kiedy?

— Piętnaście minut temu.

Jake przesunął palcami po włosach, które rozwiewały się na delikatnym wietrze.

— Długo będzie się tak palił? — spytał, zdając sobie sprawę, że Prather wie o płonących krzyżach tyle co on, a nawet mniej.

— Skąd mam wiedzieć. Pewnie nasączyli drewno naftą. Czuć zapach. Może się tak tlić kilka godzin. Chcesz, żebym zadzwonił po straż pożarną?

Jake rozejrzał się wokół. We wszystkich domach przy Adams Street było ciemno i cicho.

— Nie. Nie ma potrzeby budzić ludzi. Niech się wypali. Nie wyrządzi żadnej szkody, prawda?

— To twoje podwórko.

Prather się nie poruszył. Zwyczajnie stał z rękami w kieszeniach, z brzuchem zwisającym ponad paskiem.

— Nie widziano ich tutaj od długiego czasu. Ostatni, który pamiętam, zapłonął w Karaway w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym...

— Sześćdziesiątym siódmym — podpowiedział Jake.

— Pamiętasz?

— Taak. Chodziłem wtedy do liceum. Pojechaliśmy, żeby

zobaczyć, jak się pali.

— Jak się nazywał ten Murzyn?

— Robinson, Robinson jakoś tam. Mówili, że zgwałcił Velmę Thayer.

— Naprawdę to zrobił? — spytał Prather.

— Tak uznała ława przysięgłych. Facet siedzi w Parchman. Będzie zbierał bawełnę do końca życia.

Prather sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego.

— Pójdę po Carlę — wymamrotał Jake i zniknął. Po chwili wrócił z żoną, która stanęła za jego plecami.

— Boże, Jake! Kto to zrobił?

— Skąd mam wiedzieć.

— Czy to Ku-Klux-Klan? — zapytała.

— Najpewniej — odrzekł Prather. — Nie słyszałem o nikim innym, kto pali krzyże. A ty, Jake?

Jake pokręcił głową.

— Sądziłem, że wynieśli się z okręgu Ford dawno temu — powiedział Prather.

— Wygląda na to, że wrócili — odrzekł Jake.

Carla stała bez ruchu, zasłaniając usta ręką. Była przerażona. Blask ognia zabarwił jej twarz na czerwono.

— Zrób coś, Jake. Zgaś ten krzyż.

Jake spojrzał na ogień i ponownie rozejrzał się po okolicy. Trzask się nasilił, a pomarańczowe płomienie sięgnęły wysoko w mroczne nocne niebo. Przez chwilę miał nadzieję, że płomienie szybko przygasną, że oprócz nich nikt ich nie zobaczy, że incydent odejdzie w zapomnienie i nie dowie się o nim żaden z mieszkańców Clanton. Dopiero po chwili zaśmiał się cicho z własnej głupoty.

Prather mruknął coś pod nosem, najwyraźniej zmęczony bezczynnym czekaniem na werandzie.

— Słuchaj, Jake, nie chciałem o tym gadać, ale z tego, co napisali w gazetach, wynika, że ci z Klanu pomylili prawników. Nie uważasz?

— Może nie potrafią czytać — odburknął Jake.

— Na to wychodzi.

— Powiedz mi, Prather, czy wiesz o jakichś aktywnych członkach Klanu w naszym okręgu?

— Nie słyszałem o żadnym. Znalazłoby się paru w południowej części stanu, ale tutaj nie ma nikogo, a przynajmniej ja o żadnym nie słyszałem. Ci z FBI powiedzieli nam, że Ku-Klux-Klan to przebrzmiała pieśń.

— To niezbyt pocieszające.

— Dlaczego?

— Bo faceci, którzy to zrobili, jeśli faktycznie są członkami Klanu, nie pochodzą stąd. Goście przyjechali z nieznanych części kraju, a to oznacza, że nie żartują, prawda, Prather?

— Nie mam pojęcia. Bardziej bym się martwił, gdyby miejscowi współpracowali z Klanem. Mogłoby to oznaczać, że Ku-Klux-Klan powrócił.

— Co oznacza ten krzyż? — spytała Carla.

— To ostrzeżenie. Przestań robić to, czym się zajmujesz, bo następnym razem nie poprzestaniemy na spaleniu kawałka drewna. Używali takich krzyży całe lata, żeby zastraszać białych, którzy sympatyzowali z czarnuchami i organizacjami chrzaniącymi o prawach człowieka. Jeśli biali nie zaprzestali działania na rzecz czarnych, dochodziło do aktów przemocy. Podkładano bomby, laski dynamitu, dochodziło do pobić, a nawet zabójstw. Sądziłem, że takie rzeczy działy się dawno temu. Widać dają Jake'owi do zrozumienia, aby trzymał się z daleka od sprawy Haileya. Skoro Jake nie jest już jego adwokatem, nie mam pojęcia, co to może oznaczać.

— Zajrzyj do Hanny — powiedział Jake i Carla weszła do środka.

— Jeśli masz szlauch, chętnie to zgaszę — zaofiarował się Prather.

— Dobry pomysł — przytaknął Jake. — Wolałbym, żeby sąsiedzi tego nie widzieli.

Jake i Carla stali w szlafrokach na werandzie, obserwując, jak Prather polewa wodą płonący krzyż. Drewno zasyczało i zadymiło, kiedy woda pokryła drzewce i stłumiła płomienie. Prather polewał go piętnaście minut, a później starannie zwinął szlauch i położył za krzewami na kwiatowej rabatce obok frontowych schodów.

— Dzięki. Zachowajmy tę sprawę w sekrecie, dobrze? — poprosił Jake.

Prather wytarł dłonie o spodnie i poprawił kapelusz.

— Jasne. Pozamykajcie wszystkie drzwi. Gdybyście coś usłyszeli, zawiadomcie dyspozytora. Przez kilka dni będziemy obserwowali okolicę.

Wycofał się podjazdem i ruszył wolno Adams Street w kierunku placu. Jake i Carla usiedli na bujanej ławce, obserwując dymiący krzyż.

— Czuję się tak, jakbym oglądał stare wydanie magazynu „Life" — powiedział Jake.

— Albo rozdział z podręcznika historii Missisipi. Może powinniśmy ich zawiadomić, że cię wylali.

— Dzięki.

— Za co?

— Za otwartość.

— Przepraszam. Powinnam była powiedzieć „zwolnili", „wypowiedzieli umowę" albo...

— Powiedz po prostu, że facet znalazł sobie innego prawnika. Jesteś przerażona, prawda?

— Tak, przecież wiesz. Jestem przerażona. Jeśli mogą zapalić krzyż na naszym podwórku, co ich powstrzyma przed podpaleniem domu? To nie jest tego warte, Jake. Chcę, żebyś był szczęśliwy, odniósł sukces i tak dalej, ale nie kosztem naszego bezpieczeństwa. Ta sprawa nie jest tego warta.

— Cieszysz się, że mnie wylali?

— Cieszę się, że Carl Lee znalazł sobie innego prawnika. Może teraz zostawią nas w spokoju.

Jake otoczył ją ramieniem i posadził na kolanach. Ławka się zakołysała. Carla była piękna. Była piękna o trzeciej trzydzieści rano, w swoim szlafroku.

— Oni nie wrócą, prawda? — spytała.

— Nie. Dadzą nam spokój. Kiedy dowiedzą się, że zostałem odsunięty od sprawy, zadzwonią i przeproszą.

— To nie jest śmieszne, Jake.

— Wiem.

— Myślisz, że ludzie się dowiedzą?

— Nie, jeszcze przez godzinę. Kiedy o piątej otworzą Coffee Shop, Dell Perkins będzie znała wszystkie szczegóły, zanim napełni pierwszą filiżankę kawy.

— Co zamierzasz z tym zrobić? — spytała, wskazując głową krzyż, ledwie widoczny w świetle rogalika księżyca.

— Mam pomysł. Wykopmy go, zwieźmy do Memphis i podpalmy na podwórku Marsharfsky'ego.

— Wracam do łóżka.

O dziewiątej rano Jake skończył dyktować wniosek o wypowiedzenie pełnomocnictwa. Ethel zaczęła go z zapałem przepisywać, ale nagle odezwała się przez interkom.

— Panie Brigance, dzwoni pan Marsharfsky. Powiedziałam mu, że ma pan konferencję. Odrzekł, że poczeka.

— Pogadam z nim. — Jake chwycił słuchawkę. — Słucham.

— Pan Brigance? Mówi Bo Marsharfsky z Memphis. Jak się pan miewa?

— Wspaniale.

— Cieszę się. Jestem pewien, że widział pan poranną gazetę z soboty i niedzieli. Macie tam gazety w Clanton?

— Tak. Mamy również telefony i pocztę.

— Zatem czytał pan artykuły o panu Haileyu?

— Oczywiście, napisał pan kilka zgrabnych artykułów.

— Zignoruję tę uwagę. Jeśli ma pan minutkę, chciałbym

porozmawiać o sprawie Haileya.

— Z miłą chęcią.

— Jeśli dobrze rozumiem procedurę obowiązującą w Missisipi, prawnik, który nie praktykuje w tym stanie, musi sobie wziąć miejscowego pełnomocnika dla celów procesowych.

— Chce pan powiedzieć, że nie ma pan licencji w Missisipi? — spytał z niedowierzaniem Jake.

— Nie. Nie mam.

— Nie było o tym wzmianki w pańskich artykułach.

— To też puszczę mimo uszu. Czy sędziowie wymagają miejscowego pełnomocnika we wszystkich sprawach?

— Niektórzy tak, inni nie.

— Rozumiem. A Noose?

— Czasami.

— Dzięki. Cóż, zwykle korzystam z usług miejscowego prawnika, gdy prowadzę sprawy na prowincji. Miejscowi lepiej reagują, jeśli jeden z nich siedzi obok mnie przy stole.

— To naprawdę miło.

— Czy nie byłby pan zainteresowany...

— Pan żartuje?! — wybuchnął Jake. — Wczoraj zostałem wylany, a dzisiaj pan chce, żebym nosił panu teczkę?! Chyba pan zwariował! Nie chcę, żeby ludzie kojarzyli nasze nazwiska!

— Hola, prostaku...

— To ty poczekaj, panie obrońco! Może cię to zaskoczy, ale w naszym stanie mamy zasady etyczne i przepisy zakazujące nagabywania klientów i odbierania spraw kolegom. Słyszałeś o bezprawnym finansowaniu kosztów sprawy cywilnej przez osobę trzecią? Chyba nie. W stanie Missisipi to ciężkie przestępstwo. To się nazywa etyka, panie Rekinie. Słyszał pan to słowo?

— Nie uganiam się za sprawami, synku. Same do mnie przychodzą.

— Tak jak sprawa Carla Lee Haileya. Mam uwierzyć, że znalazł pana nazwisko w książce telefonicznej? Jestem pewien, że ma pan duże ogłoszenie obok lekarzy dokonujących zabiegu

usuwania ciąży.

— Został do mnie odesłany.

— Taak, przez tego twojego sutenera. Dobrze wiem, jak dostałeś jego sprawę. Jawne nagabywanie. Mogę złożyć skargę do rady adwokackiej. Jeszcze lepiej, mogę poprosić członków Wielkiej Ławy Przysięgłych o przyjrzenie się pana metodom.

— Taak. Jak rozumiem ty i prokurator okręgowy jesteście ze sobą zaprzyjaźnieni. Życzę udanego dnia, adwokacie.

Zanim się rozłączył, Marsharfsky powiedział ostatnie słowo. Jake kipiał ze złości całą godzinę, zanim zdołał się skupić na raporcie, który pisał. Lucien byłby z niego dumny.

Przed lunchem Jake dostał telefon od Waltera Sullivana z kancelarii Sullivana.

— Jak się masz, Jake, mój chłopcze?

— Wspaniale.

— To świetnie. Posłuchaj mnie, Jake. Bo Marsharfsky to mój stary przyjaciel. Reprezentowaliśmy wspólnie kilku urzędników bankowych oskarżonych o oszustwo. Wybroniliśmy obu. To dobry prawnik. Wybrał mnie na miejscowego adwokata pomocniczego w sprawie Carla Lee Haileya. Chciałem tylko spytać...

Jake rzucił słuchawkę na widełki i wyszedł z biura. Spędził popołudnie na frontowej werandzie domu Luciena.

Rozdział 18

Gwen nie znała numeru telefonu Lestera. Nie znał go również Ozzie ani nikt inny. Operatorka powiedziała, że w książce telefonicznej Chicago jest kilkanaście stron z numerami Haileyów, przynajmniej dwunastu z nich nosi imię Lester, kilku zaś ma inicjały L i S. Jake poprosił o numery pierwszych pięciu Lesterów Haileyów i zadzwonił do każdego. Wszyscy byli biali. Później zadzwonił do Tanka Scalesa, właściciela jednego z najbezpieczniejszych i najlepszych spelun w okolicy odwiedzanych przez czarną klientelę. Do Knajpy Tanka, jak ją nazywano. Lester bardzo lubił tam bywać. Należy dodać, że Tank był klientem Jake'a i często dostarczał mu cennych poufnych informacji na temat różnych czarnych — czym się aktualnie zajmują i gdzie można ich znaleźć.

Tank wpadł do jego kancelarii we wtorek rano, w drodze do banku.

— Widziałeś Lestera Haileya w ciągu ostatnich dwóch tygodni? — spytał Jake.

— Jasne. Spędził kilka dni przy naszym barze, żłopiąc piwo. Słyszałem, że w ostatni weekend wrócił do Chicago. Chyba

faktycznie to zrobił, bo od tego czasu go nie widziałem.

— Z kim się bawił?

— Głównie ze sobą.

— A Iris?

— Taak, przyprowadził ją parę razy, kiedy Henry'ego nie było w mieście. Staję się nerwowy, kiedy z nią przyłazi. Henry to kawał skurczybyka. Pociąłby oboje, gdyby usłyszał, że się spotykają.

— Przecież robią to od dziesięciu lat, Tank.

— Taak. Lester zrobił jej dwójkę dzieci. Wszyscy o tym wiedzą z wyjątkiem Henry'ego. Biedny stary Henry. Któregoś dnia się dowie, a wtedy będziesz miał kolejną sprawę o zabójstwo.

— Posłuchaj, Tank. Możesz pogadać z Iris?

— Rzadko u mnie bywa.

— Nie o to mi chodzi. Muszę zdobyć numer Lestera w Chicago. Pomyślałem sobie, że Iris go zna.

— Jasne, że zna. Myślę, że Lester wysyła jej pieniądze.

— Możesz go dla mnie zdobyć? Muszę pogadać z Lesterem.

— Oczywiście, Jake. Jeśli Iris zna ten numer telefonu, to go zdobędę.

⅄ ⅄ ⅄

W środę sytuacja w kancelarii Jake'a powróciła do normy. Klienci pojawili się ponownie. Ethel była wyjątkowo słodziutka, tak słodziutka, jak tylko może być zrzędliwa stara wiedźma. Jake wykonywał rutynowe czynności, ale ból co chwilę powracał. Przestał rano zaglądać do Coffee Shopu i unikał bywania w sądzie, każąc Ethel składać i odbierać dokumenty oraz zajmować się wszystkimi sprawami, które wymagały jego obecności po drugiej stronie ulicy. Czuł się zakłopotany, upokorzony i zbolały. Z najwyższym trudem koncentrował się na innych sprawach. Zastanawiał się nad dłuższymi wakacjami, ale nie mógł sobie na nie pozwolić. Pieniędzy ledwie starczało, ale on nie miał motywacji do pracy. Spędzał większość czasu w kancelarii,

gapiąc się na gmach sądu i miejski plac rozciągający się w dole.

Rozmyślał o Carlu Lee siedzącym w celi kilka przecznic dalej i tysiące razy zadawał sobie pytanie, czemu został zdradzony. Zbyt natarczywie żądał pieniędzy, zapominając, że inni prawnicy byli gotowi wziąć tę sprawę za darmo. Nienawidził Marsharfsky'ego. Przypomniał sobie, ile to razy widział, jak facet wchodzi lub wychodzi z sądów w Memphis, ogłaszając, że jego biedni uciskani klienci są niewinni i źle traktowani. Te niewiniątka to handlarze narkotyków, stręczyciele, oszukańczy politycy i oślizgłe korporacyjne kreatury. Wszyscy byli winni, wszyscy zasługiwali na długą odsiadkę, może nawet na karę śmierci. Facet był jankesem z północnej części Środkowego Zachodu, o okropnym nosowym akcencie. Akcencie, który drażnił każdego mieszkającego na południe od Memphis. Był doskonałym aktorem, który potrafi patrzeć prosto w kamerę i utyskiwać: „Mój klient został strasznie potraktowany przez policję z Memphis". Jake był tego świadkiem kilkanaście razy. „Mój klient jest całkowicie, zupełnie, absolutnie niewinny. Nie powinien być sądzony. To wzorowy obywatel i podatnik. Pytacie o cztery wcześniejsze wyroki skazujące za wymuszenie? Został wrobiony przez FBI. Załatwiony przez władze. Dodam, że zwrócił dług. Tym razem jest niewinny". Jake go nienawidził. Poza tym, o ile pamiętał, facet przegrał tyle samo spraw, ile wygrał.

Do środy po południu Marsharfsky nie postawił nogi w Clanton. Ozzie obiecał Jake'owi, że go powiadomi, kiedy facet zjawi się w więzieniu.

Sesja sądu obwodowego rozpoczynała się w piątek, więc Jake pomyślał, że byłoby uprzejmie zajrzeć na chwilę do sędziego Noose'a, żeby wyjaśnić okoliczności wycofania się ze sprawy. Sędzia przewodniczył rozprawom cywilnym, więc było prawdopodobne, że Jake nie trafi na Buckleya. Buckley musiał się z nim minąć. Nie mógł zobaczyć ani usłyszeć Jake'a.

Około piętnastej trzydzieści Noose robił sobie zwykle

dziesięciominutową przerwę i właśnie o tej godzinie Jake wszedł do sędziowskiego gabinetu bocznymi drzwiami. Usiadł cierpliwie przy oknie, czekając, aż Ikabod zstąpi ze swojej ławy i powlecze się do pokoju. Pięć minut później drzwi się otworzyły i sędzia wszedł do środka.

— Jak się masz, Jake? — zapytał.

— Znakomicie, panie sędzio. Mógłbym zająć panu chwileczkę? — spytał Jake, zamykając drzwi.

— Jasne. Siadaj. O co chodzi? — Noose zdjął togę i rzucił ją ponad fotelem na blat biurka, zwalając po drodze książki, teczki z aktami i telefon. Kiedy jego niezgrabna postać przestała się poruszać, wolno złożył dłonie na brzuchu, zamknął oczy i odetchnął głęboko. — Boli mnie kręgosłup, Jake. Mój lekarz mówi, żebym leżał na czymś twardym, kiedy to tylko możliwe.

— Rozumiem. Czy mam wyjść?

— Nie, nie. O co chodzi?

— O sprawę Haileya.

— Tak sobie pomyślałem, Przeczytałem twój wniosek. Hailey znalazł sobie nowego prawnika, co?

— Tak, proszę pana. Nie miałem o tym pojęcia. Sądziłem, że wezmę udział w lipcowej rozprawie.

— Nie musisz przepraszać, Jake. Przyjmę wniosek. To nie twoja wina. Cały czas mam z tym do czynienia. Ten nowy to Marsharfsky?

— Tak, Wysoki Sądzie. Z Memphis.

— Z takim nazwiskiem powinien wzbudzić sensację w okręgu Ford.

— Tak, proszę pana. — Jake pomyślał, że nazwisko Marsharfsky było tak samo złe jak Noose. — Marsharfsky nie ma licencji w Missisipi — podsunął uczynnie Jake.

— Interesująca sprawa. Zna nasze procedury?

— Nie wiem, czy kiedykolwiek uczestniczył w rozprawie w Missisipi. Powiedział mi, że zwykle bierze miejscowego pełnomocnika, kiedy uczestniczy w rozprawach na prowincji.

— Na prowincji?

— Tak powiedział.

— Lepiej, żeby to zrobił, kiedy stawi się w moim sądzie. Miałem kilka nieprzyjemnych doświadczeń z obrońcami spoza stanu, szczególnie z Memphis.

— Rozumiem.

Noose zaczął ciężko sapać, więc Jake postanowił się wycofać.

— Panie sędzio, na mnie już czas. Jeśli nie zobaczymy się w lipcu, spotkamy się w sesji sierpniowej. Proszę uważać na kręgosłup.

— Dzięki, Jake. Też uważaj na siebie.

Jake niemal dotarł do tylnych drzwi małego gabinetu, kiedy główne drzwi otwarły się na oścież i z sali rozpraw nadszedł czcigodny L. Winston Lotterhouse w towarzystwie innego faceta od brudnej roboty z kancelarii Sullivana.

— Witaj, Jake! — zagrzmiał Lotterhouse. — Poznaj K. Petera Ottera, naszego nowego współpracownika.

— Miło pana poznać, K. Peter — odparł Jake.

— Nie przeszkadzamy?

— Nie, właśnie wychodziłem. Sędzia Noose relaksuje kręgosłup, a ja szykowałem się do odejścia.

— Usiądźcie, panowie — poprosił sędzia Noose.

Lotterhouse wyczuł zapach krwi.

— Słuchaj, Jake, jestem pewny, że Walter Sullivan poinformował cię, iż nasza kancelaria będzie lokalnym pełnomocnikiem w sprawie Carla Lee Haileya.

— Słyszałem.

— Przykro mi z powodu tego, co się stało.

— Wasz ból mnie przytłacza.

— To interesująca sprawa dla naszej firmy. Jak wiesz, nie prowadzimy wielu spraw karnych.

— Wiem — odparł Jake, szukając dziury, w której mógłby się ukryć. — Muszę pędzić. Miło było zamienić z panem słowo, panie L. Winston. Cieszę się, że mogłem pana poznać, K. Peter.

Proszę pozdrowić ode mnie J. Waltera i F. Roberta oraz wszystkich chłopaków.

Wyślizgnął się z sądu tylnymi drzwiami, przeklinając siebie za to, że pokazał twarz tam, gdzie mógł w nią oberwać. Pobiegł do biura.

— Czy dzwonił Tank Scales? — zapytał Ethel, wchodząc schodami na górę.

— Nie, ale czeka pan Buckley.

Jake stanął na pierwszym stopniu.

— Gdzie?! — spytał, nie poruszając szczękami.

— Na górze. W pańskim gabinecie.

Podszedł wolno do jej biurka i pochylił się tak, że jego twarz znalazła się w odległości kilku centymetrów od jej twarzy. Nawaliła, i dobrze o tym wiedziała.

Rzucił jej wściekłe spojrzenie.

— Nie wiedziałem, że był umówiony. — I tym razem szczęki ani drgnęły.

— Nie był — odpowiedziała, nie odrywając oczu od blatu biurka.

— Nie wiedziałem, że jest właścicielem tego domu.

Nie poruszyła się i nie odrzekła ani słowa.

— Nie wiedziałem, że ma klucz do mojego gabinetu.

I tym razem żadnego ruchu, żadnej odpowiedzi.

Przysunął się bliżej.

— Powinienem cię za to zwolnić.

Jej wargi zadrżały. Sprawiała wrażenie bezbronnej.

— Mam cię dość, Ethel. Mam dość twojej postawy, twojego głosu, twojej niesubordynacji. Mam dość sposobu, w jaki traktujesz ludzi. Dość wszystkiego, co sobą uosabiasz.

W jej oczach błysnęły łzy.

— Przykro mi.

— Nieprawda. Wiesz, wiesz o tym od lat, że nikt, powtarzam nikt na świecie, nawet moja żona, nie może wchodzić do mojego gabinetu, kiedy jestem nieobecny.

— On nalegał.

— To dupek. Płacą mu za komenderowanie ludźmi. Może to robić wszędzie, ale nie w tym biurze.

— Sza. On może pana usłyszeć.

— Mam to gdzieś! Facet wie, że jest dupkiem!

Pochylił się jeszcze niżej, aż ich nosy znalazły się w odległości piętnastu centymetrów od siebie.

— Chcesz zachować tę robotę, Ethel?

Skinęła głową, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

— Zrób dokładnie to, co ci powiem. Idź na górę, do mojego gabinetu, i zaprowadź pana Buckleya do sali konferencyjnej, gdzie się z nim spotkam. I nigdy więcej nie rób tego, co zrobiłaś.

Ethel otarła policzki i pobiegła na górę. Chwilę później prokurator okręgowy usiadł w sali konferencyjnej. Drzwi były zamknięte. Czekał.

W tym czasie Jake krzątał się w małej kuchni obok, popijając sok pomarańczowy i oceniając Buckleya. Pił wolno. Po piętnastu minutach otworzył drzwi i wszedł do sali. Buckley siedział na końcu długiego stołu konferencyjnego. Jake usiadł na drugim, daleko od niego.

— Witaj, Rufusie. Co cię sprowadza?

— Ładne masz biuro. To dawna kancelaria Luciena, jak sądzę.

— Racja. Z czym przychodzisz?

— Chciałem ci złożyć wizytę.

— Jestem bardzo zajęty.

— Chciałem pogadać o sprawie Haileya.

— Zadzwoń do Marsharfsky'ego.

— Oczekiwałem prawdziwej bitwy, z tobą po drugiej stronie. Jesteś godnym przeciwnikiem, Jake.

— Czuję się zaszczycony.

— Nie zrozum mnie źle. Nie lubię cię, nie lubię od dawna.

— Od sprawy Lestera Haileya — podpowiedział Jake.

— Taak, chyba tak. Zwyciężyłeś, ale oszukiwałeś. Przyłapałem cię ze spuszczonymi portkami.

— Wszystko mi jedno. Ja też za tobą nie przepadam.

— To dobrze. Od razu czuję się lepiej. Co wiesz o Marsharfskym?

— Dlatego przyszedłeś?

— Być może.

— Nie miałem okazji go poznać, ale nic bym ci nie powiedział, nawet gdyby facet był moim ojcem. Czego jeszcze chcesz?

— Musiałeś z nim gadać.

— Zamieniliśmy kilka słów przez telefon. Nie mów, że się nim przejmujesz.

— Nie. Tylko jestem ciekaw. Ma dobrą reputację.

— O, tak. Chyba nie przyszedłeś rozmawiać o jego reputacji.

— Nie, skądże. Chciałem pogawędzić o sprawie.

— To znaczy?

— O szansie na uniewinnienie, możliwych liniach obrony, o tym, czy Hailey był naprawdę niepoczytalny. Takich tam rzeczach.

— Sądziłem, że zagwarantowałeś skazanie. Przed kamerami, nie pamiętasz? Zaraz po oficjalnym postawieniu Haileya w stan oskarżenia. Podczas jednej ze swoich konferencji prasowych.

— Brakuje ci kamer, co, Jake?

— Rozluźnij się, Rufusie. Wypadłem z gry. Wszystkie kamery są twoje, a przynajmniej twoje i Marsharfsky'ego, i Waltera Sullivana. Sprowadź je, tygrysie. Przepraszam, jeśli ukradłem ci trochę światła ramp. Dobrze wiem, jak to boli.

— Przyjmuję przeprosiny. Czy Marsharfsky był w mieście?

— Nie mam pojęcia.

— Obiecał zwołać konferencję prasową w tym tygodniu.

— Przyszedłeś do mnie, żeby gadać o jego konferencji prasowej?

— Nie, chciałem pogadać o Haileyu, ale widać jesteś zbyt zajęty.

— Racja. Dodam, że nie mam o czym z tobą gadać, panie

gubernatorze.

— To było nieuprzejme.

— Dlaczego? Przecież wiesz, że to prawda. Oskarżyłbyś własną matkę dla paru nagłówków w gazetach.

Buckley wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem za krzesłem.

— Szkoda, że nadal nie prowadzisz tej sprawy, Brigance — powiedział, coraz bardziej podnosząc głos.

— Ja też żałuję.

— Nauczyłbym cię paru rzeczy o oskarżaniu zabójców. Miałem zamiar porządnie ci dołożyć.

— Ostatnim razem ci nie wyszło.

— Dlatego liczyłem, że się spotkamy, Brigance. Bardzo chciałem cię dopaść. — Jego twarz ponownie przybrała znajomą purpurową barwę.

— Będą inni, gubernatorze.

— Nie nazywaj mnie tak! — krzyknął.

— Przecież to prawda. Czyż nie, gubernatorze? Dlatego tak zabiegałeś o kamery. Wszyscy o tym wiedzą. Poczciwy stary Rufus ugania się za kamerami, bo zabiega o urząd gubernatora. Przepraszam, ale to prawda.

— Wykonuję swoją pracę. Oskarżam zbirów.

— Carl Lee Hailey nie jest zbirem.

— Obserwuj, jak go załatwię.

— To nie będzie takie proste.

— Patrz i ucz się.

— Trzeba dwunastu z dwunastu.

— Nie ma problemu.

— Tak jak nie ma problemu z Wielką Ławą Przysięgłych?

Buckley zamarł bez ruchu. Zmrużył oczy i spojrzał na Jake'a. Na jego ogromnym czole ukazały się trzy głębokie bruzdy.

— Co wiesz o Wielkiej Ławie?

— Tyle co ty. Jeden głos mniej, i byłbyś ugotowany.

— Nieprawda!

— Daj spokój, gubernatorze. Nie rozmawiasz z reporterem.

Dobrze wiem, co zaszło. Wiedziałem w ciągu kilku godzin.

— Powiem Noose'owi.

— A ja prasie. To będzie nieźle wyglądało przed procesem.

— Nie ośmielisz się.

— Teraz nie. Nie mam powodu, aby to zrobić. Zwolnili mnie, nie pamiętasz? Dlatego tu przyszedłeś, prawda, Rufusie? Żeby mi przypomnieć, że w przeciwieństwie do ciebie nie jestem już zaangażowany w tę sprawę. Żeby wetrzeć szczyptę soli w moje rany. W porządku, zrobiłeś to. Teraz chciałbym, żebyś sobie poszedł. Idź i sprawdź członków Wielkiej Ławy. Może znajdziesz jakiegoś reportera kręcącego się w pobliżu sądu. Wszystko jedno, tylko po prostu odejdź.

— Z przyjemnością. Przepraszam za kłopot.

— Ja również.

Buckley otworzył drzwi na korytarz i zatrzymał się.

— Okłamałem cię, Jake. Cieszę się jak cholera, że nie będziesz brał udziału w tej sprawie.

— Wiem, że skłamałeś, ale na mnie nie licz.

— Co to ma znaczyć?

— Miłego dnia, Rufusie.

Wielka Ława Przysięgłych okręgu Ford miała pełne ręce roboty. W czwartek, w drugim tygodniu sesji sądu, Jake został zaangażowany przez dwóch nowych oskarżonych. Pierwszym był Murzyn, który w kwietniu pociął innego Murzyna w knajpie Masseya. Jake lubił takie sprawy, bo można było uzyskać uniewinnienie. Wystarczyło, żeby w ławie przysięgłych zasiadły wyłącznie białe wsioki, które nie miały nic przeciwko temu, aby jedne czarnuchy powyrzynały drugich. Zabalowali w knajpie, sytuacja wymknęła się spod kontroli i jeden oberwał nożem, ale nikt nie zginął. Podobną strategię zastosował, broniąc Lestera Haileya. Nowy klient obiecał zapłacić tysiąc pięćset dolarów, ale najpierw musiał załatwić poręczenie.

Drugim z nowo oskarżonych był biały dzieciak przyłapany na jeździe skradzionym pick-upem. Zdarzyło mu się to trzeci raz, więc nie było sposobu na uniknięcie kilku lat odsiadki w Parchman.

Obaj klienci Jake'a siedzieli w areszcie, co stwarzało mu sposobność i obowiązek ich odwiedzenia i wybadania sytuacji u Ozziego. W czwartek późnym popołudniem zastał szeryfa w jego biurze.

— Jesteś zajęty? — spytał Jake. Na biurku leżały stosy dokumentów, rozsypujące się na podłogę.

— Nie, to tylko papierkowa robota. Zapalili kolejny krzyż?

— Bogu dzięki, nie. Jeden w zupełności wystarczy.

— Nie widziałem twojego przyjaciela z Memphis.

— To dziwne — powiedział Jake. — Sądziłem, że do tej pory się pojawi. Rozmawiałeś z Carlem Lee?

— Gadam z nim codziennie. Zaczyna się denerwować. Ten nowy prawnik nawet nie zadzwonił, Jake.

— Dobrze. Niech się poci. Ani trochę go nie żałuję.

— Myślisz, że Carl Lee popełnił błąd?

— Ja nie myślę, ja to wiem. Znam naszych wsioków, Ozzie, i wiem, jak się zachowują w ławie przysięgłych. Nie będą uradowani jakimś wygadanym obcym. Chyba się ze mną zgodzisz?

— Sam nie wiem. Ty jesteś prawnikiem. Nie wątpię w to, co mówisz, Jake. Widziałem twoją robotę.

— Ten Marsharfsky nie ma nawet uprawnień do praktykowania w Missisipi. Sędzia Noose zaczaił się na niego. Nienawidzi prawników spoza stanu.

— Żartujesz?

— Nie. Wczoraj z nim gadałem.

Ozzie wyglądał na zaniepokojonego. Spojrzał uważnie na Jake'a.

— Chcesz z nim pogadać?

— Z kim?

— Z Carlem Lee.

— Nie! Nie mam najmniejszego powodu. — Jake rzucił okiem na teczkę. — Przyszedłem do Leroya Glassa. Czynna napaść.

— Będziesz bronił Leroya?

— Taak. Jego krewni przyszli do mnie dziś rano.

— Chodź ze mną.

Jake usiadł w pokoju z alkomatem, czekając, aż jeden z zaufanych więźniów przyprowadzi jego nowego klienta. Leroy miał na sobie standardowy więzienny uniform używany w okręgu Ford: odblaskowy pomarańczowy kombinezon. Różowe kędziory zakręcone na lokówce sterczały mu na głowie na wszystkie strony, a do szyi przykleiła się bródka zaczesana w dwa cienkie warkocze. Para zielonych frotowych kapci oddzielała jego czarne, żylaste stopy od brudnego linoleum. Nie miał skarpetek. Obok prawego ucha widniała paskudna stara blizna, tworząc wzniesienie nad kością policzkową i łącząc się zgrabnie z prawym nozdrzem. Blizna dowodziła niezbicie, że Leroyowi nie były obce rany cięte i kłute. Nosił bliznę z dumą, niczym odznaczenie. Palił koolsy.

— Witaj, Leroy. Jestem Jake Brigance — przedstawił się i wskazał składane krzesło stojące obok automatu do pepsi. — Twoja mama i brat wynajęli mnie dziś rano.

— Miło pana poznać, panie Jake.

Zaufany więzień czekał na korytarzu, gdy Jake zadawał pytania. Notatki w sprawie Leroya Glassa zajęły trzy strony. Główną kwestią, przynajmniej z punktu widzenia Jake'a, były pieniądze. Ile Glass miał i ile mógł zdobyć. Później porozmawiają o napadzie z użyciem noża. Ciotki, wujowie, bracia, siostry i przyjaciele — każdy, kto mógłby wziąć pożyczkę. Jake zapisał numery telefonów.

— Kto ci mnie polecił? — spytał Jake.

— Widziałem pana w telewizji, panie Jake. Pana i Carla Lee Haileya.

Jake poczuł dumę, ale się nie uśmiechnął. Telewizja była częścią jego roboty.

— Znasz Carla Lee?

— Taak. Lestera również. Był pan prawnikiem Lestera, nie?

— Tak.

— Siedzę w tej samej celi co Carl Lee. Przenieśli mnie wczoraj wieczorem.

— Serio?

— Naprawdę. Carl Lee nie jest zbyt rozmowny. Powiedział, że jest pan naprawdę dobrym prawnikiem i tak dalej, ale znalazł kogoś innego z Memphis.

— To prawda. Co myśli o nowym prawniku?

— Nie mam pojęcia, panie Jake. Dziś rano się awanturował, bo nowy prawnik jeszcze się nie odezwał. Powiedział, że pan często go odwiedzał. Że rozmawialiście o sprawie, a ten nowy, gość jakoś śmiesznie się nazywa, nawet nie przyjechał, żeby się z nim spotkać.

Jake stłumił radość, przybierając ponurą minę, choć trudno było ukryć satysfakcję.

— Coś ci powiem, jeśli obiecasz, że nie powtórzysz Carlowi Lee.

— Zgoda.

— Nowy prawnik nie może przyjechać, żeby się z nim zobaczyć.

— Jak to? Dlaczego?

— Bo nie ma licencji na prowadzenie praktyki w Missisipi. Jest prawnikiem z Tennessee. Wyrzucą go z sali rozpraw, jeśli zjawi się sam. Obawiam się, że Carl Lee zrobił poważny błąd.

— Czemu pan mu tego nie powiedział?

— Bo mnie zwolnił. Nie mogę już udzielać mu porad.

— Ktoś powinien.

— Przed chwilą obiecałeś, że mu nie powtórzysz?!

— W porządku. Ani mru-mru.

— Przyrzekasz?

— Przyrzekam.

— Dobrze. Na mnie czas. Spotkam się rano z poręczycielem. Może za dzień lub dwa zdołamy cię wyciągnąć. Tylko ani słowa Carlowi Lee, zgoda?

— Jasne.

Tank Scales stał oparty o saaba, kiedy Jake wyszedł z budynku aresztu. Zgasił peta podeszwą i wyciągnął skrawek papieru z kieszeni koszuli.

— Masz tu dwa numery. Górny jest do domu, dolny do pracy. Tylko nie dzwoń do roboty, jeśli nie musisz.

— Dobrze się spisałeś, Tank. Zdobyłeś je od Iris?

— Taak. Początkowo nie chciała ich podać, ale wczoraj wieczorem wpadła do knajpy i ją upiłem.

— Wiszę ci przysługę.

— Wcześniej czy później będę jej potrzebował.

Było już ciemno, dochodziła dwudziesta. Czekała na niego zimna kolacja, co nie było niczym niezwykłym. Dlatego kupił Carli mikrofalówkę. Przywykła do jego godzin pracy i odgrzewała kolacje bez słowa skargi. Jedli, kiedy wrócił do domu, o osiemnastej lub dwudziestej drugiej.

Jake pojechał z więzienia do kancelarii. Nie odważyłby się zadzwonić do Lestera z domu, bo Carla mogłaby usłyszeć. Usadowił się za biurkiem i spojrzał na numery zdobyte przez Tonka. Carl Lee powiedział mu, żeby nie dzwonił do Lestera. Właściwie czemu miałby to robić? Czy było to nagabywanie? Nieetyczne postępowanie? Czy byłoby rzeczą niemoralną, gdyby zadzwonił do Lestera i powiedział mu, że Carl Lee go wylał i zatrudnił innego prawnika? Nie. A gdyby odpowiedział na kilka pytań Lestera o nowego obrońcę? Też nie. A gdyby wyraził zaniepokojenie? Nie. Albo skrytykował nowego? Przypuszczalnie też nie. I czy byłoby rzeczą nieetyczną, gdyby zachęcił Lestera do pogadania z bratem? Nie. I przekonał go, aby wylał

Marsharfsky'ego? To już chyba tak. I żeby ponownie zatrudnił Jake'a? Tak, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości — takie postępowanie byłoby bardzo nieetyczne. Postanowił, że zadzwoni do Lestera, aby pogadać o Carlu Lee, i pozwoli, by rozmowa swobodnie się rozwijała.

— Słucham?

— Czy mógłbym mówić z Lesterem Haileyem?

— Tak, kto dzwoni? — zapytała z wyraźnym akcentem Szwedka.

— Jake Brigance z Missisipi.

— Chwileczkę.

Jake spojrzał na zegarek. Dwudziesta trzydzieści. Ten sam czas był w Chicago, prawda?

— Cześć, Jake!

— Lester! Jak się masz?

— W porządku, Jake. Zmęczony, ale w porządku. A co u ciebie?

— Świetnie. Słuchaj, gadałeś w tym tygodniu z Carlem Lee?

— Nie. Wyjechałem w piątek i od niedzieli zasuwam na dwie zmiany. Nie mam na nic czasu.

— Widziałeś gazety?

— Nie. Co się stało?

— Nie uwierzysz, Lester.

— O co chodzi, Jake?

— Carl Lee mnie wylał i zatrudnił nowego prawnika. Grubą rybę z Memphis.

— Co?! Żartujesz?! Kiedy?!

— W zeszły piątek. Zaraz po tym, jak wyjechałeś. Nawet mnie nie powiadomił. Przeczytałem o tym w porannej niedzielnej gazecie z Memphis.

— Oszalał! Dlaczego to zrobił, Jake? Kogo wynajął?

— Słyszałeś o Cacie Brusterze z Memphis?

— Jasne.

— Ten facet to prawnik Cata. Cat za wszystko płaci.

Przyjechał z Memphis w ostatni piątek i spotkał się z Carlem Lee w więzieniu. Następnego ranka zobaczyłem swoje zdjęcie w gazecie i dowiedziałem się, że zostałem zwolniony.

— Jak się nazywa ten prawnik?

— Bo Marsharfsky.

— Facet jest dobry?

— To krętacz. Broni wszystkich sutenerów i handlarzy narkotyków z Memphis.

— Wygląda mi na Polaczka.

— Ma polskie pochodzenie. Myślę, że pochodzi z Chicago.

— Taak, mieszka tu sporo Polaków. Czy facet gada jak oni?

— Jakby miał w ustach pełno gorącego tłuszczu. Będzie stroił ważniaka w okręgu Ford.

— Głupi, głupi, głupi! Carl Lee nigdy nie był zbyt bystry. Zawsze musiałem za niego myśleć. Głupi, głupi!

— Taak, twój brat popełnił błąd, Lester. Wiesz, jak wygląda proces o zabójstwo, bo brałeś w nim udział. Zdajesz sobie sprawę, jak ważna jest chwila, gdy przysięgli wychodzą z sali rozpraw i udają się do swojego pokoju na naradę. Twoje życie jest w ich rękach. Dwunastu miejscowych walczy i spiera się w twojej sprawie, o twoje życie. Ława przysięgłych to najważniejsza rzecz. Dlatego trzeba umieć do nich przemówić.

— Racja, Jake. Ty to potrafisz.

— Jestem pewny, że Marsharfsky potrafi to zrobić w Memphis, ale nie w okręgu Ford. Nie w rolniczej części stanu Missisipi. Ludzie mu nie uwierzą.

— Masz rację, Jake. Nie mieści mi się w głowie, że Carl Lee to zrobił. Znowu spieprzył sprawę.

— Żebyś wiedział, Lester. Martwię się o niego.

— Rozmawiałeś z nim?

— W ostatnią sobotę. Kiedy zobaczyłem gazety, poszedłem prosto do więzienia. Zapytałem, dlaczego to zrobił, a on nie potrafił udzielić odpowiedzi. Miał wyrzuty sumienia. Od tego czasu z nim nie gadałem, ale Marsharfsky też z nim nie

rozmawiał. Facet jeszcze nie dotarł do Clanton. O ile wiem, Carl Lee jest wkurzony. Z tego, co mi wiadomo, w tym tygodniu nie zrobiono niczego w jego sprawie.

— Czy Ozzie z nim rozmawiał?

— Taak, ale znasz Ozziego. Zbyt wiele się od niego nie dowiesz. Wie, że Bruster i Marsharfsky to krętacze, ale nie będzie naciskał na Carla Lee.

— Człowieku! Nie mogę w to uwierzyć. Chyba jest głupi, jeśli sądzi, że wsioki posłuchają jakiegoś krętacza z Memphis. Do licha, Jake, oni nie uwierzyliby prawnikowi z okręgu Tyler, a to przecież tuż obok.

Jake uśmiechnął się do słuchawki. Do tej pory nic nieetycznego.

— Co powinienem zrobić, Jake?

— Nie wiem, Lester. Twój brat potrzebuje pomocy, a ty jesteś jedynym, którego posłucha. Wiesz, jaki jest uparty.

— Chyba powinienem do niego zadzwonić.

Nie, pomyślał Jake. Przez telefon Carlowi Lee łatwiej będzie odmówić. Trzeba było doprowadzić do osobistej konfrontacji. Lester mógłby wywrzeć wpływ na brata, gdyby przyjechał z Chicago.

— Nie sądzę, żebyś zdołał cokolwiek wskórać przez telefon. Carl Lee się zdecydował. Tylko ty możesz na niego wpłynąć, żeby zmienił zdanie, ale przez telefon nie dasz rady.

Lester milczał chwilę, a Jake nerwowo nasłuchiwał.

— Który mamy dzisiaj?

— Czwartek, szósty czerwca.

— Zaraz, zaraz... — wymamrotał do siebie Lester. — To dziesięć godzin jazdy. Jutro pracuję od szesnastej do dwunastej w nocy. W niedzielę tak samo. Mógłbym wyruszyć jutro po północy. Dotarłbym do Clanton o dziesiątej rano. Gdybym wyjechał wczesnym rankiem następnego dnia, wróciłbym na szesnastą. Długa jazda, ale dam radę.

— To ważna sprawa, Lester. Myślę, że jest tego warta.

— Gdzie będziesz w sobotę, Jake?

— W kancelarii.

— W porządku. Pojadę do więzienia. Jeśli będę cię potrzebował, zadzwonię do biura.

— Brzmi rozsądnie. Jeszcze jedno, Lester. Carl Lee powiedział, żebym do ciebie nie dzwonił. Nie wspominaj mu, że rozmawialiśmy.

— Co mam mu powiedzieć?

— Że gadałeś z Iris i od niej się dowiedziałeś.

— Z jaką Iris?

— Daj spokój, Lester. Wszyscy od lat o tym wiedzą. Wszyscy z wyjątkiem jej męża. W końcu i on się dowie.

— Mam nadzieję, że nie. Zabiłby nas, a ty miałbyś kolejną sprawę o zabójstwo.

— Nic już nie mów, nie potrafię utrzymać nawet tych spraw, które już mam. Zadzwoń w sobotę.

⅄ ⅄ ⅄

O dwudziestej drugiej trzydzieści Jake zjadł kolację podgrzaną w mikrofalówce. Hanna już spała. Później rozmawiali z Carlą o Leroyu Glassie i białym dzieciaku przyłapanym w skradzionym pick-upie. I o Carlu Lee, ale ani słowa o Lesterze. Carla czuła się lepiej i bezpieczniej teraz, gdy mieli już za sobą Carla Lee Haileya. Żadnych telefonów z pogróżkami, żadnych płonących krzyży przed domem. Żadnych ciekawskich spojrzeń w kościele. Pocieszyła go, że będą inne sprawy. Jake mówił niewiele. Jadł w milczeniu i uśmiechał się.

Rozdział 19

W piątek przed zamknięciem sądu Jake zadzwonił do biura, aby spytać, czy w tej chwili toczy się jakaś rozprawa. Nie, odrzekła urzędniczka. Noose wyjechał. Wyjechali Buckley i Musgrove. Wszyscy wyjechali. Sala rozpraw opustoszała. Pocieszony tą wiadomością, Jake ruszył wolnym krokiem przez ulicę, by tylnymi drzwiami wejść do gmachu i przemknąć korytarzem w kierunku biura. Szukając teczki Carla Lee, flirtował z urzędniczkami i sekretarkami. Wstrzymał oddech, przeglądając kartki. Doskonale! Tak jak sądził. Przez cały tydzień nic nie wpłynęło z wyjątkiem jego wniosku o cofnięcie pełnomocnictwa. Marsharfsky i jego miejscowy pełnomocnik nie dotknęli teczki Haileya. Niczego nie zrobili. Poflirtował jeszcze chwilę i wrócił do swojej kancelarii.

Leroy Glass nadal siedział w pudle. Wyznaczono mu kaucję wysokości dziesięciu tysięcy dolarów, ale jego rodzina nie potrafiła zebrać nawet tysiąca dla poręczyciela. Facet w dalszym ciągu dzielił celę z Carlem Lee. Jake miał przyjaciela, który pracował jako poręczyciel i zajmował się jego klientami. Jeśli któryś musiał wyjść z ciupy i nie istniało niebezpieczeństwo,

że czmychnie po wyjściu na wolność, spisywali poręczenie. Klienci Jake'a mogli negocjować warunki płatności. Powiedzmy pięć procent zaliczki i tyle a tyle miesięcznie. Gdyby Jake chciał wyciągnąć Leroya Glassa, umowę poręczenia można by sporządzić w każdej chwili, ale on wolał, żeby facet pozostał w pudle.

— Posłuchaj, Leroy, nie udało się niczego załatwić. Przykro mi. Pracuję nad tym z poręczycielem — wyjaśnił swojemu klientowi w pokoju z alkomatem.

— Przecież powiedziałeś, że wyjdę.

— Twoi nie mają forsy, Leroy. Nie mogę zapłacić sam. Wyciągniemy cię, ale to potrwa kilka dni. Chcę, żebyś wyszedł, bo wtedy będziesz mógł pójść do pracy, zarobić trochę grosza i mi zapłacić.

Leroy wydawał się usatysfakcjonowany.

— Zgoda, panie Jake. Niech pan zrobi, co może.

— Mają tu niezłe żarcie, co? — spytał z uśmiechem Jake.

— Niezgorsze, ale w domu jest lepsze.

— Wyciągniemy cię — obiecał Jake.

— Jak się czuje czarnuch, którego dźgnąłem?

— Nie jestem pewny. Ozzie powiedział, że nadal jest w szpitalu, ale Moss Tatum twierdzi, iż został wypisany. Kto wie. Nie sądzę, aby został ciężko ranny. Kim była ta babka? — zapytał Jake, bo nie pamiętał szczegółów.

— To kobieta Williego.

— Jakiego Williego?

— Williego Hoyta.

Jake zamyślił się chwilę, próbując przywołać w pamięci treść aktu oskarżenia.

— To nie ten, którego dźgnąłeś.

— Nie, facet nazywa się Curtis Sprawling.

— Chcesz powiedzieć, że biliście się o kobietę innego?

— Dokładnie.

— Gdzie był wtedy Willie?

— Też się bił.
— Z kim?
— Z jakimś palantem.
— Czterech facetów biło się o kobietę Williego?
— Tak, dobrze pan to ujął.
— O co poszło?
— Jej mąż wyjechał z miasta.
— Czyli babka jest mężatką?
— Racja.
— Jak się nazywa jej mąż?
— Johnny Sands. Kiedy wyjeżdża z miasta, zwykle dochodzi do bójek.
— Dlaczego?
— Babka nie ma dzieci, nie może ich mieć, ale lubi męskie towarzystwo. Wiesz pan, co mam na myśli? Kiedy mężulek wyjeżdża, wszyscy o tym wiedzą. Wystarczy, że lalunia pojawi się w knajpie, i bójka gotowa.

Ależ proces się zapowiada, pomyślał Jake.

— Przed chwilą powiedziałeś, że przyszła z Williem Hoytem?
— Taak, ale to nic nie znaczy. Wszyscy w knajpie zaczęli się do niej przystawiać, stawiać drinki, zapraszać do tańca. Nie można na to nic poradzić.
— Niezła babka, co?
— Ach, panie Jake! Kawał laski! Powinien pan ją zobaczyć!
— Z pewnością ją zobaczę na miejscu dla świadków.

Leroy utkwił wzrok w ścianie, uśmiechając się do siebie, marząc i pożądając żony swojego bliźniego, Johnny'ego Sandsa. Nie zważając na to, że za dźgnięcie człowieka mógł dostać dwadzieścia lat. Bo dowiódł w walce wręcz, że jest jej godny.

— Posłuchaj, Leroy. Nie powiedziałeś nic Carlowi Lee, prawda?
— Rozumie się. Nadal siedzimy w jednej celi. Gadamy cały czas. Nie ma nic innego do roboty.
— Nie powiedziałeś mu, o czym wczoraj rozmawialiśmy?

— Skądże! Przecież obiecałem, że tego nie zrobię.

— To dobrze.

— Ale coś panu powiem, panie Jake. Facet się martwi. Ten nowy prawnik się nie odezwał. Carl Lee jest wkurzony. Musiałem się porządnie ugryźć w język, żeby mu nie powiedzieć, ale dotrzymałem słowa. Oczywiście powiedziałem mu, że jest pan moim prawnikiem.

— To nic złego.

— Powiedział, że zachowywał się pan jak należy. Przychodził do celi, rozmawiał o sprawie i tak dalej. Powiedział, że wynająłem dobrego prawnika.

— Dla niego nie byłem zbyt dobry.

— Na mój rozum Carl Lee się pogubił. Sam już nie wie, komu ufać. Wszystko mu się poplątało.

— Nie mów mu, o czym rozmawialiśmy, dobrze? To poufne.

— Jasne, ale ktoś musi mu powiedzieć.

— Carl Lee nie konsultował się ze mną ani nikim innym, zanim mnie wylał i najął nowego obrońcę. Jest dorosłym mężczyzną, to jego decyzja. — Jake przerwał na chwilę i przysunął się do Leroya. — Powiem ci coś jeszcze, ale nie możesz nikomu powtórzyć. — Ściszył głos. — Sprawdzałem jego teczkę pół godziny temu. Ten nowy prawnik przez cały tydzień nawet nie zajrzał do akt Haileya. Nie kiwnął palcem. Nie zrobił niczego.

Leroy zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

— Człowieku!

Jake mówił dalej:

— To typowe dla ważniaków. Dużo gadają i robią wokół siebie mnóstwo szumu, przy jak najmniejszych nakładach finansowych. Biorą więcej spraw, niż mogą udźwignąć, i kończy się na tym, że częściej przegrywają, niż wygrywają. Znam gości. Cały czas ich obserwuję. Większość cieszy się przesadną sławą.

— Czy dlatego facet nie odwiedził Carla Lee?

— Oczywiście. Gość jest zbyt zajęty. Do tego ma mnóstwo

innych ważnych spraw. Nie zależy mu na Carlu Lee.

— Kiepska sprawa. Carl Lee zasługuje na coś lepszego.

— Ma, czego chciał. Będzie musiał z tym żyć.

— Myśli pan, że zostanie skazany?

— Nie mam żadnych wątpliwości. Zmierza prosto do komory gazowej. Zatrudnił szemranego prawnika, który nie ma czasu na jego sprawę. Nie ma nawet czasu, żeby pogadać z nim w więzieniu.

— Ale pan by go wyciągnął, prawda?

Jake rozluźnił się i skrzyżował nogi.

— Nigdy tego nie obiecuję. Nie obiecałbym nawet tobie. Tylko głupi prawnik obiecuje uniewinnienie. Podczas rozprawy wiele rzeczy może pójść źle.

— Carl Lee powiedział, że jego prawnik obiecał uniewinnienie w wywiadzie dla jakiejś gazety.

— Bo jest durny.

⅄ ⅄ ⅄

— Gdzie byłeś? — spytał kolegę z celi Carl Lee, kiedy strażnik zamknął drzwi.

— Gadałem z moim prawnikiem.

— Jake?

— Taak.

Leroy usiadł na pryczy naprzeciwko Carla Lee, który drugi raz czytał tę samą gazetę. Po chwili złożył płachtę i wsunął pod łóżko.

— Wyglądasz na zmartwionego — zauważył Carl Lee. — Jakieś złe wiadomości w twojej sprawie?

— Nie. Moi nie mogą uzbierać na kaucję. Jake powiedział, że za kilka dni sprawa będzie załatwiona.

— Mówił coś o mnie?

— Nie. Niewiele.

— Niewiele? Co powiedział?

— Spytał, jak się masz.

— To wszystko?

— Taak.

— Nie jest na mnie zły?

— Nie. Martwi się o ciebie, ale nie sądzę, żeby był zły.

— Dlaczego się martwi?

— Skąd mam wiedzieć — odrzekł Leroy, rozciągając się na pryczy i składając ręce pod głową.

— Daj spokój, Leroy. Wiesz o czymś i nie chcesz mi powiedzieć. Co Jake o mnie powiedział?

— Powiedział, że nie mogę ci powtórzyć, o czym gadaliśmy. Że to poufna sprawa. Chybabyś nie chciał, żeby twój prawnik powtarzał innym, o czym gadaliście, nie?

— Na oczy nie widziałem mojego prawnika.

— Miałeś dobrego i go wylałeś.

— Teraz też mam.

— Skąd niby to wiesz? Przecież nie poznałeś faceta. Jest zbyt zajęty, aby z tobą pogadać. Jeśli jest taki zajęty, nie będzie miał czasu, żeby popracować nad twoją sprawą.

— Skąd o nim wiesz?

— Spytałem Jake'a.

— Taak? Co powiedział?

Leroy nie odrzekł ani słowa.

— Chcę wiedzieć, co powiedział — zażądał Carl Lee, siadając na skraju pryczy Leroya i spoglądając gniewnie na mniejszego i słabszego towarzysza z celi. Leroy uznał, że jest przerażony i ma dobrą wymówkę, aby powtórzyć wszystko Carlowi Lee. Przecież jak by nie powiedział, dostałby niezły wycisk.

— To krętacz — odrzekł. — Wynająłeś krętacza i ważniaka. Nie zależy mu na tobie ani na twojej sprawie. Pragnie jedynie rozgłosu. Przez cały tydzień nie tknął palcem twojej teczki. Jake to wie, bo sprawdził w sądzie dziś po południu. Ani tam widzieli twojego ważniaka. Jest zbyt zajęty, żeby wyjechać z Memphis i sprawdzić, co u ciebie słychać.

— Znawca się znalazł.

— Prosiłeś, to ci powiedziałem.

Carl Lee podszedł do drzwi i ścisnął kraty potężnymi dłońmi. Po trzech tygodniach cela się skurczyła, a im była mniejsza, tym trudniej mu było myśleć i argumentować, planować i reagować. Nie potrafił się skupić w tym cholernym więzieniu. Wiedział jedynie tyle, ile mu powiedzieli, ale nie miał komu zaufać. Gwen reagowała emocjonalnie. Ozzie zachowywał się wymijająco. Lester był w Chicago. Nie miał nikogo oprócz Jake'a, ale z jakiegoś powodu wziął sobie nowego prawnika. Z powodu forsy. Dla tysiąca dziewięciuset dolarów w gotówce, wypłaconych przez największego stręczyciela i handlarza narkotyków w Memphis, którego prawnik specjalizował się w bronieniu podobnych alfonsów i dilerów, wszelkiej maści rzezimieszków i oszustów. Czy ten Marsharfsky kiedykolwiek reprezentował przyzwoitych ludzi? Co sobie pomyślą członkowie ławy przysięgłych, kiedy ujrzą Carla Lee siedzącego za stołem obrony obok Marsharfsky'ego? To oczywiste, że uznają go za winnego. Gdyby nie był winny, czemu zatrudniłby słynnego szemranego prawnika z wielkiego miasta?

— Wiesz, co powiedzą wsioki z ławy przysięgłych, kiedy zobaczą tego Marsharfsky'ego? — zapytał Leroy.

— Co?

— Pomyślą, że biedny czarnuch jest winny, bo sprzedał duszę, aby zatrudnić największego krętacza w Memphis, aby powiedział im, iż jest niewinny.

Carl Lee mruknął coś przez kraty.

— Usmażą cię, Carlu Lee.

⅄ ⅄ ⅄

Kiedy w sobotę o szóstej trzydzieści rano w gabinecie Ozziego zadzwonił telefon, Moss Junior Tatum był jedynym funkcjonariuszem z biura szeryfa na służbie. Dzwonił szeryf.

— Czemu tak wcześnie wstałeś? — spytał Moss.

— Sam nie wiem, czy się obudziłem — odparł szeryf. — Posłuchaj, Moss, pamiętasz tego starego czarnego kaznodzieję nazwiskiem Street. Wielebny Isaiah Street?

— Nie jestem pewny.

— Musisz go pamiętać. Od pięćdziesięciu lat wygłasza kazania w kościele w Springdale, na północ od miasta. Facet jest pierwszym członkiem NAACP w okręgu Ford. W latach sześćdziesiątych nauczył wszystkich okolicznych czarnuchów, jak organizować marsze i bojkoty.

— Taak, teraz sobie przypominam. Czy Klan nie dostał go raz w swoje ręce?

— To prawda. Pobili go i spalili mu dom. Nic poważnego. Latem sześćdziesiątego piątego roku.

— Myślałem, że umarł kilka lat temu.

— Nie. Od dziesięciu lat facet ledwie żyje, ale w dalszym ciągu trochę się rusza. Zadzwonił do mnie o piątej trzydzieści i gadaliśmy godzinę. Wyliczył wszystkie polityczne przysługi, za które mu wiszę.

— Czego chciał?

— Przyjdzie do więzienia o siódmej, żeby pogadać z Carlem Lee. Nie wiem po co, ale bądź dla niego miły. Zaprowadź go do mojego gabinetu i daj pogadać. Przyjadę później.

— Jasne, szeryfie.

W latach sześćdziesiątych, w szczytowym okresie swojego życia, wielebny Isaiah Street był siłą sprawczą stojącą za wszystkimi akcjami w obronie praw obywatelskich podejmowanymi w okręgu Ford. Maszerował z Martinem Lutherem Kingiem w Memphis i Montgomery. Organizował pochody i akcje protestacyjne w Clanton i Karaway oraz innych miastach północnej części stanu Missisipi. Latem sześćdziesiątego czwartego roku witał studentów z północy i koordynował ich działania na rzecz zarejestrowania czarnoskórych wyborców. Niektórzy mieszkali w jego domu tamtego pamiętnego lata i od czasu do czasu nadal go odwiedzali. Street nie był radykałem.

Był cichy, wyrozumiały i inteligentny. Zasłużył sobie na szacunek wszystkich czarnych i większości białych. Był spokojnym, opanowanym głosem pośrodku zażartych sporów i nienawiści. W sześćdziesiątym dziewiątym roku nieoficjalnie nadzorował wielką akcję desegregacji w szkołach publicznych, dzięki czemu w okręgu Ford obyło się bez niepokojów.

W siedemdziesiątym piątym dostał udaru, który sparaliżował mu prawą połowę ciała, ale nie tknął umysłu. Dziś, mimo siedemdziesięciu ośmiu lat, chodził bez niczyjej pomocy, wolno i o lasce. Dumny, godny i wyprostowany, tak jak to było możliwe. Wprowadzono go i usadzono w gabinecie szeryfa. Odmówił kawy, więc Moss Junior wyszedł, żeby przyprowadzić oskarżonego.

— Nie śpisz, Carlu Lee? — wyszeptał, nie chcąc budzić innych więźniów, bo zaczęliby się domagać śniadania, lekarstw, prawników, poręczycieli i przyjaciółek.

Carl Lee natychmiast usiadł na pryczy.

— Nie, ostatnio mało sypiam.

— Masz gościa. Chodź. — Moss cicho otworzył drzwi celi.

Carl Lee poznał Isaiaha Streeta wiele lat temu, kiedy Street przemawiał do uczniów ostatniej klasy liceum East High dla czarnych. Później nadeszły czasy desegregacji i High stało się gimnazjum. Nie widział wielebnego od czasu jego udaru.

— Carlu Lee, znasz wielebnego Isaiaha Streeta? — zapytał Moss, by dopełnić konwenansu.

— Tak, poznaliśmy się wiele lat temu.

— Dobrze. Zamknę drzwi, żebyście mogli porozmawiać.

— Jak się pan ma? — zapytał Carl Lee, kiedy usiedli obok siebie na kanapie.

— Dobrze, synu. A ty?

— Tak dobrze, jak to możliwe.

— Wiesz, że ja również siedziałem w więzieniu. Wiele lat temu. To straszne miejsce, ale zapewne było to niezbędne. Jak cię tu traktują?

— Dobrze, dobrze. Ozzie pozwala mi robić, co zechcę.

— Taak, Ozzie. Jesteśmy z niego bardzo dumni, prawda?

— Taak, jasne. To dobry człowiek. — Carl Lee przyglądał się uważnie kruchemu staruszkowi z laską. Jego ciało było słabe i utrudzone, ale umysł przenikliwy, a głos mocny.

— Z ciebie też jesteśmy dumni, Carlu Lee. Nie pochwalam przemocy, ale uważam, że czasami bywa konieczna. Spełniłeś dobry uczynek, synu.

— Taak, jasne — odrzekł Carl Lee, niepewny właściwej odpowiedzi.

— Zastanawiasz się, dlaczego tu przyszedłem?

Carl Lee skinął głową. Wielebny stuknął laską o podłogę.

— Martwimy się twoją sytuacją. Cała czarna społeczność się martwi. Gdybyś był biały, pewnie nie stanąłbyś przed sądem i najprawdopodobniej od razu zostałbyś uniewinniony. Zgwałcenie dziecka to potworna zbrodnia. Kto winiłby ojca o to, że naprawił wyrządzone zło? To znaczy białego ojca. Czarny ojciec wzbudza taką samą sympatię u czarnych, ale w ławie przysięgłych zasiądą również biali. Czarny i biały ojciec nie mają takich samych szans na uniewinnienie przez ławę przysięgłych. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Tak sądzę.

— Ława przysięgłych jest najważniejsza. Wina i niewinność. Wolność i więzienie. Życie i śmierć. O tym wszystkim rozstrzygają członkowie ławy przysięgłych. To bardzo kruchy system, powierzający ludzkie życie w ręce dwunastu przeciętnych zwykłych ludzi, którzy nie rozumieją prawa i mogą się pogubić w trakcie procesu.

— Taak, jasne.

— Twoje uniewinnienie przez białą ławę przysięgłych od zarzutu zabójstwa dwóch białych uczyni więcej dla czarnych w Missisipi niż jakiekolwiek wydarzenie od czasu zniesienia segregacji w szkołach. Nie tylko w Missisipi, ale w całym kraju. Twoja sprawa jest najgłośniejsza, bacznie obserwowana przez

wielu ludzi.

— Zrobiłem tylko to, co musiałem.

— Właśnie. Uczyniłeś to, co uznałeś za słuszne. To, co zrobiłeś, było słuszne, choć z drugiej strony brutalne i potworne. Mimo to słuszne. Większość ludzi, czarnych i białych, jest o tym przekonana. Czy jednak zostaniesz potraktowany tak, jak by cię potraktowano, gdybyś był biały? Oto pytanie.

— A gdybym został skazany?

— Wyrok skazujący byłby dla nas kolejnym policzkiem, symbolem głęboko zakorzenionego rasizmu, dawnych przesądów, starej nienawiści. Byłoby to katastrofą. Nie możesz zostać skazany.

— Staram się, jak mogę.

— Naprawdę? Pomówmy o twoim obrońcy, jeśli można.

Carl Lee skinął głową.

— Poznałeś go?

— Nie. — Carl Lee opuścił głowę i potarł oczy. — A pan?

— Tak, poznałem.

— Naprawdę? Jak?

— W Memphis, w sześćdziesiątym ósmym roku. Byłem z doktorem Kingiem. Marsharfsky był jednym z obrońców śmieciarzy, którzy ogłosili strajk przeciwko miastu. Marsharfsky poprosił doktora Kinga, żeby opuścił Memphis, twierdząc, że drażni białych i podburza czarnych, że utrudnia negocjacje w sprawie porozumienia. Był arogancki i obraźliwy. Naubliżał doktorowi Kingowi, oczywiście prywatnie. Sądziliśmy, że sprzedał robotników i pod stołem przyjął pieniądze od miasta. Myślę, że mieliśmy rację.

Carl Lee westchnął głęboko i potarł skronie.

— Prześledziliśmy jego karierę — ciągnął wielebny. — Zyskał sławę, reprezentując gangsterów, złodziei i stręczycieli. Wybronił kilku z nich, ale zawsze byli winni. Gdybyś ujrzał któregokolwiek z jego klientów, wiedziałbyś z miejsca, że jest winny. Właśnie to najbardziej mnie martwi w twojej sprawie.

Obawiam się, że pokazując się w jego towarzystwie, zostaniesz od razu uznany za winnego.

Carl Lee pochylił się jeszcze mocniej, opierając łokcie na kolanach.

— Kto kazał wielebnemu tu przyjść? — zapytał cichym głosem.

— Gadałem ze starym przyjacielem.

— Kim?

— Starym przyjacielem, synu. On też się o ciebie martwi. Wszyscy się martwimy.

— Marsharfsky to najlepszy prawnik w Memphis.

— Nie jesteśmy w Memphis, prawda?

— Specjalizuje się w prawie karnym.

— To możliwe, bo sam jest przestępcą.

Carl Lee podniósł się gwałtownie i przeszedł po pokoju, odwracając się plecami do wielebnego.

— Jest darmo. Nie będę musiał zapłacić ani centa.

— Opłata będzie bez znaczenia, kiedy trafisz do celi śmierci, synu.

Jakiś czas milczeli obaj. W końcu wielebny opuścił laskę i dźwignął się na nogi.

— Dość już powiedziałem. Pora na mnie. Powodzenia, Carlu Lee.

Carl Lee uścisnął mu dłoń.

— Doceniam troskę wielebnego. Dziękuję za wizytę.

— Moja myśl jest prosta, synu. Twoja sprawa jest wystarczająco trudna do wygrania. Nie pogarszaj sytuacji, zatrudniając takiego oszusta jak Marsharfsky.

⅄ ⅄ ⅄

Lester wyjechał z Chicago w piątek przed północą. Jak zwykle ruszył samotnie na południe. Wcześniej jego żona pojechała na północ do Green Bay, żeby spędzić weekend ze swoją rodziną. Lester lubił Green Bay znacznie mniej od Missisipi, a żadnemu

nie zależało na tym, żeby odwiedzić rodzinę drugiego. Ci Szwedzi byli miłymi ludźmi i potraktowaliby go jak członka rodziny, gdyby Lester im na to pozwolił. Ale byli inni niż on i nie chodziło jedynie o kolor skóry. Lester dorastał wśród białych na Południu i dobrze ich znał. Nie znosił białasów i nie lubił większości uczuć, którymi go darzyli, ale przynajmniej znał drani. Ale białasy z Północy, a szczególnie Szwedzi, byli całkiem inni. Ich zwyczaje, sposób mówienia, żarcie, niemal wszystko było mu obce i wiedział, że nigdy nie będzie czuł się komfortowo w ich towarzystwie.

W ciągu najbliższego roku spodziewał się rozwodu. Był czarny, a starsza kuzynka jego żony poślubiła czarnego na początku lat siedemdziesiątych, co wzbudziło wówczas dużą sensację. Lester miał już tego po dziurki w nosie, a i jego żona była nim zmęczona. Na szczęście nie mieli dzieci. Czego on właściwie oczekiwał? Miał już nawet kogoś na boku. Iris obiecała, że wyjdzie za niego i przeprowadzi się do Chicago, kiedy weźmie rozwód z Henrym.

Po północy obie jezdnie autostrady międzystanowej 57 wyglądały tak samo — rozproszone światełka małych schludnych farm na tle nocnego krajobrazu i co jakiś czas większe miasto, jak Champaign lub Effingham. Lester mieszkał i pracował na Północy, ale jego dom był gdzie indziej. Dom był tam, gdzie mamusia, czyli w Missisipi, chociaż nigdy by tam nie wrócił. Na Południu zbyt wiele było ignorancji i biedy. Nie przeszkadzał mu rasizm. Nie było tak źle jak kiedyś, a Lester zdążył przywyknąć do sytuacji. Wiedział, że rasizm nigdy nie zniknie, ale z roku na rok będzie coraz mniej widoczny. Biali nadal posiadali i kontrolowali wszystko. Samo w sobie było to do zniesienia. Nic nie wskazywało na to, że sytuacja się zmieni. Nieznośna była ignorancja i ubóstwo wielu czarnych — rozpadające się domostwa, wysoka śmiertelność niemowląt, beznadzieja ludzi pozbawionych pracy, samotne matki i ich głodujące dzieci. Było to tak dołujące, że stawało się nieznośne,

tak nieznośne, że uciekł z Missisipi, jak tysiące innych, i wyemigrował na północ w poszukiwaniu chleba, każdej godziwie płatnej roboty, która złagodziłaby ból ubóstwa.

Powrót do Missisipi był jednocześnie przyjemny i przygnębiający. Przyjemny, bo spotka się z rodziną, przygnębiający, bo ponownie ujrzy ich ubóstwo. Oczywiście, były też jasne punkty. Carl Lee miał dobrą pracę, czysty dom i dobrze ubrane dzieciaki. Ale Carl Lee stanowił wyjątek, a teraz znalazł się w opałach z powodu dwóch pijaków, dwóch ordynarnych białych śmieci. Czarni menele mieli wymówkę, ale białe szumowiny w białym świecie były jej pozbawione. Na szczęście obaj już nie żyli, a Lester odczuwał dumę z powodu swojego wielkiego brata.

Po sześciu godzinach jazdy, kiedy przejeżdżał rzekę w Cairo, na niebie ukazało się słońce. Dwie godziny później ponownie przekroczył je w Memphis. Jechał na południowy wschód. Po kolejnej godzinie okrążył gmach sądu w Clanton. Nie spał od dwudziestu godzin.

⅄ ⅄ ⅄

— Carlu Lee, masz gościa — oznajmił przez żelazne kraty Ozzie.

— Nie jestem zaskoczony. Kto to taki?

— Chodź za mną. Lepiej skorzystaj z mojego gabinetu. Może to chwilkę potrwać.

⅄ ⅄ ⅄

Jake snuł się po kancelarii, czekając na telefon. Minęła dziesiąta. Lester powinien być już w mieście, jeśli wyjechał z Chicago. Dochodziła jedenasta. Jake zaczął przeglądać jakieś stare teczki i robić notatki dla Ethel. Wybiło południe. Zadzwonił do Carli i skłamał, że o trzynastej ma spotkanie z nowym klientem, więc nie przyjedzie na lunch. Później popracuje na podwórku. Minęła trzynasta. Wyszperał jakąś bardzo starą

sprawę z Wyoming. Mąż został uniewinniony od zarzutu zabicia mężczyzny, który zgwałcił jego żonę. W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku. Jake skopiował akta, a później wyrzucił je do kosza. Czternasta. Czy Lester naprawdę przyjechał? Mógłby odwiedzić Leroya i rozejrzeć się w więzieniu. Nie, to nie wydawało się właściwe. Zdrzemnął się na sofie w ogromnym gabinecie.

Telefon zadzwonił o czternastej piętnaście. Jake dźwignął głowę i zwlekł się z sofy. Z bijącym sercem podniósł słuchawkę.

— Słucham!

— Część Jake! Mówi Ozzie.

— Taak, o co chodzi?

— Twoja obecność byłaby pożądana.

— Co takiego? — spytał Jake głosem niewiniątka.

— Jesteś potrzebny w więzieniu.

— Komu?

— Carl Lee chce z tobą gadać.

— Jest tam Lester?

— Taak. On też chce zamienić z tobą słówko.

— Będę za minutkę.

— Siedzą tam od ponad czterech godzin — wyjaśnił Ozzie, wskazując drzwi swojego gabinetu.

— Co robią? — spytał Jake.

— Gadają, oskarżają się wzajemnie i krzyczą. Ucichło dopiero trzydzieści minut temu. Carl Lee wyszedł i poprosił, żebym do ciebie zadzwonił.

— Dzięki. Chodźmy.

— Nie ma mowy, człowieku. Nie wejdę. Nie posłali po mnie. Właź sam.

Jake zapukał.

— Wejść!

Wolno otworzył drzwi i wszedł do środka, a następnie

zamknął je za sobą. Carl Lee siedział za biurkiem, a Lester leżał na kanapie. Na widok Jake'a wstał i uścisnął mu dłoń.

— Miło cię widzieć, Lester. Co cię sprowadza?

— Sprawy rodzinne.

Jake spojrzał na Carla Lee, podszedł do biurka i podał mu dłoń. Jego dawny klient był wyraźnie zirytowany.

— Prosiliście, żebym przyjechał?

— Taak, Jake. Usiądź. Musimy pogadać — zaczął Lester. — Carl Lee ma ci coś do powiedzenia.

— Sam mu powiedz — odburknął Carl Lee.

Lester westchnął i potarł powieki. Był zmęczony i sfrustrowany.

— Nie powiem ani słowa. To sprawa między wami.

Lester zamknął oczy i ułożył się na kanapie, a Jake usiadł na wyściełanym składanym krześle, które stało oparte o ścianę naprzeciwko kanapy. Uważnie obserwował Lestera, ale nie patrzył na Carla Lee, który kołysał się wolno w obrotowym fotelu Ozziego. Carl Lee milczał. Lester też nie mówił ani słowa. Po trzech minutach Jake się wkurzył.

— Kto chciał, żebym przyjechał?! — zapytał.

— Ja — odparł Carl Lee.

— Czego ode mnie chciałeś?

— Żebyś ponownie wziął moją sprawę.

— Myślałeś, że będę chciał?

— Co?! — Lester usiadł i wytrzeszczył oczy.

— To nie prezent, który można dawać i odbierać, ale umowa między tobą i twoim adwokatem. Nie zachowuj się, jakbyś wyświadczał mi łaskę! — Jake podniósł głos, nie kryjąc gniewu.

— Chcesz czy nie? — spytał Carl Lee.

— Proponujesz, że mnie ponownie zatrudnisz, Carlu Lee?

— Właśnie.

— Dlaczego?

— Bo Lester chce, żebym to zrobił!

— Rozumiem, w takim razie nie wezmę tej sprawy. — Jake

podniósł się i ruszył do drzwi. — Jeśli Lester chce mnie, a ty wolisz Marsharfsky'ego, pozostań przy Marsharfskym. Jeśli nie potrafisz samodzielnie myśleć, potrzebujesz kogoś takiego.

— Zaczekaj, Jake. Spokojnie — powiedział Lester, stając przy drzwiach obok Jake'a. — Usiądź, usiądź, proszę. Nie mam do ciebie żalu, że wściekasz się na Carla Lee, bo cię wylał. Popełnił błąd. Prawda, Carl?

Carl Lee zaczął oglądać własne paznokcie.

— Siadaj, Jake. Siadaj. Pogadamy — poprosił Lester i zaprowadził go do składanego krzesła. — Dobrze. Teraz omówmy sytuację. Carl, czy chcesz, żeby Jake był twoim prawnikiem?

Carl Lee skinął głową.

— Taak.

— Dobrze, posłuchaj, Jake...

— Powiedz dlaczego. — Jake zwrócił się do Carla Lee.

— Co?

— Wyjaśnij mi, dlaczego chcesz, żebym wziął twoją sprawę i dlaczego chcesz zwolnić Marsharfsky'ego.

— Nie muszę niczego wyjaśniać!

— Ależ tak! Musisz! Jesteś mi winien wyjaśnienie. Zwolniłeś mnie tydzień temu i nie miałeś odwagi, żeby zadzwonić. Dowiedziałem się o wszystkim z gazet. Później przeczytałem o twoim nowym wysoko opłacanym obrońcy, który najwyraźniej do tej pory nie potrafił znaleźć drogi do Clanton. Teraz do mnie dzwonisz i oczekujesz, że rzucę wszystko, bo ponownie zmieniłeś zdanie. Wytłumacz mi łaskawie, co się stało.

— Powiedz mu, Carl. Powiedz Jake'owi — zachęcił brata Lester.

Carl Lee pochylił się do przodu i oparł łokcie na biurku. Ukrył twarz w dłoniach i zaczął mamrotać między palcami.

— Wszystko mi się pokręciło. To miejsce doprowadza mnie do szału. Mam zszargane nerwy. Martwię się o moją małą

dziewczynkę. Martwię się o rodzinę. Martwię o własną skórę. Każdy mówi mi, żebym zrobił coś innego. Nigdy nie byłem w takiej sytuacji i nie wiem, co robić. Mogę jedynie zaufać ludziom. Zaufać Lesterowi i tobie. To wszystko.

— Zaufać moim radom? — spytał Jake.

— Zawsze miałem do ciebie zaufanie.

— Zaufać, że dobrze poprowadzę twoją sprawę?

— Taak, Jake. Chcę, żebyś wziął ją ponownie.

— Teraz rozumiem.

Jake się rozluźnił, a Lester opadł na kanapę.

— Będziesz musiał powiadomić Marsharfsky'ego. Dopóki tego nie zrobisz, nie będę mógł przystąpić do roboty.

— Zrobimy to dziś po południu — powiedział Lester.

— Dobrze. Zadzwońcie, kiedy z nim pogadacie. Czeka nas dużo roboty, a czasu jest coraz mniej.

— Co z pieniędzmi? — spytał Lester.

— Bez zmian. Te same warunki. Przyjmujecie?

— W porządku — odrzekł Carl Lee. — Zapłacę tak, jak będę mógł.

— Później o tym pogadamy.

— Co z lekarzami? — spytał Carl Lee.

— Rozejrzymy się. Nie wiem jeszcze. Wszystko się niebawem okaże.

Prawnik się uśmiechnął. Lester głośno zachrapał, a Carl Lee zaśmiał się ze swojego brata.

— Sądziłem, że do niego zadzwoniłeś, ale stanowczo zaprzecza.

Jake uśmiechnął się niezręcznie, ale nic nie powiedział. Lester był wygadanym kłamcą, co okazało się niezwykle przydatne podczas jego procesu o zabójstwo.

— Przepraszam, Jake. Popełniłem błąd.

— Nie przepraszaj, czeka nas za dużo pracy, żeby tracić czas na przepraszanie.

⅄ ⅄ ⅄

W cieniu drzewa na parkingu przed więzieniem przyczaił się reporter, czekając, aż coś się stanie.

— Przepraszam pana. Czy pan nie nazywa się Brigance?

— Kto pyta?

— Richard Flay z „Jackson Daily". Pan jest Jake Brigance?

— Tak.

— Były prawnik pana Haileya?

— Nie. Reprezentuję pana Haileya.

— Sądziłem, że zatrudnił Bo Marsharfsky'ego. Szczerze powiedziawszy, dlatego tu jestem. Słyszałem, że Marsharfsky ma przyjechać dziś po południu.

— Jeśli pan go zobaczy, proszę mu powiedzieć, że się spóźnił.

⅄ ⅄ ⅄

Lester spał twardo na kanapie w gabinecie Ozziego. Dyspozytor obudził go w niedzielę o czwartej rano. Po opróżnieniu styropianowego kubka z kawą wyruszył w drogę powrotną do Chicago. W sobotę w późnych godzinach wieczornych razem z Carlem Lee zadzwonili do biura Cata nad klubem i poinformowali go o zmianie decyzji. Cat powiedział, że sam powiadomi Marsharfsky'ego. Nikt nie wspomniał nic o pieniądzach.

Rozdział 20

Krótko po wyjeździe Lestera Jake powlókł się w szlafroku podjazdem, żeby odebrać niedzielne gazety. Clanton leżało godzinę drogi na południowy wschód od Memphis, trzy godziny na północ od Jackson i czterdzieści pięć minut od Tupelo. W Clanton można było kupić wszystkie wychodzące tam dzienniki z obszernym wydaniem niedzielnym. Jake od dawna prenumerował wszystkie trzy. Był z tego rad, bo wiedział, że Carla będzie miała dużo materiałów do swojego zeszyciku z wycinkami. Rozłożył gazety na stole i zaczął się przebijać przez grubą na piętnaście centymetrów warstwę papieru.

W gazecie z Jackson nie było ani słowa. Miał nadzieję, że Richard Flay zamieści jakąś wzmiankę. Powinien był spędzić z nim więcej czasu przed więzieniem. Nie znalazł niczego także w gazetach z Memphis i Tupelo. Właściwie nie był tym zaskoczony, choć miał nadzieję, że reporterzy jakoś się dowiedzą. Wczoraj zbyt późno otrzymali tę wiadomość. Może pojawią się jakieś wzmianki w poniedziałek. Miał już dość ciągłego ukrywania się. Dość poczucia zakłopotania. Dopóki wiadomość nie zostanie ogłoszona w gazetach, dopóki nie przeczytają o

niej chłopcy z Coffee Shopu i ludzie z kościoła oraz inni prawnicy, w tym Buckley, Sullivan i Lotterhouse, dopóki wszyscy nie będą wiedzieli, że sprawa ponownie jest jego, będzie siedział cicho i nie rzucał się w oczy. Jak powinien powiedzieć o tym Sullivanowi? Carl Lee obiecał zatelefonować do Marsharfsky'ego lub jego sutenera, a sutener do Marsharfsky'ego, by przekazać mu wiadomość. Ciekawe, jaki komunikat Marsharfsky przekaże prasie? Później wielki prawnik zadzwoni do Waltera Sullivana ze wspaniałymi wieściami. Wszystko to wydarzy się w poniedziałek rano, jeśli nie wcześniej. Wieści rozejdą się migiem w kancelarii Sullivana. Starsi i młodsi wspólnicy oraz maluczcy współpracownicy zbiorą się w długiej sali konferencyjnej udekorowanej mahoniem i będą przeklinać Brigance'a oraz jego nieetyczne gierki. Współpracownicy będą próbowali zrobić wrażenie na przełożonych, rzucając przepisami i numerami paragrafów, które Brigance mógł naruszyć. Prześle Sullivanowi krótki kurtuazyjny list wraz z kopią dla Lotterhouse'a.

Nie zadzwoni ani nie napisze do Buckleya. Facet będzie w szoku, kiedy zobaczy gazety. Powinien wystarczyć list do sędziego Noose'a wraz z kopią dla Buckleya. Nie zaszczyci go osobistym listem.

Przyszła mu do głowy pewna myśl, ale się zawahał. W końcu wykręcił numer Luciena. Słuchawkę podniosła jego pielęgniarka, służąca i barmanka w jednej osobie.

— Sallie?

— Tak.

— Tu Jake. Czy Lucien już wstał?

— Chwileczkę. — Przekręciła się i podała słuchawkę Lucienowi.

— Słucham.

— Lucien? Tu Jake.

— Czego chcesz?

— Mam dobre wieści. Wczoraj Carl Lee Hailey zatrudnił

mnie ponownie. Odzyskałem sprawę.

— Którą?

— Sprawę Haileya!

— Tego samozwańczego mściciela? Naprawdę jest twój?

— Od wczoraj. Mamy mnóstwo roboty.

— Kiedy rozprawa? Któregoś lipca?

— Dwudziestego drugiego.

— Niedługo. Co jest najważniejsze?

— Psychiatra. Tani psychiatra, który powie wszystko, co zechcemy.

— Słuchaj, znam takiego — odparł Lucien.

— Doskonale. Musimy się zwijać. Zadzwonię za kilka dni.

Carla wstała o przyzwoitej porze i znalazła małżonka w kuchni, pochylonego nad gazetami rozłożonymi na stole. Zaparzyła świeżą kawę i bez słowa usiadła obok niego. Uśmiechnął się do niej, nie przerywając czytania.

— O której się obudziłeś? — zapytała.

— O piątej trzydzieści.

— Tak wcześnie? Przecież jest niedziela.

— Nie mogłem spać.

— Byłeś zbyt podekscytowany?

Jake odłożył gazetę.

— To prawda. Jestem bardzo podekscytowany. Szkoda, że nie podzielasz mojego entuzjazmu.

— Przepraszam za tę noc.

— Nie musisz przepraszać. Wiem, jak się czujesz. Twój problem polega na tym, że zawsze dostrzegasz tylko negatywną stronę, nigdy pozytywów. Nie masz pojęcia, ile możemy zyskać dzięki tej sprawie.

— Jake, to mnie przeraża. Telefony od nieznajomych, pogróżki, płonący krzyż. Nawet jeśli sprawa Haileya przyniesie nam milion dolarów, czy będzie tego warta, jeśli wydarzy się coś złego?

— Nic się nie stanie. Dostaniemy trochę telefonów z

pogróżkami, a ludzie w kościele i na mieście będą się na nas gapić. To wszystko.

— Nie możesz być pewny.

— Rozmawialiśmy o tym w nocy, ale dziś rano mogę wszystko powtórzyć. Mam pewien pomysł.

— Umieram z ciekawości.

— Poleć z Hanną do Karoliny Północnej, zamieszkaj u rodziców i wróć po procesie. Twoi rodzice będą uszczęśliwieni, a my nie będziemy musieli się przejmować Klanem ani tymi, którzy lubią palić krzyże.

— Rozprawa zacznie się za sześć tygodni! Chcesz, żebyśmy wyjechały do Wilmington na sześć tygodni?

— Tak.

— Kocham moich rodziców, ale to śmieszny pomysł.

— Za rzadko ich widujesz, a oni za rzadko widują Hannę.

— My też za rzadko widujemy siebie. Nie wyjadę na sześć tygodni.

— Będę miał mnóstwo roboty. Będę jadł i spał z tą sprawą do końca procesu. Będę pracował po nocach, w weekendy...

— To nic nowego.

— Będę cię ignorował i nie myślał o niczym innym z wyjątkiem tej sprawy.

— Przywykłam do tego.

Jake uśmiechnął się do żony.

— Chcesz powiedzieć, że sobie poradzisz?

— Z tobą sobie poradzę. Przerażają mnie ci wariaci.

— Kiedy ci wariaci zaczną na poważnie, wycofam się. Ucieknę, jeśli moja rodzina będzie w niebezpieczeństwie.

— Obiecujesz?

— Oczywiście. Wyślijmy Hannę do dziadków.

— Jeśli nic nam nie grozi, czemu chcesz, żeby wyjechała?

— Na wszelki wypadek. Zawsze lubiła spędzać wakacje u dziadków. Oni też będą uszczęśliwieni.

— Nie wytrzyma tygodnia beze mnie.

— A ty nie wytrzymasz tygodnia bez niej.

— Fakt. To odpada. Nie będę się o nią martwiła, dopóki będę mogła ją trzymać i tulić.

Kawa się zaparzyła, więc Carla napełniła kubki.

— Napisali coś w gazetach?

— Nie. Sądziłem, że gazeta z Jackson zamieści jakąś wzmiankę, ale chyba za późno się dowiedzieli.

— Odgaduję, że twoje wyczucie czasu nieco zardzewiało po tygodniu przymusowego urlopu.

— Tylko poczekaj do jutra.

— Tak myślisz?

— Zobaczysz.

Pokręciła głową, szukając działu mody i kuchni.

— Idziesz do kościoła?

— Nie.

— Dlaczego? Przecież dostałeś tę sprawę. Znowu jesteś gwiazdą.

— Taak, ale nikt jeszcze o tym nie wie.

— Rozumiem. Pojedziemy w następną niedzielę.

— Oczywiście.

⅄ ⅄ ⅄

W zborach Mount Hebron, Mount Zion, Mount Pleasant, kaplicach Brown's Chapel, Green's Chapel oraz kościołach przy Norris Road, Section Line Road, Bethel Road i świątyniach God's Temple, Christ's Temple i Saints' Temple puszczono w ruch tace i koszyki, ustawiono je też przy ołtarzu i drzwiach wejściowych, żeby zebrać pieniądze dla Carla Lee Haileya i jego rodziny. W wielu kościołach posłużono się dużymi pudełkami Kentucky Fried Chicken po kurczakach dla całej rodziny. Im większe było pudło, tym mniejsze wydawały się datki pojedynczych osób opadające na dno, co pozwalało duchownemu puścić je ponownie wśród trzódki. Była to specjalna zbiórka, niezależnie od zwykłej tacy. W każdym z kościołów

poprzedziła ją łzawa relacja o tym, co zrobiono uroczej małej dziewczynce Haileyów, oraz opis tego, co spotka jej tatusia i rodzinę, jeśli pudełka nie będą pełne. W wielu przypadkach powołano się na święte miano NAACP, co spowodowało, że ludzie opróżniali portfele i portmonetki.

Podziałało. Opróżniono koszyki, przeliczono pieniądze i powtórzono ten sam rytuał podczas wieczornego nabożeństwa. W niedzielę późnym wieczorem poranne i wieczorne datki zostały połączone i przeliczone przez każdego z duchownych, którzy w poniedziałek mieli przekazać znaczną część wspomnianej sumy wielebnemu Agee. Ten miał ukryć pieniądze gdzieś w kościele i przekazać znaczną ich część na pożytek rodziny Haileyów.

Od czternastej do siedemnastej w każde niedzielne popołudnie więźniowie aresztu okręgu Ford mogli wyjść na duży ogrodzony siatką dziedziniec przylegający do małej bocznej uliczki za więzieniem. Na godzinę do każdego z osadzonych wpuszczano trzech przyjaciół lub krewnych. Na dziedzińcu rosło parę drzew. Prócz nich znajdowało się tam kilka sfatygowanych stolików piknikowych oraz dobrze utrzymana obręcz do koszykówki. Ludzie szeryfa z psami bacznie obserwowali więźniów zza siatki.

Haileyowie wypracowali swój niedzielny porządek dnia. Około piętnastej, po końcowym błogosławieństwie, Gwen i dzieci wychodzili z kościoła i jechali do więzienia. Ozzie pozwalał Carlowi Lee wyjść wcześniej, żeby mógł zająć najlepszy stolik, ten z czterema nogami pod drzewem dającym cień. Do przyjazdu rodziny siedział tam samotnie, z nikim nie gadał i patrzył, jak ludzie grają w kosza. Właściwie nie była to koszykówka, ale połączenie rugby, zapasów, dżudo i kosza. Chociaż nikt nie ośmielił się sędziować, nie lała się krew i nie dochodziło do faulów. Co dziwne, nie zdarzały się też bójki. Bo udział w bójce oznaczał pobyt w izolatce i miesięczny zakaz opuszczania

więzienia.

Tej niedzieli przyszło niewielu gości — zaledwie kilka dziewczyn i żon. Usiadły ze swoimi mężczyznami na trawie przy ogrodzeniu i cicho obserwowały zamęt panujący pod koszem. Jedna z rodzin spytała Carla Lee, czy mogliby zjeść lunch przy stoliku, ale Hailey pokręcił głową, więc zjedli na trawie.

Gwen i dzieciaki przyjechali przed piętnastą. Funkcjonariusz z biura szeryfa Hastings, jej kuzyn, otworzył bramę i dzieci pobiegły, żeby przywitać tatusia. Gwen rozłożyła jedzenie. Carl Lee czuł na sobie spojrzenia mniej uprzywilejowanych kolegów, rozkoszując się ich zazdrością. Gdyby był biały lub mniejszy i słabszy, lub został oskarżony o mniej poważne przestępstwo, mogliby zażądać części jego żarcia. Ale on nazywał się Carl Lee Hailey, więc nikt nie śmiał zatrzymać na nim spojrzenia zbyt długo. Rodzina Haileyów zaczęła spokojnie jeść, a gra stała się ponownie pełna furii i przemocy. Tonya zawsze siadała obok taty.

— Dziś rano rozpoczęli zbiórkę pieniędzy dla nas — powiedziała po lunchu Gwen.

— Kto?

— Kościół. Wielebny Agee powiedział, że we wszystkich czarnych kościołach okręgu Ford będą co tydzień zbierali pieniądze dla nas i na honorarium dla prawnika.

— Ile zebrali?

— Nie wiem. Powiedział, że będą puszczali tacę co niedziela aż do rozpoczęcia procesu.

— To bardzo ładnie. Powiedział coś o mnie?

— Mówił o twojej sprawie i wielu innych rzeczach. Powiedział, że to będzie kosztowne, że będziemy potrzebowali pomocy kościołów. Mówił o chrześcijańskiej ofiarności i takie tam. Powiedział, że jesteś prawdziwym bohaterem dla swoich.

Cóż za miła niespodzianka, pomyślał Carl Lee. Spodziewał się pomocy Kościoła, ale nie pieniędzy.

— Ile kościołów bierze udział w zbiórce?

— Wszystkie czarne kościoły z okręgu Ford.

— Kiedy dostaniemy forsę?

— Nie powiedział.

Kiedy weźmie swoją działkę, pomyślał Carl Lee.

— Chłopcy, zabierzcie siostrę i idźcie się pobawić przy siatce. Mama i ja musimy porozmawiać. Tylko uważajcie.

Carl Lee Junior i Robert wzięli młodszą siostrę za rękę i posłusznie wykonali polecenie.

— Co powiedział lekarz? — spytał Carl Lee, obserwując oddalające się dzieci.

— Że dobrze sobie radzi. Szczęka ładnie się goi. Niedługo usuną drut z ust. Wkrótce Tonya będzie mogła biegać, skakać i bawić się z dziećmi... Nadal ma trochę siniaków.

— A co... z innymi sprawami?

Gwen pokręciła głową i zasłoniła oczy. Zaczęła płakać, wycierać policzki i mówić łamiącym się głosem.

— Nie będzie mogła mieć dzieci... lekarz powiedział... — Przerwała, otarła łzy i podjęła kolejną próbę, ale zaczęła szlochać i ukryła twarz w papierowym ręczniku.

Carlowi Lee zrobiło się słabo. Oparł czoło na rękach i zgrzytnął zębami, czując, że ma wilgotne oczy.

— Co powiedział?

Gwen podniosła głowę i zaczęła mówić urywanym głosem, starając się powstrzymać szloch.

— We wtorek powiedział mi, że uszkodzenia są zbyt poważne... — Otarła palcami twarz. — Chce ją jeszcze wysłać do specjalisty w Memphis.

— Zatem nie ma pewności?

Pokręciła głową.

— To pewne na dziewięćdziesiąt procent, ale uważa, że Tonya powinna zostać zbadana przez innego lekarza z Memphis. Trzeba będzie ją tam zawieźć za miesiąc.

Gwen oderwała kolejny kawałek papierowego ręcznika i

wytarła twarz, a następnie podała drugi mężowi, który szybko osuszył oczy.

Tonya stała przy siatce, słuchając, jak bracia kłócą się o to, który powinien odgrywać rolę szeryfa, a który więźnia. Patrzyła, jak rodzice rozmawiają, kręcą głową i płaczą. Wiedziała, że coś jej jest. Potarła oczy i też zaczęła płakać.

— Nocne koszmary się nasilają — podjęła Gwen, przerywając milczenie. — Śni się jej, że oni po nią idą. Że schowali się w szafie. Że ścigają ją przez las. Budzi się z krzykiem, zlana potem. Lekarz mówi, że może być potrzebna pomoc psychiatryczna. Mówi, że przed poprawą jej stan jeszcze się pogorszy.

— Ile to będzie kosztować?

— Nie wiem. Jeszcze nie zadzwoniłam.

— Lepiej to zrób. Gdzie jest ten psychiatra?

— W Memphis.

— Tak sądziłem.

— A chłopcy? Jak się do niej odnoszą?

— Są wspaniali. Traktują ją wyjątkowo, ale nocne koszmary ich przerażają. Kiedy Tonya budzi się z krzykiem, wszyscy wstają razem z nią. Ostatnio pobiegli do jej łóżka i próbowali pomóc, ale byli przestraszeni. Wczoraj nie chciała wrócić do siebie, jeśli chłopcy nie będą spali na podłodze, obok niej. Leżeliśmy z otwartymi oczami, nie mogąc zasnąć aż do świtu.

— Chłopakom nic nie będzie.

— Brakuje im taty.

Carl Lee uśmiechnął się przez łzy.

— Już niedługo.

— Naprawdę tak sądzisz?

— Sam już nie wiem, co myśleć, ale nie zamierzam spędzić reszty życia w więzieniu. Znowu zatrudniłem Jake'a.

— Kiedy?

— Wczoraj. Ten prawnik z Memphis się nie pojawił. Nawet nie raczył zadzwonić. Zwolniłem go i znowu zatrudniłem Jake'a.

— Mówiłeś, że Jake jest zbyt młody.

— Pomyliłem się. Jest młody, ale dobry. Zapytaj Lestera.

— To twój proces.

Carl Lee ruszył wolnym krokiem wokół dziedzińca, nie oddalając się od siatki. Myślał o tamtych dwóch leżących gdzieś daleko, zimnych i martwych. O ich gnijących ciałach i duszach smażących się w piekle. Zanim umarli, spotkali jego małą dziewczynkę, aby w ciągu dwóch godzin zniszczyć jej drobne ciało i zrujnować duszę. Ich napaść była tak brutalna, że nigdy nie będzie mogła mieć dzieci, tak gwałtowna, że stale ma wrażenie, iż się na nią czają, chowają się w szafach. Czy kiedykolwiek zdoła o tym zapomnieć? Wyprzeć wspomnienia? Wymazać je ze swojego umysłu tak, by jej życie stało się normalne? Może psychiatra zdoła tego dokonać. Czy inne dzieci pozwolą jej być normalną?

Chyba tak. Pomyślą, że jest przecież tylko małą czarną dziewczynką. Czyimś małym murzyńskim dzieckiem. Oczywiście, z nieprawego łoża, jak oni wszyscy. Gwałt nie jest dla nich niczym nowym.

Przypomniał sobie, jak tamci dwaj wyglądali w sądzie. Jeden był dumny, drugi wystraszony. Jak schodzili po schodach, kiedy czekał, żeby wykonać egzekucję. Później pomyślał o przerażeniu na ich twarzach, gdy natarł z M16. Usłyszał huk wystrzałów i wołanie o pomoc. I przeraźliwe krzyki, gdy obaj runęli na schody, jeden na drugiego, skuci kajdankami i wyjący z bólu, wijący się i niemający dokąd uciec. Przypomniał sobie, jak się uśmiechał, a nawet zanosił śmiechem, obserwując przedśmiertne drgawki. Uciekł, gdy ich ciała zastygły nieruchomo.

Uśmiechnął się ponownie. Był dumny z tego, co zrobił. Bardziej gnębił go pierwszy żółtek, którego zabił w Wietnamie.

Pismo adresowane do Waltera Sullivana było lakoniczne i rzeczowe.

Drogi J. Walterze!

Jestem przekonany, że pan Marsharfsky zdążył Cię poinformować, że Carl Lee Hailey zrezygnował z jego usług. Twoja pomoc w charakterze miejscowego pełnomocnika nie będzie oczywiście potrzebna. Życzę miłego dnia,

Szczerze oddany

Jake

Kopię listu przesłał L. Winstonowi Lotterhouse'owi. Równie krótkie było pismo do sędziego Noose'a.

Szanowny Sędzio Noose!

Zawiadamiam Pana, że zostałem ponownie zatrudniony przez pana Carla Lee Haileya. Przygotowujemy się do rozprawy zaplanowanej na dwudziestego drugiego lipca. Proszę o odnotowanie w aktach sprawy, że będę reprezentował oskarżonego.

Z poważaniem

Jake

Kopię przesłano Buckleyowi.

Marsharfsky zadzwonił w poniedziałek o dziewiątej trzydzieści. Jake dwie minuty obserwował migający przycisk, zanim podniósł słuchawkę.

— Słucham.

— Jak to zrobiłeś?

— Kto mówi?

— Sekretarka ci nie powiedziała? Mówi Bo Marsharfsky. Chcę wiedzieć, jak to zrobiłeś?

— Co?

— Jak mnie wyrolowałeś?

Zachowaj spokój, pomyślał Jake. Facet jest prowokatorem.

— O ile pamiętam, to ja zostałem wyrolowany — odparł.

— Zapomniałeś, że go nie znałem w chwili, gdy brałem tę sprawę?

— Nie musiałeś. Posłałeś swojego stręczyciela, nie pamiętasz?

— Oskarżasz mnie o to, że podbieram sprawy innym prawnikom?

— Tak.

Marsharfsky na chwilę zaniemówił, a Jake przyszykował się na wiązankę przekleństw.

— Wie pan co, panie Brigance, ma pan rację. Codziennie sprzątam kolegom sprawy sprzed nosa. Jestem zawodowcem w tej dziedzinie. Dlatego zarabiam tyle forsy. Jeśli pojawia się jakaś głośna sprawa karna, zabiegam o to, żeby ją mieć. Używam każdej metody, którą uznam za konieczną.

— To zabawne, bo nie wspomniał pan o tym w swoim wywiadzie.

— Jeśli zechcę mieć sprawę Haileya, to będę ją miał.

— Zapraszamy na scenę. — Jake odłożył słuchawkę i śmiał się dziesięć minut. Później zapalił tanie cygaro i zaczął pracować nad wnioskiem o zmianę miejsca rozprawy.

Dwa dni później do kancelarii zadzwonił Lucien, prosząc Ethel, żeby poprosiła Jake'a, by do niego przyjechał. W ważnej sprawie. Miał gościa, którego Jake musiał koniecznie poznać.

Gościem okazał się doktor W.T. Bass, emerytowany psychiatra z Jackson. Bass znał Luciena od lat, bo zeznawał jako ekspert obrony podczas procesu dwóch obłąkanych przestępców, których reprezentował Wilbanks. Obaj wspomniani odsiadywali długi wyrok w Parchman. Bass odszedł na emeryturę rok przed wykluczeniem Luciena z palestry. Powodem była ta sama

słabość, która przyczyniła się do zawodowej katastrofy Luciena, a mianowicie osobliwa słabość do jacka danielsa. Bass odwiedzał czasem Luciena w Clanton, a Lucien składał mu dużo częstsze wizyty w Jackson. Cieszyli się na te spotkania, bo lubili razem pić. Obaj panowie siedzieli na szerokiej werandzie i czekali na Jake'a.

— Wystarczy, że zeznasz, iż facet był niepoczytalny — instruował go Lucien.

— A był? — spytał lekarz.

— To bez znaczenia.

— A co ma znaczenie?

— Dostarczenie członkom ławy przysięgłych pretekstu do jego uwolnienia. Ich nie obchodzi, czy facet był obłąkany, czy nie. Muszą tylko mieć powód, żeby go uniewinnić.

— Byłoby miło, gdybym mógł go zbadać.

— Możesz. Możesz z nim rozmawiać do woli. Gość siedzi w pudle i czeka, żeby ktoś z nim pogadał.

— Będę musiał spotkać się z tym Haileyem kilka razy.

— Wiem.

— A jeśli uznam, że w chwili popełnienia morderstwa był poczytalny?

— Wtedy nie będziesz musiał zeznawać w sądzie, a twoje nazwisko i zdjęcie nie pojawią się w gazetach. Nie będą też przeprowadzali z tobą wywiadów w telewizji.

Lucien przerwał na chwilę, żeby pociągnąć głębszy łyk.

— Zrób tylko to, co powiedziałem. Zbadaj go, zrób notatki. Zadawaj głupie pytania. Sam wiesz, co robić. A później powiedz, że w chwili popełniania czynu gość był niepoczytalny.

— Sam nie wiem. Kiedyś nam się nie udało.

— Słuchaj, jesteś lekarzem, nie? Okazuj pychę, pewność siebie i arogancję. Przedstaw swoją opinię i rzuć wyzwanie każdemu, kto ośmieli się ją podważyć.

— Mam wątpliwości. Zapomniałem, czym się to poprzednio skończyło?

— Zrób, co powiedziałem.

— Dwukrotnie cię posłuchałem, a dziś obaj twoi klienci siedzą w Parchman.

— Ich przypadek był beznadziejny. Sprawa Haileya jest inna.

— Facet ma szansę?

— Niewielką.

— Odniosłem wrażenie, że powiedziałeś, iż gość jest inny.

— To porządny człowiek, który miał uzasadniony powód, żeby zabić.

— Dlaczego w takim razie jego szanse są niewielkie?

— Bo prawo mówi, że jego powód nie jest wystarczająco dobry.

— Można było tego oczekiwać.

— Na dodatek facet jest czarny, a to biały kraj. Nie ufam tutejszym bigotom.

— A gdyby był biały?

— Gdyby był biały i zabił dwóch czarnych, którzy zgwałcili mu córkę, przysięgli oddaliby mu gmach sądu.

Bass dopił szklaneczkę i napełnił kolejną. Między nimi na wiklinowym stoliku stała butelka o pojemności trzech czwartych litra i kubełek z lodem.

— Kto jest jego prawnikiem? — spytał.

— Za minutkę powinien do nas dołączyć.

— Facet dla ciebie pracował?

— Taak, ale nie sądzę, żebyś go znał. Przyszedł do kancelarii na dwa lata przed wykluczeniem mnie z palestry. Młody, trzydziestolatek, uczciwy, agresywny i pracowity.

— I dla ciebie pracował?

— Przed chwilą powiedziałem. Jak na swój wiek ma spore doświadczenie procesowe. Nie jest to jego pierwsza sprawa o zabójstwo, ale jeśli się nie mylę, pierwsza, w której powoła się na niepoczytalność oskarżonego.

— Miło słyszeć. Nie chcę, żeby facet zadawał dużo pytań.

— Twoja pewność siebie robi na mnie wrażenie. Poczekaj,

aż poznasz prokuratora okręgowego.

— Po prostu mam złe przeczucie. Próbowaliśmy dwa razy i dwa razy nie wyszło.

Lucien pokręcił głową, nie wierząc własnym uszom.

— Jesteś najskromniejszym lekarzem, jakiego znam.

— I najuboższym.

— Człowieku, powinieneś być napuszony i arogancki. Jesteś ekspertem, więc zachowuj się jak ekspert. Kto ośmieli się podważyć twoją fachową opinię w Clanton, w stanie Missisipi?

— Oskarżenie powoła własnych biegłych.

— Powołają jednego psychiatrę z Whitfield. Facet będzie badał oskarżonego kilka godzin, a później przyjedzie na rozprawę i zezna, że Hailey jest najnormalniejszym gościem, jakiego widział na oczy. Facet nigdy nie widział człowieka, który byłby niepoczytalny w sensie prawnym. Dla niego wszyscy są poczytalni. W Whitfield mieszkają sami zdrowi ludzie, ale gdy wnioskuje o rządową forsę, połowa mieszkańców stanu to wariaci. Zwolniliby go, gdyby zaczął opowiadać, że oskarżeni są niepoczytalni w sensie prawnym. Z takim przeciwnikiem będziesz musiał się zmierzyć.

— Czy to oznacza, że przysięgli automatycznie mi uwierzą?

— Zachowuj się tak, jakbyś nigdy wcześniej nie występował w tej roli.

— Robiłem to dwukrotnie, zapomniałeś? Raz w procesie gwałciciela, drugi — zabójcy. Żaden nie był niepoczytalny, wbrew temu, co powiedziałem. Obaj zostali zamknięci w miejscu, gdzie powinni byli się znaleźć.

Lucien pociągnął głębszy łyk i zaczął obserwować jasnobrązowy płyn, w którym pływały kostki lodu.

— Powiedziałeś, że mi pomożesz. Bóg wie, że jesteś mi winien przysługę. Ile rozwodów ci załatwiłem?

— Trzy. Za każdym razem wyszedłem golutki.

— Bo za każdym na to zasłużyłeś. Mogłeś pójść na ugodę lub pozwolić, żeby omawiano twoje skłonności na posiedzeniu

jawnym.

— Fakt.

— Ilu moich klientów wysłałem ci w ciągu tych lat?

— Nie wystarczyło nawet na alimenty.

— A pamiętasz proces o błąd w sztuce lekarskiej, który wytoczyła ci pewna dama? Jej leczenie składało się głównie z cotygodniowych sesji na twojej kozetce ze składanym łóżkiem obok? Kiedy twój prawnik odmówił obrony, zadzwoniłeś do drogiego przyjaciela Luciena, który wziął ją za grosze i załatwił sprawę ugodowo, poza salą sądową.

— Nie było żadnych świadków.

— Oprócz wspomnianej damy. W aktach sądowych stało, że żony zażądały rozwodu z powodu cudzołóstwa.

— Nie mogły niczego udowodnić.

— Nie dostały takiej szansy. Nie chcieliśmy dać im okazji, pamiętasz?

— Racja. Wystarczy. Wystarczy tego. Powiedziałem, że pomogę. A co z moimi uprawnieniami?

— Bass, ty się kompulsywnie zamartwiasz?

— Nie, ale staję się nerwowy na samą myśl o sali rozpraw.

— Twoje kwalifikacje są w porządku. Przecież zostałeś przyjęty, kiedy powoływali cię na biegłego. Zbytnio się denerwujesz.

— A to? — Podetknął Lucienowi szklankę.

— Nie powinieneś tyle pić — skwitował obłudnie Lucien.

Lekarz odstawił drinka i wybuchnął śmiechem. Zwlókł się z krzesła i doczłapał do skraju werandy, trzymając się za brzuch i rycząc ze śmiechu.

— Ojej! Ty jesteś pijany — oświadczył Lucien i wyszedł po następną butelkę.

⅄ ⅄ ⅄

Kiedy Jake przyjechał godzinę później, Lucien kołysał się leniwie w ogromnym wiklinowym fotelu, a lekarz spał na

huśtawce z drugiej strony werandy. Miał bose stopy, a paluchy ginęły w zaroślach okalających ganek. Jake wszedł po schodach i spojrzał ze zdumieniem na Luciena.

— Witaj, Jake! Jak się masz, chłopcze? — wybełkotał Lucien.

— W porządku. Widzę, że nieźle sobie radzisz. — Spojrzał na pustą butelkę i drugą, w której jeszcze kapkę zostało.

— Chciałem, żebyś poznał mojego znajomego — odpowiedział Lucien, próbując się wyprostować.

— Co za jeden?

— To nasz psychiatra, doktor W.T. Bass z Jackson. Mój dobry przyjaciel. Pomoże nam z Haileyem.

— Jest dobry?

— Najlepszy. Pracowaliśmy razem nad dwoma przypadkami niepoczytalności.

Jake zrobił parę kroków w kierunku huśtawki i stanął. Doktor leżał na plecach, z rozpiętą koszulą i otwartymi ustami. Głośno chrapał, wydając dziwne gardłowe gulgotanie. Giez wielkości małego wróbla latał wokół jego nosa, wycofując się na oparcie huśtawki z każdym przypominającym grzmot wydechem. Chrapliwym westchnieniom towarzyszyły obłoki śmierdzącej pary unoszącej się nad końcem werandy niczym niewidzialna mgiełka.

— Ten gość jest lekarzem?! — spytał z niedowierzaniem Jake, siadając obok Luciena.

— Tak, psychiatrą — oznajmił dumnie Lucien.

— Pomógł ci to wypić? — Jake wskazał głową butelki.

— Nie, to ja pomogłem jemu. Pije jak ryba, ale podczas rozprawy zawsze jest trzeźwy.

— Pokrzepiające.

— Polubisz go. Jest tani. Wisi mi przysługę. Nie zapłacisz ani centa.

— Już go lubię.

Twarz Luciena była równie czerwona jak jego oczy.

— Chcesz drinka?

— Nie. Człowieku, jest dopiero piętnasta trzydzieści.

— Naprawdę?! Jaki mamy dzień?

— Środę. Dwunasty czerwca. Od dawna pijecie?

— Od trzydziestu lat. — Lucien zarechotał, pobrzękując kostkami lodu w szklance.

— Miałem na myśli dzisiaj.

— Wypiliśmy śniadanie. A co za różnica?

— Ten Bass nie musi pracować?

— Nie, przeszedł na emeryturę.

— Dobrowolnie?

— Pytasz, czy nie został usunięty z ichniej palestry, żeby się tak wyrazić?

— Tak, jeśli można tak rzec.

— Nie. Ma licencję i nieskazitelne uprawnienia.

— Fakt, wygląda nieskazitelnie.

— Kilka lat temu dopadła go gorzała. Gorzała i alimenty. Przeprowadziłem mu trzy rozwody. Dotarł do punktu, w którym wszystkie zarobione pieniądze szły na alimenty i opiekę nad dzieckiem, więc rzucił robotę.

— Jak sobie radzi?

— My, no wiesz... zdołaliśmy ukryć to i owo. Przed jego żonami i chciwymi prawnikami. Wiedzie całkiem wygodny żywot.

— Wygląda, jakby było mu wygodnie.

— Na dodatek sprzedaje narkotyki, ale tylko bogatej klienteli. Właściwie nie są to narkotyki, ale środki, które może legalnie przepisać. To nic nielegalnego, tylko trochę nieetycznego.

— Co tu robi?

— Odwiedza mnie od czasu do czasu. Zadzwoniłem do niego w niedzielę, po naszej rozmowie. Chce się spotkać z Haileyem tak szybko, jak to możliwe. Nawet jutro, jeśli zdoła.

Doktor chrząknął i przewrócił się na bok, co spowodowało, że huśtawka poruszyła się gwałtownie i zakołysała kilka razy. Bass ponownie się poruszył, nie przestając chrapać. Wyprostował

prawą nogę, tak że stopa utkwiła w gęstych zaroślach. Huśtawka szarpnęła w bok, wyrzucając poczciwego doktora na podłogę werandy. Głowa uderzyła o drewniane deski, a prawa stopa utkwiła zakleszczona w siedzisku huśtawki. Bass skrzywił się i zakaszlał, a następnie ponownie zachrapał. Jake instynktownie ruszył na pomoc, ale zamarł w pół kroku, kiedy okazało się, że lekarzowi nic się nie stało i nadal śpi.

— Daj mu spokój! — polecił Lucien, śmiejąc się do rozpuku.

Rzucił kostką lodu, celując w głowę przyjaciela, chybił o włos. Druga kostka wylądowała na czubku nosa doktora.

— Idealny strzał! — wykrzyknął Lucien. — Zbudź się, ty pijaku!

Jake zszedł z werandy i ruszył do samochodu, słuchając, jak jego były szef śmieje się, przeklina i rzuca kostkami lodu w doktora W.T. Bassa, psychiatrę, którego miała powołać obrona.

⅄ ⅄ ⅄

DeWayne Looney wyszedł ze szpitala o kulach, a następnie zawiózł żonę i trójkę dzieci do aresztu, gdzie Ozzie, stali pracownicy biura szeryfa i ochotnicy wraz z kilkoma przyjaciółmi czekali z tortem i małymi podarkami. Miał teraz zostać dyspozytorem, zachowując odznakę, mundur i pełne wynagrodzenie.

Rozdział 21

Sala spotkań wspólnoty kościoła w Springdale została starannie wysprzątana i lśniła czystością. Składane stoliki i krzesła odkurzono i ustawiono w równych rzędach. Był to największy czarny kościół w całym okręgu, a ponieważ znajdował się w Clanton, wielebny Agee uznał za właściwe, aby spotkali się właśnie tutaj. Powodem spotkania była konferencja prasowa w celu nagłośnienia sprawy i okazania wsparcia miejscowemu obywatelowi, który spełnił dobry uczynek, a następnie ogłoszenia powstania Funduszu Obrony Prawnej Carla Lee Haileya. Przybył krajowy dyrektor z NAACP z czekiem na pięć tysięcy dolarów i obietnicą przekazania większej kwoty. Dyrektor oddziału organizacji z Memphis też przywiózł pięć tysięcy i położył je majestatycznie na stole. Usiedli z Olliem Agee za dwoma rozkładanymi stołami. Za nimi zajęli miejsca pozostali członkowie Rady, a w zatłoczonej sali zebrało się dwustu członków miejscowych czarnych kościołów. Obok wielebnego przysiadła Gwen. Na środku czekała garstka reporterów i kamerzystów, znacznie mniej, niż oczekiwano.

Jako pierwszy zabrał głos Agee, wyraźnie natchniony

widokiem kamer. Opowiadał o Haileyach, podkreślając ich niewinność i prawość. Wspominał, jak ochrzcił Tonyę, gdy miała osiem lat. Mówił o rodzinie zniszczonej przez rasizm i nienawiść. Później zrobił się naprawdę agresywny: zaczął pomstować na system prawny prześladujący uczciwego, przyzwoitego człowieka, który nie zrobił nic złego. Człowieka, który nie stanąłby przed sądem, gdyby był biały. Człowieka, który będzie sądzony tylko dlatego, że jest czarny. Bo właśnie to było najbardziej niegodziwe w oskarżeniu i prześladowaniu Carla Lee Haileya. Po chwili wpadł w rytm. Publiczność przyszła w sukurs wielebnemu i na konferencji prasowej zapanowała taka atmosfera jak w namiocie podczas nabożeństwa przebudzeniowego. Wystąpienie Olliego Agee przeciągnęło się do czterdziestu pięciu minut.

Zabranie głosu po takim mówcy było nie lada wyzwaniem, ale dyrektor krajowy NAACP nie zawahał się ani chwili, wygłaszając trzydziestominutową orację potępiającą rasizm. Wykorzystał okazję i przedstawił krajowe statystyki dotyczące przestępczości i zatrzymań, wyroków i więźniów i podsumował to wszystko stwierdzeniem, że system karny jest zdominowany przez białych, którzy niesprawiedliwie prześladują czarnych. Później dokonał przyprawiającej o zawrót głowy wolty i odniósł krajowe statystyki do okręgu Ford, oświadczając, że system nie jest zdolny do uczciwego potraktowania sprawy Carla Lee Haileya. Telewizyjne reflektory sprawiły, że na jego czoło wystąpiły kropelki potu. Porządnie rozgrzany, zaczął grzmieć jeszcze potężniej niż wielebny Agee, waląc w mównicę i powodując, że kilka mikrofonów podskoczyło i zadrżało. Wezwał czarnych z okręgu Ford i stanu Missisipi, aby byli ofiarni aż do bólu. Obiecał demonstracje i marsze. Proces Haileya miał się stać bitewnym zawołaniem dla czarnych i uciśnionych w całych Stanach.

Później odpowiadał na pytania. Ile pieniędzy zbiorą? Ma nadzieję, że przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy. Obrona Carla

Lee Haileya będzie kosztowna, więc taka kwota może nie wystarczyć. Jeśli zabraknie, zbiorą tyle, ile będzie trzeba. Na co pójdą pieniądze? Na honoraria dla prawników i koszty sądowe. Będzie potrzebna cała armia prawników i lekarzy. Czy mogą wykorzystać obrońców NAACP? Oczywiście. Sztab prawników w Waszyngtonie już pracuje nad tą sprawą. Zespół zajmujący się obroną zagrożonych karą śmierci zatroszczy się o wszystkie aspekty procesu. Carl Lee Hailey stanie się ich głównym priorytetem, na jego sprawę pójdą wszystkie dostępne środki.

Kiedy skończył, wielebny Agee ponownie wszedł na podium i skinął pianiście w rogu sali. Zabrzmiała muzyka. Wszyscy wstali i odśpiewali poruszającą pieśń *We Shall Overcome* (Zwyciężymy).

Jake dowiedział się o funduszu z wtorkowych gazet. Słyszał plotki o zorganizowaniu specjalnej zbiórki przez Radę, ale powiedziano mu, że pieniądze mają zostać przeznaczone na wsparcie dla rodziny. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów na opłaty prawne! Był wściekły, a jednocześnie zaintrygowany. Czy ponownie straci pracę? Co się stanie z pieniędzmi, jeśli Carl Lee odmówi zatrudnienia prawników NAACP? Proces miał się zacząć za pięć tygodni, było zatem dość czasu, żeby wysłać do Clanton zespół obrońców specjalizujących się w sprawach zagrożonych karą śmierci. Czytał o facetach. Zespół składał się z sześciu doświadczonych specjalistów prawa karnego, którzy jeździli po stanach Południa, broniąc czarnych oskarżonych o potworne, ponure zbrodnie. Nazywali ich Szwadronem Śmierci. Byli niezwykle inteligentnymi, utalentowanymi i wykształconymi prawnikami, którzy poświęcili się temu, aby bronić czarnych morderców przed komorami gazowymi i krzesłami elektrycznymi na całym Południu. Zajmowali się wyłącznie sprawami zagrożonymi karą śmierci i byli pioruńsko skuteczni. Delegowało

ich NAACP, które zajmowało się także zbieraniem funduszy, organizowaniem miejscowych czarnych i nagłaśnianiem spraw. Oskarżenie o rasizm było ich najlepszą, czasami jedyną linią obrony, a choć przegrali więcej spraw, niż wygrali, ich ostateczny wynik nie był najgorszy. Przecież dostawali jedynie sprawy uważane za przegrane. Stawiali sobie za cel ogłoszenie oskarżonego męczennikiem i, przy odrobinie szczęścia, odsądzenie od czci i wiary całej ławy przysięgłych jeszcze przed procesem.

Teraz mieli przyjechać do Clanton.

Tydzień wcześniej Buckley złożył stosowne wnioski, aby Carl Lee został zbadany przez lekarzy wskazanych przez oskarżenie. Jake poprosił, żeby biegli przeprowadzili badania w Clanton, najlepiej w jego gabinecie. Noose odmówił i nakazał szeryfowi, aby przewiózł Carla Lee do szpitala psychiatrycznego stanu Missisipi w Whitfield. Jake poprosił, żeby pozwolono mu towarzyszyć klientowi i być obecnym podczas badań. Noose i tym razem odmówił.

W środę wczesnym rankiem Jake i Ozzie popijali kawę w biurze szeryfa, czekając, aż Carl Lee weźmie prysznic i się ubierze. Whitfield leżało w odległości trzech godzin jazdy od Clanton, a Haileyowi wyznaczono badanie na dziewiątą. Jake miał ostatnie wskazówki dla swojego klienta.

— Jak długo tam zabawi? — spytał Ozziego.

— Ty jesteś prawnikiem. Jak długo to potrwa?

— Trzy, cztery dni. Przecież już tam byłeś, nie?

— Jasne, musieliśmy przewieźć do Whitfield sporą gromadkę wariatów, ale coś takiego jeszcze się nie zdarzyło. Gdzie go umieszczą?

— Mają tam różne cele.

Hastings wszedł do gabinetu swobodnym krokiem. Miał zaspany wzrok i pogryzał czerstwego pączka.

— Ile radiowozów bierzemy?

— Dwa — odparł Ozzie. — Ja poprowadzę mój, a ty swój. Zabiorę Pirtle'a i Carla Lee, a ty Rileya i Nesbita.

— Co z karabinami?

— Po trzy w każdym wozie i dużo nabojów. Wszyscy mają mieć kamizelki kuloodporne, łącznie z Carlem Lee. Przygotujcie samochody. Chciałbym wyruszyć o piątej trzydzieści.

Hastings mruknął coś pod nosem i zniknął.

— Spodziewasz się kłopotów? — spytał Jake.

— Mieliśmy kilka telefonów. Dzwonili z komórek. Dwukrotnie wspomnieli o podróży do Whitfield. Musimy pokonać spory odcinek autostradą.

— Jaką trasą pojedziecie?

— Większość ludzi pojechałaby dwudziestkądwójką do międzystanowej, prawda? Pomyślałem, że bezpieczniej będzie podróżować mniejszymi drogami. Pewnie pojedziemy czternastką na południe, do osiemdziesiątkidziewiątki.

— Tego bym się nie spodziewał.

— To dobrze. Cieszę się, że aprobujesz plan.

— W końcu będziesz wiózł mojego klienta.

— Przynajmniej w tej chwili.

Carl Lee szybko spałaszował jajka i bułeczki, a Jake skorzystał z okazji, aby go uprzedzić, czego może oczekiwać w Whitfield.

— Wiem, Jake. Chcesz, żebym udawał wariata, prawda? — zapytał ze śmiechem Carl Lee. Ozzie też uznał, że to zabawne.

— Sprawa jest poważna. Posłuchaj mnie uważnie, Carl...

— Dlaczego? Sam powiedziałeś, że to, co tam powiem lub zrobię, nie ma znaczenia. I tak stwierdzą, że byłem poczytalny, kiedy ich zastrzeliłem. Ci lekarze pracują dla stanu, prawda? Tego samego stanu, który mnie oskarża, nie? Jakie znaczenie ma to, co powiem lub zrobię? Już podjęli decyzję. Prawda, Ozzie?

— Nie będę się wtrącał, bo też pracuję dla stanu.

— Pracujesz dla okręgu Ford — przypomniał mu Jake.

— Nazwisko, stopień i numer ubezpieczenia. Niczego więcej

ode mnie nie wyciągną — powiedział Carl Lee, opróżniając mały papierowy woreczek z pieprzem.

— Bardzo śmieszne — mruknął Brigance.

— Facet sfiksował, Jake — powiedział Ozzie.

Carl Lee wetknął do nosa dwie słomki i zaczął chodzić na paluszkach po gabinecie, gapiąc się w sufit i chwytając coś nad głową. Po chwili złapał i włożył do torebki. Zamachnął się ponownie i ponownie włożył do torby. Hastings wrócił i stanął w drzwiach. Carl Lee spojrzał na niego dzikim wzrokiem, a później złapał w powietrzu kolejny obiekt.

— Co się tu dzieje, do licha? — zapytał Hastings.

— Łapię motyle — wyjaśnił Carl Lee.

Jake chwycił teczkę i ruszył do drzwi.

— Możesz zostawić go w Whitfield! — Trzasnął drzwiami i wyszedł z więzienia.

Noose wyznaczył przesłuchanie w sprawie zmiany miejsca procesu na poniedziałek, dwudziestego czwartego czerwca. W Clanton zapowiadały się długie obrady, nagłośnione przez media. Jake zwrócił się z wnioskiem o zmianę miejsca procesu, więc musiał dowieść, że Carl Lee nie będzie miał sprawiedliwego i bezstronnego procesu w okręgu Ford. Potrzebował świadków. Ludzi cieszących się zaufaniem lokalnej społeczności, którzy zechcą zaświadczyć, że sprawiedliwy proces w Ford nie jest możliwy. Atcavage powiedział Jake'owi, że może mu wyświadczyć przysługę, pod warunkiem że władze banku się nie sprzeciwią. Harry Rex zgodził się z ochotą. Wielebny Agee oświadczył, że z radością będzie zeznawać, ale zrobił to, zanim NAACP oświadczyła, iż sprawę Haileya poprowadzą jej prawnicy. Lucien nie cieszył się koniecznym zaufaniem, więc Jake nawet nie myślał o tym, aby go poprosić.

Wiedział, że Buckley przedstawi kilkunastu wiarygodnych świadków — wybieralnych urzędników, prawników,

przedsiębiorców, może nawet szeryfów — którzy jednogłośnie zaświadczą, że tylko ogólnie słyszeli o Carl Lee Haileyu i że niemal na pewno zostanie sprawiedliwie osądzony w Clanton.

Oczywiście Jake wolał, aby proces odbył się w Clanton, w gmachu sądu po drugiej stronie ulicy, który widział ze swojego gabinetu, przed miejscowymi, których znał. Proces oznaczał trudną próbę, uciążliwy okres wypełniony bezsennymi nocami. Byłoby miło, gdyby proces Haileya mógł się odbyć na przyjaznym gruncie, trzy minuty drogi od jego podjazdu. Kiedy sąd ogłosi przerwę, będzie mógł spędzić wolny czas w swojej kancelarii, przeprowadzając badania, przygotowując świadków lub odpoczywając. Będzie mógł zjeść w Coffee Shopie lub u Claude'a, a nawet wyskoczyć do domu na szybki lunch. Jego klient pozostałby w areszcie okręgu Ford, blisko rodziny.

Poza tym proces w Clanton oznaczał znacznie większą reklamę w mediach. Rankiem w dniu rozprawy reporterzy zgromadzą się pod jego kancelarią i będą podążać w ślad za nim, gdy wolnym krokiem ruszy w kierunku sądu. Fantastyczna sprawa.

Czy naprawdę było ważne, gdzie osądzą Carla Lee Haileya? Lucien miał rację. Szum towarzyszący tej sprawie dosięgnął każdego mieszkańca każdego okręgu Missisipi. Czemu zatem mieliby wnosić o zmianę miejsca procesu? Sprawa winy lub niewinności Carla Lee została już rozstrzygnięta przez każdego potencjalnego przysięgłego w ich stanie.

Oczywiście wniosek miał znaczenie. Niektórzy potencjalni przysięgli byli biali, a niektórzy czarni. Patrząc procentowo, w okręgu Ford było więcej białych niż w sąsiednich okręgach. Jake uwielbiał czarnoskórych przysięgłych, szczególnie w sprawach karnych, a zwłaszcza wtedy, gdy przestępca był czarny. Czarni byli otwarci. Wolał ich także w sprawach cywilnych, bo współczuli słabszym występującym przeciwko wielkim korporacjom i firmom ubezpieczeniowym. Znacznie swobodniej rozporządzali także pieniędzmi innych ludzi. Z

zasady wybierał wszystkich czarnych przysięgłych, jakich zdołał znaleźć, ale w okręgu Ford wspomniani należeli do rzadkości.

Podjęcie próby przeniesienia procesu do innego, czarniejszego okręgu było absolutną koniecznością. Jeden czarny mógł przeważyć szalę. Większość mogłaby wymusić werdykt uniewinniający. Jake nie cieszył się na myśl o spędzeniu dwóch tygodni w motelu i na nieznanej sali sądowej, ale widok czarnych twarzy w ławie przysięgłych znacznie zrekompensowałby drobne niewygody.

Whitfield znajdowało się kilkanaście kilometrów od Jackson, w rolniczej części okręgu Rankin. Dwaj strażnicy czekali przed bramą, kłócąc się z reporterami. Strażnicy wiedzieli tylko, że Carl Lee miał przyjechać o dziewiątej. O ósmej trzydzieści dwa radiowozy z godłem okręgu Ford zajechały przed bramę. Reporterzy i kamerzyści podbiegli do kierowcy pierwszego samochodu. Okno Ozziego było opuszczone.

— Gdzie jest Carl Lee Hailey?! — zawołał reporter z paniką w głosie.

— W drugim radiowozie — odparł Ozzie, przeciągając samogłoski i mrugając do Carla Lee na tylnym siedzeniu.

— Jest w drugim! — krzyknął ktoś i cała zgraja ruszyła w kierunku wozu Hastingsa.

— Gdzie Hailey?! — zapytali.

Siedzący w fotelu pasażera Pirtle wskazał tkwiącego za kółkiem Hastingsa.

— To on.

— Pan jest Carl Lee Hailey?! — krzyknął reporter do Hastingsa.

— Tak.

— Czemu pan prowadzi?

— I czemu nosi mundur?!

— Zrobili mnie funkcjonariuszem — odpowiedział z

kamienną twarzą Hastings. Brama się otworzyła i radiowozy szybko wjechały do środka.

Carl Lee został wprowadzony do głównego gmachu i zaprowadzony wraz z Ozziem i jego ludźmi do innego budynku, gdzie umieszczono go w celi, którą nazwali pokojem. Zamknęli za nim drzwi, a później podziękowali Ozziemu i jego chłopakom, którzy wrócili do Clanton.

Po lunchu zjawił się jakiś asystent w białym fartuchu i zaczął zadawać pytania. Poczynając od daty urodzin, wypytywał Carla Lee o wszystkie ważne wydarzenia i osoby w jego życiu. Trwało to ze dwie godziny. O szesnastej dwaj strażnicy skuli Carla Lee kajdankami i zawieźli wózkiem golfowym do nowoczesnego budynku z cegły znajdującego się w odległości około kilometra od jego pokoju. Zaprowadzili go do gabinetu doktora Wilberta Rodeheavera, dyrektora ośrodka. Strażnicy wyszli na korytarz i stanęli przy drzwiach.

Rozdział 22

Od czasu zastrzelenia Billy'ego Raya Cobba i Pete'a Willarda minęło pięć tygodni. Do rozpoczęcia procesu pozostały cztery. Wszystkie miejsca w trzech motelach w Clanton na czas rozprawy i poprzedzający ją tydzień zostały zarezerwowane. Best Western był największym i najlepszym z nich, więc zgodnie z oczekiwaniami zwrócił uwagę przedstawicieli mediów z Memphis i Jackson. Clanton Court mógł się poszczycić najlepszym barem i restauracją, więc zarezerwowali go reporterzy z Atlanty, Waszyngtonu i Nowego Jorku. Co ciekawe, w East Side Motel — obiekcie, który należałoby określić jako niezupełnie elegancki — ceny pokojów w lipcu wzrosły dwukrotnie, a mimo to wszystkie się sprzedały.

Początkowo miasto odnosiło się przyjaźnie do obcych, którzy w większości byli gburowaci i gadali z dziwnym akcentem. Później, gdy okazało się, że niektóre opisy Clanton i jego mieszkańców trudno uznać za pochlebne, większość miejscowych przestała z nimi w ogóle rozmawiać. Zwykle hałaśliwa kawiarnia nagle milkła, kiedy obcy wchodził do środka i zajmował miejsce. Kupcy mający swoje stragany wokół miejskiego placu dostarczali

niewielkiej pomocy ludziom, których nie znali. Pracownicy sądu nagle stali się głusi na pytania zadawane setki razy przez wścibskich intruzów. Nawet reporterzy z Memphis i Jackson musieli się nieźle napocić, żeby wydobyć cokolwiek nowego od miejscowych. Ludzie byli zmęczeni tym, że opisuje się ich jako zacofanych wieśniaków i rasistów. Ignorowali przyjezdnych, którym nie mogli ufać, i zajmowali się własnymi sprawami.

Bar w gmachu sądu w Clanton stał się knajpą reporterów. Było to jedyne miejsce w mieście, gdzie mogli zobaczyć przyjazną twarz i miło pogawędzić. Siedzieli w dużych boksach pod wielkim telewizorem i plotkowali o małym mieście i nadchodzącym procesie. Porównywali notatki i historie, tropy i pogłoski i pili do nieprzytomności, bo po zapadnięciu zmroku w Clanton nie było nic innego do roboty.

Motele zapełniły się gośćmi w niedzielny wieczór dwudziestego trzeciego czerwca, w noc poprzedzającą posiedzenie w sprawie zmiany miejsca procesu. Wczesnym rankiem dziennikarze zebrali się w restauracji motelu Best Western, żeby wypić kawę i wymienić się nowinkami. Poniedziałkowe przesłuchanie miało być pierwszym poważnym starciem na sali sądowej. Poza tym wszystko wskazywało, że będzie jedynym wydarzeniem przed rozpoczęciem właściwego procesu. Krążyły plotki, że sędzia Noose jest chory i nie zechce rozpoznać sprawy. Że zwróci się do Sądu Najwyższego o wyznaczenie innego sędziego. Reporter z Jackson powiedział, że to plotka, że nie ma źródła ani dowodu. O ósmej spakowali kamery i mikrofony, aby wyruszyć w kierunku placu. Jedna grupa zaczaiła się pod więzieniem, druga na tyłach gmachu sądu, ale większość popędziła na salę rozpraw. O ósmej trzydzieści sala była pełna.

Jake obserwował krzątaninę wokół sądu z balkonu przy jego gabinecie. Serce biło mu szybciej niż zwykle, żołądek podchodził do gardła. Uśmiechnął się do siebie. Był gotowy na starcie z Buckleyem, przygotowany na obecność kamer.

⅄ ⅄ ⅄

Noose spojrzał w dół, za czubek swojego nosa i okulary do czytania, na pękającą w szwach salę rozpraw. Wszystko było na miejscu.

— Sąd ma przed sobą wniosek obrony o zmianę miejsca procesu — zaczął. — Datę procesu wyznaczono na poniedziałek dwudziestego drugiego lipca. Z mojego kalendarza wynika, że to za cztery tygodnie. Wyznaczyłem nieprzekraczalną datę składania wniosków oraz ich rozpatrzenia. Mam nadzieję, że to jedyne nieprzekraczalne terminy pomiędzy dniem dzisiejszym a datą rozpoczęcia rozprawy.

— Tak, Wysoki Sądzie! — huknął Buckley, unosząc się lekko za stołem. Jake przemówił oczami i pokręcił głową.

— Dziękuję, panie Buckley — uciął oschle Noose. — Obrona złożyła stosowne zawiadomienie, że zamierza się powołać na niepoczytalność oskarżonego. Czy oskarżony został zbadany w Whitfield?

— Tak, Wysoki Sądzie. W ubiegłym tygodniu — odpowiedział Jake.

— Czy zatrudnił własnego psychiatrę?

— Oczywiście, Wysoki Sądzie.

— Czy został przez niego zbadany?

— Tak, proszę pana.

— Dobrze, to mamy załatwione. Czy obrona zamierza złożyć inne wnioski?

— Wysoki Sądzie, chcielibyśmy złożyć wniosek o powołanie większej liczby kandydatów na przysięgłych niż zwykle...

— Oskarżenie zgłasza sprzeciw! — krzyknął Buckley, skacząc na równe nogi.

— Proszę usiąść, panie Buckley! — warknął sędzia Noose, zrywając z nosa okulary i spoglądając gniewnie na prokuratora okręgowego. — Proszę na mnie nie krzyczeć! Wiem, że się pan sprzeciwia! Sprzeciwi się pan każdemu wnioskowi

zgłoszonemu przez obronę! Na tym polega pańska praca! Proszę więcej nie przerywać! Kiedy odroczymy obrady, będzie pan miał dość okazji do wystąpień przed mediami!

Buckley opadł na krzesło, ukrywając poczerwieniałą twarz. Noose nigdy wcześniej na niego nie krzyczał.

— Proszę kontynuować, panie Brigance.

Jake był zdumiony obcesowym potraktowaniem Buckleya przez Ikaboda. Sędzia wyglądał na zmęczonego i chorego. Może było to wywołane presją.

— Możemy zgłosić kilka pisemnych zastrzeżeń w stosunku do spodziewanego materiału dowodowego.

— Jakieś wnioski *in limine*?

— Tak, proszę pana.

— Wysłuchamy ich podczas właściwego procesu. Coś jeszcze?

— W tej chwili nie.

— Panie Buckley, czy oskarżenie zgłasza jakieś wnioski?

— Żadne nie przychodzą mi do głowy — odparł potulnie Buckley.

— Doskonale. Chcę się upewnić, że od dziś do dnia procesu nie będzie żadnych niespodzianek. Przyjadę do Clanton tydzień wcześniej, żeby rozpatrzyć wnioski i podjąć decyzje w sprawach o drugorzędnym znaczeniu. Oczekuję, że stosowne pisma zostaną niezwłocznie złożone, abyśmy mogli załatwić wszystkie sprawy przed dwudziestym drugim.

Noose zajrzał do swojej teczki i przestudiował wniosek Jake'a w sprawie zmiany miejsca procesu. Jake szepnął coś Carlowi Lee, którego obecność nie była konieczna, ale Jake jako adwokat na nią nalegał. Gwen i trójka dzieci Haileyów siedziały w pierwszym rzędzie za swoim tatą. Tonyi nie było na sali.

— Panie Brigance, pański wniosek wydaje się prawidłowy. Ilu świadków chce pan powołać?

— Trzech.

— A pan, panie Buckley?

— Dwudziestu jeden — oświadczył dumnie prokurator okręgowy.

— Dwudziestu jeden?! — ryknął sędzia.

Buckley tchórzliwie spuścił głowę i spojrzał na Musgrove'a.

— Pewnie nie będziemy wszystkich potrzebować. Właściwie to wiem, że wszystkich nie powołamy.

— Proszę wybrać pięciu najlepszych, panie Buckley. Nie zamierzam spędzić w sądzie całego dnia.

— Tak, Wysoki Sądzie.

— Panie Brigance, zwrócił się pan z formalnym wnioskiem o zmianę miejsca procesu. To pański wniosek, więc proszę zaczynać.

Jake wstał i przeszedł wolno przez salę rozpraw, za plecami Buckleya, do drewnianego podium przed ławą przysięgłych.

— Wysoki Sądzie, pan Hailey złożył wniosek o przeniesienie procesu z Clanton w inne miejsce poza granicami okręgu Ford. Powód jest oczywisty: rozgłos towarzyszący jego sprawie wyklucza sprawiedliwy proces. Porządni obywatele naszego okręgu już rozstrzygnęli o winie lub niewinności Carla Lee Haileya. Został oskarżony o zabójstwo dwóch mężczyzn z tego okręgu, którzy tu się urodzili i tu pozostawili rodziny. Chociaż wspomniane rodziny nie były powszechnie znane, dziś się nimi stały. Do tej pory o panu Haileyu wiedziała jedynie garstka ludzi spoza jego najbliższego otoczenia. Teraz każdy miejscowy wie, kim on jest, zna jego rodzinę i córkę. Każdy słyszał, co ją spotkało. Każdy zna również większość szczegółów jego rzekomego przestępstwa. W okręgu Ford nie da się znaleźć dwunastu obywateli, którzy nie mieliby wyrobionego zdania w tej sprawie. Proces powinien się odbyć w innej części stanu, w której ludzie nie znają tak dobrze faktów...

— Co proponuje obrona? — przerwał mu sędzia.

— Nie wskazujemy żadnego konkretnego okręgu, ale sugerujemy miejsce leżące jak najdalej stąd. Może nad Zatoką Meksykańską...

— Dlaczego?

— Z oczywistych powodów, Wysoki Sądzie. Tamtejsze okręgi leżą w odległości ponad sześciuset kilometrów od Clanton, więc jestem przekonany, że ich mieszkańcy nie wiedzą o sprawie tyle, co tutejsi.

— Sądzi pan, że mieszkańcy południowej części stanu Missisipi nie słyszeli o sprawie Haileya.

— To pewne, że słyszeli, ale dzieli ich od niej znacznie większy dystans.

— Czy nie mają telewizji i gazet, panie Brigance?

— Oczywiście, że mają.

— Czy sądzi pan, że da się znaleźć jakiś okręg w tym stanie, a w nim dwunastu ludzi, którzy nie znają szczegółów sprawy Haileya?

Jake zajrzał do swojego notatnika. Słyszał, jak rysownicy szkicują w notesach za jego plecami. Widział, jak Buckley uśmiecha się pod wąsem.

— Wiem, że byłoby to trudne — odrzekł cicho.

— Proszę wezwać pierwszego świadka.

Harry Rex Vonner został zaprzysiężony i zajął miejsce w ławie dla świadków. Drewniane krzesło ugięło się i zatrzeszczało pod jego ciężarem. Westchnął do mikrofonu, a głośny świst odbił się echem na sali rozpraw.

— Proszę podać nazwisko.

— Harry Rex Vonner.

— Adres?

— Cedarbrush osiemdziesiąt cztery dziewięćdziesiąt trzy, Clanton, stan Missisipi.

— Jak długo mieszka pan w Clanton?

— Całe życie. Czterdzieści sześć lat.

— Zawód?

— Jestem prawnikiem. Mam licencję od dwudziestu dwóch lat.

— Czy spotkał pan kiedykolwiek pana Carla Lee Haileya?

— Raz.

— Co pan o nim wie?

— Rzekomo zastrzelił dwóch mężczyzn, Billy'ego Raya Cobba i Pete'a Willarda oraz ranił funkcjonariusza z biura szeryfa, DeWayne'a Looneya.

— Znał pan tych ludzi?

— Osobiście nie. Słyszałem o Billym Rayu Cobbie.

— Jak dowiedział się pan o ich śmierci?

— O ile pamiętam, do zabójstwa doszło w poniedziałek. Tego dnia byłem w sądzie, na pierwszym piętrze. Sprawdzałem akt własności pewnej działki w biurze sądu, kiedy usłyszałem strzały. Wybiegłem na korytarz. Wokół panował nieopisany harmider. Spytałem jednego z funkcjonariuszy z biura szeryfa, który wyjaśnił mi, że ci dwaj zostali zastrzeleni w pobliżu tylnego wyjścia z sądu. Zabawiłem jeszcze chwilę, więc szybko dotarła do mnie pogłoska, że zabójcą jest ojciec małej dziewczynki, którą zgwałcono.

— Jaka była pańska pierwsza reakcja?

— Byłem zaszokowany, jak większość ludzi. Równie zaszokowany byłem wówczas, gdy usłyszałem o gwałcie.

— Kiedy dowiedział się pan o aresztowaniu pana Haileya?

— Wieczorem tego samego dnia. Mówili o tym w telewizji.

— Co pan widział w telewizji?

— Cóż, oglądałem wszystko, co się dało. Występowali reporterzy wiadomości lokalnych stacji w Memphis i Tupelo. Jak pan zapewne wie, mamy tu telewizję kablową, więc oglądałem także wiadomości z Nowego Jorku, Chicago i Atlanty. Na każdym kanale było coś o strzelaninie i aresztowaniu. Były też filmy z sali rozpraw i więzienia. To głośna sprawa. Najgłośniejsza, jaka wydarzyła się w Clanton, w Missisipi.

— Jak pan zareagował na wieść, że strzelającym był ojciec dziewczynki?

— Nie byłem tym specjalnie zaskoczony. To znaczy wszyscy wiedzieliśmy, że to on. Podziwiałem go. Sam mam dzieci, więc

doskonale rozumiem, dlaczego to zrobił. Nadal go podziwiam.

— Co pan wie o gwałcie?

Buckley skoczył na nogi.

— Sprzeciw! Gwałt nie ma związku ze sprawą!

Noose ponownie zerwał okulary i rzucił wściekłe spojrzenie prokuratorowi okręgowemu. Minęło kilka sekund. W końcu Buckley utkwił wzrok w blacie stołu, przeniósł ciężar ciała z jednej stopy na drugą i usiadł. Noose pochylił się do przodu i spojrzał gniewnie z sędziowskiej ławy.

— Panie Buckley, proszę na mnie nie krzyczeć. Jeśli zrobi pan to ponowie, jak mi Bóg miły, będę miał pana w pogardzie. Może pan mieć słuszność, gwałt może nie mieć znaczenia, ale przecież to nie proces, prawda? To zwyczajne posiedzenie w sprawie rozpatrzenia wniosku, prawda? Przysięgli nie siedzą w ławach. Uchylam sprzeciw. Proszę siadać. Wiem, że trudno wytrzymać przy takiej publiczności, ale radzę, aby siedział pan na miejscu, dopóki nie będzie pan miał do powiedzenia czegoś naprawdę ważnego. A pan może powstać, żeby uprzejmie i cicho wyjaśnić, o co mu chodzi.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie — odrzekł Jake, uśmiechając się do Buckleya. — Panie Vonner, co pan wie o gwałcie?

— Tylko to, co zasłyszałem.

— To znaczy?

Buckley wstał i skłonił się niczym japoński zapaśnik sumo.

— Wysoki Sądzie — zaczął cichym, przymilnym głosem. — Za pozwoleniem Wysokiego Sądu, chciałbym zgłosić sprzeciw. Świadek może zeznawać tylko o tym, co wie z pierwszej ręki, a nie o tym, co usłyszał od innych ludzi.

Noose udzielił mu równie słodziutkiej odpowiedzi.

— Dziękuję, panie Buckley. Przyjąłem do wiadomości pański sprzeciw. Uchylam go. Panie Brigance, proszę kontynuować.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie.

— Co pan usłyszał o gwałcie?

— Cobb i Willard schwytali małą dziewczynkę Haileyów i

wywieźli ją do lasu. Byli pijani. Przywiązali ją do drzewa i wielokrotnie zgwałcili, a później próbowali powiesić. Nawet oddawali na nią mocz.

— Co?! — wykrzyknął Noose.

— Sikali na nią, Wysoki Sądzie.

Ujawnienie nowej informacji sprawiło, że na sali zawrzało. Jake nigdy o tym nie słyszał, nie słyszał także Buckley i najwyraźniej nikt oprócz Harry'ego Rexa. Noose pokręcił głową i lekko stuknął sędziowskim młotkiem.

Jake zapisał coś w notatniku, zastanawiając się nad wiedzą tajemną będącą w posiadaniu jego przyjaciela.

— Gdzie usłyszał pan o gwałcie?

— Było o tym głośno w całym mieście. To powszechna wiedza. Policjanci podawali szczegóły następnego ranka w Coffee Shopie. Wszyscy wiedzieli.

— Czy te sprawy są znane w całym okręgu?

— Tak. Od miesiąca nie rozmawiałem z nikim, kto nie znałby szczegółów gwałtu.

— Proszę nam powiedzieć, co pan wie o strzelaninie.

— No cóż, jak powiedziałem, doszło do niej w poniedziałek po południu. Cobb i Willard przyjechali do sądu na przesłuchanie w sprawie kaucji. Opuścili salę rozpraw skuci kajdankami, eskortowani przez ludzi szeryfa, którzy sprowadzili ich na dół tylnymi schodami. Kiedy zeszli, pan Hailey wyskoczył ze składziku z karabinem M szesnaście. Cobb i Willard zginęli, a funkcjonariusz DeWayne Looney został postrzelony. Amputowano mu część nogi.

— Gdzie dokładnie się to wydarzyło?

— Pod nami, obok tylnego wejścia do gmachu sądu. Pan Hailey schował się w składziku dozorcy, a następnie wyskoczył i otworzył ogień.

— Sądzi pan, że to prawda?

— Ja to wiem.

— Gdzie się pan tego dowiedział?

— Tu i tam. Na mieście. Z gazet. Wszyscy o tym wiedzą.

— Gdzie słyszał pan rozmowy na ten temat?

— Wszędzie. W barach i kościołach, banku i pralniach chemicznych, w Tea Shoppe i kawiarniach całego miasta. W monopolowym. Wszędzie.

— Czy rozmawiał pan z kimś, kto uważa, że pan Hailey nie zastrzelił Billy'ego Raya Cobba i Pete'a Willarda?

— Nie. Nie znajdzie pan ani jednej osoby w tym okręgu, która jest przekonana, że tego nie zrobił.

— Czy większość okolicznych mieszkańców ma wyrobiony pogląd na temat jego winy lub niewinności?

— Każdy. W tej sprawie nikt nie pozostaje obojętny. To gorący temat. Każdy ma własne zdanie.

— Czy uważa pan, że pan Hailey może mieć sprawiedliwy proces w okręgu Ford?

— Nie, proszę pana. Nie znajdzie pan nawet trzech osób z trzydziestu tysięcy mieszkańców okręgu, które nie wydały takiego lub innego werdyktu. Pan Hailey już został osądzony. Nie ma sposobu, aby znaleźć bezstronnych przysięgłych.

— Dziękuję, panie Vonner. Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań do świadka.

Buckley przygładził fryzurę i przesunął palcami za uszami, aby się upewnić, że każdy włosek jest na swoim miejscu. Później się podniósł i z determinacją wkroczył na podium.

— Panie Vonner! — ryknął donośnie. — Czy osądził pan już Carla Lee Haileya?!

— Tak, do cholery!

— Proszę używać cenzuralnego języka — upomniał go sędzia Noose.

— Można wiedzieć, jaki werdykt pan wydał?

— Panie Buckley, proszę pozwolić, że to panu objaśnię. Zrobię to bardzo starannie i powoli, żeby nawet pan zrozumiał. Gdybym był szeryfem, nie aresztowałbym go. Gdybym zasiadał w Wielkiej Ławie Przysięgłych, nie postawiłbym go w stan

oskarżenia. Gdybym był sędzią, nie skazałbym go. Gdybym był prokuratorem okręgowym, nie oskarżałbym go. Gdybym był członkiem ławy przysięgłych, głosowałbym za tym, żeby dać mu klucze do miasta i dyplom na ścianę. I odesłałbym go do domu, do rodziny. Panie Buckley, jeśli ktoś zgwałci moją córkę, mam nadzieję, że zdobędę się na taką odwagę jak on.

— Rozumiem. Czy uważa pan, że ludzie powinni nosić broń i rozstrzygać spory w pojedynkach?

— Uważam, że dzieci mają prawo, aby ich nie gwałcono, a rodzice mają prawo je chronić. Myślę tu szczególnie o małych dziewczynkach. Gdyby moja mała córeczka została przywiązana do drzewa, a następnie padła ofiarą zbiorowego gwałtu popełnionego przez dwóch pijanych narkomanów, chybabym oszalał. Uważam, że dobrzy, uczciwi rodzice powinni mieć konstytucyjne prawo do wymierzenia kary każdemu zboczeńcowi, który tknie ich dzieci. I myślę, że jest pan tchórzliwym kłamcą, jeśli twierdzi, że nie chciałby zabić człowieka, który zgwałcił panu córkę.

— Panie Vonner, ja pana bardzo proszę! — upomniał go Noose.

Buckley zakipiał w środku, ale zachował spokój.

— Widzę, że ma pan zdecydowane przekonania w tej sprawie, czy tak?

— Jest pan bardzo spostrzegawczy.

— Chce pan, żeby Hailey został uniewinniony, prawda?

— Zapłaciłbym za to, gdybym miał czym.

— Uważa pan, że oskarżony ma większą szansę na uniewinnienie w innym okręgu, czy tak?

— Myślę, że zasłużył na ławę przysięgłych złożoną z ludzi, którzy przed rozpoczęciem procesu nie wiedzą wszystkiego o sprawie.

— Pan by go uniewinnił, prawda?

— Przed chwilą to powiedziałem.

— Bez wątpienia rozmawiał pan z innymi ludźmi pragnącymi

jego uniewinnienia?

— Z wieloma.

— Czy w okręgu Ford są ludzie, którzy głosowaliby za jego skazaniem?

— Oczywiście. Wielu. Przecież jest czarny, prawda?

— Czy przysłuchując się rozmowom prowadzonym w okręgu Ford, wyczuł pan, by większość skłaniała się wyraźnie w jedną lub drugą stronę?

— Nie.

Buckley zajrzał do notatnika i coś zapisał.

— Panie Vonner, czy Jake Brigance jest pana bliskim przyjacielem?

Harry Rex uśmiechnął się, spojrzał na sędziego Noose'a i przewrócił oczami.

— Jestem prawnikiem, panie Buckley. Moi przyjaciele są nieliczni i rozproszeni, ale pan Brigance się do nich zalicza. Tak, przyjaźnimy się.

— Czy pan Brigance poprosił, żeby pan zeznawał?

— Stanowczo zaprzeczam. Tak się złożyło, że kilka minut temu przechodziłem w pobliżu i wylądowałem na tym krześle. Nie miałem zielonego pojęcia, jakiej sprawie będzie poświęcone dzisiejsze posiedzenie.

Buckley rzucił notatnik na stół i usiadł. Harry Rex został zwolniony.

— Proszę wezwać następnego świadka — polecił Noose.

— Wzywam wielebnego Olliego Agee — oświadczył Jake.

Wielebny został przyprowadzony z pokoju dla świadków i usadzony w ławie dla składających zeznania. Poprzedniego dnia Jake spotkał się z nim w kościele, żeby przekazać listę pytań. Agee chciał zeznawać. Nie rozmawiali o prawnikach NAACP.

Wielebny był idealnym świadkiem. Jego głęboki, poważny głos niósł się tak dobrze po sali rozpraw, że mikrofon nie był potrzebny. Tak, zna szczegóły gwałtu i strzelaniny. Haileyowie są członkami jego kościoła. Zna ich od lat. Są dla siebie jak

rodzina. Trzymał ich za rękę i cierpiał razem z nimi po gwałcie. Tak, rozmawiał z wieloma ludźmi od czasu tych strasznych wydarzeń. Tak, każdy miał wyrobione zdanie na temat winy lub niewinności pana Haileya. On i dwudziestu dwóch duchownych wchodzących w skład Rady rozmawiali o sprawie Haileya. Nie, w okręgu Ford nie ma ludzi, którzy nie mieliby wyrobionej opinii w tej kwestii. Jego zdaniem w tym okręgu nie jest możliwy sprawiedliwy proces.

Buckley zadał tylko jedno pytanie.

— Wielebny Agee, czy rozmawiał pan z choć jednym czarnoskórym mieszkańcem, który zagłosowałby za skazaniem Carla Lee Haileya?

— Oczywiście, że nie. Nie rozmawiałem.

Wielebny został zwolniony i zajął miejsce na sali między dwoma braćmi z Rady.

— Proszę wezwać następnego świadka — zarządził sędzia Noose.

Jake uśmiechnął się do prokuratora okręgowego i oznajmił:

— Obrona wzywa na świadka szeryfa Ozziego Wallsa.

Buckley i Musgrove spojrzeli na siebie i zaczęli szeptać. Przecież Ozzie był po ich stronie, po stronie prawa i porządku. Po stronie oskarżenia. Jego zadanie nie polegało na pomaganiu obronie. To dowód, że nie można ufać żadnemu czarnemu, pomyślał Buckley. Wspierają się wzajemnie, kiedy wiedzą, że są winni.

Jake omówił z Ozziem sprawę gwałtu oraz przeszłość Cobba i Willarda. W sumie było to nudne i pełne powtórzeń. Buckleya świerzbiło, żeby zgłosić sprzeciw, ale miał dość kłopotliwych sytuacji na jeden dzień. Jake wyczuł, że Buckley się nie podniesie, więc rozwodził się na temat gwałtu i jego makabrycznych szczegółów. W końcu sędzia Noose miał dość.

— Proszę do rzeczy, panie Brigance.

— Tak, Wysoki Sądzie. Szeryfie Walls, czy aresztował pan Carla Lee Haileya?

— Tak.

— Czy uważa pan, że Hailey zastrzelił Billy'ego Raya Cobba i Pete'a Willarda?

— Tak.

— Czy zna pan kogoś w naszym okręgu, kto sądzi, że tego nie zrobił?

— Nie, proszę pana.

— Czy w okręgu Ford panuje powszechne przekonanie, że pan Hailey ich zabił?

— Tak, wszyscy są o tym przekonani. A przynajmniej wszyscy, z którymi rozmawiałem.

— Szeryfie, czy jeździ pan po okręgu Ford?

— Tak, proszę pana. Moja robota polega na tym, żeby wiedzieć, co się dzieje.

— Rozmawia pan z wieloma ludźmi?

— Z większą liczbą, niżbym chciał.

— Czy spotkał pan kogoś, kto by nie słyszał o Carlu Lee Haileyu?

Ozzie zamilkł na chwilę, a następnie powoli odpowiedział:

— Człowiek musiałby być głuchy jak pień i ślepy, żeby nie słyszeć o Carlu Lee Haileyu.

— Czy spotkał pan kogoś, kto nie ma wyrobionej opinii o jego winie lub niewinności?

— W tym okręgu takiego nie ma.

— Czy oskarżony może mieć sprawiedliwy proces w Ford?

— Nie wiem, ale wiem, że nie znajdzie pan dwunastu ludzi, którzy nie wiedzieliby o gwałcie i strzelaninie.

— Nie mam więcej pytań — oznajmił Noose'owi Jake.

— Czy to ostatni świadek obrony?

— Tak, Wysoki Sądzie.

— Czy ma pan pytania do świadka, panie Buckley?

Buckley pokręcił głową i pozostał na miejscu.

— Dobrze — oznajmił Wysoki Sąd. — Zarządzam krótką przerwę. Zapraszam przedstawicieli stron do mojego gabinetu.

Na sali rozległ się gwar rozmów, kiedy prawnicy ruszyli za Noose'em i panem Pate'em do drzwi za sędziowską ławą. Noose zamknął drzwi i zdjął togę. Pan Pate przyniósł mu kubek czarnej kawy.

— Panowie, zastanawiałem się nad ograniczeniem swobody wypowiedzi w tej sprawie do czasu zakończenia procesu. Przeszkadza mi rozgłos, który jej towarzyszy. Nie chcę, żeby media wydały werdykt. Jakieś uwagi?

Buckley pobladł, wyraźnie wstrząśnięty. Rozdziawił usta, ale nic nie powiedział.

— To dobry pomysł, Wysoki Sądzie — odrzekł z wyraźnym bólem Jake. — Sam zamierzałem o to poprosić.

— Taak, nie mam najmniejszych wątpliwości. Zauważyłem, jak unika pan rozgłosu. A pan, panie Buckley?

— Kogo miałby obejmować?

— Pana, panie Buckley. Pan i pan Brigance mielibyście zakaz udzielania wypowiedzi prasie na temat jakiegokolwiek aspektu sprawy lub toczącego się procesu. Zakaz obejmowałby każdego, a przynajmniej każdego pozostającego pod władzą tego sądu. Pełnomocników stron, urzędników sądowych i szeryfa.

— Dlaczego? — zapytał Buckley.

— Nie chcę, abyście urządzili sobie proces przed mediami. Nie jestem ślepy. Obaj zabiegacie o światła ramp. Wyobrażam sobie, jak będzie wyglądał proces. Zamieni się w istny cyrk. Nie będzie procesu, ale cyrk na trzech arenach. — Noose podszedł do okna i mruknął coś pod nosem. Prawnicy spojrzeli na siebie, a później na niezgrabną postać widniejącą na tle okna. — Od tej chwili wprowadzam ograniczenie swobody wypowiedzi aż do zakończenia procesu. Pogwałcenie zakazu zostanie uznane za obrazę sądu. Nie wolno wam rozmawiać o żadnym aspekcie sprawy z przedstawicielami mediów. Jakieś pytania?

— Nie, proszę pana — odrzekł szybko Jake.

Buckley spojrzał na Musgrove'a i pokręcił głową.

— Wracajmy na salę rozpraw. Panie Buckley, wspomniał

pan o ponad dwudziestu świadkach. Ilu naprawdę pan potrzebuje?

— Pięciu, może sześciu.

— To brzmi lepiej. Co to za ludzie?

— Floyd Loyd.

— Kto to jest?

— Przewodniczący zarządu Pierwszego Dystryktu okręgu Ford.

— Co zezna?

— Mieszka tu od pięćdziesięciu lat. Urząd sprawuje od dziesięciu. Jego zdaniem w okręgu Ford jest możliwy sprawiedliwy proces.

— Domyślam się, że nigdy nie słyszał o tej sprawie — zauważył ironicznie Noose.

— Nie jestem tego pewny.

— Kto jeszcze?

— Nathan Baker. Sędzia pokoju, Dystrykt Trzeci w Ford.

— Zezna to samo?

— Cóż, zasadniczo tak.

— Kto jeszcze?

— Edgar Lee Baldwin, były przełożony z okręgu Ford.

— Czy to ten sam, który kilka lat temu został postawiony w stan oskarżenia? — spytał Jake.

Twarz Buckleya poczerwieniała jak nigdy dotąd. Rozdziawił ogromne usta, a jego oczy zabłysły.

— Nie został skazany — pospieszył z pomocą Musgrove.

— Nie powiedziałem, że został skazany. Zauważyłem jedynie, że został oskarżony. Przez FBI?

— Wystarczy — uciął Noose. — Co powie nam pan Baldwin?

— Mieszka tu całe życie. Zna mieszkańców okręgu Ford i uważa, że pan Hailey będzie miał tu sprawiedliwy proces — odpowiedział Musgrove. Buckley milczał, wpatrując się w Jake'a.

— Kto jeszcze?

— Szeryf Harry Bryant, z okręgu Tyler.

— Szeryf Bryant? A cóż on nam powie?

I tym razem w imieniu oskarżenia głos zabrał Musgrove.

— Wysoki Sądzie, chcielibyśmy przedstawić dwa argumenty w odpowiedzi na wniosek obrony. Po pierwsze twierdzimy, że tu, w okręgu Ford, można przeprowadzić sprawiedliwy proces. Po drugie, jeśli sąd uzna, że sprawiedliwy proces w Clanton nie jest możliwy, chcielibyśmy zwrócić uwagę, iż rozgłos towarzyszący sprawie jest tak duży, że dotarł do każdego potencjalnego przysięgłego w tym stanie. Inaczej mówiąc, niczego nie osiągniemy, przenosząc proces do innego okręgu. Przedstawimy świadków, którzy zeznają, że faktycznie tak jest.

— To jakaś nowa koncepcja, panie Musgrove? Wcześniej o niej nie słyszałem.

— Ani ja — dodał Jake.

— Kogo jeszcze macie?

— Roberta Kelly'ego Williamsa, prokuratora okręgowego z Dziewiątego Obwodu Sądowego.

— Gdzie to jest?

— Na południowo-zachodnim krańcu stanu.

— Przejechał taki szmat drogi, aby zeznać, że każdy w ichniej dziczy ma wyrobioną opinię w tej sprawie?

— Tak, proszę pana.

— Kto jeszcze?

— Grady Liston, prokurator okręgowy, Czternasty Obwód.

— To samo świadectwo?

— Tak, Wysoki Sądzie.

— To wszystko?

— Cóż, Wysoki Sądzie, mamy jeszcze paru, ale ich zeznania w znacznym stopniu pokrywają się z poprzednimi.

— Dobrze. Czy oskarżenie może ograniczyć liczbę świadków do sześciu?

— Tak, proszę pana.

— Zapoznam się z dowodami oskarżenia. Panie Buckley, dostanie pan pięć minut na przedstawienie swojej konkluzji. Ustosunkuję się do wniosku w ciągu dwóch tygodni. Jakieś

pytania?

Rozdział 23

Odmawianie reporterom było trudne. Ruszyli za Jakiem Washington Street. Przeprosił ich, rzucił „bez komentarza” i schronił się w swojej kancelarii. Niezrażony fotograf „Newsweeka” wepchnął się do środka i zapytał, czy Jake łaskawie zapozuje do zdjęcia. Chciał zrobić fotografię podobną do portretów ważniaków o surowym spojrzeniu, na tle grubych ksiąg w skórzanych oprawach. Jake poprawił krawat i zaprowadził fotografa do sali konferencyjnej, gdzie zamarł w nakazanym przez sąd milczeniu. Fotograf zrobił zdjęcie, podziękował mu i wyszedł.

— Mogę zająć panu kilka minut? — spytała uprzejmie Ethel, kiedy jej szef skierował się w stronę schodów.

— Jasne.

— Proszę usiąść. Musimy porozmawiać.

W końcu postanowiła odejść, pomyślał Jake, zajmując miejsce przy oknie od strony ulicy.

— O co chodzi?

— O pieniądze.

— Jesteś najlepiej opłacaną sekretarką prawną w mieście.

Trzy miesiące temu dostałaś podwyżkę.

— Nie moje. Proszę posłuchać. Nie ma pan w banku środków na zapłacenie rachunków za bieżący miesiąc. Czerwiec niemal dobiegł końca, a my zarobiliśmy ledwie tysiąc siedemset dolarów.

Jake zamknął oczy i potarł czoło.

— Proszę rzucić okiem na rachunki — powiedziała, machając mu przed nosem plikiem faktur. — Jak mam je zapłacić?

— Ile mamy w banku?

— W piątek mieliśmy tysiąc dziewięćset dolarów. Dziś rano nic nie wpłynęło.

— Nic?

— Ani centa.

— A zapłata za sprawę Liforda? Trzy tysiące dolarów tytułem opłat.

Ethel pokręciła głową.

— Panie Brigance, sprawa nie została zamknięta. Pan Liford nie podpisał aktu przekazania własności. Miał mu go pan dostarczyć do domu. Trzy tygodnie temu, pamięta pan?

— Nie, nie przypominam sobie. A zaliczka od Bucka Britta? Tysiąc dolarów?

— Jego czek został odesłany. Bank go nie przyjął. Leży na pańskim biurku od dwóch tygodni.

Przerwała, aby wziąć głęboki oddech.

— Przestał pan przyjmować klientów. Nie odpowiada pan na telefony i...

— Nie praw mi kazań, Ethel!

— Ma pan miesięczne opóźnienie we wszystkich sprawach.

— Wystarczy!

— Od kiedy wziął pan sprawę Haileya, myśli pan wyłącznie o niej. Dostał pan obsesji na jej punkcie. To nas zrujnuje.

— Nas?! Ilu pensji nie otrzymałaś, Ethel? Ile masz zaległych rachunków? No, powiedz?

— Znajdzie się parę.

— Ale nie więcej niż zwykle, prawda?

— Tak, ale co będzie w następnym miesiącu? Do procesu pozostały cztery tygodnie.

— Zamknij się, Ethel! Po prostu się zamknij! Jeśli nie potrafisz sobie poradzić z napięciem, to złóż wymówienie! A jeśli nie umiesz trzymać buzi na kłódkę, to cię wyleję!

— Chciałby pan mnie zwolnić, prawda?

— Jest mi to zupełnie obojętne.

Była silną, twardą babką. Czternaście lat z Lucienem sprawiło, że jej skóra i sumienie stwardniały, ale pozostała kobietą. Jej wargi zadrżały, a w oczach błysnęły łzy. Opuściła głowę.

— Przepraszam — wyszeptała. — Martwię się.

— O co?

— O mnie i Buda.

— Co się dzieje z Budem?

— Jest poważnie chory.

— Wiem.

— Ma coraz wyższe ciśnienie. Szczególnie po telefonach z pogróżkami. W ciągu pięciu lat miał trzy udary. Niebawem będzie następny. Jest przerażony. Oboje się boimy.

— Ile mieliście telefonów z komórek?

— Kilka. Grozili, że spalą nam dom lub wysadzą w powietrze. Zawsze powtarzają, że wiedzą, gdzie mieszkamy. Że jeśli Hailey zostanie uniewinniony, to nas podpalą lub wsadzą parę lasek dynamitu, kiedy będziemy spali. Kilku groziło, że nas zabiją. Ta sprawa nie jest tego warta.

— Może powinnaś odejść.

— I głodować? Przecież pan wie, że Bud nie pracuje od dziesięciu lat. Dokąd miałabym pójść?

— Posłuchaj, Ethel, my też otrzymujemy telefony z pogróżkami. Nie traktuję ich poważnie. Obiecałem Carli, że zrezygnuję, jeśli moja rodzina stanie się zagrożona. Może to cię pocieszy. Ty i Bud powinniście odpocząć. Groźby nie są poważne. W okolicy jest wielu szaleńców.

— Właśnie to mnie martwi. Ludzie są tak obłąkani, że mogą

zrobić coś złego.

— Za bardzo się przejmujesz. Powiem Ozziemu, żeby miał oko na wasz dom.

— Naprawdę?

— Jasne. Pilnują już mojego. Wierz mi, Ethel, nie ma się czym przejmować. Pewnie to jacyś małoletni chuligani.

Otarła oczy.

— Przepraszam, że płaczę. Przepraszam, że ostatnio jestem taka rozdrażniona.

Jesteś rozdrażniona od czterdziestu lat, pomyślał Jake.

— Nic się nie stało.

— A to? — zapytała, wskazując rachunki.

— Zdobędę pieniądze. Nie martw się tym.

O dwudziestej drugiej Willie Hastings skończył drugą zmianę i odbił kartę w gabinecie Ozziego. Później pojechał prosto do domu Haileya. Była jego kolej, żeby spać na kanapie, bo co noc ktoś spał na kanapie Gwen. Brat, kuzyn lub przyjaciel. W środę była jego noc.

Przy zapalonych światłach nie sposób było zasnąć. Tonya nie chciała się zbliżyć do łóżka, jeśli w domu nie była zapalona każda żarówka. Tamci mogli czekać ukryci w ciemności, żeby ją dopaść. Wiele razy widziała, jak czołgają się w stronę jej łóżka, jak czają się w szafie. Słyszała głosy szepczące za oknem. Widziała przekrwione oczy zerkające do środka, obserwujące, jak szykuje się do snu. Ze strychu dolatywały odgłosy przypominające kroki ciężkich kowbojskich buciorów, którymi ją kopali. Wiedziała, że są na górze. Że czekają, aż wszyscy zasną, aby mogli zejść na dół i zaciągnąć ją ponownie do lasu. Raz w tygodniu jej matka i najstarszy brat wspinali się na strych po rozkładanej drabinie, żeby zbadać poddasze, uzbrojeni w latarkę i pistolet.

Kiedy kładła się spać, we wszystkich pokojach musiało palić

się światło. Którejś nocy, gdy leżała obok matki, nie mogąc zasnąć, zgasła żarówka w korytarzu. Tonya krzyczała tak głośno, że brat Gwen musiał pojechać do całonocnego sklepu w Clanton po nową żarówkę.

Spała z matką, która godzinami trzymała ją w mocnych objęciach, aż demony rozpłynęły się w ciemności i mała zasnęła. Początkowo Gwen miała problem z tymi światłami, ale po pięciu tygodniach kilka razy w ciągu nocy potrafiła sobie uciąć krótką drzemkę. Małe ciałko leżące obok niej wiło się i szarpało nawet podczas snu.

Willie powiedział chłopcom dobranoc i ucałował Tonyę. Pokazał jej pistolet i obiecał, że będzie czuwał na kanapie. Później obszedł cały dom i sprawdził szafy. Kiedy Tonya się uspokoiła, kładła się obok matki i gapiła w sufit. Często cicho popłakiwała.

Około północy Willie zdjął buciory i wyciągnął się na kanapie. Odpiął kaburę i położył pistolet na podłodze. Niemal zasnął, gdy usłyszał przenikliwy krzyk. Przerażający, wysoki pisk torturowanego dziecka. Tonya siedziała na łóżku, zwrócona twarzą do ściany, krzycząc i dygocząc ze strachu. Widziała ich w oknie. Czekali na nią. Gwen przytuliła ją do siebie. Trzej chłopcy stanęli bezradnie w nogach łóżka. Carl Lee Junior wyjrzał przez okno, ale niczego nie zobaczył. Przerabiali to wielokrotnie w ciągu pięciu minionych tygodni i wiedzieli, że niewiele mogą zrobić.

Gwen pocieszyła dziewczynkę i delikatnie ułożyła jej głowę na poduszce.

— Już dobrze, dziecko. Mamusia i wujek Willie są przy tobie. Nikt nie zrobi ci krzywdy. Już dobrze, dziecinko.

Chciała, żeby wujek Willie usiadł pod oknem z pistoletem, a chłopcy spali na podłodze wokół jej łóżka. Zajęli wyznaczone pozycje. Przez chwilę jęczała żałośnie, a później zamilkła i się uspokoiła.

Willie siedział na podłodze przy oknie, dopóki wszyscy nie

zasnęli. Później kolejno przeniósł chłopców do łóżek i przykrył. W końcu usiadł pod jej oknem, czekając na wschód słońca.

⅄ ⅄ ⅄

W piątek Jake i Atcavage umówili się na lunch u Claude'a. Zamówili żeberka i sałatkę coleslaw. W lokalu było jak zwykle tłoczno, ale pierwszy raz od czterech tygodni nie zauważyli żadnych obcych twarzy. Stali bywalcy rozmawiali i plotkowali, jak za dawnych dobrych czasów. Claude był w znakomitej formie — wymyślał i beształ swoich klientów. Należał do nielicznych ludzi, którzy mogą człowieka zwymyślać, sprawiając mu tym przyjemność.

Atcavage obserwował posiedzenie w sprawie zmiany miejsca procesu, gotowy zeznawać, jeśli zajdzie potrzeba, choć bank był temu przeciwny. Jake nie chciał sprawiać mu kłopotów. Bankierzy odczuwają wrodzony lęk przed salą sądową, więc Jake podziwiał przyjaciela za pokonanie paranoi i zjawienie się na posiedzeniu. W ten sposób stał się pierwszym bankierem w dziejach okręgu Ford, który bez wezwania, z własnej woli pojawił się w sądzie w czasie trwania sesji. Jake był z niego naprawdę dumny.

Claude przebiegł obok stolika, mówiąc, że zostało im dziesięć minut. Mają się zamknąć i jeść. Jake dojadł żeberka i otarł usta.

— Skoro mowa o pożyczkach, Stan, chciałbym pożyczyć pięć tysięcy na dziewięćdziesiąt dni. Bez zabezpieczenia.

— Gadaliśmy o pożyczkach?

— Powiedziałeś coś o bankach.

— Sądziłem, że obgadujemy Buckleya. Miałem niezłą frajdę.

— Nie powinieneś być taki krytyczny, Stan. Łatwo nabawić się złego nawyku, a później nie można się go pozbyć. Krytycyzm ograbia duszę z charakteru.

— Bardzo mi przykro. Czy kiedykolwiek zdołasz mi wybaczyć?

— Co będzie z pożyczką?

— Załatwione. Na co ci potrzebna?

— Jakie to ma znaczenie?

— Co masz na myśli?

— Posłuchaj, Stan, nie powinno cię martwić, czy zdołam zwrócić forsę w ciągu dziewięćdziesięciu dni.

— Rozumiem, a dasz radę?

— Dobre pytanie. Jasne, że tak.

Bankier się uśmiechnął.

— Utknąłeś na dobre w sprawie Haileya, co?

Prawnik odpowiedział uśmiechem.

— Taak — przyznał. — Trudno się skupić na czymś innym. Proces zacznie się za trzy tygodnie od poniedziałku. Do tego czasu nie chcę się zajmować niczym innym.

— Ile zarobisz na tej sprawie?

— Tysiąc minus sto dolców.

— Czyli dziewięćset dolarów?!

— Taak, Hailey nie mógł pożyczyć pieniędzy pod zastaw swojej ziemi, nie pamiętasz?

— Marne grosze.

— Oczywiście, gdybyś pożyczył Carlowi Lee pieniądze pod zastaw nieruchomości, nie musiałbym brać pożyczki.

— Wolę pożyczyć je tobie.

— Świetnie. Kiedy dostanę czek?

— Jest aż tak źle?

— Wiem, ile to u was trwa. Zbiera się komisja do spraw pożyczek, później zjawiają się audytorzy, wiceprezesi tu i wiceprezesi tam. W końcu za miesiąc któryś z nich zatwierdzi wniosek, jeśli będzie to zgodne z wewnętrznymi zasadami i jeśli centrala będzie w sprzyjającym nastroju. Sam wiesz, jak to działa.

Atcavage rzucił okiem na zegarek.

— Na piętnastą będzie dobrze?

— Chyba.

— Bez zabezpieczenia?

Jake otarł usta i pochylił się nad stołem.

— Mój dom, stanowiący wizytówkę tego miasta, już ma hipotekę. Macie prawa do mojego samochodu, zapomniałeś? Pozwolę ci założyć hipotekę na córkę, ale zabiję, jeśli spróbujesz ją zająć. Jakie zabezpieczenie mógłbym wam jeszcze zaproponować?

— Przepraszam, że zapytałem.

— Kiedy dostanę czek?

— O piętnastej.

Przy stoliku pojawił się Claude i dolał herbaty.

— Pięć minut — oznajmił głośno.

— Osiem — odrzekł Jake.

— Posłuchaj, ważniaku, nie jesteś w sądzie — powiedział z uśmiechem Claude. — Twoje zdjęcie w gazecie nie jest tu warte dwóch centów. Pięć minut.

— W porządku. Żeberka i tak były łykowate.

— Widzę, że zjadłeś wszystkie.

— Tyle kosztowały, że żal było zostawić.

— Jeśli będziesz marudził, cena wzrośnie.

— Już wychodzimy — powiedział Atcavage, wstając i rzucając dolara na stół.

W niedzielne popołudnie Haileyowie urządzili sobie piknik pod drzewem, z dala od kosza i odbywających się pod nim przepychanek. Nadciągnęła pierwsza fala letnich upałów, a ciężkie, lepkie i wilgotne powietrze wisiało nad ziemią, przenikając cień. Gwen odpędzała muchy, podczas gdy dzieci i ich tatuś wcinali ciepłego smażonego kurczaka, obficie się pocąc. Dzieci zjadły pospiesznie i pobiegły na nową huśtawkę, którą Ozzie założył dla dzieci swoich więźniów.

— Co ci robili w Whitfield? — spytała Gwen.

— Właściwie nic szczególnego. Zadawali pytania i przeprowadzali jakieś testy. Takie tam pierdoły.

— Jak cię traktowali?

— Skuli kajdankami i trzymali w pokoju ze ścianami obitymi gąbką.

— Pytam poważnie. Naprawdę wsadzili cię do pokoju ze ścianami z gąbki? — Gwen zachichotała, wyraźnie rozbawiona, co ostatnio rzadko jej się zdarzało.

— Ma się rozumieć. Obserwowali mnie, jak jakieś zwierzę. Powiedzieli, że jestem sławny. Strażnicy wyznali, że są ze mnie dumni. Dodam, że jeden był biały, a drugi czarny. Powiedzieli, że zrobiłem to, co należało. Że mają nadzieję, iż zostanę uniewinniony. Byli dla mnie bardzo mili.

— Co mówili lekarze?

— Nie powiedzą nic przed procesem. Podczas rozprawy zeznają, że jestem zdrowy.

— Skąd wiesz, co powiedzą?

— Jake mi to wyjaśnił. Do tej pory jeszcze się nie pomylił.

— Znalazł ci doktora?

— Taak, jakiegoś stukniętego pijaka. Nie wiem, skąd go wytrzasnął. Mówi, że to psychiatra. Rozmawialiśmy kilka razy w gabinecie Ozziego.

— Co powiedział?

— Niewiele. Jake zapewnił mnie, że facet powie wszystko, co zechcemy.

— Musi być naprawdę dobrym lekarzem.

— Pasuje do tych gości z Whitfield.

— Skąd jest?

— Z Jackson, jak sądzę. Facet nie był niczego pewien. Zachowywał się tak, jakbym chciał go zabić. Gotów jestem przysiąc, że kiedy rozmawialiśmy, był pijany. Zadał kilka pytań, których nie zrozumiał żaden z nas. No i zanotował parę uwag, jakby był jakimś ważniakiem. Powiedział, że mi pomoże. Zapytałem o niego Jake'a. Jake powiedział, żebym się nie martwił, że na procesie będzie trzeźwy, ale mam wrażenie, że sam jest zatroskany.

— Czemu korzystamy z jego usług?

— Bo nie chce pieniędzy. Wisi komuś przysługę. Prawdziwy psychiatra wziąłby tysiąc dolarów za ocenę mojego stanu i kolejny tysiąc za zeznawanie podczas procesu. Facet jest po prostu tani. Chyba nie muszę ci dodawać, że nie stać mnie na zapłacenie.

Gwen przestała się uśmiechać i odwróciła głowę.

— Potrzebujemy pieniędzy na dom — powiedziała, nie patrząc na niego.

— Ile?

— Kilkuset dolarów na jedzenie i zapłacenie rachunków.

— Ile ci zostało?

— Niecałe pięćdziesiąt dolarów.

— Zobaczę, co da się zrobić.

Spojrzała na niego.

— Co to ma znaczyć? Czemu sądzisz, że uda ci się zdobyć pieniądze, kiedy siedzisz w więzieniu?

Carl Lee uniósł brwi i spojrzał wymownie na żonę. Nie powinna kwestionować jego słów. Nadal nosił portki, nawet jeśli zakładał je w ciupie. Był szefem.

— Przepraszam — wyszeptała.

Rozdział 24

W niedzielę tuż przed siedemnastą wielebny Agee wyjrzał przez szparę w jednym z ogromnych kościelnych witraży i z zadowoleniem stwierdził, że na parking zajechała gromadka cadillaców i lincolnów. Zwołał spotkanie Rady w celu dokonania oceny sytuacji Haileyów, zaplanowania strategii na trzy tygodnie przed procesem, a także zarządzenia przygotowań do wizyty prawników NAACP. Zbiórka pieniędzy szła dobrze — w okręgu zgromadzono ponad siedem tysięcy dolarów, a wielebny już odłożył niemal sześć na specjalnym rachunku nazywanym Funduszem Obrony Prawnej Carla Lee Haileya. Oczywiście rodzina nie dostała ani grosza. Agee czekał na dyspozycje od NAACP, sądząc, że większość środków pójdzie na pokrycie kosztów prawnych. Siostry z kościoła mogą wykarmić rodzinę, jeśli głód zajrzy jej w oczy, a gotówka przyda się na inne cele.

Rozmawiali, jak zebrać więcej pieniędzy. Wydębienie forsy od biedaków nie było łatwe, jednak sprawa wzbudzała emocje, a czas był sprzyjający. Jeśli nie zbiorą pieniędzy teraz, nie

zbiorą ich nigdy. Uzgodnili, że spotkają się jutro w Kościele Springdale w Clanton. Rano przyjadą ludzie z NAACP. Tym razem musiało się obejść bez prasy, bo spotkanie miało roboczy charakter.

⅄ ⅄ ⅄

Norman Reinfeld był trzydziestoletnim geniuszem prawa karnego, który ustanowił rekord, kończąc wydział prawa na Harvardzie w wieku dwudziestu jeden lat. Po ukończeniu studiów odrzucił niezwykle wspaniałomyślną propozycję pracy w prestiżowej fabryce prawnej na Wall Street założonej przez jego ojca i dziadka, woląc się zatrudnić w NAACP, aby z zapałem bronić czarnych z Południa przed celą śmierci. Był bardzo dobry w swoim fachu, ale nie odnosił zbyt wielu sukcesów. Bez własnej winy. Większość czarnych z Południa, podobnie jak większość białych z tej części kraju, którym groziła komora gazowa, dobrze sobie na nią zasłużyła. Mimo to Reinfeld i jego zespół broniący czarnych zagrożonych karą śmierci wygrali więcej spraw niż inni. A nawet gdy przegrywali, zwykle potrafili utrzymać skazanych przy życiu za sprawą całego mnóstwa apelacji i wyczerpującego grania na zwłokę. Niestety, czterech ostatnich klientów Reinfelda potraktowano gazem, prądem o wysokim napięciu lub śmiertelnym zastrzykiem. Dla niego było to o czterech za dużo. Patrzył, jak umierają, z każdą egzekucją odnawiając postanowienie, że złamie każde prawo, pogwałci każdą etyczną zasadę, obrazi sąd i zlekceważy sędziego, zignoruje wszelkie pełnomocnictwa, jednym słowem zrobi wszystko, byle tylko zapobiec zabiciu kolejnego człowieka w majestacie prawa. Nie przejmował się zbytnio nielegalnością zabijania innych ludzi, czego z taką zręcznością i okrucieństwem dopuszczali się jego klienci. Rola Reinfelda nie polegała na rozmyślaniu o zabójstwach, więc o nich nie myślał. Zamiast tego ukierunkował swój sprawiedliwy świętoszkowaty gniew i zapał na zabójstwa popełniane w majestacie prawa.

Rzadko spał dłużej niż trzy godziny na dobę, bo trudno spać, gdy człowiek ma trzydziestu jeden klientów w celi śmierci. Do tego dochodziło siedemnastu innych czekających na proces. No i ośmiu egoistycznych prawników, których pracą musiał kierować. Miał trzydzieści lat, ale wyglądał na czterdzieści pięć. Był stary, zgryźliwy i wybuchowy. Zbyt zajęty, żeby uczestniczyć w zebraniu czarnych duchownych z Clanton w Missisipi, ale tym razem nie chodziło o zwykłą sprawę. Chodziło o sprawę Haileya. Tego samozwańczego mściciela. Ojca, który uległ pragnieniu zemsty. Była to aktualnie najważniejsza sprawa karna w całym kraju. Jakby tego było mało, do zabójstwa doszło w Missisipi, gdzie biali z byle powodu lub zgoła bez żadnej przyczyny strzelali do czarnych i nikogo to szczególnie nie wzruszało. Kiedy w Missisipi biali gwałcili czarnych, uważano to za rozrywkę, a gdy czarni odpłacali im pięknym za nadobne, kończyli na szubienicy. Teraz czarny ojciec zabił dwóch białych, którzy zgwałcili mu córkę. Groziła mu komora gazowa za coś, co trzydzieści lat temu przeszłoby bez echa, gdyby był biały. Idealna sprawa dla Reinfelda. Postanowił, że zajmie się nią osobiście.

W poniedziałek wielebny Agee przedstawił go członkom Rady, otwierając spotkanie obszernym i szczegółowym opisem działań podjętych w okręgu Ford. Reinfeld mówił krótko. On i jego zespół nie mogą reprezentować pana Haileya, bo ten ich nie zatrudnił, więc spotkanie z oskarżonym jest absolutnie konieczne. Najlepiej jeszcze dzisiaj. Najpóźniej jutro rano, bo w południe ma samolot do Memphis. Musi być na rozprawie w sprawie o zabójstwo gdzieś w Georgii. Wielebny Agee obiecał zorganizować spotkanie tak szybko, jak to będzie możliwe. Szeryf był jego przyjacielem. W porządku, odrzekł Reinfeld. Załatw to.

— Ile pieniędzy zebraliście? — spytał Reinfeld.

— Piętnaście tysięcy dostaliśmy od was — odrzekł Agee.

— To wiem. Ile zebraliście sami?

— Sześć tysięcy — oznajmił dumnie Agee.

— Sześć tysięcy! — powtórzył Reinfeld. — Tak mało?! Sądziłem, że jesteście lepiej zorganizowani. Gdzie jest to wspaniałe lokalne wsparcie, o którym tyle gadacie? Sześć tysięcy! Ile jeszcze możecie zgromadzić? Zostały tylko trzy tygodnie.

Członkowie Rady zamilkli. Ależ ten Żyd miał tupet! Był jedynym białym na sali, a mimo to atakował.

— A ile będziemy potrzebowali? — spytał Agee.

— To zależy, wielebny. To zależy, jak dobrej obrony chcecie dla pana Haileya. W moim zespole jest zaledwie ośmiu prawników. Pięciu uczestniczy w innych procesach. Mamy trzydzieści jeden wyroków śmierci na różnych etapach procesu apelacji. W ciągu następnych pięciu miesięcy czeka nas siedemnaście nowych procesów. Co tydzień otrzymujemy dziesięć próśb o to, żebyśmy reprezentowali oskarżonego. Osiem z góry odrzucamy, bo nie mamy wystarczającej liczby ludzi i pieniędzy. Dla pana Haileya zebrano piętnaście tysięcy od dwóch lokalnych oddziałów i centrali NAACP. Dziś się dowiaduję, że na miejscu uskładano jedynie sześć tysięcy. To daje dwadzieścia jeden tysięcy dolarów. Za taką sumę otrzymacie najlepszą obronę, na jaką możecie sobie pozwolić. Dwóch prawników, przynajmniej jednego psychiatrę, ale nic specjalnego. Osobiście myślałem o czymś innym.

— To znaczy?

— O obronie pierwszej klasy. O trzech lub czterech adwokatach, całym zespole psychiatrów. Kilku śledczych i biegłym psychologu, żeby wymienić tylko niektórych. To nie byle jaki proces w sprawie zabójstwa. Chcę go wygrać. Mówiono mi, że wy też tego pragniecie.

— Ile? — spytał wielebny Agee.

— Przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy. Byłoby miło, gdybyśmy mieli sto.

— Niech pan posłucha, panie Reinfeld, jesteśmy w Missisipi.

Tutejsi ludzie są ubodzy. Do tej pory okazali hojność, ale nie ma mowy, żebyśmy zdołali uskładać kolejnych trzydzieści tysięcy.

Reinfeld poprawił okulary w rogowej oprawie i podrapał się w siwiejącą brodę.

— Ile jeszcze możecie zebrać?

— Może pięć tysięcy.

— To niewiele.

— Może dla pana. Proszę pamiętać, że mówimy o czarnych z okręgu Ford.

Reinfeld gapił się w podłogę, gładząc brodę.

— Ile dał oddział w Memphis?

— Pięć tysięcy — odrzekł ktoś z tego miasta.

— Atlanta?

— Pięć.

— A oddział stanowy?

— W którym stanie?

— Missisipi.

— Nic.

— Nic?

— Nic.

— Dlaczego?

— Niech pan spyta jego — powiedział Agee, wskazując wielebnego Henry'ego Hillmana, szefa oddziału stanowego.

— Cały czas zbieramy, ale... — odrzekł słabo Hillman.

— Ile zebrałeś do tej pory? — zapytał Agee.

— Cóż, do dziś...

— Do dziś nie zebraliście ani grosza? Czy tak, Hillman?! — huknął Agee.

— Daj spokój, Hillman. Powiedz nam, ile zebrałeś — przyłączył się wielebny Roosevelt, zastępca przewodniczącego Rady.

Hillman zaniemówił. Siedział sobie cichutko w pierwszej ławce, pilnując własnego nosa i na pół drzemiąc, a tu nagle

znalazł się w ogniu krytyki.

— Oddział stanowy się dołoży.

— Jasne, Hillman. Stale prosicie nas w terenie, żebyśmy przekazali dotację i wspomogli was w tej lub innej prawie. Sami nigdy nam nie pomogliście. Zawsze biadolicie, jacy to jesteście spłukani. My zawsze przekazujemy pieniądze do oddziału stanowego, ale kiedy potrzebujemy pomocy, stan nawet nie kiwnie palcem. Nie robi nic prócz pokazywania się i gadania.

— Nieprawda!

— Nie kłam, Hillman!

Reinfeld poczuł się zakłopotany. Zorientował się, że dotknął drażliwej kwestii.

— Panowie, panowie. Wróćmy do tematu — przerwał im dyplomatycznie.

— Dobry pomysł — przyklasnął mu Hillman.

— Kiedy możemy się spotkać z panem Haileyem?

— Zorganizuję spotkanie jutro rano — odrzekł wielebny Agee.

— Gdzie?

— Proponuję biuro szeryfa w więzieniu. Jak pan wie, szeryf jest czarny. To jedyny czarnoskóry szeryf w Missisipi.

— Tak, słyszałem.

— Myślę, że udostępni nam swój gabinet.

— Dobrze. Kto jest obrońcą pana Haileya?

— Miejscowy prawnik, Jake Brigance.

— Niech wielebny go zaprosi. Poprosimy, żeby pomógł nam w tej sprawie. To złagodzi jego ból.

Irytujący, przenikliwy i agresywny głos Ethel przeciął ciszę spokojnego późnego popołudnia, płosząc jej szefa.

— Panie Brigance, szeryf Wells na drugiej linii! — powiedziała przez interkom.

— Zrozumiałem.

— Potrzebuje pan czegoś ode mnie?

— Nie, do zobaczenia jutro rano.

Jake wcisnął klawisz oznaczony cyfrą dwa.

— Część, Ozzie. O co chodzi?

— Posłuchaj, Jake. Do miasta przyjechali jacyś ważniacy z NAACP.

— Coś nowego?

— Nie zrozumiałeś. Tym razem jest inaczej. Jutro rano chcą się spotkać z Carlem Lee.

— Dlaczego?

— Jest z nimi gość nazwiskiem Reinfeld.

— Słyszałem o nim. To szef zespołu prawników broniących ludzi zagrożonych karą śmierci. Norman Reinfeld.

— Taak, to on.

— Spodziewałem się go.

— Facet tu jest i chce gadać z Carlem Lee.

— Co ty masz z tym wspólnego?

— Dzisiaj zadzwonił do mnie wielebny Agee. Oczywiście poprosił o przysługę. Chciał, żebym do ciebie zadzwonił.

— Odpowiedź brzmi „nie”! Stanowczo odmawiam!

Ozzie przerwał na chwilę.

— Jake, oni chcą, żebyś wziął udział w spotkaniu.

— Chcesz powiedzieć, że mnie zaprosili?

— Taak. Agee powiedział, że Reinfeld nalegał. Facet chce, abyś był obecny.

— Gdzie?

— W moim biurze. O dziewiątej rano.

Jake westchnął ciężko i wolno wycedził:

— W porządku, przyjadę. Gdzie jest Carl Lee?

— W swojej celi.

— Sprowadź go do gabinetu. Będę za pięć minut.

— Po co?

— Musimy się pomodlić.

⅄ ⅄ ⅄

Reinfeld oraz wielebni Agee, Roosevelt i Hillman siedzieli w idealnym rządku na składanych krzesłach, zwróceni twarzą do szeryfa, oskarżonego i Jake'a, który palił tanie cygaro z wyraźnym zamiarem skażenia powietrza w małym pomieszczeniu. Wydmuchiwał ogromne kłęby dymu i gapił się nonszalancko w podłogę, próbując nie okazać niczego oprócz całkowitej pogardy dla Reinfelda i wielebnych. Reinfeld dorównywał mu arogancją, nie kryjąc lekceważenia dla prostego drugorzędnego prawnika z zadupia. Przychodziło mu to bez trudu, bo z natury był arogancki i bezczelny. Za to Jake starał się jak umiał.

— Kto zwołał spotkanie? — spytał ze zniecierpliwieniem po długim, niezręcznym milczeniu.

— No cóż, my, jak sądzę — odpowiedział Agee, spoglądając na Reinfelda w poszukiwaniu wsparcia.

— W takim razie słucham. Czego chcecie?

— Spokojnie, Jake — wtrącił się Ozzie. — Wielebny Agee poprosił mnie o spotkanie, żeby Carl Lee mógł poznać pana Reinfelda.

— Rozumiem. Poznali się. Co teraz, panie Reinfeld?

— Przyjechałem, żeby zaoferować panu Haileyowi swoje usługi, usługi mojego zespołu i całego NAACP — odrzekł Reinfeld.

— Jakiego rodzaju? — zapytał Jake.

— Usługi prawne, oczywiście.

— Carl, czy poprosiłeś pana Reinfelda o przyjazd? — spytał Jake.

— Nie.

— To mi wygląda na próbę nagabywania, panie Reinfeld.

— Niech pan sobie daruje te wykłady, Brigance. Wie pan, czym się zajmuję i dlaczego tu jestem.

— Odbiera pan wszystkie sprawy innym prawnikom?

— Nikomu niczego nie odbieram. Zostaliśmy zaproszeni przez tutejszych członków NAACP i innych działaczy

walczących o obronę praw człowieka. Zajmujemy się jedynie sprawami zagrożonymi karą śmierci. Jesteśmy w tym dobrzy.

— Czy jest pan jedynym prawnikiem posiadającym kompetencje do występowania w sprawach tego kalibru?

— Wygrałem wiele spraw.

— I wiele pan przegrał.

— Większość i tak zostałaby przegrana.

— Rozumiem. Czy taka jest pana opinia w tej sprawie? Też spodziewa się pan ją przegrać?

Reinfeld szarpnął kosmyk brody i spojrzał na Jake'a wściekłym wzrokiem.

— Nie przyjechałem tu, żeby się z panem kłócić, panie Brigance.

— Wiem. Przyjechał pan, żeby zaoferować swoje oszałamiające kwalifikacje prawne oskarżonemu, który nigdy wcześniej o panu nie słyszał i, nawiasem mówiąc, jest zadowolony ze swojego obecnego obrońcy. Przyjechał pan, żeby odebrać mi klienta. Doskonale wiem, czemu pan tu jest.

— Jestem tutaj ni mniej, nie więcej, tylko na zaproszenie NAACP.

— Taak. Czy wszystkie sprawy, które pan prowadzi, pochodzą od NAACP?

— Pracuję dla NAACP, panie Brigance. Kieruję zespołem obrońców zajmujących się sprawami zagrożonymi karą śmierci. Jadę tam, gdzie mnie poślą.

— Ilu pan ma klientów?

— Kilkudziesięciu. Jakie to ma znaczenie?

— Czy wszyscy mieli prawników, zanim przejął pan ich sprawę?

— Niektórzy tak, niektórzy nie. Zawsze staramy się współpracować z lokalnym obrońcą.

Jake się uśmiechnął.

— To bardzo wspaniałomyślne. Pozwolisz mi nosić swoją teczkę i wozić się po Clanton. Może podczas południowej

przerwy będę mógł ci nawet przynieść kanapkę. Jestem podekscytowany.

Carl Lee siedział bez ruchu z rękami złożonymi na piersi i wzrokiem wbitym we wzór na dywanie. Wielebni przyglądali się mu uważnie, czekając, aby powiedział coś swojemu prawnikowi. Żeby kazał mu się zamknąć i oznajmił, że go zwalnia, bo od tej pory jego sprawy będą prowadzić prawnicy NAACP. Patrzyli i czekali, ale Carl Lee siedział cichutko i słuchał.

— Mamy dużo do zaoferowania, panie Hailey — ciągnął spokojnie Reinfeld. Najlepiej było zachować spokój, dopóki oskarżony nie zdecyduje, kto go będzie reprezentował. Napad złości mógł zniweczyć szansę powodzenia.

— Na przykład co? — spytał Jake.

— Nasz personel, środki, kompetencje i doświadczenie prawników procesowych, którzy zajmują się wyłącznie sprawami zagrożonymi karą śmierci. Mamy też dostęp do wysoko wykwalifikowanych lekarzy, z których usług korzystamy podczas procesu. Wystarczy, że będzie pan czegoś potrzebował, a my to dostarczymy.

— Ile pieniędzy możecie wydać na tę sprawę?

— To nie pański interes.

— Czyżby? Czy nie jest to interes pana Haileya? W końcu to on jest oskarżony. Może pan Hailey chciałby wiedzieć, ile pieniędzy możecie wydać na jego obronę? Chciałby pan wiedzieć, panie Hailey?

— Taak.

— Zrozumiałem. Panie Reinfeld, jakie środki może pan przeznaczyć na obronę?

Reinfeld skrzywił się i spojrzał twardo na wielebnych, którzy spojrzeli twardo na Carla Lee.

— Do tej pory około dwudziestu tysięcy — wyznał potulnie Reinfeld.

Jake zaśmiał się i pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Dwadzieścia tysięcy? Czy naprawdę poważnie podchodzicie do tej sprawy? Dwadzieścia tysięcy?! Myślałem, że wy, chłopaki, gracie w pierwszej lidze. Rok temu zebraliście sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów dla zabójcy policjanta w Birmingham. Nawiasem mówiąc, facet został skazany. Wydaliście sto tysięcy na dziwkę ze Shreveport, która zabiła swojego klienta. Dodam, że ona również usłyszała wyrok skazujący. Uważacie, że ta sprawa jest warta tylko dwadzieścia tysięcy?

— A ile ty masz do wydania? — spytał Reinfeld.

— Jeśli mi wyjaśnisz, co ci do tego, chętnie odpowiem.

Reinfeld otworzył usta, ale po chwili się pochylił i potarł skronie.

— Czemu pan mu nie powie, wielebny Agee?

Wielebni utkwili wzrok w Carlu Lee. Żałowali, że nie są z nim sami, bez żadnych białasów. Mogliby zagadać do niego, jak do czarnucha. Wyjaśnić, co jest grane. Powiedzieć, żeby zwolnił tego białego chłoptasia, bo załatwili mu prawdziwych prawników. Prawników z NAACP. Prawników, którzy wiedzą, jak walczyć w obronie czarnych. Ale nie byli sami, więc nie mogli go zbeształ. Musieli okazać szacunek białym obecnym w pokoju. Pierwszy zabrał głos Agee:

— Posłuchaj, Carl, chcemy ci pomóc. Sprowadziliśmy pana Reinfelda i jego prawników wraz z całym sztabem innych ludzi, których ma do dyspozycji. Wszystko po to, żeby służyć ci pomocą. Nie mamy nic przeciwko Jake'owi. To dobry młody prawnik. Może współpracować z panem Reinfeldem. Nie chcemy, żebyś go zwolnił. Chcemy jedynie, żebyś zatrudnił pana Reinfelda. Prawnicy mogą ze sobą współpracować.

— Może wielebny o tym zapomnieć — wtrącił Jake.

Agee przerwał i spojrzał bezradnie na Jake'a.

— Posłuchaj, Jake. Nie mamy nic przeciwko tobie. To dla ciebie wielka szansa. Będziesz mógł popracować ze słynnymi prawnikami. Zdobyć prawdziwe doświadczenie...

— Postawmy sprawę jasno, wielebny. Jeśli Carl Lee zechce waszych prawników, w porządku, ale nie zamierzam odgrywać roli chłopca na posyłki. Prowadzę tę sprawę albo nie. Na sali sądowej nie ma miejsca dla mnie, Reinfelda i Rufusa Buckleya.

Reinfeld przewrócił oczami i spojrzał w sufit. Pokiwał głową, uśmiechając się arogancko pod nosem.

— Mówisz, że wszystko zależy od Carla Lee? — spytał wielebny Agee.

— Oczywiście. To on mnie zatrudnił i on może mnie zwolnić. Raz już to zrobił. To nie mnie grozi komora gazowa.

— Jakie jest twoje zdanie, Carl? — zapytał Agee.

Carl Lee rozprostował ramiona i spojrzał na wielebnego.

— Na co jest tych dwadzieścia tysięcy?

— Właściwie uzbieraliśmy około trzydziestu — odrzekł Reinfeld. — Ludzie z Ford obiecali zebrać kolejnych dziesięć tysięcy. Pieniądze zostaną przeznaczone na twoją obronę. Nie zostaną wydane na honoraria dla prawników. Będziemy musieli zatrudnić dwóch lub trzech śledczych. Dwóch, może trzech psychiatrów. Często korzystamy z pomocy psychologa na etapie wyboru członków ławy przysięgłych. Nasza obrona jest bardzo kosztowna.

— Rozumiem. Ile pieniędzy dali miejscowi? — zapytał Carl Lee.

— Około sześciu tysięcy — odrzekł Reinfeld.

— Kto je zebrał?

Reinfeld rzucił okiem na wielebnego Agee.

— Kościoły — odrzekł duchowny.

— Kto odebrał pieniądze od kościołów? — spytał Hailey.

— My — odpowiedział Agee.

— To znaczy wielebny? — drążył dalej Carl Lee.

— Cóż, no tak. Każdy z kościołów przekazał mi uzbierane środki, a ja umieściłem je na specjalnym rachunku bankowym.

— Każdego centa, którego wielebny otrzymał?

— Oczywiście.

— Rozumiem. Proszę pozwolić, że zapytam, ile przekazał pan mojej żonie i dzieciom?

Agee z lekka pobladł, a właściwie zbladł jak papier i spojrzał szybko po twarzach pozostałych wielebnych, którzy w tym momencie byli zajęci oglądaniem swoich sznurówek. Nie wyciągnęli do niego pomocnej dłoni. Wszyscy wiedzieli, że Agee wziął swoją działkę, wiedzieli też, że rodzina Haileya nie dostała ani grosza. Agee zarobił na tym więcej niż rodzina Carla Lee. Oni wiedzieli i Carl Lee o tym wiedział.

— Ile, wielebny? — powtórzył Carl Lee.

— Cóż, sądziliśmy, że pieniądze...

— Dowiem się ile, wielebny?

— Pieniądze miały zostać przeznaczone na pokrycie kosztów prawnych i innych spraw tego rodzaju.

— Ale kościołowi wielebny powiedział co innego, prawda? Powiedział, że to zbiórka dla rodziny. Zalewał się wielebny łzami, opowiadając, że mojej rodzinie grozi śmierć głodowa, jeśli ludzie nie dadzą tyle, ile mogą. Prawda, wielebny?

— Zebrane pieniądze są dla ciebie, Carlu Lee. Dla ciebie i twojej rodziny. W chwili obecnej uważamy, że lepiej je przeznaczyć na twoją obronę.

— A jeśli nie zechcę waszych prawników? Co się stanie z tymi dwudziestoma tysiącami?

Jake zachichotał.

— Dobre pytanie. Co się stanie z pieniędzmi, jeśli pan Hailey pana nie zatrudni, Reinfeld?

— To nie moje pieniądze — odburknął Reinfeld.

Wielebny miał tego dość. Był coraz bardziej zniecierpliwiony i wojowniczy. Wyciągnął oskarżycielski palec w kierunku Carla Lee.

— Posłuchaj, Carl. Naharowaliśmy się, żeby uzbierać te pieniądze. Sześć tysięcy od biednych mieszkańców tego okręgu, od ludzi, którzy nie musieli ich dać. Ciężko pracowaliśmy, żeby je zebrać. Przekazali je ubodzy ludzie, twoi bracia żyjący z

kartek żywnościowych, pomocy społecznej i Medicaid, których nie stać na ofiarowanie ani dziesiątaka. Dali pieniądze z jednego i tylko jednego powodu: wierzą w ciebie i są przekonani o słuszności tego, co zrobiłeś. Wierzą i chcą, żebyś opuścił salę sądową jako wolny człowiek. Nie mów, że nie chcesz tych pieniędzy.

— Nie praw mi kazań, wielebny — odrzekł cicho Carl Lee. — Powiedziałeś, że biedacy z tego okręgu dali sześć tysięcy?

— Tak.

— Skąd pochodzi reszta pieniędzy?

— Od NAACP. Pięć tysięcy dolarów z Atlanty, pięć z Memphis i pięć z centrali krajowej. Te środki są przeznaczone wyłącznie na twoją obronę.

— Pod warunkiem że skorzystam z usług pana Reinfelda?

— Tak.

— Jeśli tego nie zrobię, piętnaście tysięcy dolarów wyparuje?

— Tak.

— A pozostałych sześć?

— Dobre pytanie. Jeszcze nie zdecydowaliśmy. Sądziliśmy, że docenisz fakt, iż zorganizowaliśmy zbiórkę i staraliśmy się pomóc. Proponujemy ci najlepszych prawników, a tobie jest to najwyraźniej obojętne.

W pokoju zapadła cisza. Zapadła i trwała całą wieczność, gdy kaznodzieje, prawnicy i szeryf oczekiwali na jakąś decyzję oskarżonego. Carl Lee przygryzł dolną wargę i wbił wzrok w podłogę. Jake zapalił kolejne cygaro. Już raz został wylany, więc wiedział, że i tym razem sobie poradzi.

— Chcecie, żebym zdecydował teraz? — spytał w końcu Carl Lee.

— Nie — zaprzeczył wielebny Agee.

— Tak — przytaknął Reinfeld. — Do procesu zostały niecałe trzy tygodnie. Już straciliśmy dwa miesiące. Mój czas jest zbyt cenny, żebym na pana czekał, panie Hailey. Albo zatrudni mnie pan teraz, albo może pan zapomnieć o sprawie. Muszę zdążyć

na samolot.

— W takim razie powiem panu, co ma pan zrobić, panie Reinfeld. Niech pan łapie ten samolot i nie trudzi się więcej przyjazdem do Clanton w mojej sprawie. Zaryzykuję z moim przyjacielem, Jakiem.

Rozdział 25

Oddział Ku-Klux-Klanu w okręgu Ford założono o północy w czwartek jedenastego lipca, na małej łączce w pobliżu gruntowej drogi w leśnej głuszy, w północnej części okręgu. Sześciu kandydatów nerwowo przestępowało z nogi na nogę przed płonącym krzyżem, powtarzając dziwne słowa za Wielkim Magiem. Wielki Smok i kilkunastu odzianych w białe szaty członków Klanu stało obok, przyglądając się uroczystości i wznosząc monotonne śpiewy, kiedy było to konieczne. Strażnik z pistoletem czuwał przy drodze, obserwując uroczystość, ale głównie wypatrując niepożądanych gości. Żadni się nie pojawili.

Dokładnie o północy sześciu kandydatów padło na kolana i zamknęło oczy, gdy ceremonialnie wkładano im na głowę białe kaptury. Byli teraz pełnoprawnymi członkami Klanu. Cała szóstka. Freddie Cobb, brat zmarłego, Jerry Maples, Clifton Cobb, Edwin Davis Wilburn, Morris Lancaster i Terrell Grist. Wielki Smok stawał kolejno nad każdym z nich i nucił święte przysięgi Klanu. Płomienie liżące krzyż paliły twarze nowych członków, gdy klęczeli, pocąc się w grubych szatach i kapturach.

Po zaczerwienionych policzkach spływały krople potu, gdy modlili się żarliwie do Smoka, aby przerwał te nonsensy i zakończył ceremonię. Kiedy śpiewy ustały, nowi członkowie powstali i szybko wycofali się od krzyża. Starzy uściskali nowych braci, chwytając ich mocno za ramiona i grzmiąc zaklęcia w ich spotniałe obojczyki. W końcu zdjęli ciężkie kaptury i wszyscy, starzy i młodzi, ruszyli dumnym krokiem na łąkę, gdzie przy gruntowej drodze stał drewniany letniskowy domek. Ten sam strażnik czuwał na stopniach, gdy rozlewano whiskey i planowano akcje przed procesem Carla Lee Haileya.

Pirtle wylosował nocną zmianę, od dwudziestej drugiej do szóstej, więc zajechał na kawę i placek do całonocnej jadłodajni Gurdy'ego przy autostradzie przebiegającej na północ od miasta, gdy z głośnika w radiowozie rozległa się wiadomość, że wzywają go do więzienia. Był piątek, trzy minuty po północy.

Pirtle zostawił placek na talerzu i pojechał półtora kilometra na południe do budynku więzienia.

— Co jest grane? — spytał dyspozytora.

— Kilka minut temu otrzymaliśmy anonimowy telefon od człowieka, który chciał mówić z szeryfem. Wyjaśniłem mu, że szeryf nie ma dyżuru, więc poprosił o tego, kto akurat pełni służbę. Czyli ciebie. Gość powiedział, że to bardzo ważna sprawa. Że oddzwoni za piętnaście minut.

Pirtle nalał sobie kawy i rozluźnił się w wielkim fotelu Ozziego. Po chwili telefon zaterkotał.

— Do ciebie! — krzyknął dyspozytor.

— Słucham — odpowiedział Pirtle.

— Kto mówi? — spytał głos.

— Joe Pirtle z biura szeryfa. Z kim mam przyjemność?

— Gdzie szeryf?

— W łóżku. Pewnie śpi.

— Posłuchaj uważnie, bo to ważna sprawa. Więcej nie

zadzwonię. Znasz tego czarnucha Haileya?

— Taak.

— A jego prawnika, Brigance'a?

— Taak.

— Posłuchaj uważnie. Planują wysadzić jego dom przed trzecią.

— Kto?

— Brigance'a.

— Pytałem, kto chce go wysadzić.

— Nie zaprzątaj sobie tym głowy. Posłuchaj uważnie, co powiem. To nie żarty. Jeśli myślisz, że żartuję, siedź sobie na posterunku i czekaj, aż chata wyleci w powietrze. Może eksplodować w każdej chwili.

Głos przycichł, ale nie zniknął.

Pirtle nasłuchiwał.

— Nadal tam jesteś?

— Życzę dobrej nocy. — W słuchawce kliknęło.

Pirtle skoczył na równe nogi i podbiegł do dyspozytora.

— Słyszałeś?!

— Jasne.

— Zadzwoń do Ozziego i powiedz, żeby przyjechał. Będę w domu Brigance'a.

Pirtle ukrył radiowóz na podjeździe przy Monroe Street i ruszył przez trawniki w stronę domu Jake'a. Niczego nie zauważył. Było pięćdziesiąt pięć minut po północy. Obszedł chałupę z latarką, ale nie natknął się na nic podejrzanego. Każda posesja przy Adams Street była ciemna i pogrążona we śnie. Odkręcił żarówkę na ganku Jake'a i usiadł w wiklinowym fotelu. Czekał. Pod werandą obok oldsmobila stał dziwnie wyglądający zagraniczny wóz. Pirtle postanowił, że zaczeka i poprosi, aby Ozzie zawiadomił Jake'a.

Na końcu ulicy pojawiły się światła samochodu. Pirtle opuścił

się w fotelu tak, żeby go nie zobaczyli. Czerwony pick-up zbliżył się podejrzanie do domu Brigance'a, ale przejechał obok. Pirtle podciągnął się wyżej, obserwując, jak znika w oddali.

Chwilę później zauważył dwie postacie biegnące od strony placu. Odpiął kaburę i wyjął służbowy pistolet. Pierwsza postać była znacznie większa od drugiej, ale wydawała się biec z większą łatwością i gracją. Rozpoznał Ozziego. Drugi pędził Nesbit. Pirtle wyszedł do nich na podjazd, a następnie cała trójka wycofała się w strefę mroku pod frontowym przedsionkiem. Cicho szeptali, obserwując ulicę.

— Co facet powiedział? — spytał Ozzie.

— Że przed trzecią nad ranem ktoś ma zamiar wysadzić dom Jake'a. Powiedział, że to nie żarty.

— Nic więcej?

— Nic. Nie był zbyt przyjaźnie nastawiony.

— Długo tu jesteś?

— Dwadzieścia minut.

Ozzie spojrzał na Nesbita.

— Daj mi swoje radio i ukryj się z tyłu domu. Siedź cicho i obserwuj.

Nesbit pobiegł na podwórko za domem i znalazł mały otwór między krzewami rosnącymi wzdłuż siatki. Wgramolił się do środka na czworakach i zniknął w zaroślach. Z tego gniazdka będzie widział cały tył domu.

— Powiesz Jake'owi? — spytał Pirtle.

— Jeszcze nie. Za minutkę. Jeśli zapukamy do drzwi, zapalą światło, a tego nie chcemy.

— Taak, ale jeśli Jake nas usłyszy i wyjdzie, może pomyśleć, że jesteśmy parą czarnuchów, którzy chcą się włamać.

Ozzie spojrzał w stronę ulicy i nic nie odpowiedział.

— Słuchaj, Ozzie. Postaw się na jego miejscu. Wyobraź sobie, że gliniarze otoczyli twój dom o pierwszej nad ranem, czekając na kogoś, kto ma podłożyć bombę. Wolałbyś spać w łóżku czy o tym wiedzieć?

Szeryf spojrzał na dom w oddali.

— Posłuchaj, szeryfie, lepiej ich obudźmy. A jeśli nie zdołamy powstrzymać tamtych i ludzie w środku zostaną ranni? Będą nas obwiniać, prawda?

Ozzie wstał i nacisnął dzwonek.

— Wykręć żarówkę — polecił, wskazując żarówkę na suficie werandy.

— Już to zrobiłem.

Ozzie ponownie nacisnął dzwonek. Drewniane drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Jake podszedł do dodatkowych drzwi i spojrzał na szeryfa. Miał na sobie wygniecioną nocną koszulę sięgającą kolan, a w ręce trzymał załadowaną trzydziestkęósemkę. Wolno otworzył.

— Co się dzieje, Ozzie? — zapytał.

— Mogę wejść?

— Taak. Co się stało?

— Zostań na werandzie — polecił Pirtle'owi Ozzie. — Wrócę za minutę.

Ozzie zamknął frontowe drzwi i zgasił światło w korytarzu. Usiedli w ciemnym salonie wychodzącym na werandę i frontowy dziedziniec.

— No, mów — przynaglił Jake.

— Pół godziny temu ktoś zadzwonił i powiedział, że jacyś ludzie planują wysadzić twój dom przed trzecią rano. Potraktowaliśmy sprawę poważnie.

— Dziękuję.

— Pirtle jest na werandzie, a Nesbit z tyłu. Jakieś dziesięć minut temu Pirtle zauważył podejrzany samochód, ale na tym koniec.

— Sprawdziliście wokół domu?

— Tak, nie znaleźliśmy niczego. Jeszcze ich tu nie ma, ale coś mi mówi, że to nie żarty.

— Dlaczego?

— Mam przeczucie.

Jake położył trzydziestkęósemkę obok siebie na kanapie i potarł skronie.

— Co sugerujesz?

— Siedzieć i czekać. To wszystko, co możemy teraz zrobić. Masz karabin?

— Mam tyle broni, że mógłbym dokonać inwazji na Kubę.

— To może idź po nią i się ubierz. Zajmij pozycję w jednym z tych uroczych małych okienek na górze. My ukryjemy się na zewnątrz i będziemy czekać.

— Wystarczy ci ludzi?

— Tak. Myślę, że przyjdzie jeden, najwyżej dwóch.

— Co to za goście?

— Nie wiem. Może członkowie Klanu, a może jacyś wolni strzelcy. Kto wie?

Siedzieli chwilę w zadumie, wpatrując się w ciemną ulicę. Widzieli czubek głowy Pirtle'a zagłębionego w wiklinowym fotelu za oknem.

— Jake, pamiętasz trzech działaczy organizacji humanitarnych zabitych przez Klan w sześćdziesiątym czwartym? Znaleźli ciała zakopane na grobli w okolicy Filadelfii.

— Jasne, byłem wtedy dzieckiem, ale pamiętam.

— Nigdy nie odnaleźliby zwłok, gdyby ktoś im nie powiedział. Ktoś z członków Klanu. Informator. Ktoś ze środka zawsze zakabluje.

— Myślisz, że to robota Klanu?

— Na to wygląda. Czy ktoś by o tym wiedział, gdyby akcję zaplanował jeden lub dwaj wolni strzelcy? Im większa grupa, tym większa szansa, że któryś da cynk.

— Racja. Dlaczego mnie to nie pociesza?

— Oczywiście, ktoś mógł nam zrobić głupi kawał.

— Tylko czemu nikt się nie śmieje?

— Powiesz żonie?

— Tak. Lepiej do niej pójdę.

— Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. Tylko nie

zapalajcie światła. Moglibyście ich spłoszyć.

— Właściwie chciałbym ich spłoszyć.

— A ja chciałbym dorwać drani. Jeśli nie złapiemy ich teraz, spróbują ponownie, a następnym razem mogą nas nie uprzedzić.

Carla ubierała się pospiesznie w ciemności. Była przerażona. Jake położył Hannę na kanapie w salonie. Dziewczynka mruknęła coś pod nosem i spała dalej. Carla trzymała głowę małej, patrząc, jak Jake ładuje karabin.

— Będę na górze w pokoju gościnnym. Nie włączaj świateł. Gliniarze otoczyli dom, więc się nie obawiaj.

— Mam się nie obawiać?! Zwariowałeś?!

— Spróbuj zasnąć.

— Mam zasnąć?! Jake, ty chyba postradałeś rozum!

Nie musieli długo czekać. Ozzie pierwszy wypatrzył go z zarośli przed domem, w których się ukrył. Samotna postać szła jakby nigdy nic ulicą z drugiej strony placu. Facet niósł w ręku małe pudełko lub walizeczkę. Kiedy znalazł się w odległości dwóch domów od nich, ruszył na skróty przez trawniki sąsiadów. Ozzie wyciągnął rewolwer i pałkę policyjną, patrząc jak gość zmierza prosto ku niemu. Jake miał go w lunecie swojego sztucera na jelenie. Pirtle przeczołgał się niczym wąż po werandzie, aby zniknąć w zaroślach, gotowy do skoku.

Nagle postać przemknęła przez sąsiedni trawnik, zmierzając w kierunku bocznej ściany domu Jake'a. Nieznajomy ostrożnie położył małą walizeczkę pod oknem sypialni. Kiedy się odwrócił, żeby uciec, potężna czarna pałka zdzieliła go w bok głowy, w dwóch miejscach uszkadzając ucho tak, że obie części ledwie trzymały się czaszki. Mężczyzna krzyknął i osunął się na ziemię.

— Mam go! — krzyknął Ozzie. Pirtle i Nesbit popędzili w kierunku bocznej ściany domu, a Jake spokojnie zszedł po schodach.

— Wrócę za minutę — powiedział Carli.

Ozzie chwycił podejrzanego za kark i posadził na ziemi obok domu. Facet był przytomny, ale ogłuszony. Walizka leżała kilkanaście centymetrów dalej.

— Nazwisko?! — spytał Ozzie.

Mężczyzna jęknął, złapał się za głowę i nic nie powiedział.

— Zadałem ci pytanie — wycedził Ozzie, pochylając się nad zatrzymanym. Pirtle i Nesbit stali w pobliżu z wyciągniętą bronią, zbyt przerażeni, żeby coś zrobić lub powiedzieć. Jake spojrzał na walizkę.

— Nic nie powiem — odrzekł tamten.

Ozzie uniósł policyjną pałkę i z całej siły walnął w prawą kostkę tamtego. Usłyszeli trzask pękającej kości.

Mężczyzna zawył z bólu i chwycił się za nogę. Ozzie kopnął go w twarz. Intruz upadł na plecy, uderzając głową o ścianę domu. Zwinął się wpół, jęcząc z bólu.

Jake uklęknął obok walizeczki i przyłożył do niej ucho. Chwilę później skoczył na równe nogi i cofnął się w popłochu.

— To cholerstwo tyka — wyszeptał słabym głosem.

Ozzie pochylił się nad zatrzymanym, delikatnie przykładając mu pałkę do nosa.

— Zadam jeszcze tylko jedno pytanie, zanim połamię ci wszystkie kości. Co jest w środku?

Żadnej odpowiedzi.

Ozzie cofnął się i uderzył ponownie, gruchocząc drugą kostkę.

— Co jest w walizce?

— Dynamit — usłyszał zbolałą odpowiedź.

Pirtle wypuścił broń, a Nesbitowi tak skoczyło ciśnienie, że oparł się o ścianę domu. Jake pobladł jak papier i poczuł, że kolana zaczęły mu dygotać. Wbiegł do domu frontowymi drzwiami, krzycząc do Carli:

— Weź kluczyki do samochodu! Kluczyki do wozu!

— Po co? — zapytała nerwowo.

— Zrób, co powiedziałem. Weź kluczyki i wsiądź do samochodu.

Podniósł Hannę i wyniósł ją przez kuchnię do wiaty, pod którą stał samochód, a następnie ułożył na tylnym siedzeniu oldsmobila cutlassa Carli. Ujął żonę za ramię i pomógł wsiąść do samochodu.

— Ruszaj! Nie wracaj przez pół godziny!

— Co się dzieje, Jake? — spytała.

— Później ci powiem. Teraz nie ma czasu. Po prostu odjedź. Jeźdź po mieście przez pół godziny. Trzymaj się z daleka od tej ulicy.

— Dlaczego, Jake? Co znaleźliście?

— Dynamit.

Cofnęła podjazdem i zniknęła.

Kiedy wrócił, lewa ręka zatrzymanego była przykuta kajdankami do licznika gazu obok okna. Facet jęczał, mamrotał pod nosem i przeklinał. Ozzie ostrożnie podniósł walizkę i umieścił między połamanymi nogami podejrzanego, kopiąc je tak, żeby znalazły się w rozkroku. Tamten jęknął jeszcze głośniej. Ozzie, jego ludzie i Jake cofnęli się powoli, obserwując gościa. Facet zaczął płakać.

— Nie wiem, jak ją rozbroić — wycedził przez zaciśnięte zęby.

— Lepiej szybko sobie przypomnij — powiedział Jake, nieco pewniejszym głosem.

Napastnik zamknął oczy i spuścił głowę. Przygryzł wargi, głośno i szybko dysząc. Jego naderwane ucho zwisało jak zwiędły liść.

— Dajcie latarkę.

Pirtle podał mu swoją.

— Potrzebuję obu rąk — powiedział.

— Spróbuj jedną — zachęcił go Ozzie.

Facet delikatnie umieścił palce na zasuwce i zamknął oczy.

— Spadajmy — polecił Ozzie. Schronili się za rogiem, pod wiatą dla samochodów. Najdalej, jak mogli.

— Gdzie jest Carla i twoja córka? — spytał Ozzie.

— Odjechały. Znacie faceta?

— Nie — odrzekł Ozzie.

— Nigdy gościa nie widziałem — powiedział Nesbit.

Pirtle przecząco pokręcił głową.

Ozzie zadzwonił do dyspozytora, a ten do funkcjonariusza Rileya, który był domorosłym ekspertem od materiałów wybuchowych w ich okręgu.

— A jeśli facet zemdleje i bomba wybuchnie? — wystraszył się Jake.

— Chyba ubezpieczyłeś chałupę, Jake? — zapytał Nesbit.

— Bardzo śmieszne!

— Damy mu kilka minut, a później Pirtle do niego pójdzie — oznajmił Ozzie.

— Dlaczego ja?

— Zgoda. Pójdzie Nesbit.

— Niech idzie Jake — podsunął Nesbit. — To jego dom.

— Myślisz, że to zabawne?

Czekali, rozmawiając nerwowo. Nesbit palnął kolejną głupią uwagę o ubezpieczeniu.

— Cicho! — przerwał mu Jake. — Coś słyszałem.

Zamarli. Kilka sekund później zatrzymany krzyknął ponownie. Przebiegli podwórko i powoli wyjrzeli zza węgła. Pusta walizka leżała kilka metrów dalej. Obok faceta wznosiła się schludna sterta kilkunastu lasek dynamitu, a między jego nogami tykał duży okrągły zegar z przewodami zaizolowanymi srebrną taśmą.

— Rozbroiłeś cholerstwo? — spytał niespokojnie Ozzie.

— Taak... — wyszeptał między ciężkimi, przyspieszonymi oddechami.

Ozzie uklęknął przed nim, zabierając zegar i przewody. Nie dotknął dynamitu.

— Gdzie są twoi kumple?

Brak odpowiedzi.

Wyciągnął pałkę i przysunął się bliżej.

— Za chwilę zacznę gruchotać ci żebra. Jedno po drugim.

Lepiej gadaj. Gdzie twoi kumple?

— Pocałuj mnie w dupę.

Ozzie podniósł się i rozejrzał. Nie patrzył na Jake'a i swoich ludzi, ale na sąsiedni dom. Gdy niczego nie zauważył, uniósł pałkę. Lewe ramię zatrzymanego zwisało uczepione licznika gazu. Ozzie uderzył pałką poniżej lewej pachy. Mężczyzna pisnął i szarpnął w lewo. Jake prawie go pożałował.

— Gdzie? — powtórzył Ozzie.

Żadnej odpowiedzi.

Jake odwrócił głowę, gdy szeryf wymierzył kolejny cios w żebra.

— Gdzie są?

Bez odpowiedzi.

Ozzie ponownie uniósł pałkę.

— Przestań... błagam, przestań... — zaskomlał tamten.

— Gadaj, gdzie są?

— Czekają przy tej ulicy. Kilka przecznic dalej.

— Ilu?

— Jeden.

— W jakim wozie?

— Czerwonym GMC.

— Wezwać radiowozy — polecił Ozzie.

Jake stał pod wiatą, niecierpliwie czekając na powrót żony. O drugiej piętnaście zajechała wolno na podjazd i zaparkowała.

— Hanna śpi? — spytał Jake, otwierając drzwi.

— Tak.

— To dobrze. Zostaw ją w samochodzie. Za kilka minut ruszamy.

— Dokąd?

— Porozmawiamy w środku.

Jake nalał sobie kawy, próbując się uspokoić. Carla była przerażona i wściekła. Dygotała, co utrudniało spokojne działanie.

Jake opisał jej bombę i podejrzanego, a następnie wyjaśnił, że Ozzie pojechał po jego wspólnika.

— Chcę, żebyś wyjechała z Hanną do Wilmington i została u rodziców do końca procesu.

Spojrzała na kubek kawy i nie odrzekła ani słowa.

— Już zadzwoniłem do twojego taty i wszystko mu wyjaśniłem. Oni też są przerażeni. Nalegali, żebyś się u nich zatrzymała, dopóki sprawa nie przycichnie.

— A jeśli nie zechcę wyjechać z miasta?

— Proszę, Carlo. Jak możesz się kłócić w takiej chwili?

— A ty?

— Nic mi nie będzie. Ozzie przydzieli mi ochronę. Będą obserwowali dom na okrągło. Przez kilka dni zanocuję w biurze. Będę bezpieczny, obiecuję.

Nie była przekonana.

— Posłuchaj, Carlo. Mam na głowie tysiąc spraw. Mojemu klientowi grozi komora gazowa, a do procesu zostało dziesięć dni. Nie mogę przegrać tej sprawy. Do dwudziestego drugiego będę pracował dniami i nocami. Przed rozpoczęciem procesu i tak nie będziesz mnie widywać. Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebuję, jest martwienie się o ciebie i Hannę. Proszę, wyjedź do rodziców.

— Oni nas zabiją, Jake. Próbowali nas zabić.

Nie mógł zaprzeczyć.

— Obiecałeś, że się wycofasz, jeśli zagrożenie będzie realne.

— To wykluczone. Noose nie pozwoli mi się wycofać. Do procesu zostało kilka dnia.

— Czuję się tak, jakbyś mnie okłamał.

— To niesprawiedliwe. Myślę, że nie doceniłem zagrożenia, a teraz jest już za późno.

Poszła do sypialni i zaczęła się pakować.

— Samolot wylatuje z Memphis o szóstej trzydzieści. Twój tata będzie czekał na lotnisku w Raleigh o dziewiątej trzydzieści.

— Rozkaz, proszę pana.

Piętnaście minut później wyjechali z Clanton. Jake prowadził, a Carla go ignorowała. Hanna była zaspana, ale cieszyła się na myśl, że zobaczy dziadków. O piątej zjedli śniadanie na lotnisku w Memphis. Carla prawie się nie odzywała. Miała mnóstwo do powiedzenia, ale z zasady nie kłócili się w obecności Hanny. Jadła w milczeniu, popijała kawę i patrzyła na męża, który jakby nigdy nic przeglądał gazetę.

Później Jake ucałował je na pożegnanie i obiecał, że będzie dzwonił codziennie. Samolot odleciał o czasie. O siódmej trzydzieści Jake zjawił się w biurze Ozziego.

— Wiesz, co to za jeden? — spytał szeryfa.

— Nie mamy pojęcia. Nie ma portfela ani dokumentów. Niczego. Dodam, że nie jest szczególnie rozmowny.

— Czy ktoś go rozpoznał?

Ozzie pomyślał sekundę.

— Posłuchaj, Jake, w tym momencie trudno byłoby gościa rozpoznać. Ma sporo bandaży na gębie.

Jake uśmiechnął się do niego.

— Grasz ostro, prawda olbrzymie?

— Tylko wtedy, gdy muszę. Nie słyszałem, żebyś miał coś przeciwko temu.

— Nie, chciałem pomóc. Co z jego kumplem?

— Spał w czerwonym GMC w odległości około kilometra od twojego domu. Terrell Grist. Miejscowy wsiok. Mieszka na przedmieściach Lake Village. Myślę, że jest zaprzyjaźniony z rodziną Cobba.

Jake kilka razy powtórzył w myślach to nazwisko.

— Nigdy o nim nie słyszałem. Gdzie jest?

— W szpitalu. W tym samym pokoju co kolega.

— Boże, Ozzie. Jemu też połamałeś nogi?

— Jake, przyjacielu, gość stawiał opór przy aresztowaniu. Musieliśmy go opanować. Później trzeba go było przesłuchać. Nie chciał z nami współpracować.

— Co powiedział?

— Niewiele. Nic nie wiedział. Sądzę, że nie znał faceta z dynamitem.

— Chcesz powiedzieć, że sprowadzili zawodowca?

— Możliwe. Riley obejrzał fajerwerki i urządzenie zegarowe. Powiedział, że to całkiem fachowa robota. Gdyby bomba wybuchła, moglibyśmy nie odnaleźć ciebie, twojej żony, twojej córki i twojego domu. Zegar nastawiono na drugą nad ranem. Gdyby nie przeciek, byłbyś trupem, Jake. Ty i twoja rodzina.

Jake musiał usiąść na kanapie, bo nagle zakręciło mu się w głowie. Jakby ktoś wymierzył mu tęgiego kopniaka w krocze. Mało brakowało, a dostałby biegunki. Na dodatek miał mdłości.

— Wywiozłeś rodzinę z miasta?

— Taak — odparł słabym głosem.

— Dam ci całodobową ochronę. Chciałbyś kogoś konkretnego?

— Wszystko mi jedno.

— Co powiesz na Nesbita?

— W porządku. Dzięki.

— Jeszcze jedno. Domyślam się, że wolałbyś wyciszyć sprawę?

— Jeśli to możliwe. Kto o niej wie?

— Tylko ja i moi ludzie. Myślę, że zdołamy utrzymać to w tajemnicy do procesu, ale nie mogę niczego zagwarantować.

— Rozumiem. Zrób, co możesz.

— Zrobię, Jake.

— Wiem, Ozzie. Jestem ci wdzięczny.

Jake pojechał do kancelarii, zaparzył kawę i położył się na kanapie w swoim gabinecie. Chciał uciąć sobie krótką drzemkę, ale nie mógł zasnąć. Oczy go piekły, niestety nie mógł ich zamknąć. Leżał, gapiąc się w wiatrak na suficie.

— Panie Brigance! — w interkomie huknął głos Ethel.

Bez odpowiedzi.

— Panie Brigance!

Gdzieś w głębokich pokładach podświadomości Jake usłyszał, że go wzywają. Wyprostował się.

— Tak! — krzyknął.

— Dzwoni sędzia Noose.

— Dzień dobry, sędzio — przywitał radośnie Ikaboda, starając się sprawić wrażenie rześkiego i przytomnego.

— Witaj, Jake. Jak się miewasz?

— Znakomicie, panie sędzio. Pracuję, szykuję się do wielkiego procesu.

— Tak sobie pomyślałem. Jakie masz plany na dziś, Jake?

Co to za dzień? — pomyślał Jake. Sięgnął po kalendarz ze spotkaniami.

— Nic z wyjątkiem pracy biurowej.

— Znakomicie. Zapraszam cię do siebie na lunch. Co powiesz na jedenastą trzydzieści?

— Będę uszczęśliwiony, panie sędzio. Jaki będzie cel naszego spotkania?

— Chciałbym omówić z tobą sprawę Haileya.

— Dobrze, panie sędzio. A zatem do zobaczenia o jedenastej trzydzieści.

Rodzina Noose'a mieszkała w okazałym domu sprzed wojny secesyjnej stojącym przy głównym placu w Chester. Dom od wieków należał do rodziny jego żony i choć nie zaszkodziłaby mu konserwacja i naprawy, był w całkiem przyzwoitym stanie. Jake nigdy w nim nie był, nigdy też nie poznał pani Noose, chociaż słyszał, że jest snobką o arystokratycznym pochodzeniu, której rodzina kiedyś miała pieniądze, lecz je straciła. Była równie nieatrakcyjna jak Ikabod, co skłoniło Jake'a do zastanowienia, jak muszą wyglądać ich dzieci. Pani domu okazała się uprzejma, witając Jake'a w drzwiach i nawiązując rozmowę w drodze na patio, gdzie sędzia popijał mrożoną

herbatę i przeglądał korespondencję. Służąca nakrywała w pobliżu mały stolik.

— Miło cię widzieć, Jake — powitał go ciepło Ikabod. — Dziękuję, że przyjechałeś.

— Cała przyjemność po mojej stronie, panie sędzio.

Rozmawiali o sprawie Haileya przy zupie i kanapkach z kurczakiem i sałatą. Ikabod obawiał się czekającej go próby, choć nie chciał się do tego przyznać. Sprawiał wrażenie zmęczonego, jakby ta sprawa była dla niego brzemieniem. Zaskoczył Jake'a wyznaniem, że pogardza Buckleyem. Jake przyznał, że podziela jego uczucia.

— Słuchaj, Jake, sam nie wiem, co począć z wnioskiem o zmianę miejsca procesu — powiedział. — Przestudiowałem twoje argumenty i argumenty Buckleya, zbadałem sytuację prawną. To trudna sprawa. Podczas ostatniego weekendu brałem udział w konferencji dla sędziów nad Zatoką Meksykańską. Wypiliśmy kilka drinków z sędzią Dentonem z Sądu Najwyższego. Studiowaliśmy razem na wydziale prawa, byliśmy kolegami w stanowym senacie. Jesteśmy zaprzyjaźnieni. Denton pochodzi z okręgu Dupree w południowej części Missisipi. Powiedział, że wszyscy u nich gadają o tej sprawie. Ludzie na ulicy pytają go, jak rozstrzygnąłby sprawę, gdyby miał rozpatrywać apelację. Wszyscy mają wyrobione zdanie, choć to prawie sześćset pięćdziesiąt kilometrów stąd. Jeśli wyrażę zgodę na zmianę miejsca procesu, dokąd go przeniesiemy? Nie możemy zorganizować procesu poza granicami stanu. Jestem przekonany, że wszyscy nie tylko słyszeli o twoim kliencie, ale już wydali werdykt. Nie odnosisz podobnego wrażenia?

— No cóż, nadano tej sprawie spory rozgłos — odrzekł ostrożnie Jake.

— Nie bój się mówić, Jake. Nie jesteśmy w sądzie. Dlatego cię zaprosiłem. Chcę poznać twoje zdanie. Wiem, że był spory rozgłos. Gdybym wyraził zgodę, jakie miejsce byś zaproponował?

— Może jakiś okręg w rejonie Delty?

Noose uśmiechnął się pod nosem.

— Chciałbyś, co?

— Oczywiście, wybralibyśmy dobrą ławę przysięgłych. Taką, która potrafiłaby zrozumieć naturę sprawy.

— Taak i składała się w połowie z czarnych członków.

— Nie pomyślałem o tym.

— Naprawdę sądzisz, że ci ludzie nie wydali już werdyktu w sprawie oskarżonego?

— Myślę, że mają wyrobione zdanie.

— W takim razie dokąd mamy przenieść proces?

— Czy sędzia Denton coś zasugerował?

— Niezupełnie. Omówiliśmy tradycyjne argumenty stosowane przez sąd przy odmowie zmiany miejsca procesu, z wykluczeniem najbardziej ohydnych zbrodni. To trudna sprawa w przypadku głośnego przestępstwa, które wzbudza silne namiętności przychylne i wrogie oskarżonemu. Dzisiejsza telewizja i prasa powodują, że takie przestępstwa stają się natychmiast wiadomością dnia. Wszyscy znają szczegóły na długo przed rozpoczęciem procesu. Dodam, że sprawa Haileya bije na głowę wszystkie inne. Nawet Denton przyznał, że nigdy nie słyszał o sprawie, która cieszyłaby się takim rozgłosem. Stwierdził też, że jest rzeczą niemożliwą wybranie sprawiedliwej i bezstronnej ławy przysięgłych w całym stanie Missisipi. Przypuśćmy, że proces odbędzie się w Ford i twój klient zostanie skazany. Złożysz wówczas apelację, twierdząc, że miejsce procesu powinno zostać zmienione. Denton dał do zrozumienia, że poparłby moją decyzję, aby nie przenosić procesu do innego okręgu. Uważa, że większość sędziów wyraziłaby zgodę na odrzucenie twojego wniosku. Oczywiście, to niczego nie gwarantuje. Dyskutowaliśmy o tym przy kilku drinkach. Masz ochotę na jednego?

— Nie, dziękuję.

— Po prostu nie widzę powodu, żeby przenieść proces z Clanton. Gdybyśmy to zrobili, okłamalibyśmy samych siebie,

myśląc, że znajdziemy dwunastu obywateli, którzy jeszcze nie rozstrzygnęli o winie lub niewinności pana Haileya.

— Panie sędzio, mam wrażenie, że pan już zdecydował.

— Tak. Nie wyrażę zgody na zmianę miejsca procesu. Odbędzie się w Clanton. Nie czuję się z tym komfortowo, ale nie widzę powodu do przenoszenia go w inne miejsce. Lubię to miasto. Mam stąd niedaleko do domu, a w gmachu sądu działa klimatyzacja.

Noose sięgnął po teczkę i wyciągnął kopertę.

— Słuchaj, Jake, to postanowienie oddalające twój wniosek o zmianę miejsca procesu. Przesłałem jedną kopię Buckleyowi i jedną tobie. Oryginał jest tutaj. Będę wdzięczny, jeśli przekażesz go urzędnikowi sądowemu w Clanton.

— Z przyjemnością.

— Mam nadzieję, że podjąłem słuszną decyzję. Miałem z tym spory problem.

— To trudna sprawa — przytaknął Jake, próbując okazać współczucie.

Noose przywołał służącą i poprosił o dżin z tonikiem. Nalegał, żeby Jake obejrzał jego różany ogród. Spędzili godzinę na szerokim trawniku za domem, podziwiając kwiaty Ikaboda. Jake pomyślał o Carli, Hannie i własnym domu oraz dynamicie, mężnie okazując zainteresowanie pracami sędziego.

⅄ ⅄ ⅄

Piątkowe popołudnia przypominały Jake'owi czasy studiów na wydziale prawa, kiedy w zależności od pogody zbierali się w ulubionym barze w Oxfordzie i popijali serwowane podczas happy-hour piwo, debatując o nowo poznanych teoriach prawa lub przeklinając bezczelnych, aroganckich i despotycznych profesorów. Jeśli było ciepło i słonecznie, ładowali piwo do wysłużonego garbusa kabrioletu Jake'a i ruszali na plażę w Sardis Lake, gdzie dziewczyny z żeńskiego bractwa smarowały olejkiem swoje piękne brązowe ciała i pociły się w promieniach

słońca, chłodno ignorując gwizdy wstawionych studentów prawa i szczurów z uniwersyteckiego bractwa. Tęsknił za dawnymi beztroskimi dniami. Nienawidził wydziału prawa — jak każdy student, który na nim studiował — ale brakowało mu przyjaciół i dobrej zabawy z tamtych czasów. Szczególnie brakowało mu piątków. Tęsknił za beztroskim życiem pozbawionym napięć, choć czasami i wtedy napięcie stawało się nieznośne, szczególnie na pierwszym roku, kiedy profesorowie byli bardziej grubiańscy niż później. Brakowało mu bycia spłukanym, bo gdy człowiek niczego nie miał, nie był nikomu nic winien, a większość kolegów z roku znajdowała się w podobnym położeniu. Teraz, gdy miał dochody, ustawicznie martwił się kredytem hipotecznym, ogólnymi kosztami działalności, kartami kredytowymi oraz zrealizowaniem amerykańskiego marzenia i stania się zamożnym człowiekiem. Nie paskudnie bogatym, ale po prostu zamożnym. Brakowało mu volkswagena, bo był jego pierwszym nowym samochodem — prezentem, który dostał po skończeniu liceum — i w odróżnieniu od saaba był całkowicie spłacony. Czasami brakowało mu też kawalerskiego życia, choć jego małżeństwo było udane. I brakowało mu piwa, nieważne, z dzbanka, puszki czy butelki. Bez znaczenia. Pił wyłącznie w towarzystwie, z przyjaciółmi, bo spędzał z nimi tyle czasu, ile mógł. Kiedy studiował na wydziale prawa, nie pił codziennie i rzadko się upijał, choć zdarzyło się kilka przypadków bolesnego kaca.

Później zjawiła się Carla. Poznał ją na początku ostatniego semestru, a po pół roku byli już małżeństwem. Była piękna i właśnie to zwróciło jego uwagę. Z początku wydawała się cicha i nieco snobistyczna, jak większość zamożnych dziewcząt ze studenckiej żeńskiej korporacji w Ole Miss. Okazało się jednak, że jest serdeczna, przyjacielska i niepewna siebie. Nigdy nie mógł pojąć, jak ktoś tak piękny jak Carla może czuć się zagrożony. Otrzymała stypendium Deana Lista w dziedzinie nauk humanistycznych, choć zamierzała jedynie uczyć kilka lat

w szkole. Jej rodzina miała pieniądze, a matka nigdy nie pracowała. To przemówiło do Jake'a — rodzinny majątek i brak zawodowych ambicji. Chciał, żeby jego przyszła żona siedziała w domu, była piękna i miała dzieci. I nie próbowała nosić spodni. Jednym słowem pokochali się od pierwszego wejrzenia.

Carla nie tolerowała picia pod żadną postacią. Kiedy była dzieckiem, jej ojciec dużo pił, więc miała wiele bolesnych wspomnień. Jake przechodził ostatni semestr o suchym pysku, ale był wtedy nieprzytomnie zakochany. Brakowało mu tylko jednego — piwa.

Parę kilometrów od Chester znajdował się wiejski sklep spożywczy z logo browaru Coors. Piwo tej marki należało do jego ulubionych, gdy studiował, choć w tym czasie nie można go było kupić na wschód od rzeki. W Ole Miss piwo Coors uchodziło za prawdziwy rarytas. Nielegalne rozprowadzanie tego trunku na terenie campusu było bardzo intratnym zajęciem. Teraz, gdy coors stało się powszechnie dostępne, większość ludzi powróciła do budweisera.

Nadszedł piątek, gorący piątek. Carla bawiła tysiąc pięćset kilometrów dalej. Jake nie miał ochoty iść do biura, a wszystkie sprawy mogły poczekać do jutra. Jakiś czub niedawno próbował zabić mu rodzinę i wykreślić jego stylowy dom z Krajowego Rejestru Zabytków. Do największego procesu jego życia pozostało dziesięć dni. Nie był przygotowany, a presja narastała z każdym dniem. Właśnie przegrał najważniejszy wniosek przedprocesowy. Chciało mu się pić. Zatrzymał się i kupił sześciopak piwa Coors.

Pokonanie odległości stu kilometrów dzielących Chester od Clanton zajmowało prawie dwie godziny. Jake cieszył się odmianą, nową scenerią i piwem. Zatrzymał się dwukrotnie, aby sobie ulżyć, i jeden raz, żeby zakupić kolejny sześciopak. Czuł się wyśmienicie.

W takim stanie mógł się udać w tylko jedno miejsce. Nie do domu, nie do biura i już na pewno nie do sądu, aby złożyć

drańskie postanowienie Ikaboda. Zaparkował swojego saaba za obskurnym małym porsche i ruszył posuwistym krokiem po podjeździe z puszką chłodnego piwa w ręku. Lucien jak zwykle kołysał się leniwie na frontowej werandzie, popijając to i owo oraz czytając rozprawę o wykorzystaniu argumentu niepoczytalności w obronie sądowej. Zamknął książkę, spojrzał na piwo i uśmiechnął się do swojego byłego współpracownika. Uśmiechnął się do Jake'a, a Jake uśmiechnął się do niego.

— Cóż to za okazja, Jake?

— Nic szczególnego, po prostu byłem spragniony.

— Rozumiem, a żona?

— Żona nie będzie mi mówić, co mam robić. Jestem panem samego siebie. Szefem. Jeśli mam ochotę na piwo, będę pił piwo, a ona nie powie ani słowa. — Mówiąc to, Jake pociągnął głębszy łyk.

— Pewnie nie ma jej w mieście?

— Jest w Karolinie Północnej.

— Kiedy wyjechała?

— O szóstej rano. Poleciała z Memphis razem z Hanną. Zostanie u rodziców w Wilmington do końca procesu. Mają tam ładny mały dom koło plaży, w którym spędzają lato.

— Wyjechała rano, a ty zdążyłeś się upić do popołudnia?

— Nie jestem pijany — zaprzeczył kategorycznie Jake. — Jeszcze nie.

— Od dawna pijesz?

— Od kilku godzin. Kupiłem sześciopak około trzynastej trzydzieści, kiedy wyszedłem od Noose'a. A ty od kiedy pijesz?

— Zwykle od śniadania. Czemu pojechałeś do Noose'a?

— Rozmawialiśmy o sprawie Haileya przy lunchu. Nie zgodził się na zmianę miejsca procesu.

— Co?!

— Przecież słyszałeś. Proces odbędzie się w Clanton.

Lucien zajrzał do szklanki i zagrzechotał kostkami lodu.

— Sallie! — krzyknął. — Podał jakiś powód?

— Taak. Uważa, że w tym stanie nie znajdziemy przysięgłych, którzy nie słyszeli o sprawie Haileya.

— A nie mówiłem? Istnieją zdroworozsądkowe powody, żeby nie zmieniać miejsca procesu, ale podstawy prawne wydają się wątłe. Noose jest w błędzie.

Sallie nadeszła ze świeżym drinkiem i zaniosła piwo Jake'a do lodówki. Lucien pociągnął łyk i cmoknął. Otarł wargi ramieniem i wziął kolejny długi łyk.

— Wiesz, co to oznacza, prawda? — zapytał.

— Jasne. Ławę przysięgłych złożoną z samych białych.

— To oraz uchylenie wyroku apelacji, jeśli Hailey zostanie skazany.

— Na to bym nie liczył. Noose konsultował się z Sądem Najwyższym. Uważa, że opowiedzą się po jego stronie, jeśli zakwestionujemy werdykt. Myśli, że stoi na twardym gruncie.

— To idiota. Mogę przytoczyć dwadzieścia spraw, z których wynika, że miejsce procesu powinno zostać zmienione. Myślę, że Noose obawia się to zrobić.

— Niby czego miałby się bać?

— Naciskają go.

— Kto?

Lucien przyjrzał się z lubością złocistemu płynowi w swojej szklance i wolno zamieszał kostki lodu palcem. Uśmiechnął się i spojrzał tak, jakby coś wiedział, ale nie chciał powiedzieć, chyba że będą go o to błagać.

— Kto na niego naciska? — spytał Jake, spoglądając na przyjaciela błyszczącymi, zaczerwienionymi oczami.

— Buckley — odparł Lucien, wyraźnie zadowolony z siebie.

— Buckley? — powtórzył Jake. — Nie rozumiem.

— Wiedziałem, że nie zrozumiesz.

— Mógłbyś to wyjaśnić?

— Pewnie tak, ale nie możesz tego nikomu powtórzyć. To bardzo poufna informacja. Pochodzi z dobrego źródła.

— Od kogo?

— Nie mogę zdradzić.

— Kto jest twoim źródłem? — naciskał Jake.

— Przecież powiedziałem, że nie mogę zdradzić. Nie powiem. Jasne?

— W jaki sposób Buckley może wywierać presję na Noose'a?

— Jeśli zechcesz posłuchać, to ci wyjaśnię.

— Buckley nie może wpływać na Noose'a. Ikabod nim gardzi. Wyznał mi to dzisiaj przy lunchu.

— Doskonale go rozumiem.

— Jak w takim razie możesz twierdzić, że Noose czuje presję ze strony Buckleya?

— Zamknij się, to ci powiem.

Jake dopił piwo i zawołał Sallie.

— Wiesz, jakim rzezimieszkiem i polityczną dziwką jest Buckley.

Jake skinął głową.

— Wiesz, jak bardzo zależy mu na tym, aby wygrać ten proces. Sądzi, że jeśli wygra, będzie mógł rozpocząć kampanię o urząd prokuratora generalnego.

— Gubernatora — poprawił go Jake.

— Wszystko jedno. Facet jest ambitny, nie?

— Zgoda.

— Gość skrzykuje politycznych kumpli z całego okręgu, prosząc, aby dzwonili do Noose'a i sugerowali, że proces powinien się odbyć w okręgu Ford. Niektórzy byli z Noose'em szczerzy do bólu. Wiesz, jeśli wyrazisz zgodę na zmianę miejsca procesu, nie poprzemy cię w następnych wyborach. Pozostaw go w Clanton, a ci pomożemy.

— Nie mogę uwierzyć.

— Rozumiem, ale to prawda.

— Skąd wiesz?

— Mam swoje źródła.

— Kto do niego dzwonił?

— Podam przykład. Pamiętasz tego zbira, który był szeryfem

w okręgu Van Buren? Motleya? Dorwało go FBI, ale już wyszedł. Jest nadal bardzo popularny w swoim okręgu.

— Taak, pamiętam.

— Wiem, że gość poszedł do domu Noose'a z kilkoma kumplami i dał wyraźnie do zrozumienia, żeby sędzia pozostawił sprawę w Clanton. Buckley ich do tego skłonił.

— Co Noose im odpowiedział?

— Ostro sklęli jedni drugich. Motley powiedział Noose'owi, że w następnych wyborach nie dostanie pięćdziesięciu głosów okręgu Van Buren. Obiecali, że będą wrzucać więcej kart do głosowania, zastraszać czarnych, fałszować karty tych, którzy nie przyjdą na wybory, i stosować inne metody typowe dla okręgu Van Buren. Noose wie, że to zrobią.

— Czemu miałby się tego obawiać?

— Nie bądź głupcem, Jake. Noose to stary dziad, który nie potrafi robić niczego więcej oprócz sędziowania. Myślisz, że mógłby otworzyć kancelarię prawniczą? Zarabia sześćdziesiąt tysięcy rocznie. Musiałby głodować, gdyby przegrał następne wybory. Większość sędziów znajduje się w podobnej sytuacji. Musi zachować robotę. Buckley o tym wie, dlatego rozmawia z miejscowymi bigotami. Podjudza ich i mówi, że czarnuch łachudra może zostać uniewinniony, jeśli proces zostanie przeniesiony. Że powinni wywrzeć lekki nacisk na sędziego. Dlatego Noose odczuwa presję.

Pili kilka minut w milczeniu, kołysząc się delikatnie w drewnianych fotelach. Piwo miało cudowny smak.

— Jest coś jeszcze — podjął Lucien.

— W czyjej sprawie?

— Noose'a.

— Tak?

— Otrzymał pogróżki. Nie chodzi o pogróżki polityczne, grożono mu śmiercią. Słyszałem, że jest przerażony. Zwrócił się do policji z prośbą o pilnowanie domu. Nosi ze sobą broń.

— Znam to uczucie — wymamrotał Jake.

— Taak, słyszałem.
— O czym?
— O dynamicie. Co to za facet?
Jake osłupiał. Gapił się jak oniemiały na Luciena, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.
— Nie pytaj. Mam swoje kontakty. Co to za jeden?
— Nikt nie wie.
— Wygląda na profesjonalistę.
— Dzięki, dodałeś mi otuchy.
— Bądź moim gościem. Mam pięć sypialni.

⅄ ⅄ ⅄

Słońce już zaszło, gdy Ozzie zaparkował radiowóz za saabem, który nadal stał za porsche. Wszedł po schodach prowadzących na ganek. Lucien spostrzegł go pierwszy.
Chciał zawołać „Witaj, szeryfie!”, ale sztywny, opuchnięty język odmówił posłuszeństwa.
— Dobry wieczór, Lucienie. Gdzie jest Jake?
Lucien wskazał głową drugi koniec werandy, gdzie leżał Brigance, rozciągnięty na bujanej ławie.
— Uciął sobie drzemkę — wyjaśnił uczynnie Lucien.
Ozzie ruszył po skrzypiących deskach i stanął nad pogrążoną we śnie, spokojnie chrapiącą postacią. Delikatnie szturchnął go w żebra. Jake otworzył oczy, rozpaczliwie próbując się podnieść.
— Carla dzwoniła do mojego biura. Szuka cię. Jest przerażona. Wydzwania do ludzi całe popołudnie, nie mogąc cię znaleźć. Nikt cię nie widział. Ona myśli, że nie żyjesz.
Jake potarł oczy, a ławka lekko zadrżała.
— Powiedz jej, że nie umarłem. Że mnie widziałeś. Że rozmawialiśmy i nie masz cienia wątpliwości, że żyję. Powiedz, że jutro do niej zadzwonię. Powiedz jej to, Ozzie. Błagam.
— Nie ma mowy, kolego. Jesteś dużym chłopcem. Sam do niej zadzwoń. — Ozzie zszedł z werandy, wyraźnie zdegustowany.

Jake dźwignął się na nogi i powlókł do domu.

— Gdzie jest telefon?! — krzyknął do Sallie. Wykręcając numer, słyszał Luciena zanoszącego się niekontrolowanym śmiechem na werandzie.

Rozdział 26

Ostatniego kaca miał na studiach, kiedy uczył się na wydziale prawa, sześć lub siedem lat temu. Nie pamiętał dokładnie. To znaczy nie pamiętał daty. Nie pamiętał daty, ale łupanie w głowie, suche usta, krótki oddech i pieczenie oczu przywołały bolesne, żywe wspomnienia długich niezapomnianych popijaw, podczas których sączyli smakowity brązowy napój.

Wiedział, że jest w tarapatach, gdy tylko otworzył lewe oko. Powieki prawego były mocno zlepione. Wiedział, że się nie rozkleją, jeśli nie zrobi tego manualnie, czyli palcami, ale obawiał się poruszyć. Leżał w ciemnym pokoju na kanapie, w ubraniu i butach. Nasłuchiwał, jak wali mu w głowie, i obserwował wiatrak obracający się wolno na suficie. Czuł mdłości. Bolała go szyja, bo spał bez poduszki. Stopy pulsowały, bo nie zdjął butów. Czuł ściskanie w żołądku, a w środku wszystko mu się przewracało, co zapowiadało wymioty. W takim stanie chętnie powitałby śmierć.

Jake miał problem z kacem, bo nie umiał go przespać. Kiedy otworzył oczy, jego mózg się budził i zaczynał ponownie pracować. Natychmiast powracał pulsujący ból między skroniami,

tak ogromny, że nie pozwalał zasnąć. Jake nigdy nie potrafił tego zrozumieć. Jego koledzy z wydziału prawa potrafili spać z kacem całymi dniami, ale nie Jake. Nigdy nie udało mu się przespać dłużej niż kilka godzin po opróżnieniu ostatniej puszki lub butelki.

Dlaczego?! Następnego dnia zawsze zadawał sobie to pytanie. Dlaczego, ach, dlaczego to zrobił? Zimne piwo było orzeźwiające. Może dwa lub trzy, ale dziesięć, piętnaście lub dwadzieścia? Dawno stracił rachubę. Po sześciu puszkach piwo traciło smak, a później piło się dla samego picia, picia i upicia. Lucien był bardzo uczynny. Przed zapadnięciem zmroku wysłał Sallie do sklepu po całą skrzynkę coorsów, za które ochoczo zapłacił, a później zachęcał Jake'a do picia. Zostało tylko kilka puszek. To Lucien był wszystkiemu winien.

Jake wolno opuścił nogi, najpierw jedną, a później drugą, stawiając stopy na podłodze. Delikatnie rozmasował skronie. Na próżno. Wziął głęboki oddech, ale serce szybko mu biło, pompując więcej krwi do mózgu i dostarczając paliwa małym wiertarkom udarowym pracującym we wnętrzu jego głowy. Musiał napić się wody. Jego język był tak suchy i opuchnięty, że łatwiej było trzymać usta otwarte, jak pies podczas upału. Dlaczego? Ach, dlaczego?

Wstał ostrożnie, powoli i nieporadnie, i powlókł się do kuchni. Światełko nad kuchenką było osłonięte i przyćmione, ale mimo to przeszywało ciemności i kłuło w oczy. Potarł powieki, próbując je oczyścić cuchnącymi palcami. Wolno chłeptał letnią wodę, pozwalając, aby spływała mu po brodzie i kapała na podłogę. Było mu wszystko jedno. Sallie posprząta. Zegar na blacie wskazywał drugą trzydzieści.

Nabrawszy rozpędu, Jake przeszedł cicho, choć niezdarnie przez salon, mijając kanapę, na której nie było poduszki. Wyszedł na dwór. Weranda była zasłana pustymi puszkami i butelkami. Dlaczego?

Siedział godzinę pod gorącym prysznicem w swoim biurze,

nie mogąc się poruszyć. Kąpiel złagodziła sztywność i obolałość ciała, ale nie zmniejszyła gwałtownego wirowania w głowie. Raz, kiedy był na studiach, zdołał się doczołgać z łóżka do lodówki po piwo. Wypił je i pomogło, a później wypił kolejne i poczuł się dużo lepiej. Przypomniał sobie o tym, siedząc pod prysznicem, ale myśl o kolejnym piwie sprawiła, że zachciało mu się rzygać.

Leżał w bieliźnie na stole w pokoju konferencyjnym, starając się ze wszystkich sił umrzeć. Miał wystarczająco wysoką polisę na życie. Zostawiliby w spokoju jego dom. Nowy prawnik podjąłby rozpoczęte sprawy.

Do procesu zostało dziewięć dni. Czasu było niewiele, czas był bezcenny, a on stracił cały dzień na walkę z kacem. Kiedy pomyślał o Carli, ból głowy się nasilił. Próbował mówić tak, jakby był trzeźwy. Powiedział, że razem z Lucienem spędzili popołudnie na analizowaniu spraw, w których powołano się na niepoczytalność oskarżonego. Że oddzwoniłby wcześniej, ale telefony nie działały, a przynajmniej nie działał ten u Luciena. Ale język miał ciężki i mówił powoli, więc domyśliła się, że jest pijany. Wpadła w furię. Kontrolowaną furię. Tak, jej dom nadal stoi. Tylko w to mu uwierzyła.

O szóstej trzydzieści zadzwonił ponownie. Może Carla będzie pod wrażeniem, kiedy usłyszy, że już o świcie jest w biurze i pilnie pracuje. Nie była. Z wielkim bólem i hartem ducha silił się na to, aby jego głos brzmiał rześko, a nawet radośnie. Nie zrobiło to na niej większego wrażenia.

— Jak się czujesz? — zaczęła wypytywać.

— Świetnie! — odpowiedział z zamkniętymi oczami.

— O której położyłeś się do łóżka?

Jakiego łóżka? — pomyślał.

— Zaraz po naszej rozmowie.

Nie odpowiedziała.

— Przyjechałem do biura o trzeciej rano — oznajmił dumnie.

— O trzeciej?!

— Taak, nie mogłem zasnąć.

— Przecież w czwartek nie zmrużyłeś oka. — W jej lodowatym głosie pojawiła się nutka zatroskania, która sprawiła, że od razu poczuł się lepiej.

— Nic mi nie będzie. W tym i następnym tygodniu mogę nocować u Luciena. Tak będzie bezpieczniej.

— A twoja ochrona?

— Ano, taak. Nesbit z biura szeryfa. Zaparkował przed domem. Śpi w radiowozie.

Zawahała się. Poczuł, że linia telefoniczna nieco odtajała.

— Martwiłam się o ciebie — powiedziała ciepło.

— Nic mi nie będzie, kochanie. Zadzwonię jutro. Muszę się zabrać do pracy.

Odłożył słuchawkę, pobiegł do ubikacji i zwymiotował.

Pukanie do drzwi nie ustawało. Jake ignorował je przez piętnaście minut, ale człowiek na zewnątrz wiedział, że jest w środku, i nie przestawał się dobijać.

Jake Wyszedł na balkon.

— Kto tam?! — wykrzyczał na ulicę.

Spod balkonu wyszła jakaś kobieta i oparła się o czarne bmw zaparkowane obok saaba. Jej dłonie tkwiły głęboko w kieszeniach wypłowiałych obcisłych dżinsów. Południowe słońce mocno świeciło, oślepiając ją, gdy patrzyła w jego stronę. Oświetlało również jej jasne, złocistorude włosy.

— Pan Jake Brigance? — spytała, zasłaniając oczy przedramieniem.

— Taak. Czego pani chce?!

— Muszę z panem pogadać.

— Jestem bardzo zajęty.

— To bardzo ważne.

— Nie jest pani klientką, prawda? — zapytał, przesuwając wzrok na zgrabną figurę i stwierdzając, że faktycznie nie jest

jego klientką.

— Nie, zabiorę panu tylko pięć minut.

Jake otworzył drzwi. Weszła swobodnym krokiem, jakby była właścicielką kancelarii. Mocno uścisnęła jego dłoń.

— Jestem Ellen Roark.

Wskazał jej krzesło obok drzwi.

— Miło panią poznać. Proszę usiąść.

Przycupnął na rogu biurka Ethel.

— Jedna czy dwie sylaby?

— Przepraszam?

Miała szybki, pewny siebie sposób mówienia charakterystyczny dla mieszkańców Północnego Wschodu, przytępiony przez czas spędzony na Południu.

— Nazywa się pani Rork czy Row Ark?

— R-o-a-r-k. W Bostonie mówią Rork, a w Missisipi Row Ark.

— Mogę mówić pani Ellen?

— Proszę, z dwiema sylabami. A ja mogę zwracać się do pana Jake?

— Tak, proszę bardzo.

— Dobrze, nie planowałam używać formy pan.

— Powiada pani, że jest z Bostonu?

— Taak, tam się urodziłam. Studiowałam w Boston College. Mój tata to Sheldon Roark, znany bostoński adwokat specjalizujący się w sprawach karnych.

— Musiałem go przeoczyć. Co cię sprowadza do Missisipi?

— Studiuję na wydziale prawa w Ole Miss.

— Ole Miss! Jakim cudem tu trafiłaś?

— Moja matka pochodzi z Natchez. Była uroczą małą dziewczyną z korporacji studenckiej w Ole Miss. Później przeprowadziła się do Nowego Jorku, gdzie poznała mojego tatę.

— Poślubiłem uroczą małą dziewczynę z korporacji studenckiej w Ole Miss.

— Mają tam duży wybór.

— Napijesz się kawy?

— Nie, dziękuję.

— Skoro już się poznaliśmy, powiedz, co cię sprowadza do Clanton.

— Carl Lee Hailey.

— Nie jestem zaskoczony.

— Skończę prawo w grudniu. Spędzam lato w Oxfordzie, starając się jakoś zabić czas. Studiowałam procedurę karną u Guthriego, ale jestem znudzona.

— Zwariowany George Guthrie.

— Taak, nadal jest stuknięty.

— Oblał mnie na pierwszym roku. Z konstytucyjnego.

— Przejdźmy do rzeczy. Chciałabym ci pomóc z procesem.

Jake uśmiechnął się i usiadł w mocnym obrotowym fotelu Ethel. Przyjrzał się jej uważnie. Czarna bawełniana bluzka polo modnie przebarwiona i starannie odprasowana. Krągłe linie i delikatne cienie ujawniające kształtny biust. Brak stanika. Gęste kręcone włosy wdzięcznie opadające na ramiona.

— Czemu sądzisz, że potrzebuję pomocy?

— Wiem, że sam prowadzisz kancelarię. Wiem też, że nie zatrudniasz aplikantów.

— Skąd?

— Z „Newsweeka".

— No tak. Wspaniała publikacja i ładne zdjęcie, prawda?

— Wyglądasz na nieco spiętego, ale jest spoko. Lepiej prezentujesz się na żywo.

— Jakie masz kwalifikacje?

— Pochodzę z rodziny geniuszy. Skończyłam BC* *summa cum laude***. Jestem druga na roku. Minionego lata przepracowałam trzy miesiące w Southern Prisoners Defense League*** w Birmingham i byłam chłopcem na posyłki podczas

---

* Boston College.

** Z wyróżnieniem (łac.).

siedmiu procesów, w których oskarżonemu groziła kara śmierci. Przyglądałam się, jak Elmer Wayne Doss umiera na Florydzie na krześle elektrycznym i obserwowałam, jak Willie Ray Ash otrzymuje śmiertelny zastrzyk w Teksasie. W wolnym czasie na Ole Miss sporządzam pisma procesowe dla ACLU. Pracuję przy dwóch apelacjach w sprawie kary śmierci dla kancelarii prawnej ze Spartanburga w Karolinie Południowej. Wychowałam się w firmie prawniczej ojca, więc potrafiłam przeprowadzać badania prawne, zanim otrzymałam prawo jazdy. Obserwowałam, jak bronił morderców, gwałcicieli, malwersantów, szantażystów, terrorystów, zabójców, ludzi molestujących nieletnich, pedofilów, zabójców dzieci i dzieci, które zabiły własnych rodziców. Kiedy byłam w liceum, pracowałam czterdzieści godzin w tygodniu w jego biurze i pięćdziesiąt, kiedy zaczęłam chodzić do college'u. Zatrudnia w swojej kancelarii osiemnastu prawników — niezwykle inteligentnych i utalentowanych. To doskonały poligon dla karnisty, a ja spędziłam tam czternaście lat. Mam dwadzieścia pięć lat, a gdy dorosnę, chcę być adwokatem od spraw karnych, o radykalnych poglądach jak mój tata, i zapisać wspaniałą kartę w walce z karą śmierci.

— To wszystko?

— Mój stary jest nieprzyzwoicie bogaty. Chociaż pochodzimy z Irlandii i jesteśmy katolikami, jestem jego jedynym dzieckiem. Mam więcej forsy od ciebie, więc będę pracowała za darmo. Bez zapłaty. Darmowa asystentka prawna na trzy tygodnie. Będę wykonywała wszystkie opracowania, pisała na maszynie i odpowiadała na telefony.

— Obawiam się, że chcesz zostać moim wspólnikiem.

— Nie. Jestem kobietą. Wiem, że Clanton leży na Południu. Znam swoje miejsce.

— Dlaczego interesujesz się tą sprawą?

— Chcę przebywać na sali sądowej. Uwielbiam procesy karne, wielkie sprawy, w których stawką jest ludzkie życie, a presja tak silna, że można ją wyczuć w powietrzu. Gdy sala

Rasa Południowa, Liga Obrony Więźniów

pęka w szwach i zastosowano najwyższe środki ostrożności. Gdy połowa ludzi nienawidzi oskarżonego, a druga modli się, żeby wyszedł na wolność. Uwielbiam to. Zapowiada się proces stulecia. Nie jestem Południowcem. Ten stan nie przestaje mnie zdumiewać, ale pokochałam go perwersyjną miłością. Uprzedzenia rasowe są tu ogromne. Proces czarnego ojca, który zabił dwóch białych za to, że zgwałcili jego córkę... Mój tata powiedział, że wziąłby taką sprawę za darmo.

— Powiedz mu, żeby został w Bostonie.

— To proces marzeń każdego prawnika. Po prostu chcę w nim uczestniczyć. Nie będę ci wchodzić w paradę, obiecuję. Pozwól mi tylko pracować na drugim planie i przypatrywać się rozprawie.

— Sędzia Noose nienawidzi kobiet prawniczek.

— Jak każdy sędzia z Południa. Pamiętaj, że nie jestem prawnikiem, ale studentką prawa.

— Pozwolę, żebyś mu to wyjaśniła.

— To jak? Dostałam robotę?

Jake przestał się jej przyglądać i westchnął głęboko. Przez żołądek i płuca przeszła słaba fala nudności. Zaczerpnął powietrza. Młoty pneumatyczne znowu zaczęły walić jak oszalałe. Zdecydowanie nie mógł się oddalać od toalety.

— Tak, dostałaś robotę. Przyda mi się parę darmowych badań. Jak zapewne wiesz, takie sprawy są bardzo skomplikowane.

Jej twarz rozbłysła uroczym asertywnym uśmiechem.

— Kiedy zaczynam?

— Dziś.

Jake oprowadził ją po kancelarii i wskazał pokój wojenny na górze. Później położyli teczkę ze sprawą Haileya na stole konferencyjnym i przez godzinę kopiowali dokumenty.

O czternastej trzydzieści Jake obudził się z drzemki na kanapie. Zszedł na dół do sali konferencyjnej. Ellen zdjęła z półek połowę książek i rozłożyła je na całej długości stołu. Co

jakieś pięćdziesiąt kartek z tomiszczy sterczały zakładki. Była zajęta sporządzaniem notatek.

— Niezła biblioteka — powiedziała.

— Niektóre z tych książek nie były używane od dwudziestu lat.

— Zauważyłam kurz.

— Jesteś głodna?

— Tak. Umieram z głodu.

— Za rogiem jest mała kawiarenka, której specjalnością są tłuste dania ze smażoną kukurydzą. Mój organizm potrzebuje zastrzyku tłuszczu.

— Brzmi przepysznie.

Obeszli plac, kierując się do Claude'a, gdzie w sobotnie popołudnie było niewielu gości. Na sali nie siedział żaden biały. Claude był nieobecny, a cisza ogłuszała. Jake zamówił cheeseburgera, smażoną cebulkę oraz trzy proszki od bólu głowy.

— Boli cię głowa? — spytała Ellen.

— Potwornie.

— Stres?

— Kac.

— Kac? Sądziłam, że jesteś abstynentem.

— Skąd się o tym dowiedziałaś?

— Z „Newsweeka". Napisali, że jesteś porządnym mężem i ojcem, pracoholikiem i religijnym prezbiterianinem, który stroni od alkoholu i pali tanie cygara. Nie pamiętasz? Nie, tego byś nie zapomniał.

— Wierzysz we wszystko, co przeczytasz?

— Nie.

— To dobrze, bo ostatniej nocy się urżnąłem i wymiotowałem cały ranek.

Jego nowa asystentka prawna była wyraźnie ubawiona.

— Co pijasz?

— Słuchaj... nie pamiętam. Nie piłem aż do wczoraj. To mój pierwszy kac od czasów studenckich. Mam nadzieję, że ostatni.

Zapomniałem, jakie paskudne to uczucie.

— Czemu prawnicy tyle piją?

— Nauczyli się tego na wydziale prawa. Czy twój ojciec pije?

— Żartujesz? Jesteśmy katolikami. Pije, ale uważa.

— A ty? Pijesz?

— Jasne, mnóstwo — oświadczyła dumnie.

— W takim razie będziesz znakomitym prawnikiem.

Jake starannie rozmieszał trzy saszetki środka przeciwbólowego w szklance wody z lodem i wypił duszkiem. Obserwowała go uważnie, z uśmiechem rozbawienia na twarzy.

— Jak zareagowałaby twoja żona?

— Na co?

— Na kaca. Na kaca, który przydarzył się religijnemu mężowi i ojcu?

— O niczym nie wie. Wyjechała wczoraj wczesnym rankiem.

— Przepraszam.

— Zostanie u rodziców do końca procesu. Od dwóch miesięcy otrzymywaliśmy anonimowe telefony z pogróżkami. Grożono nam śmiercią. Wczoraj wczesnym rankiem podłożyli dynamit pod oknem naszej sypialni. Na szczęście gliniarze w porę go znaleźli. Złapali sprawcę. Facet przypuszczalnie należy do Klanu. Dynamitu było dość, żeby zrównać dom z ziemią i zabić nas wszystkich. Dobra wymówka, żeby się upić.

— Przepraszam.

— Praca, której się właśnie podjęłaś, może być bardzo niebezpieczna. Powinnaś o tym wiedzieć.

— Już wcześniej mi grożono. Ostatniego lata w Dothan, w Alabamie, broniliśmy dwóch czarnoskórych nastolatków, którzy zgwałcili analnie, a później udusili osiemdziesięcioletnią kobietę. Żaden prawnik w stanie nie wziąłby takiej sprawy, więc zadzwonili do Defense League. Wjechaliśmy do miasta na czarnych koniach. Sam nasz widok wystarczył, żeby na rogach ulic pojawił się żądny linczu tłum. Nigdy nie czułam się tak znienawidzona. Zaszyliśmy się w motelu w sąsiednim miasteczku

i czuliśmy się bezpieczni, dopóki pewnej nocy dwóch mężczyzn nie osaczyło mnie w holu i nie próbowało uprowadzić.

— Czym się to skończyło?

— Noszę w torebce trzydziestkęósemkę, taką o zadartej lufie. Przekonałam ich, że wiem, jak się nią posługiwać.

— Trzydziestkaósemka z krótką lufą?!

— Dostałam od taty na piętnaste urodziny. Mam pozwolenie na broń.

— Twój ojciec musi być niezłym gościem.

— Został kilkakrotnie postrzelony. Bierze bardzo kontrowersyjne sprawy, takie, o których piszą w gazetach. Ma często do czynienia z rozjuszoną publicznością, która żąda, aby oskarżony został powieszony bez procesu i prawnika. Takie sprawy tatuś lubi najbardziej. Ma ochronę przez całą dobę.

— Wielka rzecz. Ja też mam ochroniarza. To Nesbit z biura szeryfa. Nie trafiłby w ścianę stodoły z dubeltówki. Wczoraj mi go dali.

Zjawiło się jedzenie. Ellen wyjęła cebulkę i pomidory ze swojego claudeburgera i zaproponowała, że odda mu frytki. Przekroiła bułkę na pół i skubnęła odrobinę, jak ptaszek. Na talerz kapnął roztopiony tłuszcz. Po każdym małym kęsie starannie ocierała usta.

Choć jej twarz była pogodna i uśmiechnięta, sprzeczna z wizerunkiem typowej wrednej działaczki ACLU i ERA* skandującej „Spalić staniki" i „Umiem przeklinać lepiej niż ty", Jake dobrze wiedział, co się czai pod powierzchnią. Na twarzy Ellen nie było ani śladu makijażu. Nie był zresztą potrzebny. Ellen nie była piękna ani urocza, ale nie przywiązywała do tego wagi. Miała jasną, zdrową karnację rudzielca. Na małym spiczastym nosie widniało siedem lub osiem rozproszonych piegów. Często się uśmiechała, a jej wargi cudownie się rozchylały, unosząc skórę i tworząc zgrabne, zalotne dołeczki.

---

* Equal Rights Advocates, charytatywna organizacja broniąca praw kobiet.

Jej uśmiech był pewny siebie, wyzywający i tajemniczy. Kiedy mówiła, metalicznie zielone oczy promieniowały cichą furią, skupione i nieruchome.

Inteligentna twarz, atrakcyjna jak diabli.

Jake przeżuwał swojego cheeseburgera, starając się nonszalancko ignorować jej spojrzenie. Ciężkie jedzenie dotarło do żołądka i pierwszy raz od dziesięciu godzin pomyślał, że być może zdoła przeżyć.

— Mówiąc poważnie, czemu wybrałaś Ole Miss? — zapytał.

— Mają tam dobry wydział prawa.

— To moja szkoła, ale zwykle nie przyciąga najinteligentniejszych studentów z Północnego Wschodu. Ciągnie ich do krainy Ivy League. Tam posyłamy nasze najzdolniejsze dzieciaki.

— Ojciec nienawidzi każdego prawnika z dyplomem uniwersytetu Ivy League. Był bardzo biedny. Żeby skończyć prawo, musiał pracować po nocach. Całe życie znosił docinki bogatych, dobrze wykształconych i niekompetentnych prawników. Teraz się z nich śmieje. Powiedział mi, że mogę wybrać dowolny wydział prawa w kraju, ale jeśli zdecyduję się na uczelnię z Ivy League, nie zapłaci. Była też matka. Wychowywałam się, słuchając opowieści o cudownym życiu na głębokim Południu. Musiałam więc to zobaczyć na własne oczy. Do tego w stanach Południa nadal stosuje się karę śmierci, więc pomyślałam sobie, że tam skończę.

— Czemu jesteś przeciwna karze śmierci?

— A ty nie jesteś?

— Nie, szczerze mówiąc, ją popieram.

— To niewiarygodne! Adwokat broniący w sprawach karnych popiera karę śmierci?

— Marzę o powrocie do czasów publicznych egzekucji na trawniku przed sądem.

— Żartujesz, prawda? Mam nadzieję. Powiedz, że tak.

— Nie.

Przestała jeść i się uśmiechać. Jej oczy błysnęły gniewnie, szukając najmniejszej oznaki słabości.

— Powiedziałeś to serio!

— Tak, bardzo serio. Według mnie problem z karą śmierci polega na tym, że stosujemy ją zbyt rzadko.

— Wyjaśniłeś to panu Haileyowi?

— Pan Hailey nie zasługuje na karę śmierci, w przeciwieństwie do dwóch mężczyzn, którzy zgwałcili jego małą córeczkę.

— Rozumiem. Jak rozstrzygasz, kto na nią zasługuje, a kto nie?

— To proste. Patrzysz na popełnione przestępstwo, a później na przestępcę. Jeśli gość jest handlarzem narkotyków, który zastrzelił działającego pod przykrywką policjanta z wydziału narkotykowego, zasłużył na komorę gazową. Jeśli jest włóczęgą, który zgwałcił trzyletnią dziewczynkę, a później utopił, trzymając jej maleńką główkę w kałuży błota, by na koniec zrzucić ciało z mostu, pozbawiamy go życia i dziękujemy Bogu, że nie ma go już wśród nas. Jeśli jest zbiegłym skazańcem, który włamuje się na farmę późną nocą, bije i torturuje starsze małżeństwo, a później spala w ich własnym domu, przytwierdzasz go do elektrycznego krzesła, podłączasz kilka przewodów, zmawiasz modlitwę za jego duszę i przekręcasz wajchę. Jeśli dwóch pijanych narkomanów popełnia gwałt zbiorowy na dziesięcioletniej dziewczynce, a później kopie ją kowbojskimi buciorami o ostrym szpicu, aż złamie szczękę, zamykasz ich radośnie w komorze gazowej i słuchasz, jak kwiczą. To bardzo proste.

— Raczej barbarzyńskie.

— Barbarzyńskie są ich zbrodnie. Śmierć jest dla nich za dobra, zdecydowanie za dobra.

— A jeśli pan Hailey zostanie uznany za winnego i skazany na śmierć?

— Jeśli do tego dojdzie, spędzę dziesięć następnych lat na

pisaniu apelacji i zażartej walce o jego życie. A jeśli przywiążą go do krzesła elektrycznego, jestem pewien, że będę protestował przed więzieniem razem z tobą, jezuitami i setką innych poczciwych duszyczek, maszerując, paląc świeczki i śpiewając kościelne pieśni. Później stanę nad grobem, za jego kościołem, razem z wdową i dziećmi, żałując, że ich poznałem.

— Czy zdarzyło ci się być świadkiem egzekucji?

— Nie przypominam sobie.

— Ja oglądałam dwie. Zmieniłbyś zdanie, gdybyś zobaczył.

— Rozumiem, ale nie zamierzam tego robić.

— To przerażający widok.

— Czy rodziny ofiar przypatrywały się egzekucjom?

— Tak, w obu przypadkach.

— Czy byli przerażeni? Zmienili zdanie? Oczywiście, że nie. Ich koszmar dobiegł końca.

— Jestem zaskoczona.

— A ja zdumiony takimi ludźmi jak ty. Czemu tak zażarcie, z takim poświęceniem bronisz ludzi, którzy sami proszą się o karę śmierci i zgodnie z prawem powinni ją otrzymać?

— Z jakim prawem? W Massachusetts nie ma takiego prawa!

— Daj spokój! Czego można oczekiwać po jedynym stanie, w którym McGovern wygrał w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku? Zawsze nie zgadzaliście się z resztą kraju.

Zapomnieli o jedzeniu i zaczęli się głośno spierać. Jake rozejrzał się i zauważył kilka ciekawych spojrzeń. Ellen uśmiechnęła się ponownie i wzięła jedną z jego cebulek.

— Co sądzisz o ACLU? — spytała, chrupiąc smażony talarek.

— Myślę, że masz w torebce ich legitymację członkowską.

— Faktycznie, mam.

— W takim razie jesteś zwolniona.

— Przyłączyłam się do nich w wieku szesnastu lat.

— Dlaczego tak późno? Musiałaś być ostatnią z żeńskiej drużyny skautów, która do nich wstąpiła.

— Nie masz ani krzty szacunku dla konstytucji Stanów Zjednoczonych?

— Darzę ją podziwem i gardzę sędziami, którzy ją interpretują. Jedz.

W milczeniu dokończyli burgery, bacznie obserwując się wzajemnie. Jake zamówił kawę i dwa kolejne proszki od bólu głowy.

— Jak chcemy wygrać tę sprawę? — zapytała.

— My?

— Nadal mam tę robotę, prawda?

— Tak, tylko pamiętaj, że ja jestem szefem, a ty asystentką.

— Jasne, szefie. Jaką masz strategię?

— A ty, jaką byś obrała?

— Cóż, z tego, co wiem, nasz klient starannie zaplanował zabójstwa, a później zastrzelił dwóch mężczyzn z zimną krwią. Wygląda na to, że doskonale wiedział, co robi.

— To prawda.

— Nie widzę żadnej sensownej linii obrony. Powinien przyznać się do winy, aby dostać dożywocie i uniknąć komory gazowej.

— Widzę, że jesteś prawdziwym wojownikiem.

— Żartowałam. Naszą jedyną obroną jest niepoczytalność, ale wygląda na to, że jej dowiedzenie nie będzie możliwe.

— Słyszałaś o zasadzie M'Naghtena? — spytał Jake.

— Tak. Mamy psychiatrę?

— Kogoś w tym rodzaju. Facet powie wszystko, co zechcemy, pod warunkiem że będzie trzeźwy na procesie. Jednym z twoich trudniejszych zadań jako mojej prawnej asystentki będzie dopilnowanie, aby tak się stało. Zapewniam cię, że nie będzie to łatwe.

— Żyję tylko po to, by szukać nowych wyzwań na sali sądowej.

— W porządku, Row Ark. Weź długopis. Tu masz serwetkę. Za chwilę twój szef przekaże ci kilka instrukcji.

Zaczęła notować na papierowej serwetce.

— Chcę mieć streszczenie rozstrzygnięć Sądu Najwyższego stanu Missisipi, opartych na zasadzie M'Naghtena z ostatnich pięćdziesięciu lat. Będzie tego jakaś setka. Największa sprawa jest z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego, *Stan przeciwko Hillowi*. Sąd był mocno podzielony, pięciu do czterech. Zgłaszający odrębne zdanie opowiadali się za bardziej swobodną definicją niepoczytalności. Spróbuj się streszczać. Chcę mieć nie więcej niż dwadzieścia stron. Umiesz pisać na maszynie?

— Dziewięćdziesiąt słów na minutę.

— Powinienem był się domyślić. Chciałbym to mieć na środę.

— Załatwione.

— Są też pewne kwestie dowodowe, które chciałbym zbadać. Pewnie widziałaś przerażające zdjęcia dwóch ciał. Noose zwykle pozwala, żeby członkowie ławy przysięgłych oglądali krew i bebechy, ale chciałbym, by trzymać je od nich jak najdalej. Sprawdź, czy znajdzie się na to sposób.

— Trudna sprawa.

— W procesie Haileya kluczową rolę odgrywa gwałt. Chcę, żeby przysięgli poznali szczegóły. Trzeba będzie to dokładnie zbadać. Znalazłem dwie lub trzy sprawy, od których będziesz mogła zacząć. Myślę, że zdołamy przekonać Noose'a, że gwałt popełniony na Tonyi jest bardzo ważny dla rozstrzygnięcia tej sprawy.

— W porządku. Coś jeszcze?

— Sam nie wiem. Zastanowię się, kiedy mój mózg ożyje. Tymczasem to wystarczy.

— Mam przyjść w poniedziałek rano?

— Tak, ale nie wcześniej niż o dziewiątej. Lubię spokojne chwile w gabinecie.

— Macie jakieś zasady dotyczące ubioru?

— Świetnie się prezentujesz.

— W dżinsach? Bez skarpetek?

— Mam tylko jednego pracownika, sekretarkę imieniem

Ethel. Ma sześćdziesiąt cztery lata, jest piersiasta i, na szczęście, nosi stanik. W twoim przypadku nie byłby to zły pomysł.

— Pomyślę.

— Nie potrzebuję, żeby mnie coś rozpraszało.

Rozdział 27

Nadszedł poniedziałek, piętnasty lipca. Do rozpoczęcia procesu został tylko tydzień. Podczas weekendu rozeszła się wieść, że rozprawa odbędzie się w Clanton, więc małe miasteczko szykowało się na widowisko. W trzech motelach urywały się telefony, ponieważ dziennikarze i ich ekipy potwierdzali wcześniejsze rezerwacje. W kawiarniach czuło się atmosferę oczekiwania. Od śniadania ekipa remontowa okręgu łaziła po gmachu sądu, malując i pucując wszystko, co się dało. Ozzie przysłał więziennych ogrodników z kosiarkami do trawników. Jakiś staruszek ostrożnie przystrzygał trawę wokół pomnika bohaterów z Wietnamu, obserwując ożywioną krzątaninę. Zaufany więzień nadzorujący roboty na trawniku poprosił kumpli, żeby wypluwali tabakę, którą żuli, na trawnik, zamiast na chodnik. Kazali mu iść do diabła. Gęsta ciemna trawa bermudzka otrzymała dodatkową warstwę nawozu, a o dziewiątej rano kilkanaście zraszaczy syczało i pryskało wodą.

O dziesiątej temperatura sięgnęła trzydziestu stopni. Kupcy w małych sklepikach wokół placu otworzyli drzwi, wpuszczając

wilgotne powietrze i uruchamiając wiatraki na suficie. Dzwonili do Memphis, Jackson i Chicago, żeby zrobić zapasy towaru, który za tydzień będą mogli sprzedać po wyższych cenach.

W piątek wieczorem Noose zadzwonił do Jean Gillespie, urzędniczki sądu, informując, że proces odbędzie się na jej sali. Polecił, żeby wezwała stu pięćdziesięciu kandydatów na sędziów przysięgłych. Obrona wystąpiła z wnioskiem o rozszerzenie listy, z której wybiorą dwunastu, a Noose wyraził na to zgodę. Jean i dwóch jej zastępców spędziło sobotę na przeczesywaniu rejestru wyborców, wybierając losowo potencjalnych sędziów przysięgłych. Kierując się precyzyjnymi instrukcjami Noose'a, wykluczyli tych, którzy przekroczyli sześćdziesiąty piąty rok życia. W końcu pozostało tysiąc nazwisk. Każde nazwisko wraz z adresem zapisano na małej karcie katalogowej i wrzucono do kartonowego pudła. Później dwaj zastępcy asystenta sądowego ciągnęli karty na zmianę. Jeden urzędnik był biały, drugi czarny. Każdy losował na ślepo i starannie układał karty na rozkładanym stoliku obok innych. Kiedy doszli do stu pięćdziesięciu, zaprzestali losowania i przepisali listę główną na maszynie. Byli to kandydaci na przysięgłych w sprawie *Stan przeciwko Haileyowi*. Każdy etap wyboru został starannie opisany przez czcigodnego Omara Noose'a, który doskonale wiedział, co robi. Zdawał sobie sprawę, że jeśli przysięgłymi będą sami biali, zapadnie wyrok skazujący i ogłoszą karę śmierci, każdy krok zostanie zaatakowany w apelacji. Już tego doświadczył i został pokonany. Postanowił, że tym razem będzie inaczej.

Nazwiska i adresy kandydatów na przysięgłych z głównej listy zostały następnie przepisane na indywidualne wezwania. Gruby plik wezwań spoczywał pod kluczem w biurze Jean do ósmej rano w poniedziałek, kiedy do sądu przybył szeryf Ozzie Walls. Ozzie wypił kawę z Jean i odebrał instrukcje.

— Sędzia Noose chce, żeby wezwania dostarczyć dzisiaj, między szesnastą a północą — oznajmiła.

— W porządku.

— Kandydaci na sędziów przysięgłych mają się stawić w sądzie w następny poniedziałek, punktualnie o dziewiątej.

— Zrozumiałem.

— Na wezwaniu nie ma nazwiska oskarżonego ani informacji na temat procesu. Sędziom nie należy niczego mówić.

— I tak wszyscy się domyślą.

— Pewnie masz rację, ale sędzia Noose był bardzo konkretny. Podczas doręczania wezwań twoi ludzie nie mogą powiedzieć ani słowa o sprawie. Nazwiska kandydatów na przysięgłych są objęte ścisłą tajemnicą, przynajmniej do środy. Nie pytaj dlaczego, to polecenie Noose'a.

Ozzie przejrzał plik.

— Ile tego mamy?

— Sto pięćdziesiąt.

— Sto pięćdziesiąt?! Dlaczego tak dużo?

— To głośna sprawa. Noose tak kazał.

— Będę musiał zaangażować wszystkich ludzi, żeby je dostarczyć.

— Przykro mi.

— No cóż, jeśli Wysoki Sąd sobie tego życzy.

Ozzie wyszedł, a kilka sekund później Jake stanął za kontuarem, flirtując z sekretarkami i uśmiechając się do Jean Gillespie. Po chwili poszedł za nią do gabinetu. Zajęła miejsce za biurkiem i zmierzyła go wzrokiem.

— Wiem, dlaczego tu jesteś — oświadczyła surowym głosem. — Nie mogę ci tego dać.

— Pokaż mi listę, Jean.

— W środę.

— W środę? Dlaczego w środę?

— Nie mam pojęcia, Omar przekazał nam bardzo szczegółowe instrukcje.

— Daj mi tę listę, Jean.

— Nie mogę, Jake. Chcesz, żebym miała kłopoty?

— Nie będzie kłopotów, bo nikt się nie dowie. Przecież

wiesz, że potrafię dochować tajemnicy. — Przestał się uśmiechać. — Jean, daj mi tę cholerną listę!

— Jake, po prostu nie mogę tego zrobić.

— Potrzebuję jej teraz. Nie mogę czekać do środy. Muszę nad nią popracować.

— To nie byłoby sprawiedliwe wobec Buckleya — odrzekła słabo.

— Do diabła z Buckleyem. Myślisz, że facet gra fair? To wąż. Nie lubisz go tak samo jak ja.

— Chyba bardziej.

— Proszę, daj mi listę, Jean.

— Posłuchaj, Jake, zawsze byliśmy przyjaciółmi. Mam o tobie lepsze zdanie niż o innych prawnikach. Do kogo zadzwoniłam, kiedy mój syn popadł w tarapaty? Do ciebie. Ufam ci i chcę, żebyś wygrał tę sprawę, ale nie mogę postępować wbrew poleceniom sędziego.

— Kto pomógł ci w ostatnich wyborach? Ja czy Buckley?

— Daj spokój, Jake.

— Kto uratował twojego syna przed więzieniem? Ja czy Buckley?

— Błagam.

— Kto chciał go wsadzić do pudła? Ja czy Buckley?!

— To niesprawiedliwe, Jake.

— Kto wstawił się za twoim mężem, kiedy wszyscy, dosłownie wszyscy w kościele chcieli jego odejścia, gdy księgi się nie zgadzały?

— To nie kwestia lojalności, Jake. Kocham ciebie, Carlę i Hannę, ale po prostu nie mogę tego zrobić.

Jake trzasnął drzwiami i wypadł z biura, a Jean siedziała za biurkiem, ocierając łzy z policzków.

O dziesiątej rano Harry Rex wpadł do gabinetu Jake'a i rzucił na biurko listę kandydatów na sędziów przysięgłych.

— Nie pytaj! — zawołał.

Obok każdego z nazwisk widniała uwaga w rodzaju „nie znam”, „dawny klient, nienawidzi czarnych” lub „pracuje w fabryce obuwia, może być przychylnie nastawiony”.

Jake wolno przeczytał każde z nazwisk, próbując dopasować do niego twarz lub reputację. Lista składała się wyłącznie z nazwisk. Bez adresu, wieku i wykonywanego zawodu. Same nazwiska. Odnalazł swoją nauczycielkę z Karaway i jedną z przyjaciółek matki z Garden Clubu. I dawnego klienta, jeśli dobrze pamiętał oskarżonego o kradzież sklepową. I znanego farmera. Większość nazwisk pasowała do białych. Był też Willie Mae Jones, Leroy Washington, Roosevelt Tucker, Bessie Lou Bean i kilka innych nazwisk pasujących do czarnych. Rozpoznał nie więcej niż trzydzieści.

— Co o tym sądzisz? — spytał Harry Rex.

— Trudno powiedzieć. Większość białych, ale nie jestem tym zaskoczony. Skąd to wytrzasnąłeś?

— Nie pytaj. Dodałem uwagi do dwudziestu sześciu nazwisk. Nic więcej nie mogę zrobić. Nie znam reszty.

— Jesteś prawdziwym przyjacielem, Harry.

— Prawdziwym księciem. Jesteś gotów do procesu?

— Jeszcze nie, ale mam sekretną broń.

— Co?!

— Później ci ją przedstawię.

— Ją?!

— Taak. Jesteś zajęty w środę wieczór?

— Nie sądzę. Dlaczego pytasz?

— Świetnie. Spotkajmy się tutaj o dwudziestej. Przyjdzie Lucien i jeden lub dwóch innych. Pogadamy o sędziach przysięgłych. O tym, kogo chcielibyśmy wybrać. Zaczniemy od sporządzenia profilu idealnego sędziego przysięgłego.

— Zapowiada się niezły ubaw. Przyjdę. Jak wygląda twój idealny sędzia przysięgły?

— Jeszcze nie zdecydowałem. Myślę, że samozwańcze

wymierzanie sprawiedliwości przemawia do wyobraźni tutejszych prostaczków. Broń, przemoc, występowanie w obronie kobiety. Wsioki to kupią, ale mój klient jest czarny. Wielu wsioków usmażyłoby go na stosie. Gość zabił dwóch z nich.

— Racja. Ja unikałbym kobiet. Co prawda nie mają litości dla gwałcicieli, ale przywiązują większą wagę do ludzkiego życia. Sięgnięcie po M szesnaście i rozwalenie dwóch drani to coś, czego nie są w stanie pojąć. Ty i ja to rozumiemy, bo jesteśmy ojcami. Do nas to przemawia. Przemoc i krew nam nie przeszkadza. Podziwiamy Haileya. Trzeba wybrać do składu paru jego wielbicieli. Młodych wykształconych ojców.

— Interesująca uwaga. Lucien uważa, że powinniśmy wybrać kobiety, bo okazują więcej współczucia.

— Nie sądzę. Znam kilka kobiet, które podcięłyby ci gardło, gdybyś z nimi zadarł.

— To twoje klientki?

— Taak. Jedna jest na liście. Frances Burdeen. Wybierz ją, a powiem jej, jak ma zagłosować.

— Mówisz poważnie?

— Tak. Zrobi wszystko, co jej każę.

— Mógłbyś przyjść do sądu w poniedziałek? Chciałbym, żebyś obserwował kandydatów, a później pomógł mi wybrać dwunastu.

— Mogę się mylić.

Jake usłyszał głosy na dole i położył palec na ustach. Chwilę nasłuchiwał, a później się uśmiechnął i skinął Harry'emu Rexowi, żeby poszedł za nim. Stanęli na paluszkach na górze schodów i nasłuchiwali zamieszania przy biurku Ethel.

— Pani tu nie pracuje! — upierała się Ethel.

— Zapewniam panią, że pracuję. Zostałam zatrudniona w sobotę przez Jake'a Brigance'a, który, jak sądzę, jest pani szefem.

— Zatrudnił panią? W jakim charakterze? — zdziwiła się Ethel.

— Asystentki prawnej.

— Nie przedyskutował tego ze mną.

— Omówił to ze mną i dał mi robotę.

— Ile pani płaci?

— Sto dolców za godzinę.

— Mój Boże! Będę musiała z nim pogadać.

— Już z nim rozmawiałam, Ethel.

— Dla ciebie jestem pani Twitty. — Ethel przyjrzała się jej uważnie od stóp po głowę. Sprane dżinsy, tanie mokasyny, brak skarpetek, przyduża biała bawełniana bluzka, pod którą nie było stanika. — Nie jest pani odpowiednio ubrana, żeby przebywać w tej kancelarii. Pani... pani jest nieprzyzwoita.

Harry Rex uniósł brwi i uśmiechnął się do Jake'a. Obserwowali rozwój sytuacji ze schodów i słuchali.

— Mój szef, który jest także pani szefem, powiedział, że mogę przychodzić w takim stroju.

— Chyba o czymś pani zapomniała, prawda?

— Jake powiedział, że nie muszę zakładać stanika. Dodał, że nie nosi pani stanika od dwudziestu lat. Że większość kobiet w Clanton go nie zakłada, więc zostawiłam mój w domu.

— Co?! — krzyknęła Ethel, krzyżując ręce na piersi.

— Jest na górze? — spytała chłodno Ellen.

— Tak, zawołam go.

— Nie trzeba.

Jake i Harry Rex wycofali się do dużego gabinetu, czekając na pojawienie się asystentki. Weszła z dużą teczką w ręku.

— Witaj, Row Ark — powiedział Jake. — Chcę, żebyś poznała mojego dobrego przyjaciela, Harry'ego Rexa Vonnera.

Harry Rex uścisnął wyciągniętą dłoń i utkwił wzrok w bluzeczce.

— Miło cię poznać. Jak masz na imię?

— Ellen.

— Mów jej zwyczajnie Row Ark — powiedział Jake. — Będzie tu pracować do końca procesu Haileya.

— Fajnie — wycedził Harry Rex, nie przestając się gapić.

— Row Ark, Harry Rex jest miejscowym prawnikiem, jednym z wielu, do których nie powinnaś mieć zaufania.

— Czemu zatrudniłeś kobietę asystenta, Jake? — walnął prosto z mostu Rex.

— Row Ark jest geniuszem prawa karnego, jak większość studentów trzeciego roku. Do tego niewiele bierze.

— Ma pan coś przeciwko kobietom? — zaciekawiła się Ellen.

— Nie, proszę pani. Uwielbiam kobiety. Poślubiłem cztery z nich.

— Harry Rex jest najpodlejszym prawnikiem rozwodowym w całym okręgu Ford — zdradził Jake. — Właściwie jest najpodlejszym ze wszystkich jurystów. Kropka. Jeśli się nad tym zastanowić, to najpodlejszy gość, jakiego znam.

— Dzięki — odrzekł Harry Rex, odwracając wzrok od Row Ark.

Spojrzała na jego wielkie i brudne, porysowane i rozchodzone oksfordki, nylonowe skarpetki w prążki, które zsunęły się na kostki, tworząc grube fałdy, wyświechtane spodnie khaki, wysłużoną granatową marynarkę i lśniący różowy wełniany krawat, który dyndał dwadzieścia centymetrów nad paskiem, i powiedziała:

— On jest naprawdę uroczy.

— Mogę cię uczynić żoną numer pięć — oznajmił wspaniałomyślnie Harry Rex.

— Odczuwam pociąg czysto fizycznej natury — odpowiedziała.

— Ostrzegam, że w tej kancelarii nie uprawiano seksu od czasu odejścia Luciena — wtrącił się Jake.

— Wiele rzeczy odeszło wraz z Lucienem. — Harry Rex westchnął ponuro.

— Kto to jest Lucien?

Jake i Harry Rex spojrzeli na siebie.

— Niebawem go poznasz — wyjaśnił Jake.

— Masz uroczą sekretarkę — zauważyła Ellen.

— Wiedziałem, że się polubicie. Ethel jest urocza, jeśli się ją lepiej pozna.

— Ile trzeba na to czasu?

— Znam ją od dwudziestu lat i nadal czekam — wyjaśnił Harry Rex.

— Jak idą analizy? — spytał Jake.

— Jak krew z nosa. Jest trochę spraw, w których powołano się na zasadę M'Naghtena. Wszystkie są bardzo długie. Zaplanowałam, że będę pracować nad nimi cały dzień. Oczywiście jeśli ten pitbul na dole mnie nie zaatakuje.

Brudny żwirowy parking przed knajpą Tanka był pełen. Jake przyjechał po zapadnięciu zmroku. Nie miał powodu, aby wcześniej odwiedzić to miejsce, a i teraz nie był podekscytowany tym, co zobaczył. Miejsce było dobrze ukryte przy gruntowej drodze dziesięć kilometrów od Clanton. Zaparkował z dala od małego budynku z pustaków i przez chwilę zastanawiał się, czy nie zostawić wozu na chodzie, na wypadek, gdyby Tanka nie było i musiał się salwować szybką ucieczką. Po chwili porzucił ten pomysł jako głupi, bo lubił swój samochód, a jego kradzież w takim miejscu była nie tylko możliwa, ale nawet wysoce prawdopodobna. Zamknął go starannie, a później ponownie sprawdził, niemal pewny, że kiedy wróci, pojazd zniknie w całości lub części.

Przez otwarte okna słychać było zawodzenie szafy grającej. Wydawało mu się, że usłyszał brzęk butelki rozbijającej się o podłogę, stół lub czyjąś głowę. Zawahał się przy samochodzie, ale postanowił wejść do środka. Nie mógł się wycofać, sprawa była zbyt ważna. Wciągnął brzuch, wstrzymał oddech i otworzył sfatygowane drewniane drzwi.

Czterdzieści par czarnych oczu natychmiast spojrzało na nieszczęsnego zagubionego białasa w garniturze i krawacie, który mrużył oczy i próbował przeniknąć mrok panujący w

knajpie. Stał bezradnie, rozpaczliwie wypatrując przyjaciela. Żadnego nie zauważył. Michael Jackson w samą porę zakończył swoją piosenkę i zapanowała trwająca całą wieczność cisza. Jake trzymał się blisko drzwi. Skinął głową, wyszczerzył zęby w uśmiechu i próbował zachowywać się tak, jakby należał do paczki. Sęk w tym, że nikt nie odpowiedział uśmiechem.

Nagle coś poruszyło się za barem. Kolana Jake'a zaczęły dygotać.

— Jake! Jake! — Ktoś wykrzyknął dwa najcudowniejsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszał. Podniósł oczy i ujrzał, że jego przyjaciel Tank stoi za barem, zdejmuje fartuch i rusza mu na spotkanie. Uścisnęli sobie serdecznie dłonie.

— Co cię sprowadza?

— Moglibyśmy pogadać minutkę? Na zewnątrz?

— Jasne. O co chodzi?

— Przyjechałem w interesach.

Tank włączył przełącznik obok drzwi wejściowych.

— Słuchajcie, chłopaki! — zawołał w kierunku gości. — To prawnik Carla Lee Haileya, Jake Brigance! Mój dobry przyjaciel! Przywitajcie go jak należy!

Małą salką wstrząsnęła burza okrzyków i braw. Kilku gości przy barze poklepało Jake'a po plecach i uścisnęło mu dłoń. Tank sięgnął do szuflady pod barem i wyciągnął garść wizytówek Jake'a, rozdając je ziomalom niczym cukierki. Jake ponownie odetchnął, a jego twarz odzyskała dawną barwę.

Wyszli na dwór i stanęli oparci o maskę żółtego cadillaca Tanka. Z okien dolatywało wycie Lionela Richiego, a tłum gości powrócił do normalnej aktywności. Jake podał Tankowi kopię listy.

— Spójrz na te nazwiska. Zastanów się, ilu z tych gości znasz. Rozpytaj się i dowiedz jak najwięcej.

Tank przytknął kartkę do nosa. Nad jego ramieniem jaśniał umieszczony w oknie znak piwa Michelob.

— Ilu z nich to czarni?

— Ty mi powiedz. Właśnie dlatego chciałem, żebyś rzucił na nią okiem. Zakreśl czarnych. Jeśli nie jesteś pewien, to się dowiedz. Jeśli znasz któregoś z białasów, też zaznacz.

— Z przyjemnością, Jake. To nie jest nielegalne, prawda?

— Nie, ale nikomu nie mów. Muszę to mieć na środę rano.

— Rozkaz, szefie.

Tank dostał ostatnią kopię, więc Jake wyruszył do biura. Dochodziła dwudziesta druga. Ethel przepisała listę z tej, którą otrzymali od Harry'ego Rexa. Dwanaście kopii zostało dostarczonych osobiście do wybranych zaufanych przyjaciół — Luciena, Stana Atcavage'a, Tanka, Dell z Coffee Shopu i prawnika z Karaway, Rolanda Isoma, oraz paru innych. Nawet Ozzie dostał listę.

Niecałych pięć kilometrów od knajpy stał schludny biały wiejski domek, w którym od niemal czterdziestu lat mieszkali Ethel i Bud Twitty. Było to przyjemne domostwo i łączyły się z nim przyjemne wspomnienia związane z wychowaniem dzieci, które przeprowadziły się na północ kraju. Opóźniony w rozwoju syn — ten, który bardzo przypominał Luciena — z jakiegoś powodu przeniósł się do Miami. W zagrodzie Twittych panował teraz spokój. Bud nie pracował od lat, od czasu pierwszego udaru w siedemdziesiątym piątym roku. Po udarze przyszedł atak serca oraz dwa kolejne, poważniejsze udary i kilka mniejszych. Dni Buda były policzone. Dawno temu pogodził się z myślą, że któregoś dnia dostanie dużego udaru i umrze na werandzie, łuskając fasolę limeńską. A przynajmniej miał taką nadzieję.

W poniedziałkową noc siedział na werandzie, jak zwykle łuskając fasolę i słuchając radiowego koncertu zespołu Cardinals. Ethel krzątała się w kuchni. Pod koniec ósmego kawałka, kiedy muzycy zaczęli się rozkręcać, a do końca zostały jeszcze dwa utwory, usłyszał hałas dolatujący z boku domu. Ściszył dźwięk.

Pewnie pies. Znowu hałas. Wstał i przeszedł na koniec werandy. Nagle z zarośli wyskoczyła ogromna postać w czarnym ubraniu, z twarzą umazaną czerwoną, białą i czarną barwą wojenną, chwyciła go i ściągnęła z werandy. Udręczony krzyk Buda nie dotarł do kuchni. Po chwili z krzaków wyskoczyła druga postać i razem zaciągnęli starego do podstawy schodów prowadzących na frontową werandę. Jeden założył biedakowi niepełnego nelsona, a drugi zaczął okładać pięściami jego miękki brzuch i twarz nabiegłą krwią. Po kilku sekundach Bud stracił przytomność.

Ethel usłyszała hałas i wybiegła frontowymi drzwiami. Złapał ją trzeci członek bandy, oplatając szyję potężnym ramieniem. Nie mogła krzyczeć, mówić ani się poruszyć. Trzymał ją przerażoną na werandzie, aby widziała, jak dwa zbiry na zmianę katują jej męża. Na chodniku przed domem, w odległości trzech metrów od sceny przemocy, stały trzy postacie, każda w długiej powłóczystej białej szacie z czerwonym obszyciem i długiej białej, spiczastej czapce, od której odchodziła czerwono-biała maska luźno zasłaniająca twarz. Wyłonili się z ciemności i obserwowali rozgrywającą się scenę, jakby byli trzema mędrcami pochylonymi nad żłóbkiem.

Po długiej bolesnej minucie bicie stało się monotonne.

— Wystarczy — rozkazał stojący pośrodku. Trzech zbirów w czerni czmychnęło. Ethel zbiegła ze schodów i pochyliła się nad skatowanym mężem. Trzy białe postacie zniknęły.

⅄ ⅄ ⅄

Jake wyszedł ze szpitala po północy. Bud jeszcze żył, ale wszyscy byli pełni jak najgorszych obaw. Oprócz połamanych żeber biedak przeżył kolejny poważny atak serca. Ethel urządziła scenę, obwiniając o wszystko Jake'a.

— Mówiłeś, że nic nam nie grozi! — krzyczała. — Powiedz to teraz mojemu mężowi! To twoja wina!

Wysłuchał jej wymysłów i napadu szału. Początkowe

zakłopotanie przerodziło się w gniew. Rozejrzał się po małej poczekalni, spoglądając na krewnych i przyjaciół. Wszyscy na niego patrzyli. Jakby mówili, że to jego wina.

Rozdział 28

Gwen zadzwoniła do kancelarii we wtorek, wczesnym rankiem. Telefon odebrała nowa sekretarka Jake'a, Ellen Roark. Majstrowała przy interkomie, aż go zepsuła, więc w końcu podeszła do schodów i krzyknęła:

— Jake, dzwoni żona pana Haileya!

Zatrzasnął książkę i gniewnie podniósł słuchawkę.

— Słucham?

— Jesteś zajęty, Jake?

— Bardzo. O co chodzi?

Zaczęła płakać.

— Jake, potrzebujemy pieniędzy. Jesteśmy spłukani. Mamy niezapłacone rachunki. Od dwóch miesięcy nie płacę raty za dom. Dzwonili z banku hipotecznego. Nie wiem, do kogo się zwrócić.

— Może do rodziny?

— To biedni ludzie, Jake. Sam wiesz. Mogą nas żywić, ale nie dadzą rady spłacać naszego kredytu i płacić za usługi komunalne.

— Rozmawiałaś z Carlem Lee?

— Nie gadaliśmy o pieniądzach. Przynajmniej ostatnio. On może się tylko martwić. Bóg jeden wie, że ma dość zmartwień na głowie.

— A kościoły?

— Nie dostaliśmy ani centa.

— Ile ci potrzeba?

— Przynajmniej pięćset dolarów. Żeby uregulować zaległości. Nie wiem, co zrobimy za miesiąc. Chyba wtedy będę się o to martwić.

Po odjęciu pięciuset dolców od honorarium Jake'owi pozostałoby czterysta. Czterysta dolarów za obronę w sprawie o podwójne zabójstwo! Wpadł na pewien pomysł.

— Możesz przyjść do mojego biura o czternastej?

— Będę musiała przyprowadzić dzieci.

— Nie ma problemu. Do zobaczenia o czternastej.

Odłożył słuchawkę i szybko odszukał w książce telefonicznej numer wielebnego Olliego Agee. Zastał go w kościele i zaserwował tekst o spotkaniu w celu omówienia procesu Haileya oraz zeznania, które wielebny miał złożyć podczas rozprawy. Agee obiecał, że przyjdzie o czternastej.

Pierwsi przybyli Haileyowie. Jake usadził ich wokół stołu. Dzieciaki zapamiętały pokój z konferencji prasowej. Były pod wyraźnym wrażeniem długiego blatu, masywnych obrotowych krzeseł i imponujących rzędów tomów prawniczych. Kiedy zjawił się wielebny, przytulił Gwen i pogłaskał dzieci, a szczególnie Tonyę.

— Będę się streszczał, wielebny — zaczął Jake. — Musimy omówić kilka spraw. Od paru tygodni wielebny oraz inni czarni duchowni z naszego okręgu prowadzicie zbiórkę pieniędzy dla rodziny Haileyów. Świetnie się spisaliście. Zebraliście ponad sześć tysięcy, jeśli dobrze pamiętam. Nie wiem, co się stało z pieniędzmi, i to nie moja sprawa. Zaoferował wielebny pieniądze prawnikom NAACP, aby reprezentowali w sądzie pana Haileya. Ci prawnicy nie będą uczestniczyli w procesie. Jestem

prawnikiem, jedynym prawnikiem pana Haileya, i do tej pory nie zaproponowano mi żadnych pieniędzy. Nie oczekuję, że tak się stanie. Najwyraźniej nie obchodzi was, jaką obronę będzie miał pan Hailey, skoro nie możecie mu wybrać prawnika. Jakoś to przeżyję. Jednak martwi mnie to, że nic, powtarzam, nic nie przekazano rodzinie Haileyów. Czy tak, Gwen?

Obojętny wyraz twarzy kobiety przerodził się w zdumienie, a później niewiarę i gniew. Spojrzała wściekle na wielebnego.

— Sześć tysięcy dolarów?!

— Ponad sześć tysięcy, po ostatnim zliczeniu — ciągnął Jake. — Pieniądze leżą na jakimś rachunku bankowym, Carl Lee siedzi w więzieniu, Gwen nie pracuje, a stos niezapłaconych rachunków rośnie. Jedyna żywność dociera od przyjaciół, a za kilka dni obciążona nieruchomość zostanie zajęta. Proszę nam powiedzieć, wielebny, jakie ma pan plany względem tych pieniędzy?

— To nie pański interes — odrzekł wazeliniarskim tonem Agee, uśmiechając się przymilnie.

— Ale mój! — krzyknęła Gwen. — Użył wielebny mojego nazwiska i nazwiska mojej rodziny, organizując zbiórkę, prawda? Sama słyszałam! Powiedział ludziom z kościoła, że ofiara miłości, jak wielebny raczył ją nazwać, jest przeznaczona dla mojej rodziny. Sądziłam, że wydał pan wszystkie pieniądze na honoraria dla prawników i takie tam. Dziś dowiaduję się, że umieścił je wielebny w jakimś banku! Jakby chciał je zatrzymać dla siebie!

Agee ani drgnął.

— Chwileczkę, Gwen. Sądziliśmy, że najlepiej będzie wydać te pieniądze na obronę Carla Lee. Odrzucił je, kiedy odmówił zatrudnienia prawników NAACP. Wtedy zapytałem pana Reinfelda, szefa zespołu prawników, co powinienem zrobić z pieniędzmi. Powiedział, żebym je zostawił, bo Carl Lee będzie potrzebował środków na apelację.

Jake pokręcił głową i zgrzytnął zębami. Zaczął po cichu

przeklinać tego ignoranckiego głupka, ale zdał sobie sprawę, że Agee nie zrozumie. Przygryzł wargi.

— Nie pojmuję — powiedziała Gwen.

— To proste — odrzekł wielebny z usłużnym uśmiechem. — Pan Reinfeld powiedział, że Carl Lee zostanie skazany, bo nie chciał go zatrudnić. Trzeba będzie wówczas złożyć apelację, prawda? Kiedy Jake przegra w sądzie, Carl Lee zacznie się rozglądać za nowym prawnikiem, który zdoła ocalić mu życie. Wtedy będziemy potrzebowali Reinfelda i pieniędzy. Teraz rozumiesz, że zatrzymaliśmy te pieniądze dla twojego męża.

Jake pokręcił głową i zaklął w duchu. Przeklinał Reinfelda bardziej niż wielebnego Agee.

W oczach Gwen błysnęły łzy. Zacisnęła pięści.

— Nie rozumiem i nie chcę tego rozumieć. Wiem natomiast, że mam już dość żebrania o jedzenie. Jestem zmęczona poleganiem na innych, martwieniem się, że stracimy dom.

Agee spojrzał na nią smutnym wzrokiem.

— Rozumiem Gwen, ale...

— Jeśli wielebny trzyma w banku sześć tysięcy naszych dolarów, popełnia błąd, nie chcąc ich nam przekazać. Mamy dość rozsądku, żeby zdecydować, jak je wydać.

Carl Lee Junior i Jarvis stanęli obok matki, próbując ją pocieszyć. Spojrzeli na wielebnego Agee.

— Te pieniądze są przeznaczone dla Carla Lee — odrzekł nieugięcie wielebny.

— Rozumiem — wtrącił się Jake. — Czy rozmawiał wielebny z Carlem Lee o tym, jak chciałby on wydać swoje pieniądze?

Na twarzy Olliego Agee mignął pogardliwy uśmieszek. Wielebny skulił się na swoim krześle.

— Carl Lee wie, co robimy — odpowiedział bez większego przekonania.

— Dziękuję, ale nie o to pytałem. Niech wielebny posłucha uważnie. Czy wielebny zapytał Carla Lee, jak chce rozporządzić swoimi pieniędzmi?

— Myślę, że rozmawialiśmy o tym — skłamał Agee.

— Przekonajmy się. — Jake skinął głową. Wstał i podszedł do drzwi prowadzących do małego gabinetu obok sali konferencyjnej. Wielebny obejrzał się nerwowo, niemal w panice. Jake otworzył drzwi i dał znak komuś znajdującemu się w środku. Carl Lee i Ozzie weszli spokojnie do sali. Dzieci krzyknęły i podbiegły do taty. Agee wyglądał na zdruzgotanego.

Po kilku niezręcznych minutach wypełnionych uściskami i buziakami, Jake skoczył na swoją zdobycz.

— Niech wielebny spyta Carla Lee, jak chce, aby wydano jego sześć tysięcy dolarów.

— Nie są do końca jego — odparł Agee.

— Ani twoje! — wypalił Ozzie.

Carl Lee zdjął Tonyę z kolan i podszedł do krzesła, na którym siedział Agee. Przycupnął na skraju stołu, ponad wielebnym, pochylony i gotowy do zadania ciosu, gdyby okazało się to konieczne.

— Powiem jasno, kaznodziejo, żebyś nie miał problemu ze zrozumieniem. Zbierałeś pieniądze, używając mojego nazwiska, dla mojej rodziny. Otrzymałeś je od czarnych mieszkańców tego okręgu i obiecałeś, że pójdą na pomoc dla mnie i dla mojej rodziny. Kłamałeś. Zebrałeś je, żeby zrobić wrażenie na NAACP, a nie po to, żeby pomóc mojej rodzinie. Okłamałeś Kościół, okłamałeś gazety. Okłamałeś wszystkich.

Agee rozejrzał się po sali i zauważył, że wszyscy, także dzieci, patrzą na niego i wolno kiwają głowami.

Carl Lee oparł but na krześle wielebnego Agee i pochylił się niżej.

— Jeśli nie przekażesz nam pieniędzy, powiem każdemu czarnemu, którego znam, że jesteś kłamliwym oszustem. Zadzwonię do każdego członka kościoła i powiem, że nie otrzymaliśmy ani centa. Kiedy skończę, nie będziesz w stanie zebrać dwóch dolarów w niedzielny poranek. Stracisz swoje luksusowe cadillaki i eleganckie garnitury. Może nawet stracisz

kościół, bo poproszę wszystkich, żeby odeszli.

— Skończyłeś? — zapytał Agee. — Chcę wam powiedzieć, że czuję się osobiście dotknięty. Czuję się zraniony, że ty i Gwen tak myślicie.

Ozzie przystąpił bliżej.

— Zgadzam się z nimi. Wielebny Agee, źle postąpiłeś i dobrze o tym wiesz.

— Przykro mi to słyszeć od ciebie. Czuję się naprawdę zraniony.

— Pozwól, że ci wyjaśnię, co zrani cię znacznie bardziej. W następną niedzielę ja i Carl Lee przyjdziemy na nabożeństwo. Wykradnę go z więzienia wczesnym rankiem i pojedziemy na małą wycieczkę. Taką, żeby zjawić się w kościele przed kazaniem. Wejdziemy do środka frontowymi drzwiami i ruszymy między ławkami w stronę pulpitu. Jeśli zastąpisz nam drogę, skuję cię kajdankami. Później Carl Lee wygłosi kazanie. Powie wszystkim, że pieniądze, które tak hojnie dawali, nie opuściły twojej kieszeni. Że Gwen i dzieci niebawem stracą dom, bo starasz się odgrywać ważniaka przed NAACP. Powie, że ich okłamałeś. Będzie tak prawił przez godzinę. Kiedy skończy, dorzucę kilka słów od siebie. Powiem im, jaki z ciebie kłamliwy obleśny czarnuch. Opowiem, jak kupiłeś w Memphis tego kradzionego lincolna i niemal zostałeś skazany. Powiem o łapówkach od przedsiębiorstwa pogrzebowego i o tym, jak dwa lata temu zatrzymali cię w Jackson za prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu oraz jak załatwiłem ci zwolnienie. Powiem im, wielebny...

— Nie, tego im nie mów, Ozzie — jęknął błagalnie Agee.

— Zdradzę im pewien mały pikantny sekrecik, o którym wiesz tylko ty i ja, oraz pewna dama wątpliwej reputacji.

— Kiedy chcecie pieniądze?

— Jak szybko możesz je przesłać? — spytał Carl Lee.

— Piorunem.

⅄ ⅄ ⅄

Jake i Ozzie zostawili Haileyów i poszli na górę do dużego gabinetu, gdzie pracowała Ellen zasypana stosem prawniczych ksiąg. Jake przedstawił Ozziemu swoją nową pracowniczkę i cała trójka usiadła wokół dużego biurka.

— Jak się miewają moje chłopaki? — spytał Jake.

— Goście od dynamitu? Wracają do zdrowia. Potrzymamy ich w szpitalu do zakończenia procesu. Założyliśmy zamek w drzwiach i postawiliśmy człowieka z biura szeryfa na korytarzu. Nigdzie nie wyjadą.

— Kim jest ten główny?

— Nadal nie wiemy. Nie otrzymaliśmy jeszcze wyników analizy odcisków palców. Facet nie chce gadać.

— A drugi? Miejscowy? — zapytała Ellen.

— Tak. Terrell Grist. Chce się sądzić, bo został poturbowany podczas aresztowania. Dasz wiarę?

— Nie mogę uwierzyć, że tak długo udało się to utrzymać w sekrecie — powiedział Jake.

— Ja też. Oczywiście Grist i pan X nie puścili pary. Moi ludzie też siedzą cicho. Zostajesz tylko ty i twoja asystentka.

— I Lucien, ale nic mu nie powiedziałem.

— Tak myślę.

— Zamierzasz wszcząć postępowanie przeciwko nim?

— Po zakończeniu procesu przeniesiemy ich do więzienia i załatwię papierkową robotę. To zależy wyłącznie od nas.

— Jak się miewa Bud? — spytał Jake.

— Wpadłem dziś rano do tamtych dwóch. Później zszedłem piętro niżej, żeby zobaczyć się z Ethel. Stan Buda jest nadal krytyczny. Bez zmian.

— Jacyś podejrzani?

— Podejrzewam robotę Klanu. Białe szaty i tak dalej. Wszystko pasuje. Najpierw płonący krzyż na twoim podwórku, później dynamit, a teraz Bud. No i telefony z groźbami śmierci.

Sądzę, że to oni. Do tego mamy informatora.

— Co?!

— Dobrze usłyszałeś. Gość przedstawia się jako Myszka Mickey. W niedzielę zadzwonił do mojego domu i powiedział, że ocalił ci życie. „Prawnik czarnuchów”, tak cię nazywa. Uprzedził, że Klan przybył oficjalnie do okręgu Ford. Założyli tu swój oddział, czy jak to zwą.

— Kto do niego należy?

— Nie podał zbyt wielu szczegółów. Obiecał zadzwonić, jeśli komuś będzie groziła krzywda.

— To bardzo uprzejmie z jego strony. Możesz mu ufać?

— Facet uratował ci życie.

— Słusznie. Jest członkiem Klanu?

— Nie powiedział. W czwartek planują wielki marsz.

— Klan?

— Tak. Jutro NAACP organizuje wiec przed gmachem sądu. Później będzie krótki przemarsz. Klan ma zorganizować pokojową manifestację w czwartek.

— Ilu ich będzie?

— Myszka Mickey tego nie powiedział. Gość nie podaje zbyt wielu szczegółów.

— Klan organizuje marsz protestacyjny w Clanton. Nie mogę uwierzyć.

— To poważna sprawa — powiedziała Ellen.

— A zrobi się jeszcze poważniejsza — odrzekł Ozzie. — Poprosiłem gubernatora, żeby postawić patrole drogowe w stan pogotowia. Może nas czekać ciężki tydzień.

— Dasz wiarę, że Noose chce, aby proces odbył się w tym mieście? — spytał Jake.

— Sprawa zrobiła się zbyt głośna, aby zmienić miejsce. Przyciągnie marsze, akcje protestacyjne i Klan, dokądkolwiek ją przeniesiesz.

— Może i masz rację. Co z listą kandydatów na przysięgłych?

— Jutro ją dostaniesz.

⅄ ⅄ ⅄

We wtorek po kolacji Joe Frank Perryman usiadł na frontowej werandzie z wieczorną gazetą w dłoni, żując świeży kawałek tabaki Red Man. Po chwili splunął starannie przez mały ręcznie wydrążony otwór w podłodze, zgodnie ze swoim wieczornym rytuałem. Kiedy Lela skończy z naczyniami, przygotuje im dwie wysokie szklanki mrożonej herbaty, a później będą siedzieć na werandzie do zapadnięcia zmroku, rozmawiając o zbiorach, wnukach i wilgotnym powietrzu. Mieszkali niedaleko Karaway, na czterdziestu hektarach starannie zadbanej i uprawianej farmy, którą ojciec Joego Franka ukradł w czasach wielkiego kryzysu. Byli spokojnymi, ciężko pracującymi chrześcijanami.

Po kilku splunięciach przez otwór w deskach jakiś samochód zwolnił na autostradzie i skręcił w długi żwirowy podjazd Perrymanów. Zaparkował przed frontowym trawnikiem i po chwili ich oczom ukazała się znajoma twarz. Will Tierce, były prezes rady nadzorczej okręgu Ford. Will służył swojemu okręgowi dwadzieścia pięć lat, przez sześć kolejnych kadencji, ale w osiemdziesiątym trzecim przegrał wybory siedmioma głosami. Perrymanowie zawsze wspierali Tierce'a, bo pamiętał o nich, gdy trzeba było przywieźć wywrotkę żwiru lub zrobić przepust pod podjazdem.

— Dobry wieczór, Will — powiedział Joe Frank, kiedy były prezes rady nadzorczej ruszył trawnikiem w kierunku schodów.

— Dobry wieczór, Joe. — Uścisnęli sobie dłonie i usiedli na werandzie. — Daj kawałek tabaki — poprosił Tierce.

— Proszę. Co cię sprowadza?

— Byłem w okolicy. Pomyślałem o mrożonej herbacie Leli i zachciało mi się pić. Nie widziałem was od jakiegoś czasu.

Siedzieli i rozmawiali, żuli tabakę, pluli i pili mrożoną herbatę, aż zrobiło się ciemno i nadeszła pora moskitów. Gadali głównie o suszy, która była najgorsza od dziesięciu lat. Od trzeciego tygodnia czerwca nie spadła ani kropla deszczu. Jeśli

nie zacznie padać, przepadną zbiory bawełny. Fasola może i wytrzyma, ale Joe Frank martwił się o bawełnę.

— Słuchaj, Joe, słyszałem, że dostałeś wezwanie na proces w przyszłym tygodniu.

— Taak, niestety. Kto ci powiedział?

— Nie pamiętam. Ludzie gadali.

— Nie wiedziałem, że wszyscy o tym wiedzą.

— Chyba usłyszałem o tym dziś w Clanton. Miałem sprawę w miejscowym sądzie. Tam się dowiedziałem. Wiesz, chodzi o proces tego czarnucha.

— Tak sobie pomyślałem.

— Co o tym myślisz? Czarnuch bez mrugnięcia okiem zastrzelił dwóch naszych?

— Ja go nie obwiniam — wtrąciła się Lela.

— Taak, ale nie można brać prawa we własne ręce — wyjaśnił żonie Joe Frank. — Po to mamy sądy.

— Powiem wam, co mnie niepokoi — powiedział Tierce. — Niepokoją mnie te brednie o niepoczytalności. Powiedzą, że czarnuchowi odbiło, i będą próbowali go uniewinnić pod pozorem niepoczytalności. Jak tego czubka, który strzelił do Reagana. To nieuczciwa zagrywka. Do tego kłamstwo. Czarnuch zaplanował zabójstwo tych chłopaków. Zaczaił się w składziku i czekał. Popełnił zabójstwo z zimną krwią.

— A gdyby to była twoja córka, Will? — spytała Lela.

— Pozwoliłbym, żeby sąd rozstrzygnął. Kiedy chwytamy gwałciciela, szczególnie czarnucha, generalnie wsadzamy go do pudła. W Parchman jest wielu gwałcicieli, którzy nigdy nie wyjdą na wolność. Nie jesteśmy w Nowym Jorku, Kalifornii czy jakimś innym zwariowanym miejscu, gdzie przestępców puszcza się wolno. Mamy dobry system sądowniczy, a stary sędzia Noose wymierza surowe wyroki. Trzeba pozostawić karanie sądom. System prawny nie przetrwa, jeśli pozwolimy, żeby ludzie, szczególnie czarni, brali prawo we własne ręce. Właśnie to najbardziej mnie przeraża. Przypuśćmy, że ten czarny

wyjdzie na wolność, opuści sąd jako wolny człowiek. Usłyszą o tym wszyscy w kraju i czarni oszaleją. Kiedy człowiek zadrze z czarnuchem, ten zwyczajnie go zastrzeli, a później powie, że był niepoczytalny, i będzie się starał wyjść na wolność. Właśnie to jest najbardziej niebezpieczne w tym procesie.

— Czarnych trzeba krótko trzymać — przytaknął Joe Frank.

— Żebyś wiedział. Jeśli Hailey wyjdzie na wolność, żaden z nas nie będzie bezpieczny. Każdy czarny w tym stanie ma broń i szuka kłopotów.

— Muszę przyznać, że o tym nie pomyślałem — przyznał Joe Frank.

— Mam nadzieję, że zrobisz to, co należy, Joe Frank. I mam nadzieję, że wybiorą cię do ławy przysięgłych.

— Dlaczego wezwali akurat mnie?

— Słyszałem, że wysłali sto pięćdziesiąt wezwań. Oczekują, że pojawi się setka ludzi.

— Jaka jest szansa, że zostanę wybrany?

— Jedna na sto — odpowiedziała Lela.

— Ulżyło mi. Nie mam czasu na siedzenie w sądzie. Na farmie jest robota i w ogóle.

— Potrzebujemy cię w sądzie — przypomniał mu Tierce.

Rozmowa zeszła na lokalną politykę, nowego prezesa rady nadzorczej i jego żałosne zarządzanie drogami. Dla Perrymanów nadejście ciemności oznaczało, że pora iść spać. Tierce się pożegnał i odjechał do domu. Usiadł przy kuchennym stole z kubkiem kawy i przejrzał listę kandydatów na przysięgłych. Jego przyjaciel Rufus powinien być z niego dumny. Na swojej liście zakreślił sześć nazwisk i porozmawiał z wszystkimi sześcioma. Obok każdego z nazwisk umieścił znak OK. Wiedział, że wszyscy będą dobrymi sędziami przysięgłymi, ludźmi, na których Rufus może polegać, bo będą przestrzegać prawa i porządku w okręgu Ford. Początkowo kilku nie pokazywało swojego stanowiska, ale dobry i zaufany przyjaciel Will Tierce wyjaśnił im, na czym polega sprawiedliwość, więc teraz byli

gotowi do wydania werdyktu „winny”.

Rufus będzie naprawdę dumny, a Rufus obiecał, że młody Jason Tierce, jego siostrzeniec, nie zostanie oskarżony o posiadanie narkotyków.

Jake skubał tłuste kotlety wieprzowe i fasolę limeńską, patrząc, jak siedząca z drugiej strony Ellen robi to samo. Lucien zajął miejsce u szczytu stołu, pieszcząc szklaneczkę z drinkiem, kartkując listę kandydatów na przysięgłych oraz wygłaszając uwagi na temat każdego rozpoznanego nazwiska. Większości jednak nie rozpoznał. Wydawał się bardziej pijany niż zwykle. Ellen była tym rozbawiona i raz po raz porozumiewawczo mrugała do szefa.

W końcu Lucien odłożył listę i zrzucił swój widelec ze stołu.

— Sallie! — krzyknął. — Wiesz, ilu członków ACLU jest w okręgu Ford? — zapytał Ellen.

— Przynajmniej osiemdziesiąt procent populacji — odpowiedziała.

— Jeden. Ja. Byłem pierwszy w historii i najwyraźniej ostatni. Tutejsi ludzie to durnie, Row Ark. Nie cenią sobie swobód obywatelskich. To banda prawicowych cymbałów, konserwatywnych fanatyków partii republikańskiej, jak tu obecny twój przyjaciel Jake.

— To kłamstwo. Przynajmniej raz w tygodniu jem u Claude’a — odparł Jake.

— I dlatego jesteś postępowy? — zapytał Lucien.

— Dlatego jestem radykałem.

— Nadal myślę, że jesteś republikaninem.

— Posłuchaj, Lucien, możesz plotkować o mojej żonie lub matce, nawet o moich przodkach, ale nie nazywaj mnie republikaninem.

— Wyglądasz jak jeden z nich — zauważyła Ellen.

— A on niby wygląda jak demokrata? — spytał Jake,

wskazując Luciena.

— Oczywiście, wiedziałam, że jest demokratą od pierwszej chwili, gdy go ujrzałam.

— W takim razie faktycznie jestem republikaninem.

— A widzisz! A nie mówiłem! — krzyknął Lucien. Szklanka wypadła mu z ręki i rozbiła się o podłogę.

— Sallie!

— Row Ark, zgadnij kto był trzecim białym w Missisipi, który wstąpił do NAACP?

— Rufus Buckley — odpowiedział Jake.

— Ja! Lucien Wilbanks. Zapisałem się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. Biali uznali, że mi odbiło.

— Wyobrażam sobie — zauważył Jake.

— Oczywiście czarni, Murzyni, jak ich wówczas nazywano, też uważali mnie za wariata. Do licha, wtedy wszyscy myśleli, że jestem stuknięty.

— Czy słyszałeś, żeby ktoś zmienił zdanie w tej sprawie? — spytał Jake.

— Zamknij się, ty republikaninie! Row Ark, przeprowadź się do Clanton. Założymy firmę prawniczą i będziemy brać wyłącznie sprawy ACLU. Do licha, sprowadź tu starego z Bostonu, to zrobimy go wspólnikiem.

— Czemu sam nie pojedziesz do Bostonu? — zdziwił się Jake.

— A ty czemu nie pójdziesz do diabła?

— Jak nazwiemy firmę? — spytała Ellen.

— Dom wariatów — podsunął Jake.

— Kancelaria prawna Wilbanks, Row i Ark.

— Wszyscy bez licencji — skwitował Jake.

Powieki Luciena ważyły po kilka kilogramów każda. Głowa mimowolnie opadła na piersi. Klepnął Sallie w tyłek, kiedy sprzątała jego bałagan.

— To była tania zagrywka, Jake — stwierdził poważnie.

— Row Ark — powiedział Jake, naśladując Luciena. — Zgadnij, kto był ostatnim prawnikiem na stałe wykluczonym z

palestry przez Sąd Najwyższy Missisipi?

Ellen uśmiechnęła się wdzięcznie do obu i nie odrzekła ani słowa.

— Row Ark! — ryknął Lucien. — Zgadnij, kto będzie następnym prawnikiem w tym okręgu, który zostanie wyeksmitowany? — Zaniósł się śmiechem, rechocząc i kręcąc głową.

Jake mrugnął porozumiewawczo do Ellen. Kiedy Lucien się uspokoił, zapytał:

— W jakim celu ma być to spotkanie jutro wieczorem?

— Chcę, żebyśmy wspólnie przejrzeli listę kandydatów na przysięgłych i omówili parę innych spraw.

— Kto dostał zaproszenie?

— Harry Rex, Stan Atcavage i może jeszcze jeden.

— Gdzie?

— O dwudziestej. W moim biurze. Żadnego alkoholu.

— Biuro jest moje. Jeśli zechcę, przyniosę skrzynkę whiskey. Zapomniałeś, że mój dziadek zbudował ten dom?

— Jakże mógłby zapomnieć?

— Row Ark, upijmy się!

— Dziękuję, Lucienie. Kolacja była wyśmienita. Konwersacja również, ale muszę wrócić do Oxfordu.

Wstali, zostawiając Luciena przy stole. Jake odrzucił zaproszenie, aby posiedzieć na werandzie. Ellen wyszła, a on udał się do swojego tymczasowego pokoju na górze. Obiecał Carli, że nie będzie spał w domu. Zadzwonił do niej. Carla i Hanna miały się dobrze. Martwiły się, ale wszystko było w porządku. Nie wspomniał jej o Budzie Twittym.

Rozdział 29

W środę po lunchu plac w Clanton objechała kawalkada przerobionych szkolnych autobusów z oryginalnym lakierem barwy białej, czerwonej, zielonej i czarnej oraz setką innych kombinacji, z nazwami kościołów wypisanymi na bokach, poniżej okien. W sumie trzydzieści jeden pojazdów nabitych czarnymi w podeszłym wieku, którzy wachlowali się papierowymi wachlarzami i chusteczkami, daremnie próbując uwolnić się od oblepiającego skwaru. Po trzykrotnym objechaniu placu pierwszy autobus zatrzymał się przed pocztą i drzwi wszystkich trzydziestu jeden otwarły się na oścież. Pasażerowie wysiedli w okamgnieniu. Ludzie zostali skierowani do altanki na trawniku przed sądem, gdzie wielebny Agee wykrzykiwał komendy i rozdawał niebiesko-białe transparenty z napisem UWOLNIĆ CARLA LEE.

Ulice prowadzące na plac zostały zatarasowane nadjeżdżającymi ze wszystkich stron samochodami, które wolno posuwały się w kierunku sądu, by w końcu zaparkować, gdy nie można już było ujechać ani kawałka dalej. Setki czarnych zostawiło swoje wozy na ulicach i ruszyło dostojnie w kierunku

placu. Zebrali się wokół altany i czekali na transparenty, a później wałęsali się między dębami i magnoliami, szukając cienia i witając przyjaciół. Kiedy zjawiły się kolejne kościelne autobusy i nie mogły okrążyć placu, zaparkowały i wyładowały pasażerów obok Coffee Shopu.

Po raz pierwszy w tym roku temperatura przekroczyła trzydzieści pięć stopni i nie zanosiło się na to, żeby przestała rosnąć. Na niebie nie było ani jednej chmurki chroniącej przed promieniami słońca. Nie było też wiatru, który złagodziłby piekące promienie lub przegnał wilgotne powietrze. Po piętnastu minutach stania w cieniu drzewa koszula przesiąkała potem i kleiła się do grzbietu. Niektórzy wątli staruszkowie poszukali schronienia wewnątrz gmachu sądu.

Tłum rósł z każdą chwilą. Ciżba składała się głównie z osób starszych, choć było też paru młodszych, bojowniczo nastawionych, gniewnych czarnych, którym brakowało wielkich marszów w obronie praw obywatelskich i demonstracji z lat sześćdziesiątych. Najwyraźniej zdali sobie sprawę, że może być to jedna z niewielu okazji, aby krzyczeć, protestować i śpiewać *Zwyciężymy*, czyli ogólnie celebrować fakt bycia czarnym i uciskanym w świecie zdominowanym przez białych. Snuli się po placu, czekając, żeby ktoś objął dowodzenie. W końcu trzej studenci przemaszerowali na frontowe schody sądu, unieśli transparenty i zaczęli skandować:

— Uwolnić Carla Lee! Uwolnić Carla Lee!

Tłum natychmiast podchwycił wojenne zawołanie:

— Uwolnić Carla Lee!

— Uwolnić Carla Lee!

— Uwolnić Carla Lee!

Wyszli z cienia drzew i krużganków sądu i przysunęli się bliżej stopni, gdzie wzniesiono prowizoryczne podium i ustawiono system nagłaśniający. Krzyczeli jednym głosem, nie zwracając się do nikogo i niczego, bez konkretnego adresata, poprzestając na wznoszeniu nowego bitewnego zawołania

zgodnym chórem głosów.

— Uwolnić Carla Lee!

— Uwolnić Carla Lee!

W otwartych oknach sądu stali urzędnicy sądowi i sekretarki, obserwując wydarzenia rozgrywające się na dole. Ryk tłumu był słyszalny w promieniu kilku przecznic, a małe sklepy i biura wokół placu się wyludniły. Kupcy i klienci wylegli na chodnik, w zadziwieniu obserwując widowisko. Demonstrujący dostrzegli widzów, a ich uwaga wzmogła śpiewy, które stawały się coraz żywsze i głośniejsze. Dziennikarze krążyli wokół niczym sępy, czekając i obserwując, jakby wabił ich zgiełk. Zmierzali w kierunku frontowego trawnika przed gmachem sądu, na którym stały kamery.

Ozzie i jego ludzie kierowali ruchem, aż autostrada i okoliczne uliczki beznadziejnie się zakleszczyły. Pozostali na miejscu, choć nic nie wskazywało, że ich obecność będzie potrzebna.

Agee oraz wszyscy pełno- i niepełnoetatowi, emerytowani i dopiero uczący się fachu czarnoskórzy kaznodzieje z trzech okolicznych okręgów przedzierali się przez gęstą ciżbę rozkrzyczanych czarnych twarzy, kierując się w stronę podwyższenia. Widok duchownych uskrzydlił celebrantów, a ich zgodne zawodzenie odbiło się głośnym echem po placu, poszybowało bocznymi uliczkami w kierunku sennych dzielnic mieszkalnych i okolicznych wsi. Tysiące czarnych wymachiwało transparentami i krzyczało ile sił w płucach. Agee falował razem z tłumem, tańcząc na małym podium. Wraz z innymi duchownymi klaskał w dłonie. Kierował rytmicznym zgiełkiem niczym dyrygent chóru. Niezły widok.

— Uwolnić Carla Lee!

— Uwolnić Carla Lee!

W piętnaście minut Agee zmienił tłum w oszalałą, połączoną jedną myślą zgraję. Później, kiedy świetnie wyczulonym uchem zarejestrował pierwsze oznaki zmęczenia, podszedł do mikrofonów i poprosił zebranych o ciszę. Dyszące, spotniałe

twarze krzyczały dalej, ale z mniejszą siłą. Śpiewy wolności szybko ustały. Agee poprosił o zrobienie miejsca z przodu, żeby dziennikarze mogli się zebrać i wykonać swoją robotę. Później zwrócił się z apelem o ciszę, żeby mogli odmówić modlitwę. Wielebny Roosevelt zaniósł do Pana modły długości maratonu — uraczył zebranych kwiecistą, pełną aliteracji oratorską fiestą, która rozczuliła ich do łez.

Kiedy w końcu wyrzekł „amen", duża czarna kobieta w lśniącej rudej peruce przystąpiła do mikrofonów i otworzyła ogromne usta. Pierwsza zwrotka hymnu *Zwyciężymy* popłynęła niczym spokojna rzeka, wspaniałym, głębokim i bogatym *a capella*. Stojący za jej plecami pastorzy zaczęli klaskać i wykonywać falujące ruchy. Tłum spontanicznie drgnął i dwa tysiące głosów przyłączyło się do śpiewu w zaskakującej harmonii. Nad małym miasteczkiem wzniósł się żałosny, pełen nadziei hymn.

Kiedy skończyli, ktoś zakrzyknął: „Uwolnić Carla Lee!", co skłoniło zebranych do kolejnej rundy zawodzenia. Agee ponownie ich uciszył i przystąpił do pulpitu. Wyciągnął z kieszeni małą kartę katalogową i rozpoczął kazanie.

⅄ ⅄ ⅄

Zgodnie z oczekiwaniami Lucien przybył po czasie, na pół wstawiony. Zabrał ze sobą flaszeczkę i zaproponował drinka Jake'owi, a później Atcavage'owi i Harry'emu Rexowi. Każdy odmówił.

— Dochodzi dwudziesta pierwsza, Lucienie — powiedział Jake. — Czekamy na ciebie prawie godzinę.

— Zapłacicie mi za konsultację? — spytał.

— Nie, ale prosiłem, żebyś przyjechał punktualnie o dwudziestej.

— Dodałeś również, żebym nie przynosił butelki. Oświadczyłem wówczas, że to mój dom, zbudowany przez mojego dziadka. Dzierżawisz go jako mój najemca. Mógłbym

dodać, po bardzo korzystnej cenie. Dlatego będę przychodził i wychodził kiedy zechcę, z butelką albo bez.

— Dajmy spokój, czy...

— Kim są ci czarni po drugiej stronie ulicy? Ci, którzy łażą w ciemności wokół sądu?

— Nazywają to całonocnym czuwaniem — wyjaśnił Harry Rex. — Ślubowali, że będą chodzić wokół sądu ze świeczkami, pełniąc wartę, dopóki ich człowiek nie zostanie uwolniony.

— W takim razie zapowiada się bardzo długie czuwanie. Ci biedacy mogą tak chodzić do śmierci. Wiecie, czuwanie może potrwać dwanaście, ba, piętnaście lat. Może ustanowią rekord. Może powinni przykleić im świeczki do tyłków stearyną. Dobry wieczór, Row Ark.

Ellen siedziała przy sekretarzyku pod portretem Williama Faulknera. Czytała starannie oznaczoną kopię listy kandydatów na przysięgłych. Skinęła głową i uśmiechnęła się do Luciena.

— Row Ark, mam dla ciebie ogromny szacunek — ciągnął dalej Lucien. — Uważam cię za osobę równą sobie. Wierzę, że masz prawo do równego wynagrodzenia za taką samą pracę. Wierzę też, że masz prawo zdecydować, czy urodzić dziecko, czy dokonać aborcji. Wierzę we wszystkie te brednie. Jesteś kobietą i nie przysługują ci żadne przywileje z tytułu twojej płci. Powinnaś być traktowana tak, jak mężczyzna. — Lucien sięgnął do kieszeni i wyciągnął zwitek banknotów. — A ponieważ jesteś asystentem prawnym, bezpłciowym w moich oczach, myślę, że powinnaś być tym, który pójdzie kupić nam skrzyneczkę zimnych coorsów...

— Błagam, Lucienie — przerwał mu Jake.

— Zamknij się, Jake.

Ellen wstała i spojrzała na Luciena.

— Jasne, Lucien, ale ja stawiam.

Po tych słowach wyszła z kancelarii.

Jake pokręcił głową i prychnął na Luciena.

— Zapowiada się długa noc.

Harry Rex zmienił zdanie i nalał sobie kapkę whisky do kubka po kawie.

— Błagam, tylko się nie upijcie — poprosił Jake. — Mamy robotę.

— Lepiej pracuję, kiedy jestem pijany — odrzekł Lucien.

— Ja też — przyłączył się Harry Rex.

— Nieźle się zapowiada — powiedział Atcavage.

Jake oparł nogi na biurku i wydmuchnął kłąb dymu z cygara.

— W porządku. Zacznijmy od profilu idealnego przysięgłego.

— Czarny — zaczął Lucien.

— Czarny jak dupa starego Coaly'ego — przytaknął Harry Rex.

— Zgadzam się. — Jake kiwnął głową. — Ale nie możemy na to liczyć. Buckley kategorycznie się temu sprzeciwi. Nie mam żadnych wątpliwości. Musimy się skoncentrować na białych.

— Kobiety — zasugerował Lucien. — W procesach karnych zawsze wybieraj kobiety. Kobiety mają większe serce, większe i krwawiące. Okazują znacznie więcej współczucia od facetów, dlatego zawsze wybieraj kobiety.

— Skądże! — zaoponował Harry Rex. — Nie w tym przypadku. Kobiety nie rozumieją odruchu sięgnięcia po gnata i rozwalenia paru drani. Potrzebni nam ojcowie, młodzi ojcowie, którzy chcieliby zrobić to samo co Hailey. Szukamy tatusiów z małymi dziewczynkami.

— Od kiedy jesteś specjalistą od wyboru członków ławy przysięgłych? — spytał Lucien. — Myślałem, że jesteś podejrzanym prawnikiem od rozwodów.

— Jestem podejrzanym prawnikiem od rozwodów, ale wiem, jak wybierać przysięgłych.

— A później podsłuchiwać ich przez ścianę.

— Tani chwyt.

Jake uniósł ręce.

— Panowie, proszę! Co powiecie na Victora Onzella? Znasz

go, Stan?

— Taak. Robi z nami interesy. Około czterdziestki, żonaty, troje lub czworo dzieci. Biały. Pochodzi z Północy. Prowadzi zajazd dla kierowców ciężarówek przy autostradzie na północ od miasta. Mieszka tu od pięciu lat.

— Nie brałbym go — odparł Lucien. — Jeśli jest z Północy, nie myśli jak my. Pewnie opowiada się za kontrolą dostępu do broni i całym tym gównem. Zawsze bałem się Jankesów w sprawach karnych. I zawsze stałem na stanowisku, że w Missisipi powinno obowiązywać prawo, iż żaden patentowany Jankes nie może zasiadać w ławie przysięgłych niezależnie od tego, jak długo tu mieszka.

— Piękne dzięki — odrzekł Jake.

— Ja bym go wziął — skwitował Harry Rex.

— Dlaczego?

— Facet ma dzieci, pewnie córkę. Jeśli pochodzi z Północy, nie ma uprzedzeń. Jak dla mnie, Onzell brzmi nieźle.

— John Tate Aston.

— Nie żyje — oświadczył Lucien.

— Co?!

— Powiedziałem, że facet nie żyje. Jest martwy od trzech lat.

— To dlaczego jest na liście? — spytał Atcavage, jedyny pozbawiony prawniczego wykształcenia.

— Nie uaktualniają listy zarejestrowanych wyborców — wyjaśnił Harry Rex, pociągając drinka. — Niektórzy umierają, inni się przeprowadzają. Nie ma sposobu, żeby lista była wiecznie aktualna. Wysłali sto pięćdziesiąt wezwań, oczekując, że odpowie od stu do stu dwudziestu. Reszta zmarła lub się wyprowadziła.

— Caroline Baxter. Ozzie zanotował, że jest czarna — powiedział Jake, przeglądając notatki przyjaciela. — Pracuje w Karaway w fabryce gaźników.

— Weź ją — poradził Lucien.

— Taki mam zamiar — odrzekł Jake.

Ellen wróciła z piwem. Położyła zgrzewkę na kolanach Luciena i oderwała jedną półlitrową puszkę dla siebie. Otworzyła z trzaskiem i wróciła do sekretarzyka. Jake odmówił, ale Atcavage stwierdził, że jest spragniony. Jake postanowił pozostać abstynentem.

— Joe Kitt Shepherd.

— Wygląda mi na wsioka — powiedział Lucien.

— Dlaczego? — zdziwił się Harry Rex.

— Bo ma dwa imiona — wyjaśnił Lucien. — Większość wsioków ma dwa imiona. Billy Ray, Johnny Ray, Bobby Lee, Harry Lee, Jesse Earl, Billy Wayne, Jerry Wayne, Eddie Mack. Nawet ich kobiety mają po dwa. Bobbie Sue, Betty Pearl, Mary Belle, Thelma Lou, Sally Faye.

— A Harry Rex? — spytał Harry Rex.

— Nigdy nie spotkałem kobiety o takich imionach.

— Miałem na myśli wsioka męskiej płci.

— No, chyba by uszło.

Jake przerwał te dywagacje.

— Dell Perry powiedział, że gość prowadził kiedyś sklep wędkarski nad jeziorem. Rozumiem, że nikt go nie zna.

— Nie, ale założę się, że to wieśniak — powiedział Lucien. — Z powodu imienia. Ja bym go skreślił.

— Nie masz ich adresu, wieku, zawodu ani innych podstawowych informacji? — zdziwił się Atcavage.

— Nie, nie dostanę ich do dnia procesu. W poniedziałek każdy potencjalny przysięgły wypełni kwestionariusz na sali sądowej. Do tego czasu będziemy dysponować jedynie nazwiskami.

— Jakiego rodzaju przysięgłych szukamy, Jake? — zapytała Ellen.

— Młodych mężczyzn i gości w średnim wieku, z rodzinami. Wolałbym, żeby nie przekroczyli pięćdziesiątki.

— Dlaczego? — spytał zaczepnie Lucien.

— Młodsi biali odnoszą się bardziej tolerancyjnie do czarnych.

— Jak Cobb i Willard? — zapytał Lucien.

— Większość starszych odnosi się niechętnie do czarnych, ale młodsze pokolenie zaakceptowało zintegrowane społeczeństwo.

— Zgadzam się — przytaknął Harry Rex. — Trzymałbym się z daleka od kobiet i wsioków.

— Taki mam plan.

— A ja myślę, że jesteś w błędzie — zaoponował Lucien. — Kobiety mają więcej współczucia. Spójrz tylko na Row Ark. Jest pełna sympatii dla każdego. Prawda, Row Ark?

— Prawda, Lucienie.

— Współczujesz przestępcom, producentom dziecięcej pornografii, ateistom, nielegalnym imigrantom i gejom. Prawda, Row Ark?

— Tak, Lucienie.

— W chwili obecnej ona i ja jesteśmy jedynymi osobami posiadającymi legitymację członkowską ACLU w okręgu Ford, stan Missisipi.

— To chore — żachnął się bankier Atcavage.

— Clyde Sisco — przeczytał na głos Jake, próbując zażegnać spór.

— Facet jest przekupny — stwierdził z satysfakcją Lucien.

— Jak to przekupny? — zapytał Jake.

— Ano tak, można go kupić.

— Skąd wiesz? — zapytał Harry Rex.

— Jak to skąd? Gość nazywa się Sisco. To największa zgraja oszustów we wschodniej części okręgu. Wszyscy mieszkają w okolicy Mays. Zawodowi złodzieje i oszuści ubezpieczeniowi. Co trzy lata podpalają własne domy. Nigdy o nich nie słyszałeś?! — Lucien krzyknął na Harry'ego Rexa.

— Nie. A skąd wiesz, że faceta można kupić?

— Bo raz to zrobiłem. W sprawie cywilnej dziesięć lat temu. Był na liście kandydatów. Zasugerowałem mu, że zapłacę dziesięć procent odszkodowania zasądzonego przez ławę

przysięgłych. Ten Sisco potrafi być bardzo przekonujący.

Jake odłożył kartkę z listą kandydatów na przysięgłych i potarł oczy. Wiedział, że pewnie to prawda, ale nie chciał uwierzyć.

— I? — spytał Harry Rex.

— Wybrali go do ławy przysięgłych. Dostałem najwyższe odszkodowanie w historii okręgu Ford. Do dziś nikt nie pobił tego rekordu.

— Sprawa Stubblefield? — spytał z niedowierzaniem Jake.

— Tak, mój chłopcze. *Stubblefield przeciwko North Texas Pipeline*. Wrzesień tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwartego. Osiemset tysięcy dolarów. Była apelacja, ale Sąd Najwyższy podtrzymał werdykt.

— Zapłaciłeś mu? — spytał Harry Rex.

Lucien dokończył długiego drinka i cmoknął ustami.

— Osiemdziesiąt tysięcy dolarów gotówką, w banknotach studolarowych — oznajmił dumnie. — Postawił sobie nowy dom, a później go podpalił.

— A twoja działka? — zapytał Atcavage.

— Czterdzieści procent minus osiemdziesiąt tysięcy.

W pokoju zapanowała cisza, bo wszyscy z wyjątkiem Luciena rachowali, ile tego było.

— Łał — wymamrotał z podziwem Atcavage.

— Żartujesz, prawda Lucienie? — zapytał bez przekonania Jake.

— Przecież wiesz, że mówię serio, Jake. Wiesz, że notorycznie kłamię, ale nigdy w takich sprawach. Mówię prawdę i zapewniam, że faceta można kupić.

— Za ile? — spytał Harry Rex.

— Zapomnij o tym! — odparował Jake.

— Za pięć tysięcy dolarów w gotówce, jak sądzę.

— Zapomnij o tym!

Na chwilę zapadła cisza. Wszyscy spojrzeli na Jake'a, aby się upewnić, że nie jest zainteresowany Clyde'em Sisco. Kiedy

stało się jasne, że nie jest, pociągnęli drinka, czekając na następną kandydaturę. Około dwudziestej drugiej trzydzieści Jake wypił pierwsze piwo, a godzinę później po piwie nie było ani śladu. Mieli do omówienia jeszcze czterdzieści nazwisk. Lucien powlókł się na balkon i spojrzał na czarnych krążących ze świeczkami po chodnikach wokół sądu.

— Jake, czemu człowiek z biura szeryfa siedzi w radiowozie przed moją kancelarią? — zapytał.

— To moja ochrona.

— Jak gość się nazywa?

— Nesbit.

— Nie śpi?

— Chyba nie.

Lucien wychylił się niebezpiecznie ponad balustradą.

— Hej, Nesbit! — wrzasnął.

Nesbit otworzył drzwi radiowozu.

— Taak, co się dzieje?

— Jake chce, żebyś poszedł do sklepu i przyniósł nam parę piw. Jest bardzo spragniony. Masz tu dwudziestkę. Prosi o dużą zgrzewkę coorsów.

— Nie mogę kupować piwa, kiedy jestem na służbie — zaprotestował Nesbit.

— Od kiedy? — Lucien zaśmiał się do siebie.

— Nie mogę i już.

— To nie dla ciebie, Nesbit. Piwo będzie dla pana Brigance'a, jest mu koniecznie potrzebne. Dzwonił w tej sprawie do szeryfa. Walls się zgodził.

— Kto dzwonił do szeryfa?

— Pan Brigance — zełgał Lucien. — Szeryf powiedział, że mu to wisi, pod warunkiem że nie wypijesz ani kropelki.

Nesbit wzruszył ramionami, choć wyglądał na usatysfakcjonowanego. Lucien zrzucił dwudziestkę z balkonu. Kilka minut później Nesbit wrócił ze zgrzewką. Jedno piwo było otwarte i stało na radarze. Lucien kazał Atcavage'owi

przynieść coorsy z dołu i rozdzielił pierwszy sześciopak.

Godzinę później dotarli do końca listy, a przyjęcie dobiegło końca. Nesbit załadował Harry'ego Rexa i Atcavage'a do radiowozu i odwiózł do domu. Jake i jego asystentka usiedli na balkonie, popijając piwo i obserwując migotanie świeczek przesuwających się wolno wokół sądu. Kilka wozów zaparkowało po zachodniej stronie placu. Mała grupka czarnych siedziała w pobliżu na rozkładanych krzesłach ogrodowych, czekając na swoją kolej maszerowania ze świecami.

— Całkiem nieźle poszło — powiedział cicho Jake, przyglądając się całonocnemu czuwaniu. — Omówiliśmy sto pięćdziesiąt nazwisk z wyjątkiem dwudziestu.

— Co teraz?

— Spróbuję się czegoś dowiedzieć o pozostałych dwudziestu, a później sporządzimy kartę katalogową dla każdego. Do poniedziałku będziemy ich znać jak członków własnej rodziny.

Nesbit wrócił i dwukrotnie objechał plac, obserwując czarnych. Później zaparkował między saabem i bmw.

— Twoje opracowanie na temat zasady M'Naghtena to mistrzowska robota. Jutro przyjedzie nasz psychiatra, doktor Bass. Chcę, żebyś mu wyjaśniła zasadę M'Naghtena. Przygotuj szczegółową listę pytań, które zadamy podczas procesu, i omów je razem z nim. Facet mnie martwi. Nie znam go, polegam w tej sprawie na Lucienie. Zdobądź jego życiorys i sprawdź kwalifikacje. Wykonaj wszystkie niezbędne telefony. Sprawdź w stanowych towarzystwach medycznych, czy gość nie miał problemów dyscyplinarnych. Facet jest dla nas bardzo ważny, nie chcę żadnych niespodzianek.

— Rozkaz, szefie.

Jake dopił ostatnie piwo.

— Posłuchaj, Row Ark. To bardzo małe miasteczko. Moja żona wyjechała pięć dni temu. Ludzie niebawem się dowiedzą. Wyglądasz podejrzanie. Tutejsi uwielbiają gadać, więc bądź dyskretna. Siedź w biurze, przeprowadzaj badania i mów

każdemu, kto zapyta, że jesteś zastępczynią Ethel.

— Obszerny stanik do wypełnienia.

— Jeśli zechcesz, dasz radę.

— Mam nadzieję, że wiesz, iż nie jestem nawet w połowie taka słodka, jaką udaję.

— Wiem.

Patrzyli, jak czarni zmieniają się przy świecach i w obchód rusza następna grupa. Nesbit wyrzucił na ulicę pustą puszkę po piwie.

— Nie jedziesz do domu? — zapytał Jake.

— Nie byłby to najlepszy pomysł. Mam przynajmniej dwa promile.

— Możesz się przespać na kanapie w moim biurze.

— Dzięki. Chętnie skorzystam.

Jake się pożegnał, zamknął biuro i zamienił słówko z Nesbitem. Później usiadł ostrożnie za kółkiem saaba. Nesbit pojechał za nim do domu na Adams Street. Zaparkował pod wiatą, za samochodem Carli, a Nesbit stanął na podjeździe. Była pierwsza nad ranem, czwartek osiemnastego lipca.

Rozdział 30

Przyjechali w grupkach po dwóch lub trzech ze wszystkich części stanu. Zaparkowali wzdłuż żwirowej drogi obok chaty z drewnianych bali w głębi lasu. Weszli do środka ubrani jak zwykli ludzie, ale w środku powoli i starannie przebrali się w schludnie odprasowane i pieczołowicie złożone szaty oraz spiczaste czapki. Wyrażali podziw dla stroju kolegów i pomagali sobie wzajemnie przywdziać obszerne togi. Większość się nie znała, ale nie trzeba było się przedstawiać. W sumie było ich czterdziestu. Niezła frekwencja.

Stump Sisson był rad. Popijał whiskey i krążył po pokoju niczym trener zachęcający drużynę przed meczem. Sprawdzał stroje, poprawiając to i owo. To największe takie spotkanie od lat, powiedział. Podziwiał ich i ofiarę, którą ponieśli. Wiedział, że mają pracę i rodziny, ale sprawa była ważna. Mówił o dniach chwały, kiedy siali postrach w Missisipi i ludzie się z nimi liczyli. Dawne dni muszą powrócić. Wszystko zależało od nich — od grupy pełnych poświęcenia mężczyzn, którzy wystąpią w obronie białych. Wyjaśnił, że marsz może być niebezpieczny. Czarni mogą paradować i demonstrować całymi dniami i nikt

nie zwróci na to uwagi, ale jeśli spróbują tego biali, może zrobić się groźnie. Władze miasta wydały zgodę, ten szeryf czarnuch obiecał dopilnować porządku, ale większość marszów Klanu w obecnych czasach przerywały wędrowne bandy młodych zdziczałych czarnych chuliganów. Bądźcie ostrożni, zewrzyjcie szyki. On, Stump, będzie mówił.

Z uwagą wysłuchali jego paplaniny, a kiedy skończył, wsiedli do kilkunastu samochodów i ruszyli do miasta.

Niewielu mieszkańców Clanton, jeśli w ogóle tacy byli, widziało marsz Ku-Klux-Klanu. W miarę zbliżania się czternastej napięcie na placu rosło. Sklepikarze i klienci wynajdywali wymówki, żeby sprawdzić chodniki. Reporterzy nadciągnęli tłumnie, gromadząc się jak sępy w pobliżu altany na trawniku przed sądem. Grupka młodych Murzynów przystanęła nieopodal pod potężnym dębem. Ozzie zwietrzył kłopoty. Zapewnili go, że przyszli tylko po to, aby patrzeć i słuchać. Zagroził, że wsadzi ich do pudła, jeśli rozpoczną burdę, i rozstawił swoich w różnych punktach placu.

— Nadchodzą! — Gapie obejrzeli się, by ujrzeć członków Klanu wychodzących dumnym krokiem z małej bocznej uliczki na Washington Avenue, z północnej strony placu. Stąpali dumnie i ostrożnie, z twarzami ukrytymi za złowrogimi czerwono-białymi maskami zwisającymi ze spiczastego nakrycia głowy. Ludzie wytrzeszczyli oczy, gapiąc się na pozbawione twarzy postacie, podczas gdy procesja posuwała się wolno Washington Street, by skręcić na południe w Caffey Street, a następnie na wschód, w Jackson Street. Stump kroczył dumnie na czele swoich. Kiedy zbliżył się do gmachu sądu, skręcił ostro w lewo i powiódł pochód długim chodnikiem biegnącym przez środek trawnika. Członkowie Klanu zwarli szeregi, tworząc półokrąg wokół podium ustawionego na stopniach sądu.

Sępy ruszyły w ślad za nimi, przepychając się i wpadając jedni na drugich. Kiedy Stump dał znak swoim ludziom, żeby stanęli, na podium szybko znalazło się kilkanaście mikrofonów,

z których we wszystkich kierunkach biegły przewody do kamer i magnetofonów. Grupka czarnych pod drzewem wyraźnie się powiększyła. Kilku z nich stanęło w odległości paru metrów od ustawionych w półokręgu postaci w bieli. Chodniki opustoszały, bo kupcy i sklepikarze wraz z klientelą i innymi gapiami ruszyli ulicami na trawnik, aby wysłuchać tego, co ma do powiedzenia niski przywódca z brzuszkiem. Ludzie szeryfa zaczęli przepychać się wolno przez ciżbę, bacznie obserwując czarnych. Ozzie zajął miejsce pod dębem, wśród swoich.

Jake z zapartym tchem obserwował widowisko z okna Jean Gillespie. Widok członków Klanu w pełnych regaliach, z twarzami tchórzliwie ukrytymi za złowrogimi maskami, sprawił, że zrobiło mu się słabo. Białe kaptury, od dziesięcioleci symbol nienawiści i przemocy na Południu, powróciły. Którzy z nich zapalili krzyż przed jego domem? Którzy uczestniczyli w planowaniu podłożenia bomby pod oknem jego sypialni? Czego jeszcze spróbują? Zauważył z góry, że czarni zbliżyli się ku nim.

— Wy, czarnuchy! Nie zostaliście zaproszeni na wiec! — ryknął do mikrofonu Stump, wskazując czarnych mężczyzn. — To wiec Klanu, a nie bandy czarnuchów!

Z bocznych ulic i małych alejek za rzędem domów z czerwonej cegły w kierunku sądu płynął nieprzerwany strumień czarnych. Przyłączyli się do swoich towarzyszy i w ciągu zaledwie kilku sekund było ich dziesięć razy więcej od chłopaków Stumpa. Ozzie wezwał posiłki przez radiostację.

— Nazywam się Stump Sisson! — oznajmił buńczucznie Stump, zdejmując maskę. — Z dumą oświadczam, że jestem Wielkim Magiem stanu Missisipi należącego do Niewidzialnego Imperium Ku-Klux-Klanu. Przybyłem tu, aby oświadczyć, że praworządni biali obywatele Missisipi są zmęczeni i zniesmaczeni tym, że czarni bezkarnie kradną, gwałcą i zabijają. Domagamy się sprawiedliwości! Żądamy, aby ten czarnuch Hailey został skazany! Żeby zapakować jego czarny tyłek do komory gazowej!

— Uwolnić Carla Lee! — wykrzyknął jeden z czarnych.

— Uwolnić Carla Lee! — powtórzyli pozostali.

— Uwolnić Carla Lee!

— Zamknijcie się, czarni zwyrodnialcy! — pisnął Stump. — Milczeć, zwierzęta! — Jego ludzie stali zwróceni twarzą do niego, plecami do wrzeszczącego tłumu. Ozzie i sześciu jego ludzi stanęło między dwiema grupami.

— Uwolnić Carla Lee!

— Uwolnić Carla Lee!

Z natury czerwona twarz Stumpa przybrała barwę purpury. Niemal dotknął zębami mikrofonu.

— Milczeć, zdziczałe czarnuchy! Wczoraj mieliście swój wiec! Nie przeszkadzaliśmy wam! Mamy prawo do pokojowego zgromadzenia, tak jak wy! Zamknijcie się!

Skandowanie się nasiliło.

— Uwolnić Carla Lee!

— Uwolnić Carla Lee!

— Gdzie jest szeryf? Powinien pilnować ładu i porządku! Szeryfie, proszę zrobić to, co do pana należy! Niech pan uciszy czarnuchów, żebyśmy mogli manifestować w spokoju! Nie potrafi pan nad nimi zapanować? Nie potrafi pan zapanować nad własnymi ludźmi? Widzicie? Tak się dzieje, kiedy wybierają czarnuchów na publiczne urzędy!

Okrzyki nie ustały, więc Stump cofnął się od mikrofonu i obserwował czarnych. Fotografowie i ekipy telewizyjne krążyły wokół, próbując zarejestrować widowisko. Nikt nie zwrócił uwagi na małe okienko na trzecim piętrze sądu, które powoli się uchyliło i z ciemności w kierunku podium poszybowała prymitywna bomba zapalająca. Bomba wylądowała u stóp Stumpa i wybuchła, powodując, że Wielkiego Maga ogarnęły płomienie.

Zapanowało zamieszanie. Stump wrzasnął i stoczył się gwałtownie po schodach. Trzech z jego ludzi zdarło ciężkie szaty, próbując go przykryć i stłumić ogień. Drewniane podium i platformę owionęła ciężka i nieomylna woń benzyny. Czarni

ruszyli do ataku, wyciągając kije i noże, grzmocąc wszystkich o białej twarzy lub w białej szacie. Spod każdej z białych szat wyłoniła się krótka czarna pałka. Członkowie Klanu byli przygotowani na atak. Nie minęło kilka sekund od wybuchu, a trawnik przed sądem okręgu Ford zamienił się w pole bitwy. Ludzie krzyczeli, przeklinali i wyli z bólu w gęstych obłokach ciężkiego dymu. W powietrze poszybowały kamienie i cegły, zakotłowało się od pałek, gdy obie grupy zwarły się w walce wręcz.

Po chwili na bujną zieloną trawę osunęły się pierwsze ciała. Pierwszy upadł Ozzie, podstępnie rażony łomem w podstawę czaszki. Nesbit, Prather, Hastings, Pirtle i Tatum dwoili się i troili, bezskutecznie usiłując rozdzielić walczących, zanim się pozabijają. Zamiast czmychnąć w bezpieczne miejsce, dziennikarskie sępy obłędnie skoczyły w dym i kłębowisko walczących, mężnie usiłując zrobić jeszcze lepsze ujęcie krwi i bebechów. Stały się więc łatwym celem. Jeden z operatorów kamery z prawym okiem przytkniętym do wizjera oberwał wyszczerbionym odłamkiem cegły w lewe. Runął na chodnik razem ze swoim narzędziem pracy. Sekundę później stanął nad nim inny operator, filmując rannego kolegę. Energiczna nieustraszona reporterka stacji z Memphis skoczyła w sam środek kłębowiska z mikrofonem w ręku, a kamerzysta ruszył w ślad za nią. O włos uniknęła cegły, ale znalazła się w polu rażenia rosłego członka Klanu, który rozprawiał się z paroma czarnymi nastolatkami. Nagle z głośnym przeszywającym okrzykiem grzmotnął pałką jej śliczną główkę i wymierzył kopniaka, gdy osuwała się na ziemię, a chwilę później brutalnie zaatakował kamerzystę.

Na plac przybyły świeże posiłki policji miejskiej z Clanton. W samym środku zamieszania walczyli Nesbit, Prather i Hastings, zwarłszy szeregi, zwróceni do siebie plecami, strzelając w powietrze ze służbowych rewolwerów Smith & Wesson .357. Dźwięk wystrzałów nieco uspokoił zamieszanie. Walczący

zamarli, rozglądając się, skąd padły strzały, a później szybko się rozdzielili, wściekle łypiąc na wroga. Funkcjonariusze uformowali linię rozdzielającą czarnych od członków Klanu, wdzięcznych za ogłoszenie rozejmu.

Kilku rannych nie mogło się wycofać. Ozzie siedział ogłuszony na trawie, masując kark. Paniusia z Memphis leżała nieprzytomna. Z głowy obficie ciekła jej krew. Kilku członków Klanu w brudnych i zakrwawionych szatach leżało rozciągniętych na pobliskim chodniku. Ogień nadal płonął.

Odgłos syren się nasilił i po chwili na pole bitwy zajechały wozy strażackie oraz karetki. Członkowie straży i sanitariusze zaczęli opatrywać rannych. Nikt nie zginął. Najpierw zabrano Stumpa Sissona. Ozzie, podtrzymywany przez kolegów, dowlókł się do radiowozu. Przybyło więcej posiłków policji i rozproszono tłum.

Jake, Harry Rex i Ellen posilali się letnią pizzą, z zapartym tchem obserwując relację z niedawnych wydarzeń w Clanton, w stanie Missisipi, na ekranie małego telewizora w sali konferencyjnej. Stacja CBS poświęciła wydarzeniom połowę wiadomości. Najwyraźniej ich reporter wyszedł cało z zamieszania, bo komentował nagranie na żywo, opisując przebieg marszu, skandowane okrzyki, wybuch bomby zapalającej i walkę, która się później rozegrała.

— Do popołudnia — relacjonował — nie była jeszcze znana dokładna liczba rannych. Sądzi się, że najpoważniejsze obrażenia wskutek poparzeń odniósł pan Sisson, który przedstawił się jako Wielki Mag Ku-Klux-Klanu. Przebywa w szpitalu leczenia oparzeń w Memphis, a jego stan jest poważny.

Na ekranie ukazało się zbliżenie płonącego Stumpa i piekło, które rozpętało się na placu.

— Proces Carla Lee Haileya ma się rozpocząć w poniedziałek w Clanton — ciągnął dalej reporter. — Nie wiadomo, czy

zamieszki będą miały jakiś wpływ na rozprawę. Spekuluje się, że proces zostanie opóźniony lub przeniesiony do innego okręgu.

— To coś nowego — zauważył Jake.

— Nic nie słyszałeś? — spytał Harry Rex.

— Ani słowa, a sądzę, że poinformowano by mnie przed CBS.

Reporter zniknął, a Dan Rather oznajmił, że za chwilę zjawi się ponownie na wizji.

— Co to oznacza? — spytała Ellen.

— Że Noose jest głupi, bo nie zmienił miejsca procesu.

— Ciesz się, że tego nie zrobił — powiedział Harry Rex. — Będziesz miał powód do apelacji.

— Dzięki, Rex. Dziękuję, że wierzysz w moje umiejętności procesowe.

Zadzwonił telefon. Harry Rex podniósł słuchawkę i przywitał się z Carlą, a następnie przekazał aparat Jake'owi.

— To twoja żona. Możemy posłuchać?

— Nie. Przynieście jeszcze jedną pizzę. Witaj, kochanie.

— Jake, jesteś cały?

— Oczywiście, w jednym kawałku.

— Przed chwilą oglądałam wiadomości. To straszne. Gdzie byłeś?

— Miałem na sobie jedną z tych białych szat.

— Proszę, Jake. To nie jest zabawne.

— Byłem w gabinecie Jean Gillespie na drugim piętrze. Mieliśmy świetne miejsca. Wszystko widzieliśmy. To było pasjonujące widowisko.

— Co to za ludzie?

— Ci sami, którzy zapalili krzyż na podwórku i próbowali wysadzić nasz dom.

— Skąd się wzięli?

— Zewsząd. Pięciu odwieziono do szpitala. Przyjechali z różnych miejsc na terenie stanu. Jeden jest miejscowy. Jak się miewa Hanna?

— Znakomicie. Chce wracać do domu. Czy proces zostanie

odroczony?

— Wątpię.

— Jesteś bezpieczny?

— Oczywiście. Mam całodobową policyjną ochronę i noszę w teczce trzydziestkęósemkę. Nie martw się.

— Martwię się, Jake. Powinnam być w domu razem z tobą.

— Nie.

— Hanna może zostać u rodziców, dopóki wszystko się nie skończy, ale ja chcę wrócić do domu.

— Nie, Carlo. Wiem, że jesteś bezpieczna u rodziców. W Clanton nie byłabyś bezpieczna.

— W takim razie ty też nie jesteś!

— Jestem tak bezpieczny, jak to tylko możliwe, ale nie chcę ryzykować z tobą i Hanną. To nie wchodzi w grę. Koniec dyskusji. Jak się mają rodzice?

— Nie zadzwoniłam, żeby rozmawiać o moich rodzicach. Jestem przerażona. Chcę być z tobą.

— Ja też chcę z tobą być, ale nie teraz. Proszę, zrozum.

Zawahała się.

— Gdzie nocujesz?

— Przeważnie u Luciena. Czasami w domu, z człowiekiem szeryfa w radiowozie na podjeździe.

— Jak tam mój dom?

— Nadal stoi. Brudny, ale cały.

— Tęsknię za nim.

— Wierz mi, że on też za tobą tęskni.

— Kocham cię, Jake, i jestem przerażona.

— Ja też cię kocham, ale się nie boję. Uspokój się i zaopiekuj Hanną.

— Cześć.

— Cześć.

Jake podał słuchawkę Ellen.

— Gdzie ona jest?

— W Wilmington w Karolinie Północnej. Jej rodzice spędzają

tam lato.

Harry Rex wyszedł po kolejną pizzę.

— Tęsknisz za nią, prawda? — spytała Ellen.

— Bardziej, niż potrafisz sobie wyobrazić.

— Och, mam dużą wyobraźnię.

O północy siedzieli w domku z bali, popijając whiskey, przeklinając czarnuchów i porównując odniesione rany. Kilku wróciło ze szpitala w Memphis, gdzie złożyli krótką wizytę Stumpowi Sissonowi. Powiedział im, żeby postępowali zgodnie z planem. Jedenastu wypisano ze szpitala okręgu Ford z różnymi ranami ciętymi i siniakami, więc wszyscy je podziwiali, a oni po kolei opisywali z najdrobniejszymi szczegółami, jak mężnie stawiali czoło przeważającym siłom czarnuchów, zanim padli od razów zadanych zwykle od tyłu lub z zaskoczenia. Byli bohaterami, ludźmi w bandażach. Whiskey lała się strumieniami. Obsypali pochwałami największego ze swoich, kiedy opowiedział, jak zaatakował tę śliczną lalusię reporterkę i jej kamerzystę czarnucha.

Po kilku godzinach picia i słuchania opowieści zabrali się do roboty. Wyciągnęli mapę okręgu, a jeden z miejscowych pokazał cele. Tej nocy dwadzieścia domów — dwadzieścia nazwisk z listy potencjalnych przysięgłych, którą komuś udało się zdobyć.

Czteroosobowe drużyny opuściły dom z bali i ruszyły pick-upami w mrok, aby zrealizować plan. W każdym z samochodów były cztery drewniane krzyże, mniejszy model, trzy metry na półtora, nasączone jak trzeba naftą. Ominęli Clanton i mniejsze miasteczka okręgu, kierując się w stronę pogrążonej w ciemności prowincji. Cele leżały w odizolowanych rejonach, z dala od ruchu i sąsiadów, w okolicy, gdzie takie wyczyny mogły ujść niezauważone, bo ludzie wcześnie kładli się spać i spali głębokim snem.

Plan ataku był prosty: samochód zatrzymywał się w odległości

kilkudziesięciu metrów, bez świateł, żeby był niewidoczny. Kierowca zostawał w środku, nie wyłączając silnika. Trzej pozostali taszczyli krzyż na frontowe podwórko, wbijali go w ziemię i przykładali ogień. Samochód podjeżdżał cicho pod dom i czmychali, rozpoczynając radosną podróż do następnego celu.

Wszystko szło gładko aż do dwudziestego razu. Dziwne nocne hałasy wyrwały ze snu Luthera Picketta, więc siedział sobie w ciemności na przedniej werandzie, nie czekając na nic konkretnego, kiedy ujrzał podejrzanego pick-upa zbliżającego się żwirową drogą za rosnącym tam pekanem. Chwycił dubeltówkę i zaczął nasłuchiwać, jak wóz zawraca i staje na drodze. Usłyszał głosy i ujrzał trzy postacie ciągnące drąg lub coś podobnego na jego frontowe podwórko. Luther przykucnął za krzakiem obok werandy i wycelował.

Kierowca pociągnął łyk chłodnego piwa, czekając, aż płomienie ogarną krzyż. Zamiast tego doleciał go huk wystrzału z dubeltówki. Jego kompani rzucili krzyż i pochodnię i ukryli się w małym rowie przy drodze. Usłyszał kolejny strzał. Musiał przyjść im z pomocą! Cisnął piwo i wdepnął gaz.

Stary Luther wypalił ponownie, schodząc z werandy, i jeszcze raz, gdy ukazał się pick-up, stając przy płytkim rowie. Trójka mężczyzn wygramoliła się z błota, potykając się i ślizgając, przeklinając i wrzeszcząc. Pędzili w kierunku samochodu, rozpaczliwie próbując wskoczyć na skrzynię.

— Szybko! — krzyknął kierowca w chwili, gdy stary Luther wypalił ponownie, tym razem w samochód. Patrzył z uśmiechem, jak pick-up znika w oddali, wyrzucając żwir spod kół i podskakując na wybojach. Banda pijanych dzieciaków, pomyślał.

Później jeden z członków Klanu wyciągnął listę z dwudziestoma nazwiskami i dwudziestoma numerami telefonów. Zadzwonił do wszystkich, mówiąc, żeby raczyli spojrzeć na podwórko przed domem.

Rozdział 31

W poniedziałek rano Jake zadzwonił do domu sędziego Noose'a i został poinformowany przez jego małżonkę, że Wysoki Sąd przewodniczy rozprawie cywilnej w okręgu Polk. Jake przekazał instrukcje Ellen i wyjechał do leżącego w odległości godziny jazdy Smithfield. Skinął głową Wysokiemu Sądowi, wchodząc do pustej sali, i usiadł w pierwszym rzędzie. Oprócz kandydatów na przysięgłych nie było nikogo. Noose sprawiał wrażenie znudzonego, znudzeni byli kandydaci, nuda ogarnęła także pełnomocników stron. Po dwóch minutach również i Jake poczuł się znudzony. Kiedy świadek skończył zeznawać, Noose zarządził krótką przerwę, a Jake udał się do jego pokoju.

— Witaj, Jake. Czemu zawdzięczam twoją wizytę?

— Słyszał pan o tym, co wczoraj zaszło?

— Obejrzałem wieczorną relację w telewizji.

— A słyszał pan, co się stało w nocy?

— Nie.

— Wygląda na to, że ktoś przekazał Ku-Klux-Klanowi listę kandydatów na przysięgłych. W nocy zapalili krzyże przed domami dwudziestu z nich.

Sędzia Noose był zaszokowany.

— Naszych kandydatów na przysięgłych?!

— Tak, proszę pana.

— Schwytano kogoś?

— Jasne, że nie. Ludzie byli zbyt zajęci gaszeniem ognia.

— Dwudziestu naszych kandydatów — powtórzył Ikabod.

— Tak, proszę pana.

Noose przesunął dłonią po czuprynie lśniących siwych włosów i ruszył wolno wokół małego pokoju, kręcąc głową i co jakiś czas drapiąc się w krocze.

— Jak dla mnie to próba zastraszenia — wymamrotał.

Cóż za przenikliwy umysł, pomyślał Jake. Istny prawniczy geniusz.

— Jestem podobnego zdania.

— Co robić? — spytał z nutką frustracji w głosie.

— Zmienić miejsce procesu.

— Na jakie?

— Południową część stanu.

— Rozumiem. Może na okręg Carey? Jak sądzę, czarni stanowią tam sześćdziesiąt procent mieszkańców. Ława przysięgłych będzie niezdolna do podjęcia decyzji, czyż nie? A może wolałbyś okręg Brower? W Brower mieszka jeszcze więcej czarnych. Pewnie uzyskałbyś tam uniewinnienie, co?

— Wszystko mi jedno, dokąd przeniesie pan proces, ale sądzenie Haileya w okręgu Ford jest niesprawiedliwe. Było wystarczająco źle przed wczorajszą bijatyką. Biali obywatele są w nastroju do linczu, a mój klient jest pierwszą nadarzającą się ofiarą. Sytuacja była fatalna już, zanim członkowie Klanu zaczęli dekorować okolicę bożonarodzeniowymi choinkami. Kto wie, co jeszcze zrobią do poniedziałku. Nie ma sposobu, żeby wybrać sprawiedliwą i bezstronną ławę przysięgłych w okręgu Ford.

— Miałeś na myśli ławę przysięgłych złożoną z czarnych?

— Nie, proszę pana! Chodziło mi o przysięgłych, którzy

jeszcze nie wydali wyroku w tej sprawie. Carl Lee Hailey ma prawo do dwunastu ludzi, którzy jeszcze nie zdecydowali o jego winie lub niewinności.

Noose dowlókł się do fotela i opadł na poduszki. Zdjął z nosa okulary, trzymając je za koniec zausznika.

— Możemy podziękować tej dwudziestce — zadumał się na głos.

— To na nic. Wiedzą o tym wszyscy mieszkańcy okręgu, a jeśli nie, to niebawem się dowiedzą. Wie pan, jak szybko rozchodzą się wieści. Wszyscy będą zastraszeni.

— W takim razie możemy odrzucić tych dwudziestu i wezwać nowych.

— To nic nie da! — odparł ostro Jake, wyraźnie sfrustrowany uporem Noose'a. — Wszyscy przysięgli muszą pochodzić z okręgu Ford, a tutejsi wiedzą, co się stało. Jak uniemożliwi pan Klanowi zastraszenie następnej grupy kandydatów na przysięgłych?

— Skąd wiesz, że Klan nie przeniesie się do innego okręgu? — Każde słowo Ikaboda ociekało sarkazmem.

— Prawdopodobnie tak zrobią — przytaknął Jake. — Ale nie mamy co do tego pewności. Z drugiej strony wiemy, że Klan już jest w okręgu Ford, że podejmuje aktywne działania i zastraszył niektórych kandydatów na przysięgłych. Właśnie o to chodzi. Pytanie brzmi, co pan zrobi w tej sprawie?

— Nic — odrzekł otwarcie Ikabod.

— Słucham, proszę pana?

— Nic. Nie zrobię niczego, ale zwolnię tych dwudziestu. Starannie przesłucham kandydatów w następny poniedziałek, kiedy rozpoczniemy proces w Clanton.

Jake słuchał go, nie dowierzając własnym uszom. Noose miał powód, motyw i obawy, o których nie mówił. Lucien się nie mylił, ktoś wywierał na niego nacisk.

— Mogę spytać dlaczego?

— Uważam, że nie ma większego znaczenia, gdzie osądzimy

Carla Lee Haileya. Że nie ma znaczenia, kto zasiądzie w ławie przysięgłych. Nie uważam, aby w tej sprawie miała znaczenie barwa skóry. Ludzie już rozstrzygnęli. Wszyscy, niezależnie od tego, kim są i gdzie mieszkają. Ludzie już wydali wyrok w swojej głowie, Jake. Do ciebie należy wybranie tych, którzy uważają twojego klienta za bohatera.

Jake pomyślał, że to prawda, ale nie mógł tego przyznać. Nadal wpatrywał się w drzewa rosnące za oknem.

— Dlaczego boi się pan zmienić miejsce rozprawy?

Ikabod zmrużył oczy i łypnął gniewnie na Jake'a.

— Dlaczego uważasz, że się boję?! Nie boję się podjąć żadnej decyzji. Dlaczego ty się boisz procesu w okręgu Ford?

— Sądziłem, że już to wyjaśniłem.

— Proces pana Haileya rozpocznie się w poniedziałek, w okręgu Ford. Za trzy dni od dziś. Będzie tu sądzony nie dlatego, że ja się czegoś obawiam, ale dlatego, że jego przeniesienie niczego by nie dało. Bardzo starannie przemyślałem sprawę, panie Brigance. Zrobiłem to wielokrotnie i nie mam najmniejszych wątpliwości. Proces nie zostanie przeniesiony z Clanton. Coś jeszcze?

— Nie, proszę pana.

— Doskonale. Zatem do zobaczenia w poniedziałek.

Jake wszedł do kancelarii tylnymi drzwiami. Drzwi frontowe od tygodnia były zamknięte, więc cały czas ktoś pod nimi stał i dobijał się. Większość natrętów była reporterami, choć zdarzali się także przyjaciele, którzy chcieli wstąpić na chwilę, żeby poplotkować i dowiedzieć się czegoś o nadchodzącym procesie. Klienci należeli do przeszłości. Telefon się urywał, ale Jake go nie dotykał, a Ellen robiła to tylko wówczas, gdy znajdowała się w pobliżu.

Zastał ją w sali konferencyjnej, wspartą łokciami na księgach prawniczych. Jej opracowanie dotyczące spraw, w których

powołano się na zasadę M'Naghtena, było majstersztykiem. Poprosił o najwyżej dwadzieścia stron, a dostał siedemdziesiąt bezbłędnie przepisanych i jasno sformułowanych kartek wraz z wyjaśnieniem, że nie dało się sporządzić krótszej wersji zastosowania zasady M'Naghtena w procesach ze stanu Missisipi. Jej badania były skrupulatne i szczegółowe. Rozpoczęła od pierwotnej sprawy M'Naghtena w Anglii, na początku XIX wieku, i przeanalizowała sto pięćdziesiąt lat dziejów prawa dotyczącego niepoczytalności, które obowiązywało w stanie Missisipi. Odrzuciła drugorzędne lub zagmatwane kazusy, z cudowną prostotą objaśniając skomplikowane, poważne sprawy. Opracowanie kończyło się podsumowaniem obecnie obowiązujących przepisów i odniesieniem ich do sprawy Haileya.

W krótszym streszczeniu składającym się z zaledwie czternastu kartek doszła do nieomylnego wniosku, że członkowie ławy przysięgłych ujrzą wstrząsające zdjęcia Cobba i Willarda z mózgiem rozbryzganym na schodach. Stan Missisipi dopuszczał takie podburzające dowody, a Ellen nie znalazła sposobu obejścia przepisów.

Wysmarowała też trzydziestojednostronicowe opracowanie podsumowujące przypadki usprawiedliwionego zabójstwa, bo Jake rozważał tę linię obrony krótko po śmierci Cobba i Willarda. Doszła do takiego samego wniosku, co on — że to się nie uda. Odnalazła starą sprawę z Missisipi, w której oskarżony schwytał i zabił uzbrojonego więźnia. Został uniewinniony, ale różnice dzielące tamtą sprawę od sprawy Haileya były ogromne. Jake nie prosił o to streszczenie, więc był poirytowany, że poświęciła mu tyle energii. Nic jednak nie powiedział, bo Row Ark zrobiła wszystko, o co ją poprosił.

Najprzyjemniejszą niespodzianką był przebieg jej współpracy z doktorem Bassem. Spotkali się dwukrotnie w ciągu ostatniego tygodnia, szczegółowo omawiając zasadę M'Naghtena. Przygotowała liczący dwadzieścia pięć stron skrypt z pytaniami dla Jake'a i odpowiedziami dla doktora Bassa. Otrzymał zręcznie

napisany dialog i był pełen podziwu dla jej umiejętności. W jej wieku był przeciętnym studentem, bardziej zajętym romansowaniem niż prowadzeniem badań. Row Ark natomiast, studentka trzeciego roku prawa, pisała opracowania, które czytało się niczym traktaty.

— Jak ci poszło? — zapytała.

— Zgodnie z oczekiwaniami. Nie ustąpił. Proces rozpocznie się w poniedziałek, z tą samą listą kandydatów pomniejszoną o dwudziestu, którzy otrzymali subtelne ostrzeżenie.

— Facet zwariował.

— Nad czym pracujesz?

— Kończę opracowanie uzasadniające nasze stanowisko, że szczegóły gwałtu powinny zostać przedstawione ławie przysięgłych. W obecnej chwili sprawa wygląda nieźle.

— Kiedy skończysz?

— Czy to pilne?

— Chciałbym to mieć do niedzieli. Mam dla ciebie inne zadanie, nieco odmiennej natury.

Odsunęła notatnik i zamieniła się w słuch.

— Psychiatrą ze strony stanu będzie doktor Wilbert Rodeheaver, szef kliniki psychiatrycznej w Whitfield. Jest tu od wieków, zeznawał w setkach spraw. Chciałbym, żebyś trochę poszperała i sprawdziła, jak często jego nazwisko pojawia się w decyzjach sądu.

— Już na nie natrafiłam.

— Doskonale. Jak wiesz, jedynymi sprawami rozpatrywanymi przez Sąd Najwyższy, o których dowiadujemy się z prasy, są te, w których oskarżony został skazany i złożył apelację. Zwykle nie ma doniesień o uniewinnieniach. Właśnie te mnie interesują.

— O co ci chodzi?

— Mam przeczucie, że Rodeheaver bardzo niechętnie wydaje opinię, że oskarżony był niepoczytalny w sensie prawnym. Możliwe nawet, że nigdy tego nie zrobił. Nawet w przypadku, gdy oskarżony był bezmózgim idiotą i nie wiedział, co robi.

Chciałbym zapytać Rodeheavera, podczas przesłuchania na sali sądowej, o przypadki, w których stwierdził, że nic nie dolegało ludziom ewidentnie chorym i uniewinnionym później przez ławę przysięgłych.

— Będzie je bardzo trudno znaleźć.

— Poradzisz sobie, Row Ark. Przez tydzień obserwowałem, jak pracujesz. Wiem, że potrafisz.

— Schlebiasz mi, szefie.

— Może trzeba będzie zadzwonić do prawników w całym stanie, którzy zetknęli się z Rodeheaverem. Wiem, że będzie ciężko, Row Ark, ale załatw to.

— Rozkaz, komendancie. Jestem pewna, że potrzebujesz tego na wczoraj.

— Niezupełnie. Wątpię, czy w następnym tygodniu dojdziemy do Rodeheavera, więc masz trochę czasu.

— Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Mówisz, że nie jest to bardzo pilne?

— Nie, w przeciwieństwie do opracowania na temat gwałtu.

— Rozumiem, szefie.

— Jadłaś lunch?

— Nie jestem głodna.

— Dobrze. Nie rób żadnych planów na kolację.

— Jak to?

— Mam pewien pomysł.

— Pójdziemy na randkę?

— Nie, raczej na biznesowe spotkanie dwojga profesjonalistów.

Jake spakował teczki i wyszedł.

— Będę u Luciena — oświadczył na odchodnym. — Dzwoń wyłącznie w najpilniejszych sprawach i nie mów nikomu, gdzie mnie znaleźć.

— Nad czym będziecie pracować?

— Nad składem ławy przysięgłych.

Lucien spał na huśtawce na werandzie, a Sallie nie było w

pobliżu, więc Jake udał się do przestronnego gabinetu na górze. Lucien miał w swoim domu więcej prawniczych książek niż niejeden prawnik w kancelarii. Jake rozłożył swój dobytek na fotelu, a na biurku umieścił listę kandydatów na przysięgłych w porządku alfabetycznym oraz plik kart katalogowych o wymiarach siedem i pół na dwanaście i pół centymetra, a także kilka markerów Magic.

Listę rozpoczynał Acker. Barry Acker. Nazwisko zapisano dużymi drukowanymi literami, u góry karty, niebieskim magic markerem. Niebieski kolor był dla mężczyzn, a czarny dla czarnych, niezależnie od płci. Pod nazwiskiem Ackera zanotował ołówkiem kilka uwag. Wiek około czterdziestu lat. Dwukrotnie żonaty. Trójka dzieci. Dwie córki. Prowadzi mały nierentowny sklep żelazny przy autostradzie w Clanton. Żona pracuje jako sekretarka w banku. Jeździ pick-upem. Lubi polować. Nosi kowbojskie buty. Całkiem sympatyczny gość. Atcavage poszedł do sklepu w czwartek, żeby rzucić okiem na Barry'ego Ackera. Powiedział, że facet wygląda w porządku i gada, jakby miał pewne wykształcenie. Jake umieścił cyfrę dziewięć obok jego nazwiska.

Był dumny ze swoich badań. Buckley z pewnością nie jest taki skrupulatny.

Następny na liście był Bill Andrews. Cóż za nazwisko! W książce telefonicznej było ich sześciu. Jake znał jednego, Harry Rex drugiego, a Ozzie wiedział o czarnym noszącym to miano. Szkoda, że nikt nie wiedział, który dostał wezwanie. Postawił znak zapytania obok Andrewsa.

Gerald Ault. Jake uśmiechnął się do siebie, gdy zapisywał nazwisko na kartoniku. Ault otarł się o jego kancelarię, gdy kilka lat temu bank zajął jego dom w Clanton. Żona Aulta chorowała na nerki, więc dobiły ich rachunki za leczenie. Facet był intelektualistą z Princeton, gdzie poznał swoją przyszłą żonę. Pochodziła z okręgu Ford i była jedynym dzieckiem niegdyś zamożnej rodziny głupców, którzy zainwestowali cały majątek

w kolej żelazną. Facet przybył do okręgu Ford, gdy jego teściowie popadli w tarapaty, więc perspektywa łatwego życia, którą poślubił, zamieniła się w piekło. Jakiś czas uczył w szkole, później prowadził bibliotekę, a jeszcze później pracował jako urzędnik sądowy. Rozwinął w sobie awersję do ciężkiej pracy. Później zachorowała jego żona i stracili swój skromny dom. Teraz pracował w sklepie ogólnospożywczym.

Jake wiedział o Geraldzie Aulcie coś, o czym nie miał pojęcia nikt inny. Jako dziecko mieszkał w Pensylwanii z rodziną na farmie w okolicy autostrady. Pewnej nocy, gdy spali, w domu wybuchł pożar. Przejeżdżający w pobliżu kierowca zatrzymał się, wyważył drzwi i zaczął ratować nieświadomych zagrożenia Aultów. Ogień szybko się rozprzestrzeniał. Kiedy Gerald i jego brat się obudzili, byli uwięzieni w pułapce, w sypialni na górze. Podbiegli do okna i zaczęli krzyczeć. Rodzice i rodzeństwo wrzeszczeli bezradnie z trawnika przed domem. Nieznany ratownik pomoczył się wodą z ogrodowego węża, wpadł do płonącego domu i ruszył na górę, oganiając się od języków ognia i dymu. Wpadł do sypialni chłopców, wywalając drzwi. Kopniakiem wybił okno, chwycił Geralda i jego brata, i zeskoczył na ziemię. Cudem nikt nie ucierpiał. Dziękowali mu, ściskając go i płacząc. Dziękowali nieznajomemu o czarnej skórze. Był pierwszym czarnuchem, którego ujrzały dzieci.

Gerald Ault należał do nielicznych białych w okręgu Ford, którzy autentycznie kochali czarnych. Jake umieścił dziesiątkę przy jego nazwisku.

Przez sześć godzin analizował listę kandydatów, szykując kartki, koncentrując się na każdym nazwisku i wyobrażając sobie człowieka, który je nosił, w ławie przysięgłych, jak się naradza z pozostałymi. Dawał im oceny. Każdy czarny z automatu dostawał dziesiątkę, ale z białymi było trudniej. Generalnie przyznawał wyższe oceny mężczyznom niż kobietom, młodym niż starym. Nieco wyższe noty otrzymywali ludzie lepiej wykształceni. Najwyższe oceny dostawali obywatele o

liberalnych poglądach, wykształceni i młodsi.

Wyeliminował dwudziestu, których postanowił wyłączyć sędzia Noose. Wiedział to i owo o stu jedenastu potencjalnych przysięgłych. Z pewnością Buckley nie posiadał takiej wiedzy.

Kiedy wrócił od Luciena, Ellen pisała na maszynie Ethel. Wyłączyła ją, zamknęła prawnicze księgi, z których notowała, i spojrzała na Jake'a.

— Gdzie ta kolacja? — spytała z szelmowskim uśmiechem.

— Przejedziemy się.

— Zgoda! Dokąd?

— Byłaś kiedyś w Robinsonville, w Missisipi?

— Nie, ale jestem gotowa. Co tam mają?

— Nic z wyjątkiem bawełny, soi i wspaniałej małej restauracji.

— Obowiązuje jakiś ubiór?

Jake przyjrzał się jej uważnie. Była ubrana jak zwykle — starannie odprasowane wypłowiałe dżinsy, buty na bose stopy, granatowa bluzka na guziki, wprawdzie za duża o cztery numery, ale ładnie ułożona nad jej kształtnymi biodrami.

— Wyglądasz w porządku — powiedział.

Wyłączyli kserokopiarkę, zgasili światło i wyjechali z Clanton jego saabem. Jake zatrzymał się obok sklepu monopolowego w czarnej części miasta, aby kupić sześciopak coorsów i chłodną flaszkę wina chablis.

— Trzeba tam przyjechać z własną butelką — wyjaśnił, kiedy wyjechali z miasta. Nad autostradą w oddali zachodziło słońce, więc Jake opuścił osłony przeciwsłoneczne. Ellen wcieliła się w rolę barmanki i otworzyła dwie puszki piwa.

— Czy to daleko? — zapytała.

— Półtorej godziny jazdy.

— Półtorej godziny?! Umieram z głodu!

— Napij się piwa. Wierz mi, że warto.

— Co jest w menu?

— Potrawy z grilla, smażone krewetki, żabie udka i sumy pieczone na węglu drzewnym.

Pociągnęła łyk piwa.

— Zobaczymy.

Dodał gazu. Przemykali mostami rozpiętymi ponad niezliczonymi dopływami jeziora Chatulla, wspinali się na strome wzgórza pokryte warstwami ciemnozielonego kudzu, pokonywali zakręty i wyprzedzali ciężarówki z drewnem wykonujące ostatni kurs tego dnia. Jake otworzył szyberdach i opuścił szyby, pozwalając, by owionął ich wiatr. Ellen odchyliła się w fotelu i zamknęła oczy. Jej gęste loki opadały na twarz.

— Posłuchaj, Row Ark, ta kolacja to sprawa czysto zawodowa...

— Jasne, jasne.

— Naprawdę. Jestem twoim pracodawcą, a ty moją pracowniczką, więc zjemy posiłek służbowy. Ni mniej, ni więcej. Niech ci nie przyjdą do tej twojej seksualnie wyzwolonej główki pełnej ideałów żadne sprośne myśli.

— Mówisz tak, jakbyś sam je miał.

— Nie. Po prostu wiem, o czym myślisz.

— Ciekawe skąd? Dlaczego uważasz, że masz nieodparty urok, a ja mam zamiar cię uwieść?

— Tylko trzymaj ręce przy sobie. Jestem szczęśliwie żonatym facetem mającym piękną żonę, która jest gotowa zabić, jeśli się dowie, że ją zdradzam.

— W porządku. Udawajmy przyjaciół. Dwoje przyjaciół, którzy poszli na kolację.

— Na Południu to nie wyjdzie. Mężczyzna przyjaciel nie może zaprosić na kolację swojej przyjaciółki kobiety, chyba że ta jest jego żoną. Tutaj tego nie kupią.

— Dlaczego?

— Bo tutejsi faceci nie mają kobiet przyjaciół. To wykluczone. Nie znam ani jednego gościa na całym Południu, który jest żonaty i przyjaźni się z inną kobietą. Myślę, że sięga to czasów

wojny secesyjnej.

— A ja, że jest rodem ze średniowiecza. Czemu kobiety z Południa są takie zazdrosne?

— Bo tak zostały wychowane. Nauczyły się tego od nas. Gdyby moja żona umówiła się na lunch lub obiad z przyjacielem, oderwałbym mu głowę i złożył pozew o rozwód. Ona nauczyła się tego ode mnie.

— To nonsens.

— Jasne, że nie.

— Twoja żona nie ma mężczyzn przyjaciół?

— Nie wiem o żadnym. Gdybyś o jakimś usłyszała, daj mi znać.

— A ty nie masz żadnych przyjaciółek?

— Czemu miałbym tego chcieć? Kobiety nie potrafią rozmawiać o futbolu, polowaniu na kaczki, polityce ani sprawach sądowych. O niczym, o czym chciałbym gadać. Plotkują o dzieciach, ubraniach, przepisach kulinarnych, kuponach zwrotnych, meblach i innych rzeczach, o których nie mam zielonego pojęcia. Nie, nie mam żadnych kobiet przyjaciół. Nie mam i nie chcę mieć.

— Właśnie za to kocham Południe. Tutejsi ludzie są tacy tolerancyjni.

— Dziękuję.

— A może masz jakichś przyjaciół Żydów?

— Nie słyszałem o żadnych Żydach mieszkających w okręgu Ford. Miałem dobrego kumpla na wydziale prawa, Irę Taubera z New Jersey. Byliśmy zaprzyjaźnieni. Uwielbiam Żydów. Wiesz, Jezus też był Żydem. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć antysemitów.

— Boże, ty jesteś prawdziwym liberałem. A co... z homoseksualistami?

— Współczuję gościom. Nie wiedzą, co tracą, ale to ich problem.

— Mógłbyś się zaprzyjaźnić z homoseksualistą?

— Chyba tak, pod warunkiem że by mi o tym nie powiedział.

— Nie, jednak jesteś typowym republikaninem.

Odebrała jego pustą puszkę i rzuciła na tylne siedzenie. Otworzyła dwie kolejne. Słońce zaszło, a ciężkie, wilgotne powietrze wydawało się chłodne przy prędkości stu czterdziestu kilometrów na godzinę.

— Zatem nie możemy być przyjaciółmi? — zapytała.

— Nie.

— Ani kochankami.

— Błagam, staram się prowadzić.

— Kim więc jesteśmy?

— Ja prawnikiem, a ty moją asystentką prawną. Pracodawcą i pracownikiem. Szefem i dziewczyną na posyłki.

— Ty jesteś mężczyzną, a ja kobietą.

Jake spojrzał z podziwem na jej dżinsy i obszerną bluzkę.

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Ellen pokręciła głową i popatrzyła na pola kudzu migające za oknem. Jake uśmiechnął się i przyspieszył, popijając piwo. Przejechał kilka opuszczonych wiejskich skrzyżowań i nagle wzgórza zniknęły, a ziemia stała się płaska.

— Jak się nazywa ta restauracja? — zapytała.

— Hollywood.

— Jak?!

— Hollywood.

— Dlaczego?

— Kiedyś znajdowała się w małym miasteczku Hollywood leżącym kilka kilometrów dalej. Lokal się spalił i przenieśli interes do Robinsonville, ale knajpę nadal nazywają Hollywood.

— Co w niej takiego świetnego?

— Doskonałe żarcie, dobra muzyka, wspaniała atmosfera i to, że znajduje się w takiej odległości od Clanton, że nikt nie zauważy, że jem kolację z nieznajomą piękną kobietą.

— Przecież nie jestem kobietą, ale chłopcem na posyłki.

— Nieznajomym i pięknym gońcem.

Ellen uśmiechnęła się do siebie i przesunęła palcami po włosach. Na następnym skrzyżowaniu Jake skręcił w lewo i ruszył na zachód, aż dotarli do małej osady przy torach kolejowych. Po jednej stronie drogi ciągnął się rząd opuszczonych drewnianych budynków, a po drugiej stał samotny stary sklep pasmanteryjny, wokół którego zaparkowało kilkanaście samochodów, a z okien niosła się cicha muzyka. Jake złapał butelkę chablis i powiódł swoją asystentkę po schodach na frontową werandę, a następnie do środka restauracji.

Obok drzwi znajdowała się mała scena. Przy pianinie siedziała piękna czarnoskóra dama o imieniu Merle i śpiewała *Rainy Night in Georgia* (Deszczowa noc w Georgii). Przez salę biegły trzy długie rzędy stołów kończące się obok sceny. Połowa miejsc była zajęta. Kelnerka nalewająca piwo z dzbanka skinęła im, żeby weszli do środka. Posadziła ich z tyłu sali, przy małym stoliku nakrytym obrusem w biało-czerwoną kratkę.

— Chcesz trochę smażonych pikli z koprem, słodziutki? — zapytała Jake'a.

— Tak, poprosimy dwie porcje.

Ellen uniosła brwi i spojrzała na Jake'a.

— Smażone pikle z koprem?

— Tak! Oczywiście! Nie serwują tego w Bostonie?

— Czy wy wszystko smażycie?

— Wszystko, co nadaje się do jedzenia. Jeśli nie będą ci smakować, chętnie zjem sam.

Z drugiego rzędu stołów doleciał głośny ryk. Cztery pary wzniosły toast na cześć kogoś lub czegoś, a następnie wybuchnęły hałaśliwym śmiechem. Na sali panował nieustanny harmider krzyków i rozmów.

— W Hollywood najlepsze jest to, że możesz hałasować i gadać ile wlezie, bo nikomu to nie przeszkadza — wyjaśnił Jake. — Jeśli dadzą ci stolik, będzie twój przez całą noc. Za chwilę zaczną śpiewać i tańczyć.

Jake zamówił smażone krewetki i suma upieczonego na węglu

drzewnym dla obojga. Ellen poprosiła o żabie udka. Kelnerka wróciła ze schłodzonym chablis i dwiema szklankami. Wznieśli toast za Carla Lee Haileya i jego chory umysł.

— Co myślisz o Bassie? — zapytał Jake.

— To idealny biegły. Powie wszystko, co zechcemy.

— Czy to ci przeszkadza?

— Przeszkadzałoby, gdyby zeznawał na temat faktów, ale Bass jest ekspertem, więc może przedstawić własne zdanie. Kto zakwestionuje jego opinię?

— Jest wiarygodny?

— Tak, kiedy jest trzeźwy. Rozmawialiśmy dwukrotnie w ciągu ostatniego tygodnia. We wtorek był przytomny i pomocny, ale w środę pijany i obojętny na wszystko. Myślę, że okaże się równie przydatny jak każdy inny psychiatra. Nie obchodzi go prawda, więc powie to, co chcemy usłyszeć.

— Czy uważa, że Carl Lee jest niepoczytalny w sensie prawnym?

— Nie, a ty?

— Też nie. Posłuchaj, Row Ark. Carl Lee powiedział mi, że to zrobi, pięć dni przed zabójstwem. Pokazał mi nawet miejsce, w którym się na nich zaczai, choć wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nasz klient doskonale wiedział, co robi.

— Czemu go nie powstrzymałeś?

— Bo nie uwierzyłem, że faktycznie to zamierza. Jego córka niedawno została zgwałcona, walczyła o życie.

— Czy powstrzymałbyś go, gdybyś mógł?

— Powiedziałem Ozziemu, ale żaden z nas nie sądził, że do tego dojdzie. Nie, nie powstrzymałbym go, nawet gdybym miał pewność. Na jego miejscu zrobiłbym to samo.

— Co?

— Zrobiłbym dokładnie to, co on. To bardzo proste.

Ellen zamierzyła się widelcem na smażonego pikla w koprze, spoglądając podejrzliwie na talerz. Przecięła pikla na pół,

nadziała na widelec i ostrożnie powąchała. Następnie włożyła do ust i wolno pogryzła. Z trudem przełknęła i podsunęła Jake'owi swój talerz z piklami.

— Typowa Jankeska — burknął Jake. — Nie rozumiem cię, Row Ark. Nie lubisz smażonych pikli, jesteś atrakcyjna i bardzo inteligentna. Mogłabyś pracować za kupę szmalu w każdej z wiodących kancelarii w kraju, a ty marnujesz karierę i nie śpisz po nocach z powodu zabójców, którzy siedzą w celi śmierci i czekają na odebranie sprawiedliwej zapłaty. Co cię kręci, Row Ark?

— Nie śpisz z powodu takich samych ludzi. Teraz jest to Carl Lee Hailey. Następnym razem będzie jakiś znienawidzony przez wszystkich morderca, ale ty nie będziesz mógł zmrużyć oka, bo jest twoim klientem. Któregoś dnia twój klient trafi do celi śmierci, Brigance, a wtedy dowiesz się, jakie to straszne. Kiedy przypną go pasami do krzesła i spojrzy na ciebie ostatni raz, będziesz zmienionym człowiekiem. Wtedy zrozumiesz, jak barbarzyński jest ten system, i wspomnisz Row Ark.

— A później zapuszczę brodę i wstąpię do ACLU.

— Pewnie tak, jeśli zechcą cię przyjąć.

Przybyły smażone krewetki w małym czarnym rondlu. Podali je w maśle, czosnku i sosie barbecue. Ellen nałożyła sobie słuszną porcję i zaczęła jeść jak głodomór. Merle wzruszająco odśpiewała starą pieśń *Dixie*, a goście zaczęli nucić razem z nią i klaskać w dłonie.

Kelnerka przebiegła obok nich, rzucając na stół półmisek chrupiących żabich udek w cieście. Jake dopił wino i podkradł kilka sztuk. Ellen udała, że tego nie widzi. Kiedy najedli się przystawkami, na stole zjawił się sum. Tłuszcz skwierczał i strzelał, a oni nie dotykali talerzy. Ryba upieczona na węglu drzewnym miała brązową chrupiącą skórkę, z obu stron pokrytą czarną siatką grilla. Jedli i pili, nie spiesząc się, obserwując się wzajemnie i rozkoszując pysznym jadłem.

⅄ ⅄ ⅄

O północy butelka była opróżniona, a światło przyćmione. Powiedzieli dobranoc kelnerce i Merle i zeszli ostrożnie po schodach do samochodu. Jake zapiął pas.

— Jestem zbyt pijany, żeby prowadzić — stwierdził.

— Ja również. Widziałam mały motel przy drodze.

— Ja też. Nie mają wolnych miejsc. Niezły numer, Row Ark. Najpierw mnie upiłaś, a teraz próbujesz wykorzystać.

— Zrobiłabym to, gdybym mogła, proszę pana.

Na chwilę ich oczy się spotkały. Na twarzy Ellen igrało czerwone światło neonu Hollywood umieszczonego na dachu restauracji.

Chwilę później znak zgasł. Restauracja była zamknięta.

Jake uruchomił saaba, pozwolił, żeby silnik się rozgrzał i odjechali w mrok.

⅄ ⅄ ⅄

Myszka Mickey zadzwonił do domu Ozziego w sobotę rano, obiecując kolejne kłopoty ze strony Klanu. Zamieszki w czwartek nie zostały przez nich zawinione, wyjaśnił, choć im je przypisano. Spokojnie maszerowali, a teraz ich przywódca leży w szpitalu bliski śmierci, z poparzeniami trzeciego stopnia obejmującymi siedemdziesiąt procent powierzchni ciała. Zemszczą się. Dostali takie polecenie z góry. W drodze są posiłki z innych stanów. Będą kolejne akty przemocy. Nie może podać żadnych konkretów, ale zadzwoni, gdy dowie się czegoś więcej.

Ozzie siedział po swojej stronie łóżka, rozcierając potężny siniak na karku. Zadzwonił do burmistrza, a później do Jake'a. Godzinę później spotkali się w biurze szeryfa.

— Niebawem sytuacja może się wymknąć spod kontroli — powiedział Ozzie, przykładając do karku woreczek z lodem i krzywiąc twarz przy każdym wypowiadanym słowie. — Mam informacje z wiarygodnego źródła, że Klan planuje zemstę za

to, co wydarzyło się w czwartek. Sprowadzą świeże posiłki z innych stanów.

— Wierzysz w to? — spytał burmistrz.

— Boję się nie wierzyć.

— To ten sam informator? — zapytał Jake.

— Taak.

— W takim razie ja też mu wierzę.

— Czy ktoś wspomniał o przeniesieniu lub odłożeniu procesu? — spytał Ozzie. — Jest na to jakaś szansa?

— Nie. Wczoraj rozmawiałem z sędzią Noose'em. Proces nie zostanie przeniesiony i rozpocznie się w poniedziałek.

— Powiedziałeś mu o paleniu krzyży?

— Powiedziałem o wszystkim.

— Odbiło mu? — spytał burmistrz.

— Tak. Jest głupi. Proszę nie powtarzać, że to powiedziałem.

— Czy jego decyzja ma solidne podstawy prawne? — zapytał Ozzie.

Jake pokręcił głową.

— Raczej stoi na ruchomym piasku.

— Co przez to rozumiesz? — spytał burmistrz.

Ozzie zmienił woreczek z lodem i ostrożnie rozmasował kark.

— Mam głębokie pragnienie zapobieżenia kolejnym rozruchom — rzekł z bólem. — Nasz szpital nie jest wystarczająco duży, żeby pozwolić na ponowne incydenty. Musimy coś zrobić. Czarni są rozwścieczeni i nieprzewidywalni. Wystarczy iskra, żeby eksplodowali. Niektórzy szukają tylko pretekstu do rozpoczęcia strzelaniny, a goście w białych szatach stanowią dobry cel. Czuję, że członkowie Klanu mogą zrobić coś naprawdę głupiego, na przykład spróbować kogoś zabić. Będzie o nich głośniej w całym kraju niż w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Mój informator powiedział, że po czwartku zaczęli dostawać telefony ze wszystkich stanów od ochotników, którzy chcą tu przyjechać i dołączyć do zabawy.

Wolno pokręcił głową i ponownie zmienił lód.

— Wolałbym tego nie mówić, panie burmistrzu, ale myślę, że powinien pan zadzwonić do gubernatora i poprosić o pomoc Gwardię Narodową. Wiem, że ten krok może się wydać drastyczny, ale nie chciałbym, żeby ktoś został zabity.

— Gwardię Narodową?! — powtórzył burmistrz, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

— Tak, dobrze pan usłyszał.

— Gwardia Narodowa ma zająć Clanton?

— Taak, w celu ochrony mieszkańców.

— Patrolować ulice?

— Tak, z karabinami i wszystkim innym.

— Boże, to byłoby drastyczne rozwiązanie. Czy odrobinę nie przesadzasz?

— Nie. Jest oczywiste, że nie mamy wystarczającej liczby ludzi, żeby utrzymać tu porządek. Nie potrafiliśmy nawet zapobiec bijatyce, która wybuchła na naszych oczach. Co zrobimy, jeśli czarni postanowią wzniecić rozruchy? Nie mam dostatecznej liczby ludzi, burmistrzu. Potrzebuję pomocy.

Jake uznał, że to wspaniały pomysł. Jak można będzie wybrać sprawiedliwą i bezstronną ławę przysięgłych, gdy budynek sądu otoczy Gwardia Narodowa? Pomyślał o kandydatach na przysięgłych, którzy przyjadą do sądu w poniedziałek i będą musieli przechodzić przez kordon żołnierzy i wojskowych samochodów, może nawet obok jednego lub dwóch czołgów zaparkowanych przed gmachem. Jakim sposobem będą mogli być sprawiedliwi i bezstronni? Jak Noose będzie mógł obstawać, żeby rozprawa odbyła się w Clanton? I jak Sąd Najwyższy będzie mógł odmówić uchylenia wyroku, gdyby, nie daj Boże, zapadł wyrok skazujący? Gwardia Narodowa to po prostu genialny pomysł.

— Co o tym sądzisz, Jake? — spytał burmistrz.

— Myślę, że nie ma pan wyboru, panie burmistrzu. Miasto nie wytrzyma kolejnych zamieszek. Może pan ponieść z tego tytułu wymierne straty polityczne.

— Nie obchodzi mnie polityka — odburknął gniewnie burmistrz, wiedząc, że Jake i Ozzie znają prawdę. Ostatnim razem wybrano go niecałymi pięćdziesięcioma głosami, więc nie mógł podjąć żadnej decyzji bez rozważenia politycznych konsekwencji. Ozzie zauważył uśmieszek na twarzy Jake'a, kiedy burmistrz skulił się na myśl, że jego małe miasteczko będzie okupowane przez wojsko.

W sobotę po zapadnięciu zmroku Ozzie i Hastings wyprowadzili Carla Lee tylnymi drzwiami z więzienia i wsadzili do radiowozu szeryfa. Rozmawiali i śmiali się, kiedy Hastings jechał wolno na wieś, obok sklepu spożywczego Batesa, by skręcić w Craft Road. Kiedy przybyli na miejsce, podwórko przed domem Haileyów było pełne samochodów, więc szeryf zaparkował na poboczu drogi. Carl Lee wszedł frontowymi drzwiami, jak wolny człowiek, i został natychmiast otoczony przez krewnych, przyjaciół i dzieci. Nie wiedzieli, że przyjedzie. Obejmował ich rozpaczliwie, po czterech naraz, długim niedźwiedzim uściskiem, jakby zanosiło się na to, że ponowna okazja szybko nie nastąpi. Tłum patrzył w milczeniu, jak olbrzym klęka i spuszcza głowę między płaczącymi dziećmi.

Kuchnia była pełna jedzenia. Honorowy gość usiadł na swoim miejscu u szczytu stołu, mając obok siebie żonę i dzieci. Wielebny Agee zmówił dziękczynienie, w krótkiej modlitwie wyrażając nadzieję na powrót Carla Lee do domu. Na rodzinę czekała setka przyjaciół. Ozzie i Hastings nałożyli sobie żarcie i wycofali się na frontową werandę, gdzie opędzali się od komarów i omawiali strategię na nadchodzący proces. Ozzie był poważnie zatroskany o bezpieczeństwo Carla Lee, gdy każdego dnia będą go przywozić do sądu i odwozić do więzienia. Sam oskarżony dowiódł, że takie momenty bywają niebezpieczne.

Po kolacji tłum wyległ na podwórko przed domem. Dzieci się bawiły, a dorośli stali na werandzie tak blisko Carla Lee,

jak to możliwe. Był ich bohaterem, najsławniejszym człowiekiem, jakiego większość widziała w życiu. Na dodatek wszyscy znali go osobiście. Dla swoich stanął przed sądem z tylko jednego powodu. Jasne, że zabił tamtych, ale nie o to chodziło. Gdyby był biały, za swój czyn mógłby zostać uhonorowany obywatelskimi nagrodami. Może i oskarżono by go, ale z białą ławą przysięgłych proces okazałby się czystą formalnością. Carl Lee stanął przed sądem, bo był czarny. A jeśli go skażą, uczynią to z powodu koloru jego skóry. Nie było innego powodu. Byli o tym święcie przekonani. Słuchali uważnie, jak mówił o procesie. Pragnął ich modlitw i wsparcia, chciał, żeby wszyscy przyszli na salę, obserwowali rozwój wydarzeń i bronili jego rodziny.

Siedzieli godzinami, oblewając się potem w wilgotnym powietrzu. Carl Lee i Gwen kołysali się wolno na huśtawce na werandzie, otoczeni wielbicielami pragnącymi przebywać w cieniu wielkiego człowieka. Kiedy goście zaczęli się rozchodzić, wszyscy obejmowali go na pożegnanie, obiecując, że zjawią się w sądzie w poniedziałek. Zastanawiali się, czy jeszcze go ujrzą siedzącego na frontowej werandzie.

O północy Ozzie oświadczył, że pora ruszać. Carl Lee ostatni raz przytulił Gwen i dzieci, a później zajął miejsce w radiowozie Ozziego.

Bud Twitty zmarł tej nocy. Dyspozytor zadzwonił do Nesbita, a ten powiedział Jake'owi. Brigance napisał do wdowy list z kondolencjami i posłał jej kwiaty.

Rozdział 32

Nadeszła niedziela. Do procesu pozostał tylko jeden dzień. Jake obudził się o piątej rano ze ściśniętym żołądkiem, co przypisywał zbliżającemu się procesowi, i bólem głowy, który także łączył ze wspomnianym wydarzeniem, a także niedzielnym spotkaniem na werandzie domu Luciena ze swoją asystentką i byłym szefem, które przeciągnęło się do późnej nocy. Ellen postanowiła przenocować w pokoju gościnnym, więc Jake spędził noc na kanapie w swoim gabinecie.

Leżał w ciemności, nasłuchując odgłosów dobiegających z ulicy na dole. Nie zapalając światła, powlókł się na balkon i zamarł w osłupieniu na widok sceny, która rozgrywała się przed gmachem sądu. Istny D-Day! Wybuchła wojna! Przybył Patton! Na ulicach wokół placu stały wojskowe ciężarówki i jeepy, a żołnierze biegali wokół, próbując zapanować nad chaosem i zaprowadzić wojskową dyscyplinę. Radiostacje trzeszczały, a dowódcy z okrągłymi brzuszkami wydawali głośne komendy swoim ludziom, ponaglając ich do pracy i zaprowadzenia porządku. Prowizoryczne stanowisko dowodzenia zorganizowano

w pobliżu altany na trawniku przed sądem. Trzy drużyny wbijały paliki i naciągały liny, rozpinając trzy ogromne namioty z płótna maskującego. Na czterech rogach placu wzniesiono zapory i ustawiono straże. Gwardziści ćmili papierosy, oparci o uliczne latarnie.

Nesbit siedział na masce swojego samochodu, obserwując fortyfikowanie centrum Clanton. Zamienił parę słów z kilkoma członkami gwardii. Jake zaparzył kawę i zaniósł mu kubek. Był teraz czujny, bezpieczny i spokojny, więc Nesbit mógł wrócić do domu i odpocząć do wieczora. Jake poszedł na balkon i do rana obserwował żołnierską krzątaninę. Po wyładowaniu żołnierzy ciężarówki wróciły do obozu Gwardii Narodowej na północ od miasta, gdzie mieli nocować. Oszacował ich liczbę na dwustu. Mężni obrońcy sikali w krzakach obok sądu i w małych grupach spacerowali po placu, oglądając wystawy i czekając na świt w nadziei, że przyniesie odrobinę rozrywki.

Noose będzie wściekły. Jak śmieli wezwać Gwardię Narodową bez zapytania go o zdanie?! To był jego proces. Burmistrz wspomniał o tej kwestii, ale Jake wyjaśnił mu uprzejmie, że zapewnienie bezpieczeństwa w Clanton jest jego obowiązkiem, a nie sędziego. Ozzie przytaknął, więc nie zadali sobie trudu powiadomienia Noose'a.

Szeryf i Moss Junior Tatum przyjechali na plac i spotkali się z pułkownikiem gwardii w altanie. Później chodzili po placu, przeprowadzając inspekcję oddziałów i sprawdzając namioty. Ozzie wskazywał różne części placu, a pułkownik kiwał głową, jakby się z nim zgadzał. Moss Junior otworzył budynek sądu, żeby żołnierze mieli dostęp do wody pitnej i toalety. Dopiero po dziewiątej pierwszy z dziennikarskich sępów natknął się na siły okupacyjne w centrum Clanton. Godzinę później reporterzy byli już wszędzie z kamerami i mikrofonami, wysłuchując ważnych informacji z ust sierżanta lub kaprala.

— Jak się pan nazywa?

— Sierżant Drumwright.

— Skąd pan przyjechał?
— Z Booneville.
— Gdzie to jest?
— Sto pięćdziesiąt kilometrów stąd.
— Dlaczego przyjechaliście?
— Zrobiliśmy to na polecenie gubernatora.
— Dlaczego was wezwał?
— Mamy pilnować porządku.
— Spodziewacie się kłopotów?
— Nie.
— Jak długo tu zabawicie?
— Nie mam pojęcia.
— Do zakończenia procesu?
— Nie wiem.
— A kto wie?
— Pewnie gubernator.

I tak dalej.

Wieść o inwazji rozeszła się lotem błyskawicy w spokojny niedzielny ranek, więc po nabożeństwie obywatele Clanton wylegli na plac, żeby się naocznie przekonać, czy wojsko faktycznie zajęło budynek sądu. Strażnicy odsunęli zapory, pozwalając ciekawskim jeździć wokół placu i podziwiać prawdziwych żołnierzy z karabinami i jeepami. Jake usiadł na balkonie i pił kawę, ucząc się na pamięć karteczek z nazwiskami kandydatów na przysięgłych.

Zadzwonił do Carli i wyjaśnił, że na placu przed sądem rozłożyła się Gwardia Narodowa, ale on nadal jest bezpieczny. Szczerze mówiąc, nigdy nie miał większego poczucia bezpieczeństwa, bo po drugiej stronie Washington Street czekają setki uzbrojonych po zęby żołnierzy gotowych go bronić. Tak, ludzie szeryfa nadal go chronią. Tak, ich dom nadal stoi. Wątpił, aby wiadomość o śmierci Buda Twitty'ego się rozeszła, więc nic jej nie powiedział. Może w ogóle się o niej nie dowie. Pływali na ryby łódką jej ojca, a Hanna żałowała, że nie ma z

nimi taty. W końcu się pożegnał i zatęsknił za swoimi dwiema kobietami bardziej niż kiedykolwiek.

⅄ ⅄ ⅄

Ellen Roark otworzyła tylne drzwi kancelarii i położyła na kuchennym stole małą torbę z zakupami spożywczymi. Wyciągnęła skoroszyt z teczki i zaczęła szukać swojego szefa. Był na balkonie, przeglądając kartoniki z nazwiskami i obserwując budynek sądu.

— Dobry wieczór, Row Ark.

— Dobry wieczór, szefie — odrzekła, podając mu streszczenie grubości dwóch i pół centymetra. — Ekspertyza, o którą prosiłeś, na temat dopuszczalności poruszenia kwestii gwałtu. To skomplikowana i zawiła sprawa. Przepraszam, że streszczenie jest takie grube.

Praca była schludna, jak inne dzieła Row Ark, ze spisem treści, bibliografią i numerami stron. Jake przejrzał ją pobieżnie.

— Do licha, Row Ark. Nie prosiłem o podręcznik.

— Wiem, że prace naukowe cię onieśmielają, więc starałam się używać słów o liczbie sylab nieprzekraczającej trzech.

— Widzę, że jesteś dziś w wojowniczym nastroju. Nie mogłaś podsumować zagadnienia w pracy liczącej, powiedzmy, trzydzieści stron?

— Posłuchaj, to gruntowna analiza prawna przeprowadzona przez zdolną studentkę posiadającą niezwykłą zdolność jasnego myślenia i wysławiania się. Trzymasz w rękach dzieło geniusza. Jest twoje, do tego za darmo, dlatego przestań być wredny.

— Tak jest, proszę pani. Boli cię głowa?

— Tak. Od chwili, gdy obudziłam się rano. Pisałam to streszczenie dziesięć godzin. Muszę się czegoś napić. Masz mikser?

— Co?

— Mikser. Taki nowy wynalazek, który mamy na Północy. Urządzenie kuchenne.

— Mam jeden taki na półce, obok mikrofali.

Zniknęła. Było niemal ciemno. Ruch osłabł, bo niedzielni kierowcy znużyli się widokiem wojska strzegącego ich sądu. Po dwunastu godzinach dusznego skwaru i gęstej jak mgła wilgoci zalegających centrum Clanton żołnierze też byli zmęczeni i tęsknili za domem. Siedzieli pod drzewami i na rozkładanych płóciennych krzesłach, przeklinając gubernatora. Kiedy mrok zgęstniał, rozwinęli kable z wnętrza sądu, rozmieszczając reflektory wokół namiotów. Obok poczty zebrała się grupka czarnych z krzesłami ogrodowymi i świeczkami, aby rozpocząć nocne czuwanie. Zaczęli krążyć chodnikiem wzdłuż Jackson Street pod okiem dwustu nagle rozbudzonych i uzbrojonych po zęby strażników. Na czele kroczyła panna Rosia Alfie Gatewood, stukilogramowa wdowa, która wychowała jedenaścioro dzieci i dziewiątkę wyprawiła do college'u. Była pierwszą czarną kobietą, która napiła się chłodnej wody z publicznej fontanny na placu i przeżyła, aby móc o tym opowiedzieć. Spojrzała gniewnie na żołnierzy, ale ci nie odpowiedzieli ani słowem.

Ellen wróciła z dwoma kuflami Boston College wypełnionymi jasnozielonym płynem. Postawiła je na stole i przyniosła sobie krzesło.

— Co to jest?

— Wypij. Pomoże ci się rozluźnić.

— Zgoda, ale chciałbym wiedzieć, co to takiego.

— Margarita.

Jake przyjrzał się uważnie wierzchowi swojego kufla.

— Gdzie sól?

— Nie lubię z solą.

— W takim razie też jej nie chcę. Dlaczego akurat margarita?

— A dlaczego nie?

Jake zamknął oczy i wziął długi łyk, a po nim kolejny.

— Row Ark, jesteś bardzo utalentowaną kobietą.

— Raczej chłopcem na posyłki.

Przełknął następny długi łyk.

— Od ośmiu lat nie piłem margarity.

— Bardzo mi przykro. — Jej kufel pojemności pół litra był w połowie pusty.

— Jaki rum dodałaś?

— Gdybyś nie był moim szefem, nazwałabym cię kretynem.

— Dziękuję.

— To nie rum, ale tequila. Z sokiem z limonki i cointreau. Sądziłam, że wie o tym każdy student prawa.

— Czy kiedykolwiek zdołasz mi wybaczyć? Jestem pewien, że wiedziałem, kiedy studiowałem na wydziale prawa.

Rozejrzała się po placu.

— To niewiarygodne! Plac wygląda tak, jakby znajdował się w strefie działań wojennych.

Jake opróżnił kufel i oblizał wargi. Żołnierze w namiotach grali w karty i hałaśliwie rechotali. Inni szukali ochrony przed komarami w gmachu sądu. Pochód ze świeczkami skręcił na rogu i ruszył Washington Street.

— Tak... — Jake westchnął z rozrzewnieniem. — Czyż to nie piękny widok? Pomyśl o naszych sprawiedliwych i bezstronnych przysięgłych, którzy zjawią się rano i go zobaczą. Ponownie złożę wniosek o zmianę miejsca procesu. Noose odmówi. Poproszę o unieważnienie procesu, a Ikabod powie nie. Później dopilnuję, żeby sądowy stenotypista odnotował, że proces odbywa się w samym środku cyrku o trzech arenach.

— Czemu przyjechali?

— Szeryf i burmistrz zadzwonili do gubernatora i przekonali go, że obecność Gwardii Narodowej jest konieczna do utrzymania porządku w okręgu Ford. Oświadczyli mu, że nasz szpital nie jest wystarczająco duży, aby pomieścić ofiary tego procesu.

— Skąd są ci ludzie?

— Z Booneville i Columbus. W porze lunchu doliczyłem się dwustu dwudziestu chłopa.

— Są tu cały dzień?

— Obudzili mnie o piątej rano. Cały dzień obserwowałem

ich krzątaninę. Parę razy nie mogli sobie poradzić, ale nadjechały posiłki. Kilka minut temu ujrzeli pierwszego nieprzyjaciela, gdy panna Gatewood i jej kompani zjawili się ze świeczkami. Spłoszyła ich, więc teraz grają w karty.

Ellen dopiła drinka i poszła zrobić następnego. Jake setny raz sięgnął po stos kartek i rozłożył je na stole. Nazwisko, wiek, zawód, rodzina, rasa, wykształcenie — czytał i powtarzał te informacje od wczesnego ranka. Druga kolejka przybyła w pośpiechu. Row Ark zebrała kartki.

— Correen Hagan — przeczytała, sącząc trunek.

Zastanowił się sekundę.

— Wiek około pięćdziesięciu pięciu lat. Sekretarka brokera ubezpieczeniowego. Rozwiedziona. Dwójka dorosłych dzieci. Wykształcenie średnie, nie więcej. Pochodzi z Florydy, cokolwiek mogłoby to oznaczać.

— Ocena?

— Myślę, że dałem jej szóstkę.

— Bardzo dobrze. Millard Sills.

— Ma gaj drzew pekanowych w pobliżu Mays. Siedemdziesiąt lat. Jego siostrzeniec zginął postrzelony w głowę przez dwóch czarnych podczas napadu rabunkowego w Little Rock kilka lat temu. Nienawidzi Murzynów. Nie zostanie przyjęty do ławy przysięgłych.

— Ocena?

— Pewnie zero.

— Clay Bailey.

— Około trzydziestki. Szóstka dzieci. Pobożny zielonoświątkowiec. Pracuje w fabryce mebli w zachodniej części miasta.

— Dałeś mu dziesiątkę.

— Taak. Jestem pewien, że zna fragment Pisma zaczynający się słowami oko za oko i tak dalej. Do tego ma szóstkę dzieci. Sądzę, że przynajmniej dwoje z nich to dziewczynki.

— Wykułeś się wszystkich na pamięć?

Skinął głową i pociągnął łyk.

— Czuję się tak, jakbym znał ich od lat.

— Ilu faktycznie byś rozpoznał?

— Bardzo niewielu, ale wiem o nich więcej niż Buckley.

— Jestem pod wrażeniem.

— Co?! Co powiedziałaś?! Że zrobiłem na tobie wrażenie swoim intelektem?!

— Między innymi.

— Czuję się bardzo zaszczycony. Zrobiłem wrażenie na geniuszu prawa karnego. Na córce Sheldona Roarka, kimkolwiek jest. To prawdziwe *summa cum laude* w realu. Zaczekaj, powiem o tym Harry'emu Rexowi.

— Gdzie jest ten słoń? Tęsknię za nim. Uważam, że facet jest uroczy.

— Zadzwoń do niego. Poproś, żeby do nas dołączył. Urządzimy przyjęcie na balkonie, patrząc, jak wojskowi szykują się do trzeciej bitwy nad Bull Run.

Ruszyła w kierunku telefonu stojącego na biurku Jake'a.

— A Lucien?

— Nie! Mam go dość.

⅄ ⅄ ⅄

Harry Rex przyniósł trzy czwarte litra tequili, którą znalazł na dnie swojego kredensu z trunkami. Przyniósł i z miejsca zaczął toczyć ostry spór z asystentką prawną Jake'a w kwestii właściwych proporcji składników dobrej margarity. Jake zagłosował za swoim chłopcem na posyłki.

Usiedli na balkonie, czytając nazwiska z kart katalogowych, sącząc cierpką miksturę, krzycząc do żołnierzy i nucąc piosenki Jimmy'ego Buffeta. O północy Nesbit załadował Ellen do radiowozu i odwiózł do Luciena. Harry Rex wrócił do domu pieszo, a Jake zasnął na kanapie.

Rozdział 33

W poniedziałek dwudziestego drugiego lipca Jake zwlókł się z kanapy i spojrzał na zegarek stojący na biurku. Spał trzy godziny. Czuł się tak, jakby w jego żołądku dziko wirowała cała chmara szerszeni. Krocze ściskał przenikliwy nerwoból, ale nie miał czasu na kaca.

Nesbit spał za kółkiem jak niemowlę. Jake obudził go i wskoczył na tylną kanapę. Pomachał wartownikom, którzy obserwowali go z zaciekawieniem z drugiej strony ulicy. Nesbit przejechał dwie przecznice do Adams Street, wyrzucił pasażera i zaczekał na podjeździe, jak mu kazano. Jake wziął szybki prysznic i się ogolił. Później założył grafitowy garnitur z wełny czesankowej, białą koszulę z kołnierzykiem z guziczkami na rogach oraz neutralny, niebudzący kontrowersji, pozbawiony wyrazu jedwabny krawat bordo z kilkoma wąskimi granatowymi paskami. Spodnie z zaprasowanymi kantami leżały na nim idealnie. Prezentował się wspaniale, znacznie bardziej elegancko niż jego wróg.

Nesbit ponownie spał, kiedy Jake wypuścił psa i wskoczył na tylne siedzenie.

— W domu wszystko w porządku? — zapytał Nesbit, ocierając ślinę z brody.

— Nie znalazłem żadnych lasek dynamitu, jeśli o to pytałeś.

Nesbit zachichotał. Niemal na wszystko reagował tym samym irytujących śmiechem. Okrążyli plac i Jake wszedł do swojego biura. Trzydzieści minut po wyjeździe zapalił frontowe światła i zaparzył kawę.

Zaaplikował sobie cztery aspiryny i popił szklanką soku grejpfrutowego. Oczy go piekły, a głowa bolała z przepicia i zmęczenia, choć najbardziej mozolna część dnia jeszcze się nie zaczęła. Na stole konferencyjnym rozłożył zawartość teczki Carla Lee Haileya. Jego asystentka uporządkowała materiał i sporządziła indeks, ale Jake chciał wszystko wyjąć i ponownie zapakować. Wiedział, że nie będzie miał pożytku z żadnego dokumentu i teczki, jeśli nie zdoła ich odnaleźć w ciągu pół minuty. Uśmiechnął się na myśl o talentach organizatorskich Ellen. Uporządkowała wszystko tak, że każdy papier znajdował się w odległości dziesięciu sekund od koniuszków palców. W kołonotatniku grubości dwóch i pół centymetra podsumowała kwalifikacje doktora Bassa oraz jego zeznania. Zanotowała również spodziewane obiekcje ze strony Buckleya oraz podsunęła kazusy pozwalające je obalić. Jake był dumny ze sposobu, w jaki przygotowali się do procesu, choć czuł się nieco upokorzony, że nauczył się tego od studentki trzeciego roku.

Ponownie spakował dokumenty do swojej teczki — ciężkiej teczki z czarnej skóry ze złotymi inicjałami. Poszedł do toalety, usiadł na sedesie i ponownie przejrzał karty katalogowe. Znał wszystkich. Był gotowy.

Kilka minut po piątej do drzwi zapukał Harry Rex. W ciemności wyglądał jak włamywacz.

— Co robisz tak wcześnie? — spytał Jake.

— Nie mogłem spać. Denerwuję się. — Podał mu torebkę poplamioną tłuszczem. — To od Dell. Świeże ciepłe bułki z kiełbasą, bekonem i serem oraz z serem i kurczakiem, wiesz,

jak się nazywają. Martwi się o ciebie.

— Dzięki, Harry Rex, ale nie jestem głodny. Mój brzuch ogłosił bunt.

— Zdenerwowany?

— Jak diabeł w kościele.

— Wyglądasz na zmarnowanego...

— Dzięki.

— Ale garnitur jest ładny.

— Carla go wybrała.

Harry Rex sięgnął do torebki i wyciągnął bułki owinięte w folię. Ułożył je na stole konferencyjnym i poszedł zaparzyć kawę. Jake usiadł naprzeciw niego i przejrzał streszczenie Ellen dotyczące spraw, w których wykorzystano zasadę M'Naghtena.

— Ona to napisała? — spytał Harry Rex z pełnymi ustami, szybko poruszając szczękami.

— Taak. To siedemdziesięciopięciostronicowe podsumowanie zastosowania argumentu o niepoczytalności w procesach ze stanu Missisipi. Pracowała nad tym trzy dni.

— Bystra dziewczyna.

— Jest inteligentna i umie pisać, choć ma kłopot z zastosowaniem tego, co wie, do rzeczywistego świata.

— Co ty właściwie o niej wiesz? — Harry Rex zakołysał się na krześle. Na stół posypały się okruchy jedzenia, a on zgarnął je na podłogę rękawem.

— To dobra dziewczyna. Druga na roku w Ole Miss. Spytałem o nią Nelsona Battlesa, zastępcę dziekana wydziału prawa. Pomyślnie przeszła sprawdzian. Ma szansę skończyć studia jako pierwsza na roku.

— Ja skończyłem studia jako dziewięćdziesiąty trzeci spośród dziewięćdziesięciu ośmiu studentów. Mogłem skończyć na dziewięćdziesiątym drugim, ale przyłapali mnie na ściąganiu podczas egzaminu. Chciałem złożyć skargę, ale uznałem, że dziewięćdziesiąte trzecie miejsce jest równie dobre. Do licha, kogo to obchodzi w Clanton. Ludziska cieszyli się, że wróciłem,

aby tu praktykować, zamiast podjąć pracę na Wall Street lub w innym miejscu.

Jake uśmiechnął się; słyszał tę historyjkę setki razy.

Harry Rex rozwinął bułkę z kurczakiem i serem.

— Wyglądasz na zdenerwowanego, kolego.

— Nic mi nie jest. Pierwszy dzień zawsze jest najtrudniejszy. Przygotowaliśmy się jak należy. Jestem gotów. Teraz pozostaje tylko czekać.

— Kiedy zjawi się Row Ark?

— Nie mam pojęcia.

— Boże, ciekawe, co na siebie włoży.

— Albo czego nie włoży. Mam nadzieje, że przyjdzie przyzwoicie ubrana. Wiesz, jaki pruderyjny jest Noose.

— Chyba nie pozwolisz jej usiąść przy stole obrony?

— Nie. Pozostanie w tle, jak ty. Mogłaby urazić niektóre z ławniczek.

— Taak, powinna być na sali, ale nie na widoku.

Harry Rex wytarł usta ogromnym łapskiem.

— Spałeś z nią?

— Zwariowałeś?! Nie jestem idiotą, Harry.

— Jesteś idiotą, jeśli tego nie zrobiłeś. Musi być niezła.

— W takim razie skorzystaj. Mam dość spraw na głowie.

— Ona myśli, że jestem uroczy, prawda?

— Tak mówi.

— Spróbuję — oświadczył z kamienną twarzą, by chwilę później się uśmiechnąć i zarechotać, pokrywając półki okruchami jedzenia.

Zadzwonił telefon. Jake pokręcił głową, więc Harry Rex podniósł słuchawkę.

— Nie ma go w biurze, ale chętnie przekażę wiadomość. — Mrugnął do Jake'a. — Tak, proszę pana. Tak. Aha. Tak, proszę pana. Wiem, to straszne. Trudno uwierzyć, do czego ludzie są dziś zdolni, prawda? Tak. Tak, proszę pana. Zgadzam się w stu procentach. Tak, jak pan się nazywa? Proszę pana? — Harry

Rex uśmiechnął się do słuchawki i odłożył ją na widełki.

— Czego chciał?

— Powiedział, że broniąc czarnucha, przynosisz hańbę białej rasie. Że nie rozumie, jak jakiś prawnik może reprezentować takiego Murzyna jak Hailey. Wyraził również nadzieję, że Klan dobierze ci się do skóry, a jeśli oni tego nie zrobią, zatroszczy się o to rada adwokacka i pozbawi cię uprawnień za pomaganie czarnuchom. Powiedział, że jesteś zerem, bo terminowałeś u Luciena Wilbanksa, który żyje z Murzynką.

— I ty powiedziałeś, że się z nim zgadzasz?!

— A czemu nie? Gość był szczery, mówił bez nienawiści. Poczuł się lepiej, gdy to z siebie wyrzucił.

Telefon ponownie zaterkotał. Harry Rex sięgnął po słuchawkę.

— Jake Brigance, adwokat i konsultant prawny, radca i guru w dziedzinie prawa.

Jake wyszedł do toalety.

— Jake, to reporter! — krzyknął za nim Harry Rex.

O szóstej Jake zadzwonił do Carli. W Wilmington była siódma, więc Carla już wstała. Czytała gazetę i piła kawę. Powiedział jej o Budzie Twittym, Myszce Mickey i zapowiedzi kolejnych aktów przemocy. Nie, nie obawiał się. To mu nie przeszkadzało. Bał się ławy przysięgłych, dwunastu sprawiedliwych, którzy zostaną wybrani, oraz tego, jak zareagują na obrońcę i jego klienta. W tej chwili jego jedyną obawą było to, co ława przysięgłych może zrobić Carlowi Lee. Wszystko inne było bez znaczenia. Po raz pierwszy nie wspomniała o powrocie do domu. Obiecał, że zadzwoni wieczorem.

Kiedy odłożył słuchawkę, doleciał go hałas na dole. Przyjechała Ellen i Harry Rex rozmawiał z nią gromkim głosem. Ma na sobie przezroczystą bluzeczkę i spódniczkę mini, pomyślał Jake, schodząc po schodach. Błąd. Harry Rex gratulował jej, że prezentuje się jak prawdziwa dama z Południa, wyposażona we wszystkie niezbędne akcesoria. Row Ark miała na sobie prosty szary kostium z deseniem w kratkę, z krótką wąską

spódnicą. Do tego założyła czarną bluzkę, no i miała stanik. Upięła włosy z tyłu w coś na kształt koka. Do tego, co wydawało się wręcz niewiarygodne, Jake dostrzegł ślady tuszu do rzęs, kredki do oczu i szminki. Mówiąc słowami Harry'ego Rexa, miała tak prawniczy wygląd, jak to możliwe u kobiety.

— Dzięki, Harry — odparła. — Żałuję, że nie obdarzono mnie twoim gustem.

— Ładnie wyglądasz, Row Ark — powiedział Jake.

— Ty również — odparowała. Później spojrzała na Harry'ego Rexa i powstrzymała się od komentarza.

— Przebacz nam, Row Ark — powiedział Harry Rex. — Jesteśmy pod wrażeniem, bo nie sądziliśmy, że masz tyle części garderoby. Wybacz, że cię podziwiamy, bo wiemy, jak to wkurza twoje małe wyzwolone serduszko. Przyznaję, jesteśmy seksistowskie świnie, ale przypominam ci, że sama zdecydowałaś się przyjechać na Południe. Widzisz, my tu na Południu żartujemy z dobrze ubranych atrakcyjnych babek, zarówno wyzwolonych, jak i tych pozostających w stanie zniewolenia.

— Co macie w tej torebce? — zapytała.

— Śniadanie.

Zajrzała do środka i odpakowała bułkę z kiełbasą.

— Nie ma bajgli? — spytała.

— Co to takiego? — zaciekawił się Harry Rex.

— Uznaj to pytanie za niebyłe.

Jake zatarł dłonie.

— Co chcielibyście robić, skoro spotkaliśmy się trzy godziny przed procesem? — zapytał, siląc się na entuzjazm.

— Zmiksujmy parę margarit — zaproponował Harry Rex.

— Nie! — zaprotestował Jake.

— To nas uspokoi.

— Ja nie chcę — odpowiedziała Ellen. — Mamy robotę.

Harry Rex rozpakował ostatnią bułkę z torebki.

— Co się wydarzy pierwszego dnia?

— Kiedy wzejdzie słońce, rozpocznie się proces. O dziewiątej

Noose powie kilka słów do kandydatów na przysięgłych i rozpoczniemy wybór ławy.

— Ile czasu to potrwa? — spytała Ellen.

— Dwa, trzy dni. W Missisipi mamy prawo przesłuchiwać każdego z kandydatów na sali sądowej. To wymaga czasu.

— Gdzie mam usiąść i co robić?

— Gada jak stary wyga — powiedział Harry Rex do Jake'a. — Wie, gdzie jest sąd?

— Nie będziesz siedziała przy stole obrony — odpowiedział Jake. — Usiądziemy tam tylko ja i Carl Lee.

Otarła usta.

— Rozumiem. Tylko ty i oskarżony, otoczeni zewsząd siłami zła, samotnie stawiający czoło śmierci.

— Coś w tym guście.

— Ojciec czasami stosuje tę taktykę.

— Cieszę się, że ją aprobujesz. Usiądziesz tuż za mną, obok barierki. Poproszę Noose'a, żeby pozwolił ci wejść do swojego gabinetu, gdy zarządzi naradę na stronie.

— A ja? — spytał Harry Rex.

— Noose cię nie lubi, Harry. Nigdy nie pałał do ciebie sympatią. Dostałby zawału, gdybym poprosił, żeby pozwolił ci uczestniczyć w naradach. Najlepiej udajmy, że się nie znamy.

— Dzięki.

— Ale docenimy twoją pomoc — wtrąciła Ellen.

— Wypchaj się, laleczko.

— I nadal będziesz mógł z nami pić — dodała.

— Przynosić tequilę i...

— W tej kancelarii nie będzie więcej alkoholu — zapowiedział stanowczo Jake.

— Do południowej przerwy — skwitował Harry Rex.

— Chcę, żebyś stał za stołem urzędnika sądowego, szwendał się jak zawsze i robił notatki na temat kandydatów na przysięgłych. Postaraj się połączyć twarze z naszymi kartkami. Będzie ich pewnie ze stu dwudziestu.

⅄ ⅄ ⅄

O świcie Gwardia Narodowa przybyła całą siłą. Ponownie ustawiono barykady, a na każdym rogu placu żołnierze skupili się wokół pomarańczowo-białych beczek blokujących ulice. Byli spięci i niespokojni, badawczo obserwowali każdy samochód, czekając na atak wroga i mając nadzieję na odrobinę rozrywki. Lekko zawrzało, kiedy o siódmej trzydzieści pojawiło się parę sępów w hatchbackach i minivanach z fantazyjnymi logo wymalowanymi na bocznych drzwiach. Żołnierze otoczyli pojazdy i poinformowali przybyłych, że podczas procesu parkowanie na placu jest zabronione. Sępy zniknęły w bocznych uliczkach, aby chwilę później zjawić się pieszo, z pokaźnymi kamerami i sprzętem. Niektórzy rozłożyli się obozem na frontowych schodach, inni zajęli stanowiska przy tylnych drzwiach, a jeszcze inni przy rotundzie, za głównymi drzwiami do sali rozpraw na drugim piętrze.

Murphy, dozorca i jedyny naoczny świadek zabójstwa Cobba i Willarda, poinformował prasę najlepiej, jak umiał, że sąd zostanie otwarty o ósmej i ani minuty wcześniej. Wkrótce utworzyła się kolejka, która szybko okrążyła rotundę.

Kościelne autobusy zaparkowały niedaleko placu, a protestujący ruszyli wolno Jackson Street pod wodzą duchownych. Nieśli transparenty z napisem UWOLNIĆ CARLA LEE i śpiewali pieśń *We Shall Overcome* (Zwyciężymy). Kiedy zbliżyli się do placu, usłyszeli ich żołnierze i zatrzeszczały radiostacje. Ozzie i pułkownik szybko się naradzili. Po chwili żołnierze się rozluźnili. Ozzie zaprowadził protestujących do wyznaczonej części frontowego trawnika, gdzie krążyli bezładnie, czekając pod czujnym okiem Gwardii Narodowej stanu Missisipi.

O ósmej w drzwiach sądu ustawiono bramkę z wykrywaczem metalu i trio uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy z biura szeryfa zaczęło powoli obszukiwać i wpuszczać do środka tłum widzów, którzy wypełnili rotundę i rozeszli się po korytarzach.

Ruchem na sali rozpraw kierował Prather, sadzając ludzi w długich ławkach z jednej strony przejścia, drugą rezerwując dla kandydatów na przysięgłych. Pierwszy rząd był przeznaczony dla rodziny, a drugi dla sądowych rysowników, którzy niezwłocznie przystąpili do szkicowania ław, bariery oraz portretów bohaterów konfederatów.

Także Ku-Klux-Klan uznał, że musi zaznaczyć swoją obecność w mieście w dniu przyjazdu kandydatów na przysięgłych. Kilkudziesięciu członków Klanu w pełnych strojach przeszło cicho Washington Street. Zostali natychmiast zatrzymani i otoczeni przez żołnierzy. Otyły pułkownik przeszedł dumnym krokiem ulicę i pierwszy raz w życiu stanął twarzą w twarz z odzianym w białą szatę zakapturzonym członkiem Klanu, który okazał się trzydzieści centymetrów wyższy. Kiedy zauważył kamery, drzemiący w nim tyran przygasł. Miejsce typowego warczenia i pomrukiwania zastąpiło wysokie piskliwe jąkanie, nerwowe i drżące, niezrozumiałe nawet dla niego samego.

Na szczęście zjawił się Ozzie i ocalił mu skórę.

— Cześć, chłopaki — powiedział chłodno, stając obok wystraszonego pułkownika. — Zostaliście otoczeni. Mamy przewagę liczebną, ale wiemy, że nie możemy wam zabronić tu być.

— To prawda — odrzekł przywódca.

— Chodźcie więc za mną i róbcie, co powiem. Nie chcemy problemów.

Ruszyli za Ozziem i pułkownikiem w kierunku małego trawnika przed gmachem sądu i usłyszeli, że mają tu pozostać podczas całego procesu. Stójcie tu i nie róbcie zamieszania, a pułkownik zabierze swoich. Zgodzili się.

Jak można było odgadnąć, widok białych strojów rozjuszył czarnych, którzy stali około sześćdziesięciu metrów dalej. Zaczęli skandować.

— Uwolnić Carla Lee! Uwolnić Carla Lee! Uwolnić Carla Lee! Uwolnić Carla Lee!

Członkowie Klanu zacisnęli pięści i odkrzyknęli:

— Upiec Carla Lee!

— Upiec Carla Lee!

— Upiec Carla Lee!

Dwa rzędy żołnierzy stanęły na głównym chodniku dzielącym trawnik na dwie części, tak by po jednej stronie znaleźli się członkowie Klanu, a po drugiej czarni.

Przybywający na rozprawę kandydaci na przysięgłych energicznym krokiem przechodzili między szpalerami żołnierzy. Ściskali w ręku wezwanie i z niedowierzaniem słuchali, jak obie grupy na siebie wrzeszczą.

Czcigodny Rufus Buckley przybył do Clanton i uprzejmie poinformował strażników, kim jest oraz co to oznacza. Pozwolili mu zaparkować na jego miejscu obok gmachu sądu oznaczonym napisem ZAREZERWOWANE DLA P.O. Reporterzy oszaleli. Facet musiał być jakimś ważniakiem, skoro przepuszczono go przez blokadę. Buckley siedział chwilę w wysłużonym cadillacu, pozwalając, aby reporterzy go dopędzili. Otoczyli go, kiedy zamykał drzwi. Później uśmiechał się bez końca i szedł do wejścia tak wolnym krokiem, aby dziennikarze zdołali za nim nadążyć. Szybki ogień pytań pozostał bez odpowiedzi. Buckley przynajmniej ośmiokrotnie naruszył zakaz wypowiedzi wprowadzony przez sąd, uśmiechając się i wyjaśniając, że nie może odpowiedzieć na pytanie, na które przed chwilą odpowiedział. Musgrove podążał w ślad za nim, niosąc teczkę wielkiego człowieka.

⅄ ⅄ ⅄

Jake krążył nerwowo po swoim gabinecie. Drzwi były zamknięte. Ellen siedziała na dole nad kolejnym opracowaniem, a Harry Rex jadł następne śniadanie w Coffee Shopie, plotkując z innymi gośćmi. Na biurku leżały rozrzucone karty, ale Jake nie mógł już na nie patrzeć. Przejrzał streszczenia i podszedł do drzwi balkonowych. Przez otwarte okna wpadało do środka

echo okrzyków. Wrócił do biurka i ponownie przejrzał szkic wstępnej mowy do kandydatów na przysięgłych. Wiedział, że pierwsze wrażenie jest decydujące.

Wyciągnął się na kanapie, zamknął oczy i pomyślał o tysiącu rzeczy, które wolałby robić. W zasadzie lubił swoją pracę, ale były chwile — przerażające chwile, jak ta — kiedy żałował, iż nie został agentem ubezpieczeniowym lub maklerem giełdowym. Albo prawnikiem od podatków. Przedstawicielom wspomnianych profesji w decydujących momentach zawodowej kariery z pewnością nie doskwierały regularne nudności i biegunki.

Lucien nauczył go, że strach jest dobry. Że jest sprzymierzeńcem. Że każdy prawnik ma pietra, gdy musi stanąć przed nową ławą przysięgłych i przedstawić swoją sprawę. W lęku nie ma niczego złego, tylko nie można go okazywać. Sędziowie przysięgli nie posłuchają prawnika o najbardziej ciętym języku ani najbardziej wymownego, nie pójdą za tym, który jest najbardziej elegancko ubrany. Nie posłuchają błazna ani sądowego trefnisia. Nie poddadzą się prawnikowi, który będzie najgłośniej prawił kazania lub toczył najbardziej zażartą walkę. Lucien przekonał go, że członkowie ławy przysięgłych pójdą za prawnikiem, który powie im prawdę, niezależnie od tego, jak będzie wyglądał i jakich słów użyje, niezależnie do zewnętrznych umiejętności. Na sali sądowej prawnik musi być sobą, a jeśli się lęka, niechaj i tak będzie, bo ławnicy też mają pietra.

Zaprzyjaźnij się z lękiem, powtarzał mu Lucien, bo lęk nie zniknie i cię zniszczy, jeśli nad nim nie zapanujesz.

Jake czuł go teraz głęboko w żołądku, więc zszedł ostrożnie na dół, kierując się do łazienki.

— Jak się czujesz, szefie? — spytała Ellen, kiedy do niej zajrzał.

— Jestem gotowy, jak sądzę. Za minutę wyruszamy.

— Na zewnątrz czeka kilku reporterów. Powiedziałam im,

że zrezygnowałeś z tej sprawy i wyjechałeś z miasta.

— Żałuję, że tego nie zrobiłem.

— Słyszałeś o Wendallu Solomonie?

— W tej chwili sobie nie przypominam.

— Wendall współpracował z Southern Prisoner Defense Fund. Pracowałam z nim ostatniego lata. Prowadził ponad sto spraw, w których oskarżonemu groziła kara śmierci, na całym Południu. Przed rozprawą tak się denerwował, że nie mógł jeść ani spać. Lekarz przepisywał mu środki uspokajające, ale mimo to Wendall był tak nerwowy, że w pierwszy dzień rozprawy nikt z nim nie rozmawiał. Dasz wiarę? Po stu procesach.

— Jak twój tata sobie z tym radzi?

— Bierze valium i wypija kilka martini. Później zamyka drzwi, gasi światło i leży na biurku do czasu, aż przyjdzie pora, by iść do sądu. Ma zszargane nerwy i łatwo wpada w gniew. Oczywiście, jest to w dużym stopniu naturalne.

— Widzę, że znasz to uczucie.

— Bardzo dobrze.

— Wyglądam na zdenerwowanego?

— Raczej zmęczonego, ale dasz sobie radę.

Jake spojrzał na zegarek.

— Chodźmy.

Reporterzy czekający na chodniku skoczyli na zdobycz.

— Bez komentarza — powtórzył Jake, przechodząc powoli przez ulicę w kierunku gmachu sądu. Ostrzał przedstawicieli mediów nie ustawał.

— Czy to prawda, że chce pan złożyć wniosek o unieważnienie postępowania sądowego?

— Nie mogę tego zrobić, dopóki proces się nie rozpocznie.

— Czy to prawda, że Klan panu groził?

— Bez komentarza.

— Czy to prawda, że do końca procesu odesłał pan rodzinę z miasta?

Jake zawahał się i spojrzał na reportera.

— Bez komentarza.

— Co pan sądzi o Gwardii Narodowej?

— Jestem z nich dumny.

— Czy pana klient może zostać sprawiedliwie osądzony w okręgu Ford?

Jake pokręcił głową i dodał:

— Bez komentarza.

Funkcjonariusz z biura szeryfa pełnił wartę w odległości kilkudziesięciu centymetrów od miejsca, w którym się zatrzymali. Wskazał na Ellen.

— Co to za jedna, Jake?

— Nie stanowi zagrożenia. Jest ze mną.

Wbiegli na górę tylnymi schodami. Carl Lee siedział samotnie przy stole obrony, zwrócony plecami do nabitej sali. Jean Gillespie sprawdzała kandydatów na przysięgłych, a ludzie szeryfa krążyli między rzędami, wypatrując czegoś podejrzanego. Jake przywitał się ciepło ze swoim klientem, zwracając uwagę na to, aby uścisnąć mu dłoń, uśmiechnąć się szeroko i położyć dłoń na jego ramieniu. W tym czasie Ellen rozpakowała teczki i starannie rozłożyła ich zawartość na stole.

Jake szeptał ze swoim klientem, rozglądając się po sali. Wszyscy na niego patrzyli. Rodzina Haileyów siedziała sztywno w pierwszym rzędzie. Jake uśmiechnął się do nich i skinął głową Lesterowi. Tonya i chłopcy mieli na sobie niedzielne ubrania. Przycupnęli między Lesterem i Gwen niczym doskonałe małe figurki. Kandydaci na przysięgłych siedzieli w rzędach po drugiej stronie, uważnie obserwując prawnika Haileya. Jake pomyślał, że to dobra okazja, aby przyszli przysięgli zobaczyli rodzinę, więc otworzył wahadłową bramkę i podszedł, aby zamienić z nimi słowo. Poklepał Gwen po ramieniu, uścisnął dłoń Lesterowi, szturchnął każdego z chłopców i na koniec przytulił Tonyę, małą dziewczynkę Carla Lee, zgwałconą przez dwóch wsioków — tych, którzy dostali to, na co zasłużyli. Przyszli przysięgli obserwowali każdy fragment jego występu,

zwracając szczególną uwagę na dziewczynkę.

— Noose zaprasza do siebie — szepnął Musgrove, kiedy Jake wrócił do stołu obrony.

Ikabod, Buckley i protokolantka sądowa rozmawiali, kiedy Jake i Ellen weszli do gabinetu. Jake przedstawił swoją asystentkę Wysokiemu Sądowi, Buckleyowi i Musgrove'owi oraz protokolantce, Normie Gallo. Wyjaśnił, że Ellen Roark jest studentką trzeciego roku prawa na Ole Miss i pomaga mu w kancelarii. Poprosił, żeby pozwolono jej siedzieć obok stołu obrony i uczestniczyć w naradach w gabinecie. Buckley nie zgłosił żadnych zastrzeżeń. Noose dodał, że to powszechnie stosowana praktyka, i powitał ją w szacownym gronie.

— Jakieś wnioski wstępne? — spytał Noose.

— Nie mamy żadnych — odrzekł prokurator okręgowy.

— Obrona ma kilka — powiedział Jake, otwierając teczkę. — Proszę, żeby odnotowano to w aktach.

Norma Gallo zaczęła pisać.

— Po pierwsze, chciałbym ponownie złożyć wniosek o zmianę miejsca procesu...

— Sprzeciw — przerwał mu Buckley.

— Zamknij się, gubernatorze! — krzyknął Jake. — Jeszcze nie skończyłem! Więcej mi nie przerywaj!

Buckley i pozostali byli zdumieni, że stracił panowanie nad sobą. To przez te margarity, pomyślała Ellen.

— Przepraszam, panie Brigance — odparł spokojnie Buckley. — Proszę nie nazywać mnie gubernatorem.

— Pozwólcie, że coś powiem — zaczął Noose. — Ten proces będzie długą i ciężką próbą. Rozumiem presję, jakiej obaj doświadczacie. Sam wielokrotnie znajdowałem się w podobnym położeniu, dlatego wiem, co przechodzicie. Obaj jesteście świetnymi prawnikami. Jestem wdzięczny, że w procesie tego kalibru mam dwóch znakomitych profesjonalistów. Wyczuwam również pewną niechęć między wami. Nie jest to nic niezwykłego. Nie żądam, żebyście ściskali sobie ręce i byli dobrymi

przyjaciółmi. Nalegam jednak, abyście na sali sądowej i w tym gabinecie powstrzymali się przed przerywaniem sobie nawzajem. Proszę również ograniczyć krzyk do absolutnego minimum. Zwracajcie się do siebie panie Brigance, panie Buckley i panie Musgrove. Czy zrozumieliście, co powiedziałem?

— Tak, proszę pana.

— Tak, proszę pana.

— Dobrze. Panie Brigance, proszę kontynuować.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie. Doceniam to. Jak powiedziałem, oskarżony ponawia wniosek o zmianę miejsca procesu. Chciałbym, aby odnotowano, że gdy tu rozmawiamy, w gabinecie sędziego o dziewiątej piętnaście, dwudziestego drugiego lipca, i gdy za chwilę przystąpimy do wyboru ławy przysięgłych, sąd okręgu Ford jest otoczony przez Gwardię Narodową stanu Missisipi. Na trawniku przed gmachem stoi grupa członków Ku-Klux-Klanu w białych strojach i właśnie krzyczy w stronę zgrai czarnych demonstrantów, którzy nie pozostają im dłużni. Dwie grupy rozdzielają uzbrojeni po zęby żołnierze Gwardii Narodowej. Przybywający do sądu kandydaci na przysięgłych byli świadkami tego cyrku na trawniku przed sądem. W takich warunkach wybór sprawiedliwej i bezstronnej ławy jest niemożliwy.

Buckley patrzył na niego z zadziornym uśmieszkiem na ogromnej twarzy. Kiedy Jake skończył, powiedział:

— Czy mogę odpowiedzieć, Wysoki Sądzie?

— Nie — odrzekł wprost Noose. — Oddalam wniosek. Macie coś jeszcze?

— Obrona wnosi o odrzucenie wszystkich kandydatów.

— Na jakiej podstawie?

— Klan podjął jawne działania zmierzające do ich zastraszenia. Wiemy o przynajmniej dwudziestu przypadkach palenia krzyży.

— Zamierzam wykluczyć tych dwudziestu, jeśli się stawią — odpowiedział sędzia Noose.

— W porządku — odparł sarkastycznie Jake. — A co z groźbami, o których nie wiemy? Co z kandydatami, którzy słyszeli o paleniu krzyży?

Noose przetarł oczy i nic nie odpowiedział. Buckley miał coś do powiedzenia, ale nie chciał przerywać.

— Mam tu listę — ciągnął Jake, sięgając do teczki. — Są na niej nazwiska dwudziestu kandydatów na przysięgłych, którym złożono wizytę. Mam też kopie policyjnych raportów i zeznanie pod przysięgą, złożone przez szeryfa Wallsa, w którym szczegółowo opisuje akty zastraszania. Przedkładam je sądowi, żeby uzasadnić wniosek o odrzucenie wszystkich kandydatów. Proszę to odnotować, żeby Sąd Najwyższy miał wszystko czarno na białym.

— Spodziewa się pan apelacji, panie Brigance? — zapytał pan Buckley.

Chociaż Ellen przed chwilą poznała Rufusa Buckleya, doskonale wiedziała, dlaczego Jake i Harry Rex darzą go nienawiścią.

— Nie, gubernatorze. Nie spodziewam się apelacji, chcę jedynie dopilnować, aby mój klient otrzymał sprawiedliwy werdykt od sprawiedliwej ławy przysięgłych. Powinien pan to rozumieć.

— Nie odrzucę wszystkich kandydatów. Gdybym to zrobił, stracilibyśmy tydzień — odpowiedział Noose.

— Czym jest tydzień, gdy stawką jest ludzkie życie? Mówimy o sprawiedliwości. O prawie do sprawiedliwego procesu. Jestem pewien, że pan pamięta, iż jest to najbardziej fundamentalne z naszych konstytucyjnych praw. Nieodwołanie wszystkich kandydatów jest farsą, ponieważ Wysoki Sąd wie, że niektórzy z tych ludzi byli zastraszani przez bandę zbirów w białych szatach, pragnących, aby mój klient został powieszony.

— Oddalam wniosek obrony — odrzekł kategorycznie Noose. — Coś jeszcze?

— Właściwie nie. Proszę jedynie, aby odwołując tę

dwudziestkę, zrobił pan to w taki sposób, żeby pozostali nie domyślili się przyczyny.

— Dam sobie radę, panie Brigance.

Posłano pana Pate'a, aby przyprowadził Jean Gillespie. Noose wręczył jej listę z dwudziestoma nazwiskami. Gillespie wróciła na salę i ją odczytała. Wymienieni nie będą potrzebni do sprawowania funkcji przysięgłych, więc mogą odejść. Po chwili wróciła do gabinetu Noose'a.

— Ilu mamy kandydatów? — spytał Noose.

— Dziewięćdziesięciu czterech.

— Wystarczy. Jestem pewien, że zdołamy wybrać dwunastu, którzy się nadadzą.

— Nie znajdzie się nawet dwóch — szepnął Jake do Ellen na tyle głośno, aby Noose usłyszał jego słowa, a Norma Gallo je odnotowała. Później Wysoki Sąd ich pożegnał, więc zajęli swoje miejsca na sali.

Dziewięćdziesiąt cztery nazwiska zapisano na małych paskach papieru i umieszczono w małym drewnianym bębnie. Jean Gillespie nim zakręciła, a następnie zatrzymała i na chybił trafił wylosowała karteczkę. Podała ją Noose'owi, który siedział ponad nią i pozostałymi na swoim tronie czy ławie, jak ją nazywano. Zebrani patrzyli w milczeniu, jak marszczy nos i odczytuje pierwsze nazwisko.

— Carlene Malone, kandydat na sędziego przysięgłego numer jeden! — zaskrzeczał przenikliwym głosem. Pierwsza ława była wolna, więc pani Malone usiadła obok przejścia. W każdej z dziesięciu ław było dziesięć miejsc, a wszystkie miały zostać wypełnione przysięgłymi. W dziesięciu ławkach po drugiej stronie korytarza tłoczyli się członkowie rodziny, przyjaciele, gapie, ale głównie reporterzy, którzy starannie zanotowali nazwisko Carlene Malone.

Jean zakręciła ponownie.

— Marcia Dickens, kandydat na sędziego przysięgłego numer dwa! — wykrzyknął Noose. Biała otyła kobieta po

sześćdziesiątce, z bezlitosnym wyrazem twarzy. Zero do dwóch.

— Jo Beth Mills, numer trzy.

Jake opadł na krześle. Biała, około pięćdziesiątki, pracująca za płacę minimalną w fabryce koszul w Karaway. Wiedział, że dzięki programowi preferencji dla mniejszości rasowych ma czarnego szefa, który jest ignorantem i tyranem. Brigance zanotował zero obok jej nazwiska. Zero do trzech.

Spojrzał rozpaczliwie na Jean, która ponownie zakręciła bębnem.

— Reba Betts, numer cztery.

Jake pogrążył się jeszcze głębiej, szczypiąc się w czoło. Zero do czterech.

— Niewiarygodne — wymamrotał w kierunku Ellen. Harry Rex pokręcił głową.

— Gerald Ault, numer pięć.

Jake się uśmiechnął, kiedy jego kandydat numer jeden zajął miejsce obok Reby Betts. Buckley umieścił paskudny czarny znaczek obok jego nazwiska.

— Alex Summers, numer sześć.

Carl Lee uśmiechnął się nieznacznie, kiedy pierwszy czarny podniósł się z tyłu i zajął miejsce obok Geralda Aulta. Buckley też się uśmiechnął, pieczołowicie biorąc w kółko nazwisko pierwszego Murzyna.

Czterej następni kandydaci okazali się białymi kobietami, z których żadna nie przekroczyła trójki na skali Jake'a. Kiedy pierwsza ławka się wypełniła, Jake popadł w przygnębienie. Zgodnie z prawem mógł zakwestionować dwunastu i odrzucić trzech kandydatów bez podania przyczyny. Pech sprawił, że musiałby użyć przynajmniej połowy na pierwszą ławkę.

— Walter Godsey, numer jedenaście — oznajmił Noose, coraz słabszym głosem z każdym odczytywanym nazwiskiem. Godsey był dzierżawcą w średnim wieku, człowiekiem pozbawionym współczucia i potencjału dla obrony.

Kiedy Noose skończył z drugim rzędem, było w nim siedem

białych kobiet, dwóch czarnych mężczyzn i Godsey. Jake zaczął przeczuwać nadciągającą katastrofę. Poczuł ulgę dopiero przy czwartym rzędzie, kiedy Jean dopisało szczęście i wyciągnęła nazwiska siedmiu mężczyzn, z których czterej okazali się czarni.

Wybranie wszystkich zajęło niemal godzinę. Noose ogłosił piętnastominutową przerwę, żeby Jean mogła sporządzić numerowaną listę. Jake i Ellen wykorzystali ten czas na przejrzenie notatek i skojarzenie nazwisk z twarzami. Harry Rex siedział przy stole z czerwonymi rejestrami wyroków oraz spraw w toku i gorączkowo notował, kiedy Noose wyczytywał nazwiska. Później podszedł do Jake'a i przytaknął, że kiepsko im poszło.

O jedenastej Noose wznowił obrady i na sali ponownie zapanowała cisza. Ktoś zasugerował, aby użył mikrofonu, więc umieścił go w odległości kilkunastu centymetrów od nosa. Mówił głośno, a jego przenikliwy nieprzyjemny głos niósł się echem po sali sądowej, gdy Noose zadawał długą serię nakazanych prawem pytań. Później przedstawił Carla Lee i zapytał, czy któryś z kandydatów na przysięgłych jest z nim spokrewniony lub go zna. Wszyscy o nim słyszeli, co Noose uznał za oczywiste, ale tylko dwaj powiedzieli, że znali go przed majowymi wydarzeniami. Później zaprezentował pełnomocników stron i zwięźle wyjaśnił charakter zarzutów. Żaden z sędziów nie przyznał się do tego, że nie słyszał o sprawie Haileya.

Noose kontynuował, a o dwunastej trzydzieści miłosiernie zakończył posiedzenie. Przerwa miała potrwać do czternastej.

⅄ ⅄ ⅄

Dell dostarczyła ciepłe kanapki i mrożoną herbatę do sali konferencyjnej. Jake przytulił ją, podziękował i poprosił, żeby przysłała rachunek. Zignorował jedzenie, układając kartoniki na stole w porządku, w jakim siedzieli sędziowie. Harry Rex natychmiast zaatakował kanapkę z pieczoną wołowiną i cheddarem.

— Fatalne rozdanie — powtórzył, wydymając policzi do granic możliwości. — Fatalne rozdanie.

Kiedy dziewięćdziesiąt cztery kartoniki znalazły się na miejscu, Jake wstał i rzucił na nie okiem. Ellen stanęła obok, gryząc frytkę i uważnie studiując karty.

— Fatalne rozdanie — powiedział raz jeszcze Harry Rex, popijając kanapkę pół litrem mrożonej herbaty.

— Mógłbyś się zamknąć! — warknął Jake.

— W pierwszej pięćdziesiątce mamy ośmiu czarnych mężczyzn, trzy czarne kobiety i trzydzieści białych kobiet. Zostaje dziewięciu białych mężczyzn, w większości nieatrakcyjnych z naszego punktu widzenia. Wygląda, że mamy białą babską ławę przysięgłych — stwierdziła Ellen.

— Białe kobiety! Białe kobiety! — jęknął Harry Rex. — Najgorsi sędziowie przysięgli na świecie! Białe baby!

Ellen spojrzała na niego ze zdumieniem.

— A ja myślę, że najgorszymi sędziami przysięgłymi są otyli biali mężczyźni.

— Nie zrozum mnie źle, Row Ark. Kocham białe kobiety. Jak pamiętasz, poślubiłem cztery z nich. Ja tylko nienawidzę białych kobiet w roli sędziów przysięgłych.

— Nie zagłosowałabym za jego skazaniem.

— Bo jesteś komunistką z ACLU, Row Ark. Nie zagłosowałabyś za skazaniem kogokolwiek za cokolwiek. W twoim małym obłąkanym móżdżku twórcy dziecięcej pornografii i terroryści z OWP to fajni goście, którzy zostali sponiewierani przez system, dlatego trzeba im odpuścić.

— A co powinniśmy z nimi zrobić zdaniem twojego racjonalnego, cywilizowanego i współczującego umysłu?

— Powiesić za palce u nóg, wykastrować i pozwolić, żeby wykrwawili się na śmierć. Bez procesu.

— I ty twierdzisz, że twój sposób pojmowania prawa jest konstytucyjny?!

— Może i nie, ale ukróciłby pornografię dziecięcą i terroryzm.

Jake, zjesz tę kanapkę?

— Nie.

Harry Rex rozwinął pajdę z szynką i serem.

— Trzymaj się z daleka od numeru jeden. Carlene Malone. To jedna z Malone'ów z Lake Village. Biała hołota, pioruńsko złośliwa.

— Wolałbym trzymać się z daleka od wszystkich wybranych — odpowiedział Jake, gapiąc się w stół.

— Fatalne rozdanie.

— Co o tym myślisz, Row Ark? — spytał Jake.

Harry Rex szybko przełknął kęs.

— Myślę, że powinniśmy oświadczyć, iż nasz klient przyznaje się do winy, i uciekać gdzie pieprze rośnie.

Ellen spojrzała na kartoniki.

— Mogło być gorzej.

Harry Rex głośno zarechotał.

— Gorzej?! Gorzej byłoby tylko wtedy, gdyby trzydziestu z przysięgłych miało białe szaty, spiczaste czapki i małe maski.

— Byłbyś łaskaw się zamknąć, Harry? — poprosił Jake.

— Chciałem tylko pomóc. Ktoś ma ochotę na frytki?

— Nie. Czemu nie wepchniesz sobie wszystkich do ust i nie zaczniesz przeżuwać dłuższą chwilę!

— Uważam, że się mylisz w przypadku niektórych kobiet — powiedziała Ellen. — Skłaniam się ku opinii Luciena, że generalnie okazują więcej współczucia. Przecież to my jesteśmy gwałcone, prawda?

— Nie mam odpowiedzi na ten argument — odrzekł Harry Rex.

— Dziękuję — odpowiedział Jake. — Które z tych pań są twoimi byłymi klientkami? Które zrobiłyby wszystko, o co poprosisz, jeśli tylko mrugniesz okiem?

Ellen zachichotała.

— Pewnie numer dwadzieścia dziewięć. Ma metr pięćdziesiąt wzrostu i waży dwieście kilogramów.

Harry Rex wytarł usta papierową serwetką.

— Bardzo zabawne. Numer siedemdziesiąt cztery. Jest na zbyt dalekim miejscu. Możesz o niej zapomnieć.

⅄ ⅄ ⅄

O czternastej Noose stuknął sędziowskim młotkiem i na sali zapanowała cisza.

— Oskarżenie może przepytać kandydatów na sędziów przysięgłych — oznajmił.

Znakomity prokurator okręgowy podniósł się wolno i podszedł dostojnym krokiem do barierki, a następnie odwrócił się i spojrzał w zamyśleniu na publiczność i kandydatów. Wiedział, że rysownicy go szkicują, więc przez chwilę zachowywał się tak, jakby im pozował. Później uśmiechnął się do potencjalnych przysięgłych i się przedstawił. Wyjaśnił, że jest oskarżycielem reprezentującym naród, że jego klientem jest stan Missisipi. Że od dziewięciu lat jest ich oskarżycielem. Uważa to za zaszczyt i jest wdzięczny praworządnym obywatelom okręgu Ford. Wskazał siedzących w pierwszych ławach i powiedział, że to oni go wybrali, by ich reprezentował. Podziękował im za to i wyraził nadzieję, że nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei.

To prawda, jest zdenerwowany i przerażony. W swojej karierze oskarżał tysiące przestępców, ale zawsze czuł lęk przed procesem. Tak! Czuł się przerażony. Nie wstydzi się do tego przyznać. Czuł się przerażony z powodu ogromnej odpowiedzialności, którą ludzie złożyli na jego barki jako człowieka odpowiedzialnego za posyłanie przestępców do więzienia i bronienie porządnych obywateli. Czuł się przerażony, że może zawieść i nie reprezentować należycie swojego klienta, czyli mieszkańców tego wielkiego stanu.

Jake słyszał te pierdoły setki razy. Znał je na pamięć. Buckley to dobry facet, prawnik reprezentujący stan, zjednoczony z jego mieszkańcami w poszukiwaniu sprawiedliwości, aby ocalić społeczeństwo. Facet był gładkim, wygadanym mówcą

przypominającym dziadka udzielającego porad swoim wnukom. Za chwilę wygłosi tyradę, istne kazanie, którego nie powstydziłby się żaden czarny kaznodzieja. Ułamek sekundy później przekona sędziów przysięgłych, że stabilność społeczeństwa, ba, przyszłość rodzaju ludzkiego zależy od tego, czy wydadzą werdykt skazujący. Był najlepszy na dużych procesach, a ten był największy z największych. Przemawiał bez notatek. Cały sąd zastygł w napięciu, gdy Buckley przedstawiał siebie jako sługę, przyjaciela i partnera ławy przysięgłych, która wraz z nim wyświetli prawdę i ukarze tego człowieka za potworny czyn, jakiego się dopuścił.

Po dziesięciu minutach Jake miał dość. Wstał z wyrazem frustracji na twarzy.

— Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw. Pan Buckley nie wybiera ławy przysięgłych. Nie jestem pewien, do czego zmierza, ale z pewnością nie przesłuchuje kandydatów.

— Podtrzymuję sprzeciw! — ryknął do mikrofonu Noose. — Jeśli nie ma pan żadnych pytań, panie Buckley, proszę usiąść!

— Przepraszam, Wysoki Sądzie — odparł niezręcznie Buckley, udając zranionego.

Jake utoczył pierwszą krew.

Buckley sięgnął po notatnik i wyciągnął listę z tysiącem pytań. Zaczął od tego, czy ktoś z wybranych zasiadał wcześniej w ławie przysięgłych. W górę powędrowało kilka dłoni. W sprawach cywilnych czy karnych? Czy głosowali za uniewinnieniem, czy skazaniem? Jak dawno temu? Czy podsądny był czarny, czy biały? Czy ofiara była czarna, czy biała? Czy ktoś z wybranych padł ofiarą przestępstwa z użyciem przemocy? Dwie ręce. Kiedy? Gdzie? Czy sprawca został schwytany? Skazano go? Był czarny czy biały? Jake, Harry Rex i Ellen zapełnili całe kartki notatkami. Czy jakiś członek waszej rodziny padł ofiarą przestępstwa z użyciem przemocy? Podniosły się kolejne ręce. Kiedy? Gdzie? Co się stało z przestępcą? Czy jakiś członek waszej rodziny został zatrzymany pod zarzutem

popełnienia przestępstwa? Postawiony w stan oskarżenia? Skazany? Czy macie przyjaciół lub członków rodziny, którzy pracują w organach ochrony porządku publicznego?

Przez trzy godziny bez przerwy sondował i wybierał jak chirurg. Był mistrzem. Widać było, że się przygotował. Zadawał pytania, o których Jake nawet nie pomyślał, i zadał dosłownie każde pytanie, które Brigance zapisał w swoim konspekcie. Subtelnie ujawniał osobiste opinie i odczucia. Kiedy nadeszła odpowiednia chwila, mówił coś zabawnego, aby każdy mógł się pośmiać, obniżając w ten sposób napięcie. Miał w garści cały sąd, a kiedy Noose zatrzymał go o siedemnastej, dopiero się rozkręcał. Gdyby nie Ikabod, byłby skończył nad ranem.

Wysoki Sąd odłożył posiedzenie do dziewiątej następnego ranka. Jake rozmawiał chwilę z klientem, gdy tłum przesuwał się ku tyłowi sali. Ozzie czekał w pobliżu z kajdankami. Kiedy Jake skończył, Carl Lee uklęknął przed swoją rodziną siedzącą w pierwszym rzędzie i wszystkich uściskał. Powiedział, że zobaczą się jutro. Ozzie zaprowadził go do pokoju dla zatrzymanych, a później powiódł schodami na dół, gdzie czekała cała zgraja ludzi szeryfa, żeby go odwieźć do więzienia.

Rozdział 34

Drugiego dnia procesu słońce wzeszło szybko, w ciągu kilku sekund osuszając rosę z bermudzkiej trawy rosnącej wokół gmachu sądu okręgu Ford. Lepka, niewidoczna mgiełka unosiła się z trawy, oblepiając ciężkie buciory i workowate spodnie żołnierzy. Promienie słońca przypiekały strażników krążących nonszalancko chodnikami w centrum Clanton. Przystawali w cieniu drzew i pod baldachimami małych sklepików. Kiedy nadeszła pora wydawania śniadania w namiotach, byli już w samych jasnozielonych podkoszulkach, zlani potem.

Czarni kaznodzieje i ich owieczki udali się w wyznaczone miejsce i rozłożyli obozowisko. Ustawili składane krzesła pod dębami, a chłodziarki z zimną wodą na stolikach do kart. Niebiesko-białe transparenty z napisem UWOLNIĆ CARLA LEE zatknięto na tyczkach do pomidorów i wetknięto w ziemię niczym schludne ogrodzenie. Agee wydrukował nowe transparenty z powiększoną czarno-białą fotografią Carla Lee, otoczoną czerwono-biało-niebieską ramką. Wyglądały elegancko i profesjonalnie.

Członkowie Ku-Klux-Klanu potulnie zajęli swoją część trawnika. Przynieśli transparenty z hasłem krzyczącym USMAŻYĆ CARLA LEE, USMAŻYĆ CARLA LEE, wypisanym tłustym czerwonym drukiem na białym tle. Pomachali nimi w kierunku czarnych stojących po drugiej stronie trawnika i po chwili obie grupy zaczęły krzyczeć. Żołnierze uformowali schludne linie wzdłuż chodnika. Stali w swobodnej pozie, uzbrojeni po zęby, a nad ich głowami fruwały wyzwiska i skandowane hasła. Była ósma rano. Drugi dzień procesu.

Przybyli reporterzy złaknieni informacji godnych umieszczenia w wiadomościach. Gdy rozległy się krzyki, ruszyli w kierunku trawnika przed sądem. Ozzie i pułkownik spacerowali wokół gmachu, wskazując tu i tam i pokrzykując przez radio.

O dziewiątej Ikabod wyrzekł „Dzień dobry” do sali, na której były już tylko miejsca stojące. Buckley uniósł się z wolna i energicznie poinformował Wysoki Sąd, że nie ma więcej pytań do kandydatów przysięgłych.

Na te słowa powstał adwokat Brigance. Kolana miał jak z waty, a żołądek w gardle. Podszedł do barierki i spojrzał z niepokojem na dziewięćdziesięciu czterech potencjalnych sędziów przysięgłych.

Tłum słuchał z zapartym tchem młodego pewnego siebie mówcy, który kiedyś przechwalał się, że jeszcze nigdy nie przegrał procesu, w którym oskarżonemu groziła kara śmierci. Jego głos był donośny, a jednocześnie ciepły. Słowa uczone, a jednak zrozumiałe. Ponownie przedstawił siebie i swojego klienta, a następnie jego rodzinę, na ostatek zostawiając małą dziewczynkę. Skomplementował prokuratora okręgowego za gruntowne przepytanie kandydatów, które miało miejsce wczoraj po południu, i wyznał, że większość jego pytań już padła. Spojrzał do notatek i zadał pierwsze pytanie, które okazało się istną sensacją.

— Panie i panowie, czy ktoś z państwa uważa, że w żadnych okolicznościach nie należy stosować argumentu niepoczytalności?

Zaczęli się niespokojnie wiercić, ale żaden nie podniósł ręki. Z miejsca ich zaskoczył.

— Jeśli dowiedziemy, że Carl Lee w chwili zamordowania Billy'ego Raya Cobba i Pete'a Willarda był niepoczytalny w sensie prawnym, czy ktoś z państwa nie będzie mógł go uznać za niewinnego?

Trudno było pojąć sens jego pytania. Jake zrobił to celowo. Kilku chciało zareagować, ale większość nie znała właściwej odpowiedzi.

Jake przyjrzał się im uważnie, wiedząc, iż większość czuje się zagubiona, a także że w tej chwili każdy członek ławy przysięgłych zastanawia się nad niepoczytalnością jego klienta. Zamierzał pozostawić ich w takim stanie.

— Dziękuję — odrzekł tak czarująco, jak jeszcze nigdy w życiu. — Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Buckley sprawiał wrażenie zaskoczonego. Spojrzał na sędziego, który wydawał się równie zdumiony.

— To wszystko? — spytał z niedowierzaniem Noose. — Nie ma pan innych pytań, panie Brigance?

— Nie mam, Wysoki Sądzie. Nie mam zastrzeżeń do ławy przysięgłych — oświadczył z nadzieją w głosie Jake, bo w przeciwieństwie do Buckleya nie wałkował ich bite trzy godziny. Chociaż mógł powiedzieć o kandydatach wszystko oprócz tego, że nie ma do nich zastrzeżeń, nie było sensu powtarzać pytań, które już padły z ust prokuratora okręgowego.

— Dobrze. Zapraszam do siebie przedstawicieli stron.

Buckley, Musgrove, Jake, Ellen i pan Pate udali się w ślad za Ikabodem do gabinetu za sędziowską ławą i zajęli miejsca wokół stołu.

— Panowie, oskarżonemu grozi kara śmierci, więc zakładam, że chcecie indywidualnie przesłuchać każdego z kandydatów

na sędziów przysięgłych — zaczął Noose.

— Tak, proszę pana — powiedział Jake.

— To prawda, Wysoki Sądzie — przytaknął Buckley.

— Bardzo dobrze. Panie woźny, byłby pan łaskaw zaprosić pierwszego kandydata na przysięgłego?

Pan Pate wrócił na salę sądową i wykrzyczał nazwisko Carlene Malone. Chwilę później Malone weszła za nim do gabinetu sędziego. Była przerażona. Prawnicy uśmiechnęli się do niej, ale nie powiedzieli ani słowa, zgodnie z instrukcją Noose'a.

— Proszę usiąść — powiedział sędzia, zdejmując togę. — Zajmie nam to nie więcej niż minutę, pani Malone. Czy ma pani zdecydowane przekonania w sprawie kary śmierci? Za lub przeciw? — spytał.

Pokręciła nerwowo głową i spojrzała na Ikaboda.

— Nie, proszę pana.

— Czy zdaje sobie pani sprawę, że jeśli zostanie wybrana na sędziego przysięgłego i pan Hailey zostanie uznany winnym, zostanie pani wezwana do skazania go na karę śmierci?

— Tak, proszę pana.

— Czy jeśli przedstawiciel stanu Missisipi wykaże ponad wszelką możliwość, że zabójstwa zostały popełnione z premedytacją, i dojdzie pani do przekonania, iż w chwili popełnienia zarzucanych mu czynów pan Hailey nie był niepoczytalny w sensie prawnym, będzie pani mogła rozważyć wymierzenie mu kary śmierci?

— Oczywiście. Uważam, że należy ją stosować. Mogłoby to powstrzymać otaczające nas zdziczenie. Jestem zdecydowaną zwolenniczką kary śmierci.

Jake nie przestawał się uśmiechać i grzecznie kiwać głową do pierwszego sędziego. Buckley też się uśmiechnął i mrugnął do Musgrove'a.

— Dziękuję, pani Malone. Może pani wrócić na swoje miejsce na sali sądowej.

— Przyprowadźcie drugiego — polecił Noose panu Pate'owi.

Do gabinetu wprowadzono starszą białą kobietę o twardym wyrazie twarzy. Tak, proszę pana, odparła, opowiadam się zdecydowanie za stosowaniem kary śmierci. Nie będę miała problemu z głosowaniem za jej wymierzeniem. Jake siedział i cały czas się uśmiechał. Noose jej podziękował i wezwał kandydata numer trzy.

Kandydaci numer trzy i cztery okazali się równie bezlitośni, gotowi zabić, jeśli zostaną przedstawione dowody. Później w gabinecie usiadł Gerald Ault, tajna broń Jake'a.

— Dziękuję, panie Ault. To nam zajmie tylko minutkę — powtórzył Noose. — Po pierwsze, czy ma pan zdecydowane przekonania w sprawie kary śmierci?

— Tak, proszę pana — odrzekł ochoczo Ault. Jego głos i twarz promieniowały współczuciem. — Jestem zdecydowanym przeciwnikiem stosowania kary śmierci. To okrutna, barbarzyńska kara. Wstydzę się, że jestem członkiem społeczeństwa, którego prawo dopuszcza zabicie człowieka.

— Rozumiem. Czy gdyby został pan wybrany na sędziego przysięgłego, mógłby pan zagłosować za wymierzeniem kary śmierci?

— Nie, proszę pana. W żadnym razie. Niezależnie od popełnionego przestępstwa. Wykluczone, Wysoki Sądzie.

Buckley odchrząknął i oświadczył złowieszczo:

— Wysoki Sądzie, oskarżenie wnosi o wykluczenie pana Aulta ze składu ławy przysięgłych na mocy precedensu *Stan przeciwko Witherspoonowi*.

— Podtrzymuję wniosek. Panie Ault, został pan wykluczony ze składu ławy przysięgłych — oznajmił Noose. — Jeśli pan chce, może pan opuścić gmach sądu. Jeśli zdecyduje się pan pozostać, proszę nie siadać z innymi sędziami.

Ault zrobił zdumioną minę i spojrzał bezradnie na swojego przyjaciela Jake'a, który gapił się w podłogę z zaciśniętymi wargami.

— Mogę spytać dlaczego? — wyjąkał Gerald.

Noose zdjął okulary i zamienił się w profesora.

— Panie Ault, prawo nakazuje, aby sąd zwolnił potencjalnego sędziego przysięgłego, jeśli ten przyzna, że w żadnym wypadku nie może zagłosować za karą śmierci. Kluczowe słowa to „w żadnym wypadku". Widzi pan, niezależnie od tego, czy się to panu podoba, kara śmierci jest prawnie dozwolona w stanie Missisipi, a także w większości innych stanów. Rzeczą niesprawiedliwą byłoby wybranie sędziów przysięgłych, którzy nie mogą postępować zgodnie z literą prawa.

Zaciekawienie publiczności wzrosło, gdy Gerald Ault wyszedł z gabinetu sędziego, przeszedł przez małą bramkę w barierce i opuścił salę. Woźny sądowy wyczytał nazwisko szóstego kandydata, Alexa Summersa, i zaprowadził go do gabinetu. Summers wrócił po chwili i zajął swoje miejsce w pierwszym rzędzie. Skłamał w sprawie kary śmierci. Sprzeciwiał się jej, podobnie jak większość czarnych, ale nie powiedział Noose'owi o swoich zastrzeżeniach. Nie miał z tym problemu. Podczas przerwy naradził się dyskretnie z pozostałymi czarnymi kandydatami na przysięgłymi i wyjaśnił, jak należy odpowiadać na pytania zadawane w gabinecie sędziego.

Powolny proces przepytywania ciągnął się do połowy popołudnia. Jedenastu kandydatom podziękowano z powodu poglądu na stosowanie kary śmierci. O piętnastej trzydzieści Noose ogłosił półgodzinną przerwę, aby przedstawiciele stron mogli przejrzeć swoje notatki.

Jake i jego zespół wpatrywali się w listę kandydatów na przysięgłych i kartoniki z nazwiskami w bibliotece na trzecim piętrze. Nadszedł czas decyzji. Jake śnił o nazwiskach wypisanych kolorem niebieskim, czerwonym i czarnym, z umieszczonymi obok cyframi. Obserwował ich w sądzie przez bite dwa dni. Znał każdego z nich. Ellen chciała kobiet, a Harry Rex mężczyzn.

Noose spojrzał na główną listę i swoich prawników. Kandydatów na sędziów przysięgłych ponownie ponumerowano,

usuwając tych, którzy zostali wykluczeni.

— Panowie, jesteście gotowi? Doskonale. Jak wiecie, oskarżonemu grozi kara śmierci, więc każdy z was może prosić o usunięcie dwunastu kandydatów ze składu ławy. Panie Buckley, proszę przedstawić obronie swoją listę dwunastu sędziów przysięgłych, poczynając od sędziego numer jeden. Proszę też określać każdego wyłącznie numerem, który zajmuje na liście.

— Tak, Wysoki Sądzie. Oskarżenie przyjmuje kandydatów numer jeden, dwa, trzy i cztery, wnioskuje o odrzucenie piątego, przyjmuje szóstego, siódmego, ósmego i dziewiątego, wnosi o odrzucenie dziesiątego, przyjmuje sędziów jedenastego, dwunastego, trzynastego, trzeci raz skorzysta z prawa weta w przypadku numeru czternastego i przyjmuje piętnastego. Da nam to dwunastu sędziów przysięgłych, jak sądzę.

Jake i Ellen zakreślali nazwiska i notowali. Noose metodycznie przeliczył wybranych.

— Tak, dwunastu. Panie Brigance?

Buckley wybrał dwanaście białych kobiet. Odrzucił dwóch czarnych i jednego białego mężczyznę.

Jake przyjrzał się liście i skreślił nazwiska.

— Obrona wnosi o odrzucenie kandydatów numer jeden, dwa i trzy, przyjmuje kandydata numer cztery, sześć i siedem, wnosi o usunięcie numerów osiem, dziewięć, jedenaście i dwanaście. Przyjmuje numer trzynaście i odrzuca piętnaście. Jak sądzę, ośmiokrotnie skorzystaliśmy z prawa weta.

Wysoki Sąd wolno przeliczył, skreślając i stawiając znaczki na liście.

— Obie strony zaakceptowały kandydatów numer cztery, sześć, siedem i trzynaście. Panie Buckley, kolej na pana. Proszę o ośmiu kolejnych sędziów.

— Oskarżenie przyjmuje kandydata numer szesnaście, w przypadku siedemnastego po raz czwarty korzysta z prawa weta, przyjmuje osiemnastego, dziewiętnastego, dwudziestego. Odrzuca dwudziestego pierwszego, przyjmuje dwudziestego drugiego.

Odrzuca dwudziestego trzeciego, przyjmuje dwudziestego czwartego. Odrzuca dwudziestego piątego i dwudziestego szóstego i przyjmuje dwudziestego siódmego oraz dwudziestego ósmego. Daje to dwunastu sędziów przysięgłych, przy czym czterokrotnie skorzystaliśmy z prawa do odrzucenia kandydata.

Jake wpadł w osłupienie. Buckley ponownie skreślił wszystkich czarnych i wszystkich mężczyzn. Jakby czytał w jego myślach.

— Panie Brigance, pana kolej.

— Możemy prosić o krótką przerwę, żeby się naradzić, Wysoki Sądzie?

— Pięć minut — odrzekł Noose.

Jake i jego asystentka przeszli do świetlicy obok, gdzie czekał na nich Harry Rex.

— Tylko na to spójrzcie — powiedział Jake, kładąc listę na stole. Cała trójka pochyliła się nad kartką. — Dotarliśmy do dwudziestego dziewiątego. Czterokrotnie skorzystałem z prawa odrzucenia kandydata. Tak samo Buckley. Facet skreśla każdego czarnego i każdego mężczyznę. W ławie przysięgłych są same białe kobiety. Dwie następne to białe babki. Numer trzydzieści jeden do Clyde Sisco, a trzydzieści dwa — Barry Acker.

— Czterech z następnych sześciu to czarni — zauważyła Ellen.

— Wiem, że chcesz Ackera. A co z Sisco? — spytał Harry Rex.

— Boję się go. Lucien powiedział, że to sprzedajny oszust.

— Świetnie! Wybierzmy go i przekupmy.

— Bardzo zabawne. A jeśli Buckley już to zrobił?

— Ja bym go wziął.

Jake studiował listę, obliczając i kalkulując. Ellen chciała skreślić obu — Ackera i Sisco.

Wrócili do gabinetu sędziego i zajęli miejsca. Protokolantka sądowa była gotowa.

— Wysoki Sądzie, wnosimy o usunięcie numeru dwadzieścia dwa i dwadzieścia osiem. Pozostają nam jeszcze dwa prawa weta.

— Teraz pan, panie Buckley. Dwadzieścia dziewięć i trzydzieści?

— Oskarżenie przyjmuje obu. To daje dwunastu. Zostały nam cztery prawa weta.

— Pana kolej, Brigance.

— Skreślamy dwadzieścia dziewięć i trzydzieści.

— Nie zostało już panu żadne weto, czy tak? — spytał Noose.

— Tak, Wysoki Sądzie.

— Dobrze. Panie Buckley, trzydzieści jeden i trzydzieści dwa?

— Oskarżenie przyjmuje obu — powiedział szybko Buckley, spoglądając na nazwiska czarnych, które następowały po Clydzie Sisco.

— Doskonale. Mamy dwunastu. Wybierzmy teraz dwóch rezerwowych. Obaj macie dwa weta. Panie Buckley, trzydzieści trzy i trzydzieści cztery?

Kandydat numer trzydzieści trzy był czarnym mężczyzną, a trzydzieści cztery białą kobietą, którą chciał Jake. Dwaj następni byli czarni.

— Odrzucamy numer trzydzieści trzy, przyjmujemy trzydzieści cztery i trzydzieści pięć.

— Obrona przyjmuje obu — odrzekł Jake.

Pan Pate uciszył zgromadzonych na sali, gdy Noose i prawnicy zajmowali swoje miejsca. Wysoki Sąd odczytał nazwiska dwunastu sędziów przysięgłych, którzy nerwowo i powoli przemieścili się do ławy przysięgłych i zostali usadzeni w odpowiedniej kolejności przez Jean Gillespie. Dziesięć kobiet, dwóch mężczyzn. Wszyscy biali. Czarni obecni na sali zaszemrali i spojrzeli na siebie z niedowierzaniem.

— Ty ich wybrałeś?! — szepnął do Jake'a Carl Lee.

— Później ci to wytłumaczę — odrzekł Jake.

Poproszono dwóch rezerwowych, aby zajęli miejsca obok ławy przysięgłych.

— Na co ten czarny dupek? — spytał szeptem Carl Lee, wskazując głową rezerwowego przysięgłego.

— Później wszystko ci wyjaśnię — odpowiedział Jake.

Noose odchrząknął i spojrzał na swoją ławę przysięgłych.

— Panie i panowie, zostaliście pieczołowicie wybrani na sędziów przysięgłych w tej sprawie. Złożyliście przysięgę, przyrzekając sprawiedliwie rozsądzić wszystkie kwestie, które zostaną poddane pod waszą rozwagę, oraz działać zgodnie z prawem, o którym was pouczę. Zgodnie z prawem stanu Missisipi pozostaniecie w odosobnieniu do czasu zakończenia tego procesu. Oznacza to, że będziecie umieszczeni w motelu i nie będzie wam wolno wrócić do domu, dopóki proces się nie zakończy. Zdaję sobie sprawę, że to duża niedogodność, ale prawo tego wymaga. Za chwilę ogłoszę przerwę do jutra rana. Będziecie mogli zadzwonić do domu i poprosić o dostarczenie ubrań, przyborów toaletowych i innych niezbędnych przedmiotów. Na noc będziecie odwożeni do motelu poza granicami Clanton, którego adres pozostanie tajemnicą. Jakieś pytania?

Dwunastu wybrańców sprawiało wrażenie porażonych i zdumionych myślą, że przez kilka dni nie będą mogli wrócić do domu. Myśleli o rodzinie i dzieciach, pracy i praniu. Dlaczego akurat oni? Dlaczego właśnie oni spośród wszystkich obecnych na sali?

Nie słysząc żadnych pytań, Noose grzmotnął młotkiem i ludzie zaczęli wychodzić z sali. Jean Gillespie odprowadziła pierwszego sędziego przysięgłego do gabinetu Noose'a, żeby zadzwonił do domu i poprosił o przywiezienie ubrania i szczoteczki do zębów.

— Dokąd nas zawiozą?

— To tajemnica — odpowiedziała Jean Gillespie.

— To tajemnica — powtórzyła przysięgła przez telefon mężowi.

Do dziewiętnastej nadciągnęły rodziny z osobliwym asortymentem pudeł i walizek. Wybrani zanieśli je do wynajętego autobusu firmy Greyhound zaparkowanego przy tylnych

drzwiach. Chwilę później autobus okrążył plac i wyjechał z Clanton w eskorcie dwóch radiowozów i wojskowego jeepa z przodu oraz trzech radiowozów policji stanowej z tyłu.

⅄ ⅄ ⅄

Stump Sisson zmarł we wtorek wieczór w szpitalu leczenia oparzeń w Memphis. Jego niskie, otyłe, zaniedbywane przez lata ciało okazało się niezdolne do stawienia czoła komplikacjom wywołanym przez rozległe oparzenia. Śmierć Sissona spowodowała, że liczba ofiar związanych z gwałtem popełnionym na Tonyi Hailey wzrosła do czterech. Cobb, Willard, Bud Twitty, a teraz Sisson.

Wiadomość o jego śmierci błyskawicznie dotarła do domku z bali w leśnej głuszy, gdzie po każdym dniu procesu spotykali się, jedli i pili jego towarzysze. Uroczyście ślubowali zemstę. Oko za oko i tak dalej. Pojawili się też nowi rekruci z okręgu Ford — w sumie pięciu — dzięki czemu lista miejscowych członków powiększyła się do jedenastu. Byli ochoczy i głodni czynu. Palili się do działania.

Do tej pory proces miał nadspodziewanie spokojny przebieg. Przyszedł czas na trochę rozrywki.

⅄ ⅄ ⅄

Jake przechadzał się przed kanapą, setny raz powtarzając pierwsze zdania swojej mowy wstępnej. Ellen słuchała uważnie. Słuchała, przerywała, zgłaszała zastrzeżenia, krytykowała i kłóciła się dwie godziny. W końcu miała dość. Był doskonały. Kolejne margarity uspokoiły go i zamieniły w złotoustego mówcę. Słowa płynęły gładkim strumieniem. Był utalentowany, szczególnie po jednym lub dwóch drinkach.

Kiedy skończył, usiedli na balkonie, obserwując świeczki przemieszczające się wolno wokół placu. Echo śmiechów dolatujące od strony namiotu, w którym żołnierze grali w pokera, niosło się cicho w noc. Na niebie nie było księżyca.

Ellen wyszła zrobić następną kolejkę drinków. Po chwili wróciła z tymi samymi kuflami do piwa wypełnionymi lodem i margaritą. Postawiła je na stole i stanęła za szefem. Oparła dłonie na jego ramionach i zaczęła masować kciukami dolną część karku. Rozluźnił się i wykonał kilka obrotów głową. Zaczęła masować ramiona i plecy, przywierając ciałem do jego ciała.

— Ellen, jest dwudziesta druga trzydzieści. Chce mi się spać. Gdzie dziś zanocujesz?

— A gdzie według ciebie powinnam?

— W swoim mieszkaniu w Ole Miss.

— Jestem zbyt pijana, aby prowadzić.

— Nesbit cię odwiezie.

— A ty gdzie spędzisz noc?

— W domu należącym do mnie i mojej żony przy Adams Street.

Przestała go masować i sięgnęła po drinka. Jake podniósł się, pochylił nad poręczą i krzyknął do Nesbita.

— Nesbit! Wstawaj! Jedziesz do Oxfordu!

Rozdział 35

Carla znalazła artykuł na odwrocie pierwszej strony. „Biała ława przysięgłych w procesie Haileya”, przeczytała nagłówek. We wtorek wieczorem Jake nie zadzwonił. Przejrzała tekst, zapominając o kawie.

Dom nad morzem stał w odludnej części plaży. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali dwieście metrów dalej. Jej ociec był właścicielem ziemi, która ich oddzielała, i nie zamierzał jej sprzedać. Zbudował dom dziesięć lat temu, kiedy spieniężył swoją firmę w Knoxville i przeszedł na dostatnią emeryturę. Carla była jego jedynym dzieckiem, a Hanna jedyną wnuczką. W domu z czterema sypialniami i czterema łazienkami rozrzuconymi na trzech poziomach było miejsce dla kilkunaściorga wnucząt.

Doczytała artykuł i podeszła do okien w pokoju śniadaniowym wychodzących na plażę i rozciągający się za nią ocean. Pomarańczowa tarcza słońca rozświetliła horyzont. Lubiła wylegiwać się w ciepłym łóżku długo po wschodzie słońca, ale życie z Jakiem oznaczało nowe przygody w ciągu pierwszych siedmiu godzin dnia. Jej ciało zostało nauczone tego, aby budzić

się o piątej trzydzieści. Kiedyś Jake oświadczył, że jego celem jest wychodzenie do pracy przed świtem i wracanie po zachodzie słońca. Zwykle udawało mu się to realizować. Był dumny, że pracuje dłużej niż każdy prawnik z okręgu Ford. Był inny, ale go kochała.

Osiemdziesiąt kilometrów na północny wschód od Clanton nad rzeką Tippah leżało spokojne miasteczko Temple, stolica okręgu Milburn. Temple miało trzy tysiące mieszkańców i dwa motele. Temple Inn świecił pustkami, bo nie było żadnego powodu, aby w nim przebywać o tej porze roku. Na końcu jednego z opustoszałych skrzydeł znajdowało się osiem zajętych pokoi pilnowanych przez żołnierzy i kilku funkcjonariuszy policji stanowej. Dziesięć kobiet zgrabnie połączono w pary, podobnie jak Barry'ego Ackera i Clyde'a Sisco. Czarny rezerwowy przysięgły Ben Lester Newton został nagrodzony pojedynczym pokojem, tak samo jak drugi rezerwowy, Francie Pitts. Odłączono telewizory i zabrano gazety. We wtorek wieczorem pensjonariuszom dostarczono kolację do pokojów. Środowe śniadanie podano punktualnie o siódmej trzydzieści, kiedy autobus Greyhound się rozgrzewał, wypełniając parking spalinami. Trzydzieści minut później czternastu sędziów przysięgłych wsiadło do samochodu i wyruszyło do Clanton.

Po drodze rozmawiali o rodzinie i pracy. Dwóch lub trzech znało się wcześniej, ale większość była sobie obca. Z zakłopotaniem unikali najmniejszej wzmianki o tym, dlaczego znaleźli się razem i jakie ich czeka zadanie. Sędzia Noose był w tej kwestii bardzo stanowczy. Żadnych dyskusji o sprawie. A przecież chcieli porozmawiać o tylu rzeczach: o gwałcie, gwałcicielach, Carlu Lee, Jake'u, Buckleyu, Noosie, Ku-Klux-Klanie i mnóstwie innych rzeczy. Wszyscy wiedzieli o palonych krzyżach, ale o nich także nie mówili. A przynajmniej nie w autobusie. Za to wiele rozmów prowadzili w motelowych

pokojach.

Greyhound zajechał przed gmach sądu pięć minut przed dziewiątą. Przysięgli wyglądali przez zaciemnione okna, aby sprawdzić, ilu czarnych, członków Klanu oraz innych gapiów czeka na trawniku, rozdzielonych przez żołnierzy Gwardii Narodowej. Autobus minął barykady i stanął z tyłu sądu, gdzie czekali ludzie szeryfa, aby jak najszybciej zaprowadzić ich na górę. Weszli tylnymi schodami do pokoju przysięgłych, gdzie już czekały kawa i pączki. Woźny sądowy oznajmił, że minęła dziewiąta i Wysoki Sąd jest gotów rozpocząć obrady. Zaprowadził ich do nabitej sali i usadził w ławie przysięgłych, na wyznaczonych miejscach.

— Proszę wstać! Sąd idzie! — wykrzyknął pan Pate.

— Proszę usiąść! — powiedział Noose, opadając na wysokie skórzane krzesło za sędziowską ławą. — Dzień dobry, panie i panowie — przywitał ciepło sędziów przysięgłych. — Mam nadzieję, że świetnie się czujecie i jesteście gotowi do pracy.

Wszyscy skinęli głową.

— Znakomicie. Teraz zadam wam pytanie, które będę powtarzał każdego ranka. Czy ostatniej nocy ktoś próbował się z wami skontaktować, rozmawiać lub wywierać jakikolwiek nacisk?

Pokręcili przecząco głowami.

— Dobrze. Czy nie rozmawialiście o sprawie między sobą?

Skłamali jak jeden mąż, kręcąc głowami.

— Dobrze. Oczekuję, że zawiadomicie mnie niezwłocznie, jeśli ktoś podejmie próbę nawiązania kontaktu i porozmawiania z wami o procesie. Czy państwo zrozumieli?

Przytaknęli w milczeniu.

— A zatem możemy zacząć rozprawę. Na początek udzielę głosu pełnomocnikom stron, którzy wygłoszą wstępne oświadczenia. Chciałbym państwa przestrzec, że ich słowa nie są zeznaniem pod przysięgą i nie mogą być traktowane jako dowód w sprawie. Panie Buckley, czy chce pan wygłosić mowę

wstępną?

Buckley wstał i zapiął swoją lśniącą poliestrową marynarkę.

— Tak, Wysoki Sądzie.

Podniósł małe drewniane podium i ustawił je przed ławą przysięgłych. Stanął za pulpitem, wziął głęboki oddech i przewrócił parę kartek w notatniku. Upajał się krótką chwilą ciszy, gdy wszystkie oczy były skierowane na niego, a wszystkie uszy nasłuchiwały jego słów. Zaczął od podziękowania sędziom przysięgłym za przybycie, ofiarność i obywatelską postawę (jakby mieli wybór, pomyślał Jake). Był z nich dumny i zaszczycony tym, że mogą współpracować w tej niezwykle ważnej sprawie. Ponownie przypomniał, że jest ich prawnikiem i reprezentuje stan Missisipi, które jest jego klientem. Wyraził strach z powodu ogromnego brzemienia odpowiedzialności, które oni, mieszkańcy tego wielkiego stanu, powierzyli jemu, Rufusowi Buckleyowi, prostemu prowincjonalnemu prawnikowi ze Smithfield. Rozwodził się o sobie i swoich refleksjach na temat procesu. O własnych nadziejach i modlitwach, aby wykonał dobrą robotę dla pożytku obywateli.

Wszystkie wstępne oświadczenia Buckleya brzmiały podobnie, ale to wystąpienie było lepsze od innych. Przypominało oczyszczone, wypucowane śmieci, które budzą odruch wymiotny. Jake miał ochotę złożyć sprzeciw, ale z doświadczenia wiedział, że Ikabod odrzuci jego wniosek podczas wygłaszania mów wstępnych, chyba że dojdzie do rażącego naruszenia prawa, a do tego retoryka Buckleya — przynajmniej do tej pory — się nie kwalifikowała. Fałszywa szczerość i egzaltacja Rufusa irytowała Jake'a głównie dlatego, że sędziowie przysięgli bacznie słuchali jego słów i w znakomitej większości pozostawali pod ich wrażeniem. Prokurator był zawsze dobrym facetem zabiegającym o prawdę i sprawiedliwość, pragnącym ukarania przestępcy za ohydną zbrodnię. Chcącym zamknąć łotra na wieczność, aby nie mógł więcej grzeszyć. Buckley po mistrzowsku przekonywał ławę przysięgłych, podkreślając od

pierwszych słów, że ich wspólnym zadaniem — jego i dwunastu wybranych, zjednoczonych w walce ze złem — jest skrupulatne wyświetlenie prawdy. Bo przecież chodziło im o prawdę i o nic więcej. O wyświetlenie prawdy i zwycięstwo sprawiedliwości.

Popełniony gwałt był potworną zbrodnią. On sam jest ojcem i ma córkę w wieku Tonyi Hailey. Kiedy usłyszał, co się stało, dostał mdłości. Cierpiał razem z Carlem Lee i jego żoną. Tak, myślał o swoich małych dziewczynkach i rozważał zemstę.

Jake uśmiechnął się do Ellen. Interesująca sprawa. Buckley otwarcie poruszył temat gwałtu, zamiast ukryć go przed ławą przysięgłych. Jake oczekiwał decydującej konfrontacji w kwestii dopuszczalności wszelkich zeznań na temat gwałtu popełnionego na Tonyi. Z badań przeprowadzonych przez Ellen wynikało, że drastyczne szczegóły nie zostaną dopuszczone, choć nie było jasne, czy można wspominać lub nawiązywać do tego wydarzenia. Najwyraźniej Buckley uznał, że lepiej będzie przyznać, iż doszło do gwałtu, niż starać się ukryć ten fakt. Dobre posunięcie, pomyślał Jake, bo wszyscy z dwunastu oraz cała reszta świata i tak znali szczegóły.

Ellen odpowiedziała uśmiechem. Na sali padła pierwsza wzmianka o zgwałceniu Tonyi Hailey.

Buckley stwierdził, że pragnienie zemsty byłoby naturalną reakcją każdego rodzica. Jego również, ale, ciągnął coraz bardziej poważnym głosem, istnieje zasadnicza różnica między pragnieniem zemsty a jej dokonaniem.

Zaczął się rozgrzewać, celowo krążąc tam i z powrotem, omijając podium i nabierając rytmu. Wygłosił dwudziestominutowy dyskurs na temat systemu prawa karnego oraz sposobu jego stosowania w Missisipi. Wspomniał o tym, ilu gwałcicieli on, Rufus Buckley, osobiście wyprawił do Parchman. Większość z wyrokiem dożywocia. System działał, bo mieszkańcy stanu Missisipi mieli dość zdrowego rozsądku, aby o to zadbać, ale wszystko runie, jeśli pozwolą, żeby ludzie pokroju Carla Lee brali wymierzanie sprawiedliwości we własne

ręce i robili to na własnych warunkach. Niech się nad tym zastanowią. Niech sobie wyobrażą społeczeństwo pogrążone w bezprawiu, gdzie ludzie sami wymierzają sprawiedliwość i robią, co im się żywnie podoba. Gdzie nie ma policji ani więzień. Gdzie nie istnieją sądy, gdzie nie ma procesów ani przysięgłych. Gdzie każdy jest dla siebie prawem.

Sytuacja, która ma miejsce, jest paradoksalna, oświadczył, na chwilę spuszczając z tonu. Oto Carl Lee Hailey siedzi przed nimi i prosi o sprawiedliwy proces, choć sam nie wierzy w takie rzeczy. Zapytajcie matki Billy'ego Raya Cobba i Pete'a Willarda. Spytajcie, jaki sprawiedliwy proces otrzymali ich synowie.

Przerwał na chwilę, aby pozwolić ławie przysięgłych i zebranym przemyśleć jego słowa. Widać zapadły głęboko, bo wszyscy siedzący w ławie przysięgłych spojrzeli na Carla Lee Haileya wzrokiem pozbawionym współczucia. Jake czyścił paznokcie małym scyzorykiem, robiąc znudzoną minę. Buckley podszedł do podium, udając, że przegląda notatki, a później spojrzał na zegarek. Podjął na nowo, tym razem bardzo pewnym, rzeczowym tonem. Proces wykaże, że Carl Lee Hailey starannie zaplanował zabójstwa. Że czekał niemal godzinę w małym pokoiku przy schodach, bo wiedział, że tamci będą przechodzić obok, odprowadzani do więzienia. Jakimś sposobem zdołał przemycić do gmachu sądu M16. Buckley podszedł do małego stolika obok protokolantki sądowej i uniósł w górę karabin.

— Oto karabin M szesnaście! — oznajmił sędziom przysięgłym, dziko wymachując bronią trzymaną w jednej ręce. Położył broń na pulpicie i zaczął opowiadać, jak starannie Carl Lee Hailey wybrał narzędzie, którego używał kiedyś w walce i wiedział, jak się nim posługiwać. Wyszkolono go, jak zabijać za pomocą M szesnaście. Dodał, że posiadanie takiej broni jest nielegalne. Carl Lee nie mógł jej kupić w Western Auto. Musiał ją zdobyć. Wszystko dokładnie zaplanował.

Oskarżenie wykaże ponad wszelką wątpliwość, że mamy do

czynienia z zabójstwem z premedytacją, starannie zaplanowanym zabójstwem dokonanym z zimną krwią.

Na miejscu zdarzenia był DeWayne Looney. Weteran z biura szeryfa, który służył w Clanton od czternastu lat. Dobry mąż i ojciec, jeden z najlepszych stróżów prawa, jakich Buckley zna. DeWayne Looney był na służbie, kiedy został postrzelony przez Carla Lee Haileya. W szpitalu częściowo amputowano mu nogę. Czym zawinił? Być może obrona powie, że był to przypadek, że nie powinniśmy brać tego pod uwagę. W stanie Missisipi nie można używać takiego argumentu na swoją obronę.

Panie i panowie, nie ma wytłumaczenia dla takiej przemocy. Wyrok musi brzmieć „winny".

Każdy z prawników miał godzinę na wygłoszenie wstępnego oświadczenia. Prokurator okręgowy uległ nieodpartej pokusie wykorzystania całego czasu, choć jego argumenty zaczęły się powtarzać. Dwukrotnie się pogubił, potępiając przewrotne wykorzystanie argumentu niepoczytalności. Sędziowie przysięgli zaczęli ziewać, szukając interesujących obiektów na sali sądowej. Rysownicy przestali szkicować, a reporterzy zrezygnowali z robienia notatek. Sędzia Noose przetarł okulary siedem lub osiem razy. Wszyscy wiedzieli, że Noose czyści okulary, aby zwalczyć nudę i nie zasnąć. Podczas procesu zwykle czyścił je gruntownie. Jake widział, jak przeciera je chusteczką, krawatem lub połą togi, kiedy świadkowie załamywali się i płakali, a prawnicy krzyczeli i wymachiwali rękami. Nie przeoczył żadnego słowa, żadnego sprzeciwu ani chytrej sztuczki — był nimi zwyczajnie znudzony, nawet w procesie takiego kalibru. Nigdy nie spał w sędziowskiej ławie, chociaż wielokrotnie miał taką pokusę. Zamiast tego zdejmował okulary, kierował je pod światło, chuchał i przecierał, jakby były oblepione tłuszczem, a następnie ponownie umieszczał nad brodawką na nosie. Niecałe pięć minut później szkła ponownie były brudne. Im dłużej Buckley perorował, tym częściej Noose przecierał szkła.

W końcu po półtorej godziny Buckley zamilkł, a sala sądowa

odetchnęła z ulgą.

— Ogłaszam dziesięciominutową przerwę — oznajmił Noose i zerwał się z ławy, aby zniknąć za drzwiami i popędzić do ubikacji.

Jake zaplanował krótką mowę wstępną, ale po maratonie Buckleya postanowił jeszcze bardziej ją skrócić. Zacznijmy od tego, że większość ludzi nie lubi prawników, szczególnie rozwlekłych gadatliwych mądrali, którzy uważają, że każdy drugorzędny szczegół należy powtórzyć przynajmniej trzy razy, a ważne punkty muszą zostać wbite w świadomość słuchaczy nieustannym powtarzaniem. Prawników, którzy marnują czas, szczególnie nie lubią sędziowie przysięgli. Z dwóch bardzo ważnych powodów. Po pierwsze dlatego, że nie mogą powiedzieć, aby wreszcie skończyli. Są zakładnikami. Poza sądem człowiek mógł skląć prawnika i kazać mu się zamknąć, ale ława przysięgłych więziła go niczym pułapka, nie pozwalając na takie odzywki. Mógł jedynie spać, chrapać, rzucać gniewne spojrzenia, krzywić się, spoglądać na zegarek lub przesyłać inne sygnały, których przynudzający prawnicy nigdy nie uchwycą. Po drugie, sędziowie przysięgli nie lubili przeciągających się procesów. Przestań chrzanić i przejdź do rzeczy. Przedstaw fakty, a my wydamy werdykt.

Jake wyjaśnił to swojemu klientowi podczas przerwy.

— Zgadzam się. Gadaj krótko — powiedział Carl Lee.

Właśnie tak zrobił. Wygłosił oświadczenie wstępne trwające czternaście minut, a sędziowie przysięgli docenili każde słowo, które wypowiedział. Zaczął od córek. Od tego, jakie są wyjątkowe. Przypomniał, że różnią się od małych chłopców i wymagają szczególnej ochrony. Powiedział im o własnej córce i szczególnej więzi, która ich łączy. Więzi, której nie da się wyjaśnić i której nie wolno lekceważyć. Wyraził podziw dla pana Buckleya, jego rzekomej zdolności do okazania przebaczenia i współczucia każdemu pijanemu zboczeńcowi, który zgwałci jego córkę. To zaiste wielki człowiek. Ale czy

oni sami, jako sędziowie przysięgli i rodzice, byliby równie współczujący, ufni i pobłażliwi, gdyby to ich córka została zgwałcona przez dwa pijane, naćpane, brutalne, pozbawione ludzkich cech monstra, które przywiązały ją do drzewa i...

— Sprzeciw! — zakrzyknął Buckley.

— Podtrzymuję sprzeciw! — odkrzyknął Noose.

Jake zignorował krzyki i kontynuował cichym głosem. Poprosił, żeby spróbowali sobie wyobrazić, jak sami by zareagowali, gdyby chodziło o ich córkę. Poprosił, żeby nie skazywali Carla Lee, ale odesłali go do domu, do rodziny. Ani razu nie wspomniał o niepoczytalności. Przysięgli wiedzieli, że to niebawem nastąpi.

Skończył krótko po rozpoczęciu, prezentując sędziom przysięgłym dwa skrajnie różne sposoby podejścia.

— To wszystko? — spytał ze zdumieniem sędzia Noose.

Jake skinął głową i usiadł obok swojego klienta.

— Bardzo dobrze. Panie Buckley, może pan wezwać pierwszego świadka.

— Oskarżenie wzywa na świadka Corę Cobb.

Woźny poszedł do pokoju świadków i sprowadził panią Cobb. Wprowadził ją drzwiami obok ławy przysięgłych, gdzie została zaprzysiężona przez Jean Gillespie i posadzona w ławie dla świadków.

— Proszę mówić do mikrofonu — pouczył ją woźny.

— Czy nazywa się pani Cora Cobb? — zapytał na cały głos Buckley, wchodząc na podium obok barierki.

— Tak, proszę pana.

— Gdzie pani mieszka?

— Na Route trzy. W Lake Village, w okręgu Ford.

— Czy jest pani matką zmarłego Billy'ego Raya Cobba?

— Tak, proszę pana — odrzekła, a w jej oczach błysnęły łzy. Była kobietą z prowincji, porzuconą przez męża, kiedy chłopcy byli mali. Wychowywali się sami, gdy pracowała na dwie zmiany w fabryce tanich mebli między Karaway i Lake

Village. Wcześnie straciła nad nimi kontrolę. Miała około pięćdziesiątki, ale próbowała udawać czterdziestolatkę, farbując włosy i nakładając makijaż, choć z łatwością mogła uchodzić też za kobietę sześćdziesięcioletnią.

— Ile lat miał pani syn w dniu śmierci?

— Dwadzieścia trzy.

— Kiedy widziała go pani ostatni raz żywego?

— Na kilka sekund przed zabójstwem.

— Gdzie to było?

— Tutaj, na tej sali.

— Gdzie go zabito?

— Na dole.

— Czy słyszała pani strzały, które zabiły jej syna?

Pani Cobb zaczęła płakać.

— Tak, proszę pana.

— Kiedy widziała go pani ostatni raz?

— W domu pogrzebowym.

— W jakim stanie się znajdował?

— Był martwy.

— Nie mam więcej pytań — oznajmił Buckley.

— Chce pan przepytać świadka, panie Brigance?

Pani Cobb była nieszkodliwym świadkiem wezwanym w celu potwierdzenia, że ofiara faktycznie była martwa, i wzbudzenia w ludziach odrobiny sympatii. Jej przepytanie niczego by nie dało i w normalnych okolicznościach zostałaby odesłana do domu, ale Jake dostrzegł okazję, której nie mógł przepuścić. Zauważył szansę nadania tonu procesowi, obudzenia Noose'a i Buckleya oraz wszystkich innych obecnych na sali. W rzeczywistości pani Cobb wcale nie była taka godna politowania. Miała coś do ukrycia. Pewnie Buckley pouczył ją, żeby płakała.

— Mam kilka pytań — odrzekł Jake, przechodząc za Buckleyem i Musgrove'em w stronę podium. Prokurator okręgowy z miejsca nabrał podejrzeń. — Pani Cobb, czy to prawda, że pani syn został skazany za handlowanie marihuaną?

— Sprzeciw! — ryknął Buckley, skacząc na równe nogi. — Uprzednia karalność ofiary nie jest dopuszczalna jako dowód!

— Sprzeciw podtrzymany!

— Dziękuję, Wysoki Sądzie — odpowiedział grzecznie Jake, jakby Noose wyświadczył mu przysługę.

Pani Cobb wytarła oczy i jeszcze głośniej zaniosła się płaczem.

— Powiedziała pani, że w chwili śmierci syn miał dwadzieścia trzy lata?

— Tak.

— Ile innych dzieci zgwałcił w ciągu swojego trwającego dwadzieścia trzy lata życia?

— Sprzeciw! Sprzeciw! — ryknął Buckley, wymachując rękami i spoglądając rozpaczliwie na Noose'a, który odpowiedział krzykiem:

— Podtrzymuję sprzeciw! Przywołuję pana do porządku, panie Brigance! Przywołuję do porządku!

Pani Cobb wybuchnęła łzami, spazmatycznie szlochając w rytm okrzyków. Jakimś cudem zdołała utrzymać mikrofon blisko twarzy, więc jej płacz i łkanie pobrzmiewały w zaszokowanej sali.

— Powinien zostać upomniany, Wysoki Sądzie! — zażądał Buckley. Jego twarz i oczy zalśniły gniewem, a kark przybrał karmazynową barwę.

— Wycofuję pytanie — odparł głośno Jake i wrócił na swoje miejsce.

— Tani chwyt, Brigance — mruknął Musgrove.

— Wysoki Sądzie, proszę go upomnieć — błagał Buckley. — I pouczyć ławę przysięgłych, aby nie uwzględniała jego pytań.

— Ma pan dodatkowe pytania do świadka? — zapytał sędzia Noose.

— Nie — odpowiedział Buckley, biegnąc z chusteczką do ławy dla świadków, żeby poratować panią Cobb, która zatopiła twarz w dłoniach i szlochała, gwałtownie dygocząc.

— Jest pani wolna, pani Cobb — oznajmił Noose. — Woźny, proszę odprowadzić świadka.

Woźny sądowy pomógł jej wstać i z pomocą Buckleya wyprowadził z ławy dla świadków. Przeszli przed sędziami przysięgłymi, otworzyli barierę i podążyli korytarzem między rzędami. Pani Cobb jęczała i zawodziła z każdym krokiem, a hałas, który czyniła, wzmagał się w miarę skracania odległości od drzwi. Kiedy ją wyprowadzano, darła się na całe gardło.

Noose spoglądał gniewnie na Jake'a, dopóki Cobb nie zniknęła i na sali ponownie zapanował spokój. Później zwrócił się do sędziów przysięgłych i powiedział:

— Proszę pominąć ostatnie pytanie pana Brigance'a.

— Po co to zrobiłeś? — szepnął Carl Lee do swojego prawnika.

— Później ci wyjaśnię.

— Oskarżenie wzywa na świadka Earnestine Willard — oznajmił Buckley nieco cichszym głosem, w którym dało się wyczuć pewne wahanie.

Z pokoju świadków obok sali rozpraw sprowadzono panią Willard. Została zaprzysiężona i posadzona na miejscu.

— Czy nazywa się pani Earnestine Willard? — spytał Buckley.

— Tak, proszę pana — odpowiedziała cichym głosem. Także Earnestine Willard została sponiewierana przez życie, ale była w niej przyzwoitość, która czyniła ją bardziej godną litości i zasługującą na wiarę niż pani Cobb. Miała na sobie tanie ubranie, ale czyste i starannie odprasowane. Nie ufarbowała włosów tanią czarną farbą, a na jej twarzy nie było grubej warstwy makijażu. Kiedy zaczęła płakać, płakała dla siebie.

— Gdzie pani mieszka?

— Na przedmieściach Lake Village.

— Czy Pete Willard był pani synem?

— Tak, proszę pana.

— Kiedy ostatni raz widziała go pani żywego?

— Na tej sali, chwilę przed tym, zanim został zabity.

— Czy słyszała pani strzały, które pozbawiły go życia?

— Tak, proszę pana.

— Kiedy widziała go pani ostatni raz?

— W domu pogrzebowym.

— W jakim stanie się znajdował?

— Był martwy — odrzekła, ocierając łzy chusteczką Kleenex.

— Bardzo mi przykro. — Buckley westchnął współczująco. — Nie mam więcej pytań — dodał, spoglądając badawczo na Jake'a.

— Czy obrona ma pytania do świadka? — zapytał sędzia Noose, łypiąc podejrzliwie na Brigance'a.

— Tylko parę — odrzekł Jake.

— Pani Willard, nazywam się Jake Brigance. — Stanął za podium i spojrzał na nią bez współczucia.

Skinęła głową.

— Ile lat miał pani syn w chwili śmierci?

— Dwadzieścia siedem.

Buckley odsunął krzesło od stołu i przysiadł na krawędzi, gotów w każdej chwili skoczyć na równe nogi. Noose zdjął okulary i pochylił się do przodu. Carl Lee opuścił głowę.

— Ile dzieci zgwałcił pani syn w ciągu swojego trwającego dwadzieścia siedem lat życia?

Buckley zerwał się z miejsca.

— Sprzeciw! Sprzeciw! Sprzeciw!

— Podtrzymuję! Podtrzymuję! Podtrzymuję!

Krzyki przeraziły panią Willard, więc zapłakała głośniej.

— Proszę udzielić mu upomnienia, Wysoki Sądzie! Powinien zostać upomniany!

— Wycofuję pytanie — odrzekł Jake, siadając na krześle.

Buckley złożył błagalnie dłonie.

— Wysoki Sądzie, to nie wystarczy! Musi dostać upomnienie!

— Zapraszam do siebie pełnomocników stron — oznajmił Noose. Zwolnił świadka i ogłosił przerwę do trzynastej.

⅄ ⅄ ⅄

Harry Rex czekał na balkonie kancelarii Jake'a z kanapkami i dzbankiem margarity. Jake odmówił, wybierając sok grejpfrutowy. Ellen poprosiła o jedną szklaneczkę, tę mniejszą, żeby uspokoić skołatane nerwy. Trzeciego dnia rozprawy Dell przygotowała lunch i osobiście dostarczyła go do biura Jake'a. Z wyrazami uznania od pracowników Coffee Shopu.

Jedli i relaksowali się na balkonie, obserwując cyrk rozgrywający się wokół sądu.

— Co się stało w gabinecie Ikaboda? — zapytał Harry Rex.

Jake skubnął kanapkę z wołowiną i kapustą i oświadczył, że chciałby pogadać o czymś innym.

— Do diabła, co się wydarzyło w pokoju Noose'a?!

— Czy wiesz, że Cardinalsi przegrali trzeci mecz? Wiedziałaś o tym, Row Ark?

— Sądziłam, że czwarty.

— Co zaszło w gabinecie?

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Tak! Tak!

— Co zaszło w gabinecie sędziego, Row Ark?

— Nic szczególnego. Noose zrugał Jake'a, ale nie wyrządził większych szkód. Buckley łaknął krwi, a Jake był pewien, że za chwilę ta się poleje, jeśli gęba Buckleya zrobi się jeszcze bardziej czerwona. Buckley wymyślał, wrzeszczał i potępiał Jake'a za to, że rozmyślnie podburza sędziów przysięgłych, jak się wyraził. Jake tylko się do niego uśmiechnął i powiedział: „Przepraszam, gubernatorze". Za każdym razem, gdy mówił „gubernatorze", Buckley wołał do Noose'a: „Panie sędzio, proszę coś zrobić! Nazwał mnie gubernatorem!". Noose na to: „Proszę! Panowie, oczekuję, że będziecie się zachowywać jak profesjonaliści". Jake odpowiadał: „Dziękuję, Wysoki Sądzie", czekał kilka minut, a później ponownie nazywał Buckleya gubernatorem.

— Dlaczego doprowadził te dwie starsze panie do łez?

— To było błyskotliwe posunięcie, Harry. Dowiódł sędziom

przysięgłym, Noose'owi, Buckleyowi i wszystkim obecnym, że to jego sąd i nikogo się nie boi. Utoczył pierwszą krew. Tak zdenerwował Buckleya, że facet nigdy się nie wyluzuje. Noose go szanuje, bo nie dał się zastraszyć Wysokiemu Sądowi. Sędziowie przysięgli byli zaszokowani, ale Jake ich obudził i dosadnie zakomunikował, że toczy się wojna. Świetny ruch.

— Taak. Też tak sobie pomyślałem.

— Nam to nie zaszkodzi. Te kobiety domagały się współczucia, ale Jake przypomniał przysięgłym, co ich uroczy chłopaczkowie zrobili przed śmiercią.

— Kanalie.

— Jeśli wywołał jakąś niechęć u sędziów, zapomną o tym, gdy ostatni świadek skończy zeznawać.

— Jake jest sprytny, prawda?

— Jest dobry, bardzo dobry. Najlepszy, jakiego widziałam, w jego wieku.

— Poczekaj, aż usłyszysz mowę końcową. Wysłuchałem ich parę. Zdołałby wzbudzić współczucie u sierżanta musztrującego żołnierzy.

Jake wrócił do środka i nalał sobie kapkę margarity. Tylko kropelkę na uspokojenie nerwów. Za to Harry Rex pił jak marynarz.

Ozzie był pierwszym świadkiem oskarżenia po lunchu. Buckley wyciągnął duże wielobarwne plany pierwszego i drugiego piętra sądu i wspólnie prześledzili ostatnią drogę Cobba i Willarda.

Później prokurator okręgowy pokazał olbrzymie kolorowe zdjęcia przedstawiające Cobba i Willarda leżących na schodach tuż po śmierci. Były makabryczne. Chociaż zważywszy na ich temat, nie należały do szczególnie przyjemnych, niektóre były całkiem niezłe.

W jednej z jego spraw ofiara otrzymała postrzał w serce z

broni kalibru 9 milimetrów i zwyczajnie osunęła się na werandę. Facet był dużym, dobrze umięśnionym staruszkiem, więc kula nie przeszła na wylot. Nie było krwi, a jedynie mały otwór w kombinezonie oraz mały otwór w klatce piersiowej. Gość wyglądał tak, jakby zasnął i runął na ziemię albo się upił i stracił przytomność na werandzie, jak Lucien. Nie był to szczególnie efektowny widok, więc Buckley czuł się rozczarowany. Zdjęcia nie zostały powiększone. Prokurator okręgowy wręczał sędziom przysięgłym małe kartoniki polaroidu, zdegustowany, że są takie czyste.

Jednak większość zdjęć z miejsc zabójstw była makabryczna i przyprawiała o mdłości. Na ścianach i suficie widać było plamy krwi, wszędzie leżały części ciał. Prokurator okręgowy zawsze powiększał takie fotki i dołączał do materiału dowodowego przy dźwiękach fanfar, a później wymachiwał nimi na sali sądowej, kiedy wraz ze świadkami opisywali sceny, które zostały na nich utrwalone. Na koniec, kiedy przysięgli umierali z ciekawości, uprzejmie prosił sędziego, żeby wyraził zgodę na pokazanie ich przysięgłym. Prosił i zawsze dostawał zgodę. Na koniec bacznie obserwował ich twarze, na których pojawiał się wyraz szoku, przerażenia, a czasami mdłości. Jake był świadkiem, jak dwóch sędziów przysięgłych zwymiotowało na widok potwornie zmasakrowanych zwłok.

Takie zdjęcia szkodziły interesom oskarżonego i wzbudzały intensywne emocje, zatem były wysoce dopuszczalne. Sąd Najwyższy używał określenia „posiadają moc dowodową". Z dziewięćdziesięcioletnich doświadczeń Sądu Najwyższego wynikało, że fotografie mogą pomóc sędziom przysięgłym. W Missisipi panował głęboko utrwalony zwyczaj, że zdjęcia z miejsca popełnienia zabójstwa, niezależnie od wpływu, jaki mogą wywrzeć na sędziów przysięgłych, są zawsze dopuszczalne.

Jake widział zdjęcia Cobba i Willarda tydzień wcześniej, złożył standardowy wniosek i otrzymał standardową odmowę.

Wspomniane fotografie umieszczono profesjonalnie na ciężkiej

tablicy, czego prokurator okręgowy nigdy wcześniej nie robił. Buckley wręczył pierwszą Rebie Betts. Przedstawiała głowę i mózg Willarda z małej odległości.

— Boże! — jęknęła i podała zdjęcie następnemu z sędziów, który wytrzeszczył oczy z przerażenia i podał dalej. Sędziowie przysięgli przekazywali je sobie z rąk do rąk. Rytuał trwał pół godziny, aż wszystkie fotografie wróciły do prokuratora okręgowego.

Następnie Buckley chwycił M16 i wcisnął do rąk Ozziemu.

— Może pan powiedzieć, co to takiego?

— To broń znaleziona na miejscu popełnienia przestępstwa.

— Kto ją znalazł?

— Ja.

— Co pan z nią zrobił?

— Włożyłem do plastikowego worka, a następnie umieściłem w skrytce w więzieniu. Trzymałem ją pod kluczem do czasu przekazania panu Lairdowi z laboratorium kryminalistycznego w Jackson.

— Wysoki Sądzie, oskarżenie wnosi o zaliczenie broni, dowód rzeczowy numer S trzynaście, do materiałów dowodowych! — wykrzyknął Buckley, dziko potrząsając karabinem.

— Nie zgłaszamy sprzeciwu — odpowiedział Jake.

— Oskarżenie nie ma więcej pytań do świadka — oznajmił Buckley.

— Czy obrona ma pytania do świadka?

Jake zajrzał do notatek, zmierzając wolnym krokiem w stronę podium.

— Szeryfie, czy aresztował pan Billy'ego Raya Cobba i Pete'a Willarda?

Buckley odsunął krzesło, przesunął swoją obfitą figurę bliżej krawędzi i naszykował się, żeby skoczyć na równe nogi, jeśli trzeba, z gromkim okrzykiem.

— Tak, aresztowałem — odpowiedział szeryf.

— Z jakiego powodu?

— Popełnienia gwałtu na Tonyi Hailey — odparł jak należy Walls.

— Ile miała lat w chwili popełnienia gwałtu przez Cobba i Willarda?

— Dziesięć.

— Szeryfie, czy to prawda, że Willard podpisał przyznanie się...

— Sprzeciw! Sprzeciw! Wysoki Sądzie! Pan Brigance wie, że to niedopuszczalne!

— Podtrzymuję sprzeciw.

Buckley cały dygotał.

— Proszę o usunięcie tego pytania ze stenogramu i pouczenie sędziów przysięgłych, aby nie brali go pod uwagę.

— Wycofuję pytanie — powiedział Jake, uśmiechając się do Buckleya.

— Proszę nie uwzględniać ostatniego pytania pana Brigance'a — pouczył przysięgłych Noose.

— Czy oskarżenie ma więcej pytań, panie Buckley?

— Nie, Wysoki Sądzie.

— Szeryfie, może pan odejść.

Kolejnym świadkiem Buckleya był specjalista od odcisków palców z Waszyngtonu, który przez godzinę prawił sędziom przysięgłym o tym, o czym wiedzieli od tygodni. Jego dramatyczna konkluzja nieomylnie łączyła odciski znalezione na M16 z odciskami Carla Lee Haileya. Później na ławie świadków zasiadł ekspert od balistyki ze stanowego laboratorium kryminalistycznego i złożył opinię równie nudną i niewnoszącą niczego nowego jak zeznanie jego kolegi. Tak, bez wątpienia pociski znalezione na miejscu zbrodni zostały wystrzelone z M16 leżącego na tym stole. Była to jego ostateczna opinia poparta tabelami i rysunkami. Buckley potrzebował godziny, aby przekazać ją przysięgłym. Jake nazywał to prokuratorską nadgorliwością — rodzajem debilizmu, na który cierpią wszyscy

oskarżyciele.

Obrona nie miała pytań do żadnego z ekspertów, więc o siedemnastej piętnaście Noose pożegnał przysięgłych surowym napomnieniem, aby nie rozmawiali o sprawie. Ci uprzejmie skinęli głowami, wychodząc z sali sądowej. Wtedy Noose stuknął sędziowskim młotkiem i odroczył rozprawę do dziewiątej rano następnego dnia.

Rozdział 36

Fakt, że zasiadanie w ławie przysięgłych jest zaszczytem, szybko został zapomniany. Drugiej nocy z motelu Temple Inn usunięto telefony. Na polecenie sędziego. Biblioteka w Clanton przekazała stare czasopisma, które krążyły wśród przebywających w odosobnieniu i szybko trafiały do kosza. Odnotowano niewielkie zainteresowanie „New Yorkerem", „Smithsonianem" i „Architectural Digest".

— Nie masz żadnego „Penthouse'a"? — szepnął do woźnego sądowego Clyde Sisco, gdy ten obchodził pokoje. Nie, ale zobaczy, co da się zrobić.

Uwięzieni w swoich pokojach, pozbawieni telewizora, gazet i telefonów, mogli jedynie grać w karty i rozmawiać o procesie. Wyprawa na koniec korytarza po lód i coś do picia stała się wyjątkowym wydarzeniem, czymś, co lokatorzy pokojów planowali i wykonywali na zmianę. Doskwierała im nuda.

Pogrążonych w mroku i ciszy pokojów strzegli dwaj żołnierze ustawieni na końcach korytarza. Ciszę przerywało jedynie regularne pojawianie się sędziów przysięgłych, którzy łazili na zmianę po napoje.

Kładli się wcześnie spać, a gdy strażnicy pukali do drzwi o szóstej rano, wszyscy już zdążyli wstać, a niektórzy byli nawet ubrani. Pochłonęli czwartkowe śniadanie złożone z naleśników i kiełbasek i ochoczo weszli do greyhounda, aby o ósmej wyruszyć w drogę powrotną do motelu.

⅄ ⅄ ⅄

Czwarty raz z rzędu o ósmej rano rotunda była pełna ludzi. Publiczność nauczyła się, że o ósmej trzydzieści wszystkie miejsca siedzące są zajęte. Prather otworzył drzwi i tłum zaczął się wolno przesuwać przez bramkę z wykrywaczem metali, by pod czujnym okiem funkcjonariuszy z biura szeryfa przejść na salę sądową. Czarni zajmowali miejsca z lewej strony, a biali z prawej. Pierwszy rząd został ponownie zarezerwowany przez Hastingsa dla Gwen, Lestera i dzieci oraz innych krewnych. Agee i pozostali członkowie Rady kościołów okupowali drugi rząd wraz z resztą rodziny oskarżonego, która nie zmieściła się w pierwszym. Agee na zmianę przydzielał duchownym obowiązki na sali sądowej i trawniku, gdzie demonstrowano poparcie dla Carla Lee. Osobiście wolał salę sądową, bo czuł się tam bezpieczniejszy, choć brakowało mu kamer i reporterów, którzy tak tłumnie gromadzili się na trawniku przed gmachem. Z prawej, po drugiej stronie przejścia, siedziały rodziny i przyjaciele ofiar. Do tej pory zachowywali się jak należy.

Kilka minut przed dziewiątą na salę wprowadzono pod eskortą Carla Lee, który przebywał w małym pokoiku dla zatrzymanych. Jeden z licznych funkcjonariuszy, którzy otaczali Haileya, zdjął mu kajdanki. Carl Lee uśmiechnął się szeroko do swojej rodziny i usiadł na swoim krześle. Prawnicy zajęli miejsca i na sali zapadła cisza. Woźny sądowy wytknął głowę przez drzwi za ławą przysięgłych i usatysfakcjonowany tym, co zobaczył, otworzył je na całą szerokość, wpuszczając wspomnianych, aby zajęli wyznaczone im miejsca. Pan Pate obserwował sytuację z drzwi prowadzących do gabinetu sędziego.

Kiedy wszystko było w idealnym porządku, wystąpił naprzód i zakrzyknął:

— Wstać! Sąd idzie!

Ikabod udrapowany w swoją ulubioną wygniecioną i spłowiałą czarną togę przyskoczył do ławy i polecił zebranym, aby usiedli. Przywitał sędziów przysięgłych i zapytał, co się wydarzyło lub nie od wczorajszego odroczenia.

Następnie przesunął wzrok na prawników.

— Gdzie jest pan Musgrove?

— Zjawi się nieco później, Wysoki Sądzie. Jesteśmy gotowi — odparł Buckley.

— Proszę wezwać następnego świadka — polecił Buckleyowi Noose.

Patolog ze stanowego laboratorium kryminalistycznego czekał w rotundzie i na wezwanie wszedł na salę. Zbyt zajęty, żeby przychodzić na każdą rozprawę, normalnie wysłałby jednego z podwładnych, aby wyjaśnił sędziom przysięgłym, co zabiło Cobba i Willarda. Jednak tym razem chodziło o sprawę Haileya, więc czuł się w obowiązku osobiście spełnić obowiązek. Szczerze mówiąc, był to najprostszy przypadek, z jakim miał w ostatnim czasie do czynienia. Ciała znaleziono tuż po śmierci ofiar. W pobliżu znajdowała się broń, a w biedaczyskach było tyle pocisków, że mogłyby kilkanaście razy pozbawić ich życia. Wszyscy na świecie wiedzieli, w jaki sposób zginęli, ale prokurator okręgowy nalegał na przedstawienie pełnej analizy patologicznej, więc w czwartkowy ranek doktor przybył do sądu obładowany zdjęciami z autopsji i wielobarwnymi tablicami anatomicznymi.

Wcześniej, podczas narady w gabinecie sędziego, Jake zaproponował proste stwierdzenie przyczyny śmierci, ale Buckley nie chciał o tym słyszeć. O nie, drogi panie. Chciał, żeby sędziowie przysięgli usłyszeli i dowiedzieli się, jak zginęli panowie Cobb i Willard.

— Przyznamy, że zginęli wskutek licznych ran postrzałowych

od pocisków wystrzelonych z M szesnaście — zaproponował precyzyjnie Jake.

— Nie, drogi panie. Mam prawo tego dowieść — uparł się Buckley.

— Przecież obrona zaproponowała, że zgodzi się w kwestii przyczyny śmierci — zdziwił się Noose.

— Mam prawo tego dowieść — nie ustępował Buckley.

No i dowiódł. Postawił na swoim, dając klasyczny przykład prokuratorskiej nadgorliwości. Przez bite trzy godziny patolog rozwodził się nad tym, ile pocisków przeszyło Cobba, a ile Willarda. Jakie skutki spowodowała każda z nich po przeniknięciu w głąb ciała i jakich potwornych spustoszeń dokonała. Na sztalugach ustawionych przed sędziami przysięgłymi umieszczono tablice anatomiczne, a specjalista patolog brał plastikowe, numerowane kulki przedstawiające pociski i powoli przesuwał je po makietach. Czternaście kulek dla Cobba i jedenaście dla Willarda. Buckley zadawał pytanie, dostawał odpowiedź, a następnie przerywał, aby podkreślić swoją myśl.

— Wysoki Sądzie, obrona zgadza się z oskarżeniem w sprawie przyczyny śmierci — co pół godziny oświadczał coraz bardziej sfrustrowany Jake.

— Odmawiamy! — ucinał krótko Buckley, sięgając po następną kulkę.

Jake opadał na krzesło, kręcił głową i spoglądał na sędziów przysięgłych. A przynajmniej na tych, którzy jeszcze nie zasnęli.

Lekarz skończył w południe, a Noose, zmęczony i otępiały z nudów, ogłosił dwugodzinną przerwę. Woźny sądowy obudził sędziów przysięgłych i zaprowadził ich do pokoju, gdzie zjedli potrawę z grilla podaną na plastikowych talerzykach, a następnie zaczęli grać w karty.

W każdym małym miasteczku na Południu mieszka dziecko, które chce szybko zarobić trochę grosza. W wieku pięciu lat

ustawia pierwszy stragan z lemoniadą na swojej ulicy, żądając dwudziestu pięciu centów za pół szklanki sztucznie zabarwionej wody. Wie, że napój ma ohydny smak, ale zdaje sobie sprawę, że dorośli uznają je za uroczą pociechę. Jako pierwsze kupuje na kredyt kosiarkę do trawników w Western Auto i w lutym puka do drzwi sąsiadów, proponując, że latem będzie wykonywać roboty na podwórku. Jako pierwsze płaci za własny rower, którego używa do tego, aby rano i po południu objeżdżać sąsiedztwo z gazetami. W sierpniu sprzedaje bożonarodzeniowe karty starszym paniom, a w listopadzie chodzi od drzwi do drzwi, proponując ciasto z owocami. W sobotę rano, kiedy jego rówieśnicy oglądają kreskówki, uwija się na pchlim targu za gmachem sądu, sprzedając prażone fistaszki i parówki w cieście. W wieku dwunastu lat ma już swojego bankiera i zdeponowane pieniądze. W wieku piętnastu lat nabywa za gotówkę nowego pick-upa, tego samego dnia zdając egzamin na prawo jazdy. Później kupuje przyczepę, aby napchać ją sprzętem do pielęgnacji trawników i ciągnąć za samochodem. Sprzedaje T-shirty na meczach futbolu w liceum. Jednym słowem jest kanciarzem, a w przyszłości będzie milionerem.

W Clanton wspomnianym dzieciakiem był Hinky Myrick. Lat szesnaście. Hinky czekał nerwowo w rotundzie, aż sędzia Noose ogłosi przerwę, a następnie minął funkcjonariuszy z biura szeryfa i wszedł na salę rozpraw. Miejsca siedzące były tak cenne, że niemal żaden z widzów, nie ośmielił się wyjść na lunch. Niektórzy wstawali, łypiąc gniewnie na sąsiadów, wskazując swoje miejsce i dbając o to, aby wszyscy wiedzieli, że jest ich własnością do końca dnia, oni zaś sami oddalają się tylko na chwilę do łazienki. Jednak większość siedziała na swoim drogocennym kawałku sądowej ławki, znosząc katusze przez cały lunch.

Hinky zwietrzył okazję. Bestia, potrafił dostrzec bliźniego w potrzebie. W czwartek, podobnie jak w środę, pchał między rzędami sklepowy wózek. Wspomniany wózek wypełniał szeroki

wybór kanapek i plastikowych pojemników z potrawami serwowanymi w porze lunchu. Zaczął wykrzykiwać, zachwalając towar, a następnie podawać pożywienie klientom. Sunął w ten sposób wolno od końca sali. Przypominał nikczemnego konika pod kinem. Kanapka z białego chleba i tuńczyka szła za dwa dolary, choć koszt przygotowania nie przekraczał osiemdziesięciu centów. Pojemnik z zimnym kurczakiem i kilkoma ziarenkami fasoli dochodził do trzech dolarów, chociaż Hinky wydał na niego dolara i dwadzieścia pięć centów. Napoje w puszce kosztowały półtora dolara. Mimo to ludzie chętnie płacili, ciesząc się, że utrzymają swoje miejsce. Sprzedał cały towar, zanim dotarł do czwartego rzędu, więc zaczął przyjmować zamówienia od pozostałych. Hinky był na fali.

Z garścią pełną zamówień wybiegł z sądu, smyrgnął trawnikiem, przedarł się przez tłum czarnych, a następnie wpadł do Coffee Shopu i Claude'a. Wbiegł do kuchni, wcisnął dwudziestodolarowy banknot kucharzowi i podał zamówienia. Później czekał, spoglądając na zegarek. Kucharz guzdrał się jak mucha w smole, więc Hinky wetknął mu kolejnego dwudziestaka.

Proces Haileya sprawił, że Claude zaczął prosperować w sposób, o jakim wcześniej nie marzył. Śniadania i lunche w jego małym lokalu stały się wydarzeniami, bo popyt znacznie przekraczał liczbę krzeseł, a wygłodniali klienci gromadzili się na chodniku, czekając w słońcu i skwarze na wolny stolik. W poniedziałek po przerwie na lunch biegał po całym Clanton, kupując każdy składany stolik do kart i krzesło ogrodowe, jakie mógł znaleźć. W porze lunchu przejścia między stolikami znikały, a jego kelnerki musiały się zwinnie uwijać między rzędami ludzi o czarnej skórze.

Jedynym tematem rozmów był proces. W środę ostro komentowano wybór sędziów przysięgłych. W czwartek rozmawiano o wzrastającej niechęci do prokuratora.

— Słyszałem, że facet zabiega o urząd gubernatora.

— Jest demokratą czy republikaninem?

— Demokratą.
— Nie wygra bez głosów czarnych. Nie w tym stanie.
— Taak, a po tym procesie niewiele ich zdobędzie.
— Mam nadzieję, że spróbuje.
— Gość zachowuje się bardziej jak republikanin.

Przed procesem południe w Clanton zaczynało się dziesięć minut przed dwunastą, kiedy młode, opalone, ładne i skąpo ubrane sekretarki z banków i firm prawniczych, agencji ubezpieczeniowych oraz sądu odchodziły od biurek i wylegały na ulice. W porze lunchu załatwiały różne sprawy na placu. Szły na pocztę, zaglądały do banku, robiły zakupy. Większość kupowała jedzenie w Chińskich Delikatesach i jadła na ławkach w parku, w cieniu drzew rosnących wokół sądu. Spotykały się z przyjaciółkami i plotkowały. W południe altana przed sądem przyciągała więcej pięknych kobiet niż ceremonia przyznania tytułu Miss Missisipi. W Clanton obowiązywała niepisana zasada, że każda dziewczyna z biura przy placu wychodzi w porze lunchu i nie musi wracać do roboty przed trzynastą. Mężczyźni zjawiali się o dwunastej i obserwowali dziewczyny.

Proces sprawił, że wszystko uległo zmianie. Cień przy drzewach wokół gmachu sądu zamienił się w strefę działań wojennych. Od jedenastej do trzynastej kawiarnie były pełne żołnierzy i obcych, którym nie udało się wepchnąć na salę sądową. Chińskie Delikatesy roiły się od zamiejscowych, więc dziewczęta z biura załatwiały sprawy, a później jadły przy biurku.

W Tea Shoppe bankierzy i inne białe kołnierzyki rozmawiali o procesie, koncentrując się na jego rozgłosie i tym, jak jest postrzegane ich miasteczko. Szczególnie martwiła ich obecność Ku-Klux-Klanu. Żaden z klientów nie znał nikogo, kto byłby powiązany z organizacją, która na północy Missisipi dawno temu poszła w zapomnienie, ale te sępy reporterzy uwielbiali białe szaty, a w oczach zewnętrznego świata Clanton w Missisipi stało się matecznikiem Ku-Klux-Klanu. Nienawidzili Klanu za to, że przyjechał do ich miasta, i przeklinali prasę za to, że ich

tu trzymała.

Na czwartkowy lunch Coffee Shop proponował specjalność zakładu w postaci schabowego z kością oraz kapusty z dodatkiem batatów i purée z kukurydzy lub smażonej okry. Dell serwowała te przysmaki tłoczącym się gościom, złożonym w równej części z miejscowych, obcych i żołnierzy. Niepisaną, ale ściśle przestrzeganą zasadą było, żeby nie rozmawiać z nikim, kto nosi brodę lub gada ze śmiesznym akcentem. Trzeba dodać, że przyjaźnie nastawieni ludzie czuli się dziwnie, nie mogąc się uśmiechać, a jednocześnie siedząc razem z przyjezdnymi. Arogancja wyrażająca się zaciśniętymi wargami dawno temu zastąpiła ciepłe przyjęcie, z jakim witano gości w pierwszych dniach po strzelaninie. Zbyt wielu łaknących rozgłosu dziennikarzy zdradziło swoich gospodarzy, drukując niegrzeczne, niepochlebne i niesprawiedliwe opinie o okręgu Ford i jego mieszkańcach. Sępy były zdumione, jak tamci mogli przybywać hordami z całego kraju i w ciągu doby stawać się ekspertami od miejsca, o którym nigdy wcześniej nie słyszeli, oraz ludzi, których nigdy nie poznali.

Miejscowi patrzyli, jak ganiają po placu niczym idioci, ścigając szeryfa, prokuratora lub obrońcę, każdego, kto mógł cokolwiek wiedzieć. Obserwowali, jak czają się z tyłu sądu niczym wilcza wataha, aby skoczyć na oskarżonego, niezmiennie otoczonego przez ludzi szeryfa, choć Carl Lee wciąż ignorował ich krzyki i śmieszne, powtarzane bez końca pytania. Obywatele Clanton przyglądali się z niesmakiem, jak sępy kierują swoje kamery na członków Klanu i co bardziej hałaśliwych czarnych, zawsze wyszukując najbardziej radykalne elementy, a następnie przedstawiają je jako normę.

Obserwowali ich i nienawidzili.

— Co to za pomarańczowe gówno na jej twarzy? — zapytał Tim Nunley, spoglądając na reporterkę siedzącą w boksie przy oknie. Jack Jones zgrzytnął zębami, gryząc swoją okrę, i przyjrzał się pomarańczowej buzi.

— Myślę, że to coś, czego używają, kiedy człowiek występuje przed kamerą. Sprawia, że w telewizorze twarz wydaje się biała.

— Przecież i bez tego jest biała.

— Wiem, ale w telewizorze nie będzie wyglądała jak biała, jeśli nie zostanie pomalowana na pomarańczowo.

Nunley nie dał się przekonać.

— Czego w takim razie używają czarni, gdy występują w telewizji? — zapytał.

Nikt nie znał odpowiedzi.

— Widziałeś babkę w telewizji wczoraj wieczorem? — spytał Jack Jones.

— Nie. Skąd jest?

— Kanał Czwarty z Memphis. Wczoraj wieczorem miała wywiad z matką Cobba. Naciskała, aż kobiecina się załamała. W telewizji cały czas pokazują, jak ludzie płaczą. Zaczynam dostawać mdłości. Przedwczoraj wieczorem zaprosiła jakiegoś członka Klanu z Ohio. Facet mówił, czego potrzebujemy tutaj w Missisipi. Ta baba jest najgorsza.

⅄ ⅄ ⅄

W czwartek po południu Buckley zakończył przedstawianie oskarżenia przeciwko Carlowi Lee. Po lunchu wezwał na świadka Murphy'ego. Mały biedaczyna jąkał się godzinę, składając zeznania. Dygotał ze strachu i przewracało mu się w brzuchu.

— Panie Murphy, proszę się uspokoić — powtarzał setny raz Buckley.

Murphy kiwał głową i brał do ust łyk wody. Znów kiwał głową na potwierdzenie, a potem potrząsał nią, żeby zaprzeczyć, nie bacząc na to, że protokolantka sądowa mozoli się, aby to wszystko zanotować.

— Nie zrozumiałam — mówiła, odwrócona plecami do ławy dla świadków.

Murphy starał się odpowiedzieć, ale przerywał w pół zdania,

zwykle na spółgłosce P lub T. Bełkotał coś, a później jąkał się i nieskładnie seplenił.

— Nie zrozumiałam. — Rozkładała bezradnie ręce, kiedy Murphy skończył. Buckley wzdychał, a sędziowie przysięgli kołysali się na krzesłach z wściekłości. Połowa sali gryzła paznokcie.

— Mógłby pan powtórzyć? — prosił Buckley z całą cierpliwością, na jaką potrafił się zdobyć.

— Prze... prze... przepraszam — powtarzał Murphy. Jednym słowem był godny pożałowania.

W końcu ustalono, że pił colę na tylnych schodach prowadzących do gmachu sądu, zwrócony twarzą w kierunku stopni, na których zabito Cobba i Willarda. Dostrzegł czarnoskórego mężczyznę wyglądającego z małego pokoiku, w odległości dwunastu metrów od siebie. Nie zwrócił na niego większej uwagi. Później tamci zeszli na dół, a czarny wyskoczył i otworzył ogień. Krzyczał i się śmiał. Kiedy przestał strzelać, rzucił karabin i odszedł. Tak, to ten człowiek. Ten, który tam siedzi. Czarny.

Mało brakowało, a Noose wyskrobałby otwory w swoich szkłach, słuchając Murphy'ego. Kiedy Buckley usiadł, Wysoki Sąd spojrzał z rozpaczą na Jake'a.

— Czy obrona ma pytania do świadka? — spytał z wyraźnym bólem.

Jake podniósł się z notatnikiem w ręku. Protokolantka sądowa posłała mu groźne spojrzenie, Harry Rex syknął ostrzegawczo, a Ellen zamknęła oczy. Sędziowie przysięgli wykręcali ręce, spoglądając na niego z napięciem.

— Nie rób tego — szepnął stanowczo Carl Lee.

— Nie, Wysoki Sądzie. Nie mamy pytań do świadka.

— Dziękuję, panie Brigance — odrzekł sędzia Noose, odzyskując oddech.

Następnym świadkiem był funkcjonariusz Rady, śledczy z biura szeryfa. Śledczy Rady poinformował przysięgłych, że

znalazł puszkę po royal crown coli w składziku przy schodach, a na niej odciski pasujące do odcisków palców Carla Lee Haileya.

— Pełną czy pustą? — spytał dramatycznie Buckley.

— Całkowicie pustą.

Wielka sprawa, pomyślał Jake. Carlowi Lee chciało się pić. Oswald zjadł na obiad kurczaka, czekając na Kennedy'ego. Nie, nie miał pytań do świadka.

— Został nam tylko jeden świadek, Wysoki Sądzie — oświadczył prokurator okręgowy z nutką nieodwracalności w głosie. Dochodziła szesnasta. — Oskarżenie wzywa na świadka funkcjonariusza DeWayne'a Looneya.

Looney wszedł na salę, opierając się na lasce. Stanął w ławie dla świadków, odpiął kaburę z pistoletem i podał ją panu Pate'owi.

Buckley spojrzał na niego z dumą.

— Byłby pan łaskaw podać nazwisko, proszę pana?

— DeWayne Looney.

— Adres?

— Bennington Street czternaście sześćdziesiąt osiem, Clanton Missisipi.

— Wiek?

— Trzydzieści dziewięć lat.

— Gdzie pan pracuje?

— W biurze szeryfa okręgu Ford.

— Czym się pan zajmuje?

— Pracuję jako dyspozytor.

— Co pan robił w poniedziałek dwudziestego maja?

— Miałem służbę.

— Był pan na służbie?

— Tak. Przewoziłem dwóch podejrzanych z aresztu szeryfa do sądu i z powrotem.

— Jak się nazywali?

— Billy Ray Cobb i Pete Willard.

— O której godzinie wyprowadził ich pan z sali rozpraw?

— Około trzynastej trzydzieści.

— Kto był z panem na służbie?

— Funkcjonariusz Prather. Byliśmy odpowiedzialni za dwóch podejrzanych. Na sali sądowej pomagali nam inni funkcjonariusze, a przed budynkiem czekało dwóch lub trzech kolejnych, ale odpowiadaliśmy szeryf i ja.

— Co się wydarzyło po zakończeniu przesłuchania?

— Natychmiast skuliśmy Cobba i Willarda i wyprowadziliśmy z sali. Zaprowadziliśmy ich do małego pomieszczenia obok i odczekaliśmy jedną lub dwie sekundy. Później Prather zszedł na dół.

— Co się wtedy stało?

— Zaczęliśmy schodzić tylnymi schodami. Pierwszy szedł Cobb, za nim Willard, a na końcu ja. Jak powiedziałem, Prather zszedł już na dół. Czekał na zewnątrz przy drzwiach.

— Rozumiem. Co było później?

— Kiedy Cobb znalazł się niemal na dole schodów, wybuchła strzelanina. Byłem wtedy na podeście, szykując się, żeby zejść na dół. W pierwszej chwili nikogo nie dostrzegłem. Później wyskoczył pan Hailey, strzelając z karabinu. Cobb runął do tyłu na Willarda. Obaj upadli na podłogę, krzycząc z przerażenia. Próbowali się cofnąć w moją stronę.

— Rozumiem, proszę pana. Proszę opisać, co pan widział.

— Słyszałem pociski odbijające się rykoszetem od ścian. Padały wokół mnie. To był najgłośniejszy karabin, jaki w życiu słyszałem. Miałem wrażenie, jakby Hailey strzelał bez końca. Tamci zwinęli się z bólu i osunęli na ziemię. Krzyczeli i jęczeli. Jak pan wie, byli skuci kajdankami.

— Tak. Co się z panem stało?

— Mówiłem już wcześniej, że dotarłem do podestu, ale nie zdążyłem zejść niżej. Myślę, że jeden z pocisków odbił się rykoszetem i trafił mnie w nogę. Próbowałem się wycofać na górę, ale poczułem ból w nodze.

— Co się stało z pana nogą?

— Została częściowo amputowana — wyjaśnił rzeczowo

Looney, jakby co miesiąc chodził na zabieg amputacji. — Poniżej kolana.

— Czy zdążył się pan przyjrzeć człowiekowi z karabinem?

— Tak, proszę pana.

— Może pan go zidentyfikować dla sędziów przysięgłych?

— Tak, proszę pana. To pan Hailey, człowiek, który siedzi na ławie oskarżonych.

Odpowiedź wydawała się logicznym zakończeniem zeznań Looneya. Świadek wypowiadał się zwięźle, rzeczowo i życzliwie, umożliwiając pozytywną identyfikację. Do tej pory sędziowie przysięgli słuchali każdego jego słowa. Jednak Buckley i Musgrove wyciągnęli duże plansze przedstawiające gmach sądu i umieścili je przed nimi, aby Looney mógł jeszcze chwilę pokuśtykać po sali. Pod kierunkiem Buckleya opisał ruchy wszystkich uczestników zdarzenia na chwilę przed zabójstwem.

Jake potarł czoło i uszczypnął się w nasadę nosa. Noose dmuchnął i przeczyścił szkła, a przysięgli zaczęli się niespokojnie wiercić na krzesłach.

— Czy ma pan pytania do świadka, panie Brigance? — spytał w końcu Noose.

— Tak, ale tylko parę — odrzekł Jake, kiedy Musgrove oczyścił pole po ataku oskarżenia.

— Panie Looney, na kogo patrzył Carl Lee podczas strzelaniny?

— Na tamtych, o ile pamiętam.

— Czy choć raz spojrzał na pana?

— Cóż, nie próbowałem nawiązać kontaktu wzrokowego. Szczerze mówiąc, poruszałem się w przeciwną stronę.

— Zatem nie celował do pana?

— Nie. Mierzył w tamtych. Trafił obu.

— Co robił, kiedy strzelał?

— Wrzeszczał i śmiał się jak wariat. Była to najdziwniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem, jakby był szaleńcem, czy coś w tym rodzaju. Do dziś pamiętam, jak ponad tym całym

zgiełkiem zanosił się oszalałym śmiechem wśród huku wystrzałów, świstu kul i krzyków trafionych.

Odpowiedź była tak idealna, że Jake z trudem opanował uśmiech. On i Looney pracowali nad tym setki razy, a teraz wypadło po prostu znakomicie. Każde słowo było doskonałe. Jake zaczął gorączkowo wertować kartki notatnika, popatrując na przysięgłych, którzy z zapartym tchem wpatrywali się w Looneya, oczarowani jego odpowiedzią. Jake coś zanotował, wszystko jedno co, cokolwiek, tylko po to, żeby zyskać kilka sekund przed zadaniem najważniejszego pytania procesu.

— Panie Looney, czy Carl Lee Hailey postrzelił pana w nogę?

— Tak, proszę pana.

— Myśli pan, że zrobił to celowo?

— Nie, proszę pana. Sądzę, że był to przypadek.

— Czy chce pan, żeby został za to ukarany?

— Nie, proszę pana. Nie chowam do niego urazy. Na jego miejscu postąpiłbym tak samo.

Buckley rzucił długopis na biurko i osunął się na krześle. Spojrzał ponuro na swojego koronnego świadka.

— Jak mamy to rozumieć?

— Nie winię go za to, co zrobił. Ci ludzie zgwałcili jego małą córeczkę. Sam mam małą córeczkę. Gdyby ktoś ją zgwałcił, byłby trupem. Rozwaliłbym drania, tak jak to zrobił Carl Lee. Powinniśmy dać mu nagrodę.

— Chce pan, żeby sędziowie przysięgli skazali Carla Lee?

Buckley skoczył na równe nogi i ryknął:

— Sprzeciw! Sprzeciw! To niewłaściwe pytanie!

— Nie! — odkrzyknął Looney. — Nie chcę, żeby go skazano! To bohater! On...

— Proszę nie udzielać odpowiedzi, panie Looney! — upomniał go głośno Noose.

— Sprzeciw! Sprzeciw! — pienił się Buckley, stając na palcach.

— Hailey to bohater! Wypuśćcie go! — wrzasnął do Buckleya

Looney.

— Spokój! Spokój! — Sędzia Noose stuknął młotkiem.

Buckley zamilkł, Looney ucichł jak trusia, a Jake podszedł do jego krzesła i powiedział:

— Wycofuję to pytanie.

— Proszę nie uwzględniać ostatnich słów świadka — pouczył przysięgłych Noose.

Looney uśmiechnął się do sędziów przysięgłych i wykuśtykał z sali.

— Oskarżenie może wezwać następnego świadka — oznajmił Noose, zdejmując okulary.

Buckley wolno się dźwignął i z ogromnym wysiłkiem dramatycznie oświadczył:

— Wysoki Sądzie, oskarżenie nie ma więcej świadków.

— Rozumiem — odrzekł Noose, spoglądając na Jake'a. — Jak sądzę, chciałby pan złożyć jeden lub dwa wnioski, panie Brigance.

— Tak, Wysoki Sądzie.

— Dobrze. Zajmiemy się tym w moim gabinecie.

Noose zwolnił sędziów przysięgłych, udzielając im tej samej przestrogi na rozstanie co poprzedniego dnia i przekładając rozprawę do dziewiątej w piątek rano.

Rozdział 37

Jake obudził się w ciemności z uczuciem lekkiego kaca — bólem głowy wywołanym zmęczeniem oraz konsumpcją piwa marki Coors, a także dalekim, choć nieomylnym wrażeniem, że dzwonek do drzwi nieprzerwanie dzwoni, wciśnięty do oporu dużym, pełnym determinacji kciukiem. Otworzył drzwi w nocnej koszuli, próbując skupić wzrok na dwóch postaciach stojących na werandzie. W końcu ustalił, że to Ozzie i Nesbit.

— Czym mogę służyć? — spytał, otwierając drzwi. Weszli za nim do salonu.

— Dzisiaj będą próbowali cię zabić — oświadczył Ozzie.

Jake usiadł na kanapie, masując skronie.

— Może im się uda.

— To poważna sprawa, Jake. Planują cię zabić.

— Kto?

— Ku-Klux-Klan.

— Dzwonił Myszka Mickey?

— Taak. Zadzwonił wczoraj i powiedział, że coś się kroi. Odezwał się drugi raz dwie godziny temu i stwierdził, że jesteś szczęściarzem. Mają dzisiaj wielki dzień. Czas na trochę emocji.

Rano chowają Stumpa Sissona w Loydsville. Postanowili zareagować zgodnie z zasadą oko za oko, ząb za ząb.

— Dlaczego właśnie ja? Czemu nie zabiją Buckleya albo Noose'a? Albo kogoś innego, kto bardziej na to zasłużył?

— Nie mieliśmy okazji o tym pogadać.

— Jaka będzie metoda egzekucji? — spytał Jake, czując się nagle niezręcznie w piżamie.

— Nie powiedział.

— Nie wie?

— Facet nie podaje zbyt wielu szczegółów. Ograniczył się do stwierdzenia, że dziś będą próbowali cię zabić.

— Co mam robić? Poddać się?

— O której jedziesz do biura?

— A która jest godzina?

— Dochodzi piąta.

— Jak tylko wezmę prysznic i się ubiorę.

— Zaczekamy.

O piątej trzydzieści wepchnęli go do kancelarii i zamknęli drzwi. O ósmej pluton żołnierzy zebrał się na chodniku pod balkonem, czekając, aż pojawi się jakiś cel ataku. Harry Rex i Ellen przyglądali się temu z drugiego piętra sądu. Jake wcisnął się między Ozziego i Nesbita, i cała trójka przykucnęła pośrodku zwartej formacji. Ruszyli Washington Street w kierunku sądu. Sępy wyczuły, że coś się święci, i otoczyły mały orszak.

Opuszczony młyn stał w pobliżu nieużywanych torów kolejowych w połowie wysokości najwyższego wzgórza w Clanton, dwie przecznice na północny wschód od placu. Obok biegła w dół zaniedbana asfaltowo-żwirowa uliczka, krzyżująca się z Cedar Street. Za skrzyżowaniem stawała się znacznie równiejsza i szersza i łączyła się z Quincy Street wyznaczającą wschodnią granicę placu w Clanton.

Ze swojej pozycji we wnętrzu porzuconego silosu snajper

miał czysty, choć daleki widok na tyły sądu. Przykucnął w ciemności i wycelował przez mały otwór, pewny, że nikt na świecie nie zdoła go dostrzec. Whiskey wzmocniła pewność siebie i celność, którą przećwiczył tysiące razy od siódmej trzydzieści do ósmej, kiedy zauważył ożywienie wokół kancelarii tego wrednego prawnika czarnuchów.

Jego kumpel czekał w pick-upie ukrytym w zniszczonym magazynie obok silosu. Silnik pracował, a kierowca palił jednego po drugim papierosy marki Lucky Strike, czekając z niepokojem na charakterystyczny odgłos wystrzału sztucera na jelenie.

Kiedy uzbrojona gromada ruszyła Washington Street, snajper spanikował. Przez lunetę ledwie widział łeb obrońcy czarnuchów, kiwający się i kołyszący dziwacznie pośród otaczającego go morza zieleni. Za małą grupką podążało kilkunastu chciwych sensacji reporterów. Śmiało, zachęcała whiskey. Wywołaj trochę emocji. Wczuł się w rytm kiwania i kołysania najlepiej, jak potrafił, a następnie pociągnął spust, kiedy cel podszedł do tylnych drzwi sądu.

Wystrzał sztucera był cichy, ale nie do pomylenia z niczym innym.

Połowa żołnierzy upadła na ziemię i poturlała się po trawie, a druga chwyciła Jake'a i wepchnęła go pod werandę. Jeden z żołnierzy jęknął z bólu. Reporterzy i ekipy telewizyjne przykucnęli. Potykali się, ale dziarsko filmowali, żeby zarejestrować jatkę. Żołnierz chwycił się za gardło i stęknął. Padł kolejny strzał, a po nim następny.

— Oberwał! — krzyknął któryś. Żołnierze ruszyli na czworakach w kierunku rannego kolegi. Jake wbiegł do bezpiecznej kryjówki we wnętrzu sądu. Runął na podłogę obok tylnego wyjścia i ukrył głowę w dłoniach. Ozzie stanął obok, obserwując żołnierzy przez otwarte drzwi.

Snajper wypadł z silosu, rzucił sztucer na tylne siedzenie i odjechał ze swym kamratem, znikając wśród wiejskiego krajobrazu. Musieli być na pogrzebie w południowej części

Missisipi.

— Dostał w gardło! — krzyknął jeden z żołnierzy do kumpli, którzy przepychali się przez tłum reporterów. Podnieśli go z ziemi i zanieśli do jeepa.

— Kogo trafili? — zapytał Jake, nie zdejmując dłoni z oczu.

— Jednego z żołnierzy — odparł Ozzie. — Nic ci nie jest?

— Chyba nie — odpowiedział, opuszczając dłonie na potylicę i gapiąc się w podłogę. — Gdzie moja teczka?

— Na dworze. Na podjeździe. Za minutkę ją przyniesiemy. — Ozzie sięgnął po krótkofalówkę u pasa, wydając polecenia dyspozytorowi, a później swoim ludziom w gmachu sądu.

Kiedy stało się jasne, że strzelanina dobiegła końca, Ozzie przyłączył się do gromady żołnierzy na zewnątrz. Nesbit został obok Jake'a.

— Wszystko w porządku? — spytał.

Zza rogu wypadł pułkownik, wrzeszcząc i przeklinając.

— Co się stało, do cholery?! — zapytał. — Słyszałem strzały!

— Mackenvale oberwał.

— Gdzie jest? — warknął dowódca.

— Wiozą go do szpitala — odrzekł sierżant, wskazując jeepa podskakującego w oddali.

— W jakim jest stanie?

— Kiepsko wygląda. Oberwał w gardło.

— W gardło?! Czemu go ruszyli?!

Nie usłyszał odpowiedzi.

— Czy ktoś coś widział? — spytał pułkownik.

— Wygląda, że strzelali ze wzgórza — powiedział Ozzie, spoglądając w górę, za Cedar Street. — Moglibyście wysłać tam jeepa, żeby się rozejrzeć.

— Dobry pomysł.

Pułkownik rzucił swojej ochoczej gromadce kilka zwięzłych komend przerywanych na chybił trafił serią przekleństw. Żołnierze wyciągnęli broń i rozbiegli się na wszystkie strony, gotowi do walki, szukając zabójcy, którego nie potrafili

zidentyfikować. Snajper był już na terenie sąsiedniego okręgu, kiedy pieszy patrol zaczął badać opuszczony młyn.

Ozzie postawił teczkę na podłodze obok Jake'a.

— Nic mu nie jest? — szepnął do Nesbita. Harry Rex i Ellen stali na schodach, tam gdzie upadli Cobb i Willard.

— Nie mam pojęcia. Od dziesięciu minut się nie poruszył — odrzekł Nesbit.

— Jake, wszystko w porządku? — zapytał szeryf.

— Tak — wyjąkał powoli, nie otwierając oczu. Ranny żołnierz znajdował się na lewo od niego. „To jakieś jaja, co?", zdążył powiedzieć do Jake'a, zanim kula przeszyła mu gardło. Wpadł na niego, łapiąc się za szyję, gulgocząc krwią i krzycząc z bólu. Jake runął na ziemię i został odciągnięty w bezpieczne miejsce.

— On nie żyje, prawda? — wyszeptał cicho Jake.

— Nie wiemy — odpowiedział Ozzie. — Zawieźli go do szpitala.

— On nie żyje. Wiem, że nie żyje. Słyszałem chrupnięcie kręgosłupa.

Ozzie spojrzał na Nesbita, a później przesunął wzrok na Harry'ego Rexa. Na jasnoszarym garniturze Jake'a widać było cztery lub pięć plam krwi wielkości monety. On sam jeszcze ich nie zauważył, ale wszyscy pozostali doskonale je widzieli.

— Masz krew na garniturze, Jake — rzekł w końcu Ozzie. — Chodźmy do kancelarii, żebyś mógł się przebrać.

— Jakie to ma znaczenie? — wymamrotał Jake do podłogi. Spojrzeli po sobie.

Dell i pozostali goście Coffee Shopu wyszli na chodnik, patrząc, jak wyprowadzają Jake'a z sądu, przechodzą przez ulicę i znikają w kancelarii, ignorując bzdury wygadywane przez reporterów. Harry Rex zamknął drzwi, pozostawiając ochronę na chodniku. Jake wszedł na górę i zdjął marynarkę.

— Row Ark, mogłabyś przygotować margaritę? — zapytał Harry Rex. — Pójdę na górę i z nim posiedzę.

⅄ ⅄ ⅄

— Panie sędzio, mieliśmy trochę emocji — oznajmił Ozzie, kiedy Noose rozpakowywał teczkę i zdejmował marynarkę.

— Co się stało? — zapytał Buckley.

— Dziś rano próbowali zabić Jake'a.

— Co?!

— Kiedy? — spytał Buckley.

— Przed godziną. Ktoś strzelił do niego, kiedy wchodził do sądu. Z dużej odległości. Nie mamy pojęcia, kto to zrobił. Nie trafili Jake'a, ale strażnik oberwał. W tej chwili go operują.

— Gdzie jest Jake? — zapytał Wysoki Sąd.

— W swojej kancelarii. Przeżył szok.

— Nie dziwię się — odrzekł współczująco Noose.

— Prosił, żeby pan do niego zadzwonił, kiedy dotrze pan do sądu.

— Oczywiście.

Ozzie wykręcił numer i wręczył sędziemu słuchawkę.

— To Noose — powiedział Harry Rex, podając aparat Jake'owi.

— Słucham.

— Nic ci nie jest, Jake?

— Niezupełnie. Nie przyjdę dziś do sądu.

Noose miał problem ze zrozumieniem odpowiedzi.

— Co?!

— Powiedziałem, że nie przyjdę do sądu.

— No cóż, a co z nami?

— Szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodzi — odrzekł Jake, sącząc drugą margaritę.

— Przepraszam?

— Powiedziałem, że nic mnie to nie obchodzi, panie sędzio. Nie obchodzi mnie, co pan zrobi. Nie przyjdę do sądu.

Noose pokręcił z niedowierzaniem głową i spojrzał na słuchawkę.

— Jesteś ranny? — spytał współczująco.

— Czy kiedykolwiek do pana strzelano, panie sędzio?

— Nie, Jake.

— Czy widział pan, jak postrzelono człowieka? Słyszał jego krzyk?

— Nie, Jake.

— Czy zdarzyło się, aby czyjaś krew obryzgała panu garnitur?

— Nie, Jake.

— Nie zjawię się dziś w sądzie.

Noose pomyślał chwilę.

— Przyjdź do nas, Jake. Pomówimy o tym.

— Nie. Nie ruszę się z kancelarii. Tam jest niebezpiecznie.

— A jeśli ogłosimy przerwę do trzynastej? Może poczujesz się lepiej?

— Do tego czasu będę pijany.

— Co?!

— Powiedziałem, że do tego czasu będę pijany.

Harry Rex zasłonił oczy, a Ellen wyszła do kuchni.

— Jak sądzisz, kiedy wytrzeźwiejesz? — zapytał surowo Noose. Ozzie i Buckley spojrzeli na siebie.

— W poniedziałek.

— A jutro?

— Jutro jest sobota.

— Tak, wiem o tym. Planowałem, że jutro wznowię rozprawę. Sędziowie przysięgli przebywają w odosobnieniu, zapomniałeś?

— W porządku. Jutro rano będę gotów.

— Miło to słyszeć. Co mam powiedzieć sędziom przysięgłym? Siedzą w swoim pokoju i na nas czekają. Sala rozpraw pęka w szwach. Twój klient siedzi i na ciebie czeka. Co mam powiedzieć ludziom?

— Na pewno pan coś wymyśli, panie sędzio. Wierzę w pana. — Jake zakończył połączenie. Noose nasłuchiwał z niewiarą, aż stało się jasne, że go rozłączono. Oddał telefon Ozziemu.

Wysoki Sąd wyjrzał przez okno i zdjął okulary.

— Mówi, że dziś nie przyjdzie.

O dziwo, nawet Buckley się nie odezwał.

Ozzie wystąpił w obronie przyjaciela.

— Jake bardzo to przeżył, panie sędzio.

— Był pijany?

— Nie, nie Jake — odrzekł Ozzie. — Jest wstrząśnięty z powodu chłopaka, który oberwał. Stał obok. Dostał kulkę, która była przeznaczona dla Jake'a. Każdy byłby wstrząśnięty, panie sędzio.

— Chce, żeby przedłużyć przerwę do jutra rana — oznajmił Noose Buckleyowi, który ponownie nie wyrzekł ani słowa.

Kiedy wiadomość o próbie zamachu się rozeszła, na chodniku przed kancelarią Jake'a powstało istne wesołe miasteczko. Przedstawiciele mediów rozłożyli się obozem i nie spuszczali oczu z frontowego okna w nadziei, że zobaczą kogoś lub coś godnego uwagi. Przyjaciele Jake'a przystawali, aby sprawdzić, jak się miewa, a reporterzy informowali ich, że adwokat zamknął się w środku i nie wychodzi. Nie, nie został ranny.

W piątek rano miał zeznawać doktor Bass. Kilka minut po dziesiątej psychiatra i Lucien weszli do kancelarii tylnymi drzwiami, a Harry Rex wyruszył do sklepu monopolowego.

Rozmowa z płaczącą cały czas Carlą okazała się trudna. Zadzwonił do niej po trzech drinkach i nie poszło mu dobrze. Zamienił słówko z jej ojcem, mówiąc, że był bezpieczny, że nie został ranny i że chroni go połowa Gwardii Narodowej stanu Missisipi. Spróbuj ją uspokoić, powiedział, obiecując, że zadzwoni później.

Lucien wpadł w furię. Walczył z Bassem całą czwartkową noc, żeby psychiatra się nie upił i mógł zeznawać w piątek. Okazało się, że posiedzenie przełożono na sobotę, a nie było mowy, żeby Bass był trzeźwy dwa dni z rzędu. Myślał o gorzale, której nie wypili w czwartek, i był wściekły.

Harry Rex wrócił z galonem mocnego trunku. On i Ellen poszli mieszać drinki i kłócić się o właściwe proporcje składników. Row Ark opłukała dzbanek na kawę i napełniła koktajlem Krwawej Mary z dużą ilością szwedzkiej wódki. Harry Rex dodał słuszną porcję tabasco. Kręcił się po sali konferencyjnej, napełniając kubki cudowną miksturą.

Doktor Bass wypił duszkiem i zamówił następną kolejkę. Lucien i Harry Rex debatowali na temat tego, kim był tajemniczy strzelec. Ellen patrzyła w milczeniu na Jake'a, który siedział w kącie i gapił się na książki.

Zadzwonił telefon. Harry Rex podniósł słuchawkę i słuchał uważnie. Po chwili odłożył ją na widełki i powiedział:

— Dzwonił Ozzie. Operacja zakończona. Kula utkwiła w kręgosłupie. Lekarze sądzą, że będzie sparaliżowany do końca życia.

Wychylili następną kolejkę jak na komendę, nie odzywając się do siebie. Starali się ignorować Jake'a, który pocierał ręką czoło i pił jednego drinka za drugim. Słaby dźwięk pukania do tylnych drzwi przerwał krótkie żałobne nabożeństwo.

— Zobacz, kto to — polecił Lucien i Ellen zeszła na dół, żeby sprawdzić.

— To Lester Hailey — oznajmiła, wróciwszy do sali konferencyjnej.

— Wpuść go — wymamrotał nieskładnie Jake.

Lester został przedstawiony zebranym i poczęstowany Krwawą Mary. Odmówił, prosząc o coś z whiskey.

— Dobry pomysł — powiedział Lucien. — Mam dość tej lury. — Skosztujmy jacka danielsa.

— Dobry pomysł — dodał Bass, dopijając resztę koktajlu.

Jake uśmiechnął się słabo do Lestera, a później wrócił do studiowania grzbietów książek. Lucien rzucił studolarowy banknot na stół, a Harry Rex wyruszył do monopolowego.

⅄ ⅄ ⅄

Ellen obudziła się kilka godzin później na kanapie w gabinecie Jake'a. Pokój był ciemny i opustoszały, przeniknięty ostrym, odurzającym zapachem. Poruszyła się ostrożnie. Jej szef spokojnie chrapał na podłodze w pokoju wojennym, częściowo ukryty pod stołem sztabowym. Nie musiała gasić światła, więc ostrożnie zeszła na dół. Sala konferencyjna była pełna pustych butelek, puszek po piwie, plastikowych kubków i pudełek po kurczaku. Była dwudziesta pierwsza trzydzieści. Ellen spała pięć godzin.

Mogła zostać u Luciena, ale musiała się przebrać. Jej przyjaciel Nesbit odwiózłby ją do Oxfordu, ale przecież była trzeźwa. Oprócz tego Jake potrzebował ochrony. Zamknęła frontowe drzwi i podeszła do samochodu.

Niemal dotarła do Oxfordu, kiedy z tyłu ujrzała niebieskie światła. Jechała jak zwykle sto dwadzieścia na godzinę. Zaparkowała na poboczu, wysiadła i podeszła do tylnych świateł. Sięgnęła do torebki po dokumenty i czekała na funkcjonariusza.

Od strony migających niebieskich świateł podeszło do niej dwóch mężczyzn ubranych po cywilnemu.

— Jest pani pijana? — spytał jeden z nich, wypluwając tabakę.

— Nie, proszę pana. Staram się znaleźć prawo jazdy.

Przykucnęła przed tylnymi światłami, szukając dokumentu. Nagle coś powaliło ją na ziemię. Narzucili na nią gruby koc i przycisnęli do jezdni. Owinęli sznurem klatkę piersiową i talię. Kopała i przeklinała, ale niewiele mogła zrobić. Pled zasłaniał jej głowę i blokował ramiona. Mocniej zacisnęli sznur.

— Zamknij się, dziwko! Cicho!

Jeden z nich wyjął kluczyki ze stacyjki jej bmw i otworzył bagażnik. Wrzucili ją do środka i zatrzasnęli pokrywę. Niebieskie światła zgasły i stary lincoln odjechał w asyście bmw. Skręcili w żwirową drogę i wjechali w głąb lasu. Po pewnym czasie żwirowa nawierzchnia zamieniła się w gruntową drogę prowadzącą na małą łąkę, gdzie kilku członków Klanu zapaliło duży krzyż.

Dwaj napastnicy szybko założyli szaty i maski, a następnie wywlekli Ellen z bagażnika. Rzucili ją na ziemię i ściągnęli pled. Związali ją i zakneblowali, a potem zawlekli do dużego słupa wbitego w ziemię parę metrów od krzyża i przywiązali twarzą do drzewca.

Zauważyła białe szaty i spiczaste czapki. Rozpaczliwie próbowała wypluć bawełnianą szmatę cuchnącą olejem, którą wepchnęli jej do ust. W rezultacie jedynie zaczęła się dławić i kaszleć.

Płonący krzyż oświetlał małą łąkę, wydzielając jasną falę gorąca, które zaczęło ją piec, gdy szarpała się na słupie, wydając dziwne gardłowe dźwięki.

Jedna z zakapturzonych postaci oddzieliła się od pozostałych i podeszła do niej. Słyszała jego kroki i oddech.

— Ty dziwko miłująca czarnuchów — powiedział z szeleszczącym akcentem mieszkańca Środkowego Zachodu. Chwycił za kołnierz jej białej jedwabnej bluzki i zaczął szarpać, aż zwisła w strzępach z szyi i ramion. Mocno przywiązali jej ręce do słupa. Mężczyzna wyciągnął duży myśliwski nóż i zaczął rozcinać resztki bluzki. — Ty dziwko miłująca czarnuchów! Dziwko miłująca czarnuchów!

Ellen rzuciła przekleństwo, ale słowa zamieniły się w stłumiony jęk.

Rozpiął jej granatową lnianą spódniczkę z prawej strony. Próbowała go kopnąć, niestety gruby sznur opleciony wokół kostek krępował jej ruchy. Umieścił czubek noża u dołu zamka błyskawicznego i rozciął brzeg. Chwycił spódniczkę w talii i zdarł jak magik. Członkowie Klanu przystąpili bliżej.

Klepnął ją w pośladek i powiedział:

— Ładny, bardzo ładny.

Cofnął się o krok, podziwiając swoje dzieło. Ellen stękała i zaczęła się szamotać, jednak była bezsilna. Halka zsunęła się jej do połowy uda. Z wielką ceremonią zsunął ramiączka biustonosza, a później przeciął go z tyłu. Zerwał go i cisnął

pod płonący krzyż. Ellen zaczęła się szarpać, jęcząc coraz głośniej. Milczący krąg mężczyzn przysunął się bliżej, stając w odległości trzech metrów.

Żar ognia się nasilił. Jej nagie plecy i nogi pokrył pot. Jasnorude włosy oplatały kark i opadały na ramiona. Mężczyzna ponownie sięgnął pod szatę i wyciągnął bykowiec. Strzelił nim głośno, powodując, że się wzdrygnęła. Wycofał się, starannie odmierzając odległość od słupa.

Kiedy odchylił bicz, mierząc w nagie plecy, wystąpił najwyższy z nich, odwrócony do niej plecami. Pokręcił głową. Bicz zniknął bez jednego słowa.

Podszedł do niej i chwycił ją za głowę, a następnie obciął włosy nożem. Odcinał całe kępy, aż jej fryzura stała się brzydka i pełna dziur. Pieczołowicie ułożył włosy u jej stóp. Ellen jęczała, ale się nie poruszała.

Wrócili do samochodów. Ktoś wylał galon benzyny do wnętrza bmw na numerach z Massachusetts, a ktoś inny rzucił zapałkę.

Kiedy upewnił się, że odjechali, Myszka Mickey wyszedł z krzaków, rozwiązał ją i zaniósł na małą polanę obok łąki. Później zebrał resztki ubrania, próbując ją okryć. Odszedł, kiedy bmw dopalało się obok gruntowej drogi. Pojechał do Oxfordu i zadzwonił z budki do szeryfa okręgu Lafayette.

Rozdział 38

W soboty rzadko odbywały się sesje sądu, choć i tak się zdarzało, szczególnie w sprawach zagrożonych karą śmierci, gdy sędziowie przysięgli przebywali w odosobnieniu. Uczestnicy rozprawy nie mieli nic przeciwko temu, bo sobota oznaczała, że proces szybciej się zakończy.

Miejscowi też nie mieli zastrzeżeń. Sobota była dniem wolnym od pracy, co stwarzało większości obywateli okręgu Ford jedyną okazję obserwowania procesu. Jeśli nie zdołali znaleźć wolnego miejsca, mogli przynajmniej włóczyć się po placu i oglądać wszystko na własne oczy. Kto wie, może ponownie dojdzie do strzelaniny.

O siódmej kawiarnie w centrum Clanton pękały w szwach, obsługując nietypowych gości. Na każdego klienta, który został nagrodzony miejscem przy stoliku, przypadali dwaj inni, których odprawiono z kwitkiem. Nie pozostało im nic innego, jak włóczyć się dookoła placu lub budynku sądu w oczekiwaniu na miejsce. Większość przystawała na chwilę przed kancelarią, mając nadzieję, że uda im się zobaczyć prawnika, którego próbowano zabić. Niektórzy przechwalali się, że są klientami tego sławnego prawnika.

Na piętrze, kilka metrów wyżej, obiekt ich zainteresowania siedział przy biurku, popijając krwistoczerwony napój, który pozostał z wczorajszego przyjęcia. Palił roi-tana, połykał tabletki od bólu głowy i zdejmował pajęczynę z szarych komórek. Zapomnij o żołnierzu, powtarzał sobie od trzech godzin. Zapomnij o Klanie. Zapomnij o groźbach. Zapomnij o wszystkim z wyjątkiem procesu, a konkretnie doktora W.T. Bassa. Zmówił nawet krótką modlitwę, żeby ów stanął trzeźwy w ławie dla świadków. Ich biegły i Lucien zostali do popołudnia, pijąc i wszczynając awantury, oskarżając się o to, że są pijani i zostali w niesławie wykluczeni ze swoich zawodów. Kiedy wychodzili, przy biurku Ethel doszło do przelotnego wybuchu przemocy. Nesbit interweniował, wsadzając obu panów do radiowozu, gdzie dalej się kłócili i przeklinali, Lucien z tyłu, a Bass z przodu.

Jake wyciągnął mistrzowskie opracowanie Ellen na temat niepoczytalności. Jej pytania dla Bassa wymagały tylko niewielkich poprawek. Przestudiował życiorys swojego biegłego, dochodząc do wniosku, że choć jest niezbyt imponujący, powinien wystarczyć w okręgu Ford. Najbliższy psychiatra znajdował się w odległości stu trzydziestu kilometrów.

⅄ ⅄ ⅄

Sędzia Noose popatrzył na prokuratora okręgowego i rzucił współczujące spojrzenie Jake'owi, który siedział obok drzwi, wpatrując się w wyblakły portret jakiegoś dawnego sędziego wiszący ponad ramieniem Buckleya.

— Jak się czujesz, Jake? — spytał ciepło Noose.

— W porządku.

— A co z żołnierzem? — zapytał Buckley.

— Sparaliżowany.

Noose, Buckley, Musgrove i pan Pate utkwili wzrok w tej samej plamie na dywanie i ponuro pokręcili głowami w cichej chwili zadumy.

— Gdzie twoja asystentka? — zapytał sędzia Noose,

spoglądając na zegar wiszący na ścianie.

Jake zerknął na zegarek.

— Nie wiem. Powinna już być.

— Jesteś gotowy?

— Oczywiście.

— Czy sala rozpraw gotowa, panie Pate?

— Tak, proszę pana.

— Doskonale, a zatem do dzieła.

Sędzia Noose zasiadł w swojej ławie i dziesięć minut rozwlekle przepraszał sędziów przysięgłych za wczorajsze opóźnienie. Byli jedynymi mieszkańcami okręgu Ford, którzy nie wiedzieli, co się stało w piątek rano, bo powiedzenie im o tym mogłoby zaszkodzić interesom którejś ze stron. Noose mówił monotonnym głosem o sytuacjach awaryjnych i o tym, że czasami w trakcie procesu różne rzeczy sprzysięgają się przeciwko nam, powodując opóźnienia. Kiedy skończył, sędziowie przysięgli byli kompletnie oszołomieni i modlili się, aby któraś ze stron wezwała pierwszego świadka.

— Obrona może wezwać pierwszego świadka — rzucił Noose w kierunku Jake'a.

— Obrona wzywa na świadka doktora W.T. Bassa — oznajmił Jake, przesuwając się w kierunku podium.

Buckley i Musgrove mrugnęli porozumiewawczo i wymienili głupawe uśmiechy.

Bass siedział obok Luciena w drugim rzędzie wśród członków rodziny Haileya. Podniósł się hałaśliwie i zaczął przesuwać w kierunku środkowego przejścia, nadeptując na nogi i poszturchując ludzi swoją potężną, pustą skórzaną teczką. Jake usłyszał poruszenie za plecami, nie przestając się uśmiechać do przysięgłych.

— Tak, tak — odpowiedział pospiesznie Bass, kiedy Jean Gillespie go zaprzysięgała.

Pan Pate zaprowadził go do ławy dla świadków, a następnie przekazał standardowe instrukcje, aby mówił głośno i używał

mikrofonu. Chociaż sponiewierany i oklapnięty, biegły Jake'a wyglądał na bardzo pewnego siebie i trzeźwego. Włożył swój najdroższy ciemnoszary wełniany garnitur szyty na miarę, białą idealnie wykrochmaloną koszulę i uroczą małą czerwoną muchę w tureckie wzory, która nadawała mu wygląd intelektualisty. Jednym słowem wyglądał jak ekspert w jakiejś dziedzinie. Założył również, wbrew obiekcjom Jake'a, jasnoszare kowbojskie buty ze skóry strusia, za które zapłacił ponad tysiąc dolarów i miał na sobie mniej niż dwanaście razy. Jedenaście lat temu Lucien uparł się, żeby miał je na sobie podczas pierwszej sprawy, w której powołali się na argument niepoczytalności. Bass posłuchał i całkowicie zdrowy psychicznie oskarżony powędrował do Parchman. Założył je ponownie, także na wyraźną prośbę Luciena, podczas drugiego procesu, gdy obrona chciała się powołać na niepoczytalność oskarżonego. Z podobnym skutkiem. Znowu Parchman. Lucien uważał je za talizman Bassa rzekomo przynoszący mu szczęście.

Jake nie chciał tych przeklętych buciorów. Mogą mu się nie podobać, przekonywał Lucien, ale ten element ubioru pomoże nawiązać kontakt z ławą przysięgłych. Chyba żartujesz, to droga skóra ze strusia, zaoponował Jake. Wsioki są zbyt głupie, żeby dostrzec różnicę, odparł Lucien. Jake nie dał się przekonać. Wsioki zaufają facetowi w kowbojskich butach, tłumaczył Lucien. W porządku, zgodził się Jake. Dla kamuflażu może założyć botki do polowania na wiewiórki, z odrobiną błota na podeszwach i obcasach. Takie, z którymi sędziowie przysięgli będą mogli się zidentyfikować. Bass wtrącił nieśmiało, że nie będą pasowały do reszty stroju.

Bass usiadł, zakładając prawą nogę na lewą i popisując się obuwiem. Spojrzał z zadowoleniem na buty, a później uśmiechnął się do sędziów przysięgłych. Struś byłby z niego dumny.

Jake stanął na podium, zajrzał do notatek i spostrzegł but sterczący spod barierki. Bass go podziwiał, a sędziowie przysięgli nie odrywali od niego wzroku. Jake stłumił chichot i ponownie

zerknął do notatek.

— Proszę powiedzieć, jak pan się nazywa.

— W.T. Bass. Doktor — odpowiedział psychiatra, nagle odwracając uwagę od buta. Spojrzał na Jake'a z ponurą powagą.

— Gdzie pan mieszka?

— West Canterbury dziewięćset osiem. W Jackson, Missisipi.

— Jaki zawód pan wykonuje?

— Jestem lekarzem.

— Czy ma pan prawo praktykowania w stanie Missisipi?

— Tak.

— Kiedy otrzymał pan licencję?

— Ósmego lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego.

— Czy ma pan pozwolenie na praktykowanie medycyny w innych stanach?

— Tak.

— Gdzie?

— W Teksasie.

— Kiedy otrzymał pan licencję?

— Trzeciego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego.

— Jaki college pan ukończył?

— Otrzymałem tytuł licencjata w Millsaps College, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym, a tytuł lekarza medycyny na Uniwersytecie Teksańskim, na Wydziale Medycyny w Dallas, w Teksasie, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku.

— Czy to uznawany urzędowo wydział medyczny?

— Tak.

— Przez kogo?

— Przez Stowarzyszenie Amerykańskich Akademii Medycznych oraz szpitale zrzeszone w Amerykańskim Towarzystwie Medycznym, uznanym urzędzie udzielającym licencji w naszej profesji, a także przez władze teksańskiego wydziału edukacji.

Bass lekko się rozluźnił. Rozprostował i ponownie skrzyżował nogi, wystawiając do przodu lewy but. Lekko zakołysał się na krześle, odwracając obrotowe siedzisko w stronę sędziów przysięgłych.

— Gdzie i jak długo odbywał pan staż?

— Po ukończeniu wydziału medycznego spędziłem dwanaście miesięcy jako stażysta w Rocky Mountain Medical Center w Denver.

— W jakiej dziedzinie medycyny się pan specjalizuje?

— W psychiatrii.

— Proszę nam wyjaśnić, co to znaczy.

— Psychiatria jest dziedziną medycyny zajmującą się leczeniem zaburzeń umysłu. Zwykle, choć nie zawsze, zajmuje się psychicznymi dewiacjami, których podstawy organiczne pozostają nieznane.

Jake odetchnął pierwszy raz od czasu, gdy Bass zajął miejsce w ławie dla świadków. Jego człowiek gadał sensownie.

— Doktorze — podjął Jake, stając swobodnie w odległości pół metra od ławy przysięgłych — proszę opisać sędziom przysięgłym specjalistyczne szkolenie, które otrzymał pan w dziedzinie psychiatrii.

— Odbyłem specjalistyczne szkolenie w dziedzinie psychiatrii, pracując dwa lata jako rezydent na oddziale chorób psychicznych Teksańskiego Szpitala Psychiatrycznego, który jest uznanym ośrodkiem akademickim. Pracowałem w klinice z psychoneurotycznymi i psychotycznymi pacjentami. Studiowałem psychologię, psychopatologię, psychoterapię i terapie fizjologiczne. Odbyłem staż pod okiem kompetentnych profesorów z dziedziny psychiatrii, obejmujący kształcenie w dziedzinie psychiatrycznych elementów medycyny ogólnej oraz aspektów związanych z leczeniem dzieci, nastolatków i dorosłych.

Choć wydawało się wątpliwe, aby choć jedna osoba na sali zdołała pojąć, co Bass powiedział, psychiatra nagle wydał się geniuszem i wybitnym ekspertem, bo zaiste musiał być

człowiekiem wielkiej mądrości, skoro wypowiadał takie słowa. Uczone słownictwo i mucha sprawiły, że mimo kowbojskich butów każda wypowiedź Bassa stała się wiarygodna.

— Czy ma pan dyplom Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego?

— Oczywiście — odrzekł pewnym głosem.

— W jakiej dziedzinie?

— W dziedzinie psychiatrii.

— Kiedy go pan otrzymał?

— W kwietniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku.

— Jakie warunki trzeba spełnić, aby uzyskać dyplom Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego?

— Kandydat musi zdać egzamin ustny i praktyczny, a także test pisemny pod nadzorem Towarzystwa.

Jake zajrzał do notatek i zauważył, że Musgrove mruga do Buckleya.

— Doktorze, czy jest pan członkiem jakichś organizacji zawodowych?

— Tak.

— Mógłby pan wymienić kilka z nich?

— Jestem członkiem Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego, Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego oraz Towarzystwa Medycznego Missisipi.

— Jak długo praktykuje pan psychiatrię?

— Dwadzieścia dwa lata.

Jake zrobił trzy kroki w stronę ławy i spojrzał na Noose'a, który uważnie obserwował, co się dzieje.

— Wysoki Sądzie, obrona wnioskuje o uznanie doktora Bassa za biegłego w dziedzinie psychiatrii.

— Dobrze — odpowiedział Noose. — Czy chce pan przesłuchać świadka, panie Buckley?

Prokurator okręgowy wstał z notatnikiem w ręku.

— Tak, Wysoki Sądzie. Mamy kilka pytań.

Zaskoczony, choć bynajmniej nie zmartwiony, Jake usiadł na swoim miejscu obok Carla Lee. Ellen nadal nie było na sali.

— Panie Bass, czy uważa się pan za eksperta w dziedzinie psychiatrii? — zapytał Buckley.

— Tak.

— Czy kiedykolwiek wykładał pan ten przedmiot?

— Nie.

— Czy opublikował pan jakiś artykuł z tej dziedziny?

— Nie.

— Czy napisał pan jakieś książki poświęcone psychiatrii?

— Nie.

— Jeśli dobrze pamiętam, zeznał pan, że jest członkiem AMA, MMA i Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Czy tak?

— Tak.

— Czy kiedykolwiek piastował pan jakieś funkcje we wspomnianych organizacjach?

— Nie.

— Na jakim stanowisku pracuje pan obecnie w szpitalu?

— Nie pracuję w szpitalu.

— Czy pana doświadczenia z dziedziny psychiatrii obejmują pracę dla rządu federalnego lub stanowego?

— Nie.

Z twarzy Bassa zaczęła znikać arogancka mina, a jego głos stopniowo tracił pewność siebie. Spojrzał na Jake'a, który grzebał w teczce.

— Doktorze Bass, czy obecnie praktykuje pan w pełnym wymiarze czasu?

Ekspert obrony się zawahał i spojrzał przelotnie na siedzącego w drugim rzędzie Luciena.

— Regularnie udzielam porad pacjentom.

— Ilu ma pan pacjentów i jak często się z nimi spotyka? — drążył Buckley z wielką pewnością siebie.

— Od pięciu do dziesięciu w tygodniu.

— Czyli jeden lub dwóch dziennie?
— Coś w tym rodzaju.
— I uważa to pan za praktykowanie w pełnym wymiarze?
— Pracuję tyle, ile chcę.
Buckley rzucił notatnik na stół i spojrzał na Noose'a.
— Wysoki Sądzie, oskarżenie sprzeciwia się, aby ten człowiek zeznawał jako specjalista w dziedzinie psychiatrii.
Jake wstał i otworzył usta, żeby zabrać głos.
— Sprzeciw oddalony, panie Buckley. Może pan kontynuować, panie Brigance.
Jake sięgnął po notatnik i wrócił na podium, zdając sobie sprawę z wątpliwości, które prokurator okręgowy tak umiejętnie zasiał w umysłach sędziów przysięgłych. Bass założył nogę na nogę.
— Panie Bass, czy zbadał pan oskarżonego, Carla Lee Haileya?
— Tak.
— Ile razy?
— Trzy.
— Kiedy przeprowadził pan pierwsze badanie?
— Dziesiątego czerwca.
— Co było jego celem?
— Przeprowadziłem badanie, żeby określić obecny stan psychiczny pana Haileya oraz stan, w jakim się znajdował dwudziestego maja, kiedy miał zastrzelić panów Cobba i Willarda.
— Gdzie odbyło się to badanie?
— W więzieniu okręgu Ford.
— Czy przeprowadził pan badanie sam?
— Tak, uczestniczyliśmy w nim tylko my dwaj.
— Jak długo trwało?
— Trzy godziny.
— Czy przejrzał pan kartę oskarżonego?
— W pewnym sensie, można by powiedzieć. Długi czas

rozmawialiśmy o jego przeszłości.

— Czego się pan dowiedział?

— Niczego wyjątkowego z wyjątkiem Wietnamu.

— Czego konkretnie?

Bass splótł dłonie na swoim z lekka zaokrąglonym brzuszysku i mrugnął do obrońcy.

— Cóż, panie Brigance, jak wielu weteranów wojennych, z którymi pracowałem, pan Hailey ma potworne wspomnienia z tego miejsca.

Wojna to piekło, pomyślał Carl Lee. Słuchał uważnie. Fakt, w Wietnamie było paskudnie. Stracił tam wielu przyjaciół. I zabił ludzi, wielu ludzi. Także dzieci. Bo wietnamskie dzieci nosiły karabiny i granaty. Okropne. Wolałby nie oglądać tego miejsca. Wietnam powracał w snach, w przelotnych wspomnieniach i nocnych koszmarach. Carl Lee nie czuł się jednak upośledzony lub obłąkany z tego powodu. Nie czuł się upośledzony i obłąkany z powodu Cobba i Willarda. Szczerze mówiąc, odczuwał pewną satysfakcję z powodu tego, co uczynił, podobnie jak wiele lat temu w Wietnamie.

W więzieniu wyjaśnił wszystko Bassowi, na którym nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Poza tym rozmawiali tylko dwa razy, zawsze nie dłużej niż godzinę.

Carl Lee obserwował sędziów przysięgłych i słuchał uważnie eksperta, który opowiadał o potwornych doświadczeniach Carla Lee z okresu wojny. Sięgnął po medyczne słownictwo, w języku fachowców objaśniając laikom wpływ Wietnamu na psychikę pacjenta. Brzmiało to całkiem nieźle. Carl Lee przez długie lata miewał koszmary i przykre sny, na które nie zwracał większej uwagi, ale teraz, gdy słuchał wyjaśnień Bassa, nagle nabrały ogromnej wagi.

— Czy swobodnie rozmawiał o wydarzeniach z okresu Wietnamu?

— Niezupełnie — odrzekł Bass, a później opisał tytaniczne wyzwanie, przed którym stanął, wyciągając doświadczenia

wojenne z wnętrza skomplikowanego, pełnego obciążeń i najpewniej niezrównoważonego umysłu. Carl Lee inaczej to zapamiętał. Posłusznie słuchał z wyrazem bólu na twarzy, pierwszy raz w życiu zastanawiając się, czy nie kryło się w tym ziarenko prawdy.

Po godzinie wojna została ponownie stoczona, a jej skutki zapadły głęboko. Jake postanowił przejść dalej.

— Panie Bass — powiedział, drapiąc się w głowę. — Jakie inne znaczące wydarzenia wywarły wpływ na psychikę pana Haileya?

— Żadne, z wyjątkiem gwałtu popełnionego na jego córce.

— Czy rozmawiał pan z Carlem Lee o gwałcie?

— Bardzo długo, podczas każdej z trzech wizyt.

— Proszę wyjaśnić sędziom przysięgłym, jaki wypływ to wydarzenie wywarło na Carla Lee Haileya.

Bass pogładził brodę z wyrazem zakłopotania na twarzy.

— Szczerze mówiąc, panie Brigance, opisanie wpływu gwałtu na psychikę pana Carla Lee Haileya wymagałoby bardzo dużo czasu.

Jake zamilkł na chwilę, jakby dogłębnie analizował ostatnie słowa psychiatry.

— Cóż, czy mógłby pan to jakoś podsumować dla sędziów przysięgłych?

Bass poważnie skinął głową.

— Spróbuję.

Lucien znużył się słuchaniem Bassa, więc zaczął obserwować sędziów przysięgłych w nadziei, że nawiąże kontakt wzrokowy z Clyde'em Sisco, który także stracił zainteresowanie, ale z wyraźnym podziwem obserwował kowbojskie buty psychiatry. Lucien łypał na niego kątem oka, czekając, aż Sisco rozejrzy się po sali.

W końcu, gdy Bass zaczął perorować, Sisco przestał słuchać i spojrzał na Carla Lee, a następnie na Buckleya i jednego z reporterów siedzących w pierwszym rzędzie. Później przesunął

wzrok na starszego gościa z brodą, o dzikich oczach, który wręczył mu kiedyś osiemdziesiąt tysięcy dolarów za wypełnienie obywatelskiego obowiązku i wydanie sprawiedliwego werdyktu. Spojrzeli na siebie, uśmiechając się kącikami ust. Ile chcesz, zdawały się pytać oczy Luciena. Sisco odwrócił wzrok, udając, że słucha zeznania, ale po chwili znowu patrzył na Luciena. Ile, zapytał Lucien, bezdźwięcznie poruszając wargami.

Sisco ponownie odwrócił oczy i zaczął obserwować Bassa, choć cały czas głowił się nad uczciwą ceną. Rzucił okiem w stronę Luciena, podrapał się w brodę i nagle, nie odrywając wzroku od psychiatry, przesunął pięcioma palcami przed nosem i zakaszlał. Po chwili zakaszlał ponownie i zaczął obserwować eksperta.

Pięćset czy pięć tysięcy, pomyślał Lucien. Znając Sisco, chodziło raczej o pięć, a może pięćdziesiąt tysięcy. Bez różnicy, bo Lucien i tak by zapłacił. Głos Sisco był wart stówę.

Do dziesiątej trzydzieści Noose zdążył sto razy wyczyścić okulary i wypić kilkanaście filiżanek kawy. W końcu zaczął odczuwać potrzebę ulżenia pęcherzowi.

— Czas na poranną przerwę. Wznowimy rozprawę o jedenastej — oznajmił, stuknął sędziowskim młotkiem i zniknął.

— Jak mi idzie? — spytał nerwowo Bass, który poszedł za Jakiem i Lucienem do biblioteki sądowej na trzecim piętrze.

— Świetnie — odrzekł Jake. — Tylko nie wystawiaj tych buciorów.

— Kowbojki mają kluczowe znaczenie — zaprotestował Lucien.

— Skonam, jeśli nie wypiję drinka — jęknął Bass.

— Zapomnij o tym — odpowiedział Jake.

— Ja też — wtrącił Lucien. — Pobiegnijmy do kancelarii na jednego.

— Świetny pomysł! — ożywił się Bass.

— Zapomnij o tym — powtórzył Jake. — Jesteś trzeźwy i doskonale ci idzie.

— Mamy pół godziny — rzucił Bass, oddalając się w ślad za Lucienem, wychodząc z biblioteki i zmierzając w kierunku schodów.

— Nie! Nie rób tego, Lucien! — krzyknął Jake.

— Tylko jednego — odparł Wilbanks, pokazując Jake'owi jeden palec.

— Chodź z nami, Jake. Ukoisz nerwy.

— Daj spokój, tylko jednego — jęknął Bass, znikając na schodach.

O jedenastej Bass zasiadł w ławie dla świadków i spojrzał szklistym wzrokiem na sędziów przysięgłych. Uśmiechnął się i o mały włos nie zachichotał. Wiedział, że w pierwszym rzędzie siedzą sądowi rysownicy, więc starał się wyglądać jak na eksperta przystało. Faktycznie, ukoił skołatane nerwy.

— Doktorze Bass, czy zna pan test badający odpowiedzialność karną, związany z zasadą M'Naghtena?

— Oczywiście! — oświadczył z wyższością Bass.

— Byłby pan łaskaw wyjaśnić sędziom przysięgłym zasadę M'Naghtena?

— Ma się rozumieć. Zasada M'Naghtena jest standardem odpowiedzialności karnej w stanie Missisipi oraz piętnastu innych stanach. Wywodzi się z Anglii. W roku tysiąc osiemset czterdziestym trzecim niejaki Daniel M'Naghten usiłował zabić premiera, sir Roberta Peela, ale omyłkowo postrzelił i zabił jego sekretarza, Edwarda Drummonda. Podczas procesu stało się jasne, że M'Naghten cierpi na chorobę, którą dziś nazwalibyśmy schizofrenią paranoidalną. Sędziowie przysięgli go uniewinnili z powodu niepoczytalności. W ten sposób powstała zasada M'Naghtena. Po dziś dzień stosuje się ją w Anglii i szesnastu stanach.

— Na czym dokładnie polega?

— Zasada M'Naghtena jest bardzo prosta. Każdego człowieka

uznaje się za poczytalnego. Jeśli obrona chce się powołać na niepoczytalność, musi wykazać, że oskarżony popełnił czyn karalny z powodu upośledzenia umysłu lub choroby psychicznej. Innymi słowy, że nie wiedział, co czyni, a jeśli wiedział, nie zdawał sobie sprawy, iż takie postępowanie jest złe.

— Mógłby pan powiedzieć to prościej?

— Tak. Oskarżony jest niepoczytalny w sensie prawnym, jeśli nie potrafi odróżnić dobra od zła.

— Proszę zdefiniować pojęcie niepoczytalności.

— W medycynie pojęcie niepoczytalności nie ma większego znaczenia. To kategoria prawna, standard pozwalający określić kondycję lub stan psychiczny człowieka.

Jake westchnął głęboko i brnął dalej:

— Doktorze, czy po zbadaniu oskarżonego wyrobił pan sobie opinię na temat stanu psychicznego, w jakim znajdował się Carl Lee Hailey dwudziestego maja tego roku? W dniu strzelaniny?

— Tak.

— Jak brzmi pana opinia?

— Sądzę — wycedził wolno Bass — że gwałt popełniony na jego córce spowodował u oskarżonego całkowitą utratę kontaktu z rzeczywistością. Nie rozpoznał dziewczynki, gdy ją ujrzał zaraz po gwałcie. Kiedy powiedziano mu, że na dziecku popełniono gwałt zbiorowy, że mała była bita i o mały włos nie została powieszona, w umyśle Carla Lee coś pękło. Wyraziłem się bardzo prosto, ale właśnie to się stało. Coś pękło i Carl Lee stracił kontakt z rzeczywistością.

Uważał, że trzeba było ich zabić. Powiedział mi, że kiedy pierwszy raz ujrzał tych ludzi na sali sądowej, nie mógł pojąć, dlaczego ludzie szeryfa ich ochraniają. Czekał, aż jeden z nich wyciągnie broń i rozwali im głowę. Kiedy minęło kilka dni i nikt tego nie zrobił, uznał, że to jego zadanie. Był przeświadczony, że ktoś z wymiaru sprawiedliwości wykona egzekucję na tych dwóch zwyrodnialcach za zgwałcenie jego małej dziewczynki.

Chcę przez to powiedzieć, panie Brigance, że w sensie

psychicznym pan Hailey nas opuścił. Że znajdował się w innym świecie, miał omamy. Pękł.

Bass wiedział, że dobrze mu idzie. Zaczął przemawiać do sędziów przysięgłych, zamiast do prawnika obrony:

— Dzień po gwałcie rozmawiał z córką w szpitalu. Mówiła z najwyższym trudem. Miała złamaną szczękę, była poturbowana. Dziewczynka powiedziała, że widziała go w lesie. Widziała, jak biegnie, żeby ją ocalić. Spytała, dlaczego nagle zniknął. Czy zdają sobie państwo sprawę, jaki wpływ takie słowa mogły wywrzeć na ojca? Później powiedziała mu, że błagała, żeby tatuś po nią przyszedł, a tamci ją wyśmiewali i mówili, że nie ma ojca.

Jake pozwolił, by ostatnie słowa zapadły w świadomości przysięgłych. Rozejrzał się po sali w poszukiwaniu Ellen. Zostały mu tylko dwa pytania.

— Doktorze Bass, czy na podstawie przeprowadzonego badania i diagnozy stanu psychiki oskarżonego w dniu zabójstwa wyrobił pan sobie uzasadnioną medycznie opinię w kwestii zdolności Carla Lee Haileya do odróżnienia dobra od zła, gdy strzelał do tych ludzi?

— Tak.

— Jak jest pańska opinia?

— Uważam, że znajdował się w stanie psychicznym uniemożliwiającym odróżnienie dobra od zła.

— Czy w oparciu o te same przesłanki wyrobił pan sobie zdanie w kwestii tego, czy Carl Lee Hailey był zdolny do zrozumienia i oceny natury oraz charakteru swojego czynu?

— Tak.

— Jak brzmi pana opinia?

— Jako specjalista w dziedzinie psychiatrii uważam, że pan Hailey był całkowicie niezdolny do zrozumienia i oceny natury oraz charakteru swoich czynów.

— Dziękuję, doktorze. Przekazuję świadka oskarżeniu.

Jake zabrał notatnik i pewnym krokiem wrócił na swoje

miejsce. Spojrzał na Luciena, który kiwał głową z uśmiechem. Rzucił okiem na przysięgłych. Wszyscy obserwowali Bassa, zastanawiając się nad jego zeznaniem. Wanda Womack, młoda kobieta o współczującym wyrazie twarzy, spojrzała na Jake'a i uśmiechnęła się nieznacznie. Był to pierwszy pozytywny sygnał, który odebrał od przysięgłych od dnia rozpoczęcia procesu.

— Jak dotąd idzie nam całkiem nieźle — szepnął Carl Lee.

Jake uśmiechnął się do klienta.

— Jesteś psycholem, wielkoludzie.

— Czy oskarżenie ma pytania do świadka? — zwrócił się Noose do Buckleya.

— Kilka — odpowiedział Buckley, gramoląc się na podium.

Jake nie wyobrażał sobie, żeby Buckley mógł się spierać z ekspertem, nawet jeśli był nim W.T. Bass.

Okazało się, że Buckley nie ma takiego zamiaru.

— Doktorze Bass, byłby pan łaskaw podać nam swoje pełne imię i nazwisko?

Jake zamarł, bo słowa Buckleya zabrzmiały dziwnie złowieszczo. Prokurator okręgowy zadał je z dużą dozą podejrzliwości.

— William Tyler Bass.

— A jakim pan się posługuje?

— W.T. Bass.

— Czy kiedyś był pan znany jako Tyler Bass?

Ekspert się zawahał.

— Nie — odparł potulnie.

Jake'a ogarnęła wielka fala niepokoju. Poczuł się tak, jakby jego żołądek przeszyła gorąca dzida. Pytanie Buckleya mogło oznaczać wyłącznie kłopoty.

— Jest pan pewien? — zapytał z niedowierzaniem prokurator okręgowy, unosząc brwi.

Bass wzruszył ramionami.

— Może, kiedy byłem młody.

— Rozumiem. O ile dobrze pamiętam, zeznał pan, że studiował na Uniwersytecie Teksańskim, na wydziale medycznym?

— To prawda.

— Gdzie to jest?

— W Dallas.

— W jakim okresie był pan tam studentem?

— Od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego.

— Pod jakim nazwiskiem był pan zarejestrowany?

— William T. Bass.

Jake skamieniał ze strachu. Buckley najwyraźniej miał coś w zanadrzu. Mroczny sekret z przeszłości, o którym wiedział tylko Bass i on.

— Czy kiedykolwiek posługiwał się pan nazwiskiem Tyler Bass, kiedy pan studiował medycynę?

— Nie.

— Jest pan pewien?

— Tak, jestem pewien.

— Jaki ma pan numer ubezpieczenia społecznego?

— Czterysta dziesięć, dziewięćdziesiąt sześć, osiem tysięcy pięćset osiemdziesiąt pięć.

Buckley odhaczył coś w notatniku.

— Jaka jest pańska data urodzenia? — zapytał skrupulatnie.

— Czternasty września tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku.

— A nazwisko pana matki?

— Jonnie Elizabeth Bass.

— A nazwisko panieńskie?

— Skidmore.

— Proszę podać miejsce urodzenia.

— Carbondale, Illinois.

Kolejny znaczek.

Można było złożyć protest w kwestii zasadności pytań

oskarżenia, ale Jake miał nogi jak z galarety. W żołądku mu się wywracało. Bał się, że się zbłaźni, jeśli wstanie i spróbuje coś powiedzieć.

Buckley przyjrzał się notatkom i milczał przez kilka sekund. Wszyscy w milczeniu oczekiwali następnego pytania, wiedząc, że będzie brutalne. Bass spoglądał na prokuratora okręgowego niczym więzień stojący naprzeciw plutonu egzekucyjnego, mając nadzieję i modląc się o to, by karabiny jakimś cudem nie wypaliły.

W końcu Buckley uśmiechnął się chytrze do eksperta obrony.

— Doktorze Bass, czy był pan kiedykolwiek skazany za popełnienie ciężkiego przestępstwa?

Pytanie odbiło się echem w kamiennej ciszy i spadło ze wszystkich stron na dygoczące ramiona Tylera Bassa. Wystarczyło na niego spojrzeć, aby domyślić się odpowiedzi.

Carl Lee zmrużył oczy i spojrzał na swojego prawnika.

— Oczywiście, że nie! — wykrzyknął głośno i rozpaczliwie Bass.

Buckley tylko skinął głową i podszedł do stołu, gdzie Musgrove z wielką ceremonią wręczył mu jakieś papiery. Wyglądały na ważne.

— Jest pan pewien? — ponowił pytanie Buckley.

— Oczywiście, że jestem — żachnął się Bass, spoglądając na ważnie wyglądające dokumenty.

Jake wiedział, że powinien wstać i coś zrobić lub powiedzieć, aby powstrzymać rzeź, ale jego umysł był sparaliżowany.

— Absolutnie? — zapytał prokurator okręgowy.

— Tak — odburknął Bass, zaciskając zęby.

— Nigdy nie został pan skazany za popełnienie ciężkiego przestępstwa?

— Jasne, że nie.

— Czy jest pan tego równie pewny, jak reszty zeznań złożonych przed tą ławą przysięgłych?

Pytanie było pułapką, zabójczą bronią, najbardziej śmiertelnym ze wszystkich pytań. Jake używał go wiele razy, ale gdy usłyszał

je z ust Buckleya, wiedział, że Bass jest skończony, a Carl Lee razem z nim.

— Oczywiście — zapewnił Bass z udawaną arogancją.

Buckley skoczył na swoją zdobycz.

— Chce pan powiedzieć sędziom przysięgłym, że siedemnastego października tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku nie został skazany w Dallas w Teksasie za popełnienie ciężkiego przestępstwa, jako Tyler Bass?

Buckley zadał to pytanie, spoglądając na ławę przysięgłych i czytając ważny dokument.

— To kłamstwo — zaprotestował cicho i nieprzekonująco Bass.

— Jest pan pewien? — spytał Buckley.

— To bezczelne kłamstwo!

— Czy potrafi pan odróżnić dobro od zła, doktorze Bass?

— Tak, do licha!

Noose założył okulary i pochylił się do przodu. Sędziowie przysięgli przestali się kołysać, a reporterzy odłożyli długopisy. Ludzie z biura szeryfa stojący z tyłu sali zamarli nieruchomo, bacznie nasłuchując.

Buckley podniósł jeden z ważnych dokumentów i bacznie go przestudiował.

— Chce pan powiedzieć tej ławie przysięgłych, że siedemnastego października tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku nie został skazany za uwiedzenie nieletniej?

Jake wiedział, jak ważne jest to, aby nawet podczas największego kryzysu na sali rozpraw zachować kamienną twarz pokerzysty. Było niezwykle ważne, aby sędziowie przysięgli widzieli spokojny, pozytywny wyraz twarzy obrońcy. Jake przećwiczył wspomniany pozytywny grymas zadowolenia człowieka sprawującego pełną kontrolę nad sytuacją podczas wielu prób i zasadzek, ale gdy usłyszał o „uwiedzeniu nieletniej”, jego miejsce zajęła chorobliwa, pobladła i zbolała mina, która stała się widoczna dla przynajmniej połowy członków ławy

przysięgłych.

Druga połowa spojrzała gniewnie na świadka.

— Czy został pan skazany za uwiedzenie nieletniej, doktorze? — spytał ponownie Buckley po dłuższej chwili milczenia.

Nie usłyszeli odpowiedzi.

Noose wyprostował się i pochylił w kierunku świadka.

— Proszę odpowiedzieć, doktorze Bass.

Bass zignorował Wysoki Sąd, wpatrując się w prokuratora okręgowego.

— Pan mnie z kimś pomylił — wybąkał po chwili.

Buckley prychnął i podszedł do Musgrove'a, który trzymał jakieś bardzo ważne papiery. Otworzył dużą białą kopertę i wyjął coś przypominającego fotografie formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów.

— Doktorze Bass, mam kilka pańskich zdjęć wykonanych na posterunku policji w Dallas, jedenastego września tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku. Chciałby pan rzucić okiem?

Brak odpowiedzi.

Buckley podetknął je świadkowi.

— Chciałby pan je zobaczyć, doktorze Bass? Może fotografie odświeżą panu pamięć?

Bass wolno pokręcił głową, a później zwiesił ją ponuro i spojrzał na swoje buty.

— Wysoki Sądzie, oskarżenie wnosi o dołączenie do materiału dowodowego poświadczonego w Aktach Kongresu orzeczenia końcowego i wyroku skazującego w sprawie *Stan przeciwko Tylerowi Bassowi*. Oskarżenie uzyskało je od właściwego organu w Dallas, w Teksasie. Dowodzą one niezbicie, że siedemnastego października tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku Tyler Bass został uznany winnym uwiedzenia nieletniej, co jest uważane za ciężkie przestępstwo w stanie Teksas. Możemy dowieść, że Tyler Bass i doktor W.T. Bass to jedna i ta sama osoba.

Musgrove uprzejmie wręczył Jake'owi kopię dokumentów, którymi wymachiwał Buckley.

— Czy obrona zgłasza zastrzeżenia przeciwko dołączeniu dokumentów do materiału dowodowego? — spytał Noose, zwracając się do Jake'a.

W takiej chwili zdecydowanie potrzebna była mowa. Błyskotliwe, emocjonalne wyjaśnienie sięgające serc sędziów przysięgłych i sprawiające, by zapłakali z litości nad Bassem i jego pacjentem. Jednak procedura sądowa nie pozwalała na nic takiego. Nie mogąc wstać, Jake z rezygnacją machnął ręką. Nie mają zastrzeżeń.

— Nie mam więcej pytań — oświadczył Buckley.

— Chce pan ponownie przesłuchać świadka, panie Brigance? — spytał sędzia Noose.

W ciągu ułamka sekundy Jake nie potrafił wymyślić żadnego pytania, które mógłby zadać Bassowi w celu ratowania sytuacji. Sędziowie przysięgli dość się już nasłuchali eksperta obrony.

— Nie — odrzekł cicho Jake.

— Rozumiem. Doktorze Bass, jest pan wolny.

Bass smyrgnął przez bramkę w barierce, przeszedł środkowym przejściem i czmychnął z sali. Jake bacznie obserwował jego rejteradę, wyrażając spojrzeniem tyle nienawiści, ile potrafił. Bo było niezwykle ważne, aby sędziowie przysięgli ujrzeli, jak zaszokowany jest oskarżony i jego obrońca. Musieli uwierzyć, że świadomie nie wystawili w roli eksperta człowieka skazanego za ciężkie przestępstwo.

Kiedy drzwi się zamknęły i Bass zniknął, Jake rozejrzał się po sali w nadziei dostrzeżenia jakiegoś sygnału zachęty. Nie spostrzegł żadnego. Lucien gładził brodę i gapił się w podłogę. Lester siedział ze skrzyżowanymi ramionami i wyrazem skrajnego zdegustowania na twarzy, a Gwen płakała.

— Proszę wezwać następnego świadka — powiedział Noose.

Jake nadal szukał. W trzecim rzędzie, między wielebnymi Olliem Agee i Lutherem Rooseveltem siedział Norman Reinfeld.

Kiedy ich oczy się spotkały, słynny prawnik zmarszczył brwi i pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Mówiłem ci”. Druga strona sali, złożona w większości z białych, była wyraźnie rozluźniona. Kilku nawet uśmiechnęło się do Jake’a.

— Panie Brigance, czy może pan wezwać następnego świadka?

Jake nierozważnie próbował się podnieść, ale kolana się pod nim ugięły i musiał się pochylić, opierając dłonie na blacie.

— Wysoki Sądzie — powiedział wysokim, przenikliwym głosem człowieka przegranego. — Czy możemy prosić o przerwę w rozprawie do trzynastej?

— Panie Brigance, jest dopiero jedenasta trzydzieści.

Kłamstwo wydawało się jak najbardziej na miejscu.

— Wiem, Wysoki Sądzie, ale nasz kolejny świadek będzie dopiero o trzynastej.

— Rozumiem. Sąd ogłasza przerwę do godziny trzynastej. Proszę pełnomocników stron do mojego gabinetu.

Obok gabinetu Noose’a znajdowała się świetlica, w której od godziny tłoczyli się i plotkowali prawnicy, obok niej zaś była toaleta. Jake wszedł do środka, zaryglował drzwi, a następnie zdjął marynarkę i rzucił na podłogę. Uklęknął obok muszli, odczekał chwilę i zwymiotował.

Ozzie stał przed sędzią, próbując nawiązać rozmowę, a Musgrove i prokurator okręgowy uśmiechali się do siebie. Czekali na Jake’a, który w końcu wszedł do gabinetu Noose’a i przeprosił.

— Jake, mam złe wieści — oznajmił Ozzie.

— Daj mi usiąść.

— Godzinę temu zadzwonił szeryf z okręgu Lafayette. Twoja asystentka, Ellen Roark, jest w szpitalu.

— Co się stało?

— Klan dopadł ją ostatniej nocy między Clanton i Oxfordem. Przywiązali ją do drzewa i pobili.

— Jak się czuje? — zapytał Jake.

— Jej stan jest poważny, ale stabilny.

— Jak do tego doszło? — zapytał Buckley.

— Nie jesteśmy pewni. W jakiś sposób zatrzymali samochód i wywieźli ją do lasu. Zdarli z niej ubranie i obcięli włosy. Ma wstrząśnienie mózgu i rany na głowie, więc lekarze doszli do wniosku, że ją pobito.

Jake poczuł, że musi ponownie zwymiotować. Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Zaczął masować skronie, zastanawiając się, jak przyjemnie byłoby przywiązać Bassa do drzewa i wybatożyć.

Noose przyglądał się obrońcy ze współczuciem.

— Nic panu nie jest, panie Brigance?

Nie usłyszał odpowiedzi.

— Wznowimy obrady o czternastej. Myślę, że wszystkim przyda się przerwa — stwierdził Noose.

⅄ ⅄ ⅄

Jake wdrapał się schodami na górę z pustą butelką coorsa w ręku. Przez chwilę miał ochotę roztrzaskać ją na głowie Luciena, ale zdał sobie sprawę, że tamten niczego by nie poczuł.

Lucien grzechotał kostkami lodu w szklance i patrzył w dal, w stronę placu, który dawno temu opustoszał z wyjątkiem żołnierzy i tłumu nastolatków co tydzień gromadzących się przed kinem na sobotni podwójny seans filmowy.

Żaden nie odezwał się ani słowem. Lucien wpatrywał się w przestrzeń, a Jake łypał na niego wściekłym wzrokiem, ściskając pustą butelkę w dłoni. Bass był już pewnie setki kilometrów dalej.

— Gdzie jest Bass? — spytał po minucie Jake.

— Wyjechał.

— Dokąd?

— Do domu.

— Gdzie ten facet ma dom?

— Dlaczego pytasz?

— Chciałbym zobaczyć jego dom. Zobaczyć, jak się w nim

przechadza. I chciałbym skatować go na śmierć kijem baseballowym w jego własnym domu.

Lucien ponownie brzęknął kostkami.

— Nie dziwię się.

— Wiedziałeś?

— O czym?

— Że facet został skazany.

— Do diabła, nie. Nikt nie wiedział. Wyrok usunięto z archiwów.

— Nie rozumiem.

— Bass powiedział mi, że wyrok sądu z Teksasu został usunięty trzy lata po wpisaniu do rejestru.

Jake postawił butelkę na werandzie obok swojego krzesła. Chwycił brudną szklankę, dmuchnął, a następnie napełnił kostkami lodu i jackiem danielsem.

— Byłbyś łaskaw mi to wyjaśnić, Lucienie?

— Bass twierdzi, że dziewczyna miała siedemnaście lat i była córką znanego sędziego z Dallas. Zadurzyli się w sobie, a sędzia przyłapał ich, jak baraszkują na kanapie. Oskarżył go i Bass nie miał żadnych szans. Przyznał się do uwiedzenia nieletniej. Tylko że dziewczyna była zakochana. Widywali się ze sobą i zaszła w ciążę. Bass się z nią ożenił. W ten sposób sędzia dostał w prezencie pierwszego wnuka. Wymarzonego chłopca. Staruszek zmienił nastawienie i orzeczenie zostało wykreślone.

Lucien sączył whiskey, spoglądając na światła placu.

— Co się stało z dziewczyną?

— Według Bassa na tydzień przed ukończeniem studiów medycznych jego mały synek i żona, ponownie w ciąży, zginęli w katastrofie kolejowej w Fort Worth. Właśnie wtedy przestał żyć i zaczął chlać.

— Nigdy wcześniej ci tego nie powiedział?

— Nie przesłuchuj mnie. Powiedziałem, że nic nie wiedziałem. Nie pamiętasz, że dwukrotnie powoływałem go na

świadka? Gdybym wiedział, facet by nie zeznawał.

— Czemu, u licha, nigdy ci o tym nie wspomniał?

— Pewnie sądził, że wyrok uległ zatarciu. Technicznie rzecz biorąc, miał słuszność. Po wykreśleniu orzeczenia nie ma żadnej adnotacji. Mimo to został skazany.

Jake pociągnął łyk whiskey, długi i gorzki. Drink smakował paskudnie.

Siedzieli w milczeniu dziesięć minut. Zapadł zmrok i świerszcze rozpoczęły koncert. Sallie podeszła do drzwi z siatką i zapytała Jake'a, czy chce kolację. Nawet nie podziękował.

— Co się stało dziś po południu? — spytał Lucien.

— Zeznawał Carl Lee. O szesnastej ponownie odroczono rozprawę. Psychiatra Buckleya nie był gotów. Będzie zeznawać w poniedziałek.

— Jak mu poszło?

— Jako tako. Trzymał się tego, co powiedział Bass, ale od przysięgłych ziało nienawiścią. Carl Lee był spięty i klepał, jakby wyuczył się na pamięć. Nie sądzę, żeby zdobył wiele punktów.

— A Buckley?

— Wpadł w szał. Wrzeszczał na Carla Lee przez godzinę. Carl Lee inteligentnie to rozegrał. Wymieniali razy. Myślę, że obaj czuli się urażeni. Podczas dodatkowych wyjaśnień umiejętnie nim pokierowałem, żeby wzbudził litość i współczucie. Mało brakowało, a byłby się popłakał.

— Miło.

— Taak, bardzo miło. Oni go skażą, prawda?

— Tak sądzę.

— Po ogłoszeniu przerwy chciał mnie zwolnić. Powiedział, że przegrałem sprawę i chce nowego prawnika.

Lucien stanął na krawędzi werandy i rozpiął spodnie. Oparł się o kolumnę i obsikał krzaki. Był bosy i wyglądał jak ofiara powodzi. Sallie przyniosła mu nowego drinka.

— Jak się czuje Row Ark?

— Lekarze mówią, że stan jest stabilny. Zadzwoniłem do jej pokoju, ale pielęgniarka powiedziała, że nie może rozmawiać. Jutro do niej pojadę.

— Mam nadzieję, że nic jej nie będzie. To świetna dziewczyna.

— Suka o radykalnych poglądach, ale diabelnie bystra. To moja wina, Lucienie.

— Nie gadaj głupot. Żyjemy w zwariowanym świecie, Jake. W świecie pełnym wariatów. Dochodzę do wniosku, że połowa z nich mieszka w okręgu Ford.

— Dwa tygodnie temu podłożyli dynamit pod okno mojej sypialni. Później skatowali na śmierć męża mojej sekretarki. Wczoraj do mnie strzelali i ranili żołnierza Gwardii Narodowej, a dzisiaj porwali mi asystentkę, przywiązali do słupa, zdarli ubranie i obcięli włosy. Jest w szpitalu ze wstrząśnieniem mózgu. Ciekawe, co się jeszcze wydarzy.

— Myślę, że powinieneś zrezygnować.

— Zrobiłbym to. Natychmiast pomaszerowałbym do sądu i oddał teczkę. Zwiesiłbym ręce i ogłosił kapitulację. Tylko komu miałbym się poddać? Wróg jest niewidzialny.

— Nie możesz odejść, Jake. Twój klient cię potrzebuje.

— Do diabła z nim! Dzisiaj próbował mnie zwolnić!

— Carl Lee cię potrzebuje. To jeszcze nie koniec.

Głowa Nesbita zwisała z okna. Z lewej strony brody ciekła ślina, opadając na drzwi i tworząc małą kałużę na godle biura szeryfa okręgu Ford wymalowanym z boku samochodu. Pusta butelka piwa zwilżała mu krocze. Po dwóch tygodniach wykonywania obowiązków ochroniarza przywykł do spania z komarami w policyjnym radiowozie, ochraniając tego prawnika czarnuchów.

Niedługo po tym, jak sobota zamieniła się w niedzielę, trzask radiostacji przerwał spokojny sen Nesbita. Ten chwycił mikrofon

i otarł brodę rękawem.

— Tu ósemka.

— Gdzie jesteś?

— Tam, gdzie dwie godziny temu.

— Wilbanks w domu?

— Tak.

— Brigance nadal tam jest?

— Tak.

— Zawieź Brigance'a do jego domu przy Adams Street. To pilne.

Nesbit obszedł puste butelki walające się na werandzie, minął otwarte drzwi i znalazł Jake'a rozwalonego na kanapie we frontowym salonie.

— Obudź się, Jake! Musisz jechać do domu! To pilna sprawa!

Brigance skoczył na równe nogi i pobiegł za Nesbitem. Stanęli na schodach, wypatrując czegoś ponad kopułą sądu. W oddali widać było kłęby czarnego dymu unoszące się nad pomarańczową łuną i spokojnie żeglujące w kierunku półksiężyca.

Adams Street była zablokowana zbieraniną samochodów członków ochotniczej straży pożarnej, w większości pick-upów. Każdy wóz migał czerwonymi i żółtymi światłami awaryjnymi. W sumie było ich z tysiąc. Światła obracały się i błyskały, przeszywając mrok milczącym chórem.

Wozy strażackie zaparkowały bezładnie przed domem. Strażacy i ochotnicy biegali jak szaleni, rozwijając szlauchy, przegrupowując się i co jakiś czas reagując na komendy szefa. Ozzie, Prather i Hastings stali obok sikawki. Żołnierze Gwardii Narodowej kręcili się po wojskowemu obok jeepa.

Pożar był zaiste olśniewający. Języki ognia buchały z każdego okna frontowej części domu, na parterze i piętrze. Wiata całkowicie się zajęła. W środku płonął oldsmobil Carli, a cztery opony buchały czarnym dymem. Co ciekawe, obok cutlassa skwierczał jakiś mniejszy pojazd zamiast saaba.

Huk i trzask ognia w połączeniu z rykiem pracujących

silników i donośnymi okrzykami przyciągnął sąsiadów z kilku najbliższych kwartałów. Ludziska zbili się w ciasną gromadkę na trawnikach z drugiej strony ulicy i patrzyli w milczeniu.

Jake i Nesbit zaczęli biec. Komendant straży zobaczył ich i popędził im na spotkanie.

— Jake! Czy ktoś jest w domu?!

— Nie!

— To dobrze. Tak sądziliśmy.

— Tylko pies.

— Pies?!

Jake skinął głową, obserwując płonący dom.

— Przykro mi. — Komendant westchnął.

Zebrali się przy samochodzie Ozziego, przed domem pani Pickle. Jake odpowiadał na pytania.

— Ten volkswagen nie jest twój, prawda Jake?

Jake patrzył w milczeniu na ukochany dom Carli, symbol miasta Clanton. Pokręcił głową.

— Tak sądziłem. Wygląda na to, że pożar zaczął się od niego.

— Nie rozumiem — wybełkotał Jake.

— Jeśli samochód nie jest twój, ktoś musiał go tam zaparkować, prawda? Zwróć uwagę, jak płonie posadzka wiaty. Zwykle beton się nie pali. To benzyna. Ktoś wyładował volkswagena benzyną, zaparkował i uciekł. W środku pewnie był zapalnik.

Prather i dwaj ochotnicy przytaknęli głowami.

— Jak długo mój dom się pali? — zapytał Jake.

— Przyjechaliśmy dziesięć minut temu — odpowiedział komendant straży. — Wtedy trwał już na dobre. Powiedziałbym, że jakieś pół godziny. To duży pożar. Ktoś doskonale wiedział, co robi.

— Pewnie nie da się niczego wynieść, prawda? — rzucił w próżnię Jake, domyślając się odpowiedzi.

— Nie ma mowy, Jake. Zajęła się zbyt duża część domu. Moi ludzie nie wejdą do środka, jeśli nikogo tam nie ma. To

duży pożar.

— Czemu ciągle to powtarzasz?

— Cóż, sam popatrz. Pali się cały dom. Płomienie buchają ze wszystkich okien, na parterze i piętrze. To bardzo niezwykłe. Za minutę przepalą dach.

Dwie drużyny podbiegły z sikawkami, oblewając wodą okna przy frontowej werandzie. Mniejszą sikawkę wycelowano w okno na górze. Komendant minutę lub dwie obserwował strugę znikającą w płomieniach, a później splunął i stwierdził:

— Wypali się do ziemi.

Po tych słowach zniknął za sikawką i zaczął wykrzykiwać komendy.

Jake spojrzał na Nesbita.

— Wyświadczysz mi przysługę?

— Jasne, Jake.

— Pojedź do Harry'ego Rexa i przywieź go tutaj. Nie chciałbym, żeby ominęło go takie widowisko.

— Jasne.

Jake, Ozzie, Harry Rex i Nesbit siedzieli dwie godziny na radiowozie, obserwując, jak ogień spełnia przepowiednię komendanta straży pożarnej. Co jakiś czas podchodził któryś z sąsiadów, aby wyrazić współczucie i zapytać o rodzinę. Pani Pickle, urocza staruszka mieszkająca w domu obok, głośno zapłakała, kiedy Jake poinformował ją, że Max zginęła w płomieniach.

O trzeciej ludzie szeryfa i reszta ciekawskich zniknęli, a o czwartej uroczy mały dom w stylu wiktoriańskim obrócił się w tlące zgliszcza. Niedobitki strażaków tłumiły ostatnie ślady dymu wśród ruin. Ponad gruzowiskiem unosił się jedynie dym i dwa wypalone szkielety samochodów, kiedy ciężkie gumowe buciory rozkopywały i rozorywały zgliszcza w poszukiwaniu iskier oraz ukrytych języków ognia, które mogłyby zmartwychwstać i dopalić resztę pobojowiska.

Kiedy nad horyzontem wzeszło słońce, zwinęli ostatnie

szlauchy. Jake podziękował strażakom, a później razem z Harrym Rexem ruszyli w kierunku tylnego podwórka, żeby obejrzeć gruzowisko.

— Do licha, Jake — pocieszył go Harry Rex. — To tylko dom.

— Zadzwonisz do Carli, żeby jej to powiedzieć?

— Nie. Sądzę, że sam powinieneś to zrobić.

— Myślę, że się wstrzymam.

Harry Rex zerknął na zegarek.

— Pora na śniadanie, nie sądzisz?

— Jest niedzielny ranek, Harry. Wszystko jest zamknięte.

— Amator z ciebie, Jake. Widzisz, stary, ja jestem profesjonalistą. Umiem znaleźć ciepłe żarcie o każdej porze dnia i nocy.

— Postój ciężarówek?

— Postój ciężarówek!

— W porządku. Kiedy skończymy, pojedziemy do Oxfordu, żeby odwiedzić Row Ark.

— Świetnie. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć jej nową fryzurę.

Sallie podniosła słuchawkę i cisnęła w Luciena, który zaczął nią obracać, dopóki nie znalazła się przy głowie.

— Taak, kto mówi? — zapytał, mrużąc oczy i spoglądając przez okno w mrok.

— Lucien Wilbanks?

— Taak, kto pyta?

— Zna pan Clyde'a Sisco?

— No.

— Pięćdziesiąt tysięcy.

— Zadzwoń rano.

Rozdział 39

Sheldon Roark siedział na parapecie, opierając stopy na krześle i czytając relację z procesu Haileya zamieszczoną w „Memphis Sunday". U dołu pierwszej strony widniało zdjęcie jego córki i opowieść o jej spotkaniu z Ku-Klux-Klanem. Ellen leżała na łóżku kilka metrów dalej. Lewa strona jej głowy była ogolona i owinięta grubym bandażem. Lewe ucho zszyto dwudziestoma ośmioma szwami. Silne wstrząśnienie mózgu przekształciło się w słabe, a medycy obiecali, że w środę ją wypiszą.

Nie została zgwałcona ani wychłostana. Kiedy lekarze zadzwonili do Bostonu, podali niewiele szczegółów. Leciał siedem godzin, nie wiedząc, co jej zrobili, i spodziewając się najgorszego. W sobotę późnym wieczorem wykonali kolejne zdjęcia rentgenowskie i powiedzieli, że może być spokojny. Blizny znikną, a włosy odrosną. Była przestraszona i poturbowana, ale mogło się skończyć znacznie gorzej.

Usłyszał poruszenie na korytarzu. Ktoś kłócił się z pielęgniarką. Odłożył gazetę i otworzył drzwi.

Pielęgniarka przyłapała Jake'a i Harry'ego Rexa, jak chyłkiem

przemykali się korytarzem. Wyjaśniła intruzom, że wizyty zaczynają się o czternastej, czyli za sześć godzin. Oświadczyła, że wpuszczają tylko członków rodziny i że wezwie ochronę, jeśli nie odejdą. Harry Rex oświadczył, że ma gdzieś godziny odwiedzin i inne durne szpitalne przepisy. Że Ellen Roark to jego narzeczona i że chce ją zobaczyć przed śmiercią. Jeśli pielęgniarka się nie zamknie, pozwie ją za nękanie, bo jest prawnikiem. Od tygodnia nikogo nie pozwał, więc jest dziwnie podenerwowany.

— Co się dzieje? — zapytał Sheldon.

Jake spojrzał na małego faceta o rudych włosach i zielonych oczach, i powiedział:

— Pan musi być Sheldonem Roarkiem.

— Tak, to ja.

— Jestem Jake Brigance, ten, który...

— Wiem, czytałem o panu. W porządku, proszę pani, oni są ze mną.

— Właśnie! A nie mówiłem! — wykrzyknął triumfalnie Harry Rex. — Wszystko jest w porządku. Jesteśmy z nim. Byłabyś uprzejma nas zostawić, zanim wyczyszczę ci konto.

Obiecała, że wezwie ochronę, i ruszyła korytarzem wściekłym krokiem.

— Jestem Harry Rex Vonner — przedstawił się Harry Rex, wymieniając uścisk dłoni z Sheldonem Roarkiem.

— Wejdźcie do środka — powiedział. Znaleźli się w małym pokoiku. Ellen nadal spała.

— Jak ona się czuje? — zapytał Jake.

— Ma lekkie wstrząśnienie mózgu, dwadzieścia osiem szwów na uchu i jedenaście na głowie. Wyliże się. Lekarz powiedział, że przypuszczalnie wypiszą ją w środę. W nocy się obudziła. Długo gadaliśmy.

— Jej włosy wyglądają koszmarnie! — zauważył tonem znawcy Harry Rex.

— Powiedziała, że wyrywali je i wycinali tępym nożem.

Wcześniej rozcięli na niej ubranie i grozili chłostą. Sądziła, że ją zgwałcą lub zabiją. Albo jedno i drugie. Dlatego uderzała głową o słup, do którego ją przywiązali. Musiała ich przestraszyć.

— Mówi pan, że jej nie wychłostali?

— Nie. Nie zrobili jej krzywdy, tylko porządnie wystraszyli.

— Coś widziała?

— Niewiele. Płonący krzyż, białe szaty i kilkunastu mężczyzn. Szeryf powiedział, że zawieźli ją na łąkę, piętnaście kilometrów na wschód stąd. Teren należy do jakiejś papierni.

— Kto ją znalazł? — zapytał Harry Rex.

— Szeryf otrzymał anonimowy telefon od gościa podającego się za Myszkę Mickey.

— Ach! No, tak. Mój stary przyjaciel.

Ellen cicho jęknęła i wyprostowała się na łóżku.

— Wyjdźmy na zewnątrz — zaproponował Sheldon.

— Mają tu gdzieś kawiarnię? — zapytał Harry Rex. — Kiedy zbliżam się do szpitala, nie wiedzieć czemu robię się głodny.

— Jasne. Chodźmy na kawę.

Kawiarnia na pierwszym piętrze była pusta. Jake i pan Roark zamówili czarną kawę. Harry Rex zaczął od trzech słodkich bułeczek i pół litra mleka.

— Z tego, co przeczytałem w gazecie, sytuacja nie wygląda najlepiej — powiedział Sheldon.

— Ta twoja gazeta jest bardzo uprzejma — odrzekł z pełnymi ustami Harry Rex. — Spuścili Jake'owi tęgie lanie w sądzie. Jego życie poza murami sądu też nie wygląda najlepiej. Kiedy do niego nie strzelają i nie porywają asystentek, podpalają mu dom.

— Spalili ci dom?!

Jake skinął głową.

— Dziś w nocy. Zgliszcza nadal się tlą.

— Wydawało mi się, że czuję dym.

— Patrzyliśmy, jak wypala się do gruntu. Płonął cztery godziny.

— Bardzo mi przykro. Mnie też grożono podpaleniem, ale skończyło się na przecinaniu opon. Nigdy też do mnie nie strzelano.

— A do mnie parę razy.

— Klan działa także w Bostonie? — zdziwił się Harry Rex.

— O ile wiem, nie.

— To hańba. Dzięki tym gościom praktykowanie prawa nabiera realnego wymiaru.

— Na to wygląda. W ostatnim tygodniu oglądaliśmy telewizyjne relacje z zamieszek na placu przed sądem. Od kiedy Ellen się zaangażowała, wszystko dokładnie obserwuję. To słynna sprawa. Nawet u nas. Żałuję, że takiej nie miałem.

— Jest cała twoja — zaproponował Jake. — Myślę, że mój klient szuka nowego prawnika.

— Ilu psychiatrów powoła oskarżenie?

— Tylko jednego. Będzie zeznawać w poniedziałek rano, a później wygłosimy mowy końcowe. Ława przysięgłych powinna je usłyszeć jutro późnym popołudniem.

— Szkoda, że Ellen to ominie. Dzwoniła do mnie codziennie i opowiadała o sprawie.

— Jaki błąd popełnił Jake? — spytał Harry Rex.

— Nie mów z pełnymi ustami — upomniał go Jake.

— Według mnie wykonał kawał dobrej roboty. Zacznijmy od tego, że fakty wyglądają paskudnie. Hailey popełnił podwójne zabójstwo, starannie wszystko zaplanował, a później oparł się na słabym argumencie niepoczytalności. Sędziowie przysięgli z Bostonu nie okazaliby mu większego współczucia.

— Ani przysięgli z okręgu Ford — dodał Harry Rex.

— Mam nadzieję, że masz w rękawie wzruszającą mowę końcową — powiedział Sheldon.

— On nie ma rękawów — wyjaśnił Harry Rex. — Wszystkie się spaliły. Razem ze spodniami i bielizną.

— Przyjdź jutro do sądu — zaproponował Jake. — Przedstawię cię sędziemu i poproszę, abyś mógł uczestniczyć

w naradach w jego gabinecie.

— Dla mnie by tego nie zrobił — westchnął Harry Rex.

— Chyba wiem dlaczego — odrzekł z uśmiechem Sheldon. — Właściwie, czemu nie. I tak planowałem zabawić do wtorku. Bezpiecznie tu u was?

— Tego bym nie powiedział.

⅄ ⅄ ⅄

Żona Woody'ego Mackenvale'a siedziała na plastikowej ławce w korytarzu obok jego pokoju i cicho pochlipywała, próbując udawać dzielną w obecności dwóch małych synów, którzy przycupnęli obok niej. Każdy z malców ściskał w ręce pęk używanych jednorazowych chusteczek, co jakiś czas ocierając policzek lub wydmuchując nos. Jake uklęknął przed nią, słuchając uważnie, jak powtarza to, co powiedzieli lekarze. Kula utkwiła w kręgosłupie. Paraliż ma poważny i trwały charakter. Jej mąż był brygadzistą w fabryce w Booneville. Miał dobrą pracę. Dobre życie. Nie musiała pracować, przynajmniej do tej pory. Jakoś sobie poradzą, choć nie była pewna jak. Woody był trenerem drużyny Małej Ligi, w której grali jego synowie. Prowadził bardzo aktywny tryb życia.

Głośniej zaniosła się płaczem, a chłopcy otarli policzki.

— Ocalił mi życie — powiedział Jake i spojrzał na chłopców.

Zamknęła oczy i skinęła głową.

— Robił, co do niego należało. Damy sobie radę.

Jake sięgnął po chusteczkę z pudełka na ławce i otarł oczy. W pobliżu stała grupa krewnych, obserwując scenę. Harry Rex krążył nerwowo na końcu korytarza.

Jake przytulił kobietę i pogłaskał chłopców. Dał jej numer telefonu — do kancelarii — i powiedział, żeby zadzwoniła, jeśli będzie mógł coś dla niej zrobić. Obiecał, że odwiedzi Woody'ego po zakończeniu procesu.

⅄ ⅄ ⅄

W niedzielę sklepy z piwem otwierano w południe, jakby kościelna trzódka właśnie wtedy go potrzebowała i była skłonna wpaść na zakupy w drodze z kaplicy do domu. Zajrzeć na chwilę i nabyć kilka sześciopaków, a później wyruszyć do babci na niedzielny obiad i spędzić popołudnie na wywoływaniu kłopotów. Co dziwniejsze, wspomniane sklepy zamykały swe podwoje o osiemnastej, jakby tym samym klientom należało o tej porze odmówić sprzedaży ulubionego trunku, bo wracali do kościoła na wieczorne niedzielne nabożeństwo. Chociaż w pozostałe dni tygodnia piwem handlowano od szóstej rano do północy, w niedzielę sprzedaż kończono wcześniej, na chwałę Wszechmogącego.

Jake kupił sześciopak w sklepie spożywczym Batesa i polecił swojemu szoferowi, aby ruszył nad jezioro. Stary ford bronco Harry'ego Rexa miał dziesięć centymetrów zaschłego błota na drzwiach i błotnikach. Guma opon była właściwie niewidoczna. Na przedniej szybie widniały pęknięcia, a tysiące martwych owadów powodowały, że widoczność była niebezpiecznie ograniczona. Nalepka kontroli technicznej pochodziła sprzed trzech lat i była niewidoczna z zewnątrz. Podłogę zaścielała warstwa pustych puszek i rozbitych butelek. Klimatyzacja nie działała od sześciu lat. Jake zasugerował, aby pojechali saabem, ale Harry Rex sklął go za głupie pomysły. Czerwony saab stanowił łatwy cel dla snajperów, a nikt nie będzie podejrzewał, że podróżują bronco.

Jechali wolno w kierunku jeziora, nie mając na myśli żadnego konkretnego miejsca. Z magnetofonu zawodził Willie Nelson. Harry Rex rytmicznie uderzał kierownicę i nucił razem z nim. Kiedy mówił, jego głos był ochrypły i szorstki, ale gdy śpiewał, stawał się okropny. Jake sączył piwo i wypatrywał słońca przez przednią szybę.

Niebawem mogło się zrobić naprawdę gorąco. Z Południowego zachodu nadciągnęły ciemne chmury. Kiedy mijali bar Hueya, na spieczoną ziemię spadły pierwsze krople deszczu. Zmyły i

usunęły kurz z kudzu, które rosły wzdłuż koryta drogi i zwisało z drzew niczym hiszpański mech. Ochłodziły rozgrzany chodnik i utworzyły lepką mgiełkę wiszącą metr nad autostradą. Czerwone spieczone studzienki kanalizacyjne połykały wodę, a gdy się wypełniły, małe strużki zaczęły spływać do odpływów na polach i do przydrożnych rowów. Strugi deszczu podtopiły pola bawełny i soi, przygniotły rzędy roślin, aż między łodygami utworzyły się małe kałuże.

Co dziwne, wycieraczki bronco działały, jak oszalałe wachlując tam i z powrotem, usuwając błoto i kolekcję owadów. Burza się nasiliła, a Harry Rex podkręcił muzykę.

Czarni z wędziskami i w słomkowych kapeluszach schronili się pod mostem, czekając, aż ulewa minie. Poniżej ożyły spokojne rzeczułki. Błotnista breja z pól i rowów sunęła w dół, powodując, że małe strumyki i potoki występowały z brzegów. Woda podnosiła się i spływała do jeziora. Czarni jedli mortadelę z krakersami i snuli wędkarskie opowieści.

Harry Rex był głodny, więc zajrzeli do sklepu spożywczego Treadway's niedaleko jeziora. Kupili więcej piwa, dwa dania z suma oraz dużą torbę pasków wieprzowiny z czerwoną papryką i przyprawą kajuńską. Vonner rzucił ją Jake'owi.

Minęli tamę w oślepiających strugach deszczu. Harry Rex zaparkował obok małego pawilonu nad terenem piknikowym. Usiedli na betonowym stoliku i patrzyli, jak deszcz smaga jezioro Chatulla. Jake pił piwo, a Harry Rex konsumował dwie porcje suma.

— Kiedy zamierzasz powiedzieć Carli? — zapytał, siorbiąc piwo.

Cynowy dach brzęczał nad ich głowami.

— O czym?

— O domu.

— Nic jej nie powiem. Mam nadzieję, że zdołam go odbudować, zanim wróci.

— Do końca następnego tygodnia?!

— Taak.

— Jake, ty pękasz. Za dużo pijesz. Odebrało ci rozum.

— Zasłużyłem na to. Zapracowałem sobie. Dzielą mnie dwa tygodnie od bankructwa. Niebawem przegram najważniejszą sprawę w karierze, za którą zapłacono mi dziewięćset dolarów. Mój piękny dom, któremu wszyscy robili zdjęcia, a starsze panie z Garden Clubu próbowały opisać w „Southern Living", zamienił się w zgliszcza. Żona mnie zostawiła, a gdy usłyszy, co się stało z domem, wystąpi o rozwód. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Stracę żonę. A kiedy moja córka dowie się, że jej ukochany pies zginął w płomieniach, znienawidzi mnie do końca życia. Wyznaczono nagrodę za moją głowę. Zbiry z Klanu mnie szukają. Strzelają snajperzy. W szpitalu leży żołnierz z moją kulką w kręgosłupie. Stanie się warzywem, a ja ani na chwilę nie przestanę o nim myśleć. Mąż mojej sekretarki zginął przeze mnie. Młoda dziewczyna leży w szpitalu z punkową fryzurą i wstrząśnieniem mózgu, bo dla mnie pracowała. Sędziowie przysięgli uważają mnie za zakłamanego oszusta z powodu eksperta, którego powołałem na świadka. Klient chce mnie zwolnić. Kiedy zostanie skazany, wszyscy będą winić mnie. Carl Lee wniesie apelację i zatrudni innego prawnika, któregoś z cwaniaków pracujących dla ACLA. Pewnie mnie pozwą, twierdząc, że udzieliłem klientowi niefachowej pomocy procesowej. Będą mieli rację, więc dokopią mi za błąd w sztuce. W ten sposób stracę żonę, córkę, dom, pracę, klientów i pieniądze. Nic mi nie zostanie.

— Jake, ty potrzebujesz psychiatry. Myślę, że powinieneś się umówić na sesję z doktorem Bassem. Masz tu piwo.

— Pewnie przeprowadzę się do Luciena i będę całymi dniami przesiadywał na werandzie.

— Mógłbym się przeprowadzić do twojej kancelarii?

— Myślisz, że się ze mną rozwiedzie?

— Oczywiście, aktualnie prowadzę cztery rozwody. Pozwy wniesiono właściwie bez powodu.

— Z Carlą będzie inaczej. Carla wie, że wielbię ziemię, po której stąpa.

— Może faktycznie będzie spała na ziemi, kiedy wróci do Clanton.

— Nie, sprawimy sobie przytulną przyczepę kempingową podwójnej szerokości. Przyda się nam do zakończenia procedury bankructwa. Później znajdziemy inny stary dom i zaczniemy wszystko od nowa.

— Pewnie znajdziemy ci nową żonę i ogłosisz nowy początek. Czemu Carla miałaby porzucić elegancki dom nad morzem i zamieszkać w przyczepie kempingowej w Clanton?

— Bo w tej przyczepie będę ja.

— To może nie wystarczyć, Jake. Będziesz pijany, bez grosza przy duszy, wykluczony z palestry, gnieżdżący się w przyczepie. Skompromitowany publicznie. Zapomną o tobie wszyscy przyjaciele oprócz mnie i Luciena. Ona nigdy nie wróci. To koniec, Jake. Jako twój przyjaciel i prawnik od rozwodów radzę ci, żebyś pierwszy złożył pozew. Zrób to natychmiast. Choćby jutro. Nigdy się nie dowie, co ją uderzyło.

— Czemu miałbym złożyć pozew rozwodowy?

— Bo ona to zrobi. Będziemy pierwsi. Powiemy, że porzuciła cię w godzinie potrzeby.

— Czy to wystarczy do otrzymania rozwodu?

— Nie, ale jednocześnie ogłosimy, że zwariowałeś, że zapadłeś na przejściową niepoczytalność. Nie pamiętasz? Zasada M'Naghtena! Zapomniałeś, że jestem obmierzłym prawnikiem od rozwodów?

— Jakże bym mógł.

Jake nalał sobie ciepłego piwa z zapomnianej butelki i otworzył kolejną. Deszcz osłabł, a chmury zaczęły się rozpraszać. Od strony jeziora powiał chłodny wiatr.

— Oni go skażą, prawda, Harry? — spytał, wpatrując się w odległe jezioro.

Harry Rex przestał jeść i otarł usta. Położył na stole papierowy

talerz i pociągnął tęgi łyk piwa. Podmuch wiatru opryskał mu twarz kropelkami wody. Otarł ją rękawem.

— Taak, Jake. Twój klient jest załatwiony. Widziałem to w ich oczach. Brednie o niepoczytalności nie poskutkowały. Zacznijmy od tego, że nie chcieli uwierzyć Bassowi, a kiedy Buckley spuścił mu portki, było po sprawie. Carl Lee też w żaden sposób sobie nie pomógł. Klepał jak katarynka i był zbyt szczery. Jakby ich błagał o współczucie. Okazał się marnym świadkiem. Przyglądałem się sędziom przysięgłym, kiedy zeznawał. Nie zauważyłem, aby któryś udzielił mu wsparcia. Skażą go, Jake. Skażą i to szybko.

— Dzięki za szczerość.

— Jestem twoim przyjacielem. Myślę, że powinieneś się przygotować do usłyszenia wyroku skazującego i długiej apelacji.

— Coś ci powiem, Harry Rexie. Żałuję, że w ogóle usłyszałem o Carlu Lee Haileyu.

— Myślę, że już na to za późno, Jake.

Sallie otworzyła drzwi i powiedziała Jake'owi, że przykro jej z powodu domu. Lucien siedział na górze, w swoim gabinecie. Był trzeźwy i pracował. Wskazał krzesło Jake'owi. Biurko zaścielały zapisane notatniki.

— Spędziłem całe popołudnie, pracując nad mową końcową — powiedział, wskazując stertę papierów zaścielającą biurko. — Jedyną nadzieją na ocalenie Haileya jest oszałamiająca mowa końcowa. Mam na myśli jedną z największych mów końcowych w dziejach jurysprudencji. Będziemy potrzebowali czegoś takiego kalibru.

— Dlatego stworzyłeś arcydzieło.

— Szczerze mówiąc, tak. To znacznie lepsze od wszystkiego, co słyszałeś. Słusznie pomyślałem, że spędzisz niedzielne popołudnie na opłakiwaniu domu i topieniu smutku w piwie Coors. Wiedziałem, że niczego nie przygotujesz, więc zrobiłem

to za ciebie.

— Żałuję, że nie potrafiłem być tak trzeźwy jak ty, Lucienie.

— Byłem lepszym prawnikiem pijany niż ty na trzeźwo.

— Ja przynajmniej jeszcze nim jestem.

Lucien rzucił w niego notatnikiem.

— Masz. To kompilacja moich najmocniejszych argumentów końcowych. Lucien Wilbanks u szczytu swoich możliwości, na wasze usługi. Carla Lee i twoje. Sugeruję, żebyś nauczył się tekstu na pamięć. Zacytuj go słowo w słowo. Mowa jest naprawdę dobra. Nie próbuj jej zmieniać ani improwizować, bo wszystko spieprzysz.

— Pomyślę o tym, a sprawę spieprzyłem już wcześniej. Nie pamiętasz?

— Nie wiesz, co masz w ręku.

— Do licha, Lucienie! Daj mi spokój!

— Spokojnie, Jake. Wypijmy drinka. Sallie! Sallie!

Jake cisnął arcydzieło na kanapę i podszedł do okna wychodzącego na podwórko. Kiedy Sallie wbiegła na górę, Lucien zamówił whiskey i piwo.

— Nie spałeś w nocy? — spytał Lucien.

— Skądże. Drzemałem od dwudziestej trzeciej do dwudziestej czwartej.

— Wyglądasz potwornie. Powinieneś się porządnie wyspać.

— Czuję się fatalnie. Sen nie pomoże. Nic nie pomoże z wyjątkiem zakończenia tego procesu. Nie rozumiem, Lucienie. Nie rozumiem, jak wszystko mogło pójść tak źle. Jestem przekonany, że Bóg jest każdemu winien odrobinę szczęścia. Proces nie powinien odbyć się w Clanton. Dostaliśmy najgorszą ławę przysięgłych z możliwych — sędziów przysięgłych, przy których majstrowano. Oczywiście, nie mogę tego dowieść. Nasz kluczowy świadek został rozniesiony w pył. Oskarżony marnie zeznawał. Poza tym sędziowie nie ufają mi za grosz. Nie wiem, co jeszcze mogłoby pójść źle.

— Nadal możesz wygrać tę sprawę, Jake. Trzeba cudu, ale

cuda czasem się zdarzają. Wiele razy wyszarpnąłem zwycięstwo z zębisk klęski skuteczną mową końcową. Skoncentruj uwagę na jednym lub dwóch przysięgłych. Graj przed nimi. Mów do nich. Pamiętaj, że wystarczy jeden, aby nie zapadł wyrok.

— Mam ich zmusić do płaczu?

— Jeśli potrafisz. Wiem, że nie jest to łatwe, ale wierzę w siłę łez w ławie przysięgłych. Łzy są bardzo skuteczne.

Sallie przyniosła drinki. Po zapadnięciu zmroku podała im kanapki i smażone ziemniaki. O dwudziestej drugiej Jake się pożegnał i oddalił do swojego pokoju. Zadzwonił do Carli i rozmawiali godzinę. Ani razu nie wspomniał o domu. Poczuł skurcz w żołądku, kiedy usłyszał jej głos i zdał sobie sprawę, że niebawem będzie musiał powiedzieć, że jej ukochany dom przestał istnieć. Odłożył słuchawkę i zmówił modlitwę, aby nie przeczytała o tym w gazecie.

Rozdział 40

W poniedziałek rano Clanton powróciło do normalności. Wokół placu ponownie ustawiono barykady i pojawili się żołnierze, aby stać na straży porządku publicznego. Szwendali się w luźnej formacji, obserwując, jak członkowie Ku-Klux-Klanu wracają na swoje miejsce z jednej strony trawnika, a czarni demonstranci zajmują drugą. Dzień odpoczynku sprawił, że obie grupy odzyskały energię i o ósmej trzydzieści zaczęły się przekrzykiwać gromkim chórem. Zdemaskowanie doktora Bassa stało się sensacją dnia, a zwolennicy Klanu wietrzyli zwycięstwo. Oprócz tego zaliczyli jedno bezpośrednie trafienie na Adams Street. Wydawali się hałasować głośniej niż zwykle.

O dziewiątej Noose wezwał do siebie pełnomocników stron.

— Chciałem tylko sprawdzić, czy żyjecie i jesteście zdrowi. — Uśmiechnął się do Jake'a.

— Pocałuj mnie w dupę — mruknął pod nosem Jake, na tyle głośno, żeby wszyscy usłyszeli. Prokuratorzy zamarli, a pan Pate odchrząknął nerwowo.

Noose nastawił ucha, jakby miał problemy ze słuchem.

— Co pan powiedział, panie Brigance?

— Spytałem: „Czy moglibyśmy już zacząć, panie sędzio?”.

— Tak mi się zdawało. Jak się czuje pańska asystentka, panna Roark?

— Wyzdrowieje.

— Czy to sprawka Klanu?

— Tak, panie sędzio. Tego samego, który próbował mnie zabić. Który palił krzyże w całym okręgu i Bóg jeden wie, co jeszcze zrobił przysięgłym. Tego samego, który najpewniej próbował zastraszyć większość sędziów zasiadających w ławie przysięgłych. Tak, proszę pana, to ten sam Klan.

Noose przetarł okulary.

— Czy może pan to udowodnić?

— Pyta pan, czy mam pisemne, podpisane i poświadczone notarialnie przyznanie się do winy członków Klanu? Nie, Wysoki Sądzie. Odmówili współpracy.

— Jeśli nie może pan niczego udowodnić, panie Brigance, proszę więcej o tym nie wspominać.

— Tak jest, Wysoki Sądzie.

Jake wyszedł z gabinetu, trzaskając za sobą drzwiami. Kilka sekund później pan Pate przywołał salę do porządku i wszyscy powstali. Noose powitał przysięgłych i obiecał, że ich trudy niebawem dobiegną końca. Mieli za sobą samotny nudny weekend w motelu Temple Inn, więc żaden się nie uśmiechnął.

— Czy oskarżenie chce odpowiedzieć na stanowisko obrony? — spytał Buckleya.

— Mamy jednego świadka — zakomunikował Buckley.

Z pokoju dla świadków sprowadzono doktora Rodeheavera. Lekarz ostrożnie usadowił się w ławie dla świadków i uprzejmie skinął głową sędziom przysięgłym. Prezentował się jak urodzony psychiatra: czarny garnitur i żadnych kowbojskich butów.

Buckley wszedł na podium i uśmiechnął się do przysięgłych.

— Czy jest pan doktorem Wilbertem Rodeheaverem? — zagrzmiał, spoglądając na przysięgłych, jakby chciał powiedzieć:

„Nareszcie widzę prawdziwego psychiatrę”.

— Tak, proszę pana.

Buckley zaczął zadawać pytania, miliony pytań o jego wykształcenie i doświadczenie zawodowe. Rodeheaver był pewny siebie, rozluźniony, przygotowany i przywykły do zasiadania w ławie dla świadków. Rozwodził się o swoim gruntownym wykształceniu, bogatym doświadczeniu medycznym i ostatnim ogromnym wyzwaniu, jakie stawiała praca na stanowisku dyrektora szpitala psychiatrycznego. Buckley zapytał, czy ma na swoim koncie jakieś artykuły z dziedziny psychiatrii. Rodeheaver przytaknął i pół godziny rozmawiali o dorobku tego uczonego męża. Psychiatra otrzymał wiele grantów na badania od władz federalnych i władz różnych stanów. Był członkiem wszystkich organizacji, do których należał Bass, oraz paru innych. Posiadał dyplomy wszystkich towarzystw choćby w najsłabszym stopniu związanych z badaniem ludzkiego umysłu. Jednym słowem był trzeźwy i błyskotliwy.

Buckley przedstawił go jako biegłego, a Jake nie zgłosił żadnych zastrzeżeń.

— Doktorze Rodeheaver — podjął Buckley — kiedy pierwszy raz zbadał pan Carla Lee Haileya?

Biegły zerknął do notatek.

— Dziewiętnastego czerwca.

— Gdzie miało miejsce badanie?

— W moim gabinecie w Whitfield.

— Jak długo trwało?

— Kilka godzin.

— Jaki był cel badania?

— Chcieliśmy określić obecny stan psychiczny pana Haileya oraz stan, w którym się znajdował w dniu zabójstwa panów Cobba i Willarda.

— Czy przeanalizował pan jego historię medyczną?

— Większość informacji zebrali moi asystenci ze szpitala. Sprawdziłem je razem z panem Haileyem.

— Co pan ustalił?

— Nic szczególnego. Pan Hailey dużo mówił o Wietnamie, ale nie zauważyłem niczego wyjątkowego.

— Czy swobodnie rozmawiał na temat wojny?

— Tak, jak najbardziej. Pragnął tego. Odniosłem wrażenie, jakby chciał jak najdłużej o tym mówić.

— Co jeszcze ustalono podczas pierwszego badania?

— Omówiliśmy wiele kwestii. Jego dzieciństwo, sytuację rodzinną, wykształcenie, prace, które wykonywał. Niemal wszystko.

— Czy opowiadał o gwałcie popełnionym na jego córce?

— Tak, ze szczegółami. Mówił o tym z bólem. Czułbym się podobnie, gdyby taka tragedia spotkała moją córkę.

— Czy opowiadał o wydarzeniach, które doprowadziły do zastrzelenia Cobba i Willarda?

— Tak, rozmawialiśmy o tym jakiś czas. Chciałem się upewnić, w jakim stopniu rozumie to, co się stało.

— Co Hailey panu powiedział?

— Początkowo niewiele, ale po pewnym czasie się otworzył i opisał, jak zbadał pomieszczenia sądu trzy dni przed zabójstwem i wybrał najlepsze miejsce do ataku.

— Co powiedział o samym zdarzeniu?

— Nigdy nie wspominał o strzelaninie. Stwierdził, że niewiele pamięta, ale podejrzewam co innego.

Jake skoczył na równe nogi.

— Sprzeciw! Świadek może zeznawać jedynie o tym, co wie. Doktor Rodeheaver nie może snuć spekulacji.

— Podtrzymuję sprzeciw. Niech pan kontynuje, doktorze Buckley.

— Co jeszcze pan zaobserwował? Mam na myśli nastrój, postawę i sposób mówienia oskarżonego?

Rodeheaver założył nogę na nogę i lekko zakołysał się na krześle. Przymknął oczy, jakby się pogrążył w głębokiej zadumie.

— Początkowo był nieufny wobec mnie, nie potrafił spojrzeć

mi prosto w oczy. Udzielał krótkich odpowiedzi na zadawane pytania. Był zły, że przebywa pod strażą, skuty kajdankami. Dziwił się, że ściany jego pokoju są obite gąbką. Po chwili jednak się otworzył i rozmawiał swobodnie niemal o wszystkim. Zdecydowanie odmówił udzielenia odpowiedzi na kilka pytań, ale powiedziałbym, że ogólnie był chętny do współpracy.

— Kiedy i gdzie zbadał go pan ponownie?

— Następnego dnia, w tym samym miejscu.

— W jakim był nastroju? Jaką miał postawę?

— Podobną jak wcześniej. Z początku chłodny, w końcu się otworzył. Zasadniczo omawialiśmy te same kwestie co poprzedniego dnia.

— Jak długo trwało badanie?

— Około czterech godzin.

Buckley wyjął coś z notatnika, a później szepnął do Musgrove'a.

— Doktorze Rodeheaver, czy na podstawie badań przeprowadzonych dziewiętnastego i dwudziestego czerwca może pan postawić medyczną diagnozę ówczesnego stanu pacjenta?

— Tak, proszę pana.

— Jak ona brzmi?

— Dziewiętnastego i dwudziestego czerwca pan Hailey wydawał się całkowicie zdrowy psychicznie. Powiedziałbym, zupełnie normalny.

— Dziękuję. Czy na podstawie wspomnianych badań może pan postawić diagnozę dotyczącą stanu umysłu pana Haileya w dniu zabójstwa Billy'ego Raya Cobba i Pete'a Willarda?

— Tak.

— Jaka jest pańska diagnoza?

— W chwili popełnienia zabójstwa pan Hailey był zdrowy psychicznie i nie cierpiał na żadne upośledzenie umysłowe.

— Na jakich przesłankach opiera pan tę opinię?

Rodeheaver odwrócił się do sędziów przysięgłych i zamienił w profesora.

— Trzeba przeanalizować stopień premedytacji cechujący popełnione przestępstwo. Jego elementem są motywy działania. Pan Hailey z pewnością miał powód, aby zabić. Stan, w którym się wówczas znajdował, nie wykluczał jednak starannego przemyślenia szczegółów zbrodni. Szczerze mówiąc, pan Hailey dokładnie zaplanował to, co zrobił.

— Doktorze Rodeheaver, czy słyszał pan o zasadzie M'Naghtena? O teście badającym odpowiedzialność karną oskarżonego?

— Oczywiście.

— Czy wie pan, że inny psychiatra, doktor W.T. Bass, powiedział sędziom przysięgłym, iż pan Hailey nie był zdolny do odróżnienia dobra i zła? Co więcej, że nie był zdolny zrozumieć i ocenić natury oraz charakteru swoich działań?

— Wiem.

— Czy zgadza się pan z tą opinią?

— Nie. Uważam ją za niedorzeczną. Czuję się nią osobiście urażony. Pan Hailey zeznał, że zaplanował zabójstwa. Przyznał tym samym, że jego stan psychiczny w tamtym czasie nie pozbawił go zdolności planowania. W każdym podręczniku prawniczym i medycznym określa się to mianem premedytacji. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś zaplanował zabójstwo, przyznał się do tego, a następnie twierdził, że nie wiedział, co czyni. To jakiś absurd.

Jake pomyślał, że to faktycznie absurd. Słowa psychiatry odbiły się głośnym echem na sali, wzmacniając absurdalność hipotezy o niepoczytalności Haileya. Jake przypomniał sobie Bassa, przeklinając siebie za to, że powołał go na biegłego.

Lucien, który siedział wśród czarnych, zgadzał się z każdym słowem Rodeheavera. W porównaniu z Bassem psychiatra powołany przez oskarżenie wydawał się nieprzyzwoicie wiarygodny. Lucien Wilbanks nie patrzył na ławę przysięgłych. Od czasu do czasu bez poruszania głowy spoglądał kątem oka na Clyde'a Sisco. Za to Sisco gapił się na niego nachalnie i

zuchwale. Lucien nie pozwolił, żeby ich spojrzenia się spotkały. Posłaniec nie zadzwonił w poniedziałek rano, jak mu kazano. Przytaknięcie głową lub mruganie okiem Luciena oznaczałoby sfinalizowanie umowy i przekazanie zapłaty po ogłoszeniu werdyktu. Nie dał żadnego znaku, bo chciał omówić sprawę z Jakiem.

— Doktorze, czy na podstawie poznanych faktów i diagnozy stanu psychicznego pana Haileya z dwudziestego maja wyrobił pan sobie opinię, z dużą dozą medycznej pewności, w kwestii tego, czy był on zdolny do odróżnienia dobra i zła w chwili, gdy strzelał do Billy'ego Raya Cobba, Pete'a Willarda i funkcjonariusza z biura szeryfa, DeWayne'a Looneya?

— Tak.

— Jaka jest pańska opinia?

— Był zdrowy psychicznie i doskonale potrafił odróżnić dobro od zła.

— Czy wspomniane fakty umożliwiły panu sformułowanie opinii w kwestii tego, czy pan Hailey był zdolny do zrozumienia i oceny natury oraz charakteru swoich działań?

— Oczywiście.

— Jaka jest pańska opinia?

— Uważam, że doskonale wiedział, co robi.

Buckley skłonił się uprzejmie i sięgnął po notatnik.

— Dziękuję panu, doktorze. Nie mam więcej pytań.

— Czy obrona ma pytania do świadka? Panie Brigance?

— Tylko kilka.

— Tak sądziłem. Zarządzam piętnastominutową przerwę.

Jake zignorował Carla Lee i szybko wyszedł z sali. Ruszył w kierunku schodów, udając się do biblioteki prawniczej na trzecim piętrze. W środku czekał uśmiechnięty Harry Rex.

— Rozluźnij się, Jake. Zadzwoniłem do każdej gazety w Karolinie Północnej. W żadnej nie ma wzmianki o domu ani Row Ark. Poranna gazeta z Raleigh zamieściła notatkę o procesie, ale jest utrzymana w bardzo ogólnym tonie. Twoja

żona pewnie nadal sądzi, że jej śliczny mały domek stoi nietknięty.

— To wspaniale! Po prostu wspaniale! Dziękuję, Harry!

— Nie wspominaj o tym. Posłuchaj, Jake... znienawidzę się za to, co za chwilę powiem...

— Nie mogę się doczekać.

— Wiesz, jak nie cierpię Buckleya. Nienawidzę go bardziej niż ty, ale z Musgrove'em układa mi się całkiem nieźle. Ostatniej nocy zastanawiałem się, czy nie byłoby dobrym rozwiązaniem zwrócić się do oskarżenia z propozycją ugody. Wiesz, za pośrednictwem mnie i Musgrove'a...

— Wykluczone!

— Posłuchaj, Jake. Co ci szkodzi? Nic nie stracisz! Jeśli zaproponujesz, że klient przyzna się do winy, pod warunkiem że uniknie komory gazowej, ocalisz mu życie.

— Nie!

— Jake! Za czterdzieści osiem godzin twój klient usłyszy wyrok śmierci. Jesteś ślepy, jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy. Mój przyjaciel jest ślepy.

— Czemu Buckley miałby pójść na ugodę? Ma nas w garści.

— Może nie. Pozwól, że przynajmniej wybadam sytuację.

— Nie, Harry. Zapomnij o tym.

⅄ ⅄ ⅄

Po przerwie doktor Rodeheaver wrócił na miejsce dla świadków. Jake spojrzał na niego zza podium. Podczas swojej krótkiej prawniczej kariery nigdy nie udało mu się zakwestionować opinii biegłego. Pamiętając, ile miał szczęścia, postanowił, że także tym razem nie będzie kwestionować jego opinii.

— Doktorze Rodeheaver, czy psychiatria jest nauką zajmującą się badaniem ludzkiego umysłu?

— Tak.

— Czyli, najoględniej mówiąc, nie jest nauką ścisłą?

— Tak, to prawda.

— Czy jeden psychiatra może zbadać człowieka i postawić jedną diagnozę, a drugi na tej samej podstawie sformułować zupełnie inną?

— Tak, to możliwe.

— Czy po zbadaniu pacjenta dziesięciu psychiatrów może dojść do dziesięciu zupełnie odmiennych wniosków na temat tego, co mu dolega?

— To mało prawdopodobne.

— Ale może się zdarzyć, prawda doktorze?

— Tak, może. Podobnie jak w przypadku opinii innych biegłych.

— W tym przypadku nie chodzi o opinie prawne, prawda, doktorze?

— Nie.

— Czy to prawda, że w wielu przypadkach psychiatria nie potrafi określić, co dolega umysłowi pacjenta?

— Tak, to prawda.

— A psychiatrzy są stale odmiennego zdania? Czy tak, doktorze?

— Oczywiście.

— Dla kogo pan pracuje, panie Rodeheaver?

— Zatrudnia mnie stan Missisipi.

— Od dawna?

— Od jedenastu lat.

— Kto oskarża pana Haileya w tym procesie?

— Stan Missisipi.

— Ile razy w ciągu swojej jedenastoletniej pracy dla stanu zeznawał pan w procesach, w których powołano się na niepoczytalność oskarżonego?

Rodeheaver zastanowił się chwilę.

— Myślę, że to mój czterdziesty trzeci proces.

Jake zajrzał do notatnika i spojrzał na psychiatrę ze złośliwym uśmieszkiem.

— Jest pan pewien, że nie czterdziesty szósty?

— To możliwe. Nie jestem pewien.

Na sali zapadła cisza. Buckley i Musgrove pochylili się nad notatnikami, uważnie obserwując swojego eksperta.

— Czy zeznawał pan jako ekspert stanu w czterdziestu sześciu procesach?

— Skoro pan tak mówi.

— I czterdzieści sześć razy zeznał pan, że oskarżony nie jest niepoczytalny? Czy tak, doktorze?

— Nie jestem pewny.

— Cóż, powiedzmy to jasno. Zeznawał pan czterdzieści sześć razy i czterdzieści sześć razy wyraził opinię, że oskarżony nie jest niepoczytalny. Czy tak?

Rodeheaver z lekka się skrzywił, wyraźnie zakłopotany.

— Nie jestem pewny.

— Czy nigdy nie spotkał pan oskarżonego, który byłby niepoczytalny w sensie prawnym, doktorze?

— Oczywiście, że spotkałem.

— Doskonale. Byłby pan łaskaw podać nam jego nazwisko oraz miasto, w którym był sądzony?

Buckley wstał i rozpiął marynarkę.

— Wysoki Sądzie, oskarżenie sprzeciwia się tym pytaniom. Nie można żądać, aby doktor Rodeheaver pamiętał nazwiska i miasta, gdzie odbywały się procesy, w których zeznawał.

— Oddalam sprzeciw. Proszę siadać. Zechce pan odpowiedzieć na pytanie, doktorze?

Rodeheaver westchnął głęboko i spojrzał w sufit. Jake rzucił okiem na przysięgłych. Byli czujni i czekali na odpowiedź.

— Nie potrafię sobie przypomnieć — odrzekł w końcu.

Jake uniósł gruby plik papierów i machnął nimi przed nosem świadka.

— Czy powodem, dla którego nie może pan sobie przypomnieć nie jest to, że w ciągu jedenastu lat, biorąc udział w czterdziestu sześciu procesach, ani razu nie zeznawał pan na

korzyść oskarżonego?

— Powiem uczciwie, nie pamiętam.

— Czy może pan uczciwie wymienić choć jeden proces, w którym uznał pan, że oskarżony jest niepoczytalny w sensie prawnym?

— Jestem pewny, że musiało się to zdarzyć.

— Proszę odpowiedzieć „tak” lub „nie”. Niech pan wskaże choć jeden proces.

Ekspert spojrzał przelotnie na prokuratora okręgowego.

— Nie potrafię. Pamięć mnie zawodzi w tej kwestii. Nie umiem sobie przypomnieć.

— Doktorze Rodeheaver, czy pamięta pan, jak zeznawał w procesie niejakiego Danny’ego Bookera? W okręgu McMurphy, w grudniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego? Makabryczne podwójne morderstwo?

— Pamiętam ten proces.

— Przedstawił pan opinię, że Booker nie jest niepoczytalny, prawda?

— Tak.

— Czy pamięta pan, ilu psychiatrów powołała obrona?

— Niezupełnie. Pewnie kilku.

— Czy nazwiska Noel McClacky, O.G. McGuire i Lou Watson coś panu mówią?

— Tak.

— Czy wszyscy są psychiatrami?

— Tak.

— Czy wszyscy mają wysokie kwalifikacje?

— Tak.

— Czy wszyscy zbadali pana Bookera, a następnie zeznali, że ich zdaniem nieszczęśnik jest niepoczytalny w sensie prawnym?

— Tak, to prawda.

— Ilu lekarzy poparło pańskie stanowisko?

— O ile pamiętam, żaden.

— Było zatem trzech przeciwko jednemu?

— Tak, mimo to pozostałem przy swoim zdaniu.

— Rozumiem. Jaką decyzję podjęli przysięgli, doktorze?

— Cóż, uznali Bookera za niewinnego z powodu niepoczytalności.

— Dziękuję. Panie doktorze, jest pan dyrektorem szpitala psychiatrycznego w Whitfield, prawda?

— Tak.

— Czy jest pan bezpośrednio, czy pośrednio odpowiedzialny za leczenie każdego pacjenta w tym zakładzie?

— Ponoszę za nich bezpośrednią odpowiedzialność, panie Brigance. Mogę nie mieć osobistego kontaktu z każdym pacjentem, ale ich lekarze pozostają pod moim nadzorem.

— Dziękuję panu. Doktorze, gdzie Danny Booker przebywa obecnie?

Rodeheaver spojrzał rozpaczliwie na Buckleya, aby chwilę później skrzętnie to ukryć, posyłając rozluźniony, serdeczny uśmiech ławie przysięgłych. Wahał się kilka sekund, o sekundę za długo.

— Przebywa w Whitfield, prawda? — spytał Jake tonem osoby, która wie, że odpowiedź jest twierdząca.

— Tak sądzę — odrzekł Rodeheaver.

— A zatem pozostaje pod pańską bezpośrednią opieką. Czy tak, doktorze?

— Tak.

— Jaką chorobę u niego wykryto, doktorze?

— Naprawdę nie wiem. Mam wielu pacjentów i...

— Czy chodzi o schizofrenię paranoidalną?

— To możliwe. Tak.

Jake zrobił krok do tyłu i oparł się o poręcz.

— Doktorze Rodeheaver, chciałbym, żeby przysięgli usłyszeli to wyraźnie — powiedział nieco głośniej. — W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku zeznał pan, że Danny Booker był poczytalny w sensie prawnym i zdawał sobie sprawę z tego,

co robił, popełniając przestępstwo. Sędziowie przysięgli się z panem nie zgodzili i uznali go za niewinnego. Od tego czasu pan Booker jest pańskim pacjentem i przebywa w szpitalu, który pan prowadzi. Jest leczony pod pana nadzorem, jako pacjent cierpiący na schizofrenię paranoidalną. Czy tak?

Uśmiech zakłopotania na twarzy Rodeheavera upewnił przysięgłych, że faktycznie tak jest.

Jake podniósł inną kartę i spojrzał tak, jakby ją oglądał.

— Czy pamięta pan, jak zeznawał w procesie niejakiego Adama Coucha? W okręgu Dupree, w maju tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku?

— Pamiętam tę sprawę.

— Couch był oskarżony o gwałt, prawda?

— Tak.

— A pan zeznawał jako ekspert stanu przeciwko panu Couchowi?

— Owszem.

— Czy powiedział pan przysięgłym, że Couch nie był niepoczytalny w sensie prawnym?

— Tak zeznałem.

— Czy pamięta pan, ilu lekarzy zeznawało w jego obronie? Ilu powiedziało sędziom przysięgłym, że jest ciężko chorym człowiekiem? Że jest niepoczytalny w sensie prawnym?

— Kilku.

— Czy obiły się panu o uszy nazwiska następujących lekarzy: Felix Perry, Gene Shumate i Hobny Wicker?

— Tak.

— Czy wszyscy są dyplomowanymi psychiatrami?

— Tak.

— Czy wszyscy zeznali, że Couch był niepoczytalny w sensie prawnym?

— Tak.

— Czy był pan jedynym lekarzem w tym procesie, który twierdził, że oskarżony był poczytalny?

— O ile pamiętam, tak.

— Jaki werdykt wydała ława przysięgłych, doktorze?

— Uznała go za niewinnego.

— Z powodu niepoczytalności?

— Tak.

— Gdzie przebywa dziś pan Couch, doktorze?

— W Whitfield.

— Od kiedy tam jest?

— Od zakończenia procesu, jak sądzę.

— Rozumiem. Czy macie zwyczaj przyjmowania pacjenta i trzymania go kilka lat, jeśli jest całkowicie zdrowy na umyśle?

Rodeheaver przesunął się na krześle i zaczął kapować, o co chodzi. Spojrzał na swojego prawnika, prawnika zwykłych ludzi, jakby chciał powiedzieć, że ma tego dość. Jakby prosił, żeby Buckley coś zrobił i to przerwał.

Jake sięgnął po kolejne kartki.

— Doktorze, czy przypomina pan sobie proces niejakiego Buddy'ego Wooddalla? Okręg Cleburne, maj tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego?

— Tak, oczywiście.

— Proces o zabójstwo, prawda?

— Tak.

— Czy zeznawał pan jako specjalista z dziedziny psychiatrii i powiedział przysięgłym, że pan Wooddall był całkowicie poczytalny?

— Tak.

— Czy pamięta pan, ilu psychiatrów powołała obrona? Ilu powiedziało przysięgłym, że ten biedak był niepoczytalny w sensie prawnym?

— Pięciu, o ile pamiętam, panie Brigance.

— Dokładnie. Pięciu przeciwko jednemu. Czy pamięta pan, jaki werdykt wydała ława przysięgłych?

W ławie dla świadków zaczęła narastać frustracja i gniew. Mądry stary profesor znający odpowiedzi na wszystkie pytania

został zapędzony w kozi róg.

— Tak, pamiętam, że został uniewinniony z powodu niepoczytalności.

— Jak pan to wyjaśni, doktorze Rodeheaver? Pięciu przeciwko jednemu? Ława przysięgłych ponownie wydaje werdykt wbrew pańskiej opinii?

— Nie można mieć zaufania do przysięgłych — wybełkotał, zanim zdążył ugryźć się w język. Zaczął się wiercić, uśmiechając się niezręcznie do przysięgłych.

Jake posłał mu złośliwy uśmiech, a następnie spojrzał z niedowierzaniem na ławę przysięgłych. Złożył ręce i pozwolił, aby ostatnie słowa zapadły głęboko w ich pamięć. Czekał, patrząc i uśmiechając się do świadka.

— Może pan kontynuować, panie Brigance — rzekł w końcu Noose.

Jake wolno zebrał kartki, nie przestając patrzeć na Rodeheavera.

— Myślę, że nasłuchaliśmy się już dość tego świadka, Wysoki Sądzie.

— Jakieś pytania, panie Buckley?

— Nie, Wysoki Sądzie. Oskarżenie nie zgłasza żadnych pytań.

Noose odwrócił się do sędziów przysięgłych.

— Panie i panowie, proces zbliża się ku końcowi. Nie będzie więcej świadków. Spotkam się teraz z pełnomocnikami stron, żeby omówić pewne kwestie techniczne, a później obrońca i oskarżyciel zwrócą się do was z mową końcową. Wznowimy obrady o czternastej. Zajmie nam to kilka godzin. Około szesnastej przekażemy wam sprawę pod ostateczną rozwagę. Będziecie mieli czas do osiemnastej. Jeśli w dniu dzisiejszym nie wydacie werdyktu, zostaniecie odwiezieni do waszych kwater do jutra rana. Dochodzi jedenasta. Ogłaszam przerwę do czternastej. Zapraszam do siebie pełnomocników stron.

Carl Lee pochylił się i zagadał do swojego prawnika pierwszy raz od czasu sobotniej przerwy.

— Nieźle go załatwiłeś, Jake.
— Poczekaj na mowę końcową.

Jake celowo uniknął spotkania z Harrym Rexem i pojechał do Karaway. Do starego wiejskiego domu, w którym się wychował, położonego w centrum miasta, otoczonego starymi dębami, klonami i wiązami, w których cieniu panował chłód nawet w samym środku skwarnego lata. Z tyłu za drzewami rozciągało się pole długości kilometra, znikając za małym pagórkiem. W rogu nad krzakami widać było gęstą siatkę ogrodzenia. To tutaj Jake stawiał pierwsze kroki, uczył się jeździć na rowerze, rzucać piłkę i uderzać kijem baseballowym. Pod dębem w pobliżu pola pochował trzy psy, szopa, królika i parę kaczek. Obok małego cmentarza dyndała stara opona z buicka rocznik pięćdziesiąty czwarty.

Od dwóch miesięcy dom był zamknięty i opuszczony. Dzieciak z sąsiedztwa kosił trawę i opiekował się ogrodem. Jake zaglądał do domu raz w tygodniu. Rodzice byli gdzieś w Kanadzie wozem kempingowym, zgodnie ze swoim letnim rytuałem. Żałował, że nie pojechał z nimi.

Otworzył drzwi i wszedł na górę, do swojego pokoju. Nic się nie zmieniło. Ściany zdobiły zdjęcia zespołu, sportowe trofea, czapki baseballowe oraz plakaty Pete'a Rose'a, Archiego Manninga i Hanka Aarona. Nad drzwiami szafy wisiał rząd rękawic baseballowych. Na komodzie stało jego zdjęcie w todze i birecie. Matka sprzątała pokój co tydzień. Kiedyś powiedziała mu, że często wchodzi do środka, oczekując, iż znajdzie go pochylonego nad lekcjami lub układającego karty z podobiznami baseballistów. Przeglądała jego notatniki z wycinkami i miała łzy w oczach.

Pomyślał o pokoju Hanny pełnym wpychanych zwierzaków i tapecie z Babcią Gąską. Poczuł, że ściska go w gardle.

Wyjrzał przez okno za drzewa i ujrzał siebie kołyszącego się

na oponie obok trzech białych krzyży umieszczonych tam, gdzie pochował psy. Pamiętał każdy z pogrzebów i ojca obiecującego, że załatwi mu następnego czworonoga. Pomyślał o Hannie i jej psie. W jego oczach błysnęły łzy.

Łóżko wydawało się znacznie mniejsze. Zdjął buty i się położył. Z sufitu zwisał jego kask futbolowy. Ósma klasa. Drużyna Mustangów z Karaway. Zaliczył siedem przyłożeń w pięciu meczach. Wszystko zostało utrwalone na taśmie filmowej, która leżała na dole pod półką z książkami. Żołądek znowu mu podszedł do gardła.

Starannie rozłożył notatki na komodzie — własne, nie Luciena — i przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze.

Zwrócił się do sędziów przysięgłych. Zaczął od najpoważniejszego problemu, doktora W.T. Bassa. Przeprosił. Prawnik wchodzi na salę sądową, staje naprzeciw nieznajomych sędziów przysięgłych i nie ma im nic do zaoferowania oprócz własnej wiarygodności. Jeśli swoim postępowaniem ją nadszarpnął, zaszkodził sprawie i swojemu klientowi. Poprosił, aby uwierzyli, że nigdy nie powołałby człowieka skazanego za popełnienie ciężkiego przestępstwa na eksperta w jakiejkolwiek dziedzinie. Nie wiedział o wyroku. Uniósł rękę i złożył przysięgę. Świat jest pełen psychiatrów, więc mógłby z łatwością znaleźć innego, gdyby usłyszał, że Bass miał kiedykolwiek problemy z prawem, ale zwyczajnie o tym nie wiedział. Przykro mu z tego powodu.

Przejdźmy do zeznania Bassa. Trzydzieści lat temu w Teksasie uprawiał seks z dziewczyną poniżej osiemnastego rogu życia. Czy to oznacza, że kłamał w sprawie Haileya? Że nie można ufać jego fachowej opinii? Bądźcie sprawiedliwi wobec Bassa psychiatry, zapomnijcie o nim jako człowieku. Bądźcie sprawiedliwi wobec jego klienta, Carla Lee Haileya. On też nie wiedział o przeszłości doktora.

W przeszłości doktora Bassa jest coś, o czym być może chcieliby wiedzieć. Coś, o czym nie wspomniał pan Buckley, kiedy rozrywał go na strzępy. Dziewczyna, z którą uprawiał seks, miała siedemnaście lat. Później została jego żoną i urodziła mu syna. Była w kolejnej ciąży, kiedy razem z dzieckiem zginęli w katastrofie kolejowej...

— Sprzeciw! — wrzasnął Buckley. — Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Tego nie ma w materiale dowodowym.

— Podtrzymuję sprzeciw, panie Brigance. Proszę nie wspominać o faktach, które nie znalazły się w materiale dowodowym. Proszę sędziów przysięgłych, aby nie uwzględniali ostatnich słów pana Brigance'a.

Jake zignorował Noose'a i Buckleya, spoglądając z bólem na ławę przysięgłych.

Kiedy krzyki ucichły, mówił dalej. A doktor Rodeheaver? Ciekawe, czy ekspert oskarżenia kiedykolwiek uprawiał seks z dziewczyną poniżej osiemnastego roku życia. Poruszanie takich kwestii wydaje się śmieszne, nieprawdaż? Młodość Bassa i Rodeheavera wydaje się nieistotna, bo od tego czasu minęło prawie trzydzieści lat.

Lekarz powołany przez oskarżenie ma wyraźne uprzedzenia. To świetny specjalista znający tysiące chorób psychicznych, ale w procesach karnych nie potrafi rozpoznać, kiedy ma do czynienia z przypadkiem niepoczytalności. Jego świadectwo należy przyjąć z dużą rezerwą.

Sędziowie przysięgli patrzyli na niego, chłonąc każde słowo. Nie był sądowym kaznodzieją, jak jego przeciwnik. Wydawał się cichy i szczery. Zmęczony, niemal ranny.

Lucien był trzeźwy. Siedział z założonymi rękami i obserwował sędziów przysięgłych. Wszystkich z wyjątkiem Sisco. Mowa końcowa nie była jego, ale była dobra. Płynęła z serca.

Jake przeprosił za swój brak doświadczenia. Nie uczestniczył w tylu procesach co pan Buckley. Jeśli sprawia wrażenie

zielonego lub popełnił jakieś błędy, prosi, aby nie wykorzystywali ich przeciwko Carlowi Lee. To on, Jake, zawinił. Jest nowicjuszem próbującym dorównać swojemu wytrawnemu przeciwnikowi, który co miesiąc występuje w procesie o zabójstwo. Popełnił błąd w przypadku Bassa i wiele innych, dlatego prosi przysięgłych o wybaczenie.

Ma córkę. Jedynaczkę. Nie będzie miał więcej dzieci. Mała ma cztery, prawie pięć lat. Wokół niej obraca się cały jego świat. Jest dla niego kimś wyjątkowym. Jest jego małą dziewczynką. Jego obowiązkiem jest ją chronić. Łączy ich więź, której nie potrafi opisać. Mówił jakiś czas o małych dziewczynkach.

Carl Lee też ma córkę. Nazywa się Tonya. Siedzi w pierwszym rzędzie obok matki i braci. Jest piękną małą dziewczynką. Niedawno skończyła dziesięć lat. Nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Nigdy nie będzie mogła mieć własnej córki, ponieważ...

— Sprzeciw — przerwał Buckley, bez sięgania po krzyk.

— Podtrzymuję — odparł Noose.

Jake zignorował poruszenie. Przez chwilę mówił o gwałcie, tłumaczył, dlaczego jest gorszy od zabójstwa. Zabójstwo oznacza unicestwienie ofiary, która nie jest zmuszona żyć z tym, co ją spotkało. Z tragedią musi się uporać jej rodzina, ale nie ona sama. W przypadku gwałtu sytuacja przedstawia się znacznie gorzej. Ofiara zmaga się całe życie, próbując zrozumieć, zadając pytania i, co najgorsze, wiedząc, że gwałciciel nadal żyje. Że pewnego dnia może uciec lub zostać wypuszczony na wolność. Godzina po godzinie, dzień po dniu, ofiara myśli o gwałcie i zadaje sobie tysiące pytań. Odtwarza scenę gwałtu, krok po kroku, minuta po minucie, i cierpi równie mocno jak wtedy.

Jednak zbrodnią najgorszą ze wszystkich jest brutalne zgwałcenie dziecka. Zgwałcona kobieta rozumie, dlaczego do tego doszło. Czynu dokonało agresywne zwierzę ogarnięte nienawiścią i gniewem. Ale dziecko? Dziesięcioletnia dziewczynka? Wyobraźcie sobie, że jesteście rodzicami. Że

próbujecie wyjaśnić swojej córeczce, dlaczego została zgwałcona. Wyobraźcie sobie, że tłumaczycie, dlaczego nie będzie mogła mieć dzieci.

— Sprzeciw!

— Sprzeciw podtrzymany. Panie i panowie, proszę nie brać pod uwagę ostatniej wypowiedzi.

Jake nie dał się wytrącić z rytmu. Przypuśćmy, ciągnął, że zgwałcono waszą dziesięcioletnią córkę. Jesteście weteranem z Wietnamu i wiecie, jak się posługiwać M16. Karabin trafia wam w ręce, gdy mała dziewczynka walczy o życie w szpitalu. Przypuśćmy, że sprawca został schwytany, a sześć dni później zdołaliście znaleźć się w odległości trzech metrów od niego, gdy opuszcza budynek sądu. Widzicie go i macie przy sobie automat.

Co byście zrobili?

Pan Buckley powiedział nam, jak by postąpił. Opłakiwałby córkę, a później nadstawił drugi policzek i czekał w nadziei, że system wymiaru sprawiedliwości zadziała. Liczyłby, że gwałcicielowi zostanie wymierzona słuszna kara, że zostanie wysłany do Parchman i nigdy go nie ułaskawią. Pan prokurator właśnie tak by postąpił. Powinniśmy go podziwiać za to, że jest taką dobrą, wyrozumiałą i przebaczającą osobą. Ale jak postąpiłby zwyczajny rozsądny ojciec?

Jak on sam, Jake, zachowałby się na miejscu Carla Lee Haileya? Gdyby miał M16? Rozwaliłby draniom łby!

To proste. Proste i sprawiedliwe.

Jake zrobił przerwę, żeby wypić łyk wody, a następnie zmienił ton. Zbolały i pokorny ton zastąpiło święte oburzenie. Pomówmy o Cobbie i Willardzie. To od nich wszystko się zaczęło. To ich żywot starają się usprawiedliwić przedstawiciele stanu. Czy będzie za nimi tęsknił ktoś z wyjątkiem ich matek? Gwałciciele dzieci. Handlarze narkotyków. Czy społeczeństwo odczuje stratę tak wartościowych obywateli? Czy okręg Ford nie jest bez nich bezpieczniejszy? Czy inne dzieci z Clanton nie będą w lepszym

położeniu, wiedząc, że dwaj gwałciciele i dilerzy zostali usunięci ze społeczności? Wszyscy rodzice powinni poczuć się bezpieczniej. Carl Lee zasługuje na medal, a przynajmniej na gromkie brawa. Jest bohaterem, jak powiedział Looney. Nagródźcie go. Odeślijcie do domu, do rodziny.

Zaczął mówić o Looneyu. Looney ma córkę. Ma również amputowaną część nogi, a winę za to ponosi Carl Lee Hailey. Jeśli ktoś ma prawo czuć się rozgoryczony, domagać się krwi, to DeWayne Looney. Ale Looney powiedział, że Carl Lee powinien zostać odesłany do domu, do rodziny.

Zaapelował, by przebaczyli mu jak Looney. Poprosił, żeby spełnili jego pragnienie.

Później ściszył głos i oznajmił, że prawie skończył. Chciał, żeby się rozstali z jedną myślą. Żeby spróbowali coś sobie wyobrazić, jeśli potrafią. Kiedy Tonya leżała w lesie, poturbowana i zakrwawiona, z rozłożonymi nogami i rękami przywiązanymi do drzewa, spoglądała na drzewa wokół siebie. Na pół świadoma i majacząca, ujrzała, że ktoś ku niej biegnie. Rozpoznała swojego tatusia pędzącego co sił, żeby ją ocalić. W swoich snach ujrzała go wtedy, gdy był jej najbardziej potrzebny. Zawołała do niego, a wtedy tata zniknął. Został jej zabrany.

Tonya potrzebuje go dziś równie mocno jak wtedy. Proszę, żebyście go jej nie zabierali. Siedzi w pierwszym rzędzie, czekając na swojego tatę.

Pozwólcie, żeby Carl Lee Hailey wrócił do domu, do rodziny.

Kiedy Jake spoczął obok swojego klienta, na sali zapadła cisza. Spojrzał w kierunku ławy przysięgłych i zauważył że Wanda Womack ociera palcem łzę. Pierwszy raz od dwóch dni dostrzegł słabe światełko nadziei.

O szesnastej Noose pożegnał ławę przysięgłych. Powiedział, żeby wybrali przewodniczącego, zorganizowali się i przystąpili

do pracy. Oznajmił, że będą mieli czas do osiemnastej, może do dziewiętnastej, a jeśli nie ustalą werdyktu, ogłosi przerwę do dziewiątej w środę. Przysięgli wstali i zaczęli wolno wychodzić z sali. Kiedy zniknęli z oczu, Noose ogłosił przerwę do osiemnastej i polecił pełnomocnikom stron, żeby przebywali w pobliżu sądu lub zostawili numer telefonu urzędnikom sądowym.

Publiczność pozostała na miejscach, prowadząc ciche rozmowy. Carlowi Lee pozwolono usiąść w pierwszym rzędzie razem z rodziną. Buckley i Musgrove czekali w gabinecie sędziego razem z Noose'em, a Harry Rex, Lucien i Jake oddalili się do kancelarii na kolację w płynie. Nikt nie oczekiwał szybkiego werdyktu.

Woźny sądowy zamknął przysięgłych w pokoju i poinstruował dwóch rezerwowych przysięgłych, aby zajęli miejsca w wąskim korytarzu. W środku na przewodniczącego jednogłośnie wybrano Barry'ego Ackera. Acker położył instrukcje dla przysięgłych i dowody rzeczowe na małym stoliku w rogu sali. Usiedli z niepokojem przy dwóch rozkładanych stołach rozstawionych od ściany do ściany.

— Proponuję, abyśmy przeprowadzili nieformalne głosowanie — powiedział Acker. — Żeby się wstępnie zorientować. Czy ktoś zgłasza sprzeciw?

Nie było powodu, aby protestować, więc nikt tego nie zrobił. Acker miał listę dwunastu nazwisk.

— Głosujemy „winny", „niewinny" i „niezdecydowany".

— Reba Betts.

— Niezdecydowana.

— Bernice Tolle.

— Winny.

— Carol Corman.

— Winny.

— Donna Lou Peck.

— Niezdecydowana.

— Sue Williams.

— Wstrzymuję się od głosu.
— Jo Ann Gates.
— Winny.
— Rita Mae Plunk.
— Winny.
— Frances McGowan.
— Winny.
— Wanda Womack.
— Niezdecydowana.
— Eula Dell Yates.
— Niezdecydowana. Chciałabym o tym porozmawiać.
— Zrobimy to. Clyde Sisco.
— Niezdecydowany.
— To jedenastu. Ja jestem Barry Acker i głosuję na „niewinny”.

Rachował kilka sekund, po czym oznajmił:

— Pięć osób głosowało „winny”, pięć było niezdecydowanych, jedna wstrzymała się od głosu, a jedna zagłosowała „niewinny”.

Przejrzeli materiał dowodowy, zdjęcia, odciski palców i raporty balistyczne. O osiemnastej poinformowali sędziego, że nie zdołali ustalić werdyktu. Byli głodni i chcieli wyjść z sądu. Noose ogłosił przerwę do środy rano.

Rozdział 41

Siedzieli godzinami na werandzie. W milczeniu patrzyli, jak ciemności ogarniają leżące w dole miasto, i witali komary. Skwar powrócił. Wilgotne powietrze oblepiło skórę i zwilżyło koszule. Dźwięki upalnej letniej nocy niosły się cichym echem po trawniku przed domem. Sallie zaproponowała, że przygotuje im coś do jedzenia. Lucien odmówił i poprosił o whiskey. Jake nie miał apetytu na jedzenie, bo piwo Coors napełniało mu wnętrzności i zaspokajało uczucie głodu. Kiedy zrobiło się ciemno i cicho, Nesbit wysiadł z radiowozu, przeszedł przez werandę, otworzył drzwi z siatką i wszedł do domu. Chwilę później trzasnął drzwiami i przeszedł obok nich z chłodnym piwem, aby zniknąć na podjeździe, oddalając się w stronę samochodu. Nigdy nie odzywał się ani słowem.

Sallie wytknęła głowę przez drzwi i ostatni raz zaproponowała jedzenie. Obaj odmówili.

— Słuchaj, Jake, dziś po południu miałem telefon. Clyde Sisco chce dwadzieścia pięć tysięcy za zablokowanie ławy przysięgłych i pięćdziesiąt za uniewinnienie.

Jake pokręcił głową.

— Zanim odmówisz, posłuchaj, co powiem. Facet wie, że nie może zagwarantować uniewinnienia, ale może zablokować ławę przysięgłych. Wystarczy jeden głos. Chce za to dwadzieścia pięć tysięcy. Zdaję sobie sprawę, że to sporo forsy, ale jak wiesz, mogę się w niej kąpać. Zapłacę, a ty mi zwrócisz w ciągu kilku lat. Jeśli nie oddasz, nie pogniewam się. Mam w banku mnóstwo forsy w depozycie. Wiesz, że pieniądze nie mają dla mnie znaczenia. Na twoim miejscu nie wahałbym się ani minuty.

— Odbiło ci, Lucien!

— Jasne, że mi odbiło! Jeszcze nie osiągnąłeś tego stanu, ale procesy doprowadzą cię do obłędu. Pomyśl, jaki wypływ wywarł na ciebie ostatni. Nie śpisz, nie jesz, nie masz stałego rozkładu zajęć ani domu. Za to całe morze gorzały.

— Nadal zostały mi zasady.

— A ja jestem ich pozbawiony. Mimo to wygrałem, bracie. Wygrałem więcej procesów niż inni, i dobrze o tym wiesz.

— To korupcja, Lucienie.

— Myślisz, że Buckley nie jest skorumpowany? Facet gotów jest kłamać, oszukiwać, korumpować i kraść, byle wygrać tę sprawę. Ma gdzieś wartości, przepisy i ludzkie zdanie. W dupie ma moralność. Zależy mu tylko na jednym — na wygranej! Masz doskonałą szansę, żeby pokonać go na jego własnym podwórku. Na twoim miejscu bym się nie wahał, Jake.

— Daj spokój, Lucienie. Po prostu dajmy temu spokój!

Przez godzinę żaden nie odezwał się ani słowem. W dole powoli gasły światła miasta. W ciemności dało się słyszeć chrapanie Nesbita. Sallie przyniosła ostatniego drinka i powiedziała im dobranoc.

— Najtrudniejsze jest czekanie, aż dwunastu zwykłych przeciętnych ludzi nada temu wszystkiemu jakiś sens — powiedział Lucien.

— Nie sądzisz, że ten system jest idiotyczny?

— Masz rację, ale zwykle działa. Sędziowie przysięgli mają rację w dziewięćdziesięciu procentach przypadków.

— Nie czuję się szczęściarzem. Czekam na cud.

— Jake, mój chłopcze, jutro zdarzy się cud.

— Jutro?

— Tak. Jutro wczesnym rankiem.

— Byłbyś łaskaw wyjaśnić, co masz na myśli?

— Jutro do południa, Jake, wokół sądu okręgu Ford zgromadzi się dziesięć tysięcy czarnych gniewnych ludzi i zacznie krążyć wokół, jak wściekłe mrówki. Może przyjdzie ich więcej.

— Dziesięć tysięcy?! Dlaczego?!

— Żeby wrzeszczeć, krzyczeć i skandować: „Uwolnić Carla Lee! Uwolnić Carla Lee!”. Żeby urządzić piekło i zastraszyć przysięgłych. Żeby pogonić kota wszystkiemu, co żyje. Czarnych będzie tylu, że biali będą uciekać w poszukiwaniu kryjówki. Gubernator wyśle więcej wojska.

— Skąd wiesz?

— Bo sam to zaplanowałem, Jake.

— Ty?!

— Posłuchaj, Jake. Kiedy byłem u szczytu sławy, znałem każdego czarnego kaznodzieję w piętnastu okręgach. Odwiedzałem ich kościoły. Modliłem się razem z nimi. Maszerowałem u ich boku i śpiewałem. Podsyłali mi klientów, a ja przekazywałem im pieniądze. Byłem jedynym białym prawnikiem o radykalnych poglądach w NAACP z północnej części Missisipi. Złożyłem więcej pozwów o dyskryminację na tle rasowym niż dziesięć dowolnych firm z Waszyngtonu. To byli moi klienci. Podzwoniłem dzisiaj trochę. Jutro rano zaczną się zjeżdżać. W południe będziesz mógł mieszać czarnuchów łyżką w centrum Clanton.

— Skąd przybędą?

— Zewsząd. Przecież wiesz, jak czarni lubią marsze i protesty. Będzie to dla nich wspaniała okazja.

— Oszalałeś, Lucienie. Mój przyjaciel oszalał.

— Wygram, brachu.

⅄ ⅄ ⅄

W pokoju sto sześćdziesiąt trzy Barry Acker i Clyde Sisco skończyli ostatnią partyjkę remika i szykowali się do spoczynku. Acker wyskrobał kilka monet i oznajmił, że chce się czegoś napić. Sisco odrzekł, że nie jest spragniony.

Acker minął na paluszkach śpiącego strażnika. Maszyna wyświetliła komunikat „awaria", więc cicho otworzył drzwi i zszedł schodami na drugie piętro, gdzie obok maszyny do lodu stał inny automat. Wrzucił monety, a maszyna wypluła dietetyczną colę. Pochylił się, żeby po nią sięgnąć.

W tej samej chwili z ciemności wyskoczyły dwie postacie. Powaliły go na podłogę, skopały i zawlekły w ciemny kąt obok maszyny do lodu oraz drzwi zamkniętych na łańcuch z kłódką. Większa chwyciła Ackera za kołnierz i rzuciła o ścianę z pustaków. Mniejsza stała obok automatu z colą, obserwując ciemny korytarz.

— Jesteś Barry Acker?! — wycedził przez zaciśnięte zęby większy.

— Taak! Puszczaj! — Acker próbował się uwolnić, ale napastnik uniósł go za gardło i przytrzymał przy ścianie jedną ręką. Drugą wyciągnął z pochwy lśniący myśliwski nóż i przyłożył do nosa Ackera. Szamotanie ustało.

— Posłuchaj, co powiem — powiedział głośnym szeptem. — Posłuchaj uważnie. Wiemy, że masz żonę i mieszkasz przy Forrest Drive jedenaście sześćdziesiąt jeden. Wiemy, że masz troje dzieci. Wiemy, gdzie się bawią i chodzą do szkoły. Twoja żona pracuje w banku.

Acker dziwnie zwiotczał.

— Pożałujesz, jeśli ten czarnuch wyjdzie wolno. Twoja rodzina również. Może potrwa to lata, ale pożałujecie.

Opuścił go na podłogę i chwycił za włosy.

— Jeśli piśniesz choćby słówko o tym, co się stało, stracisz

dzieciaka. Zrozumiałeś?

Zniknęli równie nagle, jak się pojawili. Acker ciężko dyszał, jakby miał trudności ze złapaniem oddechu. Pomasował szyję i tył głowy, a później siedział w ciemności, zbyt przerażony, aby się poruszyć.

Rozdział 42

Oświcie przed setkami małych czarnych kościołów z północnego Missisipi zebrali się wierni, a następnie załadowali kosze piknikowe, chłodziarki, krzesła ogrodowe i pojemniki z wodą do przerobionych szkolnych autobusów i kościelnych furgonetek. Witali przyjaciół i z ożywieniem rozmawiali o procesie. Od tygodni czytali i plotkowali o Carlu Lee Haileyu, a dziś mieli wyruszyć, żeby mu pomóc. Było wśród nich wielu starych i emerytów, ale dało się wypatrzyć także całe rodziny z dziećmi i kojcami. Kiedy autobusy były pełne, ruszyły za osobówkami, w których siedzieli kaznodzieje. Modlili się i śpiewali. Kaznodzieje spotykali innych kaznodziejów w małych mieścinach i miastach okręgowych i całą siłą ruszali dalej ciemnymi drogami.

Zatarasowali boczne uliczki w odległości paru przecznic od placu. Parkowali tam, gdzie się zatrzymali, i wyrzucali pasażerów.

Otyły pułkownik właśnie skończył śniadanie i stał pod baldachimem, bacznie obserwując sytuację. Autobusy i samochody osobowe zbliżały się ze wszystkich stron do placu, trąbiąc. Barykady trzymały się mocno. Pułkownik warknął parę

komend i żołnierze przeszli w wyższy stopień gotowości. Zapowiadały się kolejne sensacje. O siódmej trzydzieści pułkownik zadzwonił do Ozziego i powiadomił o inwazji. Ozzie przyjechał niezwłocznie i zastał wielebnego Agee, który zapewnił go, że marsz będzie miał pokojowy charakter. Coś w rodzaju strajku okupacyjnego. Ilu przyjedzie? — spytał Ozzie. Tysiące, odparł Agee. Wiele tysięcy.

Rozłożyli się obozem pod dostojnymi dębami i kręcili wokół placu, badając sytuację. Ustawiali stoliki, krzesła i kojce. Faktycznie byli spokojni, dopóki jakaś grupa nie zaczęła skandować „Uwolnić Carla Lee!”. Odchrząknęli i przyłączyli się do chóru, choć nie było jeszcze ósmej.

Od wczesnych godzin porannych czarne radio z Memphis zalewało fale eteru wołaniem o pomoc. Potrzebowano czarnych, którzy za godzinę zechcą maszerować w Clanton, w Missisipi. Kilkaset samochodów spotkało się przy centrum handlowym i wyruszyło na południe. W podróż wybrał się każdy aktywista walczący o prawa człowieka i każdy czarny polityk w mieście.

Agee uwijał się jak opętany. Biegał wokół placu i wykrzykiwał komendy przez megafon. Prowadził nowo przybyłych w wyznaczone miejsce, organizował czarnych kaznodziejów oraz zapewniał Ozziego i pułkownika, że wszystko jest w największym porządku.

Rzeczywiście, wszystko było w porządku, dopóki garstka członków Klanu nie urządziła rutynowego przedstawienia. Wielu czarnych nigdy nie widziało białych szat, więc głośno zareagowali. Ruszyli naprzód, krzycząc i szydząc. Żołnierze otoczyli ludzi w białych szatach, żeby zapewnić im ochronę. Członkowie Klanu wydawali się skamieniali i przerażeni. Nie odpowiadali na krzyki.

O ósmej trzydzieści ruch na uliczkach Clanton praktycznie zamarł. Opuszczone samochody osobowe, furgonetki i autobusy stały chaotycznie na parkingach oraz w spokojnych uliczkach dzielnic mieszkalnych. Ze wszystkich stron w kierunku placu

sunął nieprzerwany strumień czarnych. Pojazdy stały nieruchomo. Drogi zostały kompletnie zablokowane. Kupcy parkowali w odległości paru przecznic od swoich sklepów. Burmistrz stał pod altaną, wykręcając ręce i błagając Ozziego, żeby coś zrobił. Wokół niego roiły się chmary czarnych, krzycząc idealnym unisono. Ozzie spytał burmistrza, czy chce, aby zatrzymał kogoś na trawniku przed sądem.

Noose zostawił samochód w warsztacie blisko kilometr na południe od więzienia i ruszył wraz z grupką czarnych do sądu. Obserwowali go z zaciekawieniem, ale nie odezwali się ani słowem. Nikt nie podejrzewał, że ma do czynienia z przedstawicielem władzy. Buckley i Musgrove zaparkowali wóz na podjeździe przy Adams Street. Zaklęli pod nosem i powlekli się w kierunku placu. Zauważyli kupę gruzów w miejscu, gdzie kiedyś stał dom Jake'a, ale nic nie powiedzieli. Byli zbyt zajęci przeklinaniem. Autobus Greyhound z Temple eskortowany przez policyjne radiowozy dotarł na plac dwadzieścia minut po dziewiątej. Czternastu pasażerów siedzących za przyciemnianymi szybami spoglądało z niedowierzaniem na wesołe miasteczko rozbite wokół sądu.

Pan Pate przywołał do porządku pękającą w szwach salę, a sędzia Noose powitał przysięgłych. Przeprosił ich za zamieszanie panujące na zewnątrz. Nie było to od niego zależne. Jeśli nie mają żadnych pytań, mogą kontynuować obrady.

— Doskonale. Proszę się udać do pokoju przysięgłych i przystąpić do roboty. Spotkamy się ponownie przed lunchem.

Przysięgli wyszli z sali i udali się do swego pokoju. Dzieci Haileya siedziały razem z nim przy stole obrony. Obserwatorzy, głównie czarni, pozostali na miejscach, prowadząc ożywione rozmowy. Jake wrócił do swojej kancelarii.

Przewodniczący Acker usiadł na końcu długiego zakurzonego stołu i setny, a może tysięczny raz pomyślał o obywatelach okręgu Ford z minionego stulecia, którzy zasiadali wokół niego i spierali się o sprawiedliwość. Duma z tego, że zasiada na

ławie przysięgłych w najsłynniejszym procesie kraju, prysła po tym, co wydarzyło się ostatniej nocy. Zastanawiał się, ilu jego poprzednikom grożono śmiercią. Pomyślał, że pewnie kilku by się znalazło.

Inni nalewali sobie kawę i powoli zajmowali miejsca wokół stołu. Pokój przysięgłych wywoływał miłe wspomnienia w Clydzie Sisco. Poprzednim razem zasiadanie w ławie okazało się intratnym zajęciem. Upajał się myślą o kolejnej sutej wypłacie za kolejny słuszny i sprawiedliwy wyrok. Posłaniec jeszcze się z nim nie skontaktował.

— Czy ktoś chciałby zaproponować porządek obrad? — spytał przewodniczący.

Rita Mae Plunk przybrała butną i nieustępliwą minę. Była twardą kobietą mieszkającą w przyczepie kempingowej. Brak męża kompensowali jej dwaj synowie przestępcy, którzy okazywali głęboką nienawiść Carlowi Lee Haileyowi. Miała kilka rzeczy, które chciała zrzucić ze swojego wielkiego serca.

— Chciałabym powiedzieć o kilku rzeczach — poinformowała Ackera.

— Dobrze. Zaczniemy od pani Plunk i będziemy po kolei zabierać głos.

— Wczoraj głosowałam „winny” i dziś zrobię to samo. Nie pojmuję, jak można było zagłosować „niewinny”! Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, dlaczego głosował za tym czarnuchem?!

— Proszę nie używać więcej tego słowa! — krzyknęła Wanda Womack.

— Powiedziałam „czarnuch” i będę to robić, ile razy zechcę! — odburknęła Rita Mae.

— Proszę więcej tak nie mówić — przyłączyła się Frances McGowan.

— Czuję się osobiście urażona — powiedziała Wanda Womack.

— Czarnuch, czarnuch, czarnuch, czarnuch, czarnuch, czarnuch! — wykrzyczała na cały głos Rita Mae.

— Niech pani da spokój — jęknął Clyde Sisco.

— O rany! — westchnął przewodniczący. — Droga pani Plunk, bądźmy szczerzy, dobrze. Większości z nas zdarza się czasem użyć tego słowa. Wiem, że niektórzy robią to częściej niż inni. Niektórzy uważają je za obraźliwe, dlatego proponuję, abyśmy nie używali go podczas naszych obrad. I bez tego mamy dość zmartwień. Czy możemy się umówić, że nie będziemy tak mówić?

Wszyscy oprócz Rity Mae skinęli głowami.

Sue Williams postanowiła odpowiedzieć. Była dobrze ubraną atrakcyjną kobietą dobiegającą czterdziestki. Pracowała w wydziale opieki społecznej okręgu Ford.

— Wczoraj nie głosowałam. Powstrzymałam się od głosu. Rozumiem pana Haileya. Mam córkę. Gdyby została zgwałcona, byłabym głęboko wstrząśnięta. Wiem, że w takiej sytuacji rodzic może się załamać. Myślę, że nie jest rzeczą słuszną, abyśmy osądzali pana Haileya, jakby był zdolny do w pełni racjonalnych zachowań.

— Sądzi pani, że był niepoczytalny w sensie prawnym? — spytała niezdecydowana Reba Betts.

— Nie jestem pewna, ale wiem, że nie był całkowicie zrównoważony. Nie mógł być.

— Wierzysz temu czubkowi psychiatrze, który zeznawał na jego korzyść? — spytała Rita Mae.

— Tak. Był równie wiarygodny jak lekarz powołany przez oskarżenie.

— Gość miał fajne buty — wtrącił Clyde Sisco.

Nikt się nie roześmiał.

— Przecież to skazaniec — podjęła Rita Mae. — Skłamał i próbował to ukryć. Nie można uwierzyć w żadne jego słowo.

— Uprawiał seks z dziewczyną poniżej osiemnastego roku życia — dodał Clyde. — Jeśli to przestępstwo, kilku z nas zostałoby skazanych.

Ponownie nikt nie zareagował na dowcip. Clyde postanowił,

że jakiś czas będzie siedział cicho.

— Ale później poślubił tę dziewczynę — powiedziała Donna Lou Peck, która poprzedniego dnia była niezdecydowana.

Mówili jeden po drugim, wyrażając swoją opinię i odpowiadając na pytania. Zwolennicy skazania unikali poruszania kwestii niepoczytalności. Linia podziału stała się wyraźna. Wyglądało na to, że większość niezdecydowanych skłaniała się w stronę skazania. Staranne zaplanowanie zabójstwa, znajomość drogi, którą pokonali gwałciciele, karabin M16 — wszystko wskazywało na zabójstwo z premedytacją. Gdyby przyłapał ich na gorącym uczynku i zabił na miejscu, nie zostałby pociągnięty do odpowiedzialności. Jednak staranne, trwające sześć dni przygotowania do egzekucji nie wskazywały na chorobę umysłu.

Wanda Womack, Sue Williams i Clyde Sisco skłaniali się ku uniewinnieniu — reszta była za skazaniem. Odpowiedzi Barry'ego Ackera były zauważalnie wymijające.

Agee rozwinął długi niebiesko-biały transparent z napisem „Uwolnić Carla Lee". Piętnastu duchownych ujęło go i stanęło ramię w ramię, czekając, aż za ich plecami uformuje się pochód. Czekali na środku Jackson Street, przed gmachem sądu, gdy Agee wykrzykiwał polecenia zwartej ludzkiej masie. Ruszyli, kiedy tysiące czarnych zbiło się ciasno za ich plecami. Przeszli Jackson Street i skręcili w lewo, w Caffey, kierując się w stronę zachodniej strony placu. Agee prowadził demonstrantów, wykrzykując znane wojenne zawołanie „Uwolnić Carla Lee! Uwolnić Carla Lee!". Wrzeszczeli nieprzerwanym, monotonnym i ogłuszającym chórem. Tłum maszerujący wokół placu powiększał się z każdą chwilą, a jego głos stawał się coraz silniejszy.

Sklepikarze zwietrzyli kłopoty, więc zamknęli sklepy i udali się do domu w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. Przeczytali swoje polisy, aby sprawdzić, czy są ubezpieczeni

od zniszczeń spowodowanych przez rozruchy. Zielone mundury żołnierzy zniknęły w morzu czarnych. Pułkownik, spocony i zdenerwowany, wydał rozkaz żołnierzom, aby otoczyli sąd i nie cofnęli się o krok. Kiedy Agee i protestujący skręcali w Washington Street, Ozzie podszedł do garstki członków Klanu. W dyplomatyczny sposób, ale niczego nie ukrywając, przekonał ich, że sytuacja może się wymknąć spod kontroli. Że policja nie może im już zapewnić bezpieczeństwa. Zgodził się, że mają prawo demonstrować, że przedstawili swoje racje, i poprosił, aby usunęli się z placu, zanim zaczną się kłopoty. Zbili się w ciasną gromadkę i czmychnęli.

Kiedy czoło pochodu z transparentem przesuwało się pod oknami sędziów przysięgłych, cała dwunastka gapiła się przez okno. Nieustanne skandowanie powodowało, że szyby drżały w oknach. Przysięgli spojrzeli z niedowierzaniem na tłum, na czarną masę wypełniającą ulicę i skręcającą w Caffey Street. Ponad głowami kołysały się różne domowej roboty transparenty domagające się uwolnienia oskarżonego.

— Nie wiedziałam, że w okręgu Ford jest tylu czarnych — powiedziała Rita Mae Plunk. Jedenastu pozostałych pomyślało o tym samym.

Buckley wpadł w furię. Razem z Musgrove'em przyglądali się protestowi z biblioteki na trzecim piętrze. Ryk dobiegający z ulicy zakłócał cichą rozmowę.

— Nie wiedziałem, że w okręgu Ford jest tylu czarnych — powiedział Musgrove.

— Bo nie ma. Ktoś ich przywiózł. Jestem ciekaw, kto za tym stoi.

— Pewnie Brigance.

— Taak, pewnie on. Cieszy się, że czarni wzniecają piekielny harmider podczas obrad ławy przysięgłych. Przed sądem musi być z pięć tysięcy czarnuchów.

— Co najmniej.

⅄ ⅄ ⅄

Noose i pan Pate słuchali okrzyków i obserwowali zbiegowisko z gabinetu sędziego na drugim piętrze. Wysoki Sąd nie był uszczęśliwiony. Martwił się o swoich przysięgłych.

— Nie wiem, jak można się skoncentrować, gdy za oknem dzieją się takie rzeczy.

— Doskonale wybrali czas, prawda, panie sędzio? — spytał pan Pate.

— O, tak.

— Nie wiedziałem, że w całym okręgu jest tylu czarnych.

⅄ ⅄ ⅄

Pan Pate i Jean Gillespie potrzebowali dwudziestu minut, żeby odnaleźć pełnomocników stron i uciszyć salę. Kiedy ludzie zamilkli, sędziowie przysięgli zaczęli zajmować miejsca. Żaden się nie uśmiechał.

Noose odchrząknął.

— Panie i panowie, czas na lunch. Nie sądzę, abyście wydali werdykt.

Barry Acker przecząco pokręcił głową.

— Tak podejrzewałem. Ogłaszam przerwę na lunch. Wznowimy obrady o trzynastej trzydzieści. Wiem, że nie możecie opuścić gmachu sądu. Chcę, żebyście zjedli, na chwilę zapominając o sprawie. Przepraszam za zamieszanie przed gmachem, ale szczerze mówiąc, niewiele mogę na to poradzić. Ogłaszam przerwę do trzynastej trzydzieści.

W gabinecie sędziego Buckley wpadł w szał.

— To czysty obłęd, panie sędzio! W takich warunkach sędziowie przysięgli nie mogą się skupić! To celowa próba zastraszenia ławy przysięgłych!

— Mnie też to się nie podoba — odparł Noose.

— To zaplanowana akcja, sędzio! Oni to robią celowo! —

darł się Buckley.

Jake uśmiechnął się przelotnie i powiedział:

— Uwolnić Carla Lee!

— Bardzo zabawne! — warknął Buckley. — Pewnie sam to zaplanowałeś!

— Nie! Jak pan pamięta, panie Buckley, próbowałem temu zapobiec. Wielokrotnie wnioskowałem o zmianę miejsca procesu. Powtarzałem, że proces nie powinien się odbywać na tej sali. To pan tego chciał, panie Buckley, a pan zadbał o to, żeby tak się stało, sędzio Noose. Głupio teraz wyglądacie.

Jake był pod wrażeniem swojej arogancji. Buckley burknął coś pod nosem i wyjrzał przez okno.

— Spójrzcie na nich. Zdziczałe czarnuchy. Musi ich tam być z dziesięć tysięcy.

Podczas lunchu tłum urósł z dziesięciu do piętnastu tysięcy. Samochody przyjeżdżały z odległości stu pięćdziesięciu kilometrów — niektóre z tablicami Tennessee — i parkowały na poboczach autostrad poza granicami miasta. Ludzie szli trzy, cztery kilometry w promieniach piekącego słońca, aby dołączyć do protestu wokół sądu.

Czarni zachowywali się spokojnie. Otwierali chłodziarki i kosze piknikowe, dzieląc się jedzeniem. Gromadzili się w cieniu, ale w pobliżu nie było dość drzew, więc wchodzili do sądu w poszukiwaniu zimnej wody i odpoczynku w chłodnych korytarzach. Spacerowali chodnikiem, oglądając witryny pozamykanych sklepów. Obawiając się kłopotów ze strony dzikiej chordy, w godzinach lunchu zamknięto Coffee Shop i Tea Shoppe. Przed barem Claude'a utworzyła się kolejka długości półtorej przecznicy.

Jake, Harry Rex i Lucien relaksowali się na balkonie, obserwując cyrk pod oknami. Na stole stał dzbanek świeżej margarity, topniejąc w oczach. Chwilami uczestniczyli w wiecu, wołając „Uwolnić Carla Lee!" albo nucąc z demonstrantami *We Shall Overcome*. Tylko Lucien znał słowa. Nauczył się ich w

chwalebnych latach sześćdziesiątych, kiedy walczył w obronie praw człowieka. Utrzymywał, że do dziś jest jedynym białym w okręgu Ford, który zna słowa każdej zwrotki. W tamtym czasie przyłączył się nawet do czarnego kościoła, wyjaśnił między kolejnymi drinkami, kiedy jego kościół zdecydował w głosowaniu, aby wykluczyć czarnych członków. Zrezygnował którejś niedzieli po trwającym trzy godziny kazaniu. Uznał wówczas, że biały człowiek nie jest stworzony do takich nabożeństw. Mimo to nadal wspomagał społeczność finansowo.

Co jakiś czas telewizyjna ekipa przystawała pod kancelarią Jake'a i zadawała pytanie. Jake udawał, że nie słyszy, aby w końcu zawołać:

— Uwolnić Carla Lee!

Dokładnie o trzynastej trzydzieści Agee odnalazł swój megafon, rozwinął transparent, ustawił w szeregu kaznodziejów i zgromadził protestujących. Zaintonował kościelną pieśń, która ryknęła z megafonu. Pochód ruszył Jackson, a później Caffey, by okrążyć plac. I tak raz za razem. Z każdym okrążeniem dołączali nowi ludzie, wzniecając jeszcze większy zgiełk.

W sali przysięgłych zapanowało milczenie, gdy Reba Betts z osoby niezdecydowanej zamieniła się w zwolenniczkę uniewinnienia. Gdyby jakiś facet ją zgwałcił, rozwaliłaby mu łeb. Stosunek głosów wynosił teraz pięć do pięciu, przy dwóch osobach niezdecydowanych. Przewodniczący w dalszym ciągu pozostawał niezdecydowany. Biedna stara Eula Dell Yates raz była za, raz przeciw. Wszyscy wiedzieli, że ostatecznie opowie się po stronie większości. W końcu dostała ataku płaczu przy oknie i musiała zostać odprowadzona na miejsce przez Clyde'a Sisco. Chciała wrócić do domu. Powiedziała, że czuje się jak więzień.

Krzyki i marsze zebrały swoje żniwo. Kiedy pod oknami słychać było ryk megafonu, poziom zaniepokojenia w małym

pokoju sięgał zenitu. Acker poprosił zebranych o ciszę. Czekali niecierpliwie, aż zgiełk przed sądem ucichnie, choć ten nigdy całkiem nie ustawał. To Carol Corman pierwsza poruszyła kwestię ich bezpieczeństwa. Pierwszy raz w tygodniu ich motel wydał się niezwykle atrakcyjnym miejscem.

Trzy godziny nieustannego skandowania ograbiło ich z ostatnich resztek spokoju. Przewodniczący zaproponował, aby porozmawiali o swoich rodzinach, dopóki Noose nie pośle po nich o siedemnastej.

Berenice Toole zasugerowała cichym głosem podszytym winą coś, o czym wszyscy myśleli, ale nikt nie odważył się powiedzieć.

— Może powinniśmy oświadczyć sędziemu, że utkwiliśmy w beznadziejnym impasie?

— Uzna proces za nieważny, prawda? — zapytała Jo Ann Gates.

— Tak — odpowiedział przewodniczący. — I wznowi go od początku za kilka miesięcy. Może dajmy sobie spokój na dziś i spróbujmy jutro?

Wyrazili zgodę. Nie byli gotowi do wydania werdyktu. Eula Dell cicho płakała.

O szesnastej Carl Lee i dzieci podeszli do jednego z wysokich okien po obu stronach sali sądowej. Carl Lee dostrzegł małą gałkę. Obrócił ją i wyjrzał na niewielki balkon wiszący nad zachodnim chodnikiem. Skinął funkcjonariuszowi z biura szeryfa. Wyszli na zewnątrz. Carl Lee wziął Tonyę na ręce i zaczęli obserwować tłum.

Ludzie go spostrzegli. Wykrzyknęli jego imię i podbiegli do budynku, stając pod balkonem. Agee powiódł demonstrantów przez ulicę i trawnik. Machnął w kierunku rzeszy czarnych zebranych pod małą werandą, prących naprzód, żeby ujrzeć swojego bohatera.

— Uwolnić Carla Lee!

— Uwolnić Carla Lee!

— Uwolnić Carla Lee!

Hailey pomachał ręką do swoich zwolenników. Ucałował córkę i przytulił synów. Ponownie skinął ręką i powiedział dzieciom, żeby zrobiły to samo.

Jake i jego mała gromadka kompanów skorzystała z okazji i chwiejnym krokiem przeszła przez ulicę, udając się do sądu. Przed chwilą zadzwoniła Jean Gillespie. Noose zapraszał do siebie pełnomocników stron. Był poruszony, a Buckley kipiał z wściekłości.

— Żądam unieważnienia procesu! Żądam unieważnienia procesu! — darł się do Noose'a, kiedy Jake wchodził do pokoju.

— Złóż wniosek o unieważnienie procesu, gubernatorze. Nie żądaj, tylko złóż wniosek — powiedział Jake, patrząc na niego szklistym wzrokiem.

— Idź do diabła, Brigance! Sam to wszystko zaplanowałeś! Uknułeś rebelię! To twoje czarnuchy!

— Gdzie jest sekretarz sądowy? — zapytał Jake. — Chcę, żeby te słowa zostały odnotowane.

— Panowie, panowie — przerwał im Noose. — Bądźcie profesjonalistami.

— Wysoki Sądzie, oskarżenie wnosi o unieważnienie procesu — powiedział Buckley tonem, który od biedy mógłby uchodzić za profesjonalny.

— Odrzucam wniosek.

— W porządku. W takim razie oskarżenie wnioskuje, aby pozwolić przysięgłym na obradowanie w innym miejscu, poza tym sądem.

— Interesujący pomysł — mruknął Noose.

— Nie wiedzę powodu, dla którego nie mogliby obradować w motelu. To ciche miejsce. Niewielu ludzi wie, gdzie się znajduje — ciągnął pewnym głosem Buckley.

— Jake? — spytał Noose.

— Nie. To na nic. Nie istnieje prawna podstawa pozwalająca

przenieść obrady przysięgłych poza gmach sądu. — Jake sięgnął do kieszeni i wyjął plik złożonych kartek, aby rzucić je na biurko — *Stan przeciwko Dubuose*, tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci rok, sprawa z okręgu Linwood. Klimatyzacja w gmachu sądu okręgu Linwood wysiadła w porze letnich upałów. Sędzia zezwolił ławie przysięgłych na obradowanie w miejscowej bibliotece. Obrona zgłosiła sprzeciw. Przysięgli wydali wyrok skazujący. W procesie apelacyjnym Sąd Najwyższy orzekł, że decyzja sędziego była niewłaściwa i że obrady sędziów przysięgłych muszą się odbywać w sądzie, gdzie oskarżony był sądzony.

Noose przeczytał kartkę i podał ją Musgrove'owi.

— Przygotuj salę — polecił panu Pate'owi.

Z wyjątkiem reporterów na sali byli sami czarni. Sędziowie przysięgli sprawiali wrażenie wymizerowanych i spiętych.

— Widzę, że nie wydaliście werdyktu — odgadł Noose.

— Nie, Wysoki Sądzie — odrzekł przewodniczący.

— Mam do was pytanie. Czy możecie mi powiedzieć, bez podawania liczby głosów za i przeciw, że dotarliście do punktu, którego nie możecie przekroczyć?

— Rozmawialiśmy o tym, Wysoki Sądzie. Chcielibyśmy, żeby ogłoszono przerwę. Wyśpimy się porządnie tej nocy i jutro spróbujemy ponownie. Nie jesteśmy gotowi, aby zrezygnować.

— Cieszę się, że to słyszę. Przepraszam za niedogodności, ale nic na to nie poradzę. Przykro mi. Musicie się postarać. Coś jeszcze?

— Nie, panie sędzio.

— Dobrze. Ogłaszam przerwę do dziewiątej jutro rano.

Carl Lee pociągnął Jake'a za ramię.

— Co to znaczy?

— Znaleźli się w impasie. Sześć za do sześciu przeciw, jedenaście za i jeden przeciw lub jedenaście przeciw i jeden za uniewinnieniem. Tylko się nie podniecaj.

Barry Acker przyparł do ściany woźnego sądowego i wręczył

mu złożoną kartkę papieru. Na kartce było napisane:

Luann!

Zapakuj dzieciaki i jedźcie do twojej matki. Nie mów nikomu. Zostań tam, dopóki wszystko się nie skończy. Zrób, co napisałem. Sytuacja jest groźna.

Barry

— Mógłbyś to dostarczyć mojej żonie? Nasz numer telefonu to osiemset osiemdziesiąt jeden, zero siedem, siedemdziesiąt cztery.

— Jasne — odrzekł woźny.

⅄ ⅄ ⅄

Tim Nunley, mechanik pracujący w warsztacie Chevroleta, były klient Jake'a Brigance'a i stały bywalec Coffee Shopu, siedział na kanapie w domku w głębi lasu i popijał piwo. Słuchał, jak jego bracia z Klanu piją i przeklinają czarnuchów. Co jakiś czas sam rzucił przekleństwo. Zauważył, że od dwóch nocy szepczą coś między sobą. Czuł, że coś się święci. Nasłuchiwał uważnie.

Wstał, żeby pójść po następne piwo, kiedy na niego skoczyli. Trzej kamraci przyparli go do ściany, okładając pięściami i kopiąc. Został ciężko skatowany, a później zakneblowany, związany i wywleczony na dwór. Przeciągnęli go przez żwirową drogę na pole, gdzie został przyjęty na członka. Zapalili krzyż i przywiązali do słupa. Później okładali go pejczem, aż ramiona, plecy i nogi przybrały szkarłatny kolor.

Dwa tuziny jego niedawnych braci patrzyło w milczącym przerażeniu, jak przywódcy oblewają naftą słup i bezwładne ciało. Herszt, jeden z tych, którzy mieli pejcze, stanął obok. Wydawał się czekać całą wieczność, zanim ogłosił wyrok śmierci i rzucił zapałkę.

Myszka Mickey został uciszony.

Później spakowali swoje szaty i manatki i wyjechali do domu. Większość miała nigdy nie wrócić do okręgu Ford.

Rozdział 43

W środę Jake spał ponad osiem godzin, pierwszy raz od wielu tygodni. Zasnął na kanapie w swojej kancelarii i o piątej rano obudził go hałas wydawany przez żołnierzy szykujących się na najgorsze. Był wypoczęty, ale powróciło nerwowe pulsowanie w głowie wywołane myślą, że czeka go wielki dzień. Wziął prysznic i ogolił się na dole, a później otworzył torebkę z nową bielizną marki Fruit of the Loom, którą nabył w drogerii. Następnie ubrał się w najlepszy wielosezonowy granatowy garnitur Stana Atcavage'a — ciut za krótki i ciut za luźny, ale zważywszy na okoliczności, całkiem nieźle leżał. Pomyślał o zgliszczach na Adams Street, a później o Carli, i poczuł supeł zaciskający się w żołądku. Pobiegł po gazety.

Na pierwszej stronie dzienników z Memphis, Jackson i Tupelo były identyczne zdjęcia Carla Lee stojącego na małym balkonie ponad tłumem, trzymającego córkę na ręku i machającego do ludzi. Ani słowa o domu Jake'a. Ulżyło mu i nagle poczuł głód.

Dell przytuliła go jak zaginione dziecko. Zdjęła fartuszek i usiadła obok w narożnym boksie. Stali bywalcy podchodzili i

klepali go po plecach. Dobrze, że znowu go widzą. Brakowało im Jake'a, a Jake'owi ich. Kiedy Dell powiedziała, że schudł, zamówił większość pozycji z menu.

— Słuchaj Jake, czy ci wszyscy czarni dzisiaj wrócą? — zapytał Bert West.

— Pewnie tak — odrzekł Jake, nadziewając na widelec kawałek naleśnika.

— Słyszałem, że zamierzają sprowadzić jeszcze więcej narodu — powiedział Andy Rennick. — Każde radio czarnuchów w północnym Missisipi wzywa ludzi, żeby przyjechali dziś do Clanton.

Świetnie, pomyślał Jake, dodając tabasco do jajecznicy.

— Czy sędziowie przysięgli mogą coś usłyszeć w takim harmidrze? — zaciekawił się Bert.

— Na pewno — odpowiedział Jake. — Dlatego ich wybrali. Nie są głusi.

— Muszą być przerażeni jak cholera.

Jake właśnie na to liczył.

— Jak tam rodzina? — zapytała cicho Dell.

— W porządku. Mam nadzieję. Rozmawiam z Carlą co wieczór.

— Boi się?

— Jest przerażona.

— Co ci ostatnio zrobili?

— Od soboty rano nic.

— Czy Carla wie?

Jake przeżuwał, kręcąc głową.

— Tak sobie pomyślałam. Biedaku.

— Wszystko będzie dobrze. O czym ludzie gadają?

— Wczoraj zamknęliśmy lokal w porze lunchu. Na ulicach było tylu czarnych, że obawialiśmy się zamieszek. Będziemy uważać także dzisiaj. Niewykluczone, że ponownie zamkniemy lokal. Jake, a jeśli go skażą?

— Zrobi się naprawdę niebezpiecznie.

Siedział tam godzinę, odpowiadając na pytania. Wyszedł, kiedy zaczęli napływać obcy.

Nie pozostało nic więcej, jak czekać. Siedział na balkonie, pił kawę, palił cygaro i obserwował żołnierzy. Myślał o swoich dawnych klientach, o spokojnej kancelarii z Południa, z sekretarką i ludźmi czekającymi na spotkanie. O przygotowaniach do procesu i przesłuchaniach w więzieniu. O zwykłych codziennych sprawach, takich jak rodzina, dom i niedzielny kościół. Nie był stworzony do wielkich wydarzeń.

Pierwszy autobus przyjechał o siódmej trzydzieści i został zatrzymany przez żołnierzy. Otworzyły się drzwi i nieprzerwany strumień czarnych ze składanymi krzesłami i piknikowymi koszykami ruszył w kierunku trawnika przed sądem. Przez godzinę Jake wydmuchiwał kłęby gęstego dymu i z satysfakcją obserwował, jak plac wypełnia się hałaśliwymi, choć spokojnymi protestującymi. Wielebni przybyli całą siłą, kierując swoimi ludźmi i zapewniając Ozziego oraz pułkownika, że są spokojnymi obywatelami. Ozzie dał się przekonać, ale pułkownik wydawał się podenerwowany. O dziewiątej ulice były zapchane demonstrantami. Ktoś wypatrzył autobus Greyhounda.

— Jadą! — krzyknął przez megafon Agee. Tłum przesunął się w kierunku narożnika Jackson i Quincy Street, gdzie żołnierze, policjanci i ludzie z biura szeryfa utworzyli ruchomą barykadę wokół autobusu, eskortując go przez tłum na tyły sądu.

Eula Dell Yates otwarcie płakała. Clyde Sisco siedział obok okna i trzymał ją za rękę. Zgromadzeni patrzyli z przerażeniem, jak autobus wolno okrąża plac. Uzbrojeni po zęby żołnierze utorowali im drogę do sądu. Ozzie wszedł do środka. Przekrzykując zgiełk, zapewnił ich, że sytuacja jest pod kontrolą. Mają za nim pójść tak szybko, jak się da.

⅄ ⅄ ⅄

Woźny sądowy zamknął drzwi, kiedy zebrali się wokół dzbanka z kawą. Eula Dell siedziała w kącie, cicho płacząc i

krzywiąc się na każdy okrzyk „Uwolnić Carla Lee!” dolatujący z zewnątrz.

— Nie obchodzi mnie, co postanowimy — powiedziała. — Nic a nic. Po prostu dłużej tego nie wytrzymam. Nie widziałam rodziny od ośmiu dni, a teraz ten obłęd. Ostatniej nocy nie zmrużyłam oka. Załatwmy sprawę i miejmy to za sobą.

Clyde podał jej jednorazową chusteczkę i oparł rękę na ramieniu.

Jo Ann Gates głosowała za skazaniem, ale nie była do końca pewna.

— Ja też nie spałam. Nie zniosę kolejnego takiego dnia jak wczorajszy. Chcę wrócić do domu, do dzieci.

Barry Acker stał przy oknie, myśląc o zamieszkach, które wybuchną, jeśli zapadnie wyrok skazujący. Nie przepuszczą ani jednemu domowi w centrum, nie wyłączając gmachu sądu. Wątpił, czy ktoś zapewni ochronę przysięgłym po niepomyślnym werdykcie. Pewnie nie zdołają nawet dotrzeć do autobusu. Na szczęście jego żona i dzieci bezpiecznie odlecieli do Arkansas.

— Czuję się jak zakładniczka. — Bernice Toole, zdecydowana zwolenniczka skazania Haileya, westchnęła. — Jeśli go skażemy, tłum przeprowadzi szturm na sąd. Czuję się zastraszona.

Clyde podał jej pudełko kleenexów.

— Nie obchodzi mnie, co postanowimy — jęknęła rozpaczliwie Eula Dell. — Po prostu to zakończmy. Naprawdę nie obchodzi mnie, czy go skażemy, czy puścimy wolno. Zróbmy coś, na Boga. Dłużej tego nerwowo nie wytrzymam.

Wanda Womack stanęła w końcu stołu i odchrząknęła nerwowo. Poprosiła o uwagę.

— Mam propozycję — powiedziała wolno. — Mam propozycję, która może pomóc w rozwiązaniu problemu.

Płacz ustał, a Barry Acker wrócił na swoje miejsce. Wanda Womack zdobyła ich uwagę.

— Myślałam o czymś wczorajszej nocy, kiedy nie mogłam zasnąć. Chciałabym, żebyście coś rozważyli. Wiem, że może

być to bolesne. Że może wymagać zbadania własnego serca i zajrzenia w głąb duszy. A jednak chcę was o to poprosić. Jeśli każdy będzie uczciwy wobec siebie, myślę, że do południa zdołamy się z tym uporać.

W pokoju słychać było jedynie odgłosy dochodzące z ulicy.

— W tej chwili jesteśmy równo podzieleni, plus minus jeden głos. Moglibyśmy powiedzieć Noose'owi, że utkwiliśmy w beznadziejnym impasie. Sędzia unieważni proces, a my rozejdziemy się do domów. Kilka miesięcy później wszystko się zacznie od nowa. Pan Hailey będzie ponownie sądzony, na tej sali, z tym samym sędzią i inną ławą przysięgłych. Ławą przysięgłych powołaną z mieszkańców tego okręgu, składającą się z naszych przyjaciół, mężów, żon i rodziców. Z takich samych ludzi, jacy siedzą w tym pokoju. Nowa ława przysięgłych stanie wobec takich samych problemów jak my. Nowi ludzie nie będą mądrzejsi od nas.

Teraz jest czas na wydanie werdyktu. Byłoby rzeczą niemoralną uchylić się od odpowiedzialności i zrzucić ciężar decyzji na barki następnej ławy przysięgłych. Czy wszyscy się z tym zgadzają?

Milcząco przytaknęli głowami.

— Dobrze. Teraz powiem wam, co chcę, abyście zrobili. Przez chwilę podążajcie razem ze mną. Chcę, żebyście użyli wyobraźni. Żebyście zamknęli oczy i słuchali wyłącznie mojego głosu.

Posłusznie zamknęli powieki. Warto było spróbować wszystkiego.

Jake leżał na kanapie w swoim biurze, słuchając opowieści Luciena o jego czcigodnym ojcu i dziadku oraz ich szanowanej kancelarii prawniczej. I wszystkich ludziach, których okantowali z ziemi i pieniędzy.

— Odziedziczyłem spadek, który wyrósł na rozwiązłości

moich przodków! — wykrzyknął. — Kantowali kogo się dało!

Harry Rex zachichotał nerwowo. Jake wielokrotnie słyszał te opowieści, ale zawsze były zabawne i różniły się od poprzednich.

— A co z upośledzonym synem Ethel? — spytał Jake.

— Nie waż się tak mówić o moim bracie! — oburzył się Lucien. — To najmądrzejszy członek naszej rodziny. Jasne, że to mój brat. Ojciec zatrudnił ją, kiedy miała siedemnaście lat. Możecie mi wierzyć lub nie, ale wtedy była z niej niezła laska. Ethel Twitty była najlepszą laską w okręgu Ford. Tatuś nie mógł oderwać od niej rąk. Robi mi się słabo, kiedy o tym pomyślę, ale nie sposób zaprzeczyć.

— To odrażające — jęknął Jake.

— Miała mnóstwo dzieciaków, a dwa z nich wyglądały identycznie jak ja, szczególnie ten matołek. Wtedy była to bardzo kłopotliwa sprawa.

— Co na to twoja matka? — spytał Harry Rex.

— Była dystyngowaną starą damą z Południa, którą interesowało jedynie to, w czyich żyłach płynie błękitna krew, a w czyich nie. W Clanton nie ma zbyt wiele błękitnej krwi, więc większość czasu spędzała w Memphis, próbując zrobić wrażenie i zostać zaakceptowana przez bawełniane rodziny. Większość dzieciństwa spędziłem w hotelu Peebody, w świeżo nakrochmalonym ubraniu i małej czerwonej muszce, udając obytego przed bogatymi dzieciakami z Memphis. Nienawidziłem tego i miałem gdzieś, co myśli matka. Wiedziała o Ethel, ale ją akceptowała. Powiedziała staremu, żeby był dyskretny i nie wprawiał w zakłopotanie rodziny. Staruszek był dyskretny, więc skończyłem z upośledzonym bratem.

— Kiedy zmarła?

— Sześć miesięcy przed śmiercią ojca w wypadku lotniczym.

— Na co? — zaciekawił się Harry Rex.

— Na rzeżączkę. Złapała ją od stajennego.

— Lucien?! Mówisz poważnie?!

— Na raka. Męczyła się trzy lata i zachowała godność do

końca.

— Kiedy zszedłeś na manowce? — zapytał Jake.

— Myślę, że wszystko zaczęło się w pierwszej klasie. Wuj miał dużą plantację na południe od miasta. Oprócz ziemi miał też kilka czarnych rodzin. Były to czasy wielkiego kryzysu, nieprawdaż? Spędziłem tam większość dzieciństwa, bo ojciec był zbyt zajęty w tej kancelarii, a matka zbyt zajęta organizowaniem proszonych herbatek i chodzeniem do klubu. Wszyscy towarzysze moich zabaw byli czarni. Wychowali mnie czarni służący. Moim najlepszym przyjacielem był Willie Ray Wilbanks. Serio. Mój pradziadek kupił jego pradziadka. Kiedy niewolnicy zostali uwolnieni, większość przyjęła nazwisko rodziny, u której służyła. Co mieli robić? Dlatego jest tak dużo czarnych Wilbanksów w okolicy. Moi przodkowie byli właścicielami wszystkich niewolników w okręgu Ford. Później większość przyjęła nasze nazwisko.

— Z niektórymi jesteś pewnie spokrewniony — zauważył Jake.

— Zważywszy na upodobania seksualne moich przodków, pewnie ze wszystkimi.

Zadzwonił telefon. Zamarli ze wzrokiem utkwionym w aparat. Jake zastygł nieruchomo, wstrzymując oddech. W końcu Harry Rex podniósł słuchawkę.

— To pomyłka — oznajmił.

Spojrzeli na siebie i w końcu się uśmiechnęli.

— Wróćmy do pierwszej klasy — podjął Jake.

— Zgoda. W pierwszy dzień szkoły Willie Ray i reszta moich małych kolegów wsiadła do autobusu, żeby pojechać do czarnej szkoły. Ja też wsiadłem, ale kierowca delikatnie ujął mnie za rękę i wysadził. Płakałem i wrzeszczałem. Wuj odwiózł mnie do domu i powiedział matce: „Lucien wsiadł do szkolnego autobusu dla czarnych”. Była przerażona i spuściła mi lanie. Stary też mnie zlał, ale wiele lat później przyznał, że sytuacja była zabawna. Poszedłem do szkoły dla białych, gdzie zawsze

byłem małym bogatym dzieciakiem. Wszyscy nienawidzą małych bogatych dzieciaków, szczególnie w takim biednym miasteczku jak Clanton. Nie żebym nie dawał się lubić. Gnoili mnie za to, że mieliśmy pieniądze. W ten sposób pojawiła się moja nonkonformistyczna postawa. W pierwszej klasie. Postanowiłem, że nie będę jak moja naburmuszona matka, która patrzy na innych z góry. Stary był zbyt zajęty, żeby się bawić. Powiedziałem sobie, że mam to gdzieś. Że chcę się w życiu trochę zabawić.

Jake rozprostował się i zamknął oczy.

— Nerwy? — zapytał Lucien.

— Po prostu chciałbym to mieć już za sobą.

Telefon zadzwonił ponownie. Lucien chwycił słuchawkę, by po chwili ją odłożyć.

— To Jean Gillespie. Ława przysięgłych jest gotowa.

— Boże — westchnął Jake, pocierając skronie.

— Posłuchaj mnie, Jake — rozpoczął wykład Lucien. — Miliony ludzi będą obserwować to, co się za chwilę wydarzy. Uważaj, co mówisz.

— A co ze mną? — jęknął Harry Rex. — Chce mi się rzygać.

— To dziwna uwaga z twoich ust, Lucienie — zauważył Jake, zapinając marynarkę Stana.

— Wiele się nauczyłem. Pokaż klasę. Jeśli wygrasz, uważaj, co powiesz prasie. Okaż pewność siebie i podziękuj ławie przysięgłych. A jeśli przegrasz...

— Jeśli przegrasz, zwiewaj, gdzie pieprz rośnie — poradził Harry Rex. — Bo czarnuchy wezmą szturmem sąd.

— Czuję się dziwnie słabo — wyznał Jake.

⅄ ⅄ ⅄

Agee wszedł na podest ustawiony na schodach przed sądem i oznajmił, że ława przysięgłych jest gotowa. Poprosił o ciszę, a tłum natychmiast zamilkł. Ludzie przysunęli się w stronę frontowych kolumn. Agee powiedział, żeby padli na kolana i zaczęli się modlić. Posłusznie uklęknęli i zaczęli zanosić żarliwe

modły. Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko na trawniku przed sądem uklękło przed Bogiem, błagając, aby uwolnił ich brata.

Żołnierze stali w małych grupkach i podobnie jak czarni modlili się o uniewinnienie.

Ozzie i Moss Junior usadzili ludzi na sali rozpraw, a następnie rozstawili etatowych funkcjonariuszy i ochotników wokół ścian i wzdłuż przejścia. Jake wyszedł z pokoju dla zatrzymanych i spojrzał na Carla Lee, który siedział przy stole obrony. Przesunął wzrok na widzów. Wielu się modliło, inni nerwowo obgryzali paznokcie. Gwen ocierała łzy, a Lester patrzył na niego wylęknionym wzrokiem. Dzieci wydawały się zagubione i przerażone.

Noose zasiadł w sędziowskiej ławie i salę ogarnęło pełne napięcia milczenie. Z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Dwadzieścia tysięcy czarnych uklękło na ziemi, jak muzułmanie. W sali rozpraw i na placu zapanowała całkowita cisza.

— Poinformowano mnie, że ława przysięgłych wydała werdykt. Czy to prawda, panie woźny? Doskonale. Niebawem poproszę sędziów przysięgłych o zajęcie miejsc, ale wcześniej przekażę kilka instrukcji. Nie będę tolerował żadnych wybuchów emocji ani innego sposobu okazywania uczuć. Polecę szeryfowi usunąć z sali każdego, kto zakłóci porządek. Jeśli będzie trzeba, każę opróżnić salę. Panie woźny, proszę wprowadzić przysięgłych.

Drzwi się otworzyły. Odnieśli wrażenie, jakby minęła godzina, zanim Eula Dell Yates ukazała się ze łzami w oczach. Jake zwiesił głowę. Carl Lee dzielnie utkwił wzrok w portrecie Roberta E. Lee wiszącym nad sędzią Noose'em. Przysięgli niezgrabnie zapełniali ławę. Wydawali się stremowani, spięci i przerażeni. Większość płakała. Jake'owi zrobiło się słabo. Barry Acker trzymał kartkę papieru, która przykuła uwagę wszystkich.

— Panie i panowie, czy wydaliście werdykt?

— Tak, Wysoki Sądzie — odpowiedział przewodniczący cienkim, zdenerwowanym głosem.

— Proszę podać kartkę urzędnikowi sądu.

Jean Gillespie odebrała papier i wręczyła go Wysokiemu Sądowi, który studiował ją całą wieczność.

— Technicznie rzecz biorąc, werdykt jest w porządku — orzekł w końcu.

Eula Dell zalewała się łzami, a jej szlochanie było jedynym dźwiękiem na sali. Jo Ann Gates i Berenice Tool wycierały oczy chusteczką. Płacz mógł oznaczać tylko jedno. Jake przysiągł sobie nie zwracać uwagi na przysięgłych, dopóki werdykt nie zostanie odczytany, ale okazało się to niemożliwe. Podczas jego pierwszego procesu karnego przysięgli z uśmiechem zajmowali miejsca. Patrząc na nich, Jake był pewien, że jego klient zostanie uniewinniony. Chwilę później zrozumiał, że uśmiech był spowodowany świadomością, że przestępca zostanie usunięty z ulic miasta. Od tego procesu przyrzekł sobie nigdy nie patrzeć na przysięgłych. Jednak mimo przyrzeczenia zawsze to robił. Byłoby miło ujrzeć porozumiewawcze mrugnięcie lub uniesiony kciuk, ale to się nigdy nie zdarzało.

Noose spojrzał na Carla Lee.

— Proszę oskarżonego o powstanie.

Jake wiedział, że w języku angielskim znalazłyby się bardziej przerażające słowa, ale w takiej chwili dla prawnika broniącego w sprawach karnych prośba sędziego niosła ze sobą potworne konsekwencje. Jego klient podniósł się niezgrabnie i żałośnie. Jake zamknął oczy i wstrzymał oddech. Ręce mu drżały, a żołądek zacisnął się w węzeł.

Noose zwrócił kartkę z werdyktem Jean Gillespie.

— Proszę odczytać werdykt.

Rozłożyła kartkę i spojrzała na oskarżonego.

— Ława przysięgłych uznała oskarżonego niewinnym dwóch zarzucanych mu czynów z powodu niepoczytalności.

Carl Lee odwrócił się i przyskoczył do barierki. Tonya i chłopcy zerwali się z ławki i objęli ojca. Na sali sądowej rozpętało się istne szaleństwo. Gwen krzyczała, zalewając się

łzami. Ukryła głowę w ramionach Lestera. Wielebni powstali, spojrzeli w górę i zakrzyknęli:

— Alleluja!

— Chwała Panu!

— Dzięki Ci, Panie!

Upomnienie Noose'a na nic się zdało. Stuknął sędziowskim młotkiem, krzycząc bez większego przekonania:

— Cisza! Cisza! Proszę zachować ciszę w sądzie!

W panującym zgiełku nikt nie słyszał jego słów. Wydawało się, że chętnie pozwolił na mały wybuch entuzjazmu i świętowania.

Jake był otępiały, bez życia, niczym sparaliżowany. Zdołał jedynie posłać słaby uśmiech w stronę ławy przysięgłych. W oczach miał łzy, wargi mu drżały, więc zdecydował, że nie będzie robił z siebie widowiska. Skinął głową Jean Gillespie, która też płakała, i siedział przy stole obrony, próbując się uśmiechać, niezdolny do niczego innego. Kątem oka spostrzegł, jak Musgrove i Buckley pakują teczki, notatniki i swoje ważne dokumenty, wrzucając je do aktówek. Okaż się wielkoduszny, przypomniał sobie.

Jakiś nastolatek przemknął między dwoma funkcjonariuszami z biura szeryfa. Przebiegł rotundę, wołając:

— Niewinny! Niewinny!

Wypadł na mały balkon nad frontowymi schodami i krzyknął do tłumu zgromadzonego na placu:

— Niewinny! Niewinny!

Na te słowa wybuchł nieopisany zgiełk.

— Cisza! Proszę o ciszę w sądzie! — powtarzał Noose, kiedy opóźniona reakcja z zewnątrz zatrzęsła oknami.

— Cisza! Proszę o ciszę w sądzie!

Znosił radosny zgiełk kolejną minutę, a później poprosił szeryfa o przywrócenie porządku. Ozzie uniósł dłonie i przemówił. Brawa, uściski i okrzyki uwielbienia szybko ustały. Carl Lee puścił dzieci i wrócił za stół obrony. Usiadł obok

swojego obrońcy i objął go ramieniem, uśmiechając się i płacząc.

Noose spojrzał na niego z uśmiechem.

— Panie Hailey, został pan osądzony przez ławę przysięgłych złożoną z pana rodaków i uznany za niewinnego. Nie przypominam sobie, aby któryś biegły zeznał, że jest pan obecnie niebezpieczny lub potrzebuje leczenia psychiatrycznego. A zatem jest pan wolny.

Wysoki Sąd spojrzał na pełnomocników stron.

— Jeśli nie ma innych spraw, ogłaszam przerwę. Sąd wznowi obrady piętnastego sierpnia.

Carla Lee otoczył tłum złożony z rodziny i przyjaciół. Obejmowali go, przytulali jedni drugich i ściskali Jake'a. Otwarcie płakali i dziękowali Bogu. Mówili Jake'owi, że go kochają.

Reporterzy napierali na barierkę, zasypując Jake'a pytaniami. Podniósł ręce i oświadczył, że nie będzie komentował werdyktu. O czternastej zaprasza na konferencję prasową w swojej kancelarii.

Buckley i Musgrove wyszli z sali bocznymi drzwiami. Sędziowie przysięgli zostali zamknięci w swoim pokoju, gdzie mieli zaczekać na ostatni transport autobusem do motelu. Barry Acker poprosił o chwilę rozmowy z szeryfem. Ozzie spotkał go w korytarzu, wysłuchał uważnie, a następnie obiecał odwieźć do domu i zapewnić ochronę dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Reporterzy opadli Carla Lee.

— Chcę po prostu wrócić do domu — powtarzał bez końca.

Radosne świętowanie przed sądem przybrało na sile. Ludzie śpiewali, tańczyli, płakali, poklepywali się po plecach, obejmowali, dziękowali, składali gratulacje, wybuchali śmiechem, krzyczeli z radości, skandowali, przybijali piątkę i wymieniali braterskie uściski dłoni. Wielbili niebiosa jednym radosnym, gromkim i zuchwałym śmiechem. Skupili się przed gmachem sądu, niecierpliwie czekając na swojego bohatera, który upajał się zasłużonym uwielbieniem.

Powoli zaczęli tracić cierpliwość. Po trzydziestu minutach wykrzykiwania „Chcemy Carla Lee! Chcemy Carla Lee!” ich człowiek stanął w drzwiach. Powitał go ryk rozdzierający uszy i wstrząsający ziemią. Hailey zaczął iść przez tłum ze swoim prawnikiem i rodziną, aby stanąć na szczycie schodów pod kolumnami, gdzie na podwyższeniu ze sklejki zamontowano tysiące mikrofonów. Okrzyki i wiwaty dwudziestu tysięcy gardeł ogłuszały. Objął swojego prawnika i pomachał ręką w kierunku morza rozkrzyczanych twarzy.

Pytania armii reporterów były całkiem niesłyszalne. Jake co jakiś czas przestawał machać ręką i krzyczał coś o konferencji prasowej, która rozpocznie się w jego kancelarii o czternastej.

Carl Lee przytulił żonę i dzieci. Tłum ryknął z aprobatą. Jake wycofał się chyłkiem i wszedł do sądu. Lucien i Harry Rex czekali w kącie, z dala od oszalałego zgiełku.

— Chodźmy stąd! — krzyknął Jake. Przepchnęli się przez ciżbę i ruszyli korytarzem w stronę tylnych drzwi. Jake spostrzegł chmarę reporterów na chodniku przed kancelarią.

— Gdzie zaparkowałeś? — spytał Luciena. Wskazał boczną uliczkę i po chwili zniknęli za Coffee Shopem.

⅄ ⅄ ⅄

Sallie usmażyła w głębokim tłuszczu kotlety schabowe i zielone pomidory i podała na werandzie. Lucien wyciągnął butelkę drogiego szampana, oznajmiając, że trzymał go na taką okazję. Harry Rex jadł palcami, obgryzając kości, jakby nie jadł od miesiąca. Jake bawił się jedzeniem, popijając zimnego szampana. Po dwóch lampkach uśmiechnął się w dal, upajając chwilą.

— Wyglądasz cholernie idiotycznie — zauważył Harry Rex z ustami pełnymi mięsa.

— Zamknij się, Harry — przerwał mu Lucien. — Pozwól mu się cieszyć swoją najwspanialszą chwilą.

— On się naprawdę cieszy. Spójrz na ten uśmiech.

— Co powinienem powiedzieć prasie? — spytał Jake.

— Powiedz, że przydałoby ci się paru klientów — poradził Harry Rex.

— Klienci nie będą problemem — wtrącił Lucien. — Ustawią się w kolejce, czekając na spotkanie.

— Czemu nie rozmawiałeś z reporterami w sądzie? — zapytał Harry Rex. — Mieli kamery i całą resztę. Już chciałem im coś powiedzieć.

— Jestem pewien, że byłby to istny klejnot mądrości — zapewnił Lucien. — Nigdzie nie pojadą. Moglibyśmy sprzedawać bilety na konferencję prasową i zbić fortunę.

— Będę mógł usiąść i popatrzeć, Jake? Proszę — błagał Harry Rex.

Rozdział 44

Spierali się, czy powinni pojechać starym bronco, czy poobijanym małym porsche. Jake oświadczył, że nie będzie prowadził. Harry Rex przeklinał najgłośniej, więc władowali się do bronco. Lucien zajął miejsce na tylnej kanapie. Jake udzielał wskazówek i miał na wszystko baczenie. Ruszyli tylnymi uliczkami, żeby uniknąć korków w okolicy placu. Autostrada była zatłoczona, więc Jake poprowadził swojego szofera mnóstwem żwirowych dróżek. Kiedy dojechali do asfaltu, Harry Rex skręcił w stronę jeziora.

— Mam tylko jedno pytanie, Lucienie — powiedział Jake.

— Jakie?

— Chcę uczciwej odpowiedzi.

— Co?!

— Zawarłeś umowę z Sisco?

— Nie, mój chłopcze. Sam zwyciężyłeś.

— Przysięgasz?

— Klnę się na Boga. Przysięgam na Biblię.

Jake chciał mu wierzyć, więc zrezygnował z drążenia tematu. Jechali w milczeniu, słuchając, jak Harry Rex nuci razem ze

stereo.

— Dokąd jedziemy? — spytał Lucien.

— Jeszcze chwilę — odrzekł Jake, spoglądając na rząd domów z prawej strony. Wskazał drugi z brzegu, a Harry Rex skręcił na podjazd i zaparkował pod drzewem. Jake wysiadł i rozejrzał się po podwórku, a następnie wszedł na werandę. Zapukał do drzwi z siatką.

W drzwiach ukazał się mężczyzna. Nieznajomy.

— Czego chcecie?

— Nazywam się Jake Brigance i...

Mężczyzna otworzył drzwi na oścież, wybiegł na werandę i uścisnął mu dłoń.

— Cieszę się, że mogę cię poznać, Jake. Jestem Mack Loyd Crowell. Byłem członkiem Wielkiej Ławy Przysięgłych, która omal nie zrezygnowała z postawienia oskarżenia Haileyowi. Świetnie się spisałeś. Jestem z ciebie dumny.

Jake uścisnął mu dłoń i powtórzył nazwisko. Wtedy go olśniło. Mack Loyd Crowell. Facet, który kazał Buckleyowi się zamknąć, gdy zasiadał w wielkiej ławie przysięgłych.

— Taak. Mack Loyd. Teraz sobie przypomniałem.

Jake spojrzał niezręcznie przez drzwi.

— Szukasz Wandy? — spytał Crowell.

— Taak. Przejeżdżałem obok i przypomniałem sobie jej adres z materiałów na temat członków ławy przysięgłych.

— Dobrze trafiłeś. Wanda tu mieszka. Ja też tu mieszkam, przez większość czasu. Nie jesteśmy małżeństwem, ale żyjemy razem. Poszła się zdrzemnąć. Była wykończona.

— Nie budź jej — poprosił Jake.

— Opowiedziała mi, co się stało. Wygrała dla ciebie tę sprawę.

— Jak? Co się stało?

— Poprosiła ich, żeby zamknęli oczy i uważnie słuchali. Żeby wyobrazili sobie małą dziewczynkę o jasnych włosach i błękitnych oczach i dwóch czarnych gwałcicieli, którzy przywiązali jej prawą nogę do drzewa, a lewą do słupka

ogrodzenia. A później wielokrotnie zgwałcili i zwymyślali, bo była biała. Powiedziała, żeby wyobrazili sobie małą dziewczynkę, która leży na ziemi i woła tatusia, a oni kopią ją w twarz i wybijają zęby, łamią obie szczęki i nos. Żeby wyobrazili sobie dwóch pijanych czarnych, którzy oblewają ją piwem i sikają na twarz, rechocząc jak idioci. Na koniec, żeby wyobrazili sobie, że ta mała dziewczynka jest ich córką. Poprosiła, żeby byli wobec siebie szczerzy i napisali na kartce papieru, czy gdyby mogli, zabiliby tych czarnych zwyrodnialców. Później urządzili tajne głosowanie. Przewodniczący przeliczył głosy. Dwanaście do zera. Wanda powiedziała, że musiałaby siedzieć w tym pokoju do Bożego Narodzenia, żeby zagłosować za skazaniem. I jeśli są wobec siebie szczerzy, mają podobne odczucia. Dziesięciu przytaknęło. Jedna z kobiet wstrzymała się od głosu. Wtedy wszyscy zaczęli płakać i tak jej wymyślać, że w końcu uległa. Było bardzo ciężko, Jake.

Jake wstrzymał oddech, chłonąc każde słowo. Nagle doleciał go odgłos kroków. Wanda Womack podeszła do drzwi. Uśmiechnęła się do niego i zaczęła płakać. Patrzył na nią przez siatkę, nie mogąc wydobyć głosu. W końcu przygryzł wargi i skinął głową.

— Dziękuję — wyjąkał cicho. Otarła oczy i odpowiedziała skinieniem.

⅄ ⅄ ⅄

Na Craft Road, po obu stronach podjazdu Haileyów, stały setki samochodów. Długi podjazd był zapchany autami. Dzieci się bawiły, a dorośli siedzieli w cieniu drzew i na maskach. Harry Rex zaparkował w rowie obok skrzynki pocztowej. Tłum wybiegł, żeby powitać prawnika Carla Lee. Lester objął go i powiedział:

— Znowu ci się udało! Znowu się udało!

Ściskali sobie dłonie i poklepywali się po plecach, idąc w stronę werandy. Carl Lee wstał z ławki i podszedł do schodów

w otoczeniu członków rodziny i wielbicieli. Otoczyli Jake'a, gdy dwaj wielcy ludzie stanęli naprzeciw siebie. Podali sobie dłonie i uśmiechnęli się do siebie, szukając właściwych słów. Objęli się. Tłum zaczął bić brawo i krzyczeć.

— Dziękuję ci, Jake — szepnął cicho Carl Lee.

Prawnik i klient usiedli na bujanej ławie i zaczęli odpowiadać na pytania dotyczące procesu. Lucien z Harrym Rexem przyłączyli się do Lestera i jego przyjaciół siedzących w cieniu drzewa, żeby wypić drinka. Tonya biegała i skakała po podwórku z setką innych dzieci.

O czternastej trzydzieści Jake usiadł za biurkiem i zadzwonił do Carli. Harry Rex i Lucien wypili resztę margarity i szybko się wstawili. Jake sączył kawę, mówiąc żonie, że za trzy godziny wystartuje z Memphis, a o dwudziestej drugiej wyląduje w Karolinie Północnej. Tak, u niego wszystko w porządku i wszystko już się skończyło. W jego sali konferencyjnej czeka wielu reporterów, więc powinna obejrzeć wieczorne wiadomości. Spotka się z nimi na krótko, a później pojedzie do Memphis. Powiedział, że ją kocha, tęskni i niebawem przyjedzie. Po tych słowach zakończył rozmowę.

Jutro zadzwoni do Ellen.

— Czemu dziś wyjeżdżasz? — spytał Lucien.

— Jesteś głupi, Jake! Po prostu głupi! Masz w garści tysiące reporterów i wyjeżdżasz z miasta! Głupi, zwyczajnie głupi! — wykrzyknął Harry Rex.

— Zostań w mieście kilka dni — błagał Lucien. — Nigdy nie dostaniesz takiej szansy. Proszę, Jake.

— Spokojnie, koledzy. Za chwilę się z nimi spotkam. Pozwolę zrobić sobie zdjęcia. Odpowiem na kilka idiotycznych pytań, a później wyjadę z miasta.

— Naprawdę ci odbiło, Jake. — Harry Rex westchnął.

— Zgadzam się — przytaknął Lucien.

Jake spojrzał w lustro, poprawił krawat Stana i uśmiechnął się do przyjaciół.

— Naprawdę was doceniam, chłopaki. Dostałem dziewięćset dolarów za ten proces i zamierzam się z wami podzielić.

Rozlali resztę margarity, wypili do dna i ruszyli schodami za Jakiem Brigance'em na spotkanie reporterów.